

# ZDANIE

„Trzech na jednego”  
z ANDRZEJEM FRISZKE

W numerze m.in.: Włodzimierz Cimoszewicz, Jerzy Hausner, Aleksandra Jasińska-Kania,  
Stanisław Jędrzejewski, Edward Karolczuk, Adam Komorowski, Marcin Kula, Andrzej Kurz,  
Jarosław Ładosz, Janusz Majcherek, Krzysztof Mroziewicz, Paweł Sękowski, Marian Stępień,  
Marek Tabin, Jacek Wojciechowski

1-2 (176-177) 2018



# Logos<sup>\*\*\*</sup>

## HOTEL



NOWOCZESNY HOTEL USYTUOWANY W BEZPOŚREDNIM SĄSIEDZTWIE STAREGO MIASTA, REKOMENDOWANY PRZEZ POLSKIE ZRZESZENIE HOTELI. SPECJALIZUJE SIĘ W OBSŁUDZE TURYSTYKI INDYWIDUALNEJ, RODZINNEJ, BIZNESOWEJ I MOTYWACYJNEJ.

#### HOTEL:

- KOMFORTOWE POKOJE
- 2 SALE KONFERENCYJNE
- SAUNA
- MASAŻE RELAKSACYJNE LECZNICZE
- BEZPŁATNY INTERNET

#### RESTAURACJA:

- KUCHNIA FUSION I POLSKA
- KOMUNIE, CHRZCINY, BANKIETY
- ROMANTYCZNE KOLACJE
- OGRÓDEK LETNI LOGOS GARDEN
- DRINK-BAR

#### OFERTY SPECJALNE:

- KONFERENCJE I SZKOLENIA
- IMPREZY INTEGRACYJNE
- ZWIEDZANIE KRAKOWA
- ŚWIĘTA I FESTIWALE W KRAKOWIE
- POBYT DLA RODZIN Z DZIEĆMI



HOTEL LOGOS, UL. J. SZUJSKIEGO 5, 31-123 KRAKÓW, POLSKA

TEL. (+48) 12 631 62 00. FAX (+48) 12 632 42 10

E-MAIL: REZERWACJA@HOTEL-LOGOS.PL. WWW.HOTEL-LOGOS.PL

# ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

1–2 (176–177) 2018

## OD REDAKTORA

Po pięćdziesięciu latach wracamy pamięcią i tekstami do tzw. wydarzeń marcowych. Marzec'68 miał być rocznicowym tematem, a stał się palącym problemem współczesnej Polski ze względu na jego nieoczekiwane konotacje i aktualność. W obydwu przypadkach postarała się o to władza. Ta w 1968 roku sprowokowała studenckie wystąpienia, by obarczyć za nie odpowiedzialnością obywateli polskich pochodzenia żydowskiego i spowodować ich exodus. W 2018 roku manifestująca swój antykomunizm władza uczciła jubileusz Marca'68 w ten sposób, że problem antysemityzmu w Polsce stał się ponownie aktualny zarówno w wymiarze krajowym, jak i międzynarodowym. Nasi autorzy na wydarzenia sprzed pół wieku patrzą z dzisiejszej

perspektywy, ale traktują je jako fragment własnej biografii, a zarazem pokoleniowego doświadczenia młodych ludzi w różnych krajach, z którego wyrosło zjawisko kontestacji i kontrkultury, mające w latach 60-70. zasięg światowy.

„Kuźnica” przyznała swoje „Kowadło” Włodzimierzowi Cimoszewiczowi, jednemu z najbardziej rozpoznawalnych i cenionych polityków lewicy. Laureat przedstawił się jako wnikliwy komentator i analityk otaczającej nas rzeczywistości, co potwierdza lektura jego wypowiedzi.

„Trzech na jednego” z prof. Andrzejem Friszke – „dziopisem” naszych czasów, podążającym za wskazaniem Poety: „spisane będą czyny i rozmowy”.

**EDWARD CHUDZIŃSKI**

ANDRZEJ FRISZKE CZY MAMY BYĆ? NARODEM CZY PAŃSTWEM? ( <i>Trzech na jednego</i> )	3
Edward Karolczuk DOBIĆ WROGA. PIS W NATARCIU	14
Marek Tabin KŁAMANIE SKUTE CZNE	18
Jacques Kmieciak „DEKOMUNIZACJA” W POLSCE WIDZIANA Z FRANCJI	21
Stanisław Gębala POMAZAŃCY PRZECIW ELITOM	26
Radosław S. Czarnecki FASZYZM WIECZNIE ŻYWY	29
Aleksandra Jasińska-Kania TERRORYZM: OSĄD I POSZUKIWANIE KORZENI	31
Magdalena El Ghamari WYZWANIA BEZPIECZEŃSTWA KULTUROWEGO	34
Janusz A. Majcherek INTERESY I SYMBOLE	39
Jarosław Ładosz EPIDEMIA „PREZYDENCKIEJ DEMOKRACJI”	41
Jacek Wojciechowski W ROSJI – O ROSJI	51
F.R. „KOWADŁO” DLA WŁODZIMIERZA CIMOSZEWICZA	61
Jerzy Hausner NIE WOLNO MILCZEC! (laudacja)	64
Włodzimierz Cimoszewicz MÓJ OPTYMIZM JEST PODDAWANY TRUDNEJ PRÓBIE	66
Tadeusz Wojtaszek SPRAWIEDLIWI Z DOLINY BĘDKOWSKIEJ: ROŚCISZEWCY	69
Paweł Sękowski MARZEC '68 I JEGO SKUTKI	72
Krzysztof Mroziewicz SORBONA I GOMORA	77

81	Adam Komorowski TA NASZA MŁODOŚĆ...
86	Filip Ratkowski GRUPA 848. SPOJRZENIE OSOBISTE
89	J. Kaczorowski, R. Wysogład, L. Neuger, F. Ratkowski, A. Banaś, S. Nowakowski WIERSZE
	WALNE ZEBRANIE STOWARZYSZENIA „KUŹNICA” Andrzej Kurz ZAWSZE CECHOWAŁA NAS SWOBODA MYŚLENIA I EKSPRESJI
92	
95	Paweł Sękowski POZOSTANIEMY MIEJSCEM DYSKUSJI LEWICY
97	UCHWAŁA WALNEGO ZEBRANIA
99	NOWE WŁADZE „KUŹNICY”
100	Andrzej Kurz O MARKU – PRZYJACIELU I MENTORZE
103	Marian Stępień DĄBROŃSKA O PRUSIE
111	Adam Komorowski CZYTANIE MYŚLIWSKIEGO
112	Marcin Kula WERYFIKACJA WSPOMNIEŃ
116	Stanisław Jędrzejewski RADIO CYFROWE – ZMARNOWANA SZANSA?
119	Wiktor Kubica OBRAZEK
126	Krzysztof Komornicki O ROKU ÓW
129	Józef Rozwadowski URODZINY NIEJAKIEGO ADOLFA
130	Tomasz Goban-Klas STALIN – PREKURSOR „#Me too”
131	Sceptyk MIĘDZY DUMĄ A WSTYDEM



# trzech na jednego

JEDEN:  
ANDRZEJ FRISZKE  
TRZECH:  
EDWARD CHUDZIŃSKI  
JAN ORDYŃSKI  
FILIP RATKOWSKI

## CZYM MAMY BYĆ? NARODEM CZY PAŃSTWEM?

**EDWARD CHUDZIŃSKI:** Należy Pan do pokolenia, które w zasadzie nie miało już problemów z pisaniem życiorysów. Pański zaczyna się tak: Urodziłem się w Olsztynie w 1956 roku w rodzinie ewangelickiego pastora. Co z tego wynika?

**ANDRZEJ FRISZKE:** Za tym oczywiście stoi historia rodziny, która zapewne ma niemieckie korzenie, ale już od połowy XIX wieku pisała nazwisko po polsku. Mam też w genach luterańską tożsamość, bo ojciec był pastorem. Pochodził ze Zduńskiej Woli koło Łodzi, ale po powrocie z obozu w Dachau został w 1946 r. przez kościelnych zwierzchników skierowany do Olsztyna w celu zorganizowania diecezji mazurskiej, bo na tych przyłączonych do Polski terenach żyło wielu ewangelików.

**FILIP RATKOWSKI:** Pańscy przodkowie zapewne pojawili się w Łodzi lub w jej okolicach w czasach, kiedy stawała się ona „ziemią obiecaną”, przyciągając bardzo różne żywioły. Obok Polaków, także Żydów czy fachowców z Niemiec...

**FRISZKE:** Najpewniej tak było, ale moi przodkowie szybko zakorzenili się w polskości. Ojciec w 1927 r. skończył teologię na Uniwersytecie Warszawskim, był pastorem w Łodzi, potem w Radomiu. Został też w 1938 r. członkiem konsystorza, wtedy sześciuosobowej naczelnej władzy tego Kościoła w Polsce. Połowę stanowili duchowni, a połowę świeccy. Przy okazji popadł w bardzo ostry konflikt z przedstawicielami mniejszości niemieckiej, gdyż walczył z nazistowskimi wpływami wśród ewangelików w Polsce.

**JAN ORDYŃSKI:** W czasie okupacji próbowano wpisać go na volkslistę?

**FRISZKE:** Nie zdążono, bo – podobnie jak biskup Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w II RP Juliusz Bursche – trafił już pod koniec września 1939 roku jako wróg Niemiec do więzienia, następnie do obozu Sachsenhausen, a potem do Dachau. Przeżył cudem, wrócił w 1945 r. podupały na zdrowiu, z wybitymi zębami, głuchy na jedno ucho i ze zrujnowanym przewodem pokarmowym. Bywało, że budził się z krzykiem po nocach...

**CHUDZIŃSKI:** Wyjaśniło się, że nie pochodził z Warmii i Mazur.

**FRISZKE:** Nie, ale ogromnie angażował się w zjednywanie Mazurów dla Polski, a ówczesna władza tego nie ułatwiała. Istniał zasadniczy problem języka, do mniej więcej I wojny światowej Mazurzy mówili polską gwara, potem rozpowszechnił się niemiecki, po wojnie próbowano ten proces odwrócić. Był przymus posługiwania się polskim, także w kościele, w obrzędach religijnych, kazaniach. Ale jeśli ktoś był wychowany w niemieckiej szkole podstawowej, to i liczyć było mu łatwiej po niemiecku i modlić się w tym języku. Nieraz się zdarzało, że ubecy na przykład na pogrzebach zaglądali Mazurom przez ramię, jakie mają modlitewniki, a ojciec musiał się za nich tłumaczyć samemu wojewodzie – a był nim od 1948, znany skądinąd, Mieczysław Moczar. Skutek okazał się katastrofalny: wielka fala emigracji Mazurów do Niemiec Zachodnich zaczęła się po 1956 roku...

**ORDYŃSKI:** A kolejna to wyjazd 150 tys. osób po porozumieniu Gierka ze Schmidtem w Helsinkach.

**FRISZKE:** Wtedy raczej wyjeżdżali Ślązacy w ramach tzw. łączenia rodzin, ale i wielu Mazurów. To bolesne historie, które mocno przeżywał ojciec nie ukrywający swo-

jego antyniemieckiego nastawienia. Mimo zaproszeń, nigdy do Niemiec nie pojechał, natomiast utrzymywał kontakty z Kościołem w Szwecji, kierował też w pierwszych powojennych latach akcją humanitarnej pomocy Szwedów dla mazurskich współbraci. W IPN znajdują się akta sprawy pod kryptonimem „Rezydent”, która zawiera materiały z rozpracowywania ojca jako domniemanego agenta wywiadu szwedzkiego i angielskiego, ewentualne amerykańskiego. Ojciec zmarł w 1958 r., kiedy miałem dwa lata, więc nie mógł mi niczego opowiedzieć. To, co wiem, pochodzi z relacji mamy i dokumentów znajdujących się w archiwach.

**CHUDZIŃSKI: Czy jako „luter” miał Pan problemy w szkole, w gronie rówieśników?**

FRISZKE: Zapewne byłem dla kolegów dość dziwny, bo mieszkalem w Rynku, w domu parafialnym koło kościoła luterskiego, ale wówczas szkoła była już świecka i kwestie religii nie rodziły złych emocji.

**RATKOWSKI: A po maturze – historia. Ale jaka historia? To przecież bardzo różne dyscypliny: od historii starożytnej, przez mediewistykę po najnowszą?**

FRISZKE: To była historia najnowsza, którą zainteresowałem się już na przełomie szkoły podstawowej i średniej. Pewnie zdecydowały tradycje mojego dziadka – POW, dwudziesty rok i w domu kult Piłsudskiego. Oczywiście w kontrze do tego, co przekazywała szkoła.

**CHUDZIŃSKI: Kult Piłsudskiego, też protestanta, ale niekoniecznie z religijnych przyczyn.**

FRISZKE: No jasne. Ale to moje zainteresowanie Piłsudskim zaowocowało częstymi wizytami w antykwariacie, gdzie można było dostać sporo przedwojennych książek, pewnie przywiezionych przez polskie rodziny z Wilna. Jedną z pierwszych, mam ją zresztą do dzisiaj, był przystępny wykład biograficzny o Piłsudskim. Przy okazji zainteresowałem się też jego przeciwnikami, czyli endecją, której w moim domu „się nie znosiło”. To był wróg piłsudczyków, czyli „nas”, ale też wróg ewangelików, bo budujący schemat Polak-katolik, a więc nas, Polaków-luteran wyrzucający ze wspólnoty narodu!

W historii bardziej nawet od procesów rozwojowych, interesowali mnie ludzie, przywódcy polityczni, ich losy oraz różnice między wizjami Polski. Dzieje Polski to historia działań określonych ludzi. Dla mnie historia musi być spersonalizowana, a więc to także twarze konkretnych ludzi. I jakoś z tego Olsztyna próbowałem nawiązywać kontakty z weteranami przedwojennego życia publicznego. Trafiałem na autora ciekawej książki o endecji przedwojennej i działającej pod okupacją niemiecką, Jerzego Tereja i przez niego dotarłem listownie, a niekiedy i osobiście, do szeregu osób z tego ruchu, np. Klaudiusza Hrabyka, z którym prowadziłem długie dyskusje i spory. Bo choć endeków nie lubiłem, to przecież byłem ciekaw ich historii i sposobu myślenia. Poznałem profesora Jana Zdzitowieckiego oraz Władysława Jaworskiego, który był w czasie wojny wiceprezesem Stronnictwa Narodowego w podziemi. Poznałem też PPS-owców, po 1945 r. represjonowanych, np. Ludwika Cohna i Antoniego Pajdaka. Ich system wartości był mi bliski. Razem z mamą byłem w Krakowie u Eugeniusza Kwiatkowskiego. Tych kontaktów było zresztą o wiele więcej.

Przez te nawiązane wówczas kontakty moja wiedza stała się, powiedzmy, niestandardowa. Wiedziałem więcej niż z książek o ludziach i o ich sposobach myślenia

o Polsce, o zróżnicowanym spojrzeniu na wiele spraw. Mogłem sprawdzić, na co zwracają uwagę endecy, ludowcy, lewica... To mi bardzo dużo dało. Wydobyłem od nich wiele zdjęć i niektóre wykorzystuję do tej pory w różnych publikacjach...

To moje zainteresowanie historią zaowocowało pierwszym miejscem na ogólnopolskiej olimpiadzie historycznej w 1975 roku, której jury przewodniczył profesor Samsonowicz – wielka postać! Było nas laureatów zresztą kilku, m.in. Marek Krwawicz... Na olimpiadzie miałem, owszem, pytanie o rewolucję październikową, którą nieźle znałem, bo i przedwojenne wydanie wspomnień Trockiego miałem za sobą, a pisemne opracowanie było o faszystach europejskich lat 30.

Wracam więc w glorii chwały do swego liceum, to było tuż przed maturą, w „Gazecie Olsztyńskiej” o mnie pisał, a tu dyrektor zaprasza mnie do siebie na rozmowę z jakimś panem. Okazało się, że to był ubek. Bezpieka bowiem założyła mi w 1974 „rozpracowanie operacyjne” w związku z utrzymywaniem kontaktów z przedstawicielami „reakcyjnych ugrupowań politycznych skazanych prawomocnymi wyrokami przez sądy PRL”!

**ORDYŃSKI: A miał Pan wówczas lat...?**

FRISZKE: 17 i już wróg ustroju! To była kontrola korespondencji, inwigilacja na ulicy (okresowa), przestępczanie niektórych nauczycieli w szkole... Może zresztą ja sam nie byłem znów taki ważny, ale Olsztyn to było miasto ciche i bezpieka nie mogła się niczym ważnym pochwalić...

**ORDYŃSKI: Wreszcie mieli jakąś sprawę!**

FRISZKE: I wreszcie było coś innego niż „nudni” Mazurzy i równie banalna „niemiecka infiltracja”. Zrobili tego ze 200 stron dokumentów! Gwałtownie próbowali się zorientować, czy nie mam jakichś kontaktów z emigracją. Nie miałem, więc skończyło się na „rozmowie ostrzegawczej”, z której raport zamyka to tomiszczce. Potem wyjechałem do Warszawy i szedłem z oczu pana porucznika czy kapitana.

**RATKOWSKI: Ale na olimpiadzie zauważył Pana Samsonowicz?**

FRISZKE: Tak i potem niejako przekazał mnie prof. Garlickiemu.

**CHUDZIŃSKI: Na niego podobno w IPN też coś znaleźli?**

FRISZKE: Nic, co byłoby warte wzmianki, a moje studia u najlepszego znawcy Piłsudskiego i jego ludzi szły zwykłym trybem.

**ORDYŃSKI: A Garlicki, to poza wszystkim postacią bardzo zaangażowaną w czasie Października '56.**

FRISZKE: Należał do „paczki” z Pomianem, Kuro niem, Modzelewskim, ale o tym nie opowiadał.

**CHUDZIŃSKI: A tymczasem na uniwersytecie zbierają podpisy w sprawie zmian w konstytucji.**

FRISZKE: To był przelom 1975 i 76 roku. Miałem znajomych, którzy byli sygnatariuszami listu – protestu przeciw kierowniczej roli partii i wpisywaniu „przyjaźni z ZSRP” do konstytucji: Cohna, Pajdaka. Chodziłem do nich, dostawałem pakiet różnych petycji, zaniostem do kolegów na uniwersytet. Czytamy to, podniecamy się i to jest w zasadzie początek mojej tożsamości opozycyjnej. Potem przychodzi lato 1976 – Radom, Ursus, a na początku października nasz kolega Bronek Komorowski wywiesza na wydziale historii proklamację, że powstał Komitet Obrony Robotników. Nie powiem, żebyłem był



Fot. Krzysztof Żuczkowski

wokół KOR aktywny, bo podejrzewałem, że po sprawie olsztyńskiej mogą być pod obserwacją i prawdę mówiąc, bałem się, ale jednak zbierałem pieniądze na pomoc dla robotników, a mama w Olsztynie przepisywała komunikaty, które jakoś tam rozdawałem wśród znajomych.

Moje usytuowanie towarzyskie, emocjonalne, koleżeńskie – to środowisko KOR-owskie.

**CHUDZIŃSKI: Antoni Macierewicz też?**

FRISZKE: Poznałem go, ale nieco później, ponadto nie był to ktoś, do kogo chciałem się zbliżyć, w przeciwieństwie do Adama Michnika, z którym można było dobrze, sympatycznie dyskutować, także o przedwojennej i powojennej Polsce. Michnik już wtedy był legendą 1968 roku, a zarazem człowiekiem ogromnie czytany, wiedział mnóstwo. Ale potrafił przekonywać nie demonstrując swojej wyższości. Macierewicz natomiast był dość sztywny, a rozmowę tak prowadził, jakby miał oczywistą rację, nie dopuszczał innego zdania, i w zasadzie w każdym gronie generował konflikty.

**ORDYŃSKI: Kto był wtedy Pańskim idolem w tym środowisku?**

FRISZKE: Jeszcze w szkole pilnie śledziłem „marcową propagandę” i dawało się to czytać odwrotnie. Wiadomo było, że jak ktoś jest „tobuz” i „wróg Polski Ludowej”, to oczywiście „światny facet”. A więc oczywiście Kuroń, Michnik, Modzelewski... Słuchało się Wolnej Europy, gdzie czytano Alicji Lisieckiej słynną wówczas książkę *Mandaryni i gryzpiórki*, co było, jak na owe czasy, całkiem niezłym opisem tego, o co chodziło w okolicach Marca.

**ORDYŃSKI: Czytał Pan „Politykę”?**

FRISZKE: Raczej „Kulturę” czy „Literaturę”. W „Polityce” było dla mnie za dużo ekonomii, reportaży i wywiadów z kadrą zakładów pracy itd.

**CHUDZIŃSKI: A jakie były Pana fascynacje literackie?**

FRISZKE: Na pewno Słonimski, którego poznałem w czasie tych moich młodzieńczych wędrówek. Głównie poeci przedwojenni – Skamandryci. Czytałem Lechonia... Ale też Norwid, Mickiewicz, Prus, Żeromski. Klasyka. Zafascynował mnie Konwicki, jego powieści wydane jeszcze oficjalnie, np. „Rojsty”. „Sennik współczesny”. I Strykowski, przez niego poznałem tematykę żydowską.

**RATKOWSKI: Skamandryci. Czy to tylko kwestia gustu literackiego, czy może także wynik bliskości pewnego „pułkownika”? Mam tu na myśli ten wiersz Hemara *Pułkownik i poeci – o Wieniawie...***

FRISZKE: Może, postać Wieniawy działała na wyobraźnię. Zresztą moje gusta literackie są dość tradycyjne i wiązało się to z przekonaniem, że II Rzeczpospolita to jest „moje państwo” i mimo wszystkich dramatycznych rzeczy, jakie się wówczas działy, to ona stanowiła dla mnie pozytywny punkt odniesienia. Przy czym Skamandryci reprezentowali ten rodzaj patriotyzmu i myślenia o Polsce, który mi bardzo pasuje.

**CHUDZIŃSKI: A literatura drugiego obiegu, lata 80., Woroszyłski, Konwicki i młodszy: Barańczak, Nowa Fala?**

FRISZKE: Naturalnie, jak się wchodziło w krąg „kolorowski”, to się czytało wszystko, co było drukowane w drugim obiegu, chyba że nie było mnie stać na kupno. Na przykład długo nie mogłem zdobyć *Blaszanego bębenka* Grassa, bo był za drogi.

**CHUDZIŃSKI: Tak, te książki były o wiele droższe niż te dostępne w księgarniach.**

FRISZKE: Tak, książki w PRL były tanie.

**ORDYŃSKI: A paryska „Kultura”?**

FRISZKE: Miałem z tym pewną przygodę, bo Kladiusz Hrabyk przywiózł z zagranicy „Kulturę” z roczników 1950-56 i wymyślił, że w Olsztynie pomogę mu je sprzedać. Przesłał mi te roczniki – stały spokojnie na półce i wolniutko je czytałem, bo kiedy pytałem w jakiejś bibliotece czy by nie kupili, to znacząco pukali się w głowę. W końcu odesłałem je Hrabykowi.

Na uniwersytecie Garlicki dał mi zaświadczenie, że potrzebuję „Zeszytów Historycznych” do pracy magisterskiej i nie miałem problemów z dostępem do „Kultury”, zresztą i bibliotekarze przymykali oko, i dawali co chciałem z pozycji bezdebitowych.

ORDYŃSKI: **Ale studia kiedyś się kończą...**

FRISZKE: Muszę zacząć od tego, że w 1978 roku wpadłem w Olsztynie z „bibułą”. W konsekwencji trafiłem do Pałacu Mostowskich, odmówiłem składania zeznań, a panowie z bezpieki pozbawili mnie nadziei na asystenturę. I rzeczywiście – jest w moich papierach IPN-owski zapis: „nie wolno zatrudnić w Warszawie oraz na żadnym stanowisku naukowym czy dydaktycznym”.

Tymczasem ja od dwóch lat udzielałem się w seminarium o początkach PRL w warszawskim Klubie Inteligencji Katolickiej, które założył Kazimierz Wóycicki. Polegało to na tym, że zapraszaliśmy różne osoby, które mówiły a to o PSL, a to o PPS czy o Kościele. Sekretarz KIK Andrzej Wielowieyski w tej trudnej sytuacji zdecydował się dać mi pół etatu. Mając pracę mogłem się tymczasowo zameldować w Warszawie. To był 1 tys. złotych, do tego załatwili mi wykłady oświatowe w dwóch kościołach w Rzeszowie na temat XX-lecia międzywojennego, co powiększyło moje dochody o dalsze 2 tysiące. Można się było za to utrzymać.

I tak dotrwałem do Solidarności. Wtedy Tadeusz Mazowiecki zaproponował mi wejście do redakcji „Tygodnika Solidarność”. Miał już jakieś wyobrażenie o mnie, bo pisywałem w „Więzi” i z czteroosobowym zespołem tego miesięcznika z Mazowieckim na czele, byliśmy w Krakowie w czasie tej najważniejszej wizyty papieża w 1979 roku. W ten sposób zaczęła się moja kariera – od pucybuta do milionera, no bo przecież nagle facet w dwa lata po studiach zostaje szefem działu historycznego w wielkim tygodniku o nakładzie półmilionowym!

RATKOWSKI: **A w KIK-u nie było problemu, że „luter”?**

FRISZKE: Teoretycznie powinien zaistnieć. Ale to pokazuje wielkość tych ludzi, którzy uznali, że przecież wszyscy jesteśmy chrześcijanami. Zresztą tak naprawdę, to trochę zaiskrzyło, bo bezpieka pytała wprost prezesa KIK Świątecznego „co to ma znaczyć?”. A poza tym były w tym środowisku osoby o podejściu bardziej zasadniczym. Ale przywódcy KIK potrafili sobie z tym poradzić i taka sprawa nigdy nie wypłynęła. Nawet półoficjalnie. Wreszcie, w pewnym momencie został zmieniony statut KIK. Do punktu, że członkami mogą być wierni Kościoła katolickiego, dopisano „i innych wyznań chrześcijańskich”. To było środowisko pięknych ludzi.

ORDYŃSKI: **Jeśli córka Eugeniusza Szyra mogła wejść do KIK-u i jest teraz jego prezesem, to dowodzi ogromnej otwartości tego środowiska.**

FRISZKE: To były zresztą wspaniałe czasy, a KIK stał się centralnym miejscem spotkań ludzi z różnych nurtów opozycji. Poznałem tam i Macierewicza, i Adama Michnika, Seweryna Blumsztajna i Pawła Śpiewaka. Ze starszych Jana Strzeleckiego, Władysława Bartoszew-

skiego, Jana Józefa Lipskiego, Jerzego Jedlickiego, Stanisława Stommę i innych. Wielu ważnych ludzi w moim życiu.

A jak zaczęła się Solidarność, to tam odbywały się pierwsze zebrania Komisji Krajowej, kiedy obradowała w Warszawie. Stamtąd się jechało do sądu zarejestrować związki.

CHUDZIŃSKI: **Jak Pan wtedy na ten ogromny ruch społeczny patrzył, bo umiał Pan rozpoznać w mim rozmaite nurty. Czy był to bezkrytyczny zachwyt, czy coś Pana niepokoiło?**

FRISZKE: Od początku niepokoił mnie radykalizm. Wszyscy zgadzaliśmy się, że jest to walka o zmiany w Polsce, ale muszą to być zmiany przeprowadzone ewolucyjnie. Miałem świadomość, tak jak to mówił Jacek Kuroń, że „walki na pięści z ZSRR nie wygramy”. Uważaliśmy, że walka polityczna musi się odbywać wedle pewnych reguł, choć oczywiście wielu z nas inaczej te reguły definiowało.

RATKOWSKI: **Nie była to walka „o kapitalizm”?**

FRISZKE: Takie stanowisko dowodziłoby kompletnego braku realizmu. Stał przed nami problem reformy ustrojowej i gospodarczej, w takie dyskusje ja się nie angażowałem. Od tego był Bugaj czy Kuczyński, my natomiast próbowaliśmy odświeżać prawdę historyczną. Trzeba było wypełniać „białe plamy”, których było przecież bardzo wiele – nie tylko z czasów PRL, ale i z okresu wojny i okupacji, a także z okresu II Rzeczypospolitej.

CHUDZIŃSKI: **Czy Pana niepokoiła postępująca klerykalizacja tego nowego ruchu ?**

FRISZKE: Takie obawy przesłaniała postać papieża. Jan Paweł II przez sposób swej obecności w życiu publicznym czy politycznym, a nawet kościelnym, stworzył nową płaszczyznę, na której mogli się spotkać wszyscy, nie wykluczając nikogo. Pamiętam rozmowy z ewangelikami z Olsztyna i wiem, że niektórzy z nich wręcz płakali ze wzruszenia słuchając jego wypowiedzi. To była formuła jednocząca wszystkich, chrześcijan i nie tylko chrześcijan. Jego katolicyzm nie był wykluczający, był też wyciągnięciem ręki do niewierzących, a takich w Solidarności było mnóstwo.

CHUDZIŃSKI: **Ja myślę o okresie późniejszym, np. kiedy w stanie wojennym i później żadnej formy protestu bez oprawy religijnej, obrzędowości i kapelana już nie było.**

FRISZKE: Ja to rozumiałem, bo przecież wiadomo, że ludzie w Polsce są religijni, potrzebują tego elementu dla poczucia duchowego zaangażowania i oddawania się pod opiekę Boga, „jakby co”. Udział w religijnych aktach nie był zresztą obowiązkowy. Byłem jako dziennikarz związkowy na I Zjeździe Solidarności i każdy dzień zaczynał się od mszy, którą zresztą odprawiał ks. Tischner i jemu podobni. To były wielkie postacie.

RATKOWSKI: **Ale był i ksiądz Jankowski, po trosze prototyp o. Rydzka.**

FRISZKE: Owszem, Jankowski był, ale z żadnej religijnej aktywności go sobie nie przypominam. To była postać raczej lokalna. Rozumiem to pytanie i widzę, co się teraz dzieje; mam poczucie zagrożenia głębokimi podziałami wśród Polaków na tym właśnie fundamentalistycznym, religijnym tle. Ale podkreślam – wtedy Kościół Jana Pawła II łączył a nie dzielił. Ileż ja się na jeździłem po kościołach, ile miałem wykładów, które mi Wielowieyski załatwiał. W różnych miejscach, w różnych



parafiach, duszpasterstwach, mówiłem o historii, czasem o rzeczach trudnych, bo np. o stosunkach polsko-ukraińskich przed wojną. Jeździli i inni: Zdzisław Szpakowski, Wojciech Wieczorek, ludzie z „Więzi” czy „Tygodnika Powszechnego”. Jeździli też Stefan Bratkowski, Woroszyński, wspaniali artyści występowali w ramach Tygodni Kultury Chrześcijańskiej

**CHUDZIŃSKI: A potem, w nowej rzeczywistości, zastąpił Pana w tej roli Jerzy Robert Nowak i inni, jemu podobni.**

**FRISZKE:** Rzeczywiście, dokonała się radykalna zmiana, choć ten nurt i wtedy gdzieś gnieździł się na marginesach, jak to bywa w dużej strukturze. Już wtedy, gdy zaczęły się podziały w regionie Mazowsze, to moje uczucia były jednoznacznie negatywne wobec akcji Macierewicza i tzw. „prawdziwych Polaków”. Obce mi były zawsze nacjonalistyczne nastroje, które w Solidarności zaczęły narastać. Na I Zjeździe Solidarności też to zaczęło się ujawniać. Był wredny atak na KOR, po którym Jan Józef Lipski zasłał. Ale te nacjonalistyczne ekscesy przychodziły jakby „z zewnątrz” i były w owym czasie marginalne. W obozie władzy też powstawały takie skrajne struktury, jak Zrzeszenie Patriotyczne Grunwald, wyjątkowo obrzydliwe towarzystwo w ramach „reżimu”, odwołujące się do antysemityzmu 1968 roku.

**RATKOWSKI: Jak Pan był wtedy usytuowany formalnie?**

**FRISZKE:** Poza „Tygodnikiem Solidarność”, KIK-iem czy „Więzią” byłem w redakcji pisma wychodzącego na UW „Głos wolny, wolność ubezpieczający” razem z Marcinem Frybesem, Jankiem Skórzyńskim i Agnieszką Romaszewską. Na tych łamach napisałem jesienią 1980 r. duży tekst o Marcu '68, na podstawie materiałów głównie z paryskiej „Kultury”. Pierwszy taki tekst po przełomie sierpniowym 1980. Miał wiele przedruków w podobnych powielaczowych pisemkach...

**CHUDZIŃSKI: A skoro Pan już mówi o podziałach w obozie władzy... Jak patrzyliście na nurt reformatorski w PZPR? Dziś wielu pańskich kolegów – historyków ten nurt całkowicie marginalizuje, lekceważy...**

**FRISZKE:** To typowe myślenie ahistoryczne, ale wtedy poczucie obcości wobec PZPR, jej języka, jej pragnienia utrzymania monopolu, było ogromne, wielka też nieufność. Zarazem jednak mieliśmy świadomość, że jeżeli ten wielki eksperyment z Solidarnością ma się udać, a nie zakończyć „mordobiciem”, to jest konieczne – po naszej stronie – kierownictwo umiarkowane i odpowiedzialne. I to wspieraliśmy. Liczyliśmy też, że po stronie władzy wygra nurt umiarkowany. Więc na ten ruch odnowy patrzyliśmy z sympatią. Mieliśmy nadzieję, że wyhamuje tendencje konfrontacyjne po stronie władzy.

Konieczna była wspólna praca po to, żeby ten eksperyment polski trwał jak najdłużej i żeby wraстал w rzeczywistość, i żeby świat zewnętrzny, wrog, z Moskwą na czele, musiał się z tym pogodzić. Liczyliśmy, że uzna tę „polską specyfikę” jak prywatne rolnictwo czy Kościół.

**RATKOWSKI: Uzna, że Polska to „najweselszy barak w obozie socjalistycznym”?**

**FRISZKE:** Dokładnie. Takie myślenie powodowało, że wrogo patrzyliśmy na wszystkich szaleńców, którzy chcieli zrywać wynegocjowane kompromisy. No i patrzyło się ze zgrozą na rosyjską agenturę w partii, która się ujawniała poprzez różne „listy” wzywające do obalania Kani czy Jaruzelskiego, jak Forum Katowickie czy grupa

skupiona wokół pisma „Rzeczywistość”. Liczyliśmy na to, że partia sobie z nimi poradzi.

Trzeba wyraźnie powiedzieć – my nie byliśmy antykomunistami! Walcząc z „komunistyczną” władzą, o podmiotowość, o zmiany w Polsce, walczyliśmy „o coś”, a nie „przeciw” komuś. Mieliśmy świadomość, że „komuniści” czy „byli komuniści”, generalnie „ludzie partii” mają do odegrania też ważną rolę.

**ORDYŃSKI: Liczyliście na „socjalizm z ludzką twarzą”? Tak jak w Czechosłowacji w 1968 roku?**

**FRISZKE:** Takiego języka nie używaliśmy. Braliśmy pod uwagę doświadczenie Dubczeka i baliśmy się, że kiedy partia się za bardzo zdemokratyzuje, to Sowieci wjadą z czołgami! Zresztą Jan Józef Lipski taki tekst napisał... Musieliśmy być twardzi, a równocześnie elastyczni.

**CHUDZIŃSKI: Historia pokazała, że Rosjanie bardziej się bali reformatorów w partii niż opozycji. To potwierdziło się na Węgrzech w 1956 i w Czechosłowacji w 1968 roku.**

**FRISZKE:** Kiedy rozmawialiśmy, także przy wódeczce, czy bez niej, to zawsze były rozmowy o polityce, o Polsce, o nadziejach i zagrożeniach.

**RATKOWSKI: Kwestionowany dziś dylemat „wejść, nie wejść” był stale obecny po jednej i po drugiej stronie. I to bez względu na to, jakie notatki kto robił na Kremlu, takie zagrożenie realnie istniało.**

**FRISZKE:** W całym myśleniu o Polsce kluczowe było pytanie, jak daleko się można posunąć, by nie doprowadzić do katastrofy, czyli inwazji na Polskę. To pytanie było centralne od sierpnia 80 roku. Borusewicz opowiadał o awanturach z jakimś Tadeuszem Szczudłowskim, który koniecznie chciał wpisać „wolne wybory” dodatkowo na listę 21 postulatów MKS. W powielarni wepchnął to do druku i trzeba było przygotowane do powielenia matryce listy postulatów zniszczyć. Konflikt z radykałami istniał zawsze, bo zawsze znajdą się ludzie myślący „zerojedyńkowo”, do tego naładowani emocją, niezdolni do analizowania złożonych sytuacji.

**CHUDZIŃSKI: A jak Pan widzi dzisiaj dobrodusznego starszego pana nawołującego do zgody, który nazywa się Kornel Morawiecki, to jak Pan reaguje?**

**FRISZKE:** Kornel Morawiecki w tamtym czasie był działaczem KOR-u we Wrocławiu, wydawał „Biuletyn Dolnośląski” i to nie było złe pismo. W Solidarności tego okresu był szeregowym delegatem na zjazd. Nie był członkiem Komisji Krajowej.

**CHUDZIŃSKI: Wałęsa powiedział niedawno, że go nie wpuszczal nawet za próg!**

**FRISZKE:** To już w stanie wojennym, kiedy zrobili rozłam. To był radykalizm i fronda przeciw Frasyniukowi i zasadniczy spór o metody walki. Frasyniuk i Solidarność mówiła – strajki tak, ale nie wolno wychodzić na ulicę, bo to grozi rozlewem krwi, nie zapanujemy nad tym, łatwo o prowokacje. Morawiecki i Solidarność Walcząca, która stała się organizacją rozłamową, akcentowała potrzebę wielkich demonstracji. Odrzucała też perspektywę powrotu do legalnej działalności przez porozumienie, na wzór sierpniowego, do czego stale nawoływała Solidarność podziemna.

Do Warszawy nie docierały zresztą żadne pisma czy druki Solidarności Walczącej, czasem usłyszałem coś o niej w Wolnej Europie, ale więcej o niej dowiedziałem się na dobrą sprawę dopiero w 1988 roku, kiedy wszyst-

ko zmierzało do Okrągłego Stołu. Zresztą przez jakiś czas, w latach 80., byłem za granicą...

**RATKOWSKI:** Pan też należy do tych, którzy „nie zostali internowani”? Nie ma Pan pretensji do Jaruzelskiego?

**FRISZKE:** Nie, nie mam. Może władza uznała, że taki inteligent, luźny elektron, nie jest groźny? Z „Tygodnika Solidarność” wzięli tylko cztery osoby i to chyba z innych paragrafów. Mazowieckiego, to chyba naturalne, Kuczyńskiego chyba z powodu Towarzystwa Kursów Naukowych, Janek Dworak był związany z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela, Małgosię Łukasiewicz za KOR i Wyszowskiego – no bo to współtwórca Wolnych Związków Zawodowych. W niemal całkowitym spokoju zostawili Ośrodek Prac Społeczno-Zawodowych prowadzony przez Wielowieyskiego. Może zostawili sobie pomost do prowadzenia ewentualnych rozmów?

Na wszelki wypadek przez jakiś czas nie spałem w domu. Pod koniec kwietnia zostałem zatrzymany, ale po 48 godzinach w areszcie zwolniony. Sytuacja się więc wyjaśniła. W następnych miesiącach napisałem książkę o grudniu 1970, którą wydał Giedroyc w Paryżu oraz dla podziemia obszerną broszurę o KORze. Obie rzeczy oczywiście pod pseudonimem, wyszły na początku 1983 roku. Po likwidacji redakcji „Tygodnika Solidarność” zostałem zatrudniony w „Więzi”, by redagować dział historyczny, co robię do tej pory. Tymczasem Bartoszewski, którego poznałem jeszcze w KIK-u, gdy tylko wyszedł z internowania, dostał nagrodę Herdera. Laureat tej nagrody ma prawo wskazać jakiegos stypendystę i on wskazał mnie. Pierwszy raz wyjeżdżałem więc na Zachód, ale oczywiście z początku dostałem odmowę. Po bojach, które oparły się o arcybiskupa Dąbrowskiego, dostałem paszport i w grudniu 1983 r. wyjechałem.

**RATKOWSKI:** Wtedy wielu ludzi z opozycji dostało paszporty, bo władza myślała, że może zostaną za granicą i będą mieć ich „z głowy”?

**FRISZKE:** Na stypendium w Wiedniu przebywałem kilka miesięcy, ucząc się niemieckiego i sporo czytając. Korespondowałem z Jerzym Giedroyciem, napisałem kilka komentarzy do Wolnej Europy, nawiązałem też kontakty z Jerzym Kulczyckim, który mnie zaprosił do Londynu. Tam poznałem Lidię Ciołkoszową, przywódczynię PPS. Po drodze byłem jeszcze w Paryżu w „Kulturze” u Giedroycia. W Londynie poznałem także Tadeusza Żenczykowskiego, Eugeniusza i Ninę Smolarów, później też prezydenta Edwarda Raczyńskiego i kolejnego prezydenta Kazimierza Sabbata. Przede wszystkim jednak robiłem badania archiwalne nad polityką polską w czasie II wojny światowej w Instytucie Sikorskiego, a najważniejszy był jednak kontakt z Ciołkoszową, szefową PPS i wiceprzewodniczącą Rady Narodowej. Gdy nabrała do mnie zaufania, mogła mi otworzyć każde drzwi, co stało się niezmiernie cennym uzupełnieniem tamtych moich, młodzieńczych znajomości i rozmów z ludźmi różnych nurtów politycznych.

To była osoba nadzwyczajnego serca i mądrości.

**ORDYŃSKI:** **Socialistka!**

**FRISZKE:** Tak, choć to nie znaczy, że wszyscy scjaliści są gołębiego serca! Traktowała mnie jak przyznanego wnuka, a ja ją jak własną babcie. To było niezmiernie bliskie. Gdy potem jeździłem do Londynu, to zawsze u niej mieszkalem. Otworzyła mi całe archiwum – proszę: szukaj, badaj, kseruj co chcesz, a to były dwie

ogromne szafy z dokumentami posegregowanymi wedle lat – od 1939 do 1978 r.

**CHUDZIŃSKI:** **Najcenniejsze materiały weszły do książki o Państwie Podziemnym?**

**FRISZKE:** Też. W 1989 w książce *O kształt niepodległej* opisałem stosunki międzypartyjne w Polsce podziemnej. Potem pisałem biografię Ciołkosza, który nie był członkiem rządu, ale w pewnym momencie był członkiem Komitetu Ministrów do spraw Kraju. Miałem więc w ręku protokoły posiedzeń, korespondencje z wszystkimi ważnymi osobami, projekty ustaw. Dziś to wszystko jest w Instytucie Sikorskiego i tam też są protokoły z posiedzeń władz emigracyjnych. Wyrobiłem sobie pogląd na to, co się w Londynie działo przez lata wojny i potem.

Jeździłem do Studium Polski Podziemnej, gdzie są dokumenty kurierów, raporty i inne materiały. Najpierw siedziałem w Londynie miesiąc, a potem jeździłem tam jeszcze kilka razy, co przyniosło efekt – publikacje, w tym oczywiście książkę o Ciołkoszu. Bez tych badań i bez pomocy pani Lidii nigdy bym się nie ośmielił wziąć za temat Życie polityczne emigracji.

**CHUDZIŃSKI:** **W opozycji już Pan był, za granicą też. Po 1989 roku ma Pan możliwość działać legalnie w III RP. Jest Pan profesorem PAN, wykładowcą w Collegium Civitas i na początku nowego wieku wiąże się Pan z instytucją, wokół której nie ustają najgorętsze w Polsce spory. A więc z IPN.**

**FRISZKE:** Jak się zmienił ustrój, miałem nadzieję zabrać się solidnie za publikacje naukowe. W 1990 roku powstał Instytut Studiów Politycznych PAN. Tworzyli go Edmund Wnuk-Lipiński i Andrzej Paczkowski, z którym działałem wcześniej. Zaproponował mi pracę. To oznaczało, że rezygnuję z udziału w polityce – odmówiłem np. Krzysztofowi Kozłowskiemu wejścia do Urzędu Ochrony Państwa, kiedy go budował. Pracowałem naukowo, zrobiłem doktorat, wydałem książkę o opozycji politycznej w PRL do 1980 r. oraz obroniłem habilitację, w której opisałem życie polityczne powojennej emigracji od 1945 do 1990 roku. To były bujne lata w polskiej historiografii, co dziś różni tacy chęcią zanegować. Wysokie standardy wyznaczała Krystyna Kersten swoimi książkami i innymi wypowiedziami. Badano głównie powojenne dziesięciolecie, ale też powstały książki Jerzego Eislera o 1968 i 1970, zespół Paczkowskiego badał mechanizmy władzy w latach 1948-70. Odbywały się znakomite konferencje, jak te poświęcone rokowi 1981 w Jachrance i 1989 r. w Miedzeszynie. Toczyły się bardzo ciekawe dyskusje na łamach prasy o naturze systemu PRL, zmianach, jakie w niej następowały.

W połowie lat 90. prof. Paczkowski z prof. Witoldem Kuleszą i prof. Rzeplińskim zaczęli projektować Instytut Pamięci Narodowej. IPN powstał w roku 1999. Pomysł był racjonalny, bo chodziło im o dwie rzeczy: po pierwsze – archiwa powinny wyjść ze struktur władz bezpieczeństwa i stać się dostępne dla badań naukowych. Tu jest uprawniony egoizm historyków, którzy chcą mieć nieskrępowany dostęp do źródeł. Bardzo cenię np. decyzję Aleksandra Kwaśniewskiego, bo to on zdecydował, żeby przekazać archiwum KC PZPR do Archiwum Akt Nowych. Wraz z powstaniem IPN jawne miały się stać materiały policji politycznej, która w tamtym systemie miała bardzo szerokie upewnienia i była ważnym organem władzy.

**ORDYŃSKI:** **Czy wywiady też?**

FRISZKE: Nie byłem wtedy tego pewien, ale tak! No bo jak badać życie emigracji bez materiałów wywiadu? To zawsze byłby obraz niepełny. Po drugie, wiele osób oczekiwało, że sprawiedliwości stanie się zadość. Otrzymanie statusu pokrzywdzonego okazało się dla nich bardzo ważne. Byli prześladowani, mieli złamane życie, należało im się co najmniej uznanie ze strony niepodległej Polski. No i lustracja, która już się toczyła od 1992 roku...

**CHUDZIŃSKI: Po pierwszym „występie” Macierewicza.**

FRISZKE: To zatrulo od razu normalność tego procesu. Cała operacja z 1992 roku mieszała wszystko ze wszystkim i nie było wiadomo, co jest prawdą, a co kłamstwem. Macierewicz mówił: „Oni byli zarejestrowani”, ale nikt nie wiedział, co to znaczy! To wszystko wymagało poważnych badań i studiów, żeby oddzielić ziarno od plew.

Trzecia rzecz to elementy rozliczeń w sensie prawnoprocesowym dotyczące niewątpliwych przestępstw, zbrodniarzy, ludzi, którzy poważnie naruszali prawo. To się zresztą działo, o czym nikt nie chce pamiętać, przed powstaniem IPN. Proces Humera, całej bandy ubeków od tortur z okresu stalinowskiego, toczył się w latach 90. Różni ludzie opowiadali o strasznych rzeczach, jakie się działy poza Warszawą. To musiało zostać poddane badaniom i one zostały zapoczątkowane, choć, jak oceniam, w niedostatecznym stopniu.

Słowem – te najważniejsze rozliczenia nastąpiły w latach 90.: proces Humera i innych, czy przypomnienie postaci prokuratora Zarakowskiego, badania nad Informacją Wojskową, ale też proces sądowy Kulika. Stalinowscy oprawcy, bo o takich mowa, w części już byli wcześniej skazani, albo nie dożyli procesów.

**ORDYŃSKI: Byłem przy tym, jak usiłowano pociągnąć do odpowiedzialności Zarakowskiego. Nie udało się. Umarł.**

FRISZKE: Skulbaszewskim i Wozniesieńskim zajął się Jerzy Poksiński w książkach *TUN. Tatar, Utnik, Nowicki*, opublikowanej w 1992 r., czy *Victis honos. Spisek w wojsku*. Michał Komar próbował też zrobić film o Skulbaszewskim i nawet dotarł do niego. Wspomnę jeszcze książkę Jacka Snopkiewicza o UB... To były bardzo ważne publikacje, o których dziś, w świetle współczesnej „narracji” czy wręcz kłamstw PiS-u, w ogóle się nie pamięta.

Powstanie IPN miało dać szansę zawodowym historykom na poważne badania na tym polu i taki był zamysł twórców instytutu.

**CHUDZIŃSKI: Czy jednak w tym zamyśle na pierwszym miejscu nie chodziło o to, żeby był to instrument „polityki historycznej”? Presji, rozliczeń, nacisku, kompromitacji ludzi niewygodnych. Może IPN temu miał głównie służyć w rozumieniu polityków?**

FRISZKE: Nie neguję, w części zapewne tak było, ale tacy ludzie w tamtej konfiguracji nie dominowali! IPN tworzyły trzy ugrupowania: Unia Wolności – Jan Lityński był aktywny przy tych pracach, AWS – Borusewicz, w tle eksperckim profesorem Witold Kulesza i Andrzej Rzepliński, politycznie powiązani z tym obozem...

**ORDYŃSKI: ... a Rzepliński był kiedyś I sekretarzem POP ...**

FRISZKE: Ale w instytucie naukowym, i kiedy? Nie bądzmy jak „oni”... Rzepliński był związany z Solidarnością, w stanie wojennym działał w Komitecie Helsińskim.

**RATKOWSKI: Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, ta licząca trzy miliony Polaków, za Gierka była głównie związkiem zawodowym inteligencji, czy doładniej mówiąc - biurokracji polskiej!**

FRISZKE: W świadomości historyka takie epizody jak ten, Rzeplińskiego, muszą istnieć, bo pozwalają zrozumieć rozmaite istotne procesy historyczne, ale nie mogą być narzędziem niszczenia ludzi używanym na potrzeby bieżącej polityki. Zresztą AWS też był bardzo różnicowany. Współpracowaliśmy na przykład dobrze z Andrzejem Grajewskim, prawnicowym, katolickim redaktorem „Gościa Niedzielnego”... Buzek też był przecież zupełnie „normalnym” człowiekiem... To więc nie była żadna skrajna prawica! Nie mogliśmy zakładać, że kiedyś ekstremiści w rodzaju Macierewicza wygrają. Trzeba sobie zresztą postawić pytanie, co by było, gdyby IPN nie powstał? Wszystkie akta znajdowałyby się w rękach MSW i korzystać z niego mogłaby tylko ABW każdej aktualnej władzy.

**CHUDZIŃSKI: A nie można było tych materiałów przekazać do Archiwum Akt Nowych?**

FRISZKE: Pamiętajmy jednak nigdy nie kończąca się dyskusję nad tym, co ma być tajne, a co jawne! Jestem przekonany, że ABW nigdy nie przekazałaby do Archiwum Akt Nowych całości materiałów...

**ORDYŃSKI: Tylko agentura wywiadu powinna zostać pod szczególną ochroną...**

FRISZKE: Chodziło o udostępnienie materiałów wszystkim, wedle czytelnich zasad. Szło o to, żeby jak ktoś powie mi, że są na mnie jakieś „zapisy”, to mogę pójść i sam sprawdzić.

**RATKOWSKI: Przepraszam! Zainteresowany nie miał do nich dostępu!**

FRISZKE: Na szczęście nowelizacja, dokonana za sprawą Arama Rybickiego, zniósła tę zasadę i każdy ma dziś dostęp do swoich papierów. Wcześniej zakładano, że taki „ubek” może mieć w swojej teczce informacje, które mogą służyć do szantażowania innych osób...

**RATKOWSKI: Coś nie wierzę. Raczej chodziło o ograniczenie możliwości obrony. Natomiast ochronie winny podlegać dokumenty akcji „Hiacynt” skierowane na środowisko homoseksualistów, czy jakieś podobne dotyczące spraw osobistych.**

FRISZKE: Ja nie wiem czy dokumenty akcji „Hiacynt” są w IPN. To była chyba akcja milicyjna, a akt milicji nie ma w IPN. Tak czy inaczej chodziło o przejrzystość. Inna rzecz, że kij ma dwa końce i ktoś może jak Kania z Targalskim tylko szukać w archiwach „haków”....

**CHUDZIŃSKI: Na „resortowe dzieci”?**

FRISZKE: Dokładnie. Kiedy ktoś ma taki pogląd na świat, że wszędzie wokół są „ubecy”, spiski i agentura, to może chcieć nawet z Frasyńki zrobić „agenta”, choć ani kawałka dokumentu na to nie ma.

**ORDYŃSKI: Ktoś w telewizji powie na przykład: Ordynski to agent. A jak zapytać „skąd to wie?”, to odpowie: „wiem, ale nie powiem”. To powszechnie stosowana i dopuszczana dziś przez tak zwane media publiczne metoda insynuacji!**

FRISZKE: IPN pozwolił na weryfikację takich oskarżeń i na przykład dało się zupełnie oczyścić Andrzeja Przewoźnika. Gdyby te papiery były w ABW, byłibyśmy skazani na jakieś resortowe oświadczenia.

**CHUDZIŃSKI: W jakimś momencie włącza się Pan w działalność tej instytucji jako członek Kolegium**

**IPN, ciała decydującego o wielu ważnych sprawach, mającego przecież wpływ na to, czym ten IPN w końcu się stał. A czym się stał, dopiero teraz widzimy!**

**RATKOWSKI: I oto na naszych oczach narzędzie do wypełniania „białych plam” zamienia się w narzędzie do budowania nowej, zmitologizowanej historii!**

FRISZKE: Początek instytutu to rok 1999, około 2000 powstają jego struktury, a dziś jesteśmy 18 lat później!

**RATKOWSKI: Pełnoletniość winna być tożsama z odpowiedzialnością, a tego nie widać!**

FRISZKE: Ustawodawca dał szerokie gwarancje, by prezes i generalnie władze instytutu były niezależne od bieżącej polityki, lecz, niestety, po drodze łamano te standardy.

**RATKOWSKI: A sam instytut, jak podejrzewam, gromadząc ludzi o określonych inklinacjach staje się rodzajem historycznej policji politycznej, w dodatku z własnymi interesami.**

FRISZKE: Niestety, IPN często staje się narzędziem agresji ze strony prawicy, która od początku usiłowała IPN zawłaszczyć. I tu socjologia mogłaby odpowiedzieć na pytanie, kto do tego instytutu szedł i dlaczego? Jak Paweł Machcewicz tworzył Biuro Edukacji Publicznej i zatrudniał pracowników, to brał ludzi stosunkowo młodych, przed doktoratem, po doktoracie i z nich budował kadre badawczą. Stamtąd wyszło bardzo wielu wybitnych historyków, którzy dziś nie mają wiele wspólnego z IPN. Wykonali tam ważną pracę, napisali bardzo ciekawe doktoraty, stworzyli jakieś zespoły. Wymieńmy kilka nazwisk: Rafał Wnuk, Janusz Marszałec, Grzegorz Motyka, Andrzej Żbikowski i Dariusz Libionka od spraw żydowskich, Sławomir Nowinowski z Łodzi... Takich ludzi jest sporo. Instytut stał się drogą awansu zawodowego dla wielu osób, gdyż uczelnie i PAN stały się miejscami, gdzie nie ma etatów i żadnego ruchu kadrowego. Dlatego dla młodych ludzi po studiach IPN był szansą.

**CHUDZIŃSKI: Ale mamy też Cenckiewicza, Żaryna i im podobnych...**

FRISZKE: Ale tego Pan nie uniknie w żaden sposób. Żaryn był pracownikiem Instytutu Historii PAN, tam jest do dziś jego podstawowe miejsce pracy i stamtąd przyszedł do IPN. Instytut nie ma nic do rzeczy, jeśli chodzi o jego poglądy. To kwestia charakteru i temperamentu. W IPN pracują do dziś ludzie o różnych poglądach. Problem polega na tym, w czyich rękach znajdzie się aktualne kierownictwo, na jakich ludzi postawi, jakie projekty akceptuje, jakie książki wydaje... Ale ogromna większość książek jest wartościowa, ostatnio wyszła bardzo ciekawa i moim zdaniem obiektywna biografia Aleksandra Zawadzkiego, czy wcześniej świetna biografia Romana Zambrowskiego.

**ORDYŃSKI: Ten tryb rozważań przypomina mi stosunek do ludzi w KC PZPR. Tam też byli „normalni” i „czarna sotnia”.**

**CHUDZIŃSKI: Sam Pan jest przykładem koniunktury i dekonunktury w IPN. Jak PiS dochodził do władzy, to Pana usuwano z władz instytutu i odwrotnie, jak władzę tracił – to Pana zapraszano. Obecnie znowu Pana tam nie ma. A poza wszystkim stworzono ogromną strukturę, prawdziwy kombinat...**

FRISZKE: To jest rzeczywiście szaleństwo gigantomanii. W początkach IPN pomyślany był bardzo logicznie: ma być pion prokuratorski, zajmujący się zbrodniami i na przykład Jedwabne opracowano bardzo porządnie,

mamy pion archiwalny, naukowo-badawczy... W początkach, jak mówił Andrzej Paczkowski, wszyscy myśleli, że ten pion będzie się zajmował historią bezpieki, czyli będzie badał akta... Z czasem, w rozumieniu prawicy, IPN miał stać się instytucją reżyserującą proces lustracji i w 2006 wrzucono tu pion lustracyjny, który był przedtem osobnym urzędem. Teraz wrzucono Radę Ochrony Pamięci i Męczeństwa, czyli administrację cmentarzy i pomników. Buduje się więc ministerstwo pamięci, superurząd, który przestał być funkcjonalny, bo nie da się zarządzać takim molochem...

**CHUDZIŃSKI: Który dziś formułuje nową politykę historyczną.**

FRISZKE: Ową politykę historyczną tworzy partia PiS i grupy wokół niej zgromadzone, IPN stał się narzędziem jej wdrażania. Tak jak z ostatnią ustawą o IPN, „godnościową”, to jest inicjatywa klubu PiS i kukizowców. Chociaż są w IPN niebezpieczeństwa, które stwarzają do tego podkład, gdyż IPN zajmuje się głównie archiwami bezpieki, a ona wyrastała okresami nawet ponad partię. Dziś coraz mniej ludzi wie, że była jakaś PZPR, która czymś zarządzała, a coraz liczniejsi sądzą, że rządziła bezpieka. To jest niebezpieczne, bo powoduje zmianę hierarchii ważności spraw. Przy czym akta bezpieki niekiedy rzeczywiście mogą sprawiać wrażenie, że to ona rządziła.

To prowadzi do przekonania, że spory polityczne w PRL to nie była walka idei, ani walka o władzę, o sposób rządzenia państwem, tylko walka złych ubeków komunistów z dobrymi Polakami. To jest niebezpieczne, bo i nieprawdziwe, i zawęża pole widzenia. A to zjawisko rozgrywa się w zmienionej sytuacji cywilizacyjnej. Polityka państwa PiS-owskiego to poszukiwanie prostych prawd, prostych podziałów akceptowanych przez prostych ludzi... Dziś jest to w ogromnej mierze ruch odolny, który oczywiście wchodzi w korelację z IPN-em, ale zaistniałby tak czy inaczej! Ruch bezrefleksyjnego czczenia „żołnierzy wyklętych” nie zaczął się w IPN, lecz grubo wcześniej niż PiS doszedł do władzy.

**CHUDZIŃSKI: Pan prezydent Komorowski miał w tym swój znaczący udział.**

FRISZKE: Zaczynało się to w latach 90. i był to ruch świadomie odrzucający historię jako obszar badań, refleksji, dyskusji, a traktujący ją jako miejsce czy sposób identyfikacji narodowej, „tożsamościowej”, ideologicznej, czczenia bohaterów... W całej tak zwanej polityce historycznej PiS nie chodzi o żadną prawdę, o odkrywanie czegokolwiek, o żadne badania. Tylko chodzi o wywoływanie silnych emocji, które budują więzi i identyfikację polityczną. Oczywiście IPN znalazł się w centrum tego nurtu, bo dawał oparcie dla badań nad podziemiem antykomunistycznym. Pierwsze książki na ten temat to były solidne prace historyczne Rafała Wnuka, czy Piotra Niwińskiego lub Sławomira Poleszaka, ale w okresie „wzmoczenia moralnego” takie solidne książki już nie powstają.

**CHUDZIŃSKI: To wszystko prawda i nikt nie chce dezawuować dorobku wielu ludzi, którzy pod szyldem IPN pracowali i publikowali. Chodzi o to, by zważyć na szali rzeczy pozytywne i zagrożenia. Jaki jest więc bilans?**

FRISZKE: Bardzo niebezpieczne jest to, że ta instytucja-moloch nie ma w tej chwili konkurentów. Polska Akademia Nauk czy uniwersytety mają znacznie mniej-

szy zakres działania i nie dysponują porównywalnymi pieniędzmi na badania. To powinno zostać zrewidowane. Z drugiej strony powstała instytucja, która może sobie pozwolić na drukowanie kosztownych książek naukowych i wydaje rzeczy naprawdę wartościowe. Kto inny wyda dziś książkę, która musi dużo kosztować? A przed szaleńcami nic nas nie zabezpieczy.

**RATKOWSKI: Nawet teoretycznie stabilny rząd czy Ministerstwo Obrony Narodowej?**

FRISZKE: Tak więc szukanie winy w IPN to trochę poszukiwanie kozła ofiarnego za pogłębiające się próby zideologizowania przeszłości, zideologizowania historii. Powstaje, co prawda, pytanie, dlaczego żadne hamulce tu nie działają? Dlaczego na przykład Andrzej Gwiazda, który siedział w Kolegium IPN i miał wszystkie możliwości weryfikacji swoich pomysłów, nadal mówi takie głupstwa? Jeśli miał podejrzenia o agenturalność wobec kogokolwiek, mógł pójść do czytelnicy, zamówić odpowiednie teczki i sprawdzić. Ale on tego nie robił, nie chciał robić, nie wierzy też historykom, tylko ze swoich obsesji wprowadza najcięższe oskarżenie, jakie sobie można wyobrazić – bo on wie lepiej! Na co mu dokumenty? Po co źródła? On „nie wierzy ubekom”. Nie jest w tym zresztą pierwszy, bo co zrobił w kampanii wyborczej Korwin-Mikke? Oświadczył, że przy Okrągłym Stole po stronie opozycyjnej to wszystko byli agenci! Zero podstaw, ale dzięki temu, że powstał IPN, można takie haniebne oskarżenia zweryfikować. Są szczegółowe dokumenty dotyczące inwigilacji Kuronia, Michnika, Geremka... wszystko można się dowiedzieć, ale oni nie chcą wiedzieć. Wolą pomówienia i oszczerstwa.

**CHUDZIŃSKI: Tę listę oskarżeń można ciągnąć. Takimi „metodami” pan pułkownik Miodowicz załatwił Cimoszewicza w kampanii prezydenckiej... Na Pana miejscu w Kolegium IPN jest teraz Wyszkowski...**

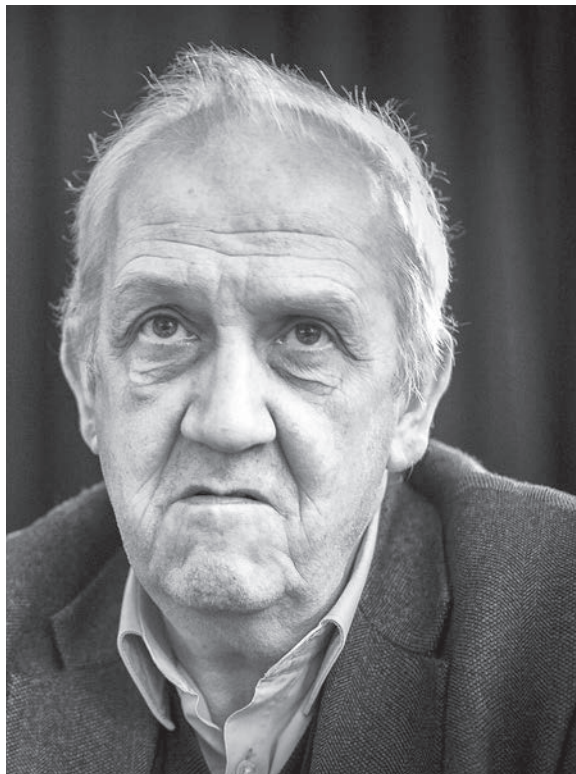
FRISZKE: Ale przed tym się pan nie zabezpieczy, gdy ministrami są różni co najmniej dziwni ludzie. W demokratycznym państwie nie ma mechanizmu, który spowoduje, że ktoś kto jest niegodny, nie zostanie wysunięty na ważne stanowisko przez większość parlamentarną!

**CHUDZIŃSKI: Gdyby była powołana z prawdziwego zdarzenia Rada Naukowa ...**

FRISZKE: Owszem. Był próg, że aby zostać członkiem Rady IPN trzeba mieć doktorat z historii. Przyjęto zasadę, że rady wydziałów historycznych dokonują swego rodzaju preselekcji... To wszystko było, ale większość parlamentarna PiS ustawę o IPN znowelizowała i można wybrać do kolegium pana Wyszkowskiego – stolarza. Nie robi pan instytucji, która uratuje kraj przed ideologicznymi ugrupowaniami, jeśli te dojdą do władzy. Mogą wszystko! Nawet nam wojnę z Izraelem zafundują!

**CHUDZIŃSKI: Ale krytycy IPN zawsze będą twierdzili, że błędy i nadużycia są większe niż korzyści i że gdyby z tego szerokiego wachlarza spraw, jakie zlecono IPN, przynajmniej część wykonywały istniejące już placówki badawcze, instytuty historii, Polska Akademia Nauk, to istniałaby szansa na konkurencję, wzajemną weryfikację poglądów i opracowań, i wielu nieszczęść można by było uniknąć.**

FRISZKE: Jeśli uda nam się wrócić do normalności, bo wcale nie jest powiedziane, że nam się to uda, to nie wystarczy zlikwidować IPN, nadal problemy pozostaną. I trzeba się będzie zastanowić, jak należy te liczne obo-



Fot. Krzysztof Żuczkowski

wiązki realizować. Pozostaną ogromne archiwa i zasady ich konserwowania i udostępniania. Jest grono badaczy, nieraz naprawdę świetnych. IPN organizował konferencje, spotkania, wystawy – bardzo solidne... Zauważa się zjawiska ekstremalne, jak wystawę *Twarze bezpieki*, która merytorycznie nie wносиła nic i tylko miała wyzwalać negatywne emocje, ale innych historycznych wystaw bardzo sensownych była zdecydowana większość.

**ORDYŃSKI: Wielkim testem dla IPN będzie teraz rocznica Marca '68.**

FRISZKE: IPN w wyniku „dobrej zmiany” stał się zakładnikiem PiS-u. W kierownictwie tej instytucji nie ma ani jednej osoby, która nie byłaby ściśle związana z tą partią. IPN jest przedłużaniem partyjnej polityki PiS, mamy więc do czynienia z gwałtem zadaniem tej instytucji w projektowanym kształcie. Przypomnę, że w Kolegium IPN na początku obecni byli przedstawiciele wszystkich opcji politycznych, którzy mieli zagwarantowane prawo wpływania na jego działalność. PiS przekształcił go w instytucję lansowania jednej partyjnej wizji państwa, partyjnej wizji polityki, partyjnej wizji czym jest naród polski i jego tradycja.

**CHUDZIŃSKI: Jest Pan autorem ponad dwudziestu książek z dziedziny najnowszej historii Polski. Które wydarzenia są dla Pana najważniejsze i wokół których koncentruje swoją uwagę?**

ORDYŃSKI: Ja dopytam o problemy, które Pana zdaniem powinny być badane w pierwszej kolejności i Pan sam zamierza je podjąć w bliskiej przyszłości?

FRISZKE: To trudno powiedzieć...

**CHUDZIŃSKI: ... ale, sądząc po publikacjach, jest to Marzec '68 ujmowany w szerokim kontekście, uwzględniającym bieżące wydarzenia, opozycja w PRL, polskie państwo podziemne oraz Solidarność i stan wojenny...**

FRISZKE: No tak, mnie interesuje taki oto proces, jeśli chodzi o historię powojenną: Polska nie odzyskała niepodległości w roku 1945, bo wówczas utraciła podmiotowość na arenie międzynarodowej, choć prawie wszystkie państwa świata i ONZ ją uznawały.

RATKOWSKI: **To stan porównywalny do Królestwa Polskiego po 1815 roku. W Wiedniu też „koncert mocarstw” zdecydował o naszym losie.**

FRISZKE: W pełni zgoda, użyłem gdzieś nawet takiego porównania w latach 90. To nie była, jak dziś mówią, „czarna dziura” absolutnie! Nie jest też prawdą, że procesy dziejące się w PZPR nie powinny nas w ogóle interesować, bo to wszystko rosyjska agentura. Nie. Tam się działy bardzo autentyczne spory, realizowano też ważne sprawy z punktu widzenia interesu narodowego, np. integrację Ziem Zachodnich z resztą Polski. Ale państwo miało rzeczywiście ograniczoną suwerenność. Niektórzy mówią „państwo satelickie”, ja bym zarezerwował tę nazwę do okresu 1944–1948, potem podległość była jeszcze ściślejsza, ale po Październiku’56 wyglądało to inaczej, bo był i „plan Rapackiego”, i porozumienie z Niemcami w sprawie granicy na Odrze i Nysie, niejako za plecami ZSRR. Od tego czasu trwa proces tarc między aparatem władzy, też zróżnicowanym, a różnymi grupami społecznymi, także Kościołem. I w wyniku tych tarc następuje ewolucja. Dlatego interesują mnie procesy ewolucji i zmiany w Polsce po ’56 roku i w latach następnych. W szczególności ciekawią mnie postawy, pomysły i zachowania konkretnych ludzi, które przyspieszały proces odzyskiwania przez Polskę podmiotowości i suwerenności społeczeństwa. Mielśmy odzyskać niepodległość, a przy tym zyskać dojrzałość, bo to jest konieczne w polityce. I gdy sięgam do pewnych wczesnych zjawisk, z tego punktu widzenia, to ważną dla mnie była praca nad książką *Miedzy wojną a więzieniem* – pokazałem młodych ludzi, którzy później będą znani jako uczestnicy działań opozycji. Jak zderzali się z sytuacją powojenną i jak próbowali ją wtedy definiować?

Interesują mnie komuniści i nikt na mnie nie wymusi jakichś radykalnych deklaracji w ich sprawie, gdyż wielu z nich się zmieniało, ich postawy ewoluowały. Różnie to wyglądało w konkretnych przypadkach.

CHUDZIŃSKI: **Jedna rzecz jest nie do zakwestionowania w peerelowskim systemie – on kształcił ludzi poniekąd na swoją zglębę! System, mimo że opresyjny, upodmiotowił tzw. masy ludowe, czego Solidarność była dowodem.**

ORDYŃSKI: **A KOR w dodatku robiły dzieci komunistów!**

FRISZKE: Jeśli mamy poważnie mówić o Polsce, to trzeba te fakty mocno podkreślać. Nie możemy stwarzać mitycznej rzeczywistości, przeżywać polskość na zasadzie obrażania się na wszystkich wokół i budowania fałszywych mitów.

RATKOWSKI: **Wychodzi z tego „nacjonalizm kibolski”, dziś wylewający się antysemicką falą na forach internetowych. Pojawiło się nawet haniebne, pozornie zapomniane przedwojenne określenie „żydki”!**

FRISZKE: Taka polityka historyczna, jaka dziś jest uprawiana, może doprowadzić do potwornych napięć, chaosu i w efekcie nawet upadku państwa. W kategoriach historyczno-politycznych, którymi ja się posługuję, nadrzędną rolę odgrywa państwo. Państwo – nie naród.

Stawianie na etniczną tożsamość, to zawracanie głowy, bo siłą narodu jest państwo i jego struktury. Praworządne, przejrzyste, służące wszystkim obywatelom. Widzę w tym ciągłość między refleksją przedwojenną, myśleniem ludzi związanych z rządem w Londynie, albo z państwem podziemnym w czasie wojny, naszą opozycją demokratyczną i opozycją solidarnościową. Myśmy nie planowali budowania nowego narodu. Planowaliśmy, owszem, rozwój kulturalny, regionalny, społeczny, ale to wszystko w ramach państwa! To struktury państwa winny stwarzać możliwość budowania oddolnych inicjatyw...

CHUDZIŃSKI: **Teraz wiem, skąd ta fascynacja siedemnastolatka – Piłsudskim. Na pierwszej stronie rządowej „Gazety Polskiej” widniało hasło: „Państwo prawem najwyższym”. To był fundament sanacyjnej ideologii „państwowotwórczej”. Oni wiedzieli, co mówią, gdy mieli 30 proc. mniejszości narodowych, a my dziś wracamy do XIX-wiecznych konstrukcji narodu, które stały się źródłem nacjonalizmów i fałszyzmów.**

FRISZKE: I to jest jądro problemu – czym mamy być? Narodem czy państwem? Narodem, który państwo sobie zawłaszczają, czy państwem budującym wspólnotę narodową – pluralistyczną, wielobarwną, wielokulturową, z różnymi wrażliwościami... Oczywiście, zawsze są ludzie bardziej konserwatywni, tradycjonalisci, klerykalni, ale są też postępowi, świeccy, kpiarscy i to też jest naród, a łączy ich państwo.

CHUDZIŃSKI: **Rodzi się pytanie: jakie historycy mają uprawnienia do badania historii, która dzieje się na naszych oczach – bez czasowego dystansu? Każda próba tworzenia historycznych ocen bez tego dystansu jest ogromnie ryzykowana. Prawicowe portale piszą o Panu: »Ulubiony autor „Gazety Wyborczej”«, a po *Anatomii buntu* – „nikt by tego lepiej nie napisał niż ten ich apologeta, który im wreszcie zajrzał do żydowskich papierów”. Na co się Pan naraża?**

FRISZKE: To prawda, ale każdy z nas jest jednocześnie obywatelem, a moje koleje życia spowodowały, że mam aktywny stosunek do tego, co się w Polsce dzieje. Nie siedzę na wyspie ani w wieży z kości słoniowej i mam swoje poglądy, zdecydowane nawet poglądy, oraz swoje sympatie. Natomiast w pełni uprawnione jest pytanie, w jakim zakresie historyk w swoich badaniach jest zdolny do zupełnego obiektywizmu? Nawet ci, którzy piszą o Napoleonie, przejawiają empatię albo nawet są zafascynowani tą postacią.

CHUDZIŃSKI: **Napoleonem może się fascynować Rzecki w *Lalce*, albo Mickiewicz w *Panu Tadeuszu*, ale historyk powinien zachować chłodny dystans.**

FRISZKE: Nie przeczę konieczności zachowania umiaru i dystansu, ale ja mówię o empatii. Nie da się pisać inaczej niż wyjaśniając czytelnikowi na podstawie źródeł „dlaczego on zrobił tak, a nie inaczej?”. Trzeba próbować zrozumieć wybory bohatera (tu w sensie aktora dziejów), choć można ustawić się w roli krytyka zachowań lub decyzji. To sprawa warsztatowa i gdy wkrótce minie dziesięć lat od chwili opublikowania mojej *Anatomii buntu*, mam prawo zapytać, czy ktoś znalazł źródła, które by podważyły jakiegokolwiek oceny czy analizy zawarte w tej książce? Ani w faktografii, ani w rekonstrukcji mechanizmu zdarzeń nikt dotąd nie był w stanie niczego zakwestionować. A jak ktoś „Żydów nie lubi”, to nic na to

nie poradzę. A że „Gazeta Wyborcza” mnie lubi? Może to wynika z mojego życiorysu, z moich związków z „Więzią”, KIK-iem, KOR-em i Solidarnością? Tak, ja wyrastam z tego ruchu!

**CHUDZIŃSKI:** Ale kiedy Modzelewski jest w telewizji pytany o najróżniejsze sprawy, wypowiada się jako osoba z takim a nie innym życiorysem, z takim a nie innym doświadczeniem życiowym, natomiast kiedy wypowiada się jako historyk średniowiecza, to jest uczniem francuskiej szkoły historycznej, mediewistą, a tam liczy się tylko to, co Pan tak wysoko ceni – warsztat historyka. Tymczasem historyk współczesności, a odnosi się to do wszystkich nauk społecznych, tkwi w układzie, który opisuje i nie może go ocenić z zewnątrz.

**FRISZKE:** To prawda. Ale to daje także pewne warsztatowe plusy, których historyk dawnych epok mieć nie może – dostęp do uczestników zdarzeń i często głębsze rozumienie źródeł pisanych z epoki. Jestem w stanie ocenić wiarygodność pewnych ocen, wiem, jak bardzo umowne znaczenie mogło mieć określenie „ze Związkiem Radzieckim na czele”, wiem, jakie zachowania były rytualne, a jakie dotyczyły meritum.

**ORDYŃSKI:** Biografia jest weryfikatorem?

**FRISZKE:** Nie, to za mocne określenie. Biografia ułatwia wczytywanie się w materiały, w rozumienie źródeł i gdy wchodzę w okresy, których nie przeżywałem osobiście, widzę, jaka to różnica. W książce *Między wojną a więzieniem* uchwycenie tego co czuli i co myśleli ci, których działalność opisywałem, było trudne, a jeszcze trudniej jest mi rozumieć tych, których działalność badam teraz – komunistów. A zamierzenie jest szerokie: od lat 30., przez wojnę i okupację do narodzin Polski Ludowej. To geneza PRL-u i głównie interesują mnie ci, którzy byli w Rosji. Werblan nazywa ich „zakonem KPP”.

**RATKOWSKI:** Taki Wolski?

**FRISZKE:** To straszna postać. W 1944 roku w Moskwie Centralne Biuro Komunistów Polski odmówiło mu weryfikacji członkowskiej, ale do Polski wrócił szybko i od razu został ministrem administracji, a wcześniej był szefem komisji do spraw repatriacji Polaków z ZSRR. To mówi samo za siebie.

**CHUDZIŃSKI:** W przeciwieństwie do krajów, w których elity kulturalne mocno angażowały się w komunizm w I połowie XX wieku, u nas to zjawisko ma skromniejsze rozmiary.

**RATKOWSKI:** A Jasiołki, futuryści, Grupa Krakowska, Grupa AR z Łodzi, Kobro, Strzebiński, Szczuka i cała wileńska paczka literatów z Putramentem i Miłoszem?

**FRISZKE:** Nie badałem tego, ale moja intuicja podpowiada mi, że to pokłosie rewolucji październikowej, a wcześniej doświadczenie bezprzykładnej rzezi I wojny światowej, burzenie dotychczasowego świata i budowanie czegoś nowego.

**CHUDZIŃSKI:** Z podobnych założeń – burzenia starego porządku – wyrósł także faszyzm.

**RATKOWSKI:** Różnica polegała na tym, że komunizm u swych źródeł głosił wolność i internacjonalizm, a faszyzm – prymat „narodu” i podporządkowanie jego interesom.

**FRISZKE:** To rzecz skomplikowana, bo gdy tworzymy po 1917 czy 1918 roku „nowy świat”, to w nim Polska jest z istoty rewolucyjna. Powstanie państwa,

którego dotąd nie było na mapie jest z istoty rzeczy – rewolucyjny!

**RATKOWSKI:** Polskę „robi” w listopadzie 1918 roku brygadier Roja – ludowiec i Daszyński – socjalista, w kontrze do mianowanej przez okupanta niemieckiego Rady Regencyjnej.

**FRISZKE:** I tu jest odpowiedź, dlaczego w Polsce komunizm był tak słaby, bo aby zostać komunistą, trzeba było powiedzieć, że światowa rewolucja jest ważniejsza niż państwo polskie, którego byliśmy spragnieni od 123 lat! We Francji można to sobie było wyobrazić, w Polsce to by oznaczało rezygnację z bycia podmiotem politycznym.

**CHUDZIŃSKI:** I jeszcze pytanie końcowe, którego historykowi nie powinno się zadawać, ale zaryzykuję – co z tą Polską będzie?

**FRISZKE:** Nie wiemy jak się potoczą losy świata. Polska nie jest jedynym krajem, który wdepnął w to, w co wdepnął. Jest Orban, Erdogan, brexit, mamy do czynienia z falą buntu przeciw liberalnemu kapitalizmowi, przeciw nowoczesnej cywilizacji, która ma swoje plusy i minusy. Rewolucja internetowa powoduje nie tylko zmiany w gospodarce, produkcji czy handlu, ale też rodzi inny sposób przeżywania kultury, inaczej objaśnia politykę i dylematy, przed którymi stoimy, upraszcza i akcentuje emocjonalny stosunek do wielu zjawisk. Powstaje poczucie zagubienia i atomizacji jednostek, a w reakcji emocjonalne ruchy populistyczne, które są destrukcyjne, ale mają duże zdolności mobilizacyjne. Rosja Putina jawnie głosi chęć odbudowania supermocarstwa, prowadzi dywersję wobec Zachodu i szybko się zbroi. Czy potrafimy się temu przeciwstawić? To są niewiadome, ku którym zmierza cywilizacja i od których wiele zależy.

Natomiast myśląc o Polsce, bo ona interesuje mnie najbardziej, jestem przerażony. Polska miała wielką, historyczną szansę i ją coraz wyraźniej porzuca. Szansę utrwalenia swojej niepodległości przez zintegrowanie się ze światem demokratycznym, światem zasad, praworządności i postępu „umiarkowanego w granicach prawa”, ale z tej drogi schodzi. Wykonuje różne ruchy, polityczne i ideologiczne, które ją skłócają z tym światem i to może spowodować, że wypadniemy z układu, który gwarantuje stabilność i bezpieczeństwo, i znajdziemy się na bezdrożach, po których poruszają się i polują niebezpieczne drapieżniki.

**CHUDZIŃSKI:** Jakby powiedział Kazimierz Kutcz: „idziemy tyłem do przodu”.

**FRISZKE:** Po 1989 roku wydawało się, że już jesteśmy na dobrej drodze do bezpieczeństwa i stabilnego rozwoju, a dziś stajemy znów wobec wielu niewiadomych... Za tym stoi ktoś, kto gra na najniższych instynktach, a emanuje z niego zazdrość, złośliwość i nie liczenie się z realiami. Mazowiecki lata temu stwierdził, że „Kaczyński robi rokosz przeciwko Polsce”.

**CHUDZIŃSKI:** A dziś rokowanie są przy władzy. Nie zdołaliśmy temu zapobiec...

Rozmawiali:

**EDWARD CHUDZIŃSKI**  
**JAN ORDYŃSKI**  
**FILIP RATKOWSKI**

EDWARD KAROLCZUK

# DOBIĆ WROGA. PIS W NATARCIU

W poszukiwaniu wrogów przez Prawo i Sprawiedliwość i zamiarze ich „dorżnięcia”, niektórzy skłonni są widzieć wynik założeń ideologicznych lub w najgorszym razie konsekwencję nieobycia towarzysko-politycznego i braku wychowania. W swej naiwności i antykomunistycznym zaślepieniu oskarżają nawet PiS o „bolszewizm”, czyli rosyjski komunizm. Tymczasem wydaje się, że poszukiwanie wrogów bardziej niż wynikiem założeń ideologicznych jest spowodowane sprzecznościami interesów wewnątrz samego PiS-u i obranego przez niego sposobu sprawowania władzy.

Jeśli przyjrzymy się historii najnowszej, to problem wystąpił już w okresie pierwszych rządów solidarnościowych. Upadek „komuny” i formalne rozpoczęcie kapitalistycznej transformacji we wszystkich dziedzinach życia społecznego pokazały, że siły społeczne i polityczne, które złożyły się na powstanie pierwszej „Solidarności” nastawione były bardziej na konfrontację z upadłym systemem niż na rozważne i spokojne budowanie nowego. „Dopóki można było utrzymywać, że zwalczają się totalitarny reżim, stereotypy te owiewały wolnościowy zapach, a ich retoryka zdawała się służyć wymierzaniu sprawiedliwości dziejowej. Ale gdy »totalitarny reżim« zniknął, a właściwie sam postanowił ustąpić, retoryka antykomunistyczna zaczęła ujawniać swe bardzo płytkie pokłady myślowe. Obiekt łatwych ataków odszedł w przeszłość i przyszła pora wylegitymizowania się pozytywnymi propozycjami urzędzenia życia, a w tym zakresie prawica dysponowała jedynie bardzo zatęchłą starzyzną. Koniec »reżimu« był zarazem kresem legendy wybawicieli, bo poza rolą czysto niszczycielską nie mieli nic do zaoferowania”<sup>1</sup>.

W czym ówczesne elity upatrywały źródło swojej siły ekonomicznej i budowy wpływów politycznych? Otóż widziały je z jednej strony w rozbijaniu gospodarki państwowej pod hasłami, że była „niczyja”, „zacošana i nisko wydajna”, a one miały teraz wybawić ją z kłopotów. Zlikwidowano największe skupiska klasy robotniczej, posyłając kilka milionów ludzi na bezrobocie i wcześniejsze emerytury. Sprywatyzowano i rozkradziono w majestacie pośpiesznie tworzonego prawa najlepsze przedsiębiorstwa, przy której prywatyzacja i grabież kamienic w Warszawie i innych miastach jest tylko niewielkim epizodem. A z drugiej strony, aby ratować słabnącą pozycję w wyniku niedotrzymania obietnic złożonych klasie robotniczej (np. emerytury od 55 roku życia, płacenia za strajki jak za urlopy, itd., itp.), zaczęto lansować skarykatyzowany do monstrualnych rozmiarów obraz nagromadzonego w poprzednim ustroju zła, jak i stawianego temu złu oporu przez antysocjalistyczną opozycję. Poprzedni ustrój urósł do miana „komunizmu” i „totalitaryzmu”, chociaż jeszcze w czasie podpisywania porozumień gdańskich na ścia-

nie w stoczniowej Sali BHP wisało hasło: „Socjalizm – tak, wypaczenia – nie”. Później o tym hasle nikt już nie wspominał.

Andrzej Wasilewski przyznał po latach, że ekipa Jaruzelskiego wbrew deklaracjom nie miała zamiaru bronić ówczesnego „socjalizmu”. A ekipy solidarnościowe nie mogły nawet powiedzieć, że „upadł pod brzemieniem własnych błędów – wszedł bowiem właśnie na drogę przekształceń i w innej sytuacji międzynarodowej, przy mniej drastycznych dysproporcjach gospodarczych, zdołałby zapewne ocalić coś ze swoich rozwiązań. System został poddany przez własną elitę, która chciała go dogłębnie zreformować i szukała dla tego celu partnerów na zewnątrz. Wyobrażała sobie, że skoro sama dojrzała do rozwiązań w duchu zachodniej socjaldemokracji, to zwalczające ją dotąd żywioły opozycyjne zaakceptują reguły kompromisowych przekształceń. Wymyśliła więc pakt Okrągłego Stołu, który był rodzajem oświeceniowej utopii, zakładającej rozwiązywanie konfliktów przez zdroworozsądkowy rozum”<sup>2</sup>.

Ale zaraz po sukcesie opozycji w wyborach w 1989 roku okazało się, że „nie będzie żadnego »historycznego kompromisu«, ale fanatyczna rozprawa z poddanym systemem. Wczorajsi inicjatorzy »okrągłego stołu« nie mieli być więcej partnerami do rozmów, ale ludźmi zaznajomymi doli pokonanych. Mieli być odąd trzymani w karchach poniżenia tak, aby wszelka myśl o obligacjach z zawartej ugody wydawała się nie na miejscu”<sup>3</sup>. „Im usilniej przedstawiciele poprzedniego systemu byli prezentowani w odrażającym świetle, tym swobodniej można było sobie poczynić z przekazywaną przez nich masą spadkową. [...] Dawała się już nawet spostrzec prawidłowość, że kolejnemu obcinaniu socjalnych zdobyczy towarzyszyła z reguły wzmocniona nagonka na kontrahentów zawartego paktu, a te napaści na »kontrakt« mogły być sygnałem, że dokonywana jest manipulacja wobec społeczeństwa”<sup>4</sup>.

Nowe władze aby zapewnić nieodwracalność dokonywanej kapitalistycznej transformacji uznały za stosowne nie tylko obalenie własności państwowej, ale również gospodarcze poddanie kraju zależności od kapitału międzynarodowego i realizujących jego politykę państw, z wciągnięciem Polski do NATO i Unii Europejskiej łącznie. Wydawało się, że sprawy zostały poukładane i kapitalizm z „niewidzialną ręką rynku” może rozwijać się spokojnie. Przed ewentualnymi konfliktami i powrotem „socjalizmu” zabezpieczono się również pod względem prawnym. W Konstytucji z 1997 roku już zrównano socjalizm z komunizmem, a komunizm z nazizmem i faszyzmem w formule „totalitarne metody i praktyki” i zakazano jego propagowania. A pod taką Konstytucją podpisał się wywodzący się z PZPR Sojusz Lewicy Demokratycznej i jego prezydent Aleksander Kwaśniewski.



Ale wbrew szumnym zapowiedziom neoliberalizm i globalizacja nie uczyniły z Ziemi „globalnej wioski”, lecz zaowocowały pojawieniem się nowych sprzeczności i zaostreniem starych oraz wzrostem konfliktów na tle narodowym. Platforma Obywatelska, będąca zwolenniczką szeroko rozumianego neoliberalizmu i włączenia Polski w struktury międzynarodowe, po ośmiu latach rządów przegrała wybory parlamentarne i prezydenckie. Do władzy doszło Prawo i Sprawiedliwość. Musiało ono wygasić najbardziej narosłe sprzeczności, aby nie doszło do wybuchu groźnego dla kapitalizmu konfliktu społecznego. Stąd wzięły się programy 500+, *mieszkanie+*, leki dla seniora, repolonizacja banków i demonopolizacja mediów (telewizja, prasa, radio) z pozoru tylko sprzeczne z celami dotychczasowej polityki Platformy Obywatelskiej.

Dlatego pociągnięcia te nie zmieniają w niczym istoty kapitalizmu, co więcej służą jego obronie. Są zatem niejako tylko korektą polityki Platformy Obywatelskiej, która nie była przygotowana na antydemokratyczne wyjście z ewentualnego konfliktu społecznego, chociaż jej państwo i tak spełniało cechy państwa stanu wyjątkowego. Natomiast Prawo i Sprawiedliwość w sposób jawny wprowadza antydemokratyczne i antykonstytucyjne rozwiązania, które już dzisiaj, nawet w ocenie biskupa Tadeusza Pieronka, łamią Konstytucję przyjętą w powszechnym referendum i są zbrodnią przeciwko narodowi i faktyczną dyktaturą<sup>5</sup>. Wydaje się, że teraz pisowskie państwo z wszechwładzą Jarosława Kaczyńskiego, wspomaganego przez Zbigniewa Ziobro (przywołanego do porządku syna marnotrawnego) i przez dłuższy czas Antoniego Macierewicza (o kwestionowanych przez niektórych predyspozycjach psychicznych do sprawowania jakichkolwiek urzędów i dlatego szkodliwego dla „wizerunku” PiS), i z dodatkowo rozbudowanym ustawodawstwem antyterrorystycznym i inwigilacyjnym, jest przygotowane na najgorsze...

PiS uzyskał narzędzia państwowe do realizacji głoszonej nie od dziś polityki poszukiwania i zwalczania wrogów. Uważa siebie za jedyne gwaranta trwałości gospodarki kapitalistycznej. Misję swą ukrywa pod maską obrońcy rodziny, pozycji religii i Kościoła katolickiego, ojczyzny, tradycji narodowych i honoru. Jest to ugrupowanie polityczne ostentacyjnie niepodległościowe, a jednocześnie antyeuropejskie i uzależnione od wspomagających je Stanów Zjednoczonych. Pozornie niezależne, ale faktycznie włączone w strategiczne plany Waszyngtonu – stąd kontynuowana jest prowadzona już przez PO dywersyfikacja zaopatrzenia w paliwa, wysoki budżet zbrojeniowy, antyunijna koncepcja „międzymorza”...

PiS chce uczynić z Polski „przedmurze Europy”, chociaż koncepcja taka skompromitowała się już w roku 1939. Antyrosyjskość wkomponowana w plany Waszyngtonu widoczna jest na każdym kroku – od sprowadzenia wojsk amerykańskich do Polski, poprzez zakup rakiety *Patriot*, wyznaczanie doradców Macierewicza, unieważnianie i zawieranie nowych kontraktów zbrojeniowych, a na decyzji o przekopaniu Mierzei Wiślanej kończąc, która jest bardziej istotna ze względów militarnych NATO niż gospodarczych dla Polski. PiS przeforsował w wyborach uzupełniających do senatu córkę generała Władysława Andersa – Annę Marię Anders, która z mężem pracowała na rzecz piątego co

do wielkości koncernu zbrojeniowego Raytheon Company, i nieprzypadkowo w swym programie zawarła utworzenie bazy NATO w Polsce. Na stałe w Polsce nie mieszka, ma obywatelstwo angielskie, amerykańskie, a dopiero od 2014 roku polskie. Sympatyzowała wcześniej z PO. W PiS-owskim rządzie Beaty Szydło na krótko została przewodniczącą Rady Ochrony Pamięci Walki i Męczeństwa oraz objęła stanowisko pełnomocnika Rady Ministrów do spraw dialogu międzynarodowego w randze sekretarza stanu.

Tak jak pierwsze rządy postsolidarnościowe były wyniesione przez protesty klasy robotniczej i w „podzięce” za to jak na ironię dążyły do dominacji klasy średniej i porządków kapitalistycznych, tak rządy PiS-u dążą do ostatecznego uwolnienia się od tej pępowiny i lansują znaną z czasów Edwarda Gierka koncepcję moralno-politycznej jedności narodu, tyle tylko, że nie pod hasłami socjalizmu, ale religijno-nacjonalistycznymi, antyunijnymi i antyrosyjskimi. Tak jak Platforma Obywatelska lansowała tradycję państwa podziemnego z czasów II wojny światowej, to PiS podniósł do rangi narodowych wartości „żołnierzy wyklętych”, próbujących walczyć po tej wojnie, i przeciwstawił ich tradycji Armii Krajowej. Tych, którzy podpisali porozumienie Okrągłego stołu PiS okrzyknął zdrajcami, rozbił legendę Lecha Wałęsy, a na jej miejsce zaferował legendę niezłomnych braci Kaczyńskich...

PiS swój sukces wyborczy zawdzięcza w znacznym stopniu prawdopodobnie doradcom amerykańskim lub wykształconym na amerykańskich uczelniach. W kolejnych wyborach spotkania ze swoimi „wyborcami” wspomaga opłacanymi spotami wyborczymi, które emitowane są zgodnie z zasadami goebbelsowskiej propagandy, że „kłamstwo powtórzone sto razy staje się prawdą”. Wszak wróg, aby zwycięstwo nad nim było absolutne i pewne, musi być przekonany o swojej „winie”. „W procesach o czary nie tylko konstruuje się obraz wroga, a ofiara nie tylko przyznaje się nawet do tego, czego nie zrobiła, lecz w końcu sama jest już o tym przekonana ... podobnie w procesach stalinowskich”<sup>6</sup>.

Do sukcesu wyborczego PiS-u przyczyniła się także Rosja, która katastrofę smoleńską wykorzystywała do destabilizacji Polski i osłabienia jej związków z Unią Europejską, a tym samym do osłabienia pozycji Platformy Obywatelskiej i wzrostu pozycji Prawa i Sprawiedliwości. Trzeba przyznać, że tylko PiS do odegrania tej roli się nadawał...

Platforma Obywatelska po objęciu władzy w 2007 roku próbowała rozprawić się z PiS-em. Powołano nawet komisję pod kierownictwem Julii Pitery (z zawodu dyplomowanej dokumentalistki), która miała zbierać stosowne „haki” na funkcjonowanie Centralnego Biura Antykorupcyjnego (CBA), przedstawianego jako policja polityczna PiS-u. Niestety PO nie zrealizowała swoich deklaracji czy to w wyniku dogadania się z PiS-em (bo niektóre fragmenty jej raportu zostały utajnione), czy to braku odpowiednich dowodów, czy to nieudolności samej Julii Pitery, niestety, tego nie wiemy. Teraz zapewne gorzko tego żałuje...

PiS gromadzi w swoich szeregach bardzo sprzeczne żywioły. Uznał jednak, że obrona kapitalizmu warta jest wszystkiego, nawet pograżenia swoich dotychczasowych sojuszników. Mało kto już dziś pamięta, że po wyborach w 2007 roku miała powstać koalicja PO i PiS,

co dowodziło ich daleko idącej zbieżności programowej. Koalicja nie powstała, a obecnie Jarosław Kaczyński i jego ekipa stawiają tak ciężkie zarzuty politykom PO, aby nikt nie miał podobnych wspomnień. W ramach narodowo-ojczyźnianego elektoratu PiS znalazły się masy emerytów i rencistów poszkodowanych przez kapitalistyczną transformację i kapitał międzynarodowy, drobnych chłopów, liczne szeregi starszych ale i młodych ludzi, którzy wobec minimalnego przyrostu nowych miejsc pracy nie mają szans na zatrudnienie, tym bardziej że osoby w wieku emerytalnym zachęca się do późniejszego przejścia na emeryturę. Osoby starsze pamiętają rozwiązania stosowane w okresie PRL-u, a PiS chętnie je stosuje, bo one nie zmieniają istoty kapitalizmu. Największą grupę wśród elektoratu PiS-u stanowią osoby z podstawowym i gimnazjalnym wykształceniem, których wiedza i wyobraźnia pozwala zrozumieć jedynie proste rozwiązania. Nad wszystkimi niezadowolonymi i poszkodowanymi przez „wolną rękę rynku” pieczę sprawują ci, którzy zdążyli zadomowić się w nowych warunkach, ale chcieliby więcej... Te sprzeczne żywioły PiS może pogodzić i utrzymać kapitalistyczny kierunek rozwoju, tylko posługując się ideologią wroga i kozła ofiarnego. Metoda jest tak stara, jak stara jest polityka. Już Umberto Eco zauważył, że „Posiadanie wroga jest ważne nie tylko w procesie określania naszej tożsamości, ale również do zapewnienia sobie przeszkody, wobec której moglibyśmy utwalić nasz system wartości i w konfrontacji z nią pokazać, ile jesteśmy wari. Dlatego gdy wroga nie ma, koniecznie trzeba go stworzyć”<sup>7</sup>.

Różnice pomiędzy PiS i PO są obecnie wyolbrzymiane. Jerzy Kochan przy okazji ostatniej kampanii wyborczej, wskazując na podobieństwa i tożsamości obu partii pisał,<sup>8</sup> że PiS jak i PO są klerykalne i antyaborcyjne, są za obecnością religii w szkołach i za finansowym wspieraniem Kościoła katolickiego z budżetu państwa, za klerykalizacją przestrzeni publicznej, uroczystości państwowych, wojska, policji, szkół, przedszkoli i żłobków... a także życia kulturalnego i naukowego. Jego zdaniem obie partie w swych politycznych działaniach utrzymują degradujące cywilizacyjnie Polskę nakłady finansowe na naukę, kulturę i służbę zdrowia. Poprzez swoją politykę komercjalizacji i prywatyzacji w dziedzinie ochrony zdrowia niszczą stan pielęgniarski i stworzony w Polsce Ludowej bezpłatny system opieki zdrowotnej. Prezydent Komorowski nobilitował żołnierzy „wyklętych”, a PiS uczynił z nich swoją ikonę. W jego ocenie celem obu partii jest militaryzacja Polski. Dla przeforsowania swych wizji obie partie rozpętują rusofobiczne historie, prowadzą na wschodzie awanturniczą „politykę jagiellońską”, wplątują nasz kraj w konflikty i wywołują napięcia międzynarodowe. Wspierają tajne operacje Gromu i innych jednostek specjalnych, które przeprowadzane są poza jakąkolwiek kontrolą i wiedzą opinii publicznej. Wymuszają przezbieranie polskiej armii i przystosowanie jej do militarystycznej i imperialistycznej polityki USA. Prowadzą zgodną politykę wobec związków zawodowych, traktując związki zawodowe jako listek figowy dla swoich antypracowniczych działań.

Oczywistym potwierdzeniem pełnej zgodności programowej i politycznej PiS i PO są również według Jerzego Kochana przepływy kadrowe między obiema

partiami. Radosław Sikorski był ministrem kluczowych resortów w rządzie PiS i PO (równie dobrze nadawał się na ministra obrony narodowej, jak i spraw zagranicznych, chociaż nie miał żadnych kwalifikacji ani doświadczeń do ich zajmowania). Michał Kamiński był rzecznikiem prasowym prezydenta Lecha Kaczyńskiego, a później został sekretarzem stanu w rządzie Ewy Kopacz. Joanna Kluzik-Rostkowska była ministrem w rządzie Jarosława Kaczyńskiego, a później ministrem w rządach Donalda Tuska i Ewy Kopacz. Jarosław Gowin, najpierw szefował całej frakcji w PO i konkurował do prezesowania w PO z Donaldem Tuskiem oraz był ministrem sprawiedliwości w rządzie Platformy Obywatelskiej, a później został ministrem nauki i szkolnictwa wyższego w rządzie Beaty Szydło, kiedy Prawo i Sprawiedliwość wygrało wybory oraz w rządzie Mateusza Morawieckiego. Mateusz Morawiecki wchodził w skład Rady Gospodarczej przy premierze Donaldzie Tusku, za rządów PiS-u został wicepremierem, a później najbogatszym w historii po 1989 – premierem<sup>9</sup>. Przykłady można mnożyć...

PO i PiS więcej łączy niż dzieli, a to, co ich łączy, jest bardziej istotne – obie partie instrumentalnie posługują się elementami populizmu – przy faktycznej pogardzie dla mas. Programowa wrogość PiS i PO jest pozorna, bardziej wynika z przyczyn taktycznych i ambicjonalnych niż ekonomicznych i politycznych.

PO i PiS są antykomunistyczne. Tyle tylko, że PiS okazuje się bardziej konsekwentny w zwalczaniu komunizmu, wszelkich jego pozostałości i symboli. PiS-owi do antykomunizmu fizyczni komuniści nie są potrzebni. Komunizm potrzebny do antykomunizmu jest jedynie pewnym projektem, wyobrażeniem ideologicznym, niezbędnym do sprawowania władzy. Może bowiem istnieć antykomunizm bez komunistów, tak jak może istnieć antysemityzm bez Żydów.

Platforma Obywatelska była prounijna i proniemiecka. PiS jest antyunijny i antyniemiecki, musi być antyniemiecki, ponieważ Niemcy są istotnym filarem Unii Europejskiej, a to nie odpowiada imperialnym planom USA. Obie partie są antyrosyjskie, przy czym PO próbowało unormować stosunki z Rosją, nawet reaktywowano działalność Polsko-Rosyjskiej Komisji ds. Trudnych, PiS natomiast doprowadził do zaniechania jej praktycznej działalności. Stosunki PiS z Rosją są w dużym stopniu pokłosiem stosunków amerykańsko-rosyjskich, dlatego PiS nie może zrobić nic innego w tej sprawie, niż życzyć sobie Amerykanie...

PiS podjął decyzję o budowie Centralnego Portu Komunikacyjnego Solidarność (lotnisko) w miejscowości Stanisławów w gminie Baranów, który ma przejąć cywilną komunikację z lotniska na Okęciu, a lotnisko na Okęciu ma zostać przekazane na potrzeby obronności<sup>10</sup>, aby utworzyć przy nim bazę NATO.

PiS umiejscawia komunizm w okresie PRL-u. I tu jest grzech pierworodny jego rozumowania, bo w PRL nie było zbudowanego komunizmu, lecz co najwyżej kapitalizm państwowy. Poszukiwanie komunizmu w PRL przypomina więc to uganianie się za diabłem, którego nikt nie widział na własne oczy i nie potrafi wiarygodnie go opisać. Ale jak wiadomo nie przeszkadzało to Kościołowi katolickiemu organizować polowania na czarownice, rzekomo utrzymujące stosunki z diabłem i realizujące szkodliwe dla ludzi jego polecenia, oraz na oczach wszystkich palić je na stosach...

Pojmowanie wroga przez PiS przypomina definicję oraz rolę i znaczenie diabła w religiach, zaproponowaną przez Paula Triery d'Holbacha w *Teologii kieszonkowej*, w której stwierdził, że diabeł to „główny minister dworu niebieskiego, dźwignia uruchamiająca Kościół. Wyrzekłszy jedno słowo, Bóg mógłby go wtrącić w otchłań niebytu, lecz wystrzega się przed uczynieniem tego: diabeł jest Bogu bardzo potrzebny, bowiem może na niego zwałąć odpowiedzialność za wszystkie głupoty, o które mogliby obwiniać jego samego. Dlatego też pozostawia go w spokoju i cierpliwie toleruje wszystkie jego wybryki w stosunku do swej małżonki, do swych dzieci i niego samego. Bóg nie może się obejść bez diabła, bojaźń Boga często nie jest niczym innym, jak lękiem przed diabłem. Jeśli nie byłoby diabła, wielu pobożnych ludzi nie pomyślałoby nigdy o Bogu ani o jego duchowieństwie” (Paul Triery d'Holbach, *Teologia kieszonkowa*, materiał powielony, tłumaczenie Jarosław Ładosz). PiS mógłby potraktować komunistycznego diabła tak, jak wielu rozsądnych ludzi, czyli rzecz nieistniejącą, ale zrobić tego nie chce, ani nie może.

Każda epoka ma swoje wyobrażenie diabła, którym odmawia się człowieczeństwa. Tak samo jest z PiS-em. Wrogowie pojawiają się więc niczym upiory, a ponieważ nie istnieją w rzeczywistości, mogą być odkrywane tylko przez ludzi o specjalnych „kwalifikacjach”. Siedliskiem takich specjalistów nie jest jak dawniej Inkwizycja lecz Instytut Pamięci Narodowej. Upiory – pisał d'Holbach z ironią – to „wspaniałe przewidzenia, nawiedzające tych, których Bóg w geście szczególnego dobrodziejstwa obdarzył chorym rozsądkiem, skłonnością do hipochondrii, [...] i umiejętnością bezwstydnego łgarstwa”.

Przypisanie komuś roli „diabła” lub „upiora”, sprawia, że przy nieokreślonej do końca roli odpowiedzialność jego za wszelkie zło urasta do monstualnych rozmiarów, zaś jego niszczenie zasługuje na zbawienie wieczne. Ponieważ wróg jest diaboliczny zmienia on swoją postać i urasta do ogromnych rozmiarów i ilości, można było wyprodukować taką ilość broni, która pozwala zabić każdego mieszkańca Ziemi kilka razy.

Uosobieniem tego głównego wroga są dla PiS-u PRL-owscy funkcjonariusze służb państwowych, zwłaszcza Służby Bezpieczeństwa (SB) i jest ich bardzo łatwo zidentyfikować i wyodrębnić ze wspólnoty narodowej, wszak ankiety personalne nie kłamią. Sugestia, że wszyscy funkcjonariusze SB to komuniści, jest nadużyciem i nie wytrzymuje krytyki. Aby ratować budżet można było nawet bez protestów społecznych obniżyć im emerytury przy złamaniu zasad prawa. Ale szczególnym wrogiem są tajni współpracownicy SB znajdujący się we własnych szeregach i grupowaniach sojusznicy. Większość z tych „diabolicznych wrogów” siedziała nawet cicho i wierzyła, że świat polityki o ich przeszłości sprzed kilkudziesięciu lat zapomnieli. Niestety mylili się. Ujawniła się przy tym pewna prawidłowość, że im dalej jest od „realnego socjalizmu”, tym wrogów przybywa, a ich wpływy stają się rzekomo coraz bardziej zgubne dla budowy kapitalistycznej rzeczywistości. Podobnie, choć uzasadnienie przedstawiono zupełnie inne, było za Stalina, im dalej od rewolucji październikowej, tym wrogowie mnożyli się coraz bardziej...

Umberto Eco wskazywał, że wyznaczanie wrogów nie jest przypadkowe – „Jednakże od samego początku na nieprzyjaciół wybiera się nie tych, którzy

bezpośrednio nas atakują (jak w wypadku barbarzyńców), ile raczej tych, których komuś opłaca się ukazać nam jako zagrożenie, nawet gdyby byli dla nas całkowicie niegroźni”<sup>11</sup>. Wróg musi być brzydki, ponieważ to co piękne kojarzy się z dobrem. Dlatego Jarosław Kaczyński każe pozamykać posłom opozycji ich „zdradzieckie mordy”. A ponieważ wróg musi być zdolny do najbardziej niegodziwych działań, obciąża swoich krytyków zamordowaniem swego „świętej pamięci brata” i określa ich „kanaliami”, chociaż można przypuszczać, że zginął pociągając za sobą wielu innych, na własne życzenie... Ale lepiej przypisać to swoim wrogom. W Smoleńsku musiał więc być zamach przeciwko samolotowi z prezydentem na pokładzie. Nie wiadomo tylko, jak i kiedy wrogowie mieliby to zorganizować, ale to tylko przemawia na ich niekorzyść, bo są wyjątkowo podstępni, niebezpieczni i dobrze zorganizowani... Wrogowie muszą być odhumanizowani, sprowadzeni do rzeczy. Dlatego wrogowie Jarosława Kaczyńskiego są „drugiego sortu”, jak przecenione towary w sklepie, a Antoni Macierewicz będzie czuł jak do tej pory nad stwarzaniem i podtrzymywaniem smoleńskich bzdur, po tym jak przestał być ministrem obrony narodowej...

Czy PiS bez wroga może istnieć? Nie. Dla PiS-u zrzeszającego bardzo sprzeczne żywioły społeczne i chorego na trzymanie się u władzy, posiadanie wroga to być albo – nie być. PiS przy kontynuacji obecnej prokapitalistycznej polityki, bez wroga nie może istnieć. Jej kontynuacja doprowadzi do kolejnego zaostrzenia sprzeczności społecznych i nie pomoże mu program osłony dla najbardziej poszkodowanych przez system, jeśli będą przybywali nowi niezadowoleni. PiS jest jednak gotowy do utrzymania władzy wszelkimi, także pozakonstytucyjnymi i pozaprawnymi metodami. Stara się przygotować społeczeństwo do tego i rozpoczyna psu na budę wartości analizy, że władzę utrzyma do 2030 roku... nie wspomina tylko w jaki sposób i kosztem ilu wymagowanych wrogów...

## EDWARD KAROLCZUK

- 1 Andrzej Wasilewski, *Polski wariant od AK do KC*, Polska Oficyna Wydawnicza „BGW”, Warszawa 1992, s. 138.
- 2 Tamże, s. 140.
- 3 Tamże, s. 140.
- 4 Tamże, s. 141.
- 5 <https://wiadomosci.wp.pl/bp-tadeusz-pieronek-dyktature-juz-mamy-6148068610459265a,30.09.2017>.
- 6 Umberto Eco, *Wymyślanie wrogów i inne teksty okolicznościowe*, przełożyli Agnieszka Gołębiowska i Tomasz Kwiecień, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2012, s. 32.
- 7 Tamże, s. 11.
- 8 Jerzy Kochan, *Wybory: upozorowana różnica*, [http://www.socjalizmteraz.pl/pl/Artykuly/?id=895/Wybory\\_\\_upozorowana\\_roznica,19.04.2017](http://www.socjalizmteraz.pl/pl/Artykuly/?id=895/Wybory__upozorowana_roznica,19.04.2017)
- 9 <https://www.money.pl/gospodarka/wiadomosci/artykul/mateusz-morawiecki-oswiadczenie-majatkowe,84,0,2393172.html,9.12.2017>
- 10 Plany budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego. Wild: wokół portu powstanie nowe miasto, <http://www.rdc.pl/informacje/plany-budowy-centralnego-portu-komunikacyjnego-wild-wokol-portu-powstanie-nowe-miasto-posluchaj/,04.10.20017.r>.
- 11 Umberto Eco, *Wymyślanie wrogów...*, jw., s. 13.

MAREK TABIN

# KŁAMANIE SKUTECZNE

## 1. Przekręt

Gdy piszę ten tekst, jesteśmy na etapie ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej. Za tydzień na pewno będzie coś innego, ale skoncentrujemy się na teraźniejszości. Ustawa o IPN to zamiar prawnego karania osób, które doznały krzywd ze strony Polaków i oskarżają o nie polski naród. Ile osób lub które osoby trzeba oskarżyć, żeby oskarżyć naród, to będzie prokurator ustalał na bieżąco. Zaś analizując przekręt propagandowy, który przy okazji tej ustawy został zrobiony przez Prawo i Sprawiedliwość przyjrzyć się obowiązującej obecnie w Polsce naukowej szkole przekrętu i kłamstwa propagandowego zwanej SPIN, która z sukcesem została przy okazji tej ustawy zastosowana.

Najkrócej mówiąc, przekręt polega na tym, że strona polska oskarża Izrael o odmawianie nam prawa do walki o godność i o dobre imię, podczas gdy Izrael niczego takiego nie robi, chce jedynie, by polskie prawo nie służyło do karania osób mówiących o udziale w Zagładzie niektórych Polaków. Twórcy ustawy twierdzą, że o niczym takim nie myśleli. Przeciwnicy – że intencje ustawodawcy są mniej ważne niż litera prawa, a ona w tej ustawie jednoznacznie pozwala interpretować pojedynczy głos osoby niegdyś skrzywdzonej przez Polaków jako oskarżanie całego narodu polskiego o współudział w Zagładzie. Nikt z przeciwników ustawy nie neguje prawa Polski do walki z wyrażeniami typu „polskie obozy zagłady”. Natomiast polska propaganda (w tym prosty poseł Jarosław Kaczyński oraz prezydent Andrzej Duda) przekonują cały świat, że właśnie o to Izraelowi chodzi.

Innymi słowy, przekręt propagandowy polega na tym, że PiS przedstawia przeciwników ustawy jako tych, którzy chcą oczernić Polaków oraz uważają, że to Polacy są współwinni Zagłady, że byli katami, nie ofiarami. Gdyby stanowiska obu stron przedstawić jako linie proste, nie przecinałyby się one w żadnym punkcie. Strona izraelska walczy ze sformułowaniami ustawy. Strona polska walczy o ustawę i traktuje swą walkę jako dążenie do przywrócenia Polakom godności i jako dowód suwerenności Polski na arenie międzynarodowej. Nie ma i nie może być porozumienia, bo obie strony mówią o czym innym. Która godzina? Czwartek!

Strona polska – czyli PiS – uważa, że dobre imię narodu oznacza, iż o nikim i nigdy nie można powiedzieć niczego złego informując także o narodowości. Wedle tej doktryny człowiek, który popełnił zło, nie ma narodowości – w każdym razie polskiej narodowości. Jest to jakiś tam człowiek, a jego czyny obciążają tylko jego indywidualnie. Jak widać, zwyczaj odmawiania przynależności narodowej ludziom, którzy się nam nie

podobają, ma w kręgach prawicy szerokie zastosowanie: od dawna i w bardzo wielu sytuacjach.

Izrael natomiast uważa, że dobre imię narodu nie wyklucza złego postępowania niektórych jego członków. Polska wizja dobrego imienia tchnie tęsknotą za jednolitością, wręcz identycznością wszystkich Polaków. Jest to wizja całkowicie nieprzystająca nie tylko do naszych aspiracji cywilizacyjnych, ale nawet do stanu obecnego. Żydzi mają już taką plemienną wizję jedności za sobą i pewnie również dlatego prawie wszyscy z Polski wyjechali, że się z wieloma Polakami pod tym względem niezbyt mogli pogodzić. Poza tym znaczna część Polaków uważa, że jeśli o czymś się nie mówi, to tego nie ma. Jest to pogląd dobrze osadzony w historii i w psychopatologii, ale nieprawdziwy. Dlaczego w 1989 roku zlikwidowano cenzurę, zamiast dopuścić, by „odzyskała” ją dla siebie jakaś grupa polityczna – nie rozumiem!

Nawiasem mówiąc, gdy chodzi o sprawę udziału ludności okupowanego kraju w Zagładzie Żydów, to niejeden kraj europejski „zasłużył” się znacznie bardziej niż Polacy, ale w tych krajach panuje powszechnie akceptowana cisza na ten temat. Natomiast Polacy już od wielu lat próbują zmierzyć się z niechlubnymi fragmentami swojej przeszłości, czego strona PiS-owska bynajmniej im nie ułatwia. Postulując ciszę i u nas PiS jedynie próbuje dostosować się do europejskiego standardu. Robi to jednak niezwykle nieudolnie, wszczynając głupie awantury, uchwalając nonsensowne ustawy, podając jako główny argument swoje chęci i nie przyjmuje do wiadomości, że dobrymi chęciami jest piekło brukowane.

Nie można też nie zauważać, że na temperaturę i styl dyskusji nad tą ustawą wpływa ogólna opinia o naszym państwie, która ukształtowała się w ciągu ostatnich dwóch lat. Sprzyja ona lekceważeniu nas i niechęci. Władze Polski są postrzegane jako ci, którzy bezustannie obrażają swych partnerów zagranicznych, robią coś innego niż mówią, osiągają cele wręcz przeciwne do deklarowanych oraz uwielbiają kompromitować się i przegrywać, co określają jako moralne zwycięstwo. A społecznością międzynarodową rządzą czasem podobne prawa jak klasą szkolną. Uczeń, który nic nie potrafi poza obrażaniem innych i puszeniem się, staje się chłopcem do lekceważenia i bicia – nawet wtedy, gdy akurat on ma rację.

Badania ankietowe wykazały, że znaczna większość Polaków opowiada się za karaniem za sformułowanie „polskie obozy śmierci”. Oznacza to, że przekręt chwycił. Sformułowanie to spopularyzowali w świecie propagandziści PiS twierdząc, że chodzi im o karanie osób używających takiego określenia. Nie jest jasne, jak władze Polski chcą karać obywateli innych krajów.

**SPIN**

Przekręć chwycił, bo został oparty na „naukowych” podstawach, zwanych *SPIN* – po angielsku *Significant Progress In the News*, czyli *Istotny Postęp w Informowaniu*. W dosłownym znaczeniu *spin* oznacza *prząść, obracać, kręcić*. Z tym kręceniem to by się nawet zgadzało, ale zobaczymy, że tu nie chodzi o fizyczne obracanie się. W slangu amerykańskim *spin* oznacza *oszukiwać, mylić tropy*. Idiom *to spin a yarn* oznacza *pleść głupoty* lub *opowiadać niestworzone historie*.

Termin *spin-doktor* zaraz po 1989 roku zrobił się dość popularny. Miało się wrażenie, że chodzi o specjalistę od wizerunku. Trochę tak, ale to jest dużo więcej.

W latach 70. w USA sformalizowano zasady *PR*, czyli *Public Relations* w celu zastosowania ich do propagowania znacznego zwiększenia wydatków zbrojeniowych. *PR* opierał się o zasadę *kretywnego przedstawiania faktów*, która szczyt powodzenia osiągnęła, gdy tę kretywność zastosowano do księgowości w amerykańskiej firmie Enron (rok 2001), a później nazwano po prostu przestępstwem. *PR* okazał się jednak techniką propagandową za słabą, by przekonać amerykańską opinię publiczną do zwiększenia nakładów na obronność. Wtedy powstał *SPIN*, a głównym jego zadaniem było przekonanie Amerykanów do programu gwiazdnych wojen, który miał kosztować 125 miliardów dolarów i był bardzo krytykowany przez media. Zasady *SPIN-u* zakładają (oczywiście sformułowane w nowomowie, nie tak jak poniżej) *pełne obtudy, zdradliwe oraz wysoce manipulatywne sposoby pozbawienia ludzi zdroworozsądkowego myślenia*, czyli po prostu zasady propagandy<sup>1</sup>.

Przykładowo, w *SPIN-ie* wyróżnia się następujące techniki:

- *wybijanie wisienek (cherry picking)* – selektywna prezentacja argumentów lub ich tuszowanie. Przykład: *o słuszności polityki PiS świadczy nasza doskonała sytuacja gospodarcza*.

- *zaprzeczenie bez zaprzeczenia (non-denial denial)* – wypowiedzi, które brzmią i wyglądają jak zaprzeczenie, ale w istocie nim nie są. Przykład: *Zaprzeczam pomówieniom, że nie szanujemy prawa. O naszym szacunku do prawa świadczy fakt, że uchwalonych przez nas ustaw ściśle przestrzegamy*,

- *przeprosiny bez przeproszania (non-apology apology)* – coś, co brzmi jak przeprosiny, ale za wypowiedzią tak naprawdę nie jest ukryta taka intencja. Przykład: *Nie mam zwyczajnie obrażania kogokolwiek, ale jeśli pani poseł poczuła się urażona określeniem „myszka-agresorka”, to ją przepraszam*,

- *podwójny język, dwójmyślenie (doublespeaking)* znane z Orwella, a także wszelkie eufemizmy. Przykład: *to chyba oczywiste, że sędziowie nie mogą być niezależną kastą i powinni zależeć od społeczeństwa*,

- opóźnianie publikacji złych wiadomości, w celu ukrycia ich w cieniu ważniejszych lub pozytywnych wydarzeń,

- atakowanie cech arbitralnie przez nas przeciwnikowi przypisanych, a nie rzeczywistych. Przykładem jest właśnie afera z ustawą o IPN. Zamiast odpowiadać na zarzuty stawiane tej ustawie, PiS odpiera zarzuty, których nikt nie stawia, sam je wymyślił, żeby je łatwo i przekonująco odeprzeć.

Osoba będąca specjalistą techniki *spinu* określana jest mianem *spin-doktora*. Taka osoba *leczy niedobre*

*historie* tworząc jednocześnie lepsze. Jej zadaniem jest spowodowanie zdarzeń, które mają przynieść określony sukces – na przykład większą popularność określonej partii, wygranie wyborów, itp.

*SPIN* jest więc usystematyzowaniem i nadaniem nazw czynnościom znanym rodzajowi ludzkiemu od starożytności i pod tym względem ma status taki sam jak nauki o zarządzaniu. Ma to dwie zalety. Jedną jest zwiększenie liczby ludzi, którzy – co prawda, bez wrodzonego talentu – umieją albo zarządzać, albo kłamać i kręcić. Zapotrzebowanie na ludzi, którzy mają pewne elementarne umiejętności w zakresie zarządzania wynika z rozwoju gospodarczego. Z jakiego rozwoju wynika zwiększenie zapotrzebowania na ludzi, którzy umieją kłamać i kręcić – to pozostaje poza zakresem zainteresowań tego tekstu.

Pozwalam sobie jedynie zwrócić uwagę na to, że gdy Artur Schopenhauer pisał swoją *Erytykę czyli sztukę prowadzenia sporów* – a więc zwyciężania w dyskusji za wszelką cenę, niezależnie od wartości argumentów – to jego intencją było zdemaskowanie nieuczciwych dyskutantów, podobnie jak wieki wcześniej intencją Niccola Machiavellego było zdemaskowanie ciemnych mechanizmów władzy. W przypadku *SPIN-u* celem chyba jednak nie było zdemaskowanie, lecz zwiększenie liczby zręcznych krętaczy przez nauczenie odpowiednich technik ludzi, których życie nie wykształciło w tej akurat dyscyplinie.

A dla nas najbardziej zawstydzające jest, że gdy w Polsce mówi się o *SPIN-ie*, to jedyną reakcją jest podziw dla opanowania umiejętności, która przyszła z Zachodu i zachwyty nad naszą nowoczesnością. Rodzimi *spin-doktorzy* chodzą w glorii i bynajmniej niczego się nie wstydzą. W Siedlcach powstał *SPIN-Siedlecki Portal Informacyjny Najlepszy*. Techniki *SPIN-u* są wykładane na wielu uczelniach państwowych i prywatnych. Może niektórzy studenci potraktują takie wykłady jako demaskację. Może... I gdzie te dawne, dobre czasy, kiedy człowiek szedł po ulicy, krzychał *Prasa kłamie*, a wszyscy wokół wiedzieli, że to racja?

W niektórych opracowaniach na temat *SPIN-u* za-uważa się nadzieję, że znajdzie on zastosowanie nie tylko w działalności państwa oraz potężnych grup interesów, lecz także *w silnym i aktywnym społeczeństwie obywatelskim do tworzenia sprawnie działającej demokracji*. Wątpię w to, ale przede wszystkim nie chciałbym tego. Wyobraźmy sobie społeczeństwo, w którym zarówno moi wrogowie, jak i moi przyjaciele walczą o stronników za pomocą bezustannego kłamania, przekręcania i kombinowania. Jest to wizja społeczeństwa powszechnego i zdemokratyzowanego kłamstwa, społeczeństwa, w którym zrealizowanie swego interesu jest ważniejsze niż sposób jego zrealizowania. Inkwizytorzy wcale nie byli pierwszymi, a bolszewicy chyba nie byli ostatnimi ludźmi w historii, którzy tak uważali. A skutki ich działań mówią same za siebie.

Od strony naukowej osiągnięcie twórców *SPIN-u* jest umiarkowane. Dążenie do przedstawienia siebie w lepszym świetle, do polepszenia opinii jest i było powszechne i naturalne. Nikt nie wytacza dział z tego powodu, że młodzi chłopcy preją muskuły, a dziewczyny się malują. Każdy chce, by jego osobę i działalność oceniano jak najlepiej. Biegłość amerykańskich propagandystów polegała na tym, że te naturalne dążenia

usystematyzowali, nazwali kłamstwo *SPIN-em* i wprowadzili na salony, czyli do wyższych uczelni. Ale chęć polepszenia opinii o sobie lub swojej partii bardzo łatwo przekroczyć w kierunku kłamstwa, szczególnie gdy się jest etatowym specjalistą od takiego właśnie zadania.

I tak ósme przykazanie zostało naukowo obezwładnione przy istotnym udziale skądinąd rozmodlonej pracy. Następne wstecz jest siódme. A gdyby tak stworzyć *SPIJ – Scientific Progress In Justice?* Dokładniej, chodziłoby o zarządzanie prawami własności w celu realizacji postulatu sprawiedliwości, a mówiąc prościej, o kradzieże nadzorowane przez państwo. Czytelnicy zapewne się domyślają, że zmierzałoby to do analogicznego obezwładnienia przykazania siódmego. Mamy już w tym sporą tradycję: nacjonalizacje, prywatyzacje, reprivatyzacje, dezubekizacje, setki tysięcy złotych dla biernych, miernych ale wiernych i wszelkie inne akcje *przywracające elementarną sprawiedliwość* w tę lub w tamtą stronę. A w dodatku – w jakiejś dziedzinie byłibyśmy wreszcie pierwsi!

### O co chodzi?

O tej sprawie dotąd nie napisałem ani słowa. Po co właściwie PiS to wszystko robi? Po co otwiera kolejny konflikt międzynarodowy, jakby ich dotychczas było mało?

Na ten temat wypowiadało się wiele osób z opozycji. Niektóre stanowiska są moim zdaniem błędne:

- że chodzi o głupotę i braki wykształcenia. To prawda, że dyplomy wyższych uczelni, a nawet tytuły profesora wyższej uczelni są ostatnio rozdawane dość niefrasobliwie, ale zdecydowanie uważam, że nie w tym rzecz,

- że chodzi o nadmierny entuzjazm polityków drugiego rzędu i niekontrolowaną chęć przypodobania się prezesowi. Zwolennicy tej tezy twierdzą, że Związek Radziecki przetrwał ponad 70 lat dlatego, iż Stalin „interesował się” również – nawet bardziej – tymi, którzy ideę rewolucji socjalistycznej pojmowali z entuzjazmem większym niż jego własny. Nadmierne przywiązanie do socjalizmu, a nawet tylko do aktualnej polityki socjalistycznej władzy było zawsze bardzo źle widziane. A Jarosław Kaczyński nad entuzjastami dobrej zmiany nie bardzo panuje,

- że chodzi o przekonanie wszystkich małych i wielkich dyktatorów, iż o powodzeniu sprawy decyduje ich intencja, a nie treść projektowanej zmiany oraz otoczenie, w którym ma ona być wdrażana,
- że niektórzy czołowi działacze PiS mają skłonności do silnego fundamentalizmu i jednocześnie odczuwają patologiczny przymus uregulowania wszystkiego za pomocą przepisów prawa,

- poczucie końca w PiS, rozprężenie, gra wyłącznie na siebie samego i rezygnacja z gry partyjnej, ze społecznej.

Jeżeli popularność PiS-u ciągle rośnie, to nie można mówić, że Jarosław Kaczyński (albo PiS) zachowują się nierozsądnie. Należy raczej odczytać cele tych polityków. Na pewno nie są to bezpieczeństwo ani prestiż międzynarodowy Polski. Moim zdaniem jest to utrzymanie władzy, co na dziś przekłada się właśnie na słupki popularności. Z tego punktu widzenia ośrodki badania opinii publicznej odegrały w Polsce dzisiejszej (a może wręcz całej po 1989?) raczej złowrogą rolę.

Kaczyński ma podobno sieć informacyjną rozbudowaną o wiele bardziej niż ogólnie wiadomo. Wie, jakie hasła działają na ludzi zachęcająco: wstawanie z kolan, przywracanie dumy, reindustrializacja Polski. Głównym jego celem jest władza, a nie osiągnięcie jakichkolwiek celów dla kraju czy dla Polaków. Ale chce zdobyć tę władzę demokratycznie, w drodze wyborów. I dlatego jego główny cel to słupki sondażowe. Wielkie projekty (wyłącznie słowne!!!) typu *Polska czołowym motoryzacyjnym przemysłem świata, milion samochodów elektrycznych, centralny port lotniczy*, to niezła droga. Ale jest lepsza: *wzbudzenie poczucia zagrożenia w jak największej skali*. Ma być, że cały świat jest przeciwko nam. Dopiero wtedy przymiotnik *antypolski*, stworzony jeszcze w PRL przez ojców duchowych dzisiejszych *spin-doktorów*, nabierze sensu i blasku. Po prostu: świat jest antypolski i żadne merytoryczne argumenty nie mają nic do rzeczy w żadnej sprawie. Świat interesuje się wyłącznie nienawidzeniem nas, a my jesteśmy moralnym zwycięzcą i Chrystusem narodów.

Zauważmy przy okazji, że jeśli wzbudzenie w skali masowej takiego przekonania okaże się możliwe, znaczy to jednocześnie, że my sami, Polacy, jesteśmy ludźmi uznającymi tylko podział *my – oni* i że żadna różnica zdań czy konflikt nie mogą być rozwiązane podczas dyskusji i za pomocą argumentów, jedynie przez zniszczenie przeciwnika. Ten wątek ostatnio coraz częściej się pojawia w naszym życiu politycznym. Na przykład poseł Dominik Tarczyński wyzwał Lecha Wałęsę na *solo* (kiedyś się mówiło *po szkole*), a pracownica sądu ze Szczecina wzywała w internecie do zabicia Donalda Tuska nożem.

Dlatego myślę, że akcja *polskie obozy śmierci* to akcja przemyślana. Również i to, że w luźnych wypowiedziach przedstawiciele władz na temat konfliktu z Izraelem pojawiły się *polskie obozy śmierci*, choć w samej ustawie takiego wyrażenia w ogóle nie ma. Także i psucie sobie stosunków z naszym ostatnim sprzymierzeńcem – USA.

Taktyka Jarosława Kaczyńskiego to: *ja was ochronię przed złym światem*. W tym celu trzeba oczywiście rozpowszechnić przekonanie, że świat jest zły. Pomaga tu także rozchwianie emocjonalne, które dotyczy całego społeczeństwa i jest skutkiem pracowniczego wynajdywania wszystkich wielkich, małych i żadnych win opozycji, i robienie z nich centralnego (na tydzień) punktu polityki polskiej. Prezes robi to wszystko konsekwentnie i skutecznie. Świat poza Polską czyni wrogiem systematycznie i nie zaniedbuje innych części globu. Elementy złego świata zagrażające *prawdziwym Polakom*, znajduje także w Polsce, a w znacznym stopniu pozostawia to indywidualnej inwencji – jest to technika najskuteczniejsza i zawsze z wdzięcznością przyjmowana. Są ludzie, którym pomiatanie innymi daje poczucie dumy. I teraz pytanie: czy winni są ci, którzy tych ludzi tak ukształtowali, czy ci, którzy przez 26 lat tę dumę tak boleśnie ranili?

### MAREK TABIN

1. Charakterystykę *SPIN-u* opieram na pracy Tadeusza Domagały *Spin jako sztuka manipulacji przekazem medialnym*, wydawnictwo Rys, Poznań, 2015 oraz na hasle *SPIN* z Wikipedii, dostęp 9 II 2018.

JACQUES KMIECIAK

# „DEKOMUNIZACJA” W POLSCE WIDZIANA Z FRANCJI

Od czasu powrotu do władzy w Polsce jesienią 2015 roku Prawa i Sprawiedliwości, „narodowo-katolickiej” partii Jarosława Kaczyńskiego, trwa przyspieszenie procesu tak zwanej dekomunizacji. Ta kampania demonizacji socjalistycznej przeszłości Polski wzbudziła liczne protesty na północy Francji. W sercu dawnego zagłębia górniczego, gdzie żyją nadal tysiące potomków imigrantów polskich, podniosły się głosy przeciwko planowanej przez polskie władze zmianie nazw ulic i placów, których patroni byli związani z Polską Ludową w latach 1944–1989 lub, generalnie rzecz ujmując, z ideą komunistyczną. Uwaga tutejszej społeczności skupiła się na Śląsku, z którym region Nord-Pas-de-Calais nawiązał szczególne związki. W niniejszym tekście zamierzam ukazać okres tej rocznej mobilizacji, uwieczony częściowym sukcesem.

Jest 2016 rok. Bogdan Król prowadzi własne poszukiwania na temat rodziny Burczykowskich. Władze Wałbrzycha zamierzają zmienić nazwę ulicy, która nosi jej imię. Wałbrzych to przemysłowe płuco Dolnego Śląska. Na tej ziemi, oderwanej od pokonanych Niemiec, osiedliło się między 1946 a 1948 rokiem tysiące polskich reemigrantów powracających z Francji dla spełnienia misji odbudowy i zasiedlenia „Ziem Odzyskanych”<sup>1</sup>. Bogdan Król, dzisiaj osiemdziesięcioletni, sam powrócił do Polski z Francji w sierpniu 1947 r.<sup>2</sup> W społeczności miejscowych frankofonów jest jednym z architektów przyjaźni polsko-francuskiej<sup>3</sup>. We wrześniu 2016 roku Bogdan Król zorganizował na okolicz-

ność siedemdziesiątej rocznicy reemigracji wystawę pt. *Zapomniany powrót*<sup>4</sup>. To właśnie Króla jako „strażnika pamięci” władze miejskie zaprosiły do zbadania sprawy rodziny Burczykowskich, która zamieszkiwała we Francji. Ten wziął się natychmiast do roboty, aby zachować nazwę ulicy.

## Przeformułować polską historię

Zdaniem Bogdana Króla władze miejskie podporządkowały się, wbrew własnej opinii w sprawie, prawu przyjętemu przez Sejm w kwietniu 2016 r. Uregulowanie, które weszło w życie pięć miesięcy później, wywołało kontrowersje w samej Polsce<sup>5</sup>. Zakłada ono usunięcie z pamięci zbiorowej wszelkich nawiązań do Polski Ludowej (1944–1989) i niezaprzeczalnego awansu społecznego szerokich mas w tym okresie (władza robotników w przedsiębiorstwach, dostęp do edukacji i kultury, darmowa służba zdrowia, reforma rolna i przyznanie ziemi chłopom). W jaki sposób? Poprzez oczyszczenie przestrzeni publicznej (ulic, placów, itd.) z wszelkich nawiązań do „osób, organizacji, wydarzeń lub dat symbolizujących komunizm”, podciągnięty przez PiS pod określenie „ustrój totalitarny”. Wykonawcą tej polityki ma być Instytut Pamięci Narodowej utworzony w 1999 r. jako instytucja państwowa, której misją jest badanie zbrodni popełnionych przeciwko „narodowi polskiemu”. *Credo* IPN to antykomunizm. Ambicją instytutu jest przeformułowanie historii Polski w duchu nacjonalistycznym. Społeczności lokalne miały jeden rok, do dnia 2 września 2017 r., na podporządkowanie się zapisom ustawy, opierając się na opinii IPN, który opracował listę niepożądaných patronów<sup>6</sup>.

1 Między majem 1946 roku a grudniem 1948 roku do Polski przybyło 62 000 polskich reemigrantów z Francji. Na ten temat zob. więcej na stronie Investig'Action: J. Kmieciak, *A la Libération: les Polonais du Nord, batisseurs de la Pologne populaire*, <http://www.investigaction.net/fr/a-la-liberation-les-polonais-du-nord-batisseurs-de-la-pologne-populaire/> (dostęp : 25 stycznia 2018 r.).

2 B. Król pochodzi z miejscowości Ecaillon na północy Francji. Wraz ze swoją rodziną osiedlił się w 1947 r. w mieście Gorce (dzisiaj Boguszów-Gorce) koło Wałbrzycha.

3 Zachowując pewną nostalgię za Francją, co roku 14 lipca społeczność frankofońska celebrowała francuskie święto narodowe, składając wieniec u stóp pomnika wzniesionego ku czci generała de Gaulle'a, prezydenta Francji w latach 1958–1969.

4 Pierwszy wyjazd do Polski, z dworca w Lens (Pas-de-Calais), odbył się 15 maja 1946 r.

5 W Gdańsku, na przykład, społeczność zmobilizowała się dla ocalenia pamięci przodowników pracy, gdy zmiana nazw groziła ulicom Wincentego Pstrowskiego i Stanisława Sołdka. W Katowicach mieszkańcy walczyli o utrzymanie patronatu patrioty śląskiego Jerzego Ziętka.

6 Lista (niecałościowa) nazw do zmiany została opublikowana na stronie internetowej IPN: <https://ipn.gov.pl/pl/upamietnianie/dekomunizacja/zmiany-nazw-ulic/nazwy-ulic/nazwy-do-zmiany> (dostęp: 25 stycznia 2018 r.).

## Rodzina dziesiątkowana w latach wojny

W celu rzetelnego zrealizowania swojej misji, Bogdan Król zwrócił się do stowarzyszenia Przyjaciele Edwarda Gierka (*Les Amis d'Edward Gierka*), które działa w Pas-de-Calais, tam właśnie żyła rodzina Burczykowskich<sup>7</sup>. Na bazie źródeł archiwalnych i literatury stowarzyszenie odtworzyło losy Burczykowskich, rodziny z Sallaumines koło Lens, składającej się z działaczy Ruchu Oporu i dziesiątkowanej w okresie drugiej wojny światowej. Józef, ojciec, zmarł w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen, do którego trafił z powodu zorganizowania strajku górników w Nord-Pas-de-Calais w maju i czerwcu 1941 roku. Dwóch jego synów, Feliks i Grzegorz, zostało rozstrzelanych w cytadeli w Arras, zaś trzeci syn Edwin został zamordowany przez Gestapo. Wszyscy oni, odwołując się do internacjonalizmu proletariackiego, działali w komunistycznym ruchu oporu w organizacji *Francs-tireurs et partisans* (FTP)<sup>8</sup>. Jak podkreśla Bogdan Król, nie jest istotne, czy byli oni komunistami, czy nie. Walczyli przeciwko Niemcom.

Trzeba też przypomnieć, że w 1946 r. to sami repatrianci z Francji chcieli nadać jednej z ulic w Wałbrzychu nazwę Rodziny Burczykowskich. Była to forma hołdu dla tych, którzy poświęcili życie „za naszą i waszą wolność”, zgodnie ze słynnym polskim XIX-wiecznym hasłem.

## Pamięć o Ruchu Oporu

W sercu zagłębia węglowego Nord-Pas-de-Calais, gdzie w latach dwudziestych osiedliło się tysiące polskich obywateli, szok był ogromny<sup>9</sup>. I zupełna dezorientacja: „Jak to? Robią zamach na pamięć o bohaterach walki z nazistami? Jak to możliwe?”, dziwią się mieszkańcy. Środowiska komunizujące i związkowe reagują jako pierwsze. Są to: **Ośrodek Odrodzenia Komunistycznego we Francji** (*Pôle de renaissance communiste en France*, PRCF), Internacjonalistyczny Komitet Solidarności Klasowej (*Comité internationaliste pour la solidarité de classe*, CISC) i oczywiście Komunistyczna Partia Francji oraz Generalna Konfederacja Pracy (*Confédération générale du travail*, CGT).

Zaalarmowany komunistyczny mer Sallaumines, Christian Pedowski<sup>10</sup> pisze do Bogdana Króla, by zapewnić go o swoim wsparciu. Dziękuje mu za „energię poświęconą obronie nazwy ulicy Burczykowskich, która jest zagrożona »dekomunizacją« w następstwie opinii polskiego Instytutu Pamięci Narodowej”. Pisze również do Romana Szelemeja, prezydenta Wałbrzycha, zwracając uwagę na fakt, że w północnej Francji „to nazwisko symbolizuje opór przeciw okupantowi nazistowskiemu, od którego tyle ucierpiał Pański kraj,

jak również nasz kraj [tj. Francja – przyp. red.]. Zaangażowanie bojowników *Francs-Tireurs et Partisans* było wzorem poświęcenia. Przyczynił się w ogromnej mierze do warunków wyzwolenia naszego terytorium. Starania o zmianę nazwy tej ulicy byłyby równoznaczne z atakiem na wspólną francusko-polską pamięć o ruchu oporu przeciwko nazizmowi, ale także atakiem na dobre imię Francji na Dolnym Śląsku”. Nieco później komunistyczny senator Dominique Watrin z Pas-de-Calais przywołał w liście do Romana Szelemeja „ideał wolności i braterstwa”, który ożywił bojowników ruchu oporu, „także w kraju, który nie był ich ojczyzną”. Dziennik „La Voix du Nord” („Głos Północy”) natychmiast nadał rozgłos tej mobilizacji<sup>11</sup>. Bogdan Król przypomniał wówczas w prasie, że Burczykowscy „walczyli odważnie z okupantami. Żyłem jeszcze we Francji w zagłębiu górniczym, kiedy Niemcy wkroczyli do regionu. Miałem wtedy dziesięć lat i widziałem tragiczne skutki okupacji nazistowskiej”.

## Związkowcy także solidarni

W tym samym czasie do Stowarzyszenia „Przyjaciele Edwarda Gierka” dotarła informacja o innym przykładzie „dekomunizacji” ulicy pod patronatem aktywisty z Francji północnej. Chodziło o Tomasza Rabięę, który w końcu lat trzydziestych zamieszkiwał w Montigny-en-Ostrevent koło Douai. Był to działacz związkowy, przed wojną kierownik sekcji polskich CGT w Douai, jeden z organizatorów strajku z 1936 r., w okresie Frontu Ludowego. W 1939 r. Rabięę został deportowany do obozu Vernet w Ariège w Pirenejach. Władze francuskie postrzegały go jako „niepożądanego cudzoziemca” (*étranger indésirable*), z powodu jego komunistycznych przekonań. Tomasz Rabięę powrócił do Polski po wyzwoleniu. Dziennikarz Jacques Estager, który towarzyszył latem 1948 r. transportowi repatriantów, spotkał się z nim wówczas w Wałbrzychu. Rabięę kierował wtedy syndykatem górników w tym mieście<sup>12</sup>.

## Interwencje u przedstawicieli władz polskich we Francji

Stowarzyszenie „Przyjaciele Edwarda Gierka”, dbając o zachowanie pamięci o zaangażowaniu polskich bojowników Ruchu Oporu w walce z okupantem nazistowskim, przypomniało, że „w zagłębiu górniczym Nord-Pas-de-Calais te nazwiska symbolizują opór przeciwko wszelkiej opresji i męstwo w służbie przyjaźni francusko-polskiej”. Uchwałę stowarzyszenia poparły dziesiątki kolejnych sygnatariuszy petycji: parlamentarzyści komunistyczni (Jean-Jacques Candelier), byli bojownicy Ruchu Oporu (Léon Landini, Jean Ooghe), merowie (Christian Pedowski z Sallaumines, Marcel Coffre z Marles-les-Mines, Freddy Kaczmarek z Aubry), filozofowie (Domenico Losurdo, Georges Gastaud), inni naukowcy (Bruno Drwęski, Anne Morelli), związkowcy, itd. Ich wezwanie, określone mianem Apelu 133<sup>13</sup>, zaadresowane było do Dariusza Wiśniewskiego,

7 Stowarzyszenie zostało utworzone w 2007 r. – Roku Polskim w departamencie Pas-de-Calais. Jego inicjatorzy starają się przeciwdziałać mitowi bezproblemowej integracji Polaków w społeczeństwie francuskim oraz działają na rzecz uwypuklenia „niezaprzeczalnej roli, jaką odegrali polscy pracownicy w walkach społecznych” we Francji.

8 FTP były to uzbrojone grupy utworzone w 1942 r. przez Komunistyczną Partię Francji.

9 Między 1921 a 1931 r. liczba Polaków we Francji wzrosła z 46 000 do 508 000. Od początku departamenty Nord i Pas-de-Calais stały się najbardziej „spolonizowanymi” we Francji. W Pas-de-Calais ośmiu na dziesięciu Polaków pracowało w kopalni węgla, a pozostali byli zatrudnieni w przemyśle metalurgicznym, tekstylnym lub w rolnictwie.

10 W tej miejscowości od 1974 r. Burczykowscy są patronami jednego z placów.

11 Zob. wydanie z Lens z 3 lutego 2017 r.: <http://www.lavoixdunord.fr/113624/article/2017-02-03/la-memoire-de-resistants-du-bassin-minier-censuree-en-pologne> (dostęp: 25 stycznia 2018 r.).

12 J. Estager, *Découverte de la Pologne, 1948 / J. Kmiecik, A la Libération, les Polonais du Nord bâtisseurs de la Pologne populaire*, Editions Nord Avril, Bouvignies, 2016, s. 23.

13 Zob. na stronie internetowej dziennika „L'Humanité”: <https://humanite.fr/appel-des-133-pour-la-preservation-de-la-memoire-de-la-resistance-en-basse-silesie-632750> (dostęp: 25 stycznia 2018 r.).



ambasadora tytularnego RP w Paryżu oraz do Henri Dudzińskiego, konsula honorowego RP w Lille. W liście datowanym na 25 lutego 2017 r. są oni proszeni o „przekazanie kompetentnym organom władzy informacji o naszej woli zachowania bez uszczerbku tych świadectw w Sudetach [dokładnie: na Dolnym Śląsku – przyp. red.] odnoszących się do Francji walczącej”. Adresaci nie odnieśli się jednak w żaden sposób do treści listu.

### Nowe „mocne uderzenie”

Kiedy w maju 2017 r. delegacja „Przyjaciół Edwarda Gierka” przybyła do Wałbrzycha w celu rozeznania się w stanie sprawy planowanej „dekomunizacji” nazwy ulicy, przybyli mogli z satysfakcją odnotować, że rodzina Burczykowskich została ostatecznie oszczędzona. Mobilizacja, którą zapoczątkował Bogdan Król zarówno we Francji, jak w samym Wałbrzychu, zakończyła się zatem sukcesem. Jednak goście z Francji dowiedzieli się w trakcie wizyty w Polsce o umieszczeniu na czarnej liście innego nazwiska działacza imigracyjnego na północy Francji, Bronisława Kani<sup>14</sup>. Był to górnik pracujący w Kompanii Górniczej w Anzin, który w okresie drugiej wojny światowej walczył z Niemcami i ich francuskimi kolaborantami jako bojownik FTP- *Main d'œuvre immigrée* (FTP-MOI – struktura w ramach FTP, skupiająca obcokrajowców zamieszkujących we Francji). Został rozstrzelany przez nazistów w 1943 r. w więzieniu w Quincy koło Douai. W ten sposób kolejny działacz ruchu oporu stał się celem ataku. Wyglądało to już wręcz na prowokację.

### Zagranie na nosie polskim władzom

W dniu 8 lipca 2017 r. mer Auby, Freddy Kaczmarek z poparciem Instytutu Historii Społecznej CGT oraz „Przyjaciół Edwarda Gierka” nadał symbolicznie autostradzie A 21 nazwę Autostrady Wolności im. Rabięgi i Kani. Celem tej ceremonii było przeciwstawienie się rewizjonistycznym praktykom rządu polskiego. Tym bardziej symboliczne, że tą drogą poruszają się turyści z północnej Francji zmierzający do Polski. W opinii Freddy Kaczmarka chodziło o „wyzwolenie Polski”, która wydaje się dzisiaj nawiązywać do faszystujących demonów z okresu przedwojennego: „Uważam, że to, co dzieje się w Polsce, jest powtórną egzekucją tych bojowników Ruchu Oporu, którzy oddali swoje życie za naszą wolność. Po raz pierwszy zostali zamordowani przez nazistów. Dzisiaj poddawani są powtórną egzekucji przez polski rząd”, oburzał się komunistyczny samorządowiec. Na uroczystości nie pojawił się nikt z Ambasady RP w Paryżu ani konsul RP w Lille, chociaż zaproszenia zostały wystosowane. Tymczasem batalia medialna wydawała się toczyć w duchu pomyślnym dla protestujących, ponieważ sprawą zainteresowała się nie tylko prasa regionalna („La Voix du Nord”, „France Bleue Nord”, AFP, France 3), ale także ogólnofrancuska („Le Monde”, „France Info”)<sup>15</sup>.

14 Zob. notę biograficzną B. Kani (1906–1943): *Le Maitron. Dictionnaire biographique, mouvement ouvrier, mouvement social*, <http://maitron-fusilles-40-44.univ-paris1.fr/spip.php?article88147> (dostęp: 25 stycznia 2018 r.).

15 Zob.: J.-B. Chastand, *Combat de rues dans la «petite France» polonaise*, „M – Le magazine du Monde”, 8 lipca 2017, [http://www.lemonde.fr/m-actu/article/2017/07/07/combats-de-rues-dans-la-petite-france-polonaise\\_5157388\\_4497186.html?xtmc=walbrzych&xtcr=1](http://www.lemonde.fr/m-actu/article/2017/07/07/combats-de-rues-dans-la-petite-france-polonaise_5157388_4497186.html?xtmc=walbrzych&xtcr=1) (dostęp: 25 stycznia 2018 r.).

### Władze Wałbrzycha wycofują się

Chociaż ta mobilizacja była ograniczona do departamentów Nord i Pas-de-Calais, przyniosła jednak pewne owoce. Wiosną 2017 r. władze Wałbrzycha zamierzały zmienić nazwy w sumie trzynastu ulic i placów. Na początku sierpnia zdecydowały się ostatecznie na zmianę dziesięciu nazw, co oznacza, że oszczędzono – nie licząc ul. Rodziny Burczykowskich – następujących patronów – polskich bojowników Ruchu Oporu we Francji: Aleksego Czeredziaka<sup>16</sup>, Romana Piotrowskiego<sup>17</sup> i wspomnianego Bronisława Kanię. Był to, zdaniem „Przyjaciół Edwarda Gierka” połowiczny sukces, jako że podobnej łaski nie otrzymał Tomasz Rabięga. Zdaniem Bogdana Króla, IPN dotarł do strzępków informacji, które miały wskazywać na fakt członkostwa Rabięgi w PPR i kierowania przezeń syndykatem górników w Wałbrzychu w końcu lat czterdziestych. Jego jedyną „winą” jest zatem to, iż był „bezwartkowym obrońcą interesów klasy robotniczej” – jak pisał Dominique Ben z Instytutu Historii Społecznej CGT w liście wystosowanym do prezydenta Wałbrzycha.

### Brak logiki

Chociaż oszczędzono przed „dekomunizacją” bojowników Ruchu Oporu walczących z okupantem niemieckim we Francji, ten akt łaski nie odnosi się do tych, którzy walczyli z tym samym okupantem na ziemiach polskich, jak Józef Lewartowski<sup>18</sup>, Teodor Duracz<sup>19</sup> i Hanka Sawicka<sup>20</sup>. „Z pewnością decyzja władz Wałbrzycha cechuje się brakiem spójności logicznej”, podkreślają „Przyjaciele Edwarda Gierka”, którzy krytykują podjęte decyzje. Logika doboru patronów ulic podlegających „dekomunizacji” została jednak zatwierdzona przez IPN. Lewartowski, Duracz i Sawicka zostali zamordowani podczas drugiej wojny światowej przez Niemców, a więc nie mogli mieć żadnego związku z Polską Ludową, budowaną od drugiej połowy 1944 r. na terytoriach wyzwolonych spod okupacji niemieckiej. Podobnie rzecz się ma z innymi bojownikami – ochotnikami w szeregach brygad międzynarodowych w Hiszpanii – jak Marceli Kostecki (naprawdę nazywał się Józef Kolorz<sup>21</sup>) i Antoni Kochanek<sup>22</sup>. „Oprócz budowniczych Polski Ludowej, na celowniku są również

16 Mało wiemy o Aleksym Czeredziaku. Jego nazwisko znajduje się na liście Polaków zamordowanych we Francji – ofiar nazistów z lat 1940–1944. Listę ogłoszono podczas pierwszego kongresu emigracji polskiej we Francji, który odbył się w Paryżu 17–18 grudnia 1944 r.

17 Roman Piotrowski (1911–1944) był górnikiem pracującym w Lotaryngii, a w okresie drugiej wojny światowej bojownikiem partyzantki w departamencie Tarn. Został zamordowany przez okupanta w 1944 roku. Został odznaczony francuskim Krzyżem Wojennym. Zob. notę biograficzną R. Piotrowskiego na stronie Muzeum Ruchu Oporu 1940–1945: <http://museedelaresistanceenligne.org/media7487-Roman-Piotrowski> (dostęp: 25 stycznia 2018 r.).

18 Józef Lewartowski (1895–1942) był jednym z organizatorów żydowskiego ruchu oporu w getcie warszawskim. Został zamordowany przez Gestapo w 1942 roku.

19 *Teodor Duracz (1883–1943) był adwokatem, członkiem PPR. Został zamordowany przez Gestapo w 1943 roku.*

20 Hanka Sawicka (1917–1943) była działaczką komunistycznego ruchu oporu. Została zamordowana przez nazistów w 1943 roku.

21 Józef Kolorz (1900–1938) pochodził z Górnego Śląska, pracował w zagłębiu w Lens od początku lat dwudziestych. W latach 1932–1936 był członkiem Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Francji. Zginął w Hiszpanii w walce z frankistami w 1938 roku. Zob. notę biograficzną J. Kolorza: <http://maitron-en-ligne.univ-paris1.fr/spip.php?article111355> (dostęp: 25 stycznia 2018 r.).

22 Antoni Kochanek (1906–1937) pracował jako górnik w kopalni węgla, następnie w fabryce Renault. Walczył w brygadach międzynarodowych, został zamordowany w Hiszpanii w 1937 roku.

bojownicy noszący postępowe idee, podejrzewani o powiązania z ZSRR”, stwierdzili wówczas „Przyjaciele Edwarda Gierka”.

## Zmiany od sierpnia 2017 roku

W Wałbrzychu porwano się także na ulicę **Dąbrowszczaków**, którzy wyróżnili się walecznością podczas wojny domowej w Hiszpanii. „Batalion im. gen. Jarosława Dąbrowskiego liczył około 5 000 żołnierzy. Połową z nich stanowili Polacy z Francji”, mówi dr Paweł Sękowski, historyk z Uniwersytetu Jagiellońskiego<sup>23</sup>. Wydaje się, że IPN dokonuje nadinterpretacji ustawy z 2016 roku rozszerzając pole jej zastosowania w celu „wylimitowania z polskiej pamięci zbiorowej całej tradycji radykalnej lewicy”, kontynuuje badacz. W sierpniu 2017 roku władze Wałbrzycha uchwaliły zmiany nazw ulic. Ulica Dąbrowszczaków odąd nosi miano ul. Monte Cassino, zaś Tomasz Rabeiga ustąpił miejsca jako patron ulicy Tadeuszowi Różewiczowi.

## Reakcja konsula polskiego

Trzeba było zaczekać kilka kolejnych tygodni, aby milczenie przerwali przedstawiciele Polski we Francji. Jako pierwszy uczynił to konsul honorowy Henri Dudziński<sup>24</sup>. Jak mówi Anne-Lise Teneul, dziennikarka „La Voix du Nord”, konsul w swojej wypowiedzi dla gazety odszedł od „rezerwy dyplomatycznej”. Zdystansował się „całkowicie od tego wszystkiego, co dzieje się aktualnie w Polsce. Zamach na tę pamięć [o patronach ulic objętych „dekomunizacją” – przyp. red.], po 75 latach, czyni wiele szkód. Z drugiej jednak strony, należy mieć całościowy ogląd wydarzeń. Kiedy widzę komunistycznych samorządowców i działaczy nazywających autostradę A 21 „autostradą wolności”, budzi to mój sprzeciw. W Polsce pomiędzy 1945 a 1990 rokiem nie było wolności! Odrzucam każdą dyktaturę, brunatną, czerwoną czy czarną” – mówił Dudziński.

## Kierunek: Sosnowiec

W tym samym czasie uwaga społeczności Nord-Pas-de-Calais skierowała się na Zagłębie Dąbrowskie, a dokładnie na Sosnowiec. Na celowniku IPN znalazło się tym razem Rondo im. Edwarda Gierka. Pochodzący z najbliższych okolic tego przemysłowego miasta, liczącego 210 000 mieszkańców, Gierek figuruje na „czarnej liście” skonstruowanej przez instytut. Rzecznik prasowy sosnowieckiego urzędu miejskiego Rafał Łysy wskazuje, iż rondo nosiło imię Gierka od 2002 roku<sup>25</sup>. Pomysłowi sprzeciwił się Arkadiusz Chęciński, prezydent Sosnowca. W czerwcu 2017 roku władze miasta zapytały o opinię w tej sprawie mieszkańców. W referendum wzięło udział prawie 13 000 obywateli. 97,3 proc. głosujących opowiedziało się za utrzymaniem patronatu Edwarda Gierka. Jego postać jest łączona z okresem najbardziej dynamicznego rozwoju miasta

w całej jego historii. W latach siedemdziesiątych rozwinęła się infrastruktura Sosnowca (transport, budownictwo mieszkaniowe, itd.), a warunki życia mieszkańców znacznie się poprawiły. Zdaniem prof. Adama Gierka, eurodeputowanego, syna Edwarda Gierka, pamięć o zasługach tego I sekretarza KC PZPR dla miasta jest tak żywa, że zmiana nazwy ronda w żaden sposób jej nie zagrozi. Ta więź mieszkańców miasta z osobą Edwarda Gierka ma wieloraki wymiar: nostalgiczny, emocjonalny i kulturalny.

## Wojewoda interweniuje

Odmowa podporządkowania się opinii IPN, spowodowała w grudniu na władze Sosnowca reakcję wojewody śląskiego. Wezwał on formalnie władze miejskie do zmiany nazwy ronda. Te jednak pozostały niewzruszone i zaskarżyły decyzję wojewody do sądu administracyjnego. „W warstwie symbolicznej ten protest był aktem logicznym, ponieważ mieszkańcy opowiedzieli się przeciwko zmianie patrona”, podsumował w skrócie działanie władz Sosnowca ich rzecznik prasowy. Rafał Łysy przyznawał równocześnie, że „szanse na korzystne rozstrzygnięcie sprawy są małe”<sup>26</sup>. W Pas-de-Calais, gdzie Edward Gierek pracował jako górnik w kopalni węgla w latach trzydziestych<sup>27</sup>, również nie trzeba było czekać na reakcję. Wzywano do działania przez „Przyjaciół Edwarda Gierka” Christian Musial, członek Partii Socjalistycznej, mer Leforest wypowiedział się w sprawie „dekomunizacji” ronda podczas posiedzenia rady gminnej 19 grudnia 2017 r.<sup>28</sup> Napiętnował „bardzo radykalną, bardzo sekciarską, bardzo ekstremistyczną politykę nowego rządu w Polsce” oraz poinformował o swoim zamiarze wystosowania listu z wyrazami wsparcia do prezydenta Sosnowca. Musial powiedział wówczas: „W pierwszej kolejności chcemy bronić sprawy związkowca, czynnego uczestnika strajku i ofiary ekspulsji z Leforest w 1934 roku. Można być zwolennikiem Gierka, albo nie, ale trzeba przyznać, że przyczynił się on do poprawy sytuacji w zakresie praw górników w Leforest, a później także w Polsce”.

## Polonia raczej ostrożna

**Lewe skrzydło wewnątrz Polonii w Nord-Pas-de-Calais szybko stanęło w szranki z „dekomunizatorami”.** Jednak tradycyjnie wpływowy ruch katolicki, jak również szerszy rzeczą ujmując, ruch stowarzyszeń francusko-polskich zachowywały do całej sprawy dystans. Były prezes Związku Katolickich Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej, Edward Papalski<sup>29</sup> pragnie „uniknąć wszystkiego co dotyczy czystej polityki. Koncentruję się na sferze kulturalnej”. Zapomina przy tym, że jeden z jego rozmówców w Polsce uznał za „normalne, że ulice noszące imiona bezspornych stalinistów muszą zmienić nazwy”. Podobną ostrożność prezentuje Sylviane Ko-

23 Paweł Sękowski w 2015 r. obronił w Université Paris Sorbonne – Paris 4 i w Uniwersytecie Jagiellońskim rozprawę doktorską zatytułowaną *Les Polonais en France dans l'immédiat après-guerre (1944–1949)*. Zmodyfikowana wersja rozprawy ukaże się w 2018 r. w formie monografii w *Presses de l'Université Paris-Sorbonne*. Wersję książkową w języku polskim opublikuje Instytut Pamięci Narodowej.

24 „La Voix du Nord” (wydanie z Lens), 13 września 2017 r.

25 Wywiad telefoniczny przeprowadzony przez Alinę Horbik, listopad 2017 roku; J. Kmiecik, A. Horbik, *En Pologne, des résistances* C la « décommunisation, „Liberté Hebdo”, 24–30 listopada 2017 r.

26 Wywiad telefoniczny przeprowadzony przez Alinę Horbik, grudzień 2017 roku; J. Kmiecik, A. Horbik, *Pologne. Le maire de Leforest monte au créneau, „Liberté Hebdo”, 19–25 stycznia 2018 r.*

27 Edward Gierek brał udział w głośnym strajku w szybie nr 10 w Leforest w sierpniu 1934 r. Następstwem tego wydarzenia była ekspulsja Gierka z Francji. Środek ten dotknął również dziesiątki innych górników polskich. Zob: J. Kmiecik, *Leforest, 1934 grève* C la mine, „NVO”, 19 września 2014 r.

28 „La Voix du Nord” (wydanie Lens-Liévin-Hénin), 3 stycznia 2018 r.

29 Dążąc do zjednoczenia rozmaitych tendencji wewnątrz społeczności francusko-polskiej, E. Papalski działa aktualnie w kierunku powołania Rady Przedstawicieli Instytucji Polonijnych (*Conseil représentatif des institutions de la Polonia*).

walczyk, kolejna osobistość polsko-francuskiego ruchu stowarzyszeniowego, która aktualnie działa w Zgrupowaniu Polonii Regionu Hauts-de-France (*Collectif Polonia Hauts-de-France*)<sup>30</sup>. Kowalczyk zdaje sobie sprawę z tego, iż „nie wolno zapominać naszej przeszłości”, jednak deklaruje, iż „nie zna się wystarczająco na materii historycznej, aby móc wypowiadać się. Moje osobiste odczucia nie są wystarczające, żeby atakować rząd. W sprawę powinni się zaangażować przede wszystkim ludzie, których ona bezpośrednio dotyczy oraz obeznani z zagadnieniem”. Bez wątplenia ani Edward Papalski, ani Sylviane Kowalczyk nie chcieliby uderzać w polskie władze, z którymi będą musieli współpracować w ramach przygotowań do obchodów stulecia niepodległości Polski oraz wydarzeń upamiętniających stulecie masowej imigracji polskiej we Francji<sup>31</sup>.

### „Trzeba uszanować tych bojowników”

Wywodzący się z Akcji Katolickiej Edmond Oszczak wyraził zgodę na wypowiedzenie się „jako obywatel”. Przewodniczący *Collectif Polonia Hauts-de-France* zgadza się, że „temat nie pozostawia nikogo obojętnym. Ludzie tutaj są zaskoczeni i rozżaleni”. Oszczak ocenia, iż „twarda prawica u władzy w Polsce posuwa się za daleko. Okres komunizmu miał swoje dobre i złe strony. Każdy ma swoją opinię na ten temat. Trzeba jednakże uszanować tych Polaków, którzy walczyli z nazizmem we Francji. Oni kierowali się ideałami. W momencie wyzwolenia panował powszechny konsensus wokół tych osób – czy to z prawicy, czy z lewicy, bojowników katolickich czy żydowskich. Tymczasem dzisiaj pozwala się sobie na słowa, że jedni byli lepsi od drugich. To mnie niepokoi. Oczywiście, rozumiem poczucie dumy Polaków. Wiem także, że niektórzy cierpieli ze strony systemu komunistycznego w Polsce. Ale »dekomunizacja« nazw bez najmniejszego niuansowania jest, moim zdaniem, przesadą. Gdyby po każdej zmianie rządu zabierać się za zmiany nazw, dokąd byśmy doszli? Nie ma innych spraw do załatwienia?”. Jednak Edmond Oszczak nie przewiduje żadnych oficjalnych oświadczeń ze strony *Collectif Polonia Hauts-de-France*.

### Paradoksalne skutki

W rezultacie kampania diabolizacji przeszłości Polski Ludowej przysłużyła się paradoksalnie ponownemu rozstawieniu losów bojowników, mniej lub bardziej już pograżonych w zapomnieniu. O ile pamięć o poświęceniu Burczykowskich, czy – w mniejszym stopniu – Bronisława Kani pozostała żywa w Nord-Pas-de-Calais<sup>32</sup>, inni bojownicy nie cieszyli się już taką samą uwagą. Pośród zapomnianych był Tomasz Rabeiga. Wspólnymi staraniami „Przyjaciół Edwarda Gierka” i Towarzystwa Historii Lokalnej w Montigny-en-Ostrevent, któremu przewodniczy Louise Prévost, udało się odtworzyć główne

etapy działalności Rabeigi w służbie klasy robotniczej<sup>33</sup>. Teraz, gdy nazwisko tego związkowca zostało usunięte ze sceny publicznej w Polsce, „Przyjaciele Edwarda Gierka” zasugerowali CGT, aby ta uhonorowała w jakiś sposób swojego byłego działacza.

W okresie mobilizacji przeciw „dekomunizacji” ulic narodziła się prawdziwa dynamika, która logicznie prowadziła jej uczestników do zainteresowania się innymi aspektami antykomunistycznej kampanii prowadzonej przez polski rząd. Dzięki niej możliwe było zajęcie stanowiska przeciwko delegalizacji Komunistycznej Partii Polski, której dwóch działaczy, oskarżonych o propagandę ustroju totalitarnego, zostało pociągniętych do odpowiedzialności przez polski wymiar sprawiedliwości<sup>34</sup>. Grozi im kara więzienia za kontestację „dobrodzieństw” restauracji kapitalizmu na łamach „Brzasku”, organu KPP, oraz na jej stronie internetowej. W sobotę 27 stycznia 2018 r. odbyło się w Paryżu zgromadzenie protestacyjne, które powinno zjednoczyć kilkadziesiąt osób przed budynkiem Ambasady RP [tekst był pisany przed datą tego wydarzenia – przyp. red.]<sup>35</sup>.

### Przygotowanie do faszystów?

Ten rok mobilizacji wszystkich opcji ideowych zainspirował filozofa Georges’a Gastaud<sup>36</sup> do następującej refleksji: „Oficjalny antykomunizm to wiatr w żagle neonazistów. W Polsce klerykalno-rasistowska klika (...) represjonuje KPP, metodycznie niszczy pamięć o Polsce Ludowej i ośmiela haniebne marsze tęskniących za Hitlerem na ulicach Warszawy. Ci, którzy we Francji protestują przeciwko zamachom na wolności w Polsce (prasy, wymiaru sprawiedliwości, oświaty, praw kobiet), nie wypowiadając się przy tym ani słowem w duchu obrony represjonowanych komunistów, przywołują z kolei na myśl tych, którzy w 1933 roku cieszyli się na początku z delegalizacji Komunistycznej Partii Niemiec, zanim sami dołączyli bardzo szybko do komunistów i radykalnych związkowców jako więźniowie obozów koncentracyjnych”.

### JACQUES KMIECIAK

Tłum. z francuskiego: Paweł Sękowski

30 Stowarzyszenie złożyło wnioski rejestracyjne w Podprefekturze w Lens w listopadzie 2017 roku. Jego celem jest przede wszystkim koordynacja sieci francusko-polskich stowarzyszeń w północnej Francji.

31 Te przygotowania dotyczą szczególnie obchodów setnej rocznicy podpisania konwencji francusko-polskiej na temat emigracji/imigracji Polaków do Francji, co miało miejsce we wrześniu 1919 r. w Warszawie.

32 Ich walka była wielokrotnie przedstawiana. Zob. m.in.: J.-M. Fosier, *Zone interdite mai 1940–mai 1945. Nord-Pas-de-Calais, Paris, Editions sociales, 1977; prace opublikowane przez stowarzyszenie Mai-Juin 1941.*

33 Kwerenda w Archives du monde du travail w Roubaix wykazała, że T. Rabeiga pojawił się na pierwszej stronie komunistycznego „Dziennika Ludowego” (wydawanego we Francji w języku polskim) z 1 kwietnia 1938 r., jako delegat na kongres górników CGT w Alès.

34 Ich proces miał się rozpocząć 1 lutego 2018 r. w Dąbrowie Górniczej, w sercu „czerwonego” Zagłębia Dąbrowskiego.

35 Zob. na stronie internetowej Investig’Action: J. Kmiecik, *A Paris, en soutien aux communistes polonais: au nom de l'internationalisme prolétarien*: <https://www.investigaction.net/fr/a-paris-en-soutien-aux-communistes-polonais-au-nom-de-l'internationalisme-proletarien/> (dostęp: 25 stycznia 2018 r.).

36 Zamieszkały w Lens Georges Gastaud jest także sekretarzem międzynarodowym CISC i sekretarzem krajowym PRCF.

STANISŁAW GĘBALA

# POMAZAŃCY PRZECIW ELITOM

Zaczynam pisać ten tekst 21. lipca [2017 – red.] – na-  
zajutrz po przyjęciu przez Sejm ustawy o Sądzie Najwyż-  
szym, przeciw której na ulicach Warszawy protestowały  
tysiące ludzi, podobnie jak w innych większych, średnich,  
mniejszych i nawet całkiem małych miastach Polski. Ile  
tysięcy? Na to pytanie padły już tradycyjnie tak dalece  
rozbieżne odpowiedzi, że nie warto ich przytaczać. Zresz-  
tą żadna liczba, choćby najdokładniej wyliczona, nie by-  
łaby w stanie zmienić przeświadczenia rządzących, że  
protestowały wyłącznie „elity”. To przeświadczenie naj-  
ładarniej ujęła w swoim orędziu, wygłoszonym jeszcze  
tego samego wieczora premier Beata Szydło:

„Mam obowiązek zapewnić, że agresja i frustracja elit  
III RP nie zatrzyma procesów naprawczych. Mamy wizję  
zmian, dlatego prace są szybkie i zdecydowane. Nie ule-  
gniemy! Nie damy się zastraszyć polskim i zagranicznym  
obrońcom elit”.

Tyle zdążyłem zanotować na gorąco, słuchając słów  
brzmiałych jak spizowy dzwon. Przy okazji zastanawia-  
łem się, kogo właściwie słucham? Czy nie osobistości  
z samego szczytu nowej elity władzy? Nie, słowo „elita”  
byłoby tu zgoła obraźliwe. Może więc – „wizjonerki”? No,  
nie przesadzajmy, wizjonerem jest wiadomo Kto – pani  
premier jest co najwyżej jego „pomazańcem”, które to  
określenie sama, niedługo po objęciu urzędu, zaakcep-  
towała.

Nie jestem pewien, czy już uświadomiliśmy sobie  
całą doniosłość planu zastąpienia elit pomazańcami –  
doniosłość we wszystkich wymiarach naszego życia in-  
dywidualnego i zbiorowego.

\*

Uświadomimy je sobie w pełni zapewne dopiero wte-  
dy, gdy nowa władza – złożona z pomazańców – roz-  
prawi się definitywnie z elitami, które są dla niej reliktem  
kastowych podziałów społeczeństwa. Warto zwrócić  
uwagę, że pani premier w pamiętnym orędziu, wygłoszo-  
nym 24. lipca, w dniu, w którym monolitem PiS-u wstrzą-  
snęła zapowiedź prezydenta, że zawetuje dwie z trzech  
szkandarowych ustaw „dobrej zmiany” dotyczących są-  
dów, wyliczając rozmówców, na których powoływał się  
prezydent (m. in. prawników i filozofów), pouczyła go  
surowo, że przede wszystkim „trzeba słuchać głosu zwy-  
kłych Polaków”.

„Zwykli Polacy” to nieco kłopotliwa kategoria z po-  
wodu natrętnych skojarzeń z jednej strony z takimi poję-  
ciami z PRL-owskiej przeszłości jak „szary człowiek” czy  
„szeregowy obywatel”, którzy tworzyli „masy społeczne”,  
a z drugiej z zaszczytnym tytułem „prawdziwy Polak”,  
przyznawanym arbitralnie przez nową władzę. Trzeba  
by zatem przyjąć za oczywistą oczywistość, że „zwykli

Polacy” to „prawdziwi Polacy”, a nie jacyś szarzy czy sze-  
regowi obywatele, pozbawieni nawet poczucia tożsamo-  
ści narodowej. To dumne poczucie czyni ich odpornymi  
na destrukcyjne działania „ulicy i zagranicy”, podsuwając  
jasne sformułowanie celu: „chcemy państwa prawa, nie  
państwa prawników” (cytaty z orędzia).

Retoryka pomazańców chętnie sięga po najprostsze  
środki: mnemotechnikę, tautologie, a zwłaszcza proste  
rymy, które podzieliłbym (niezupełnie zgodnie z pod-  
ręcznikiem) nie na żeńskie i męskie, lecz raczej na rymy  
o mniejszej i większej dynamice. Porównajmy: „ulica  
i zagranica” – to, oczywiście, rym żeński, czyli słabszy.  
A teraz pulsujący niezwykłą siłą rym męski: „Znajdzie  
się kij na lewacki ryj!”. Jest różnica, prawda? (Żeby nie  
było wątpliwości: ten przykład nie pochodzi z orędzia  
pani premier. To jeden z mobilizujących dwuwierszy roz-  
brzmiewających coraz częściej na naszych ulicach jako  
głos zwykłych, czyli prawdziwych Polaków. Warto się  
w niego wsłuchać...)

\*

Nie będzie żadnych dyskusji. Pomazańcy nie dysku-  
tują, gdyż dysponują prawdą objawioną, z którą się nie  
dyskutuje. Jesteśmy nieugięci i nie ugniemy się! Jeste-  
śmy niezłomni, więc nie da się nas złamać! Wszyscy się  
mylą, tylko my jedni mamy rację! Wstaliśmy z kolan! Nie  
będziemy dłużej słuchać, co mówią inni – niech ONI te-  
raz posłuchają, co MY mówimy, a przede wszystkim –  
JAK mówimy:

„Mam odwagę zadać elitom politycznym w Europie  
pytanie: dokąd zmierzacie? Dokąd zmierzasz, Europo?  
Powstań z kolan i obudź się z letargu, bo w przeciwnym  
razie codziennie będziesz oplakiwała swoje dzieci”.

Muszę wyznać, że po wysłuchaniu tych słów długo  
nie mogłem się poruszyć, wbity w fotel ich odwagą i potęgą,  
które musiały wstrząsnąć kontynentem. Warto zwró-  
cić uwagę, że –natchniona bez wątpienia nadprzyrodzo-  
ną siłą – pani premier (NASZA pani premier!), po krótkiej  
apostrofie do tchórzliwych elit europejskich zwróciła się  
bezpośrednio właśnie do całego kontynentu.

Kiedy minęło ostupienie i odzyskałem oddech, dosta-  
łem ataku histerycznego śmiechu.

\*

Na szczęście ciągle jeszcze pomazańcy są bardziej  
śmieszni niż straszni – choć to w każdej chwili może się  
zmienić. Niektórych sama natura obdarzyła wybitną *vis  
comica*; przyzna to zapewne każdy, kto widział np. posta  
Marka Suskiego maszerującego kiedyś na Nowogrodz-  
ką (?) w długim, sięgającym kostek, ciemnym płaszczu  
i nasuniętym prawie na oczy czarnym kapeluszu z ob-

szernym rondem. Ale co tam filmowe kostiumy, w które może przebrać się ktokolwiek! Marek Suski jest mistrzem słowa, które eksploduje komizmem w sytuacjach najmniej spodziewanych, np. kiedy prowadzi przesłuchanie jako wiceprzewodniczący sejmowej komisji śledczej.

Chyba nie będzie zbyt ryzykowne stwierdzenie, że dorównuje mu talentem (choć zupełnie odmiennym w swoim rodzaju) poseł Stanisław Pięta, który telewizjom znany jest głównie z tego, że towarzyszy samemu Prezesowi przemierzającemu długie sejmowe korytarze (wyróżnienie, o którym marzy zapewne wielu posłów PiS). W TVN 24, gdzie oglądałem zwykle te sceny, poseł Pięta był długo niemy i komunikował się z telewizyjną publicznością tylko mimiką i mową ciała – ale już od jakiegoś czasu stał się wręcz poszukiwanym przez dziennikarzy komentatorem wydarzeń. Czyni to tyleż lakonicznie, co z niewzruszonym przekonaniem o nieomyślności sądów, które zostały mu objawione – bo przecież sam tego nie wymyślił. No, skąd! (W tym momencie przypomniałem sobie, że jednak coś wymyślił: „czerwoną lumpeninteligencję”, mówiąc swego czasu o strajkujących nauczycielach: „wyrzuciłbym tę czerwoną lumpeninteligencję na pysk!”.)

Z pewną przesadą ktoś w sms-ie, wysłanym do *Szklą kontaktowego* (już dobrych parę miesięcy temu), skrócił PiS odczytał: „Pięta i Suski” – ale niewątpliwie coś jest „na rzeczy”.

\*

Mówiąc serio: Prawo i Sprawiedliwość jest partią, która posiada wyjątkową siłę przyciągania ludzi toksycznych. Będę powtarzał z uporem, że wielu takich ludzi magnetycznie przyciąga sama nazwa, która ich dowartościowuje – wystarczy zapisać się do PiS-u, żeby poczuć się „prawym” i „sprawiedliwym”. Bez żadnego wysiłku, żadnej autorefleksji zmuszającej do zawsze trudnej pracy nad sobą, a – nie ludźmy się – nie wszyscy jesteśmy do takiego wysiłku zdolni, nie mówiąc już o różnicach potencjału intelektualnego. I tu dochodzimy do kłopotliwego problemu elit, które są obecnie tak cynicznie dezawuowane przez ludzi władzy wygłaszających peany na cześć „zwykłych Polaków”. Trzeba obnażyć ten cynizm, który może nas poprowadzić prostą drogą od demokracji do ochłokracji.

Nie! Sprawa nie wygląda tak prosto. Cyniczni manipulatorzy, którym marzy się autorytaryzm albo wręcz dyktatura, już zaczynają formułować przestrogi przed groźbą rządów „ulicy” – równocześnie gloryfikując „zwykłych” ludzi. Zakładają widać milcząco, iż „zwykli” nie wychodzą na „ulice”. Uczestnicy ulicznych manifestacji to... i tu sypią się inwektywy: „zdraycy”, „łotry”, „stare upiory bolszewickie”, „ubeckie wdowy”, „oczadzeni”, „pożyteczni idioci” (wiadomo dla kogo pożyteczni).

Czyli jedno już wiemy na pewno: „zwykli Polacy” w ogóle nie wychodzą na ulice; to znaczy wychodzą i chodzą po nich, ale na pewno nie manifestują. Zatem gdzie można słuchać ich głosu? Przede wszystkim na oficjalnych spotkaniach z przedstawicielami władzy, a poza tym rzetelnej wiedzy dostarczają, rzecz jasna, odzyskane dla zwykłych Polaków, media publiczne.

\*

Trudno jednak utrzymać ton serio, kiedy pojawia się temat „dobrej zmiany”. Spróbuj jeszcze raz: Umberto

Eco radził niegdyś, by wątpliwości rozstrzygać sięgając do „prostej mądrości słowników”. Ale słowniki właśnie zostały urzędowo unieważnione i teraz już oficjalnie czarne znaczy białe, a białe – czarne. Bezczelność takiej operacji obezwładnia, gdyż likwiduje możliwość jakiegokolwiek dyskusji i, co za tym idzie, sensownego działania. Bo jak można się przeciwstawić dobrej zmianie? Trzeba być niespełna rozumem – myśli „zwykły Polak”.

Równie łatwo można mu wmówić, że jego największym wrogiem są „elity III RP”, które go okłamują i okradają, a poza tym zajmują posady, do których słusznie aspirują jego, np. akurat studiujące, dzieci. Do jątrzenia „zwykłych Polaków” szczególnie nadają się najbardziej wściekle atakowane elity sędziowskie, których przedstawiciele od czasu do czasu sami te ataki znakomicie ułatwiają podkreślając wyjątkowość swojej pozycji społecznej. Demagogicy, których „dobra zmiana” wyniosła na szczyty władzy, posługują się nader skutecznie frazesami o konieczności rozbicia struktur korporacyjnych i otwarcia młodym drogi awansu. Nawet nie maskując swoich prywatnych urazów w pełnych nienawiści wystąpieniach publicznych niszczą uznane prawnicze autorytety, których sami nigdy nie będą w stanie zastąpić.

\*

Bo autentycznych elit nie da się zastąpić pomazańcami, choćby użyto do tego obrzędu świętych olejów, którymi namaszcza się wysokich dostojników kościelnych. W naszej siermiężnej rzeczywistości politycznej czyni to „na sucho” osobiście Prezes swoim palcem wskazującym, a na niższych szczeblach władzy jego prominentni pomazańcy. Wydawałoby się, że tak jest taniej, gdyby nie apanaże pomazańców i – jakże często – brak jakiegokolwiek merytorycznego przygotowania do otrzymywanych stanowisk. Ale przecież – jak powiedział z okazji jednego z głośniejszych takich awansów rozbrajająco szczerze Marek Suski – wystarczy znajomość programu Prawa i Sprawiedliwości.

„Ale to już było” – jak śpiewaliśmy kiedyś w popularnej piosence, której ciąg dalszy okazał się nazbyt optymistyczny: „i nie wróci więcej”. Niestety, wróciło. Nie wróci za to czas stracony na... powroty.

\*

Wrócił przede wszystkim język PRL-owskiej propagandy – tak skutecznie ośmieszony już w tamtym czasie, że jego powrót w III RP wydawał się zgoła nie do pomyslenia. Ba, wrócił – jak mutacje wirusów uodpornione na działanie antybiotyków – odporny na drwinę, którą po prostu ignoruje powtarzając swoje. Więcej: nauczył się, jak podejrzewam, autoironii. Nie mogę się oprzeć np. wrażeniu, słuchając słów Prezesa, które spisałem kiedyś z paska w TVN 24: „W Polsce jest pełna demokracja. Może najlepsza ze wszystkich w Europie” – że mówca z trudem powstrzymywał chichot.

Zupełnie inaczej brzmią sięgające karkołomnych szczytów patosu przywoływane już tu tyrady pani premier. W nich nie ma ani cienia autoironii – jest za to niewzruszona wiara w siebie, pomazańca, który został namaszczonej do spełnienia misji przewodnika innych pomazańców. Warto przypomnieć choćby, jak pani premier przedstawiała swój rząd: „wspaniała biało-czerwo-

na drużyna”. Zapisalem sobie wtedy na kartelusku obok tego cytatu uwagę: patriotyczne szczytowanie w samouwielbieniu.

\*

Żeby wlatywać tak wysoko, trzeba innych nieustannie wdeptywać w ziemię, by się od nich móc odbić. Ale najpierw trzeba się wyraźnie podzielić: my i oni. Potem włącza się już automatyzm degradacji: lepsi i gorsi, wyższa i niższa półka, pierwszy i drugi sort. Ten mechanizm działa również podobnie jak w PRL-u i wywołuje podobne reakcje obronne mające na celu stępienie ostrza inwektyw, którymi obrzuca nas władza – a władzy ostatnio wyraźnie „puszczają nerwy”, co sprawia, że padają inwektywy coraz cięższe.

Istotę jednej z najczęściej i najdłużej stosowanych form społecznej samoobrony najładniej wyjaśnia zwrot: „obrócić w żart”. Przykładami można by sypać jak z rękawa, ale chciałem skupić uwagę tylko na jednym opisanym nie lada piórem, bo przez Adama Zagajewskiego w krótkim felietonie *Potęga zdrobnienia* w „Gazecie Wyborczej” z 28. lipca. Autor z aprobatą pobrzmiwającą rozbawieniem pisze jak młodzi ludzie po pamiętnym sejmowym wystąpieniu Prezesa „w żadnym trybie” witali się na wiecach w Warszawie, Krakowie i pewnie w innych miastach: „Dobry wieczór, zdradzieckie mordeczki!”.

Ostatni akapit przytoczę w całości:

„Doskonały pomysł, żeby z »mord« zrobić »mordeczki«! To przecież zakochani tak mówią do siebie, matka do dziecka, tak mówimy do naszego pieska czy kotka, z czułością. Kiedy z mordy robi się mordeczka, świat się zmienia. Z PiS-u robi się PiS-ik, z dobrej zmiany – dobra zmianka, a z ustawy – ustawka. Strach pomyśleć, co się może zrobić z prezesem...”.

\*

Czytam te słowa znakomitego poety pełen wątpliwości i obaw... Przed oczyma mam bowiem ciągle wykrzywioną nienawiścią twarz Prezesa, z którego ust padają słowa, jakich sala sejmowa chyba jeszcze nie słyszała: „nie wycierajcie swoich mord zdradzieckich nazwiskiem śp. mojego brata. Niszczycielcie go, zamordowaliście, jesteście kanaliaми”. Oczywiście natychmiast usłyszeliśmy (wiadomo skąd) słowa obrony i usprawiedliwienia Prezesa (że został sprowokowany) i próby bagatelizowania („powiedział parę męskich słów” – tak skwitował rzecz poseł Marcin Horala) – ale ja najmocniej zapamiętałem wystąpienie poseł Krystyny Pawłowicz, która zaraz następnego dnia powtórzyła słowa Prezesa, ale już na chłodno, jakby delektując się nimi, tak jak sałatkami konsumowanymi w czasie przydługich obrad Sejmu.

A wracając do ostatniego zdania felietonu... Prezesowi nie są w stanie zaszkodzić żadne zdrobnienia, bo nic nie jest mu w stanie zaszkodzić – pozwoliliśmy mu bowiem na wszystko. Od lat miota z trybuny sejmowej czy z podestu na Krakowskim Przedmieściu w każdą „miesięcznicę smoleńską” najcięższe oskarżenia („sfałszowaliście wybory”, „zamordowaliście”) – zupełnie bezkarnie. Zapominamy je lub „obracamy w żart”. Kto jeszcze pamięta, że zanim przystąpił po ostatnich wyborach do przyspieszonej rozprawy z elitami, za poprzednich swoich rządów dyskredytował je konsekwentnie używając określenia „łże-elity”?

\*

Czy można wszystko „obrócić w żart”? Każde oskarżenie, każdą inwektywę? Odbierając powagę słowom pozbawiamy je tym samym wszelkiej wagi. Coś dziwnego dzieje się z naszym językiem, który jakby przechodził w stan nieważkości. Używamy jeszcze (z przyzwyczajenia) określeń w rodzaju „ciężkie zarzuty” czy „druzgocąca krytyka”, ale słowa, które straciły wagę, nie wywierają już żadnych realnych skutków. Zastanawiam się, jaki sens ma np. pojęcie „groźba karalna”, które ciągle jeszcze jest obecne w naszych kodeksach, skoro nieważkie słowa stały się zarazem bezkarne?

I natychmiast odpowiadam sobie na to pytanie: będzie miało taki sens, jaki nadadzą mu pomazańcy po rozprawieniu się z elitami, a w tym celu wystarczy przekreślić społeczną wartość ich dorobku. Bo elity opierały swój społeczny status na kodeksach, które studiowały i doskonaliły latami. Aż przyszedł ktoś (nie po raz pierwszy w historii), kto uznał cały ten wysiłek za niepotrzebny...

#### PS – dopisane w styczniu 2018 roku.

Przed wszystkim muszę skorygować swoje pochopne stwierdzenie, iż elity są zastępowane przez pomazańców. Jak głęboko się myliłem, uświadomiło mi orędzie noworoczne Pana Prezydenta, który oświadczył z mocą, że nowej konstytucji nie będą pisać elity, ale Cały Naród (jestem pewien, że końcowe słowa wymawiał z wielkich liter). Spiżowy ton tych słów rozwiął wszelkie moje małostkowe wątpliwości – powiedzmy – natury technicznej. Przypomniałem sobie po prostu (sięgając do najgłębszych pokładów swojej pamięci) hasło: „CAŁY NARÓD BUDUJE SWOJĄ STOLICĘ!”.

Zanim jednak przeżyliśmy tę wzniosłą chwilę przed telewizorem za sprawą Pana Prezydenta, parę wlotów ducha zafundowała nam jeszcze Pani Premier choćby w swoim wpisie na twitterze 4. grudnia roku ubiegłego. Wpis zaczynał się stwierdzeniem tyleż bezdyskusyjnym, co rozgrzewającym serce: „Bez względu na wszystko najważniejsza jest Polska”. Potem było zapewnienie, iż znów jesteśmy „przykładem dla Europy i świata”, które sprawiło, że poczułem jakiś niedosyt: czy nie powinniśmy wyjść z tym naszym przykładem już w kosmos? Ale na zakończenie pojawił się znany skoczny rytm: „Tacy jesteśmy Polacy” i moje stare nogi aż poderwały się do krakowiaka: „Albośmy to jacy tacy, jacy tacy...”.

Nie! Mimo najszczerzych chęci, o tej ponurej grotesce, w której żyjemy już trzeci rok, nie da się pisać zachowując powagę. Oczywiście z ulgą przyjąłem spektakularną zamianę miejsc, którą – w prezencji pod choinkę – ofiarowała nam „dobra zmiana”: wicepremier na premiera, a premier na wicepremiera. Natomiast ciąg dalszy rekonstrukcji dokonany już w nowym roku musiałem uznać w pewnym momencie za prawdziwy majstersztyk. Przy okazji zrozumiiałem wreszcie, dlaczego Jarosław Kaczyński **musiał** zostać naczelnikiem państwa – dlatego, żeby Marek Suski **mógł** zostać ministrem. Tylko geniusz polityczny Prezesa posiada moc *creatio ex nihilo*.

A jeśli tak, to po co nam elity?

RADOSŁAW S. CZARNECKI

# FASZYZM WIECZNIE ŻYWY

Prawo i Sprawiedliwość nie jest na pewno partią faszystowską. Nie można używać przesadnie zradikalizowanych i jednoznacznie brzmiących terminów na coś, co może być dopiero zapowiedzią, co jest stymulatorem, co jest zaczynem jakiegoś problemu, zagadnienia, zjawiska. Jest jednak PiS partią ultra-prawicową, hiper-tradycjonalistyczną i narodowo-socjalistyczną (w swym programie gospodarczym). Narodowo-socjalistyczną – czyli z socjalizmem, lewicowością, Oświeceniem niewiele mającą wspólnego oprócz ogólników, nic nie znaczących werbalnych zaklęć. Śmiesznym jest więc (by nie rzec – żenującym i dyskwalifikującym) sposób prowadzenia walki politycznej, tzw. publicznego dialogu (bo są to wyłącznie inwektywy i próby dyskredytacji interlokutora) między PiS-em a PO polegający na próbach udowodnienia kto jest znaczniejszym spadkobiercą Polski Ludowej (co *a priori* jest wg uczestników owego dialogu nieusuwalnym i dyskredytującym stygmatem, a tym samym wiele warstw tego społeczeństwa wykluczającym i piętnującym), kto jest większym „lewakiem” i komunistą, kto jest sojusznikiem i agentem Putina oraz Kremla etc. Odwołuje się tak prowadzony dyskurs do najniższych instynktów tkwiących w polskim społeczeństwie, promując przy tym klerykalizm (zawsze wspierający konserwatywne i tradycjonalistyczne rozwiązania społeczne i taką też narrację), zwierżący antykomunizm, ahistoryczność ludzkich wyborów, prymitywne moralizatorstwo, potęgując nienawiść i ugrunto- wując podziały społeczne. Polaryzacja społeczeństwa nadwiślańskiego poprzez podsycanie nienawiści do obcych, nie-prawdziwych-Polaków (komunistów, „lewaków”, niewierzących, antyklerykałów, środowisk LGBT itd.) „Ruskich”, Niemców, Ukraińców *en bloc*, muzułmanów, osób o ciemnej karnacji skóry itd. jest namacalnym faktem. Takie zjawiska, zawsze w historii połączone z frustracjami, fobiami, ksenofobią, wykluczeniem szerokokich mas społeczeństwa, kończyły się dramatycznie. To żyzne pole do pożywki dla faszyzmu.

*Pra-faszyzm jest nadal wokół nas,  
niekiedy przybrany w cywilne szaty.  
Pra-faszyzm może powrócić do nas  
W najniewinniejszym przebraniu.*

## Umberto ECO

Debata publiczna w naszym kraju, także realizowana przez stronę rządowo-medialną, ma wiele cech narracji

quasi-faszystowskiej (albo wybitnie sprzyjającej takim rozwiązaniom). Ale opozycja demo-liberalna wpisuje się jawnie – z pobudek wspomnianych wcześniej – w ten sam trend. Gra na szachownicy i figurami, jakie ustawia Prawo i Sprawiedliwość tak w obrębie gry politycznej jak i wedle metody jej prowadzenia. Nazwałbym to reaktywnością i pozostawianiem w *szachowym niedoczasie*.

Umberto Eco w jednym ze swych esejów opisał faszyzm jako immanencję kultury chrześcijańskiej Europy. Sporządził listę 14 punktów, jakie określają tzw. jego zdaniem „wieczny faszyzm”. Cechy te nie są jedno-systemowe, wiele bowiem przeczy sobie wzajemnie, gdyż charakteryzują klasyczną despotię bądź fanatyzm. Każda z nich z osobna, jak i w grupie innych (choć nie pełnych) cech jest charakterystyczną dla – jak mówi Eco – „kondensacji faszystowskiej mgławicy”.

1. Nieubłagany kult tradycji. Tradycjonalizm jest starszy niż faszyzm, ale jest on flagą każdej kontrrewolucji, zwłaszcza jeśli chodzi o katolicki integralizm. Dziś jest to figura, która pod płaszczykiem quasi-liberalizmu (neoliberalizm jest karykaturą tego co rozumie się pod pojęciem klasycznego liberalizmu) chce – i w dużej części się jej to udało – zanegować osiągnięcia modernizmu i Oświecenia.

2. Tradycja jako odrzucenie modernizmu jest negacją ewolucji idei, myślenia czy opisów świata. Statyka tej perspektywy jest porażająca, gdyż odmawia jednostce aktywizmu intelektualnego, zawężając go do określonych ideologicznych i religijnie uzasadnianych ram.

3. Irracjonalizm działania „dla samego działania” (czyli „ruch jest wszystkim” bez względu na skutki) to kolejna cecha proto-faszyzmu. Tradycjonalisci, a tym samym i faszyci różnej proveniencji uwielbiają taką formę działania, ruch, „zadymę”, emocje i afekty, nerwowe napięcie, onanizm nad symboliką narodowo-religijną, wielkie słowa wobec nieistotnych i przemijających spraw.

4. Synkretyzm jako efekt ewolucji, zmian, konwergencji, mieszania się jest zaprzeczeniem tradycjonalizmu. Jest też żyzną glebą dla krytyki, sceptycyzmu, które z kolei są nie do zaakceptowania dla integralizmu, autorytaryzmu i kultu statycznie rozumianej tradycji. Faszyzmy różnej maści muszą go odrzucić.

5. Niezgoda na różnorodność jest charakterystyczną cechą tak faszyzmu, jak i różnorodnych ruchów autorytarno-fanatycznych. Obawa przed zróżnicowaniem i pluralizmem jest wynikiem frustracji, niskiego poziomu

intelektu, niechęci i wrogości wobec obcego, INNEGO, cudzoziemca, kosmopolity. Wobec każdego intruza.

6. Źródłem proto-faszystów jest zawsze indywidualna frustracja, brak refleksji krytycznej (czyli sceptycyzmu zapładniającego dystansem każdą auto-refleksję), fobie i poczucie deklasacji (nieważne, czy racjonalnie uzasadnione). I dotyczy to zarówno chłopstwa, proletariatu, dziś – prekariatu, jak i współcześnie szacownej tzw. „klasy średniej” (zdeklasowani „burżuazja” są tak samo podatni na idee faszystowskie jak lumpenproletariat czy lumpeninteligencja).

7. Zdeklasowanym, wyzutym, odrzuconym i poniżonym faszystom mówi zawsze, iż są urodzeni we własnym kraju, są członkami tego klanu, plemienia. U źródła takiego opisu świata leży zawsze obsesja spisków i obłąd ksenofobii. Powiązanie urodzenia w danym kraju z przynależnością do „narodu wybranego” są genozą wskazującą wroga: wewnętrznego (Żydzi, komuniści, geje i lesbijki, Romowie itd.) i zewnętrznego (także Żydzi – uniwersalny tzw. zły, Niemcy, „Ruscy” – cokolwiek pod tym terminem rozumieć, Ukraińcy – *en bloc*, muzułmanie utożsamiani z Arabami, ludzie o ciemnej karnacji skóry etc.).

8. Wróg w retoryce pra-faszystowskiej jest zarówno słaby i potężny. Klasycznym tego przykładem jest prezentacja Rosji w polskich mediach: od kilkunastu lat „chyli się ku upadkowi”, już, już mając upaść pod ciężarem przygniatających ją katastroficznie prezentowanych problemów, a jednocześnie – jest to mega-gracz światowy, mogący np. wpływać na wybory w USA, manipulować referendum w Wielkiej Brytanii, decydować naszym złym demonem Arymanem ze staroperskiej religii o wszelakim złu dziejącym się na świecie, być jego demurgiem i mesjaszem.

9. W optyce proto-faszystowskiej każda walka jest „walką dla życia” (nie o życie). Życia prowadzonego wedle proto-faszystowskiej dewizy, iż walczymy o tzw. Złoty Wiek (czyli czas spełnienia naszych nadziei, pragnień i idei). Armagedon biblijny jest tego najlepszą emanacją.

10. Elitaryzm jest tłumaczony najprościej – jako pogarda dla słabych. To kolejna – niezwykle charakterystyczna dla tego typu mentalności – cecha pra-faszystów. Głosi on elitaryzm dla swego klanu, swego plemienia, swego narodu. Z tym modelem wspólnoty wiąże się też ściśle hierarchicznie zorganizowana struktura społeczna, gdzie przywódca gardzi podwładnym, choć oficjalnie sprawia mu fawory.

11. Wychowanie i edukacja nastawiona jest na kształtowanie bohaterów, ofiary „celów wyższych” (określanych przez przywódców, autorytety, guru, mędrców itd.). Kult heroizmu wmawia ludziom, iż śmierć dla owych „celów wyższych” jest godnym przeciwstawieniem się losowi, przeznaczeniu, sposobem osiągnięcia „nadprzyrodzonej szczęśliwości”.

12. Kult ofiary, heroizmu, wybrania są zabawami (jak twierdzi Eco), które łatwo się nudzą i zdają się być „średnio sympatyczne” na dłuższą metę. Pomocnym jest tu niejako naturalistyczna obrzędowość oraz kultura *macho* (i wszystko co z tym się wiąże). To jest substytut, erzac, surogat przeniesionych do sfery fallicznej niepowodzeń sfrustrowanego adepta ideologii pra-faszystowskiej. To tu tkwi logo hitlerowskiej propagandy: „3 x K” (Kirsche, Küche, Kindern czyli – kościół, kuchnia, dzieci) ustawiająca kobietę w określonej, tradycjonalistycznej, pozycji społecznej.

13. Tu Eco przywołuje związki jakie tkwią między „populizmem jakościowym” a faszystami. Nie ma w nim jednostki, osoby, człowieka – jest lud traktowany jako masa: bezkształtna, monolityczna całość, bezwolna, myśląca wyłącznie wspólnotowo-emocjonalnie, a nie indywidualno-racjonalnie. Internet i współczesne środki masowej komunikacji elektronicznej doskonale współpracują z takim pojęciem demokracji, jaką gardzą wszyscy faszysty, autokraci, integryści, obskuranci religijni (i stającą się w ich wizjach – *demokratą*) gdzie „żywy głos ludu” przeciwstawia się „zgnitemu parlamentarystom”.

14. No i tzw. „nowo-mowa”, która jest przynależna każdej formie dyktatury. Charakterystycznym jest tu ubogie – intelektualnie – słownictwo, prostactwo retoryki i horrendalna manipulacja narracją. Dzisiejsze środki masowego przekazu – zwłaszcza skomercjalizowane do cna stacje TV – poprzez tzw. talk show czy nachalną reklamę tworzą niczym nie różniącą się od orwellowskiego opisu „nowomowy” prymitywną narracją sprzyjającą populizmowi, który staje się pożywną glebą dla idei pra-faszystowskich, gdyż infantylizuje, banalizuje i wulgaryzacji dyskurs publiczny.

Czy w Polsce mamy do czynienia z faszystami czy jeszcze nie, niech na podstawie tych refleksji włoskiego intelektualisty każdy sobie odpowie na te dylematy. I kto z uczestników debat publicznych jest czy nie jest faszystą sprzymierzeńcem, zwolennikiem bądź wyznawcą. Tej chorej i groźnej ideologii.

W podsumowaniu toczonych ostatnimi czasy w Polsce debat na ten temat warto tylko przytoczyć – zwłaszcza nadwiślańskim admiratorom faszystów hiszpańskiego – stwierdzenie słynnego malarza hiszpańskiego Salvadora Dali w chwili kiedy ogłoszono, iż dyktator Francisco Franco Bahamonde (*notabene* – rodak Dalego) jest śmiertelnie chory na raka: „Biedny rak” – miał wtedy powiedzieć Dali.



W dniu 25.01.2018 r. odbyła się w ramach comiesięcznych debat Klubu Dyskusyjnego–Społeczne Forum Wymiany Myśli dyskusja na temat „Faszystacja – mistyfikacja czy realne zagrożenie”. Załączam – logo wspomnianego spotkania dyskusyjnego i skład panelistów.

RADOSŁAW S. CZARNECKI



ALEKSANDRA JASIŃSKA-KANIA

# TERRORYZM: OSĄD MORALNY I POSZUKIWANIE KORZENI

W debatach o definicjach terroryzmu oraz ocenach prawnych i moralnych terrorystycznych akcji jeszcze trudniej jest o uzyskanie zgody i porozumienia zadawalającego różne strony sporu, niż przy innych popularnych, a więc z reguły kontrowersyjnych pojęciach. Podobne taktyki i metody zmierzające do publicznego wywołania *strachu* czy wzbudzenia powszechnego lęku zarówno wśród rządzących jak i ludności mogą służyć różnorodnym celom i motywacjom politycznym, społecznym, ideologicznym i religijnym. Takie same metody i sposoby działania stosowane są przez organizacje terrorystyczne i przez ruchy narodowo-wyzwoleńcze czy bojowników o wolność, przez „terroryzm państwowy” i w „wojnie z terroryzmem”. Termin ten jednakże uzyskał obecnie w języku potocznym tak negatywną konotację, że używany jest tylko w stosunku do wrogów, a nie do własnych działań. Akcje terrorystyczne są uzasadniane lub racjonalizowane za pomocą najrozmaitszych argumentów, przesłanek i rozważań o charakterze politycznym, etycznym, ideologicznym, religijnym, narodowym, etnicznym i rasowym.

Ograniczę się tu do poszukiwania odpowiedzi na następujące kwestie:

1. Jakie są podstawowe kryteria stosowane w ocenach moralnych akcji terrorystycznych?
2. Jakie są główne korzenie gwałtownego wzrostu globalnego terroryzmu w XXI wieku i jakie sposoby przeciwdziałania terroryzmowi mogą prowadzić do podjęcia tych korzeni?

1.

Kontrowersje w kwestii ocen moralnych posługiwania się terrorem – wzbudzaniem strachu jako narzędziem politycznym – mogą wiązać się z rozróżnieniem dwóch typów terroryzmu. Pierwszy typ łączy się z zasadniczym odrzucaniem idei wolności, demokracji i tolerancji, z głęboką wrogością i nienawiścią do obcych, cudzoziemców, niewiernych, wszystkich tych, którzy nie należą do „nas” oraz zasługują na wyłączenie i zniszczenie. W drugim typie metody terrorystyczne stosowane są, by zmienić opinię publiczną i politykę państwową, przyciągając uwagę do spraw szczególnych deprivacji, dyskryminacji, upośledzeń i ucisku o charakterze narodowym, etnicznym, religijnym lub społeczno-ekonomicznym, które są ignorowane i zaniebawiane przez istniejące instytucje polityczne.

Osąd terroryzmu jako zła moralnego jest łatwiejszy w odniesieniu do pierwszego typu, bowiem pozostaje

on w sprzeczności z zasadą uniwersalności praw ludzkich. Religijne uzasadnienia terroryzmu, sankcjonujące go jako akt sakramentalny wynikający z boskiego nakazu, odrzucone i potępiane były przez papieża Jana Pawła II („fundamentalistyczny fanatyzm jest postawą całkowicie sprzeczną z wiarą w Boga. ... terroryzm *instrumentalizuje nie tylko człowieka, lecz także Boga,...*”, 2002: 5-6), Benedykta XVI („terroryzm ... motywowany religijnie” jest wypaczeniem religii „i przyczynia się do jej destrukcji”, 2011) oraz Franciszka („musimy potwierdzić nasze kategoryczne odrzucenie wszystkich form przemocy, odwetu i nienawiści popełnianych w imię Boga”, 2017. „Terroryzm rozwija się, gdzie brak jest innych opcji i kiedy światowa gospodarka umieszcza w swoim centrum jako boga pieniądza, a nie osobę”, 2016).

Zygmunt Bauman przywoływał imperatyw kategoryczny Immanuela Kanta, który głosi: „postępuj wedle takiej tylko zasady, co do której mógłbyś chcieć, aby była prawem powszechnym” oraz uzupełniający go imperatyw praktyczny, który domaga się, by „człowieczeństwo było zawsze celem działania, nigdy środkiem” (por. Nowa Encyklopedia PWN 1996, t.3: 21). W rażącej sprzeczności z tymi zasadami, jak stwierdza Bauman, postępuje nowoczesna racjonalizacja wykazująca szczególne tendencje do „kształtowania *monopolu i wyłączności* uprawnień, zapewniania przywileju stosowania pożądanego prawa przez tych, którzy działają w jego imieniu, (...) podczas gdy dla zabezpieczenia owego przywileju odmawia się zastosowania tej samej zasady wobec jakichś innych odmian człowieczeństwa”. (Bauman 2006: 65).

Drugi typ terroryzmu łączy się z uzasadnianiem swych działań dążeniem do „rozpoznania i zapewnienia uznania tym, którzy są wykluczeni z pełnego uczestnictwa w demokratycznym społeczeństwie” (Schwartzmantel 2011:15). Ten typ terroryzmu uprawiany był przez walczących przeciwko uciskowi społecznemu i ekonomicznemu, panowaniu kolonialnemu czy obcej okupacji. Po Rządach Terroru w czasie rewolucji francuskiej (1793-94), a później okresu Czerwonego Terroru w rewolucji rosyjskiej, terroryzm został przyjęty jako metoda walki rewolucyjnej m.in. przez Czerwone Brygady we Włoszech, Czerwoną Armię w Japonii, grupę Baader-Meinhof w RFN, partyzantkę miejską w Ameryce Południowej. Terroryzm często był stosowany przez obydwie strony w konfliktach antykolonialnych (np. między Irlandią i Wielką Brytanią, Algierią i Francją, Wietnamem i USA), w walkach o kontestowane terytorium

– „odzyskanie utraconej ojczyzny” (Izrael i Palestyna), w konfliktach narodowych, etnicznych i religijnych (np. w Irlandii Północnej, kraju Basków, Czeczenii).

Ten typ terroryzmu może stwarzać wyzwanie dla demokratycznych instytucji jako próba wpływania na politykę oraz zmiany opinii publicznej poprzez wzbudzanie emocji współczucia dla ofiar i strachu przed atakami terrorystycznymi. „Terrorystyci odwołują się do świadomości obywateli demokratycznych państw...dążąc do zwrócenia uwagi na niesprawiedliwość i krzywdy popełniane w imię demokracji” (Schwartzmantel 2011: 92). Chociaż terroryzm jest postrzegany jako symbol i świadectwo niedostatków i słabości systemu demokratycznego, a działania terrorystów mogą kierować się dobrymi intencjami moralnymi, nie znaczy to, że należy zaakceptować kierowaną takimi motywacjami przemoc terrorystyczną jako moralnie uzasadnioną. Dobre intencje czy nawet szlachetne cele nie uświęcają ani nie usprawiedliwiają środków, powodujących krzywdę, cierpienia i śmierć. Osąd moralny terrorystycznych akcji powinien uwzględniać nie tylko ich intencje, lecz także konsekwencje, ich koszty ludzkie, a także to, czy ich pożądane rezultaty mogły być osiągnięte bez użycia strachu i przemocy.

Argumenty wykazujące zło moralne terroryzmu są dość powszechnie akceptowane w przypadku współczesnych akcji terrorystycznych, których ofiarami stają się często losowo wybrane na zakładników niewinne osoby cywilne lub ci, co przypadkowo znaleźli się w miejscu terrorystycznego ataku. Masowe zabijanie i zadawanie ran przypadkowym, niewinnym ofiarom, zwłaszcza dzieciom, jest szczególnie odrażające. Pojawiają się jednak próby usprawiedliwienia terroryzmu, gdy jest skierowany tylko przeciw tym, którzy nie mogą być uznani za niewinne ofiary, bowiem są obwinieni jako sprawcy niesprawiedliwości i ucisku, odpowiedzialni za zło, przeciw któremu walczą terroryści. Kontrargumentacja wobec tych uzasadnień wskazuje, że celem akcji terrorystycznych nie są tylko ich bezpośrednie ofiary, lecz zawsze obejmują one także wytwarzanie strachu wśród szerszej publiczności.

Carl Wellman (2013:31) podsumowując odpowiedzi na pytanie: „Dlaczego terroryzm jest złem?” doszedł do następujących konkluzji: „Terroryzm jako usiłowanie wywarcia pośredniego przymusu na jakiś obiekt poprzez użycie przemocy lub groźbę jej użycia przeciw pośredniemu obiektowi jest zawsze, przynajmniej na pierwszy rzut oka, złem. Ma on cztery zasadnicze czyniące zło cechy. Jest represyjny (stosuje środki przymusu); jest zastraszaniem; używa przemocy lub grozi nią; traktuje osobę tylko jako narzędzie (środek do celu). (...) Terroryzm, przynajmniej w normalnych okolicznościach, jest niemoralny..., ponieważ użycie lub groźba przemocy wyrządza krzywdę i narusza prawa moralne. Fakt, że jest on często atakiem na osoby niewinne lub nie uczestniczące w walce, ma znaczenie dla oceny moralnej terroryzmu z innego względu. Wyklucza to możliwość usprawiedliwienia terroryzmu jako obronnej reakcji wobec złośliwej agresji ze strony jego ofiar”.

Skoro istnieje w kwestii moralnego potępienia terroryzmu tak szeroka zgoda, że nawet termin sam w sobie uzyskał negatywne, uwłaczające znaczenie i stosowany jest tylko wobec wrogów, a nigdy wobec własnych

działań, to czemu jednak akcje terrorystyczne stały się tak powszechne? Dlaczego jednostki i grupy tak często uciekają się do terrorystycznych metod zastraszania, odrzucając politykę negocjacji i kompromisów oraz pośrednictwa odpowiednich instytucji?

## 2.

Druga grupa pytań dotyczy przyczyn gwałtownego wzrostu terroryzmu w XXI wieku i jego swoistych charakterystyk, a także poszukiwania możliwości podcinania jego korzeni.

Można wskazać dwa rodzaje podstawowych przyczyn pozostających w związku z wyróżnionymi poprzednio dwoma typami terroryzmu. Pierwszy powodowany jest przez fundamentalne różnice ideologiczne, wyrażające nierozwiązywalne sprzeczności interesów oraz dążeń do władzy i panowania z użyciem przemocy.

Taki charakter miały m.in. rewolucje i wojny domowe od XVIII do XX wieku, I i II wojny światowe, a w XXI wieku działania terrorystyczne organizowane lub inspirowane przez radykalnych fundamentalistów z organizacji religijnych – dżihadystów, Al-Kaidy, Państwa Islamskiego, ale także np. Chrześcijańskich Patriotów w Ameryce. W odniesieniu do tego typu terroryzmu możliwości pokojowego rozwiązywania konfliktów w drodze dialogu lub przekształcania ich w negocjacje instytucjonalne wydaje się nieprawdopodobne. Obywatele oczekują ze strony swych państw użycia siły militarnej i policji w ich obronie, zapewnienia im spokoju i bezpieczeństwa, podjęcia się zadania przewidywania ataków terrorystycznych i zapobiegania im (lecz ograniczania przemocy państwowej do tego, co jest niezbędne, by nie dopuścić do rzeczywistego zagrożenia). Jednak przysłuchiwanie się argumentacji uzasadniającej akcje terrorystyczne i zwracanie na nią uwagi jest niezbędnym warunkiem przeciwdziałania i neutralizacji jej wpływów, wyjaśniania, że działania terrorystów niosą zło moralne, a ich interpretacja doktryny religijnej jest fałszywa.

Drugi typ ma u swych korzeni różne formy wykluczenia, dyskryminacji, obcego panowania, ucisku narodowego, etnicznego lub religijnego, które tworzą przyczyny stosowania metod terrorystycznych przez różnego rodzaju ruchy oporu. Przykłady ruchów wyzolenia narodowego, antykolonialnych lub domagających się autonomii etnicznej czy religijnej, przytaczane w poprzedniej części, dostarczają też w niektórych przypadkach (np. Irlandii lub kraju Basków) świadectwa, że kontrolowanie, uśmierzanie, czy nawet pokonywanie terroryzmu poprzez pokojowe negocjacje i kompromisy jest możliwe w ramach liberalnej demokracji.

Nowe cechy, charakteryzujące terroryzm w XXI wieku, wiążą się z procesami globalizacji, które „w niespotykanym dotąd stopniu prowadziły do eksterytorialności kapitału, handlu, informacji, przestępczości i terroryzmu” (Bauman 2008: 127) i do przekształcania dwudziestowiecznego narodowego i lokalnego terroryzmu w globalny, międzynarodowy, sieciowy terroryzm dwudziestego pierwszego wieku (por. Bobbitt 2008: 527). Aczkolwiek liczbowo terroryzm lokalny (bez ingerencji i uczestnictwa zewnętrznego) przeważa nad międzynarodowym jak 8 do 1, akcje ponadnarodowe są najbardziej skuteczne w upowszechnianiu strachu i znajdują się w centrum światowej opinii publicznej.

Szczególną rolę w przemianach terroryzmu odgrywają media, zwłaszcza telewizja i internet. Światowe sieci telewizyjne dostarczają natychmiast wiadomości o wszelakich aktach terrorystycznych bezpośrednio do domów wielu milionów widzów, co sprzyja realizacji celów tych aktów: zdobywania rozgłosu powielającego emocje strachu i zagrożenia, a także upowszechniania wiedzy o ich zamiarach i żądaniach politycznych. Wśród efektów tego można wskazać też m.in. imitowanie i upowszechnianie stosunkowo tanich i łatwo dostępnych narzędzi i sposobów działań terrorystycznych: wjeżdżanie samochodem w tłum na ulicy lub atakowanie przechodniów nożem. „Rewolucja informacyjna – jak wykazuje Bruce Hoffman (1998: 147) – może dostarczyć terrorystom jeszcze większych możliwości manipulacji i oddziaływania”. Podkreśla jednak „złożoność symbiozy terroryzmu i mediów” (ibidem: 149).

Struktury współczesnego międzynarodowego terroryzmu różnią się od dwudziestowiecznych scentralizowanych, ściśle powiązanych i kontrolowanych, zwartych, o wyraźnym systemie dowodzenia, hierarchicznych organizacji angażujących się w selektywne, określone akty przemocy. Stały się przeważnie luźno połączonymi, ulotnymi i nieuchwytnymi sieciami, mającymi niewiele powiązań z jakimś przywództwem centralnym, na ogół zapośredniczonymi przez internet. Tym niemniej są one zdolne do rekrutacji szybko rosnących rzesz ludzi niezadowolonych, zwiększa się też liczba ośrodków treningowych dla terrorystów. Jak stwierdza Hoffman (1998: 197): „terroryzm jest najbardziej płynnym i dynamicznym zjawiskiem politycznym, stale ewoluującym i przybierającym nowe, coraz bardziej niebezpieczne formy, aby obejść istniejące procedury bezpieczeństwa i bariery obronne”.

Podjęwane są liczne badania przyczyn terroryzmu, które miałyby dostarczać wniosków i wskazań dotyczących zapobiegania terroryzmowi i zwalczania go. Tim Krieger i Daniel Meierrieks (2011) w przeglądzie empirycznych międzykrajowych badań porównawczych nad determinantami terroryzmu międzynarodowego przedstawiają ich wyniki i konkluzje. Wielu autorów poszukujących korzeni terroryzmu w upośledzeniu ekonomicznym, ubóstwie i nierówności, znajduje powiązania między tymi czynnikami a terroryzmem. „Relatywna deprywacja”, rozbieżność między warunkami ekonomicznymi, w jakich ludzie się znajdują, a takimi, jakie im się – ich zdaniem – należą, wywołuje frustrację i zwiększa podatność na apele terrorystów; sukcesy w rozwoju gospodarczym zmniejszają skłonność angażowania się w terroryzm. Wzrost edukacji obniża aktywność terrorystyczną. W kilku badaniach stwierdzono, że w krajach o wyższych wskaźnikach liberalizmu i demokracji instytucji gospodarczych i społecznych jest mniejsze prawdopodobieństwo wytwarzania międzynarodowego terroryzmu (aczkolwiek ataki terrorystyczne w tych krajach uzyskują większy rozgłos medialny). Polityka opieki społecznej łączy się z niższą aktywnością terrorystów, a wydatki rządowe także wiążą się z redukcją terroryzmu. Niektóre wyniki wskazują, że pokojowa integracja polityczna i współpraca międzynarodowa zniechęcają do działań terrorystycznych, podczas gdy kryzysy i konfrontacje międzynarodowe sprzyjają aktywizacji terrorystów. Jednakże w podsumowaniu autorzy piszą: „Bodajże główny wniosek z istniejących badań

międzynarodowego terroryzmu jest taki, że zjawisko to jest zbyt skomplikowane, by można je było zredukować do jednego korzenia przyczyn i jednego panaceum. Powszechny i polityczny dyskurs na ten temat nie powinien zatem stawiać się ofiarą takich idei” (ibidem: 24).

Jedną z takich niefortunnych idei, prowadzących do zbyt wielu ofiar, stała się koncepcja „wojny z terroryzmem”, ogłoszonej przez USA i NATO w odpowiedzi na ataki terrorystyczne 11 września 2001 r. Po kilkunastu latach widoczna stała się nieefektywność, a nawet przeciwność militarnych kampanii wobec współczesnych „płynnych” form terroryzmu. Wśród konsekwencji antyterrorystycznych kampanii wojskowych można wskazać coraz więcej tzw. „strat ubocznych”, powielające się liczby potencjalnych ochotników do akcji terrorystycznych oraz kontynuację cyklu przemocy i terroru. Papież Franciszek dramatycznie mówił: „Cóż pozostanie w następstwie tej wojny, w środku której teraz żyjemy? Cóż pozostanie? Ruiny, tysiące dzieci pozbawionych edukacji, tak wiele niewinnych ofiar, i mnóstwo pieniędzy w kieszeniach handlarzy bronią”. Zgodnie dopełniające się z diagnozą papieża były też słowa Zygmunta Baumana (2006: 109-110): „Prawdziwa i dająca wygraną wojna przeciw terroryzmowi prowadzona jest nie wtedy, gdy nadal dewastowane są już w połowie zruinowane miasta i wioski Iraku czy Afganistanu, lecz kiedy anulowane są długie biednych krajów, a bogate rynki otwierane są dla ich podstawowych produktów, kiedy wspiera się edukację 115 milionów dzieci pozbawionych obecnie dostępu do szkół, i kiedy inne podobne środki działania zostają wywalczone, uchwalone i wprowadzane w życie”.

Do tych cytatów chciałabym dodać krótką konkluzję, że walka przeciw terroryzmowi stosująca terrorystyczne metody jest zła moralnie, nieefektywna i nieskuteczna. Potrzebne jest uzbrojenie się w nadzieję, że rozwiązywanie społecznych problemów budzących strach może prowadzić do podcinania korzeni terroryzmu.

## ALEKSANDRA JASIŃSKA-KANIA

### Bibliografia

- Bauman, Zygmunt, 2006, *Liquid Fear*, Cambridge: Polity.  
 Bobbitt, Philip, 2008, *Terror and Consent: The Wars for the Twenty-first Century*, London: Allen Lane.  
 Hoffman, Bruce, 1998, *Oblicza terroryzmu*. Warszawa: Politeja.  
 Krieger, Tim and Daniel Meierrieks, 2011, *What causes terrorism?* „Public Choice”, 147: 3-27.  
*Orędzie Ojca Świętego Jana Pawła II na XXXV Światowy Dzień Pokoju 1 stycznia 2002*, „L'Osservatore Romano”, 2: 4-7.  
*Papież o zbrodniach w imię wiary*. „Gazeta Wyborcza”, 28.10.2011.  
*Pope Francis Says Ills of Global Economy, Not Islam, Inspire Terrorism*, „Wall Street Journal”, August 1, 2016.  
*Pope Francis delivers antiterrorism message ...* „Los Angeles Times”, April 28, 2017.  
 Primoratz, Igor, 2013, *Terrorism: A Philosophical Investigation*, Cambridge: Polity Press.  
 Schwarzmantel, John, 2011, *Democracy and Political Violence*, Edinburgh University Press.  
 Wellman, Carl, 2013, *Terrorism and Counterterrorism*, SpringerBriefs in Law.

MAGDALENA EL GHAMARI

# WYZWANIA BEZPIECZEŃSTWA KULTUROWEGO

Globalizacja, jako narastający proces integracji, powinna stanowić główny wyznacznik bezpieczeństwa, posiadający predyspozycje do utrzymania stanu stabilności oraz równowagi międzynarodowej bądź lokalnej, które są w dzisiejszych czasach priorytetowym zadaniem każdego państwa.

W dobie postępującej globalizacji powinno się podejmować działania, które zmierzają do kształtowania korzystnego dla człowieka środowiska bezpieczeństwa w każdej dziedzinie życia społecznego. Zjawisko globalizacji samo w sobie nie stanowi bezpośredniego zagrożenia bezpieczeństwa. Wszystko zależy w znacznym stopniu od zachowań społeczności międzynarodowej, która ma możliwość wyboru i kształtowania globalizacji w sposób sprzyjający lub zagrażający bezpieczeństwu.

Przedmiotem niniejszych rozważań jest środowisko bezpieczeństwa w nieustannie rozwijającym się procesie globalizacji, ze szczególnym uwzględnieniem współczesnych wyzwań bezpieczeństwa kulturowego.

Globalizacja traktowana jest jako rzeczywisty oraz narastający proces integracyjny w skali ogólnosiwiatowej. Globalizacja charakteryzuje się rozprzestrzenianiem trendów światowych w każdej dziedzinie życia społecznego. Jej głównym celem jest stworzenie globalnej wspólnoty, tzw. „globalnej wioski”, a siłą, która niewątpliwie napędza ten proces, jest postęp technologiczny w zakresie mediów elektronicznych, handel zagraniczny, a także polityka międzynarodowa. W dzisiejszych czasach globalizacja objaśniana z subiektywnego punktu widzenia przybiera w efekcie coraz bardziej różniące się od siebie definicje. L.Zacher, polski globalista, termin ten zdefiniował jako rozprzestrzeniające się zjawisko, które w dużym stopniu wpływa na cały świat. Do zjawisk, które intensywnie oddziałują na nasze społeczeństwo, zaliczył przede wszystkim nowe

technologie, dobra finansowe, zanieczyszczenia środowiska, a także masowe migracje.

Dostatecznie pełną oraz wystarczającą definicję terminu *globalizacja*, na tle nauki o stosunkach międzynarodowych wyjaśniła Agnieszka Bógdał-Brzezińska. Przybliżając sens istnienia tego nieuniknionego zjawiska określiła globalizację jako proces rozwijającej się integracji między państwami na arenie międzynarodowej. Globalizację można również definiować jako zjawisko dynamicznego oddziaływania państw oraz kontroli stosunków międzynarodowych w skali ogólnosiwiatowej. Do powszechnie akceptowanych atrybutów globalizacji zalicza się:

- **Wielowymiarowość** – polega na tym, że przejawia się w wielu różnych sferach życia jednocześnie, np. w gospodarce, polityce oraz kulturze;
- **Integrowanie** – odnosi się do połączenia ze sobą gospodarek na różnych poziomach poprzez ścisłe łączenie funkcjonowania rozproszonych po całym świecie podmiotów w ramach powiązań kooperacyjnych, handlowych, inwestycyjno-produkcyjnych oraz politycznych;
- **Współzależności międzynarodowe** – dotyczą zjawiska integracji, a także oddziaływania państw na tle ekonomicznym i politycznym. Współzależności mogą przybierać charakter asymetryczny, przekształcając się w dominację silniejszego partnera zagranicznego lub systemu światowego.
- **Postęp informacyjny, technologiczny** – ma ogromny wpływ na proces globalizacji. W tej dziedzinie następowała w ostatnich kilkunastu latach prawdziwa rewolucja, której elementami są np. mikroprocesory, radio, telewizja, telefony, fax, a przede wszystkim internet.

Globalizacja napędzana jest w głównej mierze przez ciągłe rozwijającą się technologię informatycz-

ną. Środki masowego przekazu umożliwiają rozprzestrzenianie informacji, zjawisk lub wartości na cały świat. Swobodny i natychmiastowy przepływ informacji z jednej strony eliminuje różnice, redukuje przestrzeń, z drugiej zaś lawinowy przyływ informacji uniemożliwia odróżnienie rzeczy istotnych od marginalnych. Technologia informacyjna staje się współcześnie jednym z podstawowych czynników bezpieczeństwa, dającym również nowe instrumenty przeciwdziałania przeróżnym zagrożeniom. Biorąc pod uwagę negatywne skutki można zauważyć, że dany proces prowadzi do zagrożenia cywilizacyjnego oraz społecznego.

- **Dialektyczny charakter** – objawia się postrzeganiem powszechnego zjawiska globalizacji jako nieustającego procesu występowania zjawisk o charakterze przeciwnym. W literaturze zestawia się je w następujące pary: globalizacja – regionalizacja, integracja – dezintegracja, homogenizacja – dyferencjacja, wymiar globalny – lokalny.

Przedstawione powyżej rozumienia globalizacji wskazują na wyraźną presję technologiczną, medialną i komercjalizację wielu sfer życia, dotyczącą np. spraw religii oraz dążenia do upodobnienia życia jednostek i całych grup zgodnie z lansowanymi przez nie modelami. Obok presji kulturowej (jej synonimem jest makdonaldyzacja, czy też zderzenie cywilizacyjne) występują naciski ekonomiczne (działania ponadnarodowych korporacji) lub polityczne – wojny, które najczęściej są wynikiem nierozwiązanych konfliktów globalizacyjnych w sferze ekonomicznej lub kulturowej. Zwolennicy takiego stanowiska uważają, że wyraźnym rytem globalizacji, obok zdominowania rzeczywistości społecznej przez prawa rynku, jest konieczność powszechnej homogenizacji, procesu ujednoczenia wzorów kulturowych, pociągającym za sobą uniformizację sposobów uczestniczenia w różnych przejawach działalności kulturowej. Globalizacja i homogenizacja stają się w tym ujęciu synonimami, określającymi zjawisko zdominowania ludzkiej świadomości przez elektroniczne środki masowego przekazu, które ujednoczają zarówno treści kulturowe, będące w powszechnym obiegu, jak i sposób ich odbioru.

Czytając powyższe sformułowania można określić, iż globalizacja ma znaczący wpływ na stan bezpieczeństwa regionalnego lub międzynarodowego. Jak powszechnie wiadomo bezpieczeństwo jest naczelną potrzebą człowieka i grup społecznych, państw, a także systemów międzynarodowych. Zachwianie tego stanu wywołuje niepokój i poczucie zagrożenia. Państwa oraz organizacje międzynarodowe starają się oddziaływać na swoje otoczenie zewnętrzne i sferę wewnętrzną, tak aby usuwać, a przynajmniej oddalać zagrożenia, eliminując własny lęk, obawy, niepokój i niepewność. Stan zrównoważonego bezpieczeństwa stanowi podstawę prawidłowego funkcjonowania społeczeństwa oraz państw.

Zjawisko globalizacji w dziedzinie bezpieczeństwa narodowego oraz międzynarodowego ma ogromny wpływ na rekomendowanie globalnej idei „dobrego ładu” oraz prawidłowego rządzenia. Biorąc pod uwagę wojny w Iraku czy Afganistanie pozostaje jedynie pytanie: Czy promowane wartości są dobrze wykorzystywane w praktyce?

Wzrastające zależności polityczne i gospodarcze wzmacniają międzynarodowe instytucje bezpieczeństwa, a także inne organizacje popularyzujące pokojowy sposób rozwiązywania sporów międzynarodowych.

Przeróżne organizacje międzynarodowe (NATO, UE, ONZ, OBWE i inne) mają możliwość kształtowania światowej opinii publicznej, zdolnej do wywierania nacisku w kwestiach dotyczących globalnego bezpieczeństwa, np. zakazu proliferacji broni masowego rażenia lub ochrony środowiska naturalnego. Wdrażanie wspólnych norm i standardów, ustalonych przez organizacje międzynarodowe przynosi możliwość rozwoju w zakresie bezpieczeństwa, wzrostu poziomu życia społecznego, a także zespała rynki narodowe w jeden wspólny rynek światowy.

Można pokusić się o stwierdzenie, że globalizacja w dużym stopniu dąży właśnie do ujednoczenia całego świata, który miałby się stać jedną, wspólną przestrzenią bez granic. Proces ten prowadzi do utworzenia tzw. kultury globalnej, która polegałaby na uzależnieniu oraz integracji ludności z odrębnych kręgów kulturowych. Zważywszy na ogromne różnice pomiędzy kulturami, religiami, światopoglądami, można stwierdzić, że nie stanowiłyby solidnej podstawy bezpieczeństwa.

Odrębności kulturowe mogą stanowić podłoże antagonizmów i konfliktów. Uważa się, że źródłami konfliktów międzynarodowych mogą być także różnice kulturowe wywodzące się w znacznej mierze z podziałów religijnych. Idee, ideologie będą stanowić podłoże, siłę napędową przyszłych i już trwających konfliktów. Poprzez odmienności wynikające z różnic kulturowych nie jesteśmy w stanie zespolić, ujednoczyć wszystkich państw, tworząc jedną, wielką cywilizację.

Jedynie gospodarka globalna stwarza pewne pozory ujednoczenia, próbując połączyć społeczeństwa za pomocą zachodnich dóbr materialnych oraz standardów. Ze względu na różnice kulturowe, religijne, podzielony świat (bogata Północ – biedne Południe), rozwarstwienie na kraje o wysokim standardzie technicznym oraz kraje zacofane pod tym względem, globalizacja nie stanowi podstawy bezpieczeństwa międzynarodowego.

Z pewnością globalizacja powinna propagować działania zachęcające do międzynarodowej odpowiedzi na pojawiające się wspólne problemy zagrożenia bezpieczeństwa, które objawiają się sferze technologii (broń jądrowa, internet i cyberterrorizm), środowiska naturalnego (zmiany klimatyczne, np. dziura ozonowa), a także innych równie ważnych cywilizacyjnych zagrożeń społecznych (terrorizm, ubóstwo, analfabetyzm, nietolerancja).

Trzeba jednak pamiętać, że naturalne procesy globalizacyjne nie stanowią leku na chaos i problemy współczesnego świata. Błędna jest opinia oraz twierdzenia które podkreślają, iż globalizacja sama uporządkuje świat, zahamuje wszystkie konflikty i wojny, gdyż przyszłości globalizacji nie da się przewidzieć. Nie należy utożsamiać tego procesu z cudownym uzdrowicielem narodów. Globalizacja nie uodporni także gospodarki światowej na wstrząsy z tego względu, że sama w sobie nie zawiera metod zaradczych.

U podstaw bezpieczeństwa globalnego leży zapewnienie bezpieczeństwa na poziomie narodowym rozumianym jako ważna potrzeba egzystencjalna, wynikająca z obiektywnych warunków życia ludzi oraz różnych grup społecznych, ich wzajemnych relacji, wymagająca troski o jej zaspokojenie. Dawniej pojęcie zagrożeń bezpieczeństwa narodowego odnosiło się jedynie do jego militarnych aspektów. Obecnie rozumiane jest jako brak bezpieczeństwa we wszystkich dziedzinach życia i działalności człowieka.<sup>1</sup>

Za zagrożenie bezpieczeństwa państwa uważa się „taki splot zdarzeń wewnętrznych lub w stosunkach międzynarodowych, w którym z dużym prawdopodobieństwem może nastąpić ograniczenie lub utrata warunków do niezakłóconego bytu państwa oraz jego partnerskiego traktowania w stosunkach międzynarodowych w wyniku zastosowania przemocy politycznej, psychologicznej, ekonomicznej, militarnej itp.”<sup>2</sup>, a co za tym idzie – można wyróżnić następujące kryteria zagrożeń bezpieczeństwa narodowego:

- 1) przedmiotowe: polityczne, militarne, ekonomiczne, społeczne, ekologiczne;
- 2) skutków zagrożeń: fizyczne, psychiczne;
- 3) źródeł zagrożeń: naturalne, techniczne, ustrojowe, demograficzne, ideologiczne, gospodarcze, edukacyjne, psychologiczne, kulturowe;
- 4) miejsca zagrożeń: wewnętrzne, zewnętrzne;
- 5) środowiska: przyrodnicze, społeczne, polityczne, gospodarcze, naukowo-techniczne;
- 6) dynamiki rozwoju: dynamiczne, pulsujące;
- 7) zasięgu zagrożeń: globalne, kontynentalne, regionalne, lokalne;
- 8) charakteru stosunków społecznych: konfliktowe, niekonfliktowe;
- 9) skali zagrożenia: światowe, międzynarodowe, państwa, jednostki.<sup>3</sup>

Rozpad dwubiegunowego podziału świata wprowadził znaczne zmiany w globalnym systemie bezpieczeństwa. Obecnie bezpośredni wpływ na jego stan wywierają cztery grupy zagrożeń:

- nacjonalizmy i konflikty etniczne,
- międzynarodowa przestępczość zorganizowana,
- tradycyjne zagrożenia militarne,
- zagrożenia ekologiczne.<sup>4</sup>

Transformacje po Jesieni Ludów w 1989 r. doprowadziły do rozprzestrzeniania się sporów o charakterze narodowościowym, pojawił się nacjonalizm, który prowadził do konfliktów zarówno wewnętrznych jak i międzypaństwowych. Zjawisko to wynika z dokończenia historycznego procesu narodowyzwolenczego, który po długim okresie ograniczenia swobody stanowił chęć narodów do samostanowienia. Potocznie nacjonalizm uważa się za postawę nieliczącą się z potrzebami oraz dążeniami innych narodów czy narodowości. Negatywnym skutkiem tego zjawiska jest niebezpieczna destabilizacja państw wielonarodowościowych, jak również sceny międzynarodowej. Konflikty na tle et-

nicznym przysparzają problemów nie tylko w państwie na terenie, którego się rozgrywają, ale również krajom sąsiednim. Generują problemy związane z uchodźcami, zorganizowaną przestępczością, wpływają na rozwój handlu, a także mogą prowadzić do dalszych konfliktów na tle narodowościowym. Zasadnicze znaczenie dla bezpieczeństwa ma to, czy są to mniejszości „bezpatriotyczne”, czy też mające oparcie w państwie „macierzystym” – tzw. narody podzielone. Separatyzm mniejszości narodowych wspieranych przez państwo, z którym się utożsamiają, może prowadzić do autonomii, a w skrajnych wypadkach do rozbicia państw wielonarodowych.<sup>5</sup>

Zorganizowana przestępczość funkcjonuje na różnych obszarach życia społecznego oraz przybiera różne formy działalności. W literaturze przedmiotu trudno natrafić na jej jednoznaczną definicję, można jednak wyodrębnić cztery elementy wspólne:

- zorganizowana i stabilna hierarchia w strukturach przestępczych,
- osiąganie korzyści z działalności przestępczej,
- stosowanie siły i zastraszania,
- posługiwanie się korupcją.<sup>6</sup>

Zorganizowane grupy przestępcze nie ograniczają swojej działalności do granic państw, budują ponadnarodowe siatki powiązań i struktury stanowiąc zagrożenie dla stabilności bezpieczeństwa międzynarodowego.<sup>7</sup>

Za główną formę zorganizowanej przestępczości międzynarodowej uważa się terroryzm. Według kryterium przedmiotu czynu wyróżnia się:

- a) terroryzm pospolity – skierowany przeciwko grupom obywateli, a także jednostkom;
- b) terroryzm antypaństwowy – wymierzony przeciwko instytucjom państwowym i ich funkcjonariuszom;
- c) terroryzm międzynarodowy – ukierunkowany jest przeciwko wszelkim instytucjom, osobom oraz obiektom chronionych przez prawo międzynarodowe.

Ze względu na podmiot czynu można wyodrębnić terroryzm: jednostek, organizacji przestępczych, państwowy.<sup>8</sup>

We współczesnym świecie oprócz klasycznego terroryzmu pojawiły się także następujące jego formy: nuklearny, chemiczny, biologiczny, polityczny i cyberterroryzm.<sup>9</sup> Międzynarodowe organizacje przestępcze mogą utrudnić funkcjonowanie państw oraz wprowadzać niepokoje społeczne. Walka z takim rodzajem przestępczości jest prawie niemożliwa, organizacje te mogą być ścigane przez organy państwowe dopiero po dokonaniu przestępstw karnych, działania prewencyjne są niemożliwe, więc przestępczość zorganizowana wciąż będzie się rozwijała.<sup>10</sup>

Powszechnie za zagrożenia militarne uważa się użycie lub groźbę użycia siły militarnej przez państwa, jednak przykłady zamachów dokonywanych w ostatnich latach ukazują, że takie zagrożenie może pojawić się również ze strony organizacji nie będącej podmio-

1 Zob. Z. Ciekanowski, *Rodzaje i źródła zagrożeń bezpieczeństwa*, „Bezpieczeństwo i Technika Pożarnicza”, 2010, nr 1, s.27-28.

2 Por. S. Dworecki, *Zagrożenia bezpieczeństwa państwa*, Warszawa, s. 61.

3 Por. R. Jakubczak, *Obrona narodowa w tworzeniu bezpieczeństwa III RP*, Warszawa 2003, załącznik 32.

4 R. Zięba, op.cit., s. 115 (patrz przypis nr 18)

5 R. Zięba, op.cit., s. 79-81

6 R. Zięba, op.cit., s. 97-98.

7 Ibidem, s. 98.

8 Ibidem, s. 100.

9 G. Łyko, *Współczesny terroryzm jako zagrożenie bezpieczeństwa demokratycznego państwa*, [w:] *Współczesne wyzwania bezpieczeństwa europejskiego: wybrane aspekty*, (red.) P. Mickiewicz, K. Kubiak, Pelplin 2004, s. 109-120.

10 R. Zięba, op.cit., s. 101.

tem prawa międzynarodowego. Do osiągnięcia celów politycznych może służyć:

- demonstracja siły,
- dywersje militarne,
- blokada militarna,
- szantaż militarny,
- prowokacja militarna,
- incydent graniczny,
- napaść zbrojna grup nieformalnych,
- konflikt lokalny lub między państwami.<sup>11</sup>

Za główny czynnik tradycyjnych zagrożeń militarnych uważa się wysokie zapasy uzbrojenia i duże stany liczebne armii niektórych państw oraz handel bronią. Szczególnie niebezpieczne jest rozprzestrzenianie najnowocześniejszej broni i technologii raketowej. Handel bronią jest ogromnym źródłem dochodów, a także jednym z ważnych elementów współczesnej dyplomacji. Kolejnym zagrożeniem są pozostające w dyspozycji wielkich mocarstw zasoby broni jądrowej i ryzyko jej rozprzestrzeniania.<sup>12</sup>

W ostatnich latach można zaobserwować coraz powszechniejsze używanie środków masowego rażenia przez organizacje terrorystyczne. Broń jądrowa znajdująca się w ich rękach stała się istotnym problemem dla większości państw i rządów, organizacji politycznych, militarnych i społecznych oraz szeroko rozumianej światowej opinii publicznej.<sup>13</sup>

Wzrost świadomości zagrożeń ekologicznych spowodował zmianę stosunku do środowiska, a co za tym idzie bardziej racjonalne nim zarządzanie.<sup>14</sup> Coraz większa ilość zanieczyszczeń oraz wyczerpywanie się nieodnawialnych surowców naturalnych wpływają na pogarszanie się jakości życia ludzi, a jednocześnie stają się źródłem nierówności między nimi. W konsekwencji może to prowadzić do migracji „ekologicznych”. W skrajnych wypadkach problemy te mogą prowadzić do rywalizacji i napięć między państwami.<sup>15</sup>

W publikacjach dotyczących zagrożenia bezpieczeństwa narodowego rzadko pojawia się istotny problem zagrożenia społecznego, odnoszącego się do utraty życia i zdrowia, tożsamości narodowej i etnicznej poszczególnych społeczności oraz bezpieczeństwa socjalnego i publicznego. Zalicza się do nich:

- naruszanie praw człowieka a także podstawowych wolności,
- uprzedzenia kulturowe, religijne oraz dyskryminacja mniejszości,
- dyskryminację płci,
- manipulację za pomocą środków masowego przekazu oraz ograniczanie wolności mediów,
- nacjonalizm, szowinizm, ksenofobię, fundamentalizm religijny,
- patologie społeczne,
- masowe migracje,
- alienację społeczną,
- dewaluację wartości ludzkich,
- kult przemocy, brutalizację stosunków między ludzkich,
- katastrofy i kataklizmy,
- kradzieże dóbr kultury,

- kryzysy demograficzne,
- ubożenie dużych grup społecznych.<sup>16</sup>

Brakującym obszarem badań w dziedzinie nauk o bezpieczeństwie i obronności jest bezpieczeństwo kulturowe oraz kultura bezpieczeństwa. Są to niezwykle ważne obszary, bowiem współczesne państwo jawi się jako gwarant wielu obszarów bezpieczeństwa, w tym bezpieczeństwa kulturowego.<sup>17</sup>

Teoria bezpieczeństwa klasyfikuje bezpieczeństwo kulturowe w oparciu o kryterium przedmiotowe jako jeden z typów bezpieczeństwa, obok takich rodzajów tego stanu jak bezpieczeństwo polityczne, militarne, ekonomiczne, społeczne, ideologiczne i ekologiczne.<sup>18</sup> Zasadniczym celem bezpieczeństwa kulturowego jest nie tylko ochrona dóbr kultury materialnej i dziedzictwa kulturowego, lecz w szerokim ujęciu także: ochrona wartości istotnych dla tożsamości narodowej, ochrona odrębności kulturowych związanych z etnicznością lub mniejszościami narodowymi, tworzenie otwartości kulturowej – swobodnego przepływu wartości powszechnie uznanych za cenne, promowanie kultury narodowej na świecie i tworzenie sprzyjających warunków do rozwoju kultury.<sup>19</sup>

Prawo swobodnego przepływu wartości, ideologii, promowania kultury narodowej w świecie i tworzenia sprzyjających warunków do rozwoju kultury wynika m.in. ze sporządzonej w Paryżu Europejskiej Konwencji Kulturalnej Rady Europy z 19 grudnia 1954 r.<sup>20</sup> (przyjętej przez Polskę w 1990 r.) oraz Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych z 19 grudnia 1966 r.<sup>21</sup> i Międzynarodowego Paktu Praw Ekonomicznych, Socjalnych i Kulturalnych z tego samego dnia (przyjętych przez Polskę w 1977 r.).<sup>22</sup>

Bezpieczeństwo kulturowe występuje na dwóch płaszczyznach oraz w kilku aspektach, zwłaszcza w powiązaniu z różnymi kierunkami bezpieczeństwa. W pierwszej płaszczyźnie (państwowej) bezpieczeństwo kulturowe ściśle powiązane jest z bezpieczeństwem militarnym, ekonomicznym, ekologicznym i politycznym

Bezpieczeństwo kulturowe to stan, w którym społeczeństwo lub społeczność zamieszkujące jakieś terytorium mogą utrwać i pielęgnować wartości decydujące o ich tożsamości (narodowej, społecznej, religijnej, inaczej – poczuciu przynależności, identyfikacji ze zbiorowościami), a jednocześnie czerpać ze wzorów i doświadczeń innych społeczeństw/społeczności. To również pewność przetrwania i rozwoju tożsamości narodowej czy religijnej danej społeczności oraz ochrona przed obcymi wpływami, a zatem niebezpieczeństwem osłabienia spójności wewnętrznej.

Bezpieczeństwo kulturowe to jednocześnie proces, który oznacza poznawanie oraz umiejętność identyfikacji zagrożeń, szans i wyzwań z nim związanych.

11 Z. Ciekankowski, op.cit., s. 32.

12 R. Zięba, op.cit., s. 89-96.

13 Z. Ciekankowski, op.cit., s. 32-33.

14 A.W. Ziętek, op.cit., s. 136 (patrz przypis nr 25).

15 R. Zięba, op.cit., s. 105-106.

16 Z. Ciekankowski, op.cit., s.38-39.

17 K. A. Wojtaszczyk, A. Materska-Sosnowska (red.), *Bezpieczeństwo państwa – wybrane problemy*, ASPRA-JR, Warszawa 2009, s. 13.

18 R. Zięba, *Instytucjonalizacja bezpieczeństwa europejskiego*, Scholar, Warszawa 1999, s. 31.

19 W. Kitzler, *Bezpieczeństwo narodowe RP. Podstawowe kategorie, uwarunkowania, system*, AON, Warszawa 2011, s. 176.

20 Dz. U. z 1990 r. nr 8, poz. 44.

21 Dz. U. z 1977 r., nr 38, poz. 169.

22 Dz. U. z 1977 r., nr 38, poz. 169.

Bezpieczeństwo kulturowe to proces pozwalający na identyfikację współczesnych zagrożeń bezpieczeństwa międzynarodowego. Do głównych determinantów bezpieczeństwa kulturowego można zaliczyć:

- ustroj państwa (demokratyczny lub nie);
- prawa i wolności człowieka;
- uwarunkowania historyczne;
- uwarunkowania polityczne;
- uwarunkowania etniczne oraz plemienne;
- uwarunkowania religijne;
- regulacje i relacje międzynarodowe (w tym stosunek do inicjatyw i postanowień organizacji międzynarodowych);
- dysproporcje rozwojowe (w ramach relacji na linii: centra półperyferii–peryferii), ponadto dwupłaszczyznowość i wieloaspektowość bezpieczeństwa kulturowego.

Ze względu na szerokie (pozytywne) rozumienie, bezpieczeństwo kulturowe możemy rozpatrywać na dwóch płaszczyznach.<sup>23</sup> Ma ono bowiem charakter dualistyczny – odnosi się do sfery państwowej (bezpieczeństwo kulturowe państwa) oraz społecznej (bezpieczeństwo kulturowe jednostek i wspólnot kulturowych – narodów, grup etnicznych, wspólnot wyznaniowych). Obie te sfery sprzężone są ściśle ze sobą, zwłaszcza w aspekcie prawnym, bowiem poszczególne przepisy prawne gwarantując ochronę pierwiastków kulturowych istotnych z punktu widzenia państwa zapewniają ochronę elementów kultury istotnych dla jednostki. W tym kontekście za bezpieczeństwo kulturowe należy uznać stan, w którym społeczeństwo zamieszkujące terytorium danego państwa może utrwalac i pielęgnowac wartości decydujące o jego tożsamości, a jednocześnie czerpac z wzorów i doświadczeń innych narodów.<sup>24</sup>

Jak wspomniano, dla bezpieczeństwa kulturowego możemy wskazać kilka istotnych elementów, tj.: zachowanie tożsamości kulturowej, czystości języka, kultury, istotnych dla narodu zwyczajów, a nawet religii. Jednak nie można poprzestać na tym i do wartości istotnych z punktu widzenia bezpieczeństwa kulturowego zaliczyć można także: wolność myśli, styl życia, prawa przynależności etnicznej czy prawdę historyczną.

Często bezpieczeństwo kulturowe ściśle powiązane jest z bezpieczeństwem indywidualnym właśnie poprzez wspólny mianownik, którym są prawa i wolności człowieka. W pierwszej płaszczyźnie (państwowej) bezpieczeństwo kulturowe ściśle powiązane jest z bezpieczeństwem militarnym, ekonomicznym, ekologicznym i politycznym. Konsekwencją bowiem konfliktów zbrojnych jest niszczenie dóbr kultury, co niejednokrotnie ma charakter celowy i zamierzony.<sup>25</sup> W drugiej płaszczyźnie (społecznej), będącej częstokroć konsekwencją działań bezpośrednio związanych z płaszczyzną pierwszą, bezpieczeństwo kulturowe jawi się już jako zespół elementów wyrażających za-

groźenie dla narodu lub jego części, grupy etnicznej, języka, dzieł kultury w znaczeniu materialnym, tradycji i zwyczajów. Niszczenie dziedzictwa kulturowego w wymiarze materialnym i niematerialnym może uniemożliwić całemu państwu (narodowi) przetrwanie poprzez negatywny wpływ na rozwój mieszkańców czy wręcz zahamowanie tego rozwoju.<sup>26</sup> Wypieranie się kultur jest doskonale znane z historii.

W tym kontekście z bezpieczeństwem kulturowym wiążą się: uzyskanie dominacji kulturowej, narzucanie innym kulturom i społeczeństwom swoich wartości, terroryzm czy zorganizowana przestępczość. Przejawiać się to może nie tylko poprzez niszczenie i grabież dzieł sztuki, ale także eliminację tożsamości oraz odrębności kulturowych, językowych oraz tradycji i zwyczajów. Niestety zdarza się, że te przestępcze działania mają swe źródła w nienawiści na tle etnicznym czy religijnym i w tym kontekście umacnianie zabezpieczenia i ochrony praw człowieka jest kwestią nadrzędną. Jakikolwiek przejaw nienawiści, dyskryminacji czy nawet mniejszego wymiaru nietolerancji na gruncie narodowym, etnicznym, religijnym, politycznym, ekonomicznym, społecznym, w tym seksualnym, są na gruncie prawa międzynarodowego zakazane.

Usystematyzowanie i zestawienie (porównanie) ze sobą cech poszczególnych kultur jest niewątpliwie pomocnym narzędziem w badaniach nad czynnikami społeczno-kulturowymi. Jednakże wszelkiego rodzaju klasyfikacje mogą prowadzić do uogólnień, sprzyjających powstawaniu i utrwalaniu stereotypów. W komunikacji międzykulturowej należy zwracać uwagę, nie tylko na odmienności kulturowe, ale również na różnice zachowań mniejszych grup, czy nawet poszczególnych jednostek. Nie bez znaczenia jest przecież płeć, wiek, wychowanie czy doświadczenia zdobyte w życiu, a nawet konkretna sytuacja komunikacyjna.

Komunikacja międzyludzka nie jest celem samym w sobie. Celem komunikacji jest skuteczne przekazywanie informacji, a szybka i skuteczna informacja to klucz do realizacji założonych celów. Dobra komunikacja to przede wszystkim szeroka otwartość umysłu polegająca głównie na pozbyciu się wszelkich uprzedzeń czy stereotypów. Dobre przygotowanie merytoryczne do kontaktu z obcą kulturą i jej przedstawicielami owocuje stworzeniem przyjaznej atmosfery sprzyjającej nawiązywaniu kontaktów.

Czynniki społeczno-kulturowe mogą stać się poważnymi przeszkodami w komunikacji międzykulturowej i uniemożliwić współdziałanie podmiotów. Im większe są rozbieżności pomiędzy kulturami, tym trudniej jest znaleźć wspólny „grunt” dla komunikacji.

## MAGDALENA EL GHAMARI

23 A. Włodkowska, *Bezpieczeństwo kulturowe*, [w:] *Bezpieczeństwo państwa...*, op. cit., s. 149.

24 G. Michałowska, *Bezpieczeństwo kulturowe w warunkach globalizacji procesów społecznych*, [w:] *Bezpieczeństwo narodowe i międzynarodowe u schyłku XX w.* (red. D. B. Bobrow, E. Haliżak, R. Zięba), Scholar, Warszawa 1997, s. 132.

25 A. W. Ziętek, *Bezpieczeństwo kulturowe w Europie*, UMCS, Lublin 2013, s. 75.

26 J. Czaja, *Bezpieczeństwo kulturowe – zarys problematyki*, KSW, Kraków 2004, s. 32.



JANUSZ A. MAJCHEREK

# INTERESY I SYMBOLE

Od czasu wyborczego zwycięstwa PiS trwa nierozstrzygnięty wciąż spór o przyczyny politycznego zwrotu, w tym wydarzeniu odzwierciedlonego oraz nim zapoczątkowanego. Zarysowują się w tym sporze dwa wyraźne, a przeciwstawne sobie stanowiska. Jedno wynika z dopatrywania się powodów w sferze materialnej, drugie zaś w symbolicznej (niegdyś zwanej duchową). Taka rozbieżność jest wyrazem przeciwstawienia tych dwóch sfer, co samo może wywoływać kontrowersje.

W analizie procesów społeczno-politycznych zachodzących w Polsce należy, oczywiście, uwzględniać lokalne uwarunkowania i konteksty. Trudno jednak zaprzeczyć, że podobne procesy pojawiły się i nasilają obecnie także w innych państwach i społeczeństwach, od rosyjskiego i tureckiego, przez węgierskie i czeskie, do amerykańskiego. Wyrażają się w osłabieniu liberalnego komponentu demokracji oraz lewicowego biegu na politycznym spektrum, połączonym ze wzrostem siły prawcowego populizmu i narodowego partykularyzmu, a nawet egoizmu. Ponadnarodowy – paradoksalnie – charakter tych trendów podważa, a przynajmniej osłabia wszelkie wyjaśnienia odwołujące się do kontekstów lokalnych, w rodzaju zniesmaczenia ośmiorniczkami, miałkiej kampanii prezydenckiej czy wrzawy wokół katastrofy smoleńskiej. Przyczyny muszą tkwić głębiej i mieć szerszy zakres.

## Marks vs. Weber

Tu właśnie zarysowuje się zasygnalizowana wyżej fundamentalna rozbieżność. Jest ona odzwierciedleniem i współczesnym wcieleniem dawnej i długiej kontrowersji co do przyczyn i źródeł zjawisk społecznych, politycznych i ekonomicznych. Można je spersonalizować postaciami Karola Marksa i Maxa Webera. Ten pierwszy, posługując się pojęciami bazy i nadbudowy, dał wyraz przeświadczeniu o prymacie czynnika materialnego (jak na materialistę przystało) nad symbolicznym, wyrażonemu w tezie „był kształtuje świadomość”. Materialna baza decyduje o ideologicznej nadbudowie. Materialny byt kształtuje społeczną świadomość. Poglądy i postawy ludzi zależą od tego, jak żyją.

Weber jest wyrazicielem przekonania przeciwnego – to kultura ideacyjna, symboliczna decyduje o tym, jak ludzie postępują i jak żyją. Przekonania, a zwłaszcza wierzenia skłaniają ich do określonych zachowań, w tym także produkcyjnych, zachodzących w sferze ekonomicznej (wytwórczości materialnej). Ludzie żyją tak, jak wynika z ich przekonań i wierzeń, a nie odwrotnie.

Wyjaśnienia materialistyczne, ekonomizujące, były i są stosowane wobec rozmaitych zjawisk i procesów

społeczno-politycznych, poczynając od starożytnych wojen i podbojów. Według nich to nie powab pięknej Heleny i zauroczenie nią Parysa pchnęły Achajów do wojen z Troją, lecz interesy materialne, związane z kontrolą handlu morskiego przez Dardanele, czyli między Morzem Śródziemnym a Czarnym. W taki sposób interpretuje się całe – nie tylko legendarne – dzieje ludzkości.

## Siła politycznych mitów

Dotyczy to także wydarzeń podobnych do obecnych, w tym kryzysu i załamania liberalnej demokracji w latach 20. i 30. XX wieku. Według rozpowszechnionych interpretacji były one skutkiem powojennej biedy, bezrobocia, hiperinflacji, przeludnienia agrarnego i ogólnie czynników ekonomicznych, leżących zatem w sferze materialnej. Wielki kryzys ekonomiczny przełomu tamtych dekad miał być, według tej interpretacji, detonatorem lub katalizatorem gwałtownych zmian czy wręcz przewrotów społecznych, prowadzących do przewrotów ideologicznych, skutkujących wzrostem pozycji radykalizmów politycznych.

Wybitny niemiecki filozof Ernst Cassirer stanowczo przeciwko takiej interpretacji protestował w esejach pisanych na emigracji w USA pod koniec II wojny światowej (i krótko przed swoją śmiercią). Analizując znany sobie z autopsji upadek Republiki Weimarskiej i liberalnej demokracji w Niemczech wskazywał na błąd materializmu i ekonomizmu popełniany przez ówczesnych polityków: „byli nie tylko socjalistami: w większości przypadków także zawziętymi marksistami. Towarzyszyło im przekonanie, że całe życie społeczne i polityczne uzależnione jest wyłącznie od warunków ekonomicznych. Wychodząc z takiego założenia czynili desperackie wysiłki celem polepszenia sytuacji ekonomicznej mas oraz uniknięcia niebezpieczeństwa inflacji i bezrobocia. Jednocześnie ich trzeźwy, empiryczny, »rzeczowy« sposób myślenia i wydawania sądów pozostawał ślepy na wybuchową moc mitów politycznych”. I dodawał: „Była to wielka pomyłka, kardynalny błąd. Gdy elity polityczne i intelektualne niemieckiej demokracji zaczęły dostrzegać, o co toczy się gra, gdy zaczęły kształtować jaśniejszy pogląd na temat natury nowych mitów politycznych, było już za późno; bitwa została w zasadzie przegrana, zanim na dobre się rozpoczęła” (za: „Znak” nr 726, tł. Tomasz Sikora).

Cassirer, wnikliwy badacz i wytrawny znawca kultury symbolicznej (twórca teorii form symbolicznych) przeciwstawiał się zatem materializacji i materializującej interpretacji zjawisk społeczno-politycznych, pod-

kreślając rolę mitologii politycznej w kształtowaniu zachowań ludzkich.

W idących tym tropem interpretacjach współczesnych wskazuje się na doniosłą, a nawet prymarną rolę mitów i symboli oraz innych form narracji odwołujących się do wyobrażeń i pojęć z zakresu kultury symbolicznej. To nie bezrobocie czy nierówność materialne pchnęły mieszkańców osławionego „pasa rdzy” i kilku demokratycznych stanów do poparcia Donalda Trumpa, lecz sprzeciw wobec naporu imigrantów o innej niż anglosaska mentalności i forsowania przez lewicę antytradycjonalistycznych wzorów kultury. Aneksja Krymu przez Rosję wywołała masowy aplauz Rosjan dla Putina nie dlatego, że przyniosła jakieś materialne korzyści (wręcz przeciwnie, jest bardzo kosztowna i przynosi same straty), lecz z powodu zaferowania im poczucia dumy i siły. W Polsce zaś nie rzekomo kryzys ekonomiczny (wzrost gospodarczy był solidny, a bezrobocie najniższe w historii), lecz strach przed obcymi kulturowo imigrantami i rewindykacjami liberalnej lewicy w sferze obyczajowej skłoniły wyborców do poparcia PiS.

To kwestie kulturowej tożsamości i godności oraz obyczajowości odgrywają pierwszoplanową rolę w kształtowaniu politycznych postaw Polaków, Węgrów, Turków, Czechów, ale także Włochów, Anglików, a nawet Niemców ooczco i coraz liczniej popierających prawicowych populistów, obiecujących obronę rodzimego stylu życia przed uniwersalizującą globalizacją. Nie wartości materialne, lecz symboliczne odgrywają główną rolę w politycznych decyzjach i wyborach.

### Żegnaj Kartezjuszu?

Ale sam podział na kulturę materialną i duchową (symboliczną) jest współcześnie kontestowany, wraz z całym paradygmatem kartezjańskim, na którym się opiera. Dychotomia tego co materialne (cielesne) i symboliczne (duchowe) jest podważana jako anachroniczna i nieuwzględniająca najnowszych odkryć w dziedzinie neurofizjologii i psychologii ewolucyjnej. Być może te zarzuty są słuszne, ale na razie nie mamy innych narzędzi i siatki pojęciowej do zastosowania w analizach z zakresu psychologii społecznej.

Pierwsze próby wprowadzić już są – do najciekawszych należą analizy przedstawione w książce Jonathana Haidta *Prawy umysł. Dlaczego dobrych ludzi dzieli religia i polityka?* – wskazują one na genetyczne uwarunkowania cech osobowościowo-mentalnych, które znajdują odzwierciedlenie w przekonaniach światopoglądowych i preferencjach politycznych. Są to jednak interpretacje indywidualnych (opartych na osobistym genotypie), a nie społecznych skłonności. Ponadto nie wyjaśniają ich zmienności (genotyp indywidualnego człowieka jest niezmienny przez całe życie, a rozkład genów w populacji stabilny).

Dualizm psycho-fizyczny, leżący u podstaw rozdziału i przeciwstawienia kultury materialnej i duchowej, może być wątpliwy, ale wyraża długą (bo grubo przedkartezjańską, obecną np. w platonizmie) tradycję przeciwstawiania duszy ciału, z preferencją dla tej pierwszej (bo nieśmiertelna; w wymiarze i ujęciu socjologicznym kultura duchowa jest o wiele trwalsza niż materialna,

idee, wierzenia czy doktryny są bardziej żywotne niż materialne wyroby i wytwory). Ponadto z socjologicznego punktu widzenia zakwestionowanie jakiegoś paradygmatu ma znaczenie, jeśli znajduje odzwierciedlenie w wymiarze społecznym. Teoretycy mogą podważyć dualizm psycho-fizyczny oraz odrzucić odrębność sfery duchowej i materialnej, ale jeśli uczestnicy życia społecznego takimi wyobrażeniami i skojarzeniami się posługują, stanowi to fakt społeczny, który badacz społecznych zjawisk musi uwzględnić.

### Barber vs. Fukuyama

Niewątpliwie faktem takim jest obserwowany w wielu społeczeństwach zwrot ku tradycyjnym, rodzimym, utrwalonym wzorom kultury. W dyskusji o trendach cywilizacyjnych po upadku komunizmu i zniknięciu polaryzacji jego istnieniem wywoływanej, wzmacnia to stawiane przez Benjamina Barbera hipotezy o konserwatywnych reakcjach lokalnych na globalizację („dżihad kontra McŚwiat”), podważając uniwersalizujące prognozy Francisca Fukuyamy (globalizacja jako proliferacja liberalnej demokracji). Wyjaśnienie (podanie przyczyn) takich trendów to inna sprawa. Płynna nowoczesność, jak ją nazwał Zygmunt Bauman, najwyraźniej jednak wzbudza tęsknotę za czymś trwałym i stabilnym, stan niepewności z nią związanej wywołuje pragnienie osadzenia w czymś znanym i dającym poczucie bezpieczeństwa; nawet kosztem wolności (bezpieczeństwo za wolność).

Chodzi być może też o stabilność i bezpieczeństwo materialne, ale przede wszystkim kulturowe, w znaczeniu symbolicznym. Sprzeciw wobec napływu imigrantów nie wynika więc z obawy o tutejsze miejsca pracy (tych jest obecnie pod dostatkiem), lecz o rodzime wzory kultury zagrożone przez nosicieli innych, obcych, a na dodatek niekiedy – jak w przypadku islamskich – agresywnych.

Lewica zdaje się tego nie rozumieć, opowiadając się za pełną otwartością na inne, w tym całkowicie obce wzory kultury. Popada przy tym w rażące sprzeczności. Z jednej strony forsuje wzory progresywne obyczajowo (związki partnerskie, prawa kobiet i mniejszości seksualnych, świeckie państwo), z drugiej zaś agituje za przyjmowaniem imigrantów będących nosicielami wzorów całkowicie z nimi sprzecznych lub im wręcz wrogich. Nie można od Polaków domagać się równocześnie akceptacji praw gejów, kobiet i niewierzących oraz przyjmowania uchodźców odrzucających te wzory. Lewicowa oferta 500+ oraz uchodźcy i prawa gejów przegrywa z prawicową ofertą 500+ bez uchodźców i praw gejów (podobnie jak liberalna opcja bez 500+ i bez uchodźców oraz z prawami gejów, nie mówiąc już o wariacie bez 500+ z uchodźcami i prawami gejów). Sławomir Sierakowski, który jako jeden z nielicznych lewicowców to zrozumiał i zasugerował „odpuszczenie” przez lewicę uchodźców, został za to przez ideowych pobratymców sponiewierany. A lewica nadal tkwi w kryzysie strukturalnym i sondażowym.

JAROSŁAW ŁADOSZ

# EPIDEMIA „PREZYDENCKIEJ DEMOKRACJI”

## Glossa

*Tekst Jarosława Ładosza z 1993 roku był głosem w dyskusji zainicjowanej przez powołaną w kwietniu 1992 roku komisję konstytucyjną pod przewodnictwem Waleriana Piotrowskiego. Autor, nie stroniąc od polemik, krytyki „realnego socjalizmu”, stalinizmu, marksizmu-leninizmu, analizuje aktualne problemy demokracji parlamentarnej, trójpodziału władz i samorządu terytorialnego w szerokiej perspektywie teoretycznej. Ważny jest także polityczny kontekst historyczny czasów prezydentury Lecha Wałęsy pod rządami Małej Konstytucji.*

„Jeżeli konstytucja nadaje [...] prezydentowi władzę faktyczną, to Zgromadzeniu Narodowemu usiłuje zapewnić siłę moralną. Pomijając już to, że nie można za pomocą artykułów ustawy stworzyć siły moralnej, konstytucja raz jeszcze przekreśla tu siebie samą, ponieważ każe wszystkim Francuzom wybierać prezydenta w drodze bezpośredniego głosowania. Głosy Francji rozpraszają się na 750 członków Zgromadzenia Narodowego, tu natomiast skupiają się na *jednej* osobie. Każdy przedstawiciel ludu reprezentuje tylko tę lub ową partię, to lub owo miasto, ten lub ów przyczółek mostowy albo też nic innego, jak konieczność wybrania jednego z 750 posłów, bez bliższego przyjrzenia się zarówno sprawie, jak osobie – *prezydent* zaś jest wybrańcem narodu, a akt jego wyboru jest poważnym atutem, który suwerenny naród rzuca na stół raz na cztery lata. Wybrane Zgromadzenie Narodowe pozostaje w metafizycznym stosunku do narodu, ale wybrany prezydent – w stosunku osobistym. Zgromadzenie Narodowe reprezentuje wprawdzie w osobach poszczególnych przedstawicieli różnorodne aspekty ducha narodowego, ale w prezydencie duch ten znajduje swe ucieleśnienie. Prezydent ma w stosunku do Zgromadzenia niejako prawa boskie, jest władcą z łaski ludu”.

(Karol Marks, *Osiemnasty brumaire’a Ludwika Bonaparte*, [w:] K. Marks, F. Engels, *Dzieła*, MED, t. 8, Warszawa 1964, s. 140).

Демократы – бюрократы,  
Не зевай, лови момент!  
Скоро в каждом сельсовете  
Будет избран президент.

Diemokraty – biurokraty  
Nie ziewaj, łowi moment  
Skoro w każdym sielsowietie  
Budiet izbran priezident  
(*Czastuszki*, Moskwa 1992)

W ustroju politycznym wszystkich byłych krajów „realnego socjalizmu” szerzy się epidemia ustana-

wiania prezydentów powoływanych w wyborach powszechnych, niezawisłych od parlamentów, uzyskujących szerokie kompetencje w zakresie władzy wykonawczej i ustawodawczej, formowania rządów, kierowania ich działaniami, stanowienia prawa dekretami z mocą ustawy.

Różnorodne są drogi szerzenia się tej epidemii w różnych krajach, lecz ostatecznie prowadzą do wyników podobnych. Dokonuje się to w spektakularnych bojach z parlamentami, w konfliktach między parlamentami a władzą prezydencką (jak w Rosji), wśród przejawów arogancji prezydentów w stosunku do parlamentów, ale, bywa, i „kameralnie”. Ostatecznie jednak to prezydenci są w ofensywie, parlamenty ustępują i uchwalają własne samoograniczenie lub tolerują je faktycznie, dając dowody niemocy wprowadzanej w czyn. Tu dokonuje się to w drodze legalnych zmian konstytucji przeprowadzanych przez parlamenty wyłonione z pluralistycznych wyborów powszechnych, tam – w drodze puczu, zbrojnych zamachów stanu, oktrojowania nowego ustroju *ex post* dopiero legalizowanego. Znamienne, że ewolucję w kierunku ustanawiania instytucji „silnego prezydenta” zapoczątkowały pod koniec „realnego socjalizmu” partie komunistyczne, a zwłaszcza ich „reformatorskie” skrzydła<sup>1</sup>.

Walcząc z reżimem „realnego socjalizmu” opozycja „demokratyczna” opowiadała się za parlamentarną demokracją z przedstawicielskimi władzami centralnymi i lokalnymi, wyłanianymi w wyborach wolnych, wielopartyjnych i pluralistycznych. Z nieufnością, jeśli nie z wrogością odnosiła się do instytucji „władnych” prezydentów<sup>2</sup>. Teraz odwrotnie: głosi wyższość „prezydenckiej demokracji”, „silnego prezydenta”, występuje przeciw nadmiernej władzy parlamentów.

1 W Rumunii Nicolae Ceausescu objął wprowadzony w 1974 roku urząd prezydenta SRR, a po przewrocie urząd ten objął Ion Iliescu w drodze powszechnych i wolnych wyborów. Michaił Gorbaczow zainicjował wprowadzenie urzędu prezydenta ZSRR legalną procedurą i został nań powołany, Borys Jelcyn objął ten urząd już z powszechnych wyborów. W Polsce urząd prezydenta przeformowała „strona koalicyjno-rządowa” w porozumieniach Okrągłego Stołu. „Kontraktowy parlament” powołał nań Wojciecha Jaruzelskiego. Wałęsa natomiast objął ten urząd już z powszechnych wyborów.

2 W Polsce w protokołach „Okrągłego Stołu” opozycja optowała za „demokratycznym trybem powoływania wszystkich przedstawicielskich organów władzy państwowej tak, by o tym, kto sprawować będzie władzę rzeczywiście decydowali wyborcy”.

Najostrzej czyni to prawica. Ogłasza, iż „nadmierna” władza parlamentów jest diabelskim wymysłem komunistów, reliktem komunistycznych konstytucji, a „silny prezydent” – najpełniejszą gwarancją prawdziwej demokracji<sup>3</sup>. I oczywiście sami prezydenci z łaski narodu domagają się rozszerzenia i konstytucyjnego usankcjonowania wciąż za małych dla nich uprawnień. Zgryźliwe, ironiczne charakterystyki prezydentury o boskich prawach, zawarte w przytoczonym na wstępie tekście Marksa, występują jako bojowe hasła traktowane na serio w propagandowych wystąpieniach pravicowych polityków.

Lecz również lewicowe partie, nawet broniąc uprawnień parlamentu, czynią to niezwykle „ogłędnie”, ustępując mitom o współczesności „prezydenckiej demokracji”, nie kwestionując urzędu prezydenta wybieranego w wyborach powszechnych, nie śmiały wystąpić otwarcie ze sztandarem demokracji parlamentarnej<sup>4</sup>.

O wyższości „demokracji prezydenckiej” nad „demokracją parlamentarną” przekonywali nas eminentni przedstawiciele nauk prawnych, politologii, socjologii, dostarczając w wywiadach prasowych i telewizyjnych wsparcia „silnej prezydenturze” jako gwarancji i wymogowi współczesnej demokracji. Powstaje wrażenie, że to nauka ostatecznie i bezwzględnie dowiodła tej wyższości. Tym bardziej że nie pojawiają się naukowe opracowania kwestionujące tę tezę. Toteż ideologiczne argumenty za umocnieniem władzy prezydenckiej i ograniczeniem władzy parlamentów wydają się oparte na osiągnięciach nauki niezależnych od światopoglądu i politycznych przekonań uczonych.

Spróbujmy więc skonfrontować z faktami zasadność prawniczych i ideologicznych argumentów za ową wyższością i zbadać ich naukową wartość, rozpatrzyć, czy rzeczywiście historyczną prawidłowością jest ewoluowanie demokracji ku prezydenckiemu systemowi, czy rzeczywiście jest on niezbędny dla skutecznego przeprowadzenia „reformy” ustrojowej przez demokratyczne państwo prawa.

3 W Polsce, w kampanii wyborczej do Sejmu w 1993 r. przywódca Porozumienia Centrum, Jarosław Kaczyński opowiadał się za prezydenckim systemem demokracji, za rozszerzeniem konstytucyjnych uprawnień prezydenta, niezależnie od tego, że gwałtownie atakował konkretnego prezydenta – Lecha Wałęsę, odsądzając go od czci i wiary. Jeszcze skrajniej – linia Unii Polityki Realnej.

4 Za rządami parlamentarnymi, „systemem gabinetowo-parlamentarnym” w Polsce opowiada się najwyraźniej Unia Pracy (Wojciech Lamentowicz w telewizji, w kampanii wyborczej 10.9.1993 wprost poparł demokrację parlamentarną, a nie prezydencką, bez powszechnych wyborów prezydenta). Mniej konsekwentne było SdRP, w Rosji – Rustan Chasbulatow, łączył rządy parlamentu z aprobowaniem urzędu prezydenta z wyborów powszechnych w roli prezydenta-arbitra. SdRP poparła „uniwersytecki” projekt konstytucji, w którym urzędowi prezydenta dawano prerogatywy szersze niż w uchwalonej później Małej Konstytucji, za którą jej klub głosował. PSL-owiec, marszałek Sejmu, Mikołaj Kozakiewicz deklarował w wywiadzie udzielonym „Trybunie”, że Sejm ma za dużo władzy. W Rosji jedynie w programie nielegalnej KPZR sprawa została postawiona konsekwentnie: „Uznając, że rady deputowanych ludowych są najbardziej demokratyczną i efektywną formą władzy państwowej, KPZR będzie przeciwdziałać wszelkim próbom likwidacji rad czy ograniczania ich uprawnień. Komuniści są przeciwni potęgowaniu władzy jednostki i będą walczyć o usunięcie państwowych stanowisk i struktur niepodległych kontroli rad (prezydentów i ich przedstawicieli, merów i merostw, prefektów i prefektur)” – głosił opublikowany przez nią we wrześniu 1992 roku projekt programu. („Prawda” nr 119.). Ale to partia pozaparlamentarnej lewicy.

### I. Ideologiczno-prawnicze argumenty za „silnym prezydentem”, a tradycja myśli demokratycznej

Ustanowienie urzędu prezydenta o szerokich kompetencjach władczych, wspartych autorytetem nadanym przez obsadzanie go w wyborach powszechnych, dokonywane jest w imię przywrócenia prawdziwej demokracji, zagwarantowania jej sprawności w przeprowadzeniu „reformy”. Uzasadniane jest to potrzebą silnego państwa, silnej władzy wykonawczej. Prezentowane jest jako niezbędny atrybut przywrócenia trójpodziału władz – podstawy demokracji, zapory dla wszelkiego autorytaryzmu i totalitaryzmu. Komuniści w „realnym socjalizmie”, w konstytucjach przez nich okrojonych mieli znosić ten podział, naruszać go proklamując nadrzędność parlamentu i likwidując instytucję prezydenta, a teoretycy marksizmu kwestionowali demokratyczny charakter tego podziału władz. Takie jest ideologiczne uzasadnienie dla silnej prezydentury.

#### Falsyfikacja istoty trójpodziału władz

Istotą zasady trójpodziału władzy państwowej jest funkcjonalne wyodrębnienie w jej ramach członów, całościowych struktur o *jakościowo odmiennej kompetencji* w realizowaniu zadań państwa. Każdy z tych członów dysponuje wyłącznością w wykonywaniu funkcji należących do jego kompetencji, monopolem w ich zakresie, samodzielnością w ich wypełnianiu. Zasada trójpodziału nie głosi rozpadu jednolitej władzy państwowej. Trzy władze pozostają w jasno określonych stosunkach i w określonych granicach są wzajemnie niezależne, a jednocześnie zespolone więzami wzajemnej kontroli o obligatoryjnym charakterze.

Władza ustawodawcza ma monopol w zakresie stanowienia powszechnie obowiązującego prawa. Władza wykonawcza – monopol w zakresie organizacji środków bieżącej jego realizacji, wcielania w życie. Władza sądownicza – orzekania o zgodności z prawem działań poszczególnych obywateli, instytucji społecznych i działań administracji w stosunku do nich. Władza wykonawcza i sądownicza uzależnione są od ustawodawczej za pośrednictwem stanowionego przez tę ostatnią prawa. Władza ustawodawcza dysponuje wyraźnie określonymi środkami kontroli jego respektowania – odmiennymi przez wykonawczą, innymi – przez sądowniczą. Nie jest władna dyktować władzy wykonawczej *konkretnych* jej decyzji, anulować ich czy zmieniać. Wpływa na charakter tych decyzji przez zmienianie prawa, przez kontrolę polityki rządu i, ostatecznie, jego odwoływanie i powoływanie nowego. Nie jest władna anulować konkretnych orzeczeń władzy sądowniczej, a tym bardziej ich dyktować, ingerować w ich podejmowanie. Jest władna kontrolować je politycznie, analizować orzecznictwo i podejmować środki ustawodawcze wymuszające kierunki tego orzecznictwa. Władza wykonawcza obowiązana jest egzekwować orzeczenia władzy sądowniczej, ale nie może ich dyktować czy modyfikować. Oto, w skrócie, charakter wzajemnego powiązania tych władz, ich wzajemnej kontroli i zarazem zakresu ich niezależności.

Zasada trójpodziału władz została przeciwstawiona przez nowożytną myśl polityczno-prawną panującej w feudalizmie zasadzie instytucjonalnego łączenia tych władczych funkcji państwa; monarcha był w jednej oso-

bie prawodawcą, egzekutorem i sędzią w królestwie nad swymi lennikami, pan na włościach – nad swymi poddanymi. U Monteskiusza, którego tradycja uznała za pierwszego promotora zasady trójpodziału, jej realizacją miała być monarchia z królem sprawującym władzę wykonawczą – rządu, parlamentem stanowiącym prawa, wyłanianym przez ogół obywateli, oraz ze sprawującymi sądy trybunałami powołanymi przez obywateli w odrębnych wyborach na określoną kadencję<sup>5</sup>.

Zespolenie owej zasady z proklamowaną przez Oświecenie zasadą suwerenności ludu-narodu przyniosło uznanie zależności każdej z owych władz od narodu właśnie, wyłanianie każdej przez naród w republice demokratycznej. Szczegóły owej zależności każdej władzy od narodu są różne, z różnymi tradycjami. Ale zależność niekwestionowana. W Anglii niezależny od narodu król pozbawiony został władczych atrybutów, pozostała mu funkcja odczytywania *exposé* powołanego przez parlament szefa rządu i symboliczne jego mianowanie.

„System prezydencki” wprowadzany w nowych konstytucjach i ustawodawstwie dawnych krajów socjalistycznych koliduje coraz głębiej z demokratyczną tradycją trójpodziału, na którego restytucję powołują się ich projektodawcy. Prezydentowi przyznaje się prawo do merytorycznego ingerowania w proces ustawodawczy – wydawania dekretów z mocą ustawy, wetowania ustaw przez parlament uchwalanych. Nadaje prezydentowi szerokie kompetencje w zakresie kontrolowania rządu, powoływania rządu i ministrów – ponad parlamentem, czyni zeń jeśli nie zwierzchnika rządu, to wtórnika rządu, drugą władzę wykonawczą, i to o mocniejszej niż rząd pozycji, bowiem jest on powoływany w wyborach powszechnych, a nie przez parlament i nie jest przed nim odpowiedzialny. Nadaje mu się uprawnienia do powoływania sędziów i tą drogą ingerowania w działania sądownictwa.

Także dla rządu przewiduje się w tych konstytucjach prawo wydawania dekretów z mocą ustawy, przy czym znów prezydent zamiast parlamentu ma moc ich zatwierdzania lub odrzucania. To naruszanie trójpodziału otrzymuje w literaturze prawniczej zmyślną nazwę „ustawodawstwa delegowanego”.

W ten sposób w imię trójpodziału otrzymujemy faktycznie czwóropodział władzy. Czwarta władza – prezydencka – łączy elementy trzech władz, ogranicza ich kompetencje, a jest rzeczywiście od nich wszystkich niezależna. W sumie władza wykonawcza uniezależnia się od przedstawicielskiej i jako prezydencka i jako rząd.

W uchwalonej w Polsce przez Sejm w 1992 roku Ustawie konstytucyjnej w pierwszym artykule proklamuje się twardo trójpodział władz: „Organami państwa w zakresie władzy ustawodawczej są Sejm i Senat..., władzy wykonawczej – Prezydent ... i Rada Ministrów, w zakresie wymiaru sprawiedliwości – niezawisłe sądy”. Ale szczegółowe przepisy wielokrotnie naruszają trójpodział władz.

Prezydent ma prawo odmówić podpisania ustawy uchwalonej przez Sejm. Wprawdzie Sejm większością 2/3 głosów może ją uchwalić powtórnie, jednakże i wówczas prezydent może ustawę definitywnie odrzucić, jeśli uzyska orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego, iż koliduje ona z Konstytucją. Prezydent ratyfikuje

i wypowiada umowy międzynarodowe ostatecznie bez Sejmu, tylko go o tym powiadamiając. Prezydent ingeruje w sądownictwo – powołuje sędziów, wprawdzie na wniosek Krajowej Rady Sądownictwa z podwójnej liczby proponowanych przez nią kandydatów, ale samodzielnie powołuje i odwołuje prezesa Naczelnego Sądu Administracyjnego. Uzyskuje liczne uprawnienia faktyczne, a nie symboliczne tylko, w zakresie kontroli rządu ponad parlamentem. Bez zgody Sejmu może zmieniać ministrów w rządzie przez Sejm powołanym, może też, gdy Sejm rządu nie powoła na sześć miesięcy powołać rząd prezydencki i rozwiązać Sejm, jeśli on nie uchwali temu rządowi wotum zaufania. W zakresie władzy wykonawczej powierzone jest prezydentowi, ponad rządem i kontrolą Sejmu, „ogólne kierownictwo” w dziedzinie stosunków zagranicznych (w tym mianowanie i odwoływanie ambasadorów) oraz w dziedzinie zewnętrznej i wewnętrznej bezpieczeństwa państwa. „Ogólne kierownictwo”, a więc rządowe – tylko szczegółowe, według ogólnych koncepcji prezydenta, które nie podlegają sejmowej kontroli. Prezydent Wałęsa nie traktuje tych uprawnień symbolicznie. Domaga się wciąż ich rozszerzenia; ostatnio – podporządkowania mu Urzędu Ochrony Państwa i Prokuratury Generalnej.

W Rosji „silne rządy” realizuje prezydent Jelcyn: wydając w nieustającym jawnym konflikcie z wybranym w wolnych wyborach parlamentem dekrety, powołując bez oglądania się na parlament rząd i ministrów, wysiedlając przewodniczącego Trybunału Konstytucyjnego z jego siedziby, delegalizując partię komunistyczną, zakazując działania politycznych i społecznych organizacji i konfiskując ich majątek, grożąc przez swoich ministrów zamykaniem opozycyjnych gazet, rozsyłając po kraju swych pełnomocników – namiestników rządowych itd. Jelcyn nie tylko bezceremonialnie łamie Konstytucję, lecz kwestionuje prawo parlamentu do przygotowywania i uchwalenia nowej, forsuje swój projekt i zwołuje dla jej uchwalenia ponad parlamentem „narodę konstytucyjną” o ustalonym samowolnie składzie. Wszystko to dzieje się w imię demokracji, w walce z „konserwatyzmem” wybranego w wolnych wyborach Zjazdu Deputowanych Ludowych. Na koniec bezprawnym dekretem Jelcyn rozwiązuje parlament, dokonuje zamachu stanu, tłumi zbrojnie słaby opór obrońców parlamentu i ogłasza, że obejmuje sam całą władzę ustawodawczą i wykonawczą.

W prawniczo-naukowej argumentacji, jak i w politycznej propagandzie za „silnym prezydentem”, po deklaracji o konieczności restytucji zasady trójpodziału władz jako kamienia węgielnego demokracji, podstawa się notorycznie i niepostrzeżenie na miejsce tego podziału zasadę „równowagi władz”, wysuwa się konieczność ich właściwego „wyważenia”. W swych konstytucjach „komuniści” mieli źle wyważać władze i naruszać ich równowagę przez proklamowanie nadrzędności parlamentu w systemie władzy państwowej.

W Polsce, w kampanii o kształt Małej Konstytucji nadawano wielkie znaczenie eliminacji z jej tekstu wartościujących przymiotników „najwyższa” czy „nadrzędna” przy charakteryzowaniu pozycji Sejmu i tryumfalnie – dla podkreślenia „równowagi” – w art. 1. zostały wyeliminowane.

Takie postawienie sprawy jest nadużyciem. Trójpodział władz, to przecież jakościowe rozdzielenie ich kompetencji, a nie kwestia określania ich znaczenia

5 Por. Charles Louis Montesquieu, *O duchu praw*, przeł. T. Boy-Żeleński, t. I, Warszawa 1957, s. 233-244.

w całości państwowego organizmu. Rozprawianie o „równoważeniu” władz przenosi nas na inną płaszczyznę. To tak, jakby fizjolog poszukiwał „równoważenia” roli mózgu i przewodu pokarmowego w organizmie człowieka przez przekazanie żołądkowi części myślenia odebranej mózgowi, a mózgowi części trawienia odjętej żołądkowi. Ale to narusza podział funkcji, a nie umacnia go i doskonali. Sensowne jest poszukiwanie wzmocnienia funkcjonowania żołądka przez rozwijanie w mózgu wiedzy o racjonalnym żywieniu i podtrzymywanie sprawności myślenia przez mózg w wyniku optymalizacji funkcji żołądka przez racjonalne odżywianie – przy pełnym respektowaniu „suwerenności” i „kompetencji” każdego.

Cała frazeologia o „wyważaniu” i usuwaniu „przymiotników” właśnie przy parlamencie jest w istocie obłudą. Pod pozorem „równowagi” usprawiedliwia się bowiem naruszanie ustawodawczego monopolu parlamentu, wzmocnienie pozycji władzy wykonawczej przez dokończenie jej ustawodawczych kompetencji, prawne sankcjonowanie nacisków na orzecznictwo sądów przez regulowanie ich personalnego składu. A więc właśnie sankcjonuje naruszanie trójpodziału. Władza parlamentarna jest najwyższa w demokracji jako władza przedstawicielska. Jako taka wyraża bezpośrednio suwerenność ludu-narodu. Stanowi prawo, którym kierować się muszą pozostałe władze i je kontroluje, czy to czynią.

Obłudą jest wreszcie również ogłaszanie czwartej władzy – prezydenckiej, jako apolitycznego, ponadpartijnego arbitra między trzema władzami, jako gwaranta apolityczności wojska, policji i dyplomacji; są pomysły, by zakazać prezydentowi członkostwa w jakiegokolwiek partii w toku pełnienia funkcji. Ma reprezentować nie tę czy inną partię, lecz cały wielopartyjny naród, który powołał go w bezpośrednich wyborach; jakby przez ten akt zmieniła się miała i mogła osobowość wybrańca, jego poglądy i powiązania polityczne! W amerykańskiej czy francuskiej demokracji prezydenckiej nikomu nie przyjdzie to do głowy. Wszak w praktyce Wałęsa wciąż zapowiadał tworzenie własnej prezydenckiej partii politycznej, co zresztą zrealizował powołując na wzór Piłsudskiego BBWR. Wałęsa wykrętnie odżegnuje się, że to nie on nim dowodzi i kieruje! Jednak wzór „apolitycznego” i idealizowanego, jako demokracji, Piłsudskiego z jego bezpartyjną partią jest, delikatnie mówiąc, niezachęcający. Przecież to on zamykał w obozie koncentracyjnym postów opozycji, a prezydent w okrojonej przez tę partię konstytucji z 1935 roku odpowiadać miał nie przed narodem, lecz przed Bogiem i Historią. Również Jelcyń po jesiennym zamachu stanu powołuje swoją własną partię polityczną na wybory według ordynacji, którą sam dekretuje.

### **Trójpodział władz, a konstytucje „stalinowskie” i teoretyczne poglądy marksizmu na demokrację**

Uznanie nadrzędności parlamentu za wymysł „komuny” i głoszenie, że „stalinowskie” konstytucje odrzucały trójpodział władz, jest wyrazem albo ignorancji, albo zakłamania. Wychodzi na to, że konstytucje Anglii, RFN, Szwajcarii czy Włoch, które uznają parlamenty za władzę najwyższą (i wszystkie konstytucje, które przewidują „parlamentarno-gabinetowy” typ ustroju politycznego), to wymysł komunistów i marksistów! Głoszenie zaś, że ustanowienie „silnej” (w stosunku do parla-

mentu) władzy wykonawczej prezydentów i rządu, to akt oczyszczenia się z „komuszej” praktyki, jest wręcz tragikomiczne i jawnie sprzeczne z jednoczesnym nieustannym demaskowaniem ustroju politycznego w realnym socjalizmie jako totalitaryzmu. Stalin jawi się jako osobnik, który zwalczał „silną” władzę wykonawczą!!!

Uchwalona w 1936 roku stalinowska konstytucja ZSRR (na której wzorowały się później konstytucje wszystkich krajów realnego socjalizmu), gdy idzie o jej literę, sankcjonuje niemal w czystej postaci zasadę trójpodziału władz. W czystszej niż konstytucje wielkich demokracji Zachodu, które obarczone są różnymi skazami wyrosłymi z obciążeń feudalnych i monarchicznych tradycji przeszłości. Zrozumiałe jest, że rzetelność powyższej oceny wydaje się dziś mało wiarygodna. Psychologicznie rozumiała jest kontaminacja oceny litery owej konstytucji z praktyką łamania na niesłychaną skalę jej zapisów. Jest ona faktycznie – wiemy to dziś – dokumentem zakłamania. Tak oceniała projekt owej konstytucji dominująca część zagranicznej oficjalnej opinii po jego opublikowaniu: że jej piękna treść jest obłudą, z czym Stalin rozprawiał się w referacie *O projekcie Konstytucji Związku SRR*<sup>6</sup>, prezentując ZSRR jako raj na ziemi. Paradoks historii polegał wszak na tym, że owa konstytucja wprowadzona została i funkcjonowała w najbardziej ponurym i zbrodniczym okresie stalinowskiego despotyzmu; w okresie, w którym rady – od najwyższej poczynając – stały się faktycznie dekoracją (a i później, we wszystkich krajach socjalistycznych, parlamenty były wciąż atrapą mimo wielokrotnie po śmierci Stalina podejmowanych prób restytucji ich konstytucyjnej roli); w okresie masowych represji pozasądowych przeprowadzanych przez pozakonstytucyjne organy bezpieczeństwa; w okresie pozbawienia milionów chłopów dowodów osobistych, możliwości wyboru miejsca pracy, zamieszkania i swobody poruszania się po kraju; w okresie notorycznego i antykonstytucyjnego wydawania rozporządzeń Biura Politycznego samego czy Biura Politycznego i rządu, mających moc ustaw; w okresie totalitarnej władzy wykonawczej i jawnych rządów „nomenklatury” itd.

Świadczy to dobitnie o tym, że naiwnością jest przypisywanie zapisom konstytucji decydującej roli w faktycznym kształtowaniu politycznej praktyki. Elementarzem naukowo zasadnego podejścia jest konfrontowanie ze sobą formuł prawnych w danym państwie i w różnych państwach i okresach w ich dosłowności – z jednej strony, oraz osobno praktyki respektowania prawa – z drugiej strony. Po tym elementarnym zabiegu dopiero trzeba sięgać do odsłonięcia realnych społeczno-historycznych przyczyn rozchodzenia się tam zgodności praktyki z prawem, tu – okoliczności realizowania czy łamania prawa. Natomiast proste potępienie i dezawuowanie prawa na podstawie stwierdzenia, że praktyka je łamała, nie ma sensu.

W naukowej literaturze prawniczej spotkać można pozycje, w których przyznaje się, że w konstytucjach krajów socjalistycznych było wiele słusznym i demokratycznym zapisów, jednakże nosiły one ogólnikowy, niewystarczająco precyzyjny charakter, były blankietowe, bo brakowało w nich dokładnego wyszczególnienia gwarancji

6 Por. Józef Stalin, *O projekcie Konstytucji Związku SRR*. Referat na Nadzwyczajnym VIII Wszechzwiązkowym Zjeździe Rad, 25 listopada 1936 r., [w:] J. Stalin, *Zagadnienia leninizmu*, Warszawa 1954, s. 699-733.

ich realizacji, co miało sprzyjać notorycznemu łamaniu prawa. Jest to niewątpliwie krytyka rzetelna i obiektywna, a nie koniunkturalna czy obłudna. Niemniej ta argumentacja jest generalnie wątpliwa, choć wysuwane propozycje konkretnej naprawy bywają w świetle smutnych doświadczeń, warte uwagi. Przecież bodajże najbardziej „blankietowe” są zapisy konstytucji USA czy Anglii, nieporównanie bardziej niż konstytucji stalinowskich. A jednocześnie nie wszystkie konstytucje „stalinowskie” były jednakowe. Ostatnia konstytucja NRD precyzowała szczegóły trójpodziału władz, prawa obywatelskie i tak dalej znacznie bardziej precyzyjnie niż konstytucja ZSRR. Bardziej zasadne byłoby zarzucanie konstytucji ZSRR nadmiernej szczegółowości: przecież to było państwo federacyjne i szczegóły powinny różnorodnie konkretyzować konstytucje republik związkowych. W USA „blankietowość” konstytucji jest przecież, w świetle szerokiego zakresu ustawodawstwa stanowego, usprawiedliwiona i funkcjonalna. Toteż argumentacja „z tej beczki” ma ograniczoną wartość, zwłaszcza gdy jest prowadzona poza konkretno-historycznym kontekstem, w imię powszechnych a współczesnych „zasad konstytucjonalizmu”.

Z rzeczywistym, wyraźnym i programowym odzuceniem zasady trójpodziału władzy państwowej mieliśmy do czynienia jedynie w początkach władzy radzieckiej: w pierwszej konstytucji RSFRR z lipca 1918 roku (umownie można ją nazwać leninowską), w pierwszej konstytucji ZSRR ze stycznia 1924 roku oraz w konstytucjach republik radzieckich opartych na zasadach tej ostatniej.

W strukturze władzy państwowej ustanawianej przez te konstytucje oddzielenie kompetencji ustawodawczej i wykonawczej jej organów było programowo zatarte, choć, oczywiście, nie do końca wytrzebione. Na zjazdach rad wyraźnie dominowały zadania ustawodawcze, w rządzie – Radzie Komisarzy Ludowych – akcent spoczywał na wykonawstwie, w Centralnym Komitecie Wykonawczym Rad i jego prezydium proporcje owych zadań kształtowały się „pośrodku”.

Wykazując, że w „stalinowskich” konstytucjach państw socjalistycznych zapisy dotyczące podstawowej struktury politycznego ustroju respektowały konsekwentnie trójpodział władz w zgodzie z najlepszą, wiekową tradycją parlamentarnej demokracji, ani nam w głowie optować za literalnym ich przeniesieniem do nowych konstytucji po upadku realnego socjalizmu, za wzorowaniem się na ich stylistyce i układzie. Byłym krajom socjalistycznym potrzeba całkowicie nowych demokratycznych konstytucji, gwarantujących wielopartyjność, wolności i prawa obywatelskie – polityczne i socjalne, demokratyczny samorząd terytorialny, nowe stosunki własnościowe itd. Chodzi tylko o to, by zagrozić drogę wykorzystywaniu opacznych i gołosłownych mitów o treści zapisów „stalinowskich” konstytucji jako pretekstu do ataków na parlamentaryzm jako zatruty owoc totalitaryzmu, do usprawiedliwiania nowych ograniczeń demokracji. Nie w tych bowiem konkretnych zapisach, lecz w innych przepisach prawa, a przede wszystkim w politycznej praktyce, która je łamała, tkwiły faktyczne przyczyny autorytaryzmu.

Osobnego rozważenia wymaga kwestia stosunku teorii marksistowskiej do demokracji parlamentarnej i trójpodziału władz. Ograniczymy się do kilku tylko uwag w tej sprawie.

Nie ulega wątpliwości, że stalinowski urzędowy „marksizm-leninizm” uzasadniał kolejne modyfikacje konstytucji krajów socjalistycznych jako oparte na ostatnim słowie nauki i że dostarczał – przez przewrotne interpretowanie „ducha” ich zapisów – usprawiedliwień dla praktyki sprzeniewierania się ich treści. Że uzasadniał w szczególności autorytaryzm, odrzucanie wielopartyjności, dyktaturę partyjnej nomenklatury – prawdziwej superwładzy nad organami państwa.

Jednakże przypisywanie za to odpowiedzialności Marksowi i Engelsowi, to powtarzanie w dobrej czy złej wierze zabiegów na ich tekstach notorycznie wywiczonych właśnie w tym urzędowym „marksizmie-leninizmie”. Klasycy konsekwentnie bronili parlamentarnej demokracji, krytykowali jej naruszenia, nie kwestionowali nigdy generalnie trójpodziału władz. Engels pisał w 1892 roku: „Od czterdziestu lat Marks i ja powtarzaliśmy aż do znudzenia, że **republika demokratyczna** jest dla nas jedyną formą polityczną, w której walka klasy robotniczej z klasą kapitalistów może z początku osiągnąć charakter powszechności, a następnie zakończyć się ostatecznym zwycięstwem proletariatu”<sup>7</sup>. Domagał się od niemieckiej partii zawarcia w jej programie postulatu „skoncentrowania całej władzy politycznej w ręku przedstawicielstwa ludowego” nie tylko jako postulatu doraźnego, bowiem głosił, iż adekwatną formą („specyficznym kształtem”) socjalistycznej demokracji – „dyktatury proletariatu” – jest „republika demokratyczna”<sup>8</sup>.

„Przedstawicielstwo ludowe” w tej republice miało być niewątpliwie wielopartyjne, pluralistyczne, bez monopolu partii komunistycznej ani faktycznego, ani – tym bardziej – zawarowanego w konstytucji. *Manifest partii komunistycznej* stał na gruncie wielości partii robotniczych, bez przywileju dla komunistów. Wielopartyjna była Komuna Paryska. A jeśli Lenin winien jest przeciwstawieniu parlamentaryzmowi republiki rad, programowemu zakwestionowaniu zasady trójpodziału władz, to i on nigdy nie podnosił monopartyjności do godności zasady socjalistycznej demokracji w ogóle, a tym bardziej – jej konstytucyjnej zasady. Rady były u zarania pluralistyczne, a ograniczenia praw wyborczych traktowane jako przejściowe, doraźne, podobnie jak sprawowanie przez partię komunistyczną dyktatury było spowodowane okolicznościami krwawej wojny domowej i zmasowanej interwencji wojennej z zewnątrz.

### Trójpodział władzy a samorząd terytorialny

Dotąd rozpatrywaliśmy problemy parlamentaryzmu i trójpodziału władzy państwowej w skali generalnej, z akcentem na strukturę polityczną na szczeblu centralnym. Mają one wszakże w demokratycznej tradycji inny jeszcze, ważny aspekt: podziału kompetencji między władze centralne i władze terenowe oraz sposobu powoływania i podziału władz wewnątrz samej terenowej władzy państwowej. Prymitywny propagandowy jazgot o zgnębieniu przez komunizm i marksizm samorządności lokalnej maskuje wprowadzanie prawa i politycznych działań, które jeszcze bardziej ograniczają tę samorządność, krępują jej instytucje, poddają terenową wła-

7 Fryderyk Engels, *Czcigodnemu Giovanniemu Bovio w odpowiedzi*, [w:] K. Marks, F. Engels, *Dzieła*, MED, t. 22, Warszawa 1971, s. 336 – podkr. J.Ł.

8 Fryderyk Engels, *Przyczynek do krytyki projektu programu socjalistycznej demokracji z 1891 roku*, [w:] K. Marks, F. Engels, *Dzieła*, MED, t. 22, dz. cyt., s. 283, 282.

dzę dyktatowi centralnej władzy wykonawczej. Jest to – uczenie i nieuczenie – prezentowane jako realizacja wymogów nowoczesnej i zrjonalizowanej demokracji.

Marks, Engels, Lenin, radykalna demokracja XIX i XX wieku – opowiadali się konsekwentnie za koncepcją centralizmu demokratycznego. Wbrew powszechnemu dziś przekonaniu nie była ona ich wynalazkiem. Koncepcję centralizmu demokratycznego przejęli oni od oświeceniowych myślicieli radykalnej demokracji XVIII i XIX wieku i z doświadczeń rewolucji francuskiej, która ją wcieliła w życie. Demokratyczny centralizm został przeciwstawiony antydemokratycznemu feudalnemu federalizmowi prowincji i włości – sobiepaństwu władzy lokalnej oraz antydemokratycznemu centralizmowi biurokratycznemu – sobiepaństwu centralnej władzy, jej urzędników w stosunku do społeczności lokalnych i obywateli, okrawaniu ich samorządnych władz. Demokratyczny centralizm polegał na zagwarantowaniu jednolitości władzy państwowej i jednolitego prawa na całym terytorium państwa, w połączeniu z samorządnością lokalną, z demokratycznym wyłanianiem władz lokalnych i powoływaniem ich funkcjonariuszy przez terytorialne społeczności wszystkich szczebli. Wykluczała nasadzanie lokalnym społecznościom urzędników mianowanych przez centralne władze. Demokratyczny centralizm wymagał od lokalnych władz działania w ramach ogólnokrajowego prawa zarówno w zakresie stanowienia lokalnych przepisów prawnych, jak i podejmowania decyzji wykonawczych. Lokalne władze przedstawicielskie powinny być wyłaniane w wyborach powszechnych, lokalne wykonawcze – powoływane i kontrolowane przez lokalne organy przedstawicielskie. Sędziowie lokalnych sądów powinni być wyłaniani w wyborach powszechnych czy, co najmniej, powoływani przez przedstawicielski organ lokalny.

Tutaj historia się powtarza. Literalne zapisy konstytucji ZSRR (i „stalinowskich” konstytucji krajów realnego socjalizmu, które ją powielały) ucieleśniały niemal wzorowo koncepcję takiego demokratycznego centralizmu z lokalnym trójpodziałem na wszystkich szczeblach terytorialnych samorządów<sup>9</sup>. Lokalny samorząd uznany był za jedyną władzę państwową w terenie, co gwarantowała zresztą już od góry do dołu leninowska struktura rad. Skazy tej konstrukcji były pozornie niewielkie, choć brzemienne w skutki. Demokratyczny centralizm stalinowskiej konstytucji naruszało usankcjonowanie w niej sławetnej zasady „podwójnego podporządkowania” (art. 101 w konstytucji stalinowskiej) każdej z władz lokalnych – władzy wyższego szczebla, a zwłaszcza lokalnych władz wykonawczych zarówno wykonawczej władzy wyższego szczebla, jak i lokalnej przedstawicielskiej władzy „uchwałodawczej”. Naruszało centralizm demokratyczny uprawnienie władzy wykonawczej wyższego szczebla do uchylania uchwał i zarządzeń władzy wykonawczej i „uchwałodawczej” niższego szczebla bez procedury sądowej, bez możliwości odwołania się do władzy ustawodawczej czy sędziowskiej wyższego szczebla.

Najgorsza jednak była i w tej dziedzinie praktyka notorycznego łamania samorządności lokalnej, krępo-

wania jej samodzielności w sprawach lokalnych drobiazgowymi przepisami ustaw, zarządzeń centralnych (ze sławetnym „prawem powielaczowym”) oraz stosowanie partyjnej i rządowej centralnej „nomenklatury”, która oznaczała faktycznie nominowanie władz lokalnych przez centralne władze, zaprowadzała skrajny wręcz centralizm biurokratyczny.

Powtarzał się też paradoks, że łagodzenie rozbieżności między konstytucyjnymi uprawnieniami terenowej władzy a praktyką biurokratycznego centralizmu dokonywało się po śmierci Stalina przez korekty konstytucji, które w imię umocnienia państwa sankcjonowały centralizm biurokratyczny, nazywając to racjonalizacją, unowocześnieniem centralizmu demokratycznego. W Polsce za Gierka w latach 70. „zreformowano” system rad narodowych wprowadzając wojewodów mianowanych przez rząd, naczelników gmin mianowanych przez wojewodów, którym podporządkowano urzędy wojewódzkie, miejskie i gminne jako lokalne władze wykonawcze, a poza tym miały one służyć jako organy wykonawcze przedstawicielskim radom narodowym pozbawionym własnego organu wykonawczego. To skrajne ubezwłasnowolnienie rad terenowych usłuzni uczeni-prawnicy uzasadniali koniecznością oddzielenia samorządu od państwa. Na ironię rady narodowe dalej tytułowano terenowymi organami władzy państwowej.

Nie dziwiota, że politycy i dziennikarze hurmem straszą dziś ludzi diabłem centralizmu demokratycznego – wymysłem „komuny” i marksizmu. Nawet uczeni ulegli gremialnie wierze w tego diabła.

„Demokraci” w byłych krajach realnego socjalizmu wszędzie zapowiadali odrodzenie samorządności terytorialnej. W Polsce ich sztandarowym hasłem było stworzenie „Samorządnej Rzeczypospolitej”. W Rosji mer Moskwy Gawriił Popow gardłował za odrodzeniem terytorialnych rad wybranych w powszechnych wyborach. Lecz gdy przyszli do władzy, pierwszymi ustawami i zarządzeniami ograniczali i likwidowali samorząd terytorialny, powtarzając refren o zbawienności jego pełnego oddzielenia od państwa. A to oddzielenie polegało z reguły na nasadzaniu namiestników rządowych, zawężaniu kompetencji samorządów, czynieniu ich jeszcze bardziej bezwolnymi, bowiem pozbawianymi własnych środków finansowania. W Polsce ustawą samorządową zniesiono samorządy wojewódzkie, pozostawiając jedynie gminne. W Rosji ogranicza się kontrolę przedstawicielskiego organu samorządu nad jego władzą wykonawczą czyniąc ją jednoosobową i od tego organu niezawisłą (jak w czastuszcze przytoczonej w motcie). Na dodatek Jelcyn swymi dekretnami wprowadził władzę mianowanych namiestników rządowych w terytorialnych jednostkach. W naszej Małej Konstytucji przewiduje się dla samorządów wybory trójprzymiotnikowe, rezygnując z bezpośredniości i proporcjonalności.

\* \* \*

Kampania ustanawiania „silnych prezydentów”, obłudnie prowadzona w imię demokratycznej zasady trójpodziału władz, pozostaje w jawnej z nią kolizji. Próby teoretyczno-prawniczych uzasadnień tej kampanii opacznie przedstawiają historię i treści stosunku do tej zasady zarówno praktyki konstytucyjnej krajów realnego socjalizmu, jak i teorii marksizmu. Nie są one żadnym teoretycznym osiągnięciem współczesnego

<sup>9</sup> Chociaż zachowało się tu mocniej pierwotne zespolenie funkcji „uchwałodawczych” i wykonawczych rad. W szczególności organem wykonawczym rady było jej prezydium. Choć nie było to wyraźnie sformułowane w konstytucjach, rada powoływała je wyłączenie z grona swoich deputowanych (radnych). Prezydium łączyło funkcję organu wykonawczego rady i prowadzenia obrad rady.



konstytucjonalizmu w zakresie sprawnej i zrjonalizowanej demokracji.

## II. Empiryczno-historyczne argumenty za wyższością „prezydenckiej demokracji” nad parlamentarną

„Współczesny konstytucjonalizm” uznaje wyższość „prezydenckiej demokracji” nad parlamentarną za swoje odkrycie empirycznie potwierdzone, zdecydowanie zwłaszcza po II wojnie światowej, przez najnowszą historię. Abstrakcyjnie rzecz biorąc – twierdzą jego teoretycy – nie ma logicznych racji przyznania priorytetu jednemu z tych „modeli”. W obu może być zapewnione respektowanie wolności i praw obywatelskich, demokratycznych wolnych wyborów przy pluralizmie partii politycznych itp. Oba są przeciwieństwem totalitaryzmu. Jednakże doświadczenie i losy demokracji XX wieku mają wskazywać wyraźnie, iż „model” prezydencki, zapewniając szeroki zakres swobody kierowania państwem przez stabilną władzę wykonawczą, uwalniając ją od drobiazgowej kontroli parlamentu, pełniej gwarantuje siłę, sprawność, stabilność i autorytet państwa niż „model” parlamentarno-gabinetowy. Natomiast parlamentarne demokracje z dominującą pozycją władzy przedstawicielskiej sprzyjać mają bezsilie państwa, narażać na niebezpieczeństwo jego autorytet i paraliżować je przez parlamentarne klótnie. Ma to być szczególnie widoczne i wyraźnie empirycznie potwierdzone w tych państwach demokratycznych, które stoją przed zadaniem i koniecznością „przebudowy ustrojowej”, „reformy”.

Mają potwierdzać tę prawidłowość zwłaszcza losy demokracji odzyskanej we wszystkich byłych krajach socjalistycznych. Uznaje się, że ich skłócone parlamenty, wybrane w wolnych wyborach, odpowiedzialne są za paraliżowanie programu „reformy”, jako „konserwatywne”. Gwarantami demokracji i skutecznego przeprowadzania reform stają się więc wybrani w powszechnych wyborach prezydenci. Jako wybrańcy narodu są oni parlamentom co najmniej równi, ale skuteczniejsi. Są bardziej ostrożni we wnioskach uczeni prawnicy, politologowie, historycy, którzy nie prześlepiają niebezpieczeństw nadmiernej prezydenckiej władzy, rodzącej zakusy do ograniczania demokracji, przerastania w autorytaryzm. Dlatego optują za kompromisem obu „modeli”, za „trzecim modelem” – „prezydenckim”. Do ich opinii odwołują się parlamentarzyści lewicy, jednakże nie kwestionują zasadności powyższej argumentacji i racjonalności urzędu prezydenta z wyborów powszechnych.

Jaką naukową wartość przedstawia tego rodzaju argumentacja, takie dowodzenie wyższości „prezydenckiej demokracji”?

### Uwagi metodologiczne

Jeśliby nawet uznać, że mamy do czynienia z uogólnieniem niewątpliwych i poprawnie zarejestrowanych faktów empiryczno-historycznych oraz ich przyczynowych związków, z odkryciem pewnej prawidłowości, to wartość dowodowa tego uogólnienia jest żadna. Po pierwsze, proste uogólnienie empiryczne ma problematyczną wartość dla udowodnienia prawidłowości, przyczynowego powiązania. Po drugie, co najważniejsze, zakłada się tutaj milcząco, najczęściej bez krytycznej refleksji, że to, co rzeczywiste i powtarzalne (prawidłowe), to konieczne i racjonalne. To co

rzeczywiste – prezydenckie rządy, wynoszenie się egzekutywy nad legislatywę – ogłasza się za racjonalne w demokracji. Równie dobrze fakty rozprzestrzeniania się w krajach arabskich republik islamskich i ideologii islamskiego fundamentalizmu można by uznać za dowód wyższości i nowoczesności tego typu ustroju dla krajów wyznawców Mahometa. Darujmy sobie polemikę z taką trywialną parodią heglizmu.

Nie będziemy rozwijać tego metodologicznego wątku poprzestając na tych kilku uwagach. Nie warto, nie ma on dla nas istotnego znaczenia, bowiem same empiryczne przesłanki owych teorii, fakty, które służą za materiał do ich budowy są, delikatnie mówiąc, wątpliwe, ich interpretacja podciągana pod tezę, którą mają potwierdzać. Zwłaszcza w odniesieniu do krajów, które nie są i nie były socjalistyczne, a materiał empiryczny nie potwierdza dowodzonej prawidłowości.

### Co oznacza „silne” i „sprawne” państwo?

Przed przejściem do sprawdzenia, czy przesłanki tezy o wyższości „prezydenckiej demokracji” mają empiryczne potwierdzenie, pożyteczne będzie zatrzymać się przez chwilę nad sensem kategorii „silnego” i „sprawnego” państwa.

Intuicyjnie takim jest państwo, którego władze nie napotykają na sprzeciw obywateli, w którym bez szermowania podporządkowują się oni stanowionemu przez władzę prawu, decyzjom administracyjnym i orzeczeniom, czują respekt dla ich postanowień, w których władze – wszystkie – skutecznie i sprawnie, za przyzwoleniem obywateli, a jeszcze lepiej – przy ich czynnym poparciu na co dzień, realizują swoje funkcje.

Nie ma żadnych racji, by warunkiem koniecznym funkcjonowania takiego państwa była przewaga egzekutywy nad legislatywą i wymiarem sprawiedliwości. A czemu nie autorytet i harmonijne współdziałanie wszystkich trzech władz „silnych” i „sprawnych” w swoim zakresie? Taka sytuacja istnieje w wielu parlamentarnych demokracjach z prezydentem czy monarchą o czysto symbolicznych funkcjach. Że silne państwo wymaga silnej władzy wykonawczej – to banał. Jednak utożsamianie siły państwa z siłą tej tylko władzy jest błędne. Obywatel ma na co dzień najczęściej do czynienia z tą właśnie władzą i stąd narzuca mu się skłonność do takiego utożsamiania, do uleganiu takiemu „złudzeniu optycznemu”.

„Silne” i „sprawne” w takim intuicyjnym sensie były wszak i są, abstrakcyjnie rzecz biorąc, niejedne państwa policyjne, autorytarne, przemocą wymuszające posłuch i respekt dla swych działań. Czyż nie cechowała straszna wręcz siła i sprawność państwo hitlerowskie, faszystowskie włoskie czy hiszpańskie, militarystyczne japońskie, stalinowską dyktaturę?

Parafrazując słowa Engelsa – każde państwo jest instytucją, która opanowuje i reguluje sprzeczności interesów i działań grup ludności nim objętej, by nie doprowadzały do paraliżu ich życia przez bezpłodne i chaotyczne walki<sup>10</sup>. Państwo reguluje za ich przyzwoleniem tak czy inaczej uzyskiwanym, ale – rzecz prosta – sprzeczności nie znosi. Państwo jest silne wówczas, gdy czyni to skutecznie na długą metę. Funkcjonowanie

10 Por. Fryderyk Engels, *Pochodzeniu rodziny, własności prywatnej i państwa. W związku z badaniami Lewisa H. Morgana*, [w:] K. Marks, F. Engels, *Dzieła*, MED, t. 21, Warszawa 1969, s. 185-187.

władzy państwowej musi zapewnić rozwój gospodarczy, nie dopuszczać do spadku poziomu życia wielkich grup ludności. Gdy prowadzi do recesji, do degradacji, siła jego pryska, niezależnie od tego, czy jest totalitarne czy demokratyczne, prezydenckie czy parlamentarne.

W sporach o wyższość tego czy innego typu demokracji chodzi jednak nie o silne i sprawne państwo w ogóle, lecz o silną demokrację właśnie, o państwo, które respektuje polityczny pluralizm, prawa człowieka i obywatela, w którym władze są powoływane (i odwoływane) w wyniku wolnych wyborów obywateli. Siła demokracji zależy ostatecznie od tego, jaki program realizują wszystkie władze, w czyim interesie, czy są w stanie opanowywać i regulować społeczne sprzeczności zapewniając wzrost (nawet bardzo nierówny) dobrobytu i bezpieczeństwa obywateli. Gdy tego nie spełniają, stają się bezsilne. Gdy pogłębiają kryzys, obywatele odmawiają im poparcia. Demokracja ma tę potencjalną przewagę nad autorytaryzmami, że narastanie sprzeczności lub sukces w ich „godzeniu” jest sygnalizowany przez swobodne zachowania polityczne i gospodarcze obywateli. Który system – parlamentarny czy prezydencki – jest z tego punktu widzenia sprawniejszy? – oto pytanie. Który zarazem pełniej gwarantuje respektowanie zasad demokracji, zawiera skuteczniejsze mechanizmy ich obrony i utrwalania? I czy w ogóle istnieje uniwersalna odpowiedź na tak postawione pytania?

## Konstytucyjne demokracje w krajach tradycyjnie kapitalistycznych

Uogólnienia o wyższości „demokracji prezydenckiej” nie uprawnia faktyczny obraz współczesnych, w tym najbardziej renomowanych, demokracji w krajach kapitalistycznych.

Czyż za słabe, niestabilne państwa uznać możemy w ciągu ostatniego półwiecza takie parlamentarne demokracje jak Wielka Brytania, kraje skandynawskie, Szwajcaria, Belgia, Holandia, Kanada, Japonia, RFN, Włochy, Austria, a po obaleniu faszystowskich rządów, Hiszpania, Portugalia, Grecja? Pięć spośród nich należy do siódemki najbogatszych krajów świata. Pod rządami parlamentarnymi następuje tam wzrost ekonomiczny, są państwami prawa, z wzorowym w światowej skali autorytetem wszystkich trzech władz. Silne i stabilne.

Lecz nie ma w nich żadnej „czwartej władzy”: prezydentów, królów i cesarzy nie powołuje się tam w powszechnych wyborach, pełnią oni funkcje głównie symboliczne, nie mają władczych uprawnień<sup>11</sup>. Nie ma mowy o tym, by rządy wydawały dekrety z mocą ustawy. W wielu tych krajach bez perturbacji i oporów stosuje się referendum dla rozstrzygnięcia spornych kwestii prawnych.

Powie ktoś: to prawda, wszak nie dokonują „reformy”, są stabilne od dziesięcioleci, nie stoi tam zadanie „przebudowy ustroju”. Jednakże wiele z nich dokonywało właśnie po II wojnie światowej „przebudowy”. W RFN, we Włoszech, Japonii, Austrii, a później w Grecji, Hiszpanii i Portugalii parlamentarne demokracje wyrosły z obalenia autorytarnych, antydemokratycznych reżimów – faszystowskich bądź militarystycznych, które doprowadziły te kraje do kryzysu, do klęski narodowej. Anglię, Belgię, Holandię, Norwegię, Danię bez prezydenckich

rządów i powierzania „ustawodawstwa delegowanego” rządów parlamentarnym sprawnie wyprowadzono z głębokiego regresu spowodowanego wojną światową. Czy parlamentarny rząd Churchilla, a później Attleego, był słabszy, mniej sprawny, o mniejszym autorytecie niż prezydenckie rządy? W powojennej historii w części z nich były i są skłócone parlamenty z wielością partii politycznych. Nie sięgały jednak do „prezydentyzmu”. We Włoszech przez kilka dziesięcioleci utrzymywał się nieustający „kryzys polityczny”, zmieniło się kilkadziesiąt parlamentarnych rządów, ale nie przeszkodziło to imponującemu wzrostowi gospodarczemu, który doprowadził Italię do siódemki najbogatszych krajów świata! Dziś, gdy następuje załamanie, gdy naród domaga się „reformy” państwa, żadne demokratyczne siły polityczne i liczący się uczeni konstytucjonaliści nie opowiadają się za wprowadzeniem systemu prezydenckiego<sup>12</sup>.

A jak wygląda współczesna rzeczywistość „prezydenckich demokracji”? Tutaj jest wręcz regułą, że nie są one ani silne, ani sprawne, ani praworządne, ani wzorem demokracji. „Prezydenckimi demokracjami” są przecież prawie wszystkie państwa Ameryki Łacińskiej z ich notorycznym łamaniem praw człowieka, nędzą mas, przewrotami pałacowymi i wojskowymi, okrojowanymi przez kolejnych prezydentów konstytucjami, nieustającą korupcją rządów i samych prezydentów. Sprawowanie rządów przez kolejnych prezydentów-autokratów jest nietrwale i pogłębia kryzys. Niekiedy dla ratowania kraju szarpanego nędzą i wojnami zbrojnej opozycji sami prezydenci zmuszeni są inicjować nawroty do demokracji, pluralizmu i wzmocnienia roli parlamentu. Gdy nawet formalnie, z litery konstytucji, ustrój polityczny jest tam „prezydenckalny”, parlamenty są faktycznie bezsilne, dekoracyjne, ich uprawnienia pomijane. Ameryka Łacińska to symbol „prezydenckiej demokracji”. Lecz jest to demokracja typowa dla większości państw zależnego kapitalizmu. Jeśli nawet konstytucyjnie nie jest „prezydencka”, to cechuje ją samowola (nazywana mocną pozycją) rządowej władzy wykonawczej, pozostawanie parlamentu w bezbarwnym tle, taktyczne rządy oligarchii jednej partii itp.

Znamy to z międzywojennej Europy, w tym z Polski. Pod rządami parlamentarnymi marcowej Konstytucji państwo przeżywało częste zmiany rządów, nie było łatwe uformowanie stabilnej większości parlamentarnej. Po zamachu majowym Piłsudskiego wprowadzono rządy autorytarne i „silnego” prezydenta z prawem do dekretów i do rozwiązywania Sejmu. Wybory przestały być wolne i demokratyczne<sup>13</sup>. Antyparlamentarny reżim Piłsudskiego nie uczynił państwa ani silniejszym, ani bardziej praworządnym, ani nie umocnił jego autorytetu. Kryzys gospodarczy lat 1929-1933 był w Polsce najgłębszy i najdłuższy ze wszystkich krajów Europy. Klęska wrześniowa 1939 roku ujawniła bez reszty tromtadactwo władzy, która z hasłem „silni, zwarci, gotowi” trąbiła o swej potędze, o zdobyciu dla Polski kolonii, uczestniczyła w hitlerowskim rozbiore Czechosłowacji.

12 W 1992 roku komisja włoskiego Zgromadzenia Narodowego powołana do przygotowania „reformy” odrzuciła zdecydowanie koncepcję wybierania prezydenta i rządu (bo i takie pomysły roją się niektórym) w bezpośrednich wyborach powszechnych, którą lansowała faszystująca partia republikańska, lecz była kompletnie izolowana.

13 W tej sytuacji „silny prezydent” nie był powoływany w wyborach powszechnych, lecz przez Zgromadzenie Narodowe złożone z poselskich posłów i mianowanych senatorów.

11 Jak angielski król: panują, ale nie rządzą. Nikomu też nie przychodzi na myśl powoływanie w bezpośrednich wyborach powszechnych na te symboliczne funkcje, właśnie ze względu na ich charakter.

Podobnie bezsilne były „prezydenckie demokracje” na Litwie, na Łotwie, w Estonii czy w Finlandii. Wszystkie one były raczej parodią demokracji, nie wnosiły żadnej „przebudowy” czy „reformy” ustroju, chyba że reformą będziemy nazwać petryfikację kapitalizmu zależnego.

Silne i praworzadne, o wiekowej demokratycznej tradycji państwa prezydenckie są wyjątkiem. W istocie jest ich bodajże tylko dwa: Francja i USA. „Konstytucjonaliści” w byłych krajach socjalistycznych lubują się w powoływaniu na te wyjątki właśnie. Francja jest traktowana jako wzór i ideał „demokracji prezydenckiej”. Ustrój USA jest dla prawicowych ideologów i teoretyków prawa ideałem „demokracji prezydenckiej”. Przyjrzyjmy się kolejno aktualnym ustrojom politycznym Francji i USA, faktycznie nie są one bowiem identyczne i różna jest też ich historyczna geneza.

„Prezydenccyzm” we Francji jest tworem nowym. Zastąpił on parlamentarną demokrację, która ukształtowała się po II wojnie światowej i rozpadzie faszystowskiego reżimu Petaina. Czy ustanowiony został z potrzeby „silnego państwa” i przeprowadzenia „reformy ustrojowej”? Jeśli tak, to z potrzeby reformy polegającej na zachowaniu i unowocześnieniu francuskiego kapitalizmu, którego pozycja i istnienie były zagrożone. Idealizując demokrację V Republiki bladolewicowi demokraci w byłych krajach socjalistycznych cierpią na zdumiewającą amnezję<sup>14</sup>. Konstytucja gaullistowska przeformowana została przez prawicę, w walce z obrońcami demokracji parlamentarnej. Wprowadzała autorytarną władzę de Gaulle’a. Była narzędziem, którym posłużył się dla oddalenia niebezpieczeństw dla kapitalizmu. Najpierw wyeliminował komunistów z powojennego koalicyjnego rządu. Następnie, dla ratowania kapitalizmu, przeformował pokojowe wycofanie Francji z kolonii – tym razem wbrew niezdolnej do tego burżuazji (i jej tradycyjnych partii) – i wprowadził silne elementy planowania, interwencjonizmu państwa w gospodarce francuskiej<sup>15</sup>. Tych właśnie spraw nie można było „załatwić” skutecznie w systemie parlamentarnym.

Czy zagwarantowało to jednak „siłę państwa” na długą metę? Wątpliwe. Dziś stoimy wyraźnie wobec politycznego kryzysu V Republiki. A siła i stabilność państw demokracji parlamentarnej w RFN czy w Japonii, które wyprowadzały te kraje z kryzysu po II wojnie światowej, w żadnym razie nie są mniejsze.

„Prezydencka demokracja” w USA, jeśli usiłować wyprowadzić jej genezę z konieczności „reformy”, „przebudowy ustroju”, wyrosła z dokonanej przed 200 laty burżuazyjnej rewolucji zbrojnej, która obaliła feudalną zależność i proklamowała niepodległość. Konstytucja tej demokracji skonstruowana została dosłownie na monteskiuszowski wzorzec trójpodziału władz, w którym każda władza wybierana była przez naród. Prezydentowi powierzano sprawowanie jednostkowo całej wła-

dy wykonawczej – na podobieństwo elekcyjnego króla. Zresztą jednoznacznie tylko wykonawczej, bowiem amerykański prezydent nie może wydawać dekretów z mocą ustawy. Może tylko wetaować ustawy uchwalone przez parlament, opóźniać ich wejście w życie. Wbrew pozorom, zakres władzy prezydenta USA był niewielki, z wyjątkiem kwestii bezpieczeństwa *zewnętrznego*. Ograniczała go ogromna samodzielność stanów, które rządziły się różnorodnymi prawami. Toteż Amerykanie nie odczuwali niebezpieczeństw prezydenckiego autorytaryzmu, a przez stulecie świat trafnie wskazywał i uznawał USA jako wzór swobód obywatelskich.

W XX wieku, wraz z postępem gospodarczej integracji Stanów Zjednoczonych, potęgowaniem się jednoczącej roli wielkich korporacji, a następnie ekspansji światowej kapitału USA i rozwoju aparatu militarnego stojącego na jego straży, następował ogromny wzrost zakresu działania i znaczenia władzy federalnej. W systemie prezydenckim, dopasowanym do demokracji milionerów i miliardów, narastać musiały autorytarne cechy władzy prezydenta. Narastać musiała korupcja wszystkich trzech władz i federalnych, i stanowych, podporządkowanych w istocie sile pieniądza. Toteż USA utraciły imię oazy praw człowieka i wzoru demokracji. Są państwem, w którym wzorcowe, usankcjonowane tradycją instytucje demokracji współżyją z jaskrawymi naruszeniami praw obywatelskich szarego człowieka, a zwłaszcza brutalnie i jaskrawo naruszającymi prawami człowieka w stosunkach zewnętrznych.

Dodajmy jeszcze, że na potwierdzenie przewagi „prezydenccyzmu” nad parlamentaryzmem w „reformowaniu ustroju” z sukcesem i doprowadzaniu do jego stabilizacji pojawia się w byłych krajach socjalistycznych – obok Francji i USA – nieśmiało powoływanie się na prezydencki reżim Pinocheta w Chile<sup>16</sup>. Trochę to wstydlive, lecz w polskiej telewizji umożliwiono bez komentarza głoszenie tego „demokratce” pani Thatcher. Puszczają się w zapomnienie, że stabilizację osiągnięto tam przez zbrojne obalenie i zamordowanie demokratycznie wybranego prezydenta Allende i zdławienie demokratycznych sił. Faktycznie przywrócono „ład”, to jest zorganizowany przy udziale służb specjalnych USA powrót Ameryki Łacińskiej do „normalności”, powrót władzy amerykańskich monopolii, pozbawiono naród skromnych zdobyczy socjalnych, doprowadzono do spadku płac i dochodów ludzi pracy.

Wniosek z tego przeglądu może być tylko jeden: nie ma w krajach kapitalizmu empirycznie potwierdzonej przewagi „demokracji prezydenckiej” nad parlamentarną w gwarantowaniu siły i stabilności państwa – niezależnie od tego czy dokonuje ono „reformy”, czy nie. I jedna, i druga demokracja – bywało – wyrastała z kryzysu i zeń wyprowadzała, i jedna i druga – bywało – doprowadzała do kryzysu. Prezydenckie niosą groźbę przerastania w autorytaryzm, odchodzenia od demokracji. Gdy groźba ta staje się rzeczywistością, przywrócenie demokracji wymuszane bywa z reguły przez dokonywane pokojowo lub zbrojnie powroty do parlamentaryzmu. Ogłaszanie na gruncie „prostego uogólnienia empirycznego” historycznej wyższości, większej

14 Powołajmy się na ocenę wiarygodnego świadka – Juliana Hochfelda. W 1944 roku w liście wysłanym z Londynu do Haliny Malinowskiej, działaczki emigracyjnej PPS pisał, że we Francji układ sił społecznych jest taki, jak w Rosji między lutym a październikiem 1917 roku; że komuniści są tam górą, jednak obecność wojsk amerykańskich i fakt, że de Gaulle nie jest takim durniem jak Kiereński, uniemożliwił im zdobycie władzy. Ta ocena cytowana jest w jej wspomnieniach o Hochfeldzie, zamieszczonych w *Demokracja i socjalizm. Księga pamiątkowa poświęcona pamięci Juliana Hochfelda*, Wrocław 1992, s. 196.

15 Roosevelt scharakteryzował swą politykę w okresie wielkiego kryzysu w USA słowami: musiałem ograniczać kapitalizm, aby go uratować. Taką rolę spełniała we Francji polityka de Gaulle’a.

16 Wyrażanie czci dla gen. Pinocheta w kręgach polityków „liberalno-konserwatywnych, a nawet liberalno-demokratycznych” niepokoi Karola Modzelewskiego. Por. K. Modzelewski, *Dokąd od komunizmu?*, Warszawa 1993, s. 56.

sprawności systemu prezydenckiego, gwarantowania przezeń stabilności państwa, jest bezpodstawne i stanowi *ex ante* przyjęte ideologiczne założenie, dla ilustracji którego dobiera się wygodne przykłady, dowolnie je interpretując.

### **Czy „demokracje prezydenckie” w byłych krajach socjalistycznych gwarantują siłę i sprawność państwa?**

W państwach, w których nastąpił krach „realnego socjalizmu”, prawie wszędzie szerzy się epidemia „prezydenckiej demokracji”. Tutaj więc, w przeciwieństwie do starego świata kapitalizmu, pozory uprawnienia uzyskuje „proste uogólnienie empiryczne”, iż „demokracja prezydencka” lepiej pasuje do utrwalania i rozwijania demokracji w epoce „reformy”.

Na różne sposoby prezydenci uzyskują szerokie – konstytucyjne i pozakonstytucyjne – uprawnienia władzy wykonawczej, ingerowania w procesy legislacyjne, prawa powoływania rządów lub istotnego wpływu na ich skład – na niekorzyść parlamentów. A jeśli tak się nie zdarza, to wówczas występują zjawiska kształtowania się „przewagi” egzekutywy nad legislatywą, pojawiają się rządy pozaparlamentarne, które w konfliktach z parlamentami zwycięsko uzyskują szeroki zakres uprawnień do wydawania dekretów. System prezydencki jest utrwaleniem i sankcją konstytucyjną tej przewagi egzekutywy i ograniczeń uprawnień władzy przedstawicielskiej.

Wszak to co rzeczywiste niekoniecznie jest racjonalne i nowoczesne. Trzeba zobaczyć, czy procesy stanowienia „prezydenckiej demokracji” prowadzą faktycznie do kształtowania się państwowej władzy silnej, sprawnej, praworządnej, do umacniania demokracji i jej pogłębiania?

Zwracaliśmy już uwagę na to, że załączki owej tendencji wystąpiły w schyłkowym okresie realnego socjalizmu. Do konstytucji wprowadzano „silnych prezydentów”, którymi zostawali z reguły pierwsi sekretarze KC partii marksistowsko-leninowskich. Byli powoływani formalnie przez parlamenty, jeszcze nie w powszechnych wyborach. Najwcześniej wystąpiło to w krajach, które podjęły próbę prowadzenia samodzielnej polityki, wyrwania się z zależności od ZSRR – w Jugosławii, Rumunii i Korei. Później ta tendencja związała się z nurtem „reformatorów” w partiach komunistycznych, z realizacją programów demokracji ustroju politycznego, tolerowania, a następnie legalizowania politycznej opozycji. Stanowiło to logiczną konsekwencję prowadzonego pod hasłami demokratyzacji wzmocnienia rządowej, centralistycznej władzy wykonawczej, ograniczania samorządu terytorialnego.

Twierdzić jednoznacznie, że te reformy ustroju konstytucyjnego niosły ze sobą umacnianie demokracji i praworządności, to karkołomna teza. W Rumunii, Korei Północnej wyraźnie nie, a nawet wręcz przeciwnie. W wypadku posunięć „reformatorów” – rzeczywistość służyła ograniczonej demokratyzacji i umacnianiu praworządności bez pluralizmu, w ramach i wewnątrz monopartyjnego systemu, służyła doprowadzaniu do zgodności między literą konstytucji i ustaw a praktyką ich realizacji. Kазus Jugosławii sytuuje się „pośrodku”.

Co się tyczy umocnienia siły i sprawności państwa, sprawa przedstawia się bardziej jednoznacznie. Owe

reformy stanowiły raczej symptom jego zwiększającej się słabości, narastania kryzysu ustroju, potęgującej się alienacji pierwotnie rewolucyjnej władzy ludu, alienacji państwowej i partyjnej „nomenklatury”, która szukała prawnego zakotwiczenia swych rządów w warunkach malejącego oparcia społecznego, postępującego rozkładu partii komunistycznych i biurokratyzacji ich aparatu.

Po dojściu do władzy demokratyczna opozycja przejęła pałeczkę od komunistycznych „reformatorów”, odstąpiła od parlamentarnej demokracji, stała się rzecznikiem prezydenckiej. Ustanawiała (najczęściej z poparciem byłych komunistycznych „reformatorów”) prezydentów powoływanych w powszechnych wyborach o szerokich prerogatywach władzy wykonawczej, ale i ustawodawczej. W Rosji wprowadzano na szczeblu lokalnym powoływanie w drodze wyborów powszechnych szefów samorządowej władzy wykonawczej, a następnie namiestników rządowych i pełnomocników prezydenckich obok samorządu lokalnego.

To parlamenty wyłonione w powszechnych i wolnych wyborach przyjmowały taki porządek konstytucyjny i udzielały w jego ramach prezydentom i rządowi pełnomocnictw, cedując na nich swe kompetencje. Parlamenty natychmiast wchodziły w konflikt z prezydentami, którzy bezkarnie lawirując i wykrętnie interpretując swe uprawnienia, rozszerzają je nieustająco. Pod wodzą prezydentów forsowana jest rabunkowa „prywatyzacja” uspołecznionej własności. Pod ich wodzą prowadzona jest „dekommunizacja”. Tacy prezydenci i ich rządowi mianowacnicy ogłaszają się i są ogłaszani przez własny dwór polityków i ideologów za gwarantów demokracji, przy wtórze tym ocenom rządów renomowanych demokracji Zachodu i poparciu politycznym z ich strony, a parlamenty traktowane jako przeszkoda na drodze jej umacniania, uznawane za zdominowane przez komunistów i faszystów.

Taka jest rzeczywistość owej „prezydenckiej demokracji”, głoszonej i wprowadzanej pod hasłem siły i sprawności państwa, niedołęstwa parlamentaryzmu (a według Jelcyna wręcz jego radzieckiego charakteru), który nie potrafi wykorzenić „komunizmu”. Jednakże w miarę upływu czasu charyzma tych prezydentów wyraźnie upada, równie szybko jak autorytet bezradnych i skłóconych parlamentów. A rządy prezydentów prowadzą do spadku siły i autorytetu państwa. Coraz częściej łamią oni praworządność, coraz bardziej otwarcie głoszą, iż tych czy innych ustaw, a nawet konstytucyjnych przepisów nie będą respektować.

Powtarzalność procesu ustanawiania „prezydenckich demokracji” w toku restytucji demokracji w byłych krajach socjalistycznych znajduje niemal bezwyjątkowe potwierdzenie empiryczne. Jednakże nie przynosi to umocnienia demokracji i nie świadczy o jej wyższości, lecz przeciwnie – o jej zagrożeniu, o jej przerastaniu w autorytaryzm. Jak prywatyzacja, prezentowana jako panaceum na przełamanie regresu gospodarki, na zahamowanie klęski bezrobocia i spadku stopy życiowej milionów ludzi pracy miast i wsi, prowadzi w miarę postępów do pogłębiania recesji i rozkładu ekonomiki, tak prezydenckie rządy pogłębiają polityczny rozkład, niosą dalszy upadek autorytetu państwa, a nie wzmocnienie jego sprawności i siły.

**JAROSŁAW ŁADOSZ**

JACEK WOJCIECHOWSKI

# W ROSJI – O ROSJI

Wypowiedzi o Rosji, kreowane poza Rosją, w szczególności na zachód od niej, nawet jeśli kompetentne, bywają nadmiernie często skażone niechętnym nastawieniem. W rezultacie generuje się z nich obraz bardzo jednostronny. W szczegółach zapewne prawdziwy, lecz nie nadający się na bezdyskusyjne uogólnienie. Wyraźnie bowiem brakuje ujęć odmiennych, różnorodnych, w tym także *szerokopasmowych*, z których dałoby się skonstruować panoramę rozległą i wieloraką – nie żeby obowiązkowo przyjazną, ale jednak wolną od narzuconych z góry barw czarnych.

Jeśli zatem ktoś oczekuje wieloaspektowej panoramy, to na pewno bardziej przydadzą mu się opinie formułowane w samej Rosji. W przeważającej mnogości też wprawdzie jednorodne, bo na ogół apologetyczne lub przynajmniej pochwalne, ale wobec zagranicznych przeciwników i nie w całości w stosunku do siebie zgodne. Zdarzają się bowiem relacje mniej lub bardziej krytyczne, nieraz bardzo ostre, jednak wyzute z apriorycznego jadu niechęci, za to lepiej dokonkretyzowane, oraz oparte o udokumentowane zdarzenia i fakty.

Dlatego czasami warto wsłuchać się w te głosy, dobrze jeśli różnorodne, żeby je następnie przemyśleć **po swojemu** i ewentualnie skonstruować dla siebie opinie **własną**. O kraju, z którym bądź co bądź graniczymy i który w światowej polityce odgrywa jedną z ról dominujących.

## WŁADZA. POLITYKA. GOSPODARKA. PRZYSZŁOŚĆ

**Władisław Inozimcew, *Czto słucziłoś s Rosjej?*, Algoritm, Moskwa 2015, s.255, ISBN 978-5-4438-0937-3.**

Do tego na pewno przyda się książka umiarkowanego opozycjonisty, Władisława Inozimcewa. Ten 50-letni socjolog i ekonomista jest profesorem w ogromnej moskiewskiej uczelni, mianowicie w Wyższej Szkole Ekonomii, oraz dyrektorem Centrum Badań Społeczeństwa Postindustrialnego. Pozostaje też w relacjach z Atlantic Council w Waszyngtonie i dużo publikuje na Zachodzie. Od dawna oręduje za zbliżeniem Rosji oraz krajów europejskich, a nawet za przyjęciem jej do Unii Europejskiej. Ostatnio zaś zaoferował przygotowanie programu wyborczego dla Kseni

Sobczak, która zapowiedziała swój udział w rosyjskich wyborach prezydenckich w 2018 roku. Jako kontrkandydatka Putina, ale w to nie wszyscy wierzą, w końcu bowiem jest córką dawnego putinowskiego pryncypała, byłego mera Sankt Petersburga.

### WŁADZA

To niedowierzanie ma szersze macki. Oto bowiem Inozimcew w tej książce, oraz w rozmaitych innych wystąpieniach odnosi się do Putina z ostentacyjną niechęcią. Przezywa go carem oraz satrapą, ale czy jest w tym do końca szczery, to może lepiej nie dawać głowy. Mnożąc bowiem antyprezydenckie zarzuty oraz inwektywy, ewentualnie przygotowuje dla siebie stosowne alibi.

Pisze więc, że Putin uprawia teatralny militarizm, czym wzbudza globalny lęk, mimo że na zawojowanie świata jest za słaby. Poza tym zręcznie podkupuje byłych gwiazdorów europejskiej polityki, zaś własny naród bierze na lep wielkoruskiej mitologii. A przy tym nieustannie kłamie i nie dotrzymuje obietnic. W związku z tym autor odradza negocjacje z nim, ale to sugestia bez sensu. W Rosji politycy zawsze przecież łgali ile wlezie, tak się przyjęło, a mimo to rozmawiać należało oraz nadal trzeba, byle tylko zaufanie schować pod wycieraczką.

No bo jaka jest alternatywa? Jakiegokolwiek zmiany w Rosji byłyby możliwe wyłącznie z przyczyn wewnętrznych, a takich nie widać. Putin zaś to nie jest trzeciorzędny agent wywiadu: trzeba mieć jaja, żeby trzymać w garści taki kraj oraz jeszcze niepokoić połowę świata, toteż nie wolno go nie doceniać. Ma za sobą 65 proc. wyborców i nadchodzącą elekcję powinien wygrać w cuglach – nikt mu nie podskoczy.

W tej książce wprowadzie lansuje autor inną kandydaturę. To Miedwiediew – znacznie od Putina młodszy i podobno na Kremlu najinteligentniejszy. Ale sam z siebie nie ma żadnych szans. I chyba pogodził się z tym Inozimcew, skoro złożył deklarację wspierania Kseni Sobczak. Dostyc zresztą desperacko – chyba że to jest zaplanowana gra – bowiem musi zdawać sobie sprawę ze wszystkich przewag Putina, oraz wie, z czego wynikają.

Otóż nie było tam wprawdzie i nie ma podarunku 500+, ale przeciętny standard egzystencji, może niewysoki, jest jednak teraz w Rosji znośny i stabilny. Po

tragicznej sytuacji w czasach Jelcyna, którą się pamięta, obecnie to nadal (na razie?) wystarcza. Panuje prymitywny konsumpcjonizm. Prywatny biznes nie kwitnie, ale *jakiś* jest. Jeśli kogoś stać, to może bez trudu wyjechać za granicę, nawet z kapitałem, oraz/lub kształcić tam dzieci. Tego sobie przedtem nawet nie wyobrażano.

Na użytek osobisty istnieje względna swoboda. Byle nie kontestować prawa do władzy (i zarobków), jak też nie zaczepiać organów siłowych i militarnych oraz armii urzędników – to da się względnie spokojnie żyć, olewając oficjalne drętwe gadki, że Rosji zagraża cały świat. Samopoczucia nie psują nawet ustawiczne sankcje: władza ma rezerwy środków, żeby płace nie zmalały. W sumie – zdaniem autora – to jest symbioza pseudo-Zachodu i post-Sowietyzmu oraz licencjonowanej swobody i autorytaryzmu.

Demokratyczna opozycja jest bezsilna i słaba. W Rosji nigdy nie było klimatu dla demokracji, a próby nawiązania do niej kilka lat temu zbiegły się w czasie z egzystencjalną katastrofą, więc nikt za nią nie płacze. Przeciwnie! Na to zaś nakłada się jeszcze względna wolność wypowiedzi: można gadać, a nawet pisać, rozmaicie. Jak nigdy przedtem. Chociaż Inoziemcew przeoczył jednak, że z tego powodu trochę osób już nie żyje. Ale *statystycznie* biorąc, ma rację. Tak więc wygląda na to, że w nieodległej perspektywie Putinowi nic nie zagraża.

## POLITYKA

Rosja zawsze kreowała się na imperium i tak też świat o niej myśli, niezależnie jak naprawdę jest. Otóż każde wielkie mocarstwo, nawet jeżeli udaje karesy, ma jedno dążenie główne: trzymać innych pod butem, bo w przeciwnym razie nie byłoby żadną potęgą. Zaś ta moc imperialna bierze się z siły gospodarczej oraz militarnej.

Gospodarka rosyjska, oparta głównie na surowcach, nikomu nie za imponuje, toteż instrumentem dominacji była i jest ekspozycja militarna, prymitywnie nadęta, ale robiąca wrażenie. Temu wszak służą parady lotnicze i podwodne prowokacje, krzykliwe reinstalacje rakiet, oraz najgorsze: przygraniczne agresje, nazywane hybrydowymi.

Taki miała sens i charakter awantura gruzińska oraz później i obecnie agresja na Ukrainie. Otoczona legendą rzekomej rewindykacji ziem ruskich oraz mitem ratowania tamtejszych Rosjan. Na Łotwie oraz w Estonii Rosjan sekuje się rzeczywiście, odcinając ich od praw wyborczych, ale jakoś żaden Rosjanin stamtąd nie ucieka ani do Rosji nie wraca. Skutkiem więc krymsko-doniecko-tugańskiej napaści jest irytacja Zachodu oraz lawina wydatków na utrzymanie obszarów, nazwanych *wyzwolonymi*.

Jednak mimo potrząsania rakietami oraz militarnej retoryki – powiada Inoziemcew – dalszych równie brutalnych ekscesów raczej nie będzie. Ekspedycja syryjska to coś innego. Ogólnie biorąc, Rosjan odstrasza

gospodarcza potęga Unii Europejskiej oraz siła ognia NATO – ludzie na Kremlu nie są samobójcami. Jakkolwiek ze względu na *Brexit*, panów Johnsona, Farage'a i Camerona, pan Putin powinien z wdzięczności całować po rękach.

Tymczasem zaś Rosja zwraca się ku Azji, próbując zainicjować eurazjatycki pomost. Ale do kolaboracji znajduje głównie słabizny. Chiny współpracują z Rosją tylko dla surowców i żadnego politycznego pośrednictwa nie potrzebują, bo same są już superpotęgą. Wizyty chińskich przywódców w Europie sygnalizują obojętność na kremłowskie umizgi. Zatem azjatyckie otwarcie owocuje przede wszystkim tym, że islamscy imigranci będą wkrótce stanowili 12 proc. mieszkańców Rosji. Jest więc o czym pomyśleć.

Próby stworzenia przez Rosję nowej koalicji – z Chinami, Indiami, RPA i Brazylią – uważa autor za nieporozumienie. Bo każdy z tych krajów jest inny; ma

odmienne interesy i różni się gospodarczo oraz mentalnie. Jedyna zbieżność to gigantyczna skala korupcji wszędzie tam, ale to nie jest dobra przesłanka do kooperacji.

Inoziemcew doradza więc polityczny i gospodarczy powrót do Europy (to jego obsesja) – bo Rosja to jednak europejski kraj – oraz naprawę relacji także z USA i z Japonią. Bynajmniej nie na kolanach. Wystarczy nakłamać, że na Krymie istniała groźba ludobójstwa, a także nadać temu półwyspowi specjalny status i Zachód odpuści. Pogodzi się, że Krym i ewentualnie Donbas pozostaną poza Ukrainą, bo w kalkulacjach imperialnych liczy się Moskwa, a nie Kijów. Zatem nawrót do dyplomatycznych uśmiechów jest prawdopodobny. To wprawdzie opinia wysoce cyniczna, ale wygląda realnie i jest podzielana przez wielu.



## GOSPODARKA

*Gospodarka, głupcze!* – to prezydenckie zawołanie z USA, według Inoziemcewa do Kremla nie dotarło. Tamtejsze gospodarowanie w skali kraju kieruje się bowiem zasadami szczególnymi, niekoniecznie rynkowymi.

Priorytet w dochodach zachowuje ostoja władzy, więc oligarchowie, urzędnicy, oraz organy siłowe. Kiedy więc państwowe giganty gospodarcze sygnalizują (często) deficyt, to następuje dwukierunkowe dofinansowanie z państwowych rezerw, które jednak kiedyś sięgną zera, bo wzrostu nie ma, a corocznie wycieka za granicę 70 miliardów dolarów, bowiem liczne firmy rejestrują się podatkowo na Cyprze lub na Bahamach. Z kolei przez sankcje traci się dalszych 200 milionów dolarów każdego roku, a Donieck, Ługańsk i Krym także wysysają swoje. Do krachu droga jest wprawdzie jeszcze odległa, lecz taki kierunek został już wytyczony.

W znacznym stopniu również skutek potężnej korupcji, która zawłaszcza 14 proc. środków budżetowych. Zjawisko może nie jest nowe, lecz jego skala osiąga wyżyny.

Korupcja ma zresztą wymiar globalny, nigdzie nie brakuje takich *specjalistów*, zatem nieprawda, że Rosjanie są w niej wyłącznymi mistrzami z natury. Podobnie jest w Chinach, Brazylii, Wenezueli, albo w RPA oraz w Zimbabwie. Natomiast istnieje taka prawidłowość, że im więcej państwa oraz quasipaństwa (samorządów) w gospodarce, tym bardziej potęguje się korupcyjność. W Rosji dominuje kapitalizm państwowy, toteż i dla złodziejstwa szanse są wzmożone.

Rosja uchodzi obecnie za ósmą gospodarkę świata. Ale – sugeruje autor – już od lat grzęźnie w stagnacji: nie ma rozwoju, postęp jest zerowy, dlatego rośnie nostalgia za sowietami. Inoziemcew twierdzi przykładowo, że jedno z większych nieporozumień stanowi transport. Mimo kosztownych inwestycji, taniej byłoby posłużyć się konnymi furmankami. Może przesadza, ale to tylko ilustracja. Natomiast globalna tendencja przeniesień transportowych ku morzu, Rosję ominęła, chociaż to kraj z najdłuższą na świecie linią brzegową. Inna sprawa, że w znacznym stopniu niemożliwą do wykorzystania, co autor dyskretnie przemilcza.

Swoją gospodarkę Rosja, od stuleci, opiera na eksporcie kopalin, nie produkcji przetworzonej. Zatem jako baza surowcowa dla świata, przypomina czasem dawne kraje kolonialne. Są zresztą zbieżności bezpośrednie, ponieważ 76 proc. krajowego eksportu zapewnia Syberia, traktowana przez Moskwę tak, jakby naprawdę była kolonią. Kiedyś więc ludzie z Irkucka, z Nowosybirsk i z Omska wkurzą się maksymalnie i to będzie koniec oligarchijno-urzędniczego eldorado. Ale na razie tak nie jest.

Wywozowi surowców towarzyszy jeszcze sprzedaż broni za granicę. Głównie lżejszego kalibru, toteż w interesie Kremla (pisze Inoziemcew) leży podsycanie konfliktów lokalnych. Tam, gdzie ludzie chcą zabijać się bezpośrednio, najlepszy jest bowiem unowocześniony *kałasznikow*. No więc trzeba, żeby tak chcieli.

Natomiast pilnie potrzebna jest Rosji nowa industrializacja, jednak nie ma ku temu warunków i z kręgów władzy nikt do tego nie dąży. Bo wszystkie dotychczasowe transformacje gospodarcze, nawet stalinowskie, opierały się na imporcie zagranicznej technologii i pomysłów, przynosząc zresztą efekty niejednoznaczne, ze względu na wdrożeniowe partactwo. Teraz jednak Zachód ustanowił szlaban, a własny wkład gospodarczy rosyjskiej nauki, autor ocenia jako zerowy; oferta jest ponoć bezwartościowa, toteż nikt jej nie chce. Chociaż niewykluczone, że trochę przesadza. W końcu pierwszy facet w kosmosie nazywał się Jurij Gagarin, a nie George Smith. Ale to było dawno.

Teraz istotnie ma tam miejsce stagnacja, chociaż nie wszyscy mają stosowną świadomość, ponieważ dla świętego spokoju przejadane są rezerwy i to czasem w stopniu szokującym. Inoziemcew twierdzi ilustracyjnie, że zimowa olimpiada w Soczi kosztowała tyle, co osiem poprzednich olimpiad łącznie. A u nas były pomysły, że może w Krakowie...

Wpływ na gospodarkę rosyjską mają też zapewne inne zjawiska niekorzystne, zwłaszcza bezrobocie. Które *jakiś* jest, ale nikt nie ma pojęcia jakiego. W każdym razie na czarno pracują miliony. Rosyjski rząd przyznał oficjalnie, że nie wie, czym zajmuje się 44 proc. zatrudnionych, czyli 38 milionów osób. Jeżeli to prawda, to jest ponuro.

Z Inoziemcewa wyłazi ekonomista, kiedy mówi, że trzeba wdrażać i mnożyć reguły rynkowe, i poszerzać obszary gospodarki prywatnej. Ekipa Jelcyna też tak uważała i co? Niewątpliwie istnieje konieczność *skoku* przemysłowego, ale nie da się poskakać bez demokratyzacji kraju i bez ukrócenia oligarchicznej samowoli oraz bez odświeżenia nastawień na Zachód. Ale ku temu nie dąży nikt. Ani Zachód, zszokowany militarnym chuligaństwem, ani (na razie?) sami Rosjanie.

Społeczeństwo boi się powtórki z gospodarczej liberalizacji. Nazwiska niedawnych reformatorów – Anatolija Czubajsa, Jegora Gajdarai Iriny Hakamady powszechnie kojarzą się z piekłem. W tym kontekście Leszek Balcerowicz był u nas ewidentnym cudotwórcą. Ale także obecne władze tamtejsze nie widzą w tej chwili szans ani powodów, żeby cokolwiek gruntownie reformować. Wybierają trwałość.

### PRZYSZŁOŚĆ WE MGLE

Inoziemcew zastanawia się też, jakie numery może wykręcić rosyjska ruletka w bliższej lub w dalszej przyszłości. Nic w tym niezwykłego – w końcu jest stamtąd. Jednak ciekawość powinna być również globalna, ponieważ Rosja to wciąż taki kraj, że kiedy kichnie, to zainfekuje katarem połowę świata. Może wesprze stabilizację, albo zdemolować wszystko, co się rusza.

Swoje przyszłościowe kalkulacje autor dzieli na pesymistyczne i optymistyczne. Ale odróżnienie jednych od drugich jest trudne. Być może używamy dla tych pojęć odmiennych słowników frazeologicznych.

Wyjściowe założenie łączne jest takie, że zmiany w Rosji wymagają inspiracji tylko wewnętrznych. A także – cokolwiek się zdarzy, nie będzie w tym kraju rozłamu. I oby miał rację, bo rozpadająca się Rosja, obok własnych nieszczęść, mogłaby światu zgotować apokalipsę. Jednak na taką wewnętrzną implozję nie ma rychłych szans z braku stosownych koncepcji, oraz przez wyzerowanie opozycji. Znosi się zatem rzeczywistość na wydłużone trwanie.

W autorskiej wersji posępnej – Putin odejdzie w 2024 roku i licho wie, kto po nim zaopiekuje się Kreml. W każdym razie trudno przed 2030 rokiem (czyli przez dwie prezydenckie kadencje) liczyć na produktywnie reformy. Będzie zatem kontynuacja gospodarki surowcowej, niby rynku, oraz urzędniczej władzy. Utrzyma się mentalny konserwatyzm i przeciętność egzystencji, a także syndrom obłądzonej twierdzy.

Jeżeli natomiast pójdzie dobrze (dla kogo?), to reżym rozleci się po 2018 roku i z putinotrasą zaczną się odskoki ku demokracji. A z jakich powodów? Otóż skończą się rezerwy finansowe i ekonomika nie wytrzyma, toteż standard życia spadnie znacząco, albo jeszcze niżej. Wtedy zaś już nikt nie będzie miał wszystkiego w nosie. A na dodatek da o sobie znać znużenie tą samą władzą. I być może regiony zażyczą dla siebie znacznej autonomii. Co w sumie też trudno wykluczyć – lecz argumenty autorskie jednak nie mają siły wodospadu.

Inoziemcew uważa, że wie, czego Rosja potrzebuje najbardziej. Demokratyzacji, nastawienia polityki gospodarczej na społeczeństwo, lecz także urynkowania – co nie do końca daje się pogodzić – oraz jeszcze nawrotu do kursu europejskiego. Ale realizacja jest trudniejsza niż trudna i na razie nikt się za nią nie zabiera,

a nawet (poza samym autorem) mało kto w Rosji jej chce. Zatem prognozy toną we mgle i nie da się powiedzieć, że to dobrze.

## ROSJA I PUTIN

**Władimir Kuzniecowski, *Putin. Kadrowaja politika. Nie strielajcie do pianista: on predłagaet wam łuczszije iż wozmożnowo*, wyd. 2, uzup., Centrpoligraf, Moskwa 2017, s.223, ISBN 978-5-227-06608-4.**

Większość obecnie formułowanych opinii o Rosji, szczególnie tamtejszych, nawiązuje również do Władimira Putina. Negatywnie, krytycznie lub ambiwalentnie, albo pozytywnie, przy pochlebnie, bądź wręcz apologetycznie. Czasami trudno rozpoznać, w jakim stopniu to są gry i gierki, względnie wypowiedzi podrasowane już z góry, w określonym celu, a jak dalece autentycznie własne i dopracowane. Zwłaszcza że opiniodawcy nierzadko uelastyczniają swoje stanowiska, a nawet w istotnym zakresie zmieniają. W końcu mają takie prawo.

Kiedy zatem prof. dr hab. (w oryginale: dr, kandydat nauk) Władimir Kuzniecowski, historyk i filozof z Rosyjskiego Instytutu Badań Strategicznych, przeredagował i uzupełnił drugie wydanie swojej książki z 2015 roku (miała duże wzięcie), pojawiła się taka właśnie niejasność. Przed laty bowiem zajmował wobec władz stanowisko umiarkowanie sceptyczne, natomiast w tej książce – tym bardziej w jej drugiej edycji – wygląda na ostrożnego apologetę prezydenta Putina. Chociaż – przy godziwym na ogół poziomie argumentacji, dokumentacji oraz perswazji. Jednak czytanie wymaga wzmoczonej czujności.

Autor cofa się do początków ery putinowskiej, a nawet do okresu przedwstępnego, przywołując osobę Borysa Jelcyna, o którym teraz należy mówić źle, tymczasem w książce opinie są ostrożne. Owszem, Jelcyn uległ najbliższemu otoczeniu (*famili*) oraz ostro pił, uwolnił ceny, co wszystkim naraziło na dramaty, psując liberalizować gospodarkę, no i wycofał wojsko z NRD. Ale utrzymał jednak poczucie narodowej tożsamości i zachował jedność Federacji – mimo buntu gubernatorów oraz prób separatyzmu – a także ostatecznie zakończył czas partii komunistycznej.

Uważany za nieporadnego pijanicę przechrzył wszystkich, przekazując władzę (premier + p.o. prezydenta) nieznanemu bliżej Putinowi, który zawiązał do Moskwy dopiero w 1997 roku i z rekomendacji A. Sobczaka (wtedy wpływowego mera Sankt Petersburga) przejął niekoniernie najważniejszą funkcję szefa Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Putin nie eksponował się zresztą i nawet odmówił przyjęcia stopnia generalistycznego; właśnie dlatego Jelcyn mu zaufał zabiegając jednocześnie, żeby wszyscy inni miejscowi pretendenci do władzy podkopywali się wzajemnie. A zrobił to tak

zrećnie, że Duma zaakceptowała *przyjezdne* Putina.

No więc w ten sposób Władimir Putin przejął od Borysa Jelcyna spadek, jakkolwiek kondycja schedy była fatalna. On sam zaś nie miał przygotowania ekonomicznego czy politycznego, ani też wiarygodnego zespołu współpracowników (to byli wtedy ludzie anonimowi), toteż jego decyzje w pierwszym okresie skwapliwie kontestowano. Początkowo próbował zastąpić niebywale liczne ulgi socjalne jednym systemem monetarnym, ale wtedy stracił społeczne poparcie niemal całkowicie, wycofał się więc i była to decyzja ekonomicznie błędna, lecz politycznie jedynie możliwa i z prospołecznego punktu widzenia racjonalna. Manewr ułatwiły mu wysokie ceny ropy.

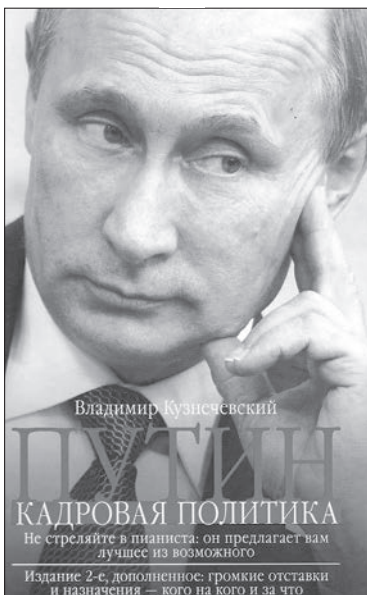
Dzięki temu zaczął odzyskiwać popularność. A pomogła mu też umiejętność samokontroli – podczas wystąpień publicznych wypadał i nadal wypada dobrze. W miejsce charyzmy i spontaniczności (ale i myślowego chaosu) Jelcyna wprowadził atmosferę wypowiedzi racjonalnych. Ostatecznie więc w prezydenckich wyborach w 2004 roku zebrał aż 72 proc. głosów. Pomogli mu wygrać te wybory również szefowie wielkich przedsiębiorstw, serwując zarazem ostrzeżenia, żeby nie *podskakiwał*, ale raczej nie wiedzieli, z kim próbują pogrywać. Nie pozwolił wziąć się na smycz. Odwrotnie – dzisiaj to oni nie podskakują.

Podjął walkę z potworną biurokracją, efekt osiągając jednak połowiczny. Tak czy inaczej, podczas dwóch kadencji wymienił 5 premierów, 40 wicepremierów i 200 ministrów. Autor uważa, że nie dysponował odpowiednio przygotowanymi kadrami; otóż nie musi mieć racji. Byli przecież specjaliści, wykształceni na Zachodzie, a wśród zagranicznych doradców pojawił się J. Sachs... Raczej więc chodzi o to, że nie było sprawdzonych i dostosowanych pomysłów praktycznych jak zreformować kraj, nie krzywdząc mieszkańców.

W postępowaniu Putin okazał się elastycznym pragmatykiem. Nie wszystko co zmienił i zmienia, jest w sumie efektywne, ale dobrych skutków pojawiło się tyle, że społeczeństwo znów mu zaufało. Inna sprawa – że z nieznanym kosztem długofalowym. Tak czy inaczej, na razie jedni mają go za liberalnego demokratę, inni zaś za kolejne wcielenie Stalina.

Sygnalizując prezydenckie osiągnięcia i niedociągnięcia, autor – chyba nadmiernie – przyczyny porażek upatruje w przeszłości. Zwłaszcza niedawnej, ekipę okołojelcynowską nazywając straganiarzami. To teraz modne, ale jednak kłamstwo.

Jedynym amatorem był tam Borys Niemcow, zamordowany później bez żadnej przyczyny. Natomiast ówczesny premier (już nie żyje) Jegor Gajdar był doskonale wykształcony, tak jak Irina Hakamada. Ale trafili na koszmarnie okoliczności, które wszystkich przerosły. Fachowcem był nawet Anatolij Czubajns, chociaż oskarżany o lewe interesy, ale nie znaleziono dowodów, a chroniła go (znowu!) rekomendacja A. Sobcza-





ka. W sumie jednak *gajdarowcy* przeprowadzili wiele zmian, które przydały się potem Putinowi.

Chociaż łatwo nie jest. Kadra zarządzająca wszystkich szczebli jest kiepska. Kradnie, daje się korumpować i mimo wymiany w 50 proc. oraz nawet aresztowań, poprawy nie widać. Być może dlatego Putin zaczął wprowadzać do zarządzania wojskowych – z rozmaitym zresztą uzasadnieniem. Oto gubernatorem obwodu kaliningradzkiego mianował generała J. Ziniczewa, żeby zapobiegać... regermanizacji. Która (podobno) zagraża, a jest (podobno) finansowana przez J. Sorosa. Ale ta praktyka wojskowo-gubernatorska służy również odnowieniu polityki imperialnej.

#### SPUŚCIZNA HISTORII

Kuznieczewskij – było nie było również historyk – odnosi się także do odleglejszych dziejów Rosji, upatrując tam choćby załazkowych przyczyn obecnych wydarzeń. I wygląda na to, że często znajduje.

Jego (i nie tylko jego) zdaniem kluczowe dla losów Rosji okazało się zabójstwo w 1881 roku odważnego reformatora, cara Aleksandra II. Wtedy kraj wrócił do feudalizmu i do prymitywnego zarządzania. Co uwięził tępy i nieudolny car Mikołaj II, na dodatek zadufany w sobie, więc odwrócili się od władzy wszyscy. Częściowo dlatego ponieśli porażkę *biali*, kojarzeni bowiem z byłą władzą, a zabrakło im własnych, charyzmatycznych postaci przywódczych. Kraj został więc kompletnie zdemolowany, możliwości ekonomiczne zbliżyły się do zera, zaś dla jakiegokolwiek naprawy brakowało kompetentnych kadr. A było to raptem sto lat temu!

Lecz na tym nie koniec. Lenin za Marksem i Engelsem zapatrzony w klasę robotniczą zniszczył resztki inteligencji, rzekomo robotnikom zagrażające. Kontynuując tę dewastację, Stalin z kolei eksterminował chłopstwo, a posyłani do kierowania kółchozami robotnicy zarznęli całą produkcję żywności. Kiedy zaś wszystko już zostało popsute, z zemsty dokonano fizycznej likwidacji tych, którzy jakimś cudem przetrwali, a znali się na czymkolwiek.

Nie oszczędzono specjalistów przemysłowych, ani wojskowych. Zrobiła się kadrowa pustynia. Na której – zdaniem autora – niewiele wyrosło do dziś. A na myśli ma zapewne kompletne wykarczowanie *kultury wiedzy i mądrości*, a tym samym przerwanie jej ciągłości. Bez niej zaś same kwalifikacje formalne są daleko niewystarczające. Dokonała się zatem całkowita *dekapitacja* intelektualnych elit i kadr Rosji, nadal w skutkach odczuwalna. Oto autorska diagnoza i nie sposób jej zaprzeczyć w pełni.

#### TERAZ

Taką też, daleką od stanu zadowolającego, sytuację kadrową zastał Władimir Putin, w dodatku z wewnętrznym pęknięciem na liberałów i narodowców. Nie sposób pogodzić, a bez jednych i bez drugich łącznie w ogóle nie dałoby się rządzić krajem.

No więc Putin zajął postawę pragmatyczną i lawiruje pomiędzy nimi, nie do końca słuchając narodowców i tylko częściowo słuchając liberałów. Sam zresztą podobno uważa się za liberała, w co poza nim mało kto wierzy. Bo wszak uparcie trzyma się (musi?) zasad państwowego interwencjonizmu, a to z liberalizmem

gryzie się w stu procentach. A jednak ten jego elastyczny pragmatyzm sprawdza się w praktyce oraz w publicznych osądach – tam.

Czynnikiem scalającym jest idea narodowa, którą rozgrywa bardzo zręcznie. Ale to z niej właśnie paruje teza o globalnym osaczeniu Rosji oraz koncepcja izolowania się od świata. Taka jest cena, do której przeciwnicy dodają zarzut oparcia wyłącznie na surowcach całej ekonomiki kraju.

Ale Kuznieczewskij wylicza również co ważniejsze osiągnięcia prezydenta. Umocnienie jedności kraju i władzy państwowej i zdyscyplinowanie regionów. Poprawa standardu życia, płac w budżetówce nawet o 1500 proc., podczas gdy spożycie alkoholu zmalało dwukrotnie. Radykalnie wzmocniona została armia, no i zakończyły się wojny czeczeńskie, jakim sposobem, to już inna sprawa. Natomiast w wyniku sankcji, o 40 proc. skurczył się import, a (wielu to powtarza) baza surowcowa ma swoje granice.

Na temat (w książce poboczny) Ukrainy autor wypisuje dyrdymały. Jeszcze w 2013 roku Putin zapewniał, że na Ukrainie interwencji nie będzie. Ale – powiada Kuznieczewskij – później dywersanci, wyszkoleni w Polsce (?!), zaczęli tam siać terror, toteż na prośbę mieszkańców Krymu trzeba było wysłać wojskowe wsparcie *samoobronne*. No i tak to wygląda, że 95 proc. tekstu da się czytać z zaciekawieniem, a przynajmniej bez irytacji, natomiast 5 proc. przyprawa o torsje.

#### JUTRO

Autor z przekonaniem pisze o Putinie, że to człowiek rozumny i rosyjski patriota. Akurat temu nie każdy może zaprzeczyć – natomiast wciska w fotel dodatek: *pierwszy po Stalinie narodowy przywódca o wymiarze historycznym*. Hm... Jak kiedyś Adenauer w Niemczech albo Lee w Singapurze. Nie unika błędów, ale robi co się da i są tego efekty.

W wyborach prezydenckich w 2018 roku powinien zebrać 2/3 głosów. Ale potem musi ostro popracować nad kontynuacją i będzie to zadanie wściekle trudne. Bowiem wciąż jeszcze daje o sobie znać wyjątkowa pustynia kadrowa.

To zmartwienie Kuznieczewskij powtarza i eksponuje przez całą książkę. I nie ma co się dziwić – zwłaszcza że jest to zapewne zmartwienie wielu myślących Rosjan. Cokolwiek sądzić bowiem o aktualnym prezydencie Rosji, czas przyszły może zaszkodzić dotychczasowej stabilizacji. Niezależnie od tego, jaka ona w istocie jest.

#### CASUS: SYRIA

**S. Sułakszyn, Ł. Krawczenko, *Wojennaja operacja Rosji w Syrii. Chronologiczeskaja analitika, Nauka i politika, Moskwa 2017, s. 94.***

Oprócz publikacji, skrajnie wobec władzy apologetycznych, umiarkowane akceptacyjnych albo ambivalentnych, pojawiają się w Rosji również opinie negatywne, krytyczne, a nawet radykalnie w stosunku do tej władzy wrogie. No i taką właśnie książkę teraz sygnalizuję.

Jest marna pod względem treściowej jakości oraz konstrukcyjnej formy. Składa się bowiem z tekstów już wcześniej publikowanych w różnym czasie i na rozmaitych łamach, toteż od nadmiaru powtórzeń bolą oczy. Zresztą także – od jednostronności, uproszczeń i naciąganej argumentacji. Jest zatem warta uwagi jedynie dla przeciwstawności opinii, natomiast sama z siebie niewiele formułuje stwierdzeń wiarygodnych i ważnych.

Głównym autorem jest prof. dr (po naszymu: prof. dr hab.) ale nauk matematyczno-fizycznych – Stepan Szulakszyn, dyrektor moskiewskiego *Centrum Myśli Politycznej i Ideologii*. Nie od wczoraj znany z krytycznych wystąpień wobec polityki rządu, a zwłaszcza z (chorobliwej?) niechęci do D. Miedwiediewa. Niektóre jego zastrzeżenia mają realne uzasadnienie, natomiast daleko nie wszystkie. Kiedy zaś próbuje sam formułować jakieś konstruktywne propozycje konkretne, to one żadnego zaufania nie budzą. W sygnalizowanej tu książce osiąg wywodów jest rosyjska interwencja wojskowa w Syrii – ale w sumie chodzi też o coś więcej.

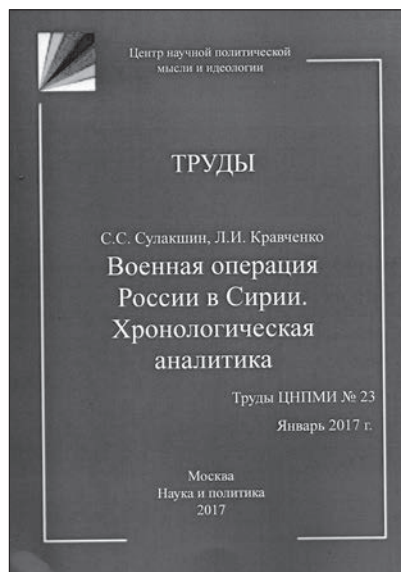
## DLACZEGO?

Zaczęła się ta interwencja 30 września 2015 roku, mimo że wcześniej Władimir Putin wykluczył taką możliwość (to samo mówił o Ukrainie). Jednak po spotkaniu z B. Obamą zmienił zdanie. Tłumaczył się później, że to dla ochrony Rosji przed terroryzmem oraz dla wsparcia prawowitego (? wyniki wyborów zostały sfalszowane) prezydenta Syrii, Baszara al-Asada. W Rosji jednak mało kto mu uwierzył. Według sondaży potraktowano to jako przysługę dla Amerykanów (43 proc. głosów) lub awanturnictwo (39 proc.), bądź jako autoreklamę (24 proc.), albo – próbę usytuowania baz w okolicy Morza Śródziemnego (14 proc.). Tak to autor charakteryzuje, ale obecnie – kiedy Amerykanie wycofują się z tamtego rejonu – ten ostatni wariant wygląda na bliski prawdzie, co ujawnia, że sztuka przewidywania politycznego oraz gry nie jest Rosjanom obca.

Tego jednak Szulakszyn nie pisze. Natomiast wytyka, że, zgodnie z deklaracjami, miało tam nie być interwencji lądowej. Ale wojsko jednak weszło, tyle że głównie najemne i hojnie opłacane. Miało też wszystko odbyć się łatwo i szybko. Tymczasem wojna trwa już ponad dwa lata i nie widać jej końca. Nie osiągnięto także żadnych zakładanych celów. Nawet odwrócenia uwagi od Ukrainy – jeżeli o to chodziło.

Natomiast, przypomina autor, są znaczne straty techniczne oraz zwłaszcza ludzkie. Najgłośniejsza była katastrofa całego zespołu im. Aleksandrowa. Niedawno zaś – dopowiem – zginął dowódca grupy rosyjskich doradców wojskowych w Syrii, generał Walerij Asapow.

Poza tym cała operacja jest bardzo kosztowna. Przy słabej ekonomice kraju to ponury dramat. Zdaniem więc Szulakszyna, Rosja uwikłała się w ten konflikt tak jakby sobie na złość.



## W IZOLACJI

Jednak w autorskiej argumentacji, wysoce chaotycznej i powtarzalnej, brakuje wiarygodnych dowodów i produktywnych ustaleń. Atakuje i narzeka wielokierunkowo, ale ostatecznie nie jest w stanie ustalić, po co naprawdę Rosja zaangażowała się w Syrii. Zwłaszcza że – jego zdaniem – Syria rozsypała się całkowicie i już nie odżyje. Zaś samego konfliktu nikt nie zdoła oręźnie wygrać, dlatego nie widać żadnego końca tych zdarzeń. Ale to są czyste dywagacje.

Natomiast jest prawdą, że z powodu interwencji w Syrii, na Rosję padają oskarżenia o wszystko i ze wszystkich stron. Żadnych prawdziwych sojuszników nie ma: izolacja wygląda na całkowitą. Jednocześnie

zaś dramatycznie rosną wydatki. Utrzymanie wojska pochłania aż 13,7 proc. budżetu.

Przypominając tę lekcję i porażkę afgańską Szulakszyn sugeruje, że do zaakceptowania teraz byłby tylko identyczny krok końcowy. Wycofać się i przerwać całą awanturę możliwie zaraz. Taki zgłasza postulat z całą pewnością rozumiejąc, że jest absolutnie irracjonalny. Pisać każdy może, co chce.

## POLIGON?

Wśród możliwych celów wojskowej wyprawy Rosjan do Syrii autor wymienia także – aczkolwiek nie jako główną – chęć przetestowania koncepcji militarnych i nowych rodzajów broni. Nie wymyślił tego sam. Przy każdym bojowym zaangażowaniu Rosji komentatorzy, zwłaszcza zagraniczni, uparcie sygnalizują taki właśnie potencjalny zamiar. Nie da się powiedzieć, że w niezgodzie z prawdą, bo podobnie jest na całym świecie, przy okazji każdego zbrojnego konfliktu, w którym wprost lub pośrednio maczają palce producenci broni. Jednak Rosjanom przypisuje się tę intencję w taki sposób, który uwypukla wyjątkowy cynizm i szczególną amoralność ich postępowania.

Szulakszyn wyliczając właśnie po to śmiertelne ofiary konfliktu wśród Rosjan sugeruje, że taka jest cena tego *testu*. Jednak liczba 27 poległych rosyjskich wojskowych, chociaż sama w sobie tragiczna, nie w pełni taką tezę wzmacnia, zaś samych zainteresowanych najwyraźniej nie odstrasza.

W Syrii mianowicie, tak jak na Ukrainie, a wcześniej w Czeczenii, istotną siłę bojową stanowią ochotnicy. Chociaż nie wiadomo, jakie są proporcje sił regularnych do tych kontraktowych. W każdym razie wolontariusze są bardzo dobrze opłacani, toteż chętnych nie brakuje pomimo zagrożeń i niewolniczych rygorów. Na to samo więc można spojrzeć z różnych punktów widzenia.

## POLITYKA

Do tych zarzutów rozmaitego kalibru, dorzuca autor garść zastrzeżeń politycznych – dobranych w taki sposób, żeby ewentualnie poruszyły rosyjską opinię publiczną. Przede wszystkim krytykuje kolaborację

z Asadem, którego poza Iranem nikt na świecie nie akceptuje, no więc to radykalnie pogłębia polityczną izolację Rosji.

Przedstawia też w krzywym zwierciadle sojusz Rosji z Turcją, jego zdaniem całkowicie dziwaczny. No bo Turcy zestrzelili przecież rosyjski samolot, zaś w Ankarze zginął rosyjski ambasador. Z kolei po rosyjskim nalocie w Syrii zginęło 9 tureckich żołnierzy, a 11 zostało rannych. I nic?

Rosja przygotowała dla Syrii projekt konstytucji, ale poza Kurdami nikt go nie zaakceptował. Zatem do długiej serii niepowodzeń, trzeba jeszcze dodać fiasko tej niby pokojowej inicjatywy.

No to jaki jest sens rosyjskiej tam obecności – teatralnie pyta Szulakszyn. I odpowiada w podobnym stylu, że żadnego sensu nie ma, a jakby od niechcenia dorzuca, że w ten sposób Rosja mimo woli wspomaga Stany Zjednoczone. Taki argument (w jego mniemaniu) powinien rosyjskich czytelników mocno zbulwersować.

## WIELKORUSKIE NADZIEJE

**Wasilij Chołodnyj, *Russkaja wsieмирna idea i ukraiński separatyzm*, Algoritm, Moskwa 2017, s.463, ISBN 978-5-906947-42-0.**

W Rosji na marginesie życia politycznego i wydarzeń wewnętrznych zawsze egzystowały przejawy religijnej i narodowej parafillozofii, zaprawione mistycyzmem oraz głębokim wielkoruskim nacjonalizmem, jakkolwiek skrywanym pod parawanem panslawizmu. I mimo różnych dramatycznych przypadłości przetrwały do dziś, a nawet uległy odrodzeniu.

Przeświadczenia, również potoczne, są mniej więcej takie, że światu zagraża moralna oraz fizyczna zagłada, więc Rosja – właśnie dlatego, że izolowana i że zachowała wartości archetypowe – może i powinna ruszyć na ratunek. Bez pytania, czy ktoś tego chce.

Takie albo podobne opinie głoszą nie tylko nawiedzeni *jurodliwi* obłąkańcy, lecz także (i to coraz liczniej) odpowiednio wykształceni filozofowie. Wśród nich prof.

dr Wasilij Chołodnyj, autor sygnalizowanej tu książki, niebywale chaotycznej, nadmiernie opastej i lansującej poglądy co najmniej dziwaczne. Ponieważ jednak zbieżnych zapatrywań jest tam więcej, odwołanie się do tej książki może rzucić nieco światła na taki sposób myślenia oraz na charakter podobnych mentalności.

### WARTOŚCI

Swoje aksjologiczne wywody zaczyna Chołodnyj z grubej rury. Twierdzi mianowicie, że świat zniszczył tradycyjne wartości, w zamian preferując industrialno-monetarne oraz indywidualizm – na co reakcją musiał (?) być terrorizm. Nie wiadomo dlaczego w autorskiej opinii akurat Rosjanie, Białorusini i Ukraińcy zawsze byli oraz są nadal mniej nastawieni na

pragmatyzm i utylityzm, natomiast mieli i mają w sobie organiczny patriotyzm, który mógłby posłużyć jako modelowe antidotum na globalne kryzysy. Obrazilbym się, gdybym był Pigmejem.

Ta bełkotliwa sugestia nie pokrywa się jednak z późniejszym (w tej książce) oraz tytułowym ujądaniem na Ukraińców, którzy przestawili się podobno na *antyrosyjski separatyzm*, zaś od całkowitej faszyzacji ratują ich... Rosjanie. A przecież razem udało się przetrwać niszczące skutki stalinizmu – i już nie ma znaczenia, że o Stalinie autor w innym miejscu wypowiada się znacznie cieplej. Wyrażając żal, że w swoim czasie sowiecka dialektyka i zachodni egzystencjalizm nie znalazły spójnych wobec siebie relacji. Taka to jest książka!

Autor bez żenady twierdzi też, że już w XIX wieku ujawnił się (ale nie konkretyzuje w czym) rosyjski geniusz, a w XX stuleciu wygenerowała się kolejna tamtejsza niezwykłość – człowiek sowiecki. Ważna jako pomysł na wyrwanie się ze szponów społecznej indywidualizacji i wyobcowania. Dzięki temu (?) Rosja mogłaby obecnie podjąć się ratowania świata, tym bardziej że (podobno) akceptuje dowolne i swobodne idee narodowe. Jak widać, co zdanie to bzdura lub fantasmagoria, albo nawet kłamstwo.

Trwałość i spoistość Rosji – twierdzi Chołodnyj – zawsze opierała się na prawostawiu i nadal tak jest. Dlatego mogła oraz może teraz przeciwstawić się Zachodowi i zaproponować sposób na odrodzenie świata. Taka szansa, *de facto* magiczna, istnieje nadal.

### ZSRR

Jakkolwiek wewnętrznych przeciwności nigdy nie brakowało. Wartości religijne i narodowe przeszkadzały dawniej carom i bojarom, a potem próbował je rozchwiać komunizm. Następnie zaś, już po rozpadzie ZSRR, rozszalał się liberalizm pożeniony z pragmatyzmem – co *musiało* zaowocować niebywałą korupcją. Nadzieje na poprawę zaprzepaścili M. Gorbaczow oraz B. Jelcyn, tonąc w utylityzmie i dopiero W. Putin zszedł z tej drogi donikąd.

Zaskakująco niekonsekwentny jest stosunek autora do rosyjskiego komunizmu. Z jednej strony nie potrafi (bo to niemożliwe) pogodzić go z wartościami religijnymi. Ale z drugiej – sugeruje, że wykreował nową mentalność, mianowicie sowiecką. Dlatego wartościową. że antyzachodnią i to mogła być płaszczyzna rosyjskiego odrodzenia narodowego.

Za tę możliwość Chołodnyj kłania się nisko Leninowi, którego zresztą w innym miejscu nazywa *utopistą*, co trudno uznać za aplauz. Ale też nie odżegnuje się od innych filozofów (są w książce przywołania), którzy potrafili skojarzyć W. Lenina nawet z drugim przyjściem... Chrystusa (!?). J. Stalina już tak otwarcie Chołodnyj nie sławi, ale w przeciwstawieniu do L. Breżniewa, na którym wieszka psy, przypomina że Dżugaszwili doprowadził do zwycięstwa w wojnie, a później to przecież nie on napadł zbrojnie na Czechosłowację.



Ta karkołomna próba zespolenia religii z komunizmem i wielkoruskimi ideami to w istocie pseudofilozoficzne mydło, szwarc, oraz powidło, głoszone jednak z całą powagą przez autentycznego (?) profesora. I nie mam wątpliwości, że nie tylko przez niego.

## KRYZYS I RATUNEK

Autor twierdzi uparcie, że mamy oto globalny kryzys cywilizacji, nauki, kształcenia, filozofii – przy równocześnie narastającej groźbie faszyzmu na skalę całego świata. Czynnikiem dalszej destabilizacji jest debilizacja kształcenia: dehumanizacja, elektronizacja, a nawet... dwustopniowy tryb studiów wyższych (?). Jeżeli więc nie nastąpiła jeszcze całkowita degradacja globu, to głównie za sprawą chrześcijaństwa, socjalizmu oraz kultury. Tego nie da się skomentować.

Prognozy autorskie są następujące. Można założyć bezsensowne trwanie, ale tylko do jakiegoś czasu. Albo da się przyjąć, że nastąpią zmiany nakierowane na barbarzyństwo. Jest jednak też inna opcja – że pojawi się szansa na odrodzenie egzystencji pokojowej i religijnej. No i taką właśnie szansę Rosjanie – mimo że na razie przegrali swoje globalne przywództwo, ale było to w wyścigu donikąd – mogą wciąż jeszcze światu zaproponować. Wychodząc bowiem z wielowiekowych doświadczeń religijnych i z zachowanych wartości swojej nacji, potrafią wykreować ogólnoludzką ideę wielonarodową i w ten sposób przyczynić się do odrodzenia ludzkości.

Żeby jednak uniknąć pomówień o hegemonizm, Chołodnyj łagodzi to stanowisko założeniem, że współczesny świat powinien być dwubiegunowy. Z tym, że pomiędzy relacje bieguna Zachodu oraz bieguna Wschodu, wpisuje ponadto jeszcze Eurazję, wygląda więc na to, że dwubiegunowość musi być trójbiegunowa. To jedna z wielu sprzeczności gęsto w tej książce obecnych. Ale zarówno o takich poglądach, jak też o takich chaotycznych pseudouzasadnieniach, trzeba trochę wiedzieć. No bo one funkcjonują tuż za miedzą.

## UKRAINA

Natomiast zawarte w tytule tej książki nieprzyjazne odniesienie do Ukrainy, w tekście ma kontynuację li tylko w postaci krótkich, rozproszonych inwektyw. Autor w związku z tym opowiada, że wyjąwszy bałtyckie, wszystkie narody ZSRR były zawsze jednością (gruziński, kazachski, uzbecki itd. też?), a tymczasem Kuczma i jego następcy wprowadzili Ukrainę w stan antyrosyjskiej nienawiści, czym spowodowali tam wynarodowienie. Poza tym to nigdy nie było samodzielne państwo i nigdy nie miało silnego przywódcy. Ze swej strony dopowiem, że długa jest lista ukraińskich działaczy niepodległościowych, skrytobójczo pomordowanych przez rosyjskie służby specjalne, więc co tu gadać o przywódcach. Chołodnyj dorzuca jeszcze, że ostatnio Ukraińcy nauczyli się, jak być narodem skolonizowanym. Jednak nie precyzuje przez kogo, ani gdzie? W Ługańsku albo w Doniecku?

Stwierdza natomiast, że rozpanoszył się tam nacjonalistyczny egzystencjalizm. Zaprawiony nienawiścią do Rosjan i do Polaków, których *trzeba pozabijać*. Nie ma jednak wyjaśnienia, że takie hasła dawno temu formułował S. Bandera – ale J. Konowalec już nie – a dzisiaj powtarzają je tylko nieliczni. Głównie faszystowskie bojówki, lecz takie są na całym świecie.

Tak więc na temat Ukrainy Chołodnyj nie ma nic rozumnego do powiedzenia. Jątrzy tylko i nieświadomie kompromituje panslawistyczną mitologię, która sama z siebie była i jest agresywna wobec wszystkiego, co nie wydaje się dostatecznie wobec *rosyjskości* spolegliwe.

## NA KOKSIE

**Anatolij Pieskow, Olga Brusnikina, *Problemy borby s dopingom w sportie*, Prospekt, Moskwa 2016, s.128, ISBN 978-5-392-22380-0.**

Doping psychiczny, chemiczny, farmakologiczny i fizjologiczny towarzyszy sportowi od zarania. Jednak w takim natężeniu i w takiej skali jak teraz wcześniej nigdy nie występował. Z przyczyn politycznych oraz finansowych, dzisiaj ma zasięg powszechny i walka z nim nie jest usiana sukcesami.

O rozległości tego zjawiska na świecie mówią wszyscy, ale szczególnej degrengolady dopatrzono się w Rosji, kojarząc ją głównie z motywami polityczno-państwowymi, a w drugiej kolejności z mafią. Rezultat jest taki, że dyskwalifikacjom rosyjskich sportowców z tego powodu nie ma końca, wyklucza się z międzynarodowych kontaktów całe dyscypliny w Rosji uprawiane, zaś światowa agencja antydopingowa WADA doprowadziła w 2015 roku do likwidacji krajowej agencji antydopingowej w Rosji.

Jej szef, Grigorij Rodczenkow, oraz zastępca Witalij Stiepanow nawiali do USA, bo inni ważni funkcjonariusze tej agencji – Wiaczesław Siniew i Nikita Kamajew prawie równocześnie poumierali na zawał serca. To zresztą rozszerzyło podejrzenia o tamtejsze inspiracje dopingowe, obok urzędowych, również właśnie na mafijne.

I oto w Rosji ukazała się niezwykła książka na ten temat, której autor Anatolij Pieskow, doktor (tam *kandydat*) nauk prawnych jest wysokim rangą oficerem służby bezpieczeństwa. Zaskoczenie bierze się z niebywalej otwartości wywodów, a przecież autor nie mógł nie wiedzieć, w co wdepnął. Niezależnie z czyjej podpowiedzi – władzy? swojej *firmy*? skłóconych mafiosów? uczciwych ludzi? – najwyraźniej naruszył standardowe granice relacji i powiedział możliwie dużo, nie mijając się z prawdą.

Władze oraz biurokrację zneutralizował (jeżeli musiał) w ten sprytny sposób, że do rzekomego współautorstwa przyjął (zaprosił, włączył...) Olgę Brusnikinę, była mistrzynią olimpijską, świata i Europy w pływaniu synchronicznym, co na pozór nie znaczy nic, bo prawie nikt o takiej dyscyplinie nie słyszał. Ale Brusnikina była akurat wtedy doradczynią ds. sportu prezydenta Rosji... Bardzo roztropnie, Anatoliju Nikołajewiczu. Zresztą być może tak ustalono z *góry*? W każdym razie *współautorka* musiała odwiedzić krawca, fryzjera i fotografa (na okładce jest zdjęcie), a potem mężczyźni się, spisując niektóre treści ze swojego dowodu osobistego – do tejże okładki. Na tym kolaborację autorską zakończono.

W odniesieniu do rozmaitych konkretnych podmiotów, wprzęgniętych w proceder dopingowy – więc ewentualnie zagrożonych zdemaskowaniem – Pieskow zachowuje umiarkowaną dyskreję. Mianowicie nie przedstawia nazw *zaangażowanych* instytucji i przed-

siębiorstw, jak też nie wymienia żadnych nazwisk osób spoza sportu. To elementarne zabezpieczenie okazało się skuteczne – autora nie spotkało nic złego. Także ze strony własnej *firmy*, która zresztą (na to przynajmniej wygląda) najprawdopodobniej trzymała się oraz trzyma od tego śmierzącego interesu z daleka. Poza tym, być może, nie bez znaczenia jest i to, że Pieskow nie był szeregowym funkcjonariuszem tajnych służb. W sumie zaś: ważna okazuje się sama książka.

NOWOCZESNY DOPING W NOWOCZESNYM SPORCIE

W doping uwikłano różne dyscypliny, zwłaszcza leką atletykę, kolarstwo i podnoszenie ciężarów. Ale przyłapano też polskiego... saneczkarza. Z tym, że uwikłanie ma charakter globalny, a nie tylko rosyjski, chociaż Rosjanie uchodzą za *przodowników*. Jednak – odkąd na olimpiadzie w Meksyku w 1968 roku rozpoczęły się kontrole – dopingowiczami okazali się m. in. Martina Hingis, Javier Sotomayor, Mike Tyson, Diego Maradona, oraz Lance Armstrong.

W świetle prawa – powiada autor – doping w sporcie jest przestępstwem i nieświadome (takie są usprawiedliwienia) stosowanie/zazywanie nic nie ma do rzeczy. Z inspiracji WADA, zabronionych jest już ponad 10 000 środków i substancji, ale coraz trudniej je wykryć. Zdaniem Pieskowa, wpadki następują przy marnym lekarzu lub głupim trenerze.

Formuły dopingu ulegają zresztą wzbogaceniu. WADA nie wyraziła zgody na dotlenianie ani na transfuzję krwi przed zawodami, jednak w Rosji *przedtem* akurat takich zakazów *nie znano*. Dlatego na olimpiadzie w Soczi funkcjonowały specjalne autobusy, w których dostarczano tlen w 10-15 razy silniejszych *dawkach* oraz mieszanki tlenu, ksenonu i argonu. Potem tego zakazano. Ale potem w Soczi nie było już olimpiady.

PRZYCZYNY I SKUTKI

W praktyce jednak przeważnie (podobno) stosuje się bełt: kokaina + heroina + kofeina + amfetamina. Rezultat jest *statystycznie* taki, że życie szprycowanego sportowca skraca się o 15 proc. W USA nagłe zgony sportowców zdarzają się średnio 115 razy w roku. Ale w Rosji jeszcze częściej.

Wśród sportowców rejestruje się trzykrotnie więcej astmatyków niż w całej populacji; astmatyka udawał M. Spitz. U nas zaś podśmiewano się ze skandynawskich biegaczek narciarskich. Bo odpowiednia kuracja – w warunkach choroby dozwolona, a nawet konieczna – ma też reperkusje dopingowe.

Jak sygnalizuje Pieskow, w Rosji podobno szpikuje się świństwami co trzeciego młodego sportowca, w wieku 14-15 lat. Lec i pod tym względem Rosjanie nie są monopolistami – to proceder globalny. Jeśli zaś w tym wieku stosuje się anaboliki, to potem następuje zmiana płci. Tak przecież facetem stała się kulomiotka Tamara Press, a później Casper Semenya. Autor przypomina

również inne osoby, w tym Ewę Kłobukowską – jest za młody, żeby pamiętać Stanisławę Walasiewiczówną – jakkolwiek przyczyny zapewne mogły być inne.

Inspirację dla sportowego dopingu są złożone. Komercjalizacja sportu i gigantyczne zarobki mistrzów. Deformacja etyki. Słabość prawa, które wszędzie na świecie okazuje się dziurawe. Postępowanie firm farmaceutycznych, uganiających się za zyskiem. Natomiast autor nie dopowiedział, że jest też wśród nich polityka wielu władz państwowych, nastawionych na populistyczny nacjonalizm. Nasi górą!

No i macza w tym palce świat przestępczy. Kiedyś zyski z dopingu czerpała głównie mafia włosko-amerykańska, wyparta potem przez mafię rosyjską, a teraz centrum tego procederu stanowią Chiny, Indie oraz Tajlandia. Nowością jest supermasowy, niekontrolowany obrót suplementami diety o podejrzanej konsystencji (są też liczne fałszywki), oraz sprzedaż internetowa. Istnieje też wyspecjalizowana czarna medycyna i także farmacja. W Rosji zlikwidowano kilka gigantycznych nielegalnych laboratoriów, ale nikt nie twierdzi, że wszystkie i że nie ma nowych. Zwalczanie jest wściekle trudne.

DOKĄD TO ZMIERZA

Ale jest coś jeszcze. O czym w tym kontekście nie mówi się i nie pisze, tymczasem Pieskow próbuje – chociaż wyrzykowo, półgębkiem i bez wnioskowania. Przypomina otóż, że w hitlerowskich Niemczech produkowano i testowano odmianę

amfetaminy o nazwie Pervitin.

Dopowiem z innych źródeł: to prawda. Był to specyfik pobudzający fizycznie, a otepiający mentalnie, w sam raz dla bezmyślnego żołnierza-zabójcy. Odkrył go rumuński chemik Lazar Edeanu, a Niemcy kupili i podjęli produkcję w zakładach TEMMLER. Do zażywania podczas najazdu na Polskę przyznał się w liście, mimo woli, młody wówczas żołnierz Heinrich Boll.

Dzisiaj ten środek, udoskonalony, potocznie nazywa się *speed*, bowiem daje kopa. Był produkowany (oczywiście kontynuacja!) w NRD, stąd sukcesy tamtejszych sportowców, a potem *zaopiekowali* się nim Rosjanie. Pieskow pisze o tym jednoznacznie. Ale dopowiada, że światowe osiągnięcia biotechnologii oraz nanotechnologii umożliwiają – lub umożliwią niebawem – przekształcenie człowieka w bezmyślnego ale skutecznego armijnego cyborga, wyzwolonego z lęku i wszelkich uczuć.

To już nie jest pomysł autonomicznie rosyjski, a testowanie odbywa się w wielu miejscach na świecie. Więc już samo stwierdzenie, przypomnienie i nawiązanie wystarczy, żeby zacząć się bać. Tych, którzy od eksperymentów pseudosportowych przechodzą do nowych koncepcji wojennych, o jakich szerzej wspomina się tylko w powieściach sf. Ale Anatolij Pieskow nie jest narratorem sf.



# „KOWADŁO” DLA CIMOSZEWICZA

Rada Stowarzyszenia  
„Kuźnica”

przyznaje

WŁODZIMIERZOWI  
CIMOSZEWICZOWI

Honorową Nagrodę Kowadła

w uznaniu Jego

► wytrwałości w służbie dla Polski,  
dla postępu społecznego  
i praw człowieka,

► poczucia odpowiedzialności  
i odwagi obywatelskiej na miarę  
męża stanu

► świeżości i precyzji myśli i słowa.

Kraków, 7 grudnia 2017 r.

– Nasze spotkanie ma charakter uroczysty i radosny – wręczamy „Kowadło” naszemu przyjacielowi Włodzimierzowi Cimoszewiczowi, a w laureatach nagrody widzimy zwykle naszych przewodników i nauczycieli – ideowych, moralnych i intelektualnych. – powiedział otwierając spotkanie prezes „Kuźnicy” **doc. Andrzej Kurz**.

– Jak pamiętam, pierwsze spotkanie Włodzimierza Cimoszewicza z „Kuźnicą” nastąpiło w lipcu 1989 r. w Warszawie, kiedy Aleksander Kwaśniewski z Cimoszewiczem właśnie powoływali Ruch 8 Lipca, a uczestniczyli w tym wydarzeniu przedstawiciele naszego stowarzyszenia: Hieronim Kubiak, Andrzej Urbańczyk i Kurz. Potem, o czym warto wspomnieć, popieraliśmy kandydaturę Włodzimierza Cimoszewicza na prezydenta Rzeczypospolitej w wyborach, w których ten młody wówczas człowiek, w niezwykle trudnych warunkach zdobył prawie 10 proc. głosów! A i potem wspieraliśmy jego działania jako dojrzałego męża stanu wybijającego się swą wiedzą, pracowitością i czarem osobistym, w jego rolach ministra sprawiedliwości, ministra spraw zagranicznych, marszałka sejmu, premiera – zawsze z ramienia lewicy, ale pryncypialnego i niezależnego. To ta niezależność przeszkadzała mu niekiedy w pełnieniu ważnych funkcji, choćby wtedy, gdy kandydując po raz drugi na funkcję prezydenta wycofał się z walki w poczuciu ogromnej krzywdy, jaką wyrządzili mu nieuczciwi przeciwnicy.

Teraz, jak i przed laty cieszy nas każde wystąpienie Cimoszewicza, na które czekamy i wiążemy z jego postacią nasze nadzieje – podkreślił prezes Kurz.

Okolicznościową laudację, którą tu zamieszczamy, wygłosił były prezes Stowarzyszenia, **prof. Jerzy Hausner**. Publikujemy też uchwałę Rady „Kuźnicy” – decyzję o przyznaniu „Kowadła” Laureatowi.

Wśród wielu okolicznościowych depesz znalazł się także, wart zacytowania, e-mail od **Mariana Turskiego**, jednego z seniorów kuźniczańskiego środowiska, także laureata „Kowadła”: „Zapalenie strun głosowych uniemożliwiło mi przyjazd, na który się cieszyłem, bo miałem ochotę osobiście przypomnieć rzecz wiadomą dla Żydów, ale przecież nie tylko dla nich, że jeśli świat jeszcze istnieje, to wyjątkowa w tym zasługa tak zwanego »Łamed waw«. Te dwie litery alfabetu hebrajskiego są odpowiednikami liczb 30 i 6, bo na »trzydziestu sześciu sprawiedliwych« świat się trzyma. Kim oni są, to największa z tajemnic, ale ze źródeł, których nie mogę zdekonspirować (choć w dobie Wiki Leaks już prawie nie ma tajemnic) udało mi się wydobyć jedno nazwisko spośród owych »sprawiedliwych« - nazwisko Włodzimierza Cimoszewicza.

Sporo miejsca w bieżącym wydaniu „Zdania” przeznaczamy na arcyciekawę, jak to określił Andrzej Kurz,

„profesorskie” wystąpienie Włodzimierza Cimoszewicza, które poświęcił głównie przemianom gospodarczym i politycznym świata w skali globalnej, a wykład ten stał się inspiracją do ciekawej dyskusji, którą zapoczątkował prezydent Krakowa, **prof. Jacek Majchrowski**:

– Jestem w niezręcznej sytuacji, bo byłem podwładnym Cimoszewicza jako wojewoda w jego rządzie i mogę tylko powiedzieć, że czasy te wspominam z nostalgią, bo było to coś takiego, z czym zetknąłem się tylko na Uniwersytecie w czasie mojej asystentury z moim ówczesnym szefem. Mianowicie premier „nie przeszkadzał”. Gdy widział, że dzieje się dobrze, to nie wpięprzał się w drobiazgi. Chciałbym więc tylko podziękować Włódkowi za to co przeżyliśmy razem i za to, że jest jedną z bardzo nielicznych osób, których się słucha - bo mądrze mówią.

**Jan Guntner** zabrał głos w dyskusji wygłaszając poemacik Gałczyńskiego *Noc Listopadowa*, bo jakże podobny dziś mamy klimat do „Mglistej Warszawy lat trzydziestych” (oczywiście XIX wieku) „z ludem jak morze głupim i wodzów tragedią”?

Pewnych przyczyn tej sytuacji próbował się doszukiwać kolejny z dyskutantów, **Filip Ratkowski**: – Kiedy Cimoszewicz mówił to tym, jak to się poglądy Polaków zmieniły z katolickich na narodowe, to sobie pomyślałem, że mamy do czynienia z objawieniem się młodego polskiego nacjonalizmu. Nasze społeczeństwo o chłopskich korzeniach w kraju od Bugu do Odry swój nacjonalizm syci tradycjami szlacheckiej Rzeczypospolitej Obojga Narodów czy choćby II RP, która z zupełnie

innymi granicami i 30 procentami mniejszości narodowych była krajem zupełnie innym niż dzisiejsza Polska. Bajdurzenie o „Polsce od morza do morza”, szczególnie częste przy prząśnym rosołku pani Szydło, stwarza głęboki dysonans poznawczy. To wina nacjonalistycznej propagandy PiS, ale także wina PRLu, który wołał o tym nie wspominać i dzisiejszy czytelnik Sienkiewicza nie ma pojęcia, że sam Sienkiewicz jako Tatar z pochodzenia bliższy był przecież Azji Tuhajbejowiczowi niż Skrzetuskiemu, a Wołodyjowski czy Wiśniowiecki to ruskie nazwiska i z co najmniej pięcioma narodami trzeba się dzielić tamtą chwałą!

Do „nowego polskiego nacjonalizmu” odniósł się podczas tej swobodnej rozmowy **Włodzimierz Cimoszewicz**: – Bardzo możliwe, że pojawiają się jakieś socjologiczno-polityczne zjawiska, które zaskoczą nas rozległością i siłą. Ale na razie mam wrażenie, że to efekt manipulacji polityków na mniej odpornej części społeczeństwa. Gdyby bowiem ksenofobiczny nacjonalizm tkwił w nas głęboko, to jakim cudem tak bezproblemowo mogła przejść imigracja kilkudziesięciu tysięcy Czeczenów? Wtedy nikt nie wzbudzał strachu przed tymi „przywożącymi choroby i terroryzm dzikusami”. Ten strach został wzbudzony na tle rzeczywiście gigantycznej tragedii Bliskiego Wschodu i fali migracyjnej, w obliczu której Unia Europejska nie zdała egzaminu. W sierpniu 2015 roku wszyscy w Brukseli wzięli jak zwykle urlopy mimo że migranci już płynęli do Europy dziesiątkami tysięcy. W tym stosunku Polaków do uchodźców jest także coś, nad czym powinni się byli zastanowić wszyscy przywódcy kościołów w tym



Fot. Andrzej Giuc

szczególnie Kościoła katolickiego... Gdybym był hierarchą kościelnym to bym doszedł wniosku, że moja misja zawodowa poniosła klęskę...

– Niestety, jesteście też świadkami klęski lewicy – zauważył **prof. Marian Stępień**. – Przyglądałem się panu Włodzimierzowi z pozycji człowieka o pokolenie starszego, kiedy pojawił się jako jeden z licznych młodych postów. A trzeba przypomnieć, że posłem został wbrew woli ówczesnej wojewódzkiej instancji PZPR. To dawało nadzieję, że na lewicy jest jeszcze dość sił żywotnych. A dziś zasmuceniem draży nas refleksja. Dlaczego tak? Co się stało? Czy winne tej słabości są osoby, czy procesy? I w tej refleksji pojawia się postać Cimoszewicza, z którym się wiązało i ciągle można wiązać nadzieję na zmianę. Mam zarówno uznanie dla jego postawy, ale też pretensję, że uciekł do żubrów, do puszczy, w sytuacji trudnej, choć nie dziwię się, że Cimoszewicz przyjął postawę krytyka i patrzy na tę tzw. lewicę z zewnątrz, szczególnie gdy z lewicą ciągle kojarzy się Leszek Miller, który powinien mieć zakaz pokazywania się w telewizji w tym charakterze, i nakazane dożywotne oglądanie wyczynów pani Ogórek!

– Ucieszył mnie profesor Stępień swym młodzieńczym radykalizmem nawołującym do walenia w piersi nieobecnych tu, ale i obecnych, dlatego sam się do bicia w piersi zgłaszam – odpowiedział **dr Krzysztof Janik**, niegdyś także przewodniczący SLD. – Ma Włodek rację szczególnie w tym, gdy mówi, że stoimy wobec wyzwania przyszłości, której wielka część ludzkości się boi, a my Polacy w sporej części także. Zapewne winne są tu także pewne elementy specyficznie polskie. Jaką my dostaliśmy „narrację” o Polsce Ludowej, tej nowej, która nas wyjęła z zagród od krowy, od świni, wyprowadziła w świat, do miast, na uczelnie? I jaką opowieść przekazaliśmy młodym? Dlaczego wygraliśmy do 2005 r.? Bośmy mogli zaproponować opowieść o Europie, o przyszłości i o mitycznym „Zachodzie”. Taka „narracja” działała na nasze pokolenie bo wiedzieliśmy, na czym polega różnica. Ale na mojego syna to już nie działa, bo on nie wiedział, jak wyglądała naprawdę II RP, czym była w istocie PRL, a ów „Zachód” to jest normalka!

Siła naszej opowieści w pewnej chwili się więc wyczerpała i nie stworzyliśmy jako polska lewica nowej narracji. Czy to wina „administratorów zorganizowanej lewicy”, takich jak Miller, Janik, paru innych? Pewnie tak. Czy to jest wina działaczy państwowych, jak tu siedzący Włodek z Jurkiem wywodzący się z lewicy? Pewnie tak, ale jest to też wina nas wszystkich, żeśmy takiej narracji nie wytworzyli.

Zrobił ją Kaczyński. Zabrał tę całą młodzież na Dzikie Pola, dał im kałachy i opowiada, że jak będzie kolejna wojna światowa to oni jak „żołnierze wyklęci” pójdą do lasu, wykopią ziemianki i będą potem o nich kręcić filmy. I oni w to wierzą. (...)

Słabość lewicy, nie tylko polskiej zresztą, polega na tym, że musimy od nowa stworzyć opis rzeczywistości... Dziś jeszcze nie wiemy, ile w tym wszystkim ma być etatyzmu, polityki społecznej, ile liberalizmu i jakiego, bo w klasycznym liberalizmie szanuje się mniejszość, szanuje jednostkę, a to także część myślenia klasycznej lewicy.

Czy jesteście w stanie taki opis stworzyć? Mam wątpliwości. Nie ma nowych pokoleń, które by my-

ślały o państwie w ten sposób, w jaki my myśleliśmy. Nie rozumieją co to „państwo”, a „naród” jest prostą kategorią. Bóg, wiara, ojczyzna. Co nas zatem czeka? Czy odrodzimy jakąś myśl państwową, najlepiej lewicową, czy czeka nas merytokracja albo administrowanie doraźnymi emocjami społecznymi, w czym lewica nie jest najlepsza. Odlóżmy więc niegdysiejszego lidera i nieszczęsne warzywa... Zastanówmy się nad nowymi ideami.

Spostrzeżenia Krzysztofa Janika dotyczące stanu umysłowości kolejnych pokoleń Polaków, którzy nie umieją policzyć, że rządowy datek 500 plus nie kosztuje budżetu, jak mówił premier Morawiecki, 23 mld. zł ale znacznie mniej, bo z każdych 500 zł wraca do budżetu w podatku vat 115 zł, a niekiedy więcej, jeśli trafi na miłośnika towarów akcyzowych (o tym m.in. dyskutował Janik ze swymi studentami na Akademii Obrony Narodowej, zanim musiał ją opuścić), świetnie współgrają z uwagami kuźniczan zatrwożonych stanem polskiej edukacji.

Mówiła o tym m.in. **Bogumiła Stawowska-Cichowicz** przywołując własne doświadczenia psychologa z pracy z młodzieżą, spostrzeżenia córki pracującej w call-center i telewizyjną rozmowę z prof. Hartmanem. Padały uwagi o dramatycznym stanie wiedzy i umiejętności polskich studentów – przyszłych inteligentów, którzy kompletnie nie umieją pisać, nie rozumieją słów i pojęć. – Rośnie drugie pokolenie durniów, a okazuje się, że rynek lekcji prywatnych osiąga wartość 2 mld, złotych, więc rząd myśli, jak by go opodatkować. Tymczasem Kaczyński ruszył na wojnę z „elitami” i wiele wskazuje na to, że rzetelną wiedzę będzie się wkrótce przekazywać wyłącznie na „kompletach” jak za cara, albo w czasie okupacji hitlerowskiej. Bywam na spotkaniach klubu „Tygodnika Powszechnego” i stwierdzam, że intelektualści katolicy są też zagubieni i martwią się o nasz kraj tak samo, jak my – mówiła pani psycholog.

O zarzuconych niestety obowiązkach inteligencji polskiej w sferze edukacji narodowej przypominała **Daniela Tratkiewicz**, która stanęła też w obronie Laureata: – Pan profesor Stępień powiedział, że odejście Włodzimierza Cimoszewicza od polityki było „ucieczką do żubrów”. To była naturalna reakcja wrażliwego człowieka, który stojąc w obliczu tego co się wówczas działo, doszedł do wniosku, że nie można się kopać z koniem.

Ten głos współbrzmiał harmonijnie z kilkoma innymi wypowiedziami, poczynając od głosu **Bogdana Michnowicza czy Andrzeja Kurza**, którzy zasygnalizowali, że kuźniczanie liczą na aktywniejsze, bardziej zdecydowane zaprezentowanie się Laureata „Kowadła” w bieżącej polityce...

– Swoje odejście przed dwoma laty z polityki – odpowiadał **Włodzimierz Cimoszewicz** – taktuję jak najpoważniej i powiem otwarcie, po ludzku: Ja, dwa lata temu rzeczywiście przenieśliem się na emeryturę mając nadzieję, że przerobiony własnoręcznie kamper posłuży mi do jeżdżenia po Europie, którą poznawałem dotąd od stolic, a chciałbym zwiedzić prowincję. I ciągle jeszcze tej swojej wizji nie chciałbym utracić...

Zresztą jestem zdania, że myślenie o odbudowaniu lewicy rozumianej tradycyjnie wydaje mi się wątpliwe. Polityk patrzeć musi na skalę społecznego poparcia.



Spółeczeństwo jest zróżnicowane i ktoś, kto w demokratycznym państwie chce kierować sprawami publicznymi, powinien przede wszystkim opanować sztukę łączenia. Kompromisu. To jest pozytywne rozumienie misji politycznej, nie wedle obecnie obowiązującej wizji dzielenia, szczucia jednych na drugich... Jeżeli celem jest porozumiewanie się i szukanie wspólnego mianownika, to powinno się wedle tej samej filozofii budować organizację. Mnie najbliższe jest rozumienie centrolewicowe z elementami liberalizmu w wymiarze politycznym, ale także ekonomicznym za co mnie Hausner za chwilę skarci. Nie wolno ulegać złudzeniom, że nie wiemy, gdzie się co wytwarza i skupiamy się tylko na dzieleniu i obietnicach stąd wypływających...

Muszę jednak wrócić do tego 2005 roku i owej „ucieczki” z pola walki o prezydenturę. To nie była ucieczka. Ja bym to zniósł, ale atak na moją rodzinę postawił przede mną pytanie, czy mam prawo kontynuować kampanię, kiedy moi najbliżsi muszą płacić gwałtownie rosnącą cenę. Córka musiała odwołać się do sądu, wygrała sprawę, ale w Stanach Zjednoczonych, i polskie sądy niczego potem nie uznały. Gdy walka trwała, w imię tak zwanego obiektywizmu udzielano głosu „każdej ze stron” - mnie i pięciu paszkwilantom. Przez 10 minut gadali Giertych z Macierewiczem i młody Miodowicz, a ja przez dwie minuty próbowałem coś wytłumaczyć.

Musiąłem zareagować tak jak zareagowałem. Trudno. Rozmawiałem zresztą o tym kiedyś z dziennikarzem w Polsce i zwróciłem uwagę na odpowiedzialność mediów. Kiedy mniej więcej w tym samym czasie, w trakcie wyborów we Francji zaatakowano

falszywie Sarkozy’ego za jakieś rzekome pieniądze z łapówek za helikoptery, to dziennikarze sami w ciągu trzech dni udowodnili, że to zarzuty kłamliwe i Sarkozy wygrał wybory. W Polsce, w dniu, kiedy postawiono mi zarzuty, przedstawiłem dokument jednoznacznie dowodzący fałszerstwa. Media nie zrobiły absolutnie niczego, by powiedzieć o tym obywatelom. Cała rzecz interesowała je tylko jako sensacja. Była w tym zapewne także szczypta interesowności. W 2005 r. została uchwalona ustawa, która stworzyła Instytut Sztuki Filmowej, na który ustanowiono składkę od prywatnych nadawców, bodaj w wysokości 1,5 proc. od wpływów z reklam. Ta ustawa była brutalnie atakowana właśnie przez część opozycji – Platformę Obywatelską i oczywiście dwie prywatne telewizje TVN i Polsat. Byłem wtedy marszałkiem Sejmu i gdy Komisja Kultury odrzuciła projekt, przyszli do mnie Andrzej Wajda z Janem Kaczmarkiem – laureatem Oscara za muzykę filmową, żeby mnie przekonać do podjęcia sprawy ponownie. Udało mi się to przeprowadzić i ustawa została uchwalona. Wolę tej całej sytuacji nie komentować, bo dowodów na to nie mam – zakończył Cimoszewicz.

No cóż, puszcza ma niezmiernie uroki i wypada dodać, że finalnym elementem spotkania „Kuźnicy” z Włodzimierzem Cimoszewiczem, stał się (na specjalną prośbę **Józefa Klasy**) wygłoszony *a vista* esej o Puszczy Białowieskiej i jej barwnych losach w ciągu ostatnich dwóch stuleci. Ale to inna, choć też ważna i polityczna sprawa...

(F.R.)

JERZY HAUSNER

# NIE WOLNO MILCZEĆ!

Zanim będziemy mogli usłyszeć wystąpienie laureata „Kowadła”, chciałbym przedstawić sylwetkę Włodzimierz Cimoszewicza tak, aby wcześniej przemówiły do nas słowa, które z jego licznych wystąpień wybrałem.

Najpierw zastanówmy się, kim jest Włodzimierz Cimoszewicz. Pierwsza odpowiedź nasuwa się od razu: jest politykiem – wielokrotnym posłem na Sejm i senatorem, marszałkiem Sejmu, premierem, wicepremierem, ministrem spraw zagranicznych, ministrem sprawiedliwości... Słowem – to legenda polskiej lewicy od czasów ZMS do SLD, człowiek lewicy, który przeszedł z nami tak długą drogę, odgrywając zawsze ważną rolę.

Przed wszystkim trzeba tu przypomnieć wybory prezydenckie z 1990 r., które otworzyły drogę do bardzo dobrego wyniku w wyborach parlamentarnych chwilę później – nieoczekiwanego zwycięstwa, jakie lewica osiągnęła w 1993 r. Pamiętam dyskusję w „Kuźnicy” przed wyborami 1990 r., kiedy przeważało zdanie, że kandydować powinien polityk z lewicy i to młody polityk, aby nie obciążać tym obowiązkiem prof. Ewy Łętowskiej, skądinąd osoby wybitnej i popularnej. Bo w tamtych wyborach nie chodziło o zwycięstwo i mało realne objęcie funkcji prezydenta RP, ale o fundament przyszłego politycznego, lewicowego przełomu.

Aby jednak nie ograniczać się do mocno już wytartego określenia „polityk”, przypomnę, że Cimoszewicz

to także działacz społeczny, w swoim czasie radny sejmiku województwa podlaskiego, także aktywnie działający ekolog broniący nie tylko Puszczy Białowiejskiej, tego miejsca, z którym był i jest bardzo mocno związany, ale obrońca przyrody w całym kraju.

Włodzimierz Cimoszewicz to także prawnik o uznanej autorytecie i dorobku, a także nauczyciel akademicki, który zaczynał na Uniwersytecie Warszawskim, związany był z Uniwersytetem w Białymstoku, uczelnią Vistula, a jako *visiting professor* wykładał na kilku amerykańskich uniwersytetach.

Aby ten obraz dopełnić, trzeba dodać, że to także rolnik, właściciel gospodarstwa rolnego i „złota rączka”, ktoś, kto potrafi sam naprawiać, remontować, tworzyć coś, co kształtuje jego własny materialny świat. Teraz buduje dom.

I tu przywołam fragment pewnego tekstu – wywiadu z Cimoszewiczem: „Ambulans, który będzie jego domem na kołach, oglądamy potem w stodole. Samochód jest w bardzo dobrym stanie, ale Cimoszewicza czeka jeszcze bardzo dużo pracy. – Tu będzie łóżko, a tam zrobię prysznic z zasłoną na magnesy. Polityk wyjaśnia, że wszystkie elementy wyposażenia robi sam. Ostatnio kupił także starą przyczepę kempingową. Ma być ruchomą amboną do obserwacji zwierząt. Zostanie przemalowana na kolory maskujące, czyli na zielono i na brązowo”. I są tego efekty, bo Cimoszewicz jest autorem opisu Puszczy Białowiejskiej, ale też znawcą wszystkich parków narodowych w Polsce.

Starałem się więc pokazać, kim jest Włodzimierz Cimoszewicz na tle jego wielu ról społecznych. Natomiast chciałbym jeszcze oddać, że jest człowiekiem wyjątkowym, człowiekiem ze szczególnej bajki – z bajki własnej! I aby dobrze oddać treść tej bajki, muszę podkreślić, że Włodek jest człowiekiem samostanowionym. Pisze o sobie tak: „Bywam uparty jak muł, szczególnie w sprawach, gdy jestem przekonany, że to, czego się ode mnie oczekuje, jest niesłuszne. Że tego nie wolno zrobić, nie wolno akceptować”.

Dodam, że Włodek jest politycznym samotnikiem. Warto tu wspomnieć tę ucieczkę, wycofanie się z wyborów prezydenckich, bo cokolwiek by powiedzieć o jej przyczynach, to była to ucieczka. Ale Cimoszewicz mówi: „Polityka jest zdominowana przez oportunizm, egoizm, karierowiczostwo, a żubry są fajniejsze”. I trzeba zauważyć, że od polityki wielokrotnie uciekał, nie tylko w tamym trudnym przypadku, i uciekał do żubrów. Do puszczy.

Przypominam sobie jego pierwszą ucieczkę z polityki. Był wówczas wicepremierem i ministrem sprawiedliwości. Nastąpiła zmiana rządu, a Marek Wagner, który był szarą eminencją kolejnych rządów lewicy, tłumaczył mi, jak przekonywał Cimoszewicza, żeby jednak z polityki się nie wycofywał. „Widzisz – mówił – kiedy taki człowiek jak ty idzie na szczyt, idzie w Himalaje, to czasami przy złej pogodzie trzeba chwilę przeczekać, zrobić bazę i wrócić na trasę jak tylko pogoda będzie sprzyjała”. I rzeczywiście, Włodek wracał i oby wrócił teraz....



Fot. Andrzej Gluc

Gdy oglądamy wystąpienia Cimoszewicza, widzimy jak jasno przedstawia swoje stanowisko i w sposób wyważony, a nawet – powiem – szlachetny. I tu jego wypowiedź o innym polityku, z którym miałem okazję długo współpracować: „Grzegorz Kołodko – człowiek wspaniały o troszkę mniej wspaniałym charakterze”. Pęknie powiedziane, nieobraźliwie a precyzyjnie.

Osobistym światem Włodka jest jego puszczańska leśniczówka, w której gościł wiele znanych i ważnych osób, tocząc z nimi głębokie rozmowy – i o polityce, i o przyrodzie, i o życiu.

Tu chciałbym wskazać na istotne nadzieje, jakie z Cimoszewiczem wiążemy i powiedzieć kilka zdań o tym, dlaczego „Kuźnica” pragnie mu wręczyć nagrodę „Kowadła”.

Pierwszą myślą jest jego wytrwałość w służbie dla Polski. Trzeba to zobrazować stosownym cytatem: „Gdyby nie Kaczyński, nie wróciłbym do polityki. Bo to tak, jakby Tatarzy najechali na nasz kraj. W takiej sytuacji każdy przyzwoity człowiek chwyta za miecz, by pogonić to towarzystwo”. W tym sensie Włodek jest wytrwały i podkreślę raz jeszcze – jeśli kiedyś „uciekał do puszczy” to po to, by wrócić w odpowiedniej chwili i „chwycić za miecz”.

I kolejne słowa, które często powtarza: „nie wolno milczeć”. To człowiek znany z głębokiego poczucia odpowiedzialności i to, co wielu odbiera jako trudny charakter, jest właśnie wyrazem tej jego cechy charakteru. Tu raz jeszcze Cimoszewicza zacytuję: „W każdym rządzie z udziałem PSL, gdy zdarzyła się jakaś klęska, to ludowcy natychmiast żądali uruchomienia kredytów preferencyjnych. Chodziło o to, żeby dać rolnikom forszę, To populistyczne, krańcowo nieodpowiedzialne zachowanie polityków powoduje, że ludzie sobie myślą – daj sobie święty spokój, jak przyjdzie co do czego, to »państwo« da ci pieniądze”. I inna myśl: „Jestem coraz bliższy poglądu, że mimo potencjalnie bardzo ważnej roli mediów publicznych w Polsce, lepiej byłoby je zlikwidować niż utrzymywać. Żadna partia polityczna nie dowiodła swojej dojrzałości i odpowiedzialności dla nadania tym mediom niezbędnej niezależności. Także SLD, także lewica”.

To nie są cytaty z ostatniego okresu, to cytaty z bardzo różnych etapów działalności politycznej Włodka, pokazujące jego głębokie poczucie odpowiedzialności.

Kolejna rzecz wyeksponowana przez Radę, to odwaga obywatelska. I to zilustruję cytatem, bardzo nowym: „To co zrobiono przekonując 70 proc. naszego społeczeństwa do tego, że słuszne jest nieudzielanie pomocy ofiarom wojny, jest po prostu podłe”.

Rada „Kuźnicy” w swym uzasadnieniu mówi też o „świeżości i precyzji myśli i słowa”. Tu kilka krótkich cytatów: „Polska dokonuje autowykluczenia ze wspólnoty demokratycznego Zachodu”, czy „PiS tak chętnie posługuje się kategorią narodu, a właśnie czyni go małym” i trzecia znacznie wcześniej wypowiedziana myśl, jakże teraz aktualna. Jaką przestroga była i jak mogłaby zmienić kraj, gdyby jej wysłuchano? To wypowiedź Cimoszewicza dla radia RMF, gdy chodziło o postępowanie prokuratury na wstępnym etapie śledztwa po katastrofie pod Smoleńskiem. Oto w ówczesnej

ocenie Cimoszewicza prokuratura „zachowuje się tak, jakby chodziło o włamanie do garażu na Grochowie”. Dziś mamy tego konsekwencje.

Co należy dodać na zakończenie – jedno, to myśl, którą Włodek wypowiedział przed laty: „Moja nauka z 1989 roku jest taka, że nie należy bać się zmian”.

Chciałbym jeszcze zaprezentować Państwu fragment nagrania wypowiedzi Cimoszewicza wygłoszonej w listopadzie 2016 r. na współorganizowanym przeze mnie i wspieranym przez Urząd m. Krakowa i osobiście przez Prezydenta Jacka Majchrowskiego Open Eyes Economy Summit – Kongresie Ekonomii Wartości: „Co można w tej sytuacji i co należy w tej sytuacji robić, co Europa powinna zrobić? W moim przekonaniu Europa dzisiaj stoi na swoistym rozdrożu. Jeśli nie znajdzie w sobie energii, pewnej determinacji, zdolności do wyobrażenia sobie potrzebnych rozwiązań, to będzie marniała, będzie ulegała marginalizacji, jeśli chodzi o jej znaczenie polityczne i ekonomiczne w świecie. To będzie kontynent, w którym będzie się coraz smętniej żyło, będzie to dawało coraz mniej zadowolenia, satysfakcji, mimo że przez długi czas materialne standardy życia mogą być zachowane na wysokim poziomie. Jednak, jeśli pewne rzeczy nie zostaną już dzisiaj wykonane, to z perspektywą pogarszania się tych standardów. Europa, w moim przekonaniu, powinna być przede wszystkim zdolna do wiary, że może sobie poradzić. Dlatego, że to, co dzisiaj jest charakterystyczne, to jest upowszechnianie się pesymizmu i minimalizmu, w myśleniu o sposobie rozwiązywania kłopotów wobec których stoimy.

Formą swoistego pocieszenia, ale racjonalnego pocieszenia, może być wspomnienie, że bywało już dużo gorzej. Wyobraźmy sobie lata bezpośrednio po II wojnie światowej: jak wyglądał nasz kontynent, wobec jakich problemów stał? I wtedy, kilkanaście miesięcy po zakończeniu wojny, zbiera się Kongres Haski, obywateli Europy. Spotykają się pod przewodnictwem Churchilla i mają odwagę wezwać wtedy do integracji europejskiej, do budowania wspólnoty europejskiej. Trzeba było mieć naprawdę wyobraźnię autora książek science fiction, aby w tamtych okolicznościach wystąpić z takim pomysłem, który był fantastycznie słuszny. A warunki do jego realizacji były niepomniernie gorsze niż w dniu dzisiejszym.”

Kongres Haski był rezultatem działania wielu wybitnych postaci, w tym pochodzącego z Krakowa Józefa Retingera, który starał się ze wszystkich sił upowszechnić wizję zjednoczonej Europy. Dlatego przywołałem na koniec tę właśnie wypowiedź Włodka, ponieważ jest w niej nadzieja. Wielokrotnie było trudniej, a daliśmy radę. Potrzebna jest jednak też wola – także wola walki - jaką Włodzimierz Cimoszewicz zawsze reprezentuje.

**JERZY HAUSNER**

WŁODZIMIERZ CIMOSZEWICZ

# MÓJ OPTYMIZM JEST DZIŚ PODDAWANY TRUDNEJ PRÓBIE

Niemal dokładnie rok temu na krakowskiej konferencji organizowanej przez profesorów Majchrowskiego i Hausnera mówiliśmy o świecie, który zmienia się na naszych oczach. Nie były to i pewnie nie są zmiany na lepsze, a jedyne pocieszenie, jakie znajdowałem w tamtych okolicznościach brzmiało, że „bywało gorzej”. Na szczęście, kilkanaście miesięcy później można mówić o zauważalnej zmianie nastrojów w Europie, bo zrealizowały się pewne korzystne scenariusze i pojawia się nadzieja, że nie będziemy grzęzli w beczynności.

To oczywiście nadzieja warunkowa, bo zmierzającemu w dobrym kierunku prezydentowi Francji koniecznie trzeba partnerstwa, w tym przede wszystkim partnerstwa niemieckiego. Oczywiście Schulz jako były przewodniczący parlamentu europejskiego nie mógł odwrócić się plecami od idei pogłębienia integracji europejskiej...

Tej nucie optymizmu towarzyszy jednak świadomość licznych niepokojących zjawisk pojawiających się nawet w państwach o utrwalonych systemach demokratycznych, nie tylko europejskich. Przecież mimo ciągłego poprawiania się warunków życia w wielu państwach zachodnich populisci zaczęli odnosić tak łatwe sukcesy.

W niedalekiej Austrii wytworzył się układ polityczny, który mimo formalnego odżegnywania się od eurosceptycyzmu łatwo może postzerować właśnie w złą stronę, w dodatku tworząc rodzaj trójkąta Wiedeń–Budapeszt–Warszawa, co może prowadzić do całkiem realnych prób paraliżowania ważnych inicjatyw Unii Europejskiej. Jeśli nawet we Francji bardzo umocniła się pani Le Pen, skoro i w Polsce sukcesy odnosi PiS, to muszą chyba istnieć jakieś wspólne przyczyny tych zjawisk.

Oczywiście, można stwierdzić rzecz banalną, że nic nie jest dane raz na zawsze, ale przemiany, które obserwujemy w ciągu ostatnich lat trzydziestu, różnią się od czasów minionych intensywnością i wielopłaszczyznowością. Oto za życia jednego pokolenia świat przeszedł krętą trajektorię nowych modeli stosunków międzynarodowych.

Do grudnia 1991 roku, kiedy upadł Związek Radziecki, panowało, choć zapewne już wówczas nieaktualne przekonanie, że świat oparty jest o układ dwubiegunowy. Wkrótce po *kollapsie* ZSRR pojawiło się przeświadczenie, że zaczynamy długą epokę dominacji jednego supermocarstwa, obliczaną wedle przewidywań niektórych na cały nadchodzący wówczas XXI wiek!

Aleksander Kwaśniewski, któremu towarzyszyłem jako minister spraw zagranicznych w trakcie jednej z wizyt w Waszyngtonie, przemawiając do dowództwa sił

zbrojnych Stanów Zjednoczonych mówił, że wielu krajom demokratycznym potrzebne jest amerykańskie przywództwo, ale na pewno nie hegemonia i dobrze byłoby, żeby sami Amerykanie to zrozumieli. W tamtej epoce i w tamtym miejscu, gdzie zdecydowanie dominowali neo-konserwatyści, a także wśród takiego grona słuchaczy, było to stwierdzenie mocne!

Minęło kilkanaście lat i nie ma mowy o świecie jednobiegunowym. Nawet na spotkaniach w gronie G20 nie rozwiąże się już żadnej istotnej kwestii o charakterze globalnym, a kiedy w latach 2007–2008 doszło do kryzysu finansowego w krajach najwyższej rozwiniętych, okazało się, że bez współpracy z Chinami, Indiami czy jeszcze kilkoma innymi krajami nie można uruchomić środków pozwalających przywrócić kontrolę nad procesami gospodarczymi niezbędnymi, by rozpocząć pracę nad rekonstrukcją finansów „świata zachodniego”.

I okazuje się oto, że żyjemy w epoce, która trwała będzie kilkanaście czy kilkadziesiąt lat, epoce kształtowania, doprecyzowywania tego nowego układu sił. Należy się liczyć z tym, że będą podważane obowiązujące dziś zasady stosunków międzypaństwowych, a nawet podstawy prawa międzynarodowego. Gdy obserwujemy poczynania Chin na Morzu Wschodniochińskim, to widzimy zupełnie oczywiste zaprzeczanie dotychczasowych reguł prawa morskiego. Najbardziej spektakularne są tu oczywiście zjawiska natury militarnej, ale chodzi przecież o ekonomiczne wartości dna morskiego, a także o kontrolę tras żeglugowych, którymi przemieszcza się dziś blisko 40 proc. handlu światowego.

Ucieranie się nowego systemu będzie, niestety, miało konsekwencje niepokojące i zapewne niekiedy nawet – tragiczne. Już obserwujemy konflikty zbrojne, potężne migracje... W chwili obecnej około 260 mln osób żyje w innych krajach niż kraje ich urodzenia. To skala przemieszczeń wynikających z konfliktów zbrojnych – międzypaństwowych, wewnętrznych, klęsk klimatycznych i w efekcie klęsk głodu...

Przemiany te mają swoje konsekwencje w sferze psychologii społecznej, bo na przykład około 80 proc. Chińczyków jest dziś przekonanych, że w ich kraju „sprawy idą w dobrym kierunku”. I nie ma co się dziwić, skoro około 400 mln osób przemieściło się tam ze wsi do miast, gdzie nie grozi im już upokarzająca nędza, choć oczywiście innych problemów nie brakuje.

Są więc społeczeństwa na fali wznoszącej, przekonane że jest i będzie lepiej, i są też społeczeństwa o nastrojach zgoła odmiennych, co dotyczy, niestety,

głównie państw z kręgu „świata wysoko rozwiniętego”, który tradycyjnie, od kilku stuleci „rządził tym globem”, bez względu na to, które akurat państwa przewodziły i w jakiej konfiguracji.

Tymczasem od lat państwa wysoko rozwinięte odnotowują fatalne bilanse handlowe z nowymi potęgami gospodarczymi. W efekcie Amerykanie przekonani przez pana Trumpa, że przyczyną ich problemów jest nieuczciwa konkurencja chińska czy meksykańska, albo nawet europejska, głosują na polityka, który przekreśliła możliwość zawarcia porozumień strategicznych z Europą, wycofuje USA z wypracowanego już porozumienia gospodarczego z krajami strefy Pacyfiku, stawia znak zapytania nad obowiązującymi już od kilku lat umowami z Meksykiem i Kanadą...

Przyczyny „złego samopoczucia” społeczeństw Zachodu są zresztą bardziej złożone niż pojawienie się gospodarczej konkurencji, bo zmiany technologiczne, robotyzacja procesów produkcyjnych, informatyzacja powodują skutki niemal identyczne jak rewolucja technologiczna XIX wieku. Nie ulega wątpliwości, że masa ludzi nie będzie wykonywała czynności, jakie wykonywali ich rodzice. Że także sami będą ciągle musieli zmieniać miejsce i formy zatrudnienia.

Nowinki technologiczne mają bezpośredni wpływ na życie miliardów ludzi! Nowe techniki komunikacyjne zmieniają sens, rodzaj i model stosunków międzyludzkich, powodują, że tradycyjne media przestają być pośrednikami między światem polityki i wyborcą, gdzie dotąd obowiązywały pewne cywilizowane kryteria doboru treści i formy przekazu, niekiedy zwane „poprawnością polityczną”. Dziś „media społecznościowe”, najczęściej internet, są źródłem chaosu i do ludzi docierają komunikaty nieselekcjonowane, mające z pozoru jednakową wartość. Trzeba mieć niemałe przygotowanie, by w tym chaosie znaleźć treści istotne, wyselekcjonować je, zrozumieć i wreszcie postużyć się nimi.

Jest pewnym paradoksem, że ten negatywny w istocie proces dotyka w znacznie większym stopniu obywateli państw wysoko rozwiniętych, demokratycznych, bo np. w Chinach można ludziom zamknąć Facebooka i pozwolić tylko na komunikowanie się za pomocą programów kontrolowanych przez państwo. W kraju o autorytarnej władzy mniejsze znaczenie ma to, co ludziom przyjdzie do głowy – w demokracji konsekwencje są ogromne i w tym chaosie pojawiają się groźne instrumenty oddziaływania na świadomość odbiorcy, tak zwane „profilowanie indywidualne”, które było najprawdopodobniej stosowane w ukryty sposób tak przed wyborami w, jak i przed referendum dotyczącym *brexitu* w Wielkiej Brytanii i mogło wpłynąć na sposób myślenia i głosowania niewielkich, ale ostatecznie decydujących o sukcesie grup wyborców. Jeśli w tradycyjnie demokratycznych stanach ułamkiem procenta wygrał jednak Trump, to nie wykluczone, że wpływ na to miała „profilerska” firma zarejestrowana w... Wielkiej Brytanii.

Dodajmy do tego, że te wszystkie nowe techniki są trudne do opanowania nawet przez ludzi wykształco-

nych nieco tylko starszego pokolenia, to okaże się, że mniej bezpieczna, mniej zrozumiała i trudnowyobrazalna przyszłość staje się problemem, a poklask zyskują „wiarogodni przewodnicy” proponujący proste rozwiązania. Najłatwiejszym sposobem przekonywania jest nawiązywanie do przeszłości, którą w dodatku można manipulować. Znany psychologom „optymistyczny efekt pamięci”, który tę przeszłość pokazuje raczej w dobrych niż złych barwach powoduje, że „powrót do starych wartości” wydaje się atrakcyjną obietnicą.

W jednym z sondaży dotyczących gospodarki prowadzonych w naszym kraju większość pytanym opowiadała się za modelem, w którym dominują silne przedsiębiorstwa państwowe, czyli za tym, co było kiedyś. I choć wiemy, że tamten system gospodarowania zakończył się fatalną klęską, dziś wielu ludziom wydaje się atrakcyjnym rozwiązaniem.

W czasach niepewności wielu szuka także oparcia w wizji „własnego państwa”, silnego związku społeczne-



Fot. Andrzej Głuc

go, który trąci nacjonalizmem, albo po prostu nacjonalizmem jest. Jeśli nie możemy liczyć na innych, jeśli nie wierzymy w solidarność międzynarodową, to zamknijmy się w swoim gronie. To „zatrute recepty”, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistymi, efektywnymi reakcjami na zmiany zachodzące w świecie. Z pozoru widzieć możemy wszystko i obserwować na bieżąco procesy gospodarcze i polityczne na krańcu świata, za to z drugiej strony okazuje się, że żyjemy w świecie utrwalających się coraz bardziej stereotypów. Jeśli ktoś kiedyś usłyszał, że „w Etiopii głodują”, to nie przyjmuje do wiadomości, że dziś Etiopia licząca 102 mln ludzi jest krajem, który jednym kontraktem kupuje od polskiej firmy 10 tysięcy ciągników, czyli trzy razy więcej niż ta firma sprzedaje maszyn w Polsce. Takich zaskakujących informacji jest znacznie więcej.

Dlatego właśnie jestem głęboko przekonany, że lewica winna proponować Europejczykom głębszą, choć zapewne trudniejszą refleksję nad tym zmieniającym się światem po to, żeby mogła odzyskać opinię istotnej, wiarogodnej siły zdolnej przedstawić poważne recepty na poprawę.

W nowych potęgach ekonomicznych stosunkowo szybko dojdzie do podniesienia się przeciętnego po-

ziomu edukacji dzięki użyciu nowoczesnych narzędzi przenoszenia informacji: tv, internetu, smartfonów etc. Natomiast budowa potencjału badawczo-rozwojowego to proces długi i na razie my na Zachodzie ciągle możemy się posługiwać takim atutem w stosunku do krajów, gdzie ludzie łatwo przyuczają się do prostego obrazu nowoczesności, ale brak im intelektualnego zaplecza do twórczego działania.

Na razie więc „świat wysoko rozwinięty” nie ma powodu, by z pesymizmem patrzeć w przyszłość, ale równocześnie musi mieć świadomość, że skończyły się czasy tradycyjnej dominacji. Trzeba zrobić miejsce dla innych i szukać takich modeli współdziałania, które będą stwarzać przestrzeń dla kooperacji, a nie pole destrukcji. Bo oto wobec Chin stawiane jest pytanie, jaką drogę wybierze kraj, którego gospodarka jest już większa od amerykańskiej, gdy chodzi o wartość produktu poza sferą usług, zwłaszcza niematerialnych.

Obowiązująca do niedawna filozofia Deng Xiaopinga respektowania nienaruszonego ładu światowego została ostatnio wyrażenie zanegowana w wystąpieniu Xi Jinpinga na ostatnim Zjeździe KPCh – bardzo wyraźnie wyłożono tam aspiracje obecnego przywództwa i bardzo ambitne zadania dla Chin, które wyznaczają drogę do pozycji mocarstwa światowego w 2050 roku.

Moglibyśmy być zaskoczeni, że Chiny rysują dla siebie tak daleką perspektywę polityczną, ale trzeba też pamiętać, że to kraj o historii pisanej przez kilka tysięcy lat! Jednym z bardziej szokujących doświadczeń w początkach mojej działalności politycznej była rozmowa z ówczesnym ambasadorem Chin w 1990 roku, który rysował obliczoną na 60 lat perspektywę rozmaitych planów przebudowy tego kraju. Byłem zdumiony, że można w takich kategoriach rozumować, ale dziś stwierdzam, że bardzo wiele z rzeczy wówczas zapowiadanych jest właśnie realizowanych lub zrealizowanych zostało.

Otwarte pozostaje więc pytanie, czy ten kraj będzie chciał przyjąć na siebie część współodpowiedzialności za „ład światowy”, co zawiera w sobie gotowość do kooperacji z innymi partnerami, bo oto, w jednym z ostatnich wystąpień Xi Jinpinga padło zdanie, które może oznaczać postawienie znaku zapytania w tych kwestiach. Powiedział bowiem, że „nikt i nic nie zmusi Chin do zrezygnowania z obrony własnych interesów”. Stwierdzenie niby normalne, ale też takie, które może być interpretowane tak jak trumpowska wypowiedź *America*, czyli przede wszystkim interesują nas własne interesy, a wtedy koncepcja porozumiewania się i ewentualnych ustępstw przestaje być wyznawaną filozofią „współpracy”. Aby usłyszeć właściwą odpowiedź i zmniejszać prawdopodobieństwo konfliktu, świat zachodni powinien budować te stosunki już dzisiaj.

Są na szczęście pewne podstawy do przekonania, że przyszli partnerzy będą skłonni do zachowań kreatywnych, jeżeli nie będą one stały w całkowitej sprzeczności z ich interesami, bo np. po tym, jak Trump zanegował otwarcie porozumienia paryskie w sprawach klimatycznych, Xi Jinping przedstawił Chiny jako kraj, który zachowa się wręcz przeciwnie i wpisze się w opuszczoną właśnie przez Stany Zjednoczone rolę przywódcy sił, które chcą zapanować nad procesem zmian klimatycznych. Oczywiście Chińczycy mają w tym swój istotny interes, bo do tego stopnia zniszczyli własne środowisko natural-

ne, że dziś muszą podejmować drastyczne kroki, realizowane niekiedy brutalnymi środkami, by ludzie w Pekinie mogli po prostu oddychać.

Ta zmiana postawy, bo przecież dotąd to właśnie Pekin blokował porozumienia klimatyczne i nie chciał przyjąć na siebie żadnych zobowiązań dotyczących emisji gazów cieplarnianych, motywowana jest też takim oto rozumowaniem, że poza siłą militarną dla budowania pozycji w nowym układzie światowym bardzo ważne jest pozytywne oddziaływanie na świadomość miliardów ludzi. Chodzi o odwołanie się do znanej kategorii „miękkiej siły” i budowanie wizerunku kraju troszczącego się o losy całego świata.

Nie mówiłem dziś nic o sprawach polskich w dwójki intencji. Po pierwsze, uważam że powinniśmy na sprawy polskie patrzeć szerzej, dostrzegając kontekst dotyczących się u nas procesów, ale też abyśmy zrozumieli, że pewne rzeczy, które niepokoją nas we własnym kraju, są tylko fragmentem większej całości, a z tego punktu widzenia nie jesteśmy znowu tak bardzo inni.

Wiosną 2015 roku 30 proc. Polaków było przeciwnych przyjmowaniu uchodźców, jesienią, w wyniku działań PiS, który budował tak swoje polityczne zaplecze, przeciw uchodźcom było już 70 proc.! Ale przecież to nie tylko u nas można tak ludzi zbałamucić, z tym samym mamy do czynienia w krajach o głęboko ustabilizowanej cywilizacji demokratycznej. Można było przekonać Brytyjczyków, że kiedy sobie odrąbią nogę, to wyjdą na tym lepiej, można było Amerykanów przekonać do takiego, a nie innego głosowania...

Można powiedzieć, że to nic nowego, a przecież zachowania nacjonalistyczne są w Europie czymś kompletnie absurdalnym, bo nie tylko historia, ale i teraźniejszość i przyszłość głupotę takich postaw odślaniają. Nie tylko w Polsce udało się w ciągu kilku miesięcy przekonać połowę społeczeństwa do uznania za rzecz właściwą czegoś, co stoi w fundamentalnej sprzeczności z chrześcijańskim charakterem tego społeczeństwa, bo jeśli odrzuca się fundament miłości bliźniego, to i chrześcijaństwo się odrzuca! A przecież Alternatywa dla Niemiec pokazuje, że w kraju, gdzie wszelkie wątki nacjonalistyczne przez dziesięciolecia po II wojnie światowej były traktowane, delikatnie mówiąc, z ostrożnością i niechęcią, taka nacjonalistyczna partia może okazać się poważną siłą.

Muszę więc powiedzieć, że mój optymizm jest dziś poddawany trudnej próbie. Miewam czasami takie myśli, że choć przez ponad ćwierć wieku wielu z nas robiło wszystko, by Polska stała się taka, jaką była jeszcze w 2015 roku, czyli aktywna w świecie, respektowana, proeuropejska, starająca się modernizować, to raptem znaleźliśmy się w warunkach, kiedy wiele elementów będących przedmiotem naszych ambicji i naszych dążeń podlega destrukcji, a dyskurs publiczny wyzwała w ludziach postawy, które zdawałyby się, że odeszły w przeszłość. Choć z wielu stron padają wątpliwości, czy te nasze zabiegi, działania, pomogą wrócić Polsce na sensowne tory wobec oczywistych wyników głosowań w zdominowanym przez PIS Sejmie, to jednak pomogą nam samym i społeczeństwu uprzytomnić sobie, jak silny jest opór wobec bezprawia i będą sygnałem wobec świata, że „Jeszcze Polska nie zginęła”.

WŁODZIMIERZ CIMOSZEWICZ

TADEUSZ WOJTASZEK

# SPRAWIEDLIWI Z DOLINY BĘDKOWSKIEJ: ROŚCISZEWSKY

Piękna krajobrazowo, wyłobiona w wapieniach jurajskich Dolina Będkowska w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, często odwiedzana rekreacyjnie przez mieszkańców odległego zaledwie o 16 kilometrów Krakowa, kryje jeden z mało znanych epizodów okupacyjnych, które mówią o bohaterstwie i poświęceniu Polaków w ukrywaniu i ratowaniu Żydów. Zajmowała się tym polska rodzina Rościszewskich, o średniowiecznych korzeniach, która osiadła w Krakowie na początku dwudziestego wieku.

Dolinę Będkowską zagospodarował na cele – jakbyśmy to teraz nazwali – agroturystki, z początkiem dwudziestego wieku **Seweryn Rościszewski**, ziemianin, właścicielem majątku Niedroź koło Drobina w Płocku, który osiedlił się w Krakowie z początkiem lat trzydziestych ubiegłego wieku. Wraz z żoną **Marceliną** oraz synem **Lechem Marianem** i jego żoną **Janiną** zamieszkali przy ul. Kremerowskiej, zaś w Dolinie Będkowskiej założyli dwór z gospodarstwem rolnym i w latach 1932-33 u podnóża skalistego zbocza zbudowali piętrową willę „Szaniec”. Parter służył właścicielom jako mieszkanie, a piętro było przeznaczone na wynajem dla letników. Przeprowadzili się do niego z Krakowa tuż przed wybuchem II wojny światowej w 1939 roku.

Rościszewscy należeli do katolickiej inteligencji w Krakowie. Byli znani jako zagorzali katolicy i zaangażowani polscy patrioci, wielokrotnie odznaczani podczas I wojny światowej za walkę o niepodległość Polski. Seweryn Rościszewski był potomkiem rodu o bogatych tradycjach patriotycznych. Jego żona Marcelina pochodziła z litewskiej szlachty, była pierwszą Polką, która ukończyła Sorbonę. Była wykształconym pedagogiem, działaczką niepodległościową i kulturalno-oświatową, oraz dyrektorką gimnazjum w Płocku. Zmarła 4 kwietnia 1949 roku i pochowana została na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Była odznaczona przez Józefa

Piłsudskiego Krzyżem Walecznych w 1921 r. i Medalem Pamiątkowym za Wojnę 1918–1921 roku.

Syn Seweryna i Marceliny – **Lech Marian** był inżynierem rolnikiem i delegatem londyńskiego Rządu Emigracyjnego RP do spraw rolnictwa na Okręg Małopolski. Działał aktywnie w Ruchu Oporu, gdy jego rodzina prowadziła pensjonat w Dolinie Będkowskiej. Jego żonę **Janinę** – sanitariuszkę frontową z 1920 roku, też odznaczył Józef Piłsudski w 1922 roku Krzyżem Walecznych.

**Syn Lecha Mariana i Janiny – Lech Michał** urodził się w 1925 roku jeszcze na Mazowszu, a od połowy 1939 roku mieszkał wraz z rodzicami w Krakowie. W lipcu 1941 r. został zaprzysiężony na członka Związku Walki Zbrojnej, a w 1943 włączony do Kedywu Armii Krajowej. Od czerwca 1944 żołnierz Samodzielnego Batalionu Partyzanckiego SKAŁA Armii Krajowej, w którym działał aż do wyzwolenia. Młodsze (z lat 30.) potomstwo Rościszewskich było wychowane w duchu głębokiego patriotyzmu, otrzymało stosowne wykształcenie. Córka Janina (obecnie nosząca podwójne nazwisko Rościszewska-Krawczyk) urodzona w 1932 r. jako dziecko przeżyła okupację w Dolinie Będkowskiej, a po wojnie została lekarzem. Drugi syn Jerzy urodzony w 1936 r. był w latach czterdziestych prezydentem Krakowa.

## Przystań dla potrzebujących

Od czasu zamieszkania Rościszewskich w Dolinie Będkowskiej (lato 1939 roku) „Szaniec” stał się przystanią dla potrzebujących. Zaczęło się latem 1940 roku od doktora Henryka Bierzyńskiego, Żyda z Zabierzowa, który był tu rejonowym lekarzem. Dr Bierzyński zamieszkał wraz z żoną i dwójką dzieci Jankiem i Marysią na pierwszym piętrze domu. Potem przybyli jeszcze krewni doktora, którym Niemcy kazali wynieść się z domów. Przyjechali zwożąc swoje najcenniejsze rzeczy

bracia Eichhorn z Poznania. Jeden z nich był sędzią, towarzyszyła mu przyjaciółka, aryjka Anna, drugi, były urzędnik CK austriackiej administracji rządowej, chwalił się swoją srebrną szablą, którą wręczył mu osobiście cesarz Franciszek Józef. Łudził się, że to ochroni przed szukanami okupantów. Kolejno zamieszkali tu również panie Wagnerowa z dwuletnim synkiem Pawłem, Schreiber z córką i Berggruen z dwiema córkami. Jedną z jej córek, Rederowa, była wdową po właścicielu apteki przy ul. Karmelickiej w Krakowie. Jako ostatnia zjawiała się w „Szańcu” młoda kobieta z córeczką Ewą, która przysłała pieszo z Rudawy. Posiadała dokumenty na nazwisko Dukat, ale faktycznie nazywała się Schenberg. Wszyscy musieli zameldować się u sołtysa w Będkowicach pod nazwiskami, na jakie mieli wystawione dokumenty. Ludzie ci, żyjąc z dala od miasta, nie zdawali sobie sprawy z zagrożenia. Wydawało im się, że w Dolinie Będkowskiej są bezpieczni.

W 1940 roku przed utworzeniem w Krakowie getta, w „Szańcu” przebywało około 18 osób, w tym stale 15 Żydów. Niektórzy z nich posiadali aryjskie dokumenty i uczęszczali do kościoła. Sąsiedzi, którzy dowiedzieli się, że niektórzy goście pensjonatu są Żydami, byli szczerze zdumieni, że Rościszewscy są gotowi ryzykować własne życie, ale Lech Marian Rościszewski tłumaczył im, że jako katolik nie może ich pozostawić bez pomocy.

– Dom wydawał się bezpieczny, ponieważ prowadząca do niego droga znajdowała się w fatalnym stanie – to były ogromne wertepy. Z Zabierzowa 6 kilometrów jechało się do niego pół godziny samochodem. Nie można było jechać szybko. Polacy i Żydzi, którzy osiedli w willi „Szaniec”, czuli się przez to bezpiecznie. Wcale się nie ukrywali, chodzili swobodnie po okolicy – wspomina pani **Janina** Rościszewska. – W zamian za dach nad głową oferowali swoje usługi jako nauczyciele. Przeważnie byli to ludzie bardzo wykształceni. Wszystkiego, co wiem z geografii, nauczyła mnie pani Berggruen. Mój brat **Lech** natomiast, który był w konspiracji, nauczył się niemieckiego, który umiał perfekcyjnie, tak że w trakcie łapanki udawał Niemca, oraz angielskiego, który później okazał się niezbędny w jego pracy architekta.

## Złudny spokój

Spokój skończył się latem czterdziestego drugiego roku. W niedzielę 5 lipca około ósmej rano niespodziewanie do Doliny Będkowskiej wjechała niemiecka żandarmeria. Samochód było widać z daleka. Wszyscy ci, którzy czuli się zagrożeni, uciekli do lasu. Niemcy otoczyli dom. Żandarmi mieli listę zameldowanych. Matka pani Janiny jako gospodyni poinformowała, że na dole mieszka rodzina, a na górze lokatorzy. Niemcy zgromadzili mieszkańców piętra na górnym tarasie, a tych z parteru na dolnym, aby uniemożliwić komunikację między lokatorami. Z domu udało się wymknąć Lechowi Marianowi Rościszewskiemu wraz ze starszym synem Lechem Michałem oraz doktorowi Bierzyńskiemu z dziećmi – Jasiem i Marysią, którzy ukryli się w pobliskim lesie. Kilka osób, które udawały katolików, wyszło do kościoła, w tym m. in. sędzia Eichhorn wraz z Anną – aryjką. W „Szańcu” zaś rozpoczęła się wielogodzinna rewizja, po której Niemcy zabrali pięć osób pochodzenia żydowskiego – jednego z Einhornów, dwie pa-

nie Schreiber, panie Wagner matkę Pawła i doktorową Bierzyńską. Ci co byli na dole, zostali w domu.

Zaafierowani rabowaniem Niemcy nie zwracali uwagi na mieszkańców, zadowolając się oświadczeniem Marceliny Rościszewskiej, że należą oni do rodziny. W ten sposób uratowały się panie Berggruen, Dukatowa z córką Ewą i Pawełek syn Wagnerów, o którym Janina Rościszewska mówiła, że jest jej własnym dzieckiem. Mały Pawełek dorastał z dziećmi Rościszewskich, które traktowały go jak młodszego brata.

– Nie wiadomo, czy była to zaplanowana obława, czy przypadkowa kontrola – Pani Janina przychyliła się do drugiej wersji, albowiem myśli, że gdyby Niemcy mieli jakiegokolwiek informacje o ukrywających się tu Żydach, albo wywieźliby wszystkich, albo rozstrzelali. Jednak od tego dnia nikt z mieszkańców „Szańca” nie mógł czuć się bezpiecznie. Niemcy jeszcze wielokrotnie podczas okupacji najeżdżali Dolinę Będkowską i dom Rościszewskich. Zachowywano jednak czujność – o zbliżającym się niebezpieczeństwie lokatorów „Szańca” zawiadamiali informatorzy wysyłani przez ludzi od sołtysa.

Jednak dr Dorota Szczepanowicz w swojej pracy licencjackiej opracowanej w Uniwersytecie Jagiellońskim i opublikowanej w 2007 roku stwierdza, że pierwsza niemiecka rewizja nie była przypadkowym epizodem, ale przygotowanym wcześniej metodycznie planem wysiedlenia ludności żydowskiej z terenu Landkomisariatu Kressendorf (Krzeszowice) obejmującym kilka gmin na tym obszarze, zamieszkałym także przez kilkanaście tysięcy osób pochodzenia żydowskiego. Podstawą tej akcji był wydany w pierwszych dniach lipca 1942 roku rozkaz sztabu SS. Polizeiführer dystryktu krakowskiego Einsatzstab Scherner nakazywał ludności żydowskiej z terenu Landkomisariatu Kressendorf opuszczenia domów i przeniesienie się do Skawiny. Tam przygotowano miejsce dla napływających Żydów. Większość rodzin żydowskich została wysiedlona już wcześniej do getta krakowskiego, utworzonego w 1941 roku. Potem kolejno wypędzono następnych mieszkańców, a do tych, którzy pozostawali dokwaterowywano innych Żydów wylapanych z tego czyszczonego obszaru na podstawie wcześniej przygotowanych list. Dla zamordowanych przygotowano wykopane przez junaków służby budowlanej Baudiest doły, w których po egzekucji zakopano zwłoki rozstrzelanych. Udokumentowane są dwa takie miejsca: jedno w okolicach Tyńca w Podgórkach Tynieckich, gdzie zakopano około 150 osób i drugie w lesie Na Bagienkach w Skawinie, o nie ustalonej wielkości, tu podobno spędzono około 300 Żydów.

Akcja trwała do końca sierpnia, ocalała jakimś cudem niewielka grupa Żydów. Dawali oni świadectwo tych okrutnych zbrodni oraz osobistych dramatów i tragedii. W większości, są one spisane i udokumentowane przez polskie i żydowskie ośrodki.

Ci, co ukryli się przed Niemcami w lesie w Dolinie Będkowskiej, wrócili na noc do „Szańca” – Niemcy nie jeździli nocą po domach, bo bali się partyzantów. Wszyscy postanowili zostać w domu oprócz doktora Bierzyńskiego z dziećmi. Od tej pory sąsiedzi powiadamiali się o najeździe Niemców, którzy najpierw zatrzymywali się u sołtysa, który ich podejmował, a w tym czasie zawsze ktoś biegł do willi. Żydzi chowali się w lesie w grocie niedaleko willi. Drogą Niemcy jechali nawet 30 minut.



Pewnego dnia Niemcy zjawili się nietypowo wieczorem szukając małego Żydkę Pawła Wagnera. Chłopiec sam schował się tak, że ani domownicy ani Niemcy nie mogli go znaleźć.

Trzeba wspomnieć tutejszego kapłana, ks. Proszka, który wspierał akcję pomocy. Był bardzo inteligentną i otwartą na ludzi osobą. Wygłaszał proste kazania o mądrej treści, które docierały do mieszkańców wsi. Stwarzał atmosferę wzajemnego zaufania i pomocy. Nie milczał też w ważnych kwestiach. Był autorytetem moralnym.

Żydzi przetrwali w domu Rościszewskich do końca wojny. Większość wróciła do swoich zawodów. Paweł Wagner po wojnie został z rodziną Rościszewskich i traktował rodziców Janiny i Lecha Mariana jak własnych. Po wojnie chcieli adoptować chłopca, jednak w końcu zawiadomili o wszystkim Komitet Żydowski w Krakowie, aby ewentualnie odszukać jego ojca. Okazało się, że jest on w Izraelu przedsiębiorcą i kontaktował się potem z Rościszewskimi, proponując im zapłatę za uratowanie syna, oni jednak konsekwentnie odmawiali przyjęcia pieniędzy.

– Zimą 1946 roku po małego Pawła Wagnera, który nadal nosił swoje nazwisko, zgłosili się przedstawiciele organizacji żydowskiej. Mieli upoważnienie Józefa Wagnera, ojca Pawła, który jak się okazało, tuż przed wojną wyemigrował do Izraela – opowiada pani Janina. Dla obu stron rozstanie było bolesnym przeżyciem. Pośrednicy na siłę zabrali Pawła od Rościszewskich i wywieźli nielegalnie do Tel Awiwu. Paweł wspomina tą podróż jako traumę. On nie rozumiał, że był Żydem, że był Holocaust. Ojciec nie nawiązał z nim ciepłej relacji. Nie chciał rozmawiać po polsku i oddał pod opiekę ciotek, których chłopiec się bał. Wymuszono na Pawle naukę hebrajskiego.

Po pewnym czasie rodzina Rościszewskich dostała paczkę z żywnością i krótką informację „Pawła otrzymaliśmy”. Potem słuch o Pawle zaginął. Aż do 1989 roku nie wiedzieli, co się z nim działo. I właśnie Paweł niespodziewanie zadzwonił do rodziny Rościszewskich do Krakowa, ponieważ w dokumentach po zmarłym ojcu znalazł ostatni adres ich zamieszkania. Niebawem przyjechał. Wszyscy płakali podczas powitania, Paweł klęknął przed przyszywaną matką i objął ją za kolana, nikt nie wstydził się też.

Syn Janiny Rościszewskiej-Krawczyk **Grzegorz** nagrał wydarzenie na taśmie wideo. Paweł zabrał nagranie do Izraela. Tam oglądała je Janina podczas wizyty w Izraelu w październiku 1994 roku, gdy tuż po śmierci rodziców pojechała, aby zasadzić drzewko oliwne Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata. Paweł wyjechał do USA na studia i zmierzał tam osiąść. Poznał jednak swoją przyszłą żonę stewardessę, która postawiła warunek, że jeśli Paweł chce żyć z nią, to musi wrócić do Izraela i wrócić.

W okolicy ukrywało się jeszcze kilka żydowskich rodzin. Wszyscy mieszkańcy Będkowic znali prawdę, nikt jednak ich nie zdradził. Kiedyś tylko przyszedł do nich chłop z sąsiedniej wsi, który zagroził, że jeśli nie dadzą mu pieniędzy to wyda, że ukrywają Żydów. Dał rodzinie czas na zdobycie pieniędzy. Brat Janiny, który działał w partyzantce, powiadomił o tym swoich zwierzchników z Armii Krajowej i KEDYW-u, a oni się nim zajęli. Więcej się to nie powtórzyło.

### Sprawiedliwi uhonorowani

Po latach Rościszewscy dowiedzieli się, że Paweł nie dostał ani jednego listu wysłanego przez nich z Polski. Dopiero po śmierci jego ojca, jego druga żona przekazała pasierbowi listy i wszystko co przysłano mu z Polski. Wtedy Paweł skontaktował się ze swoimi opiekunami i przyjechał do nich, aby dawne powspominać czasy. To on wystarał się dla rodziny Rościszewskich o tytuł i medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. W dniu 15 stycznia 1990 roku Yad Vashem nadał **Janinie i Lechowi Marianowi Rościszewskim oraz ich dzieciom, Michałowi i Janinie** owe medale. Lech Marian Rościszewski zdołał jeszcze osobiście odebrać to wyróżnienie. Po śmierci rodziców w 1994 roku Janina (teraz dwójga nazwisk Rościszewska-Krawczyk) pojechała do Izraela, aby w ich i swoim imieniu zasadzić drzewko oliwne w ogrodach Yad Vashem na jednym ze wzgórz Jerozolimy. Przez kilka dni była gościem swojego przyszywanego brata i jego rodziny, z którymi nadal utrzymuje ożywione kontakty..

– Jeśli chodzi o losy innych ukrywających się, to pani Dukatowa vel Schenberg z córką Ewą mieszkała jakiś czas w Krakowie. Gdy córka odnalazła męża, wyemigrowała razem z matką do Stanów. Przez lata do swoich opiekunów w imieniu pani Zofii pisał jej mąż, gdyż ona sama popadła w depresję. – Dopiero wiosną 2000 roku pani Janina zaczęła ponownie otrzymywać od niej listy. Córka pani Dukatowej, Ewa, która podjęła korespondencję, nosiła się z zamiarem przyjazdu do Polski. Czy przyjechała – nie wiem. Panie Berggruen wróciły do swojego mieszkania przy ulicy Karmelickiej. Rodzina Rościszewskich utrzymywała z nimi kontakt do końca ich życia. Nic natomiast nie wiadomo o losach pana Eichhorna i jego przyjaciółki Anny.

Ciekawy jest los doktora Henryka Bierzyńskiego i jego rodziny, z którym – jak podaje Janina Rościszewska – po wojnie stracili kontakt. Udało mi się nawiązać kontakt z córką dra Bierzyńskiego Marysią, która jest w Melbourne. Do Australii wyjechała z ojcem i bratem na zaproszenie przebywającej już tam wcześniej ich rodziny. Z jej relacji mogłem odtworzyć ich los po opuszczeniu Doliny Będkowskiej. Udało mi się też ustalić, że pięć osób zabranych 5 lipca 1942 r. z „Szańca”, w tym żonę dra Bierzyńskiego. Reginę, wywieziono do Tyńca. gdzie z grupą 150 osób pochodzenia żydowskiego rozstrzelano i zakopano w przygotowanym wcześniej dole. Opisuję do wszystko w oddzielnym materiale.

Ten mroczny czas zakończył się w Dolinie Będkowskiej 16 stycznia 1945 roku, kiedy po parogodzinnej bitwie z Niemcami zajęli ją Rosjanie. Przez rok działał w „Szańcu” Uniwersytet Ludowy założony przez Lecha Marina Rościszewskiego. Potem Dom Rościszewskich opustoszał. Rozjechali się ci, którym udało się przetrwać i doczekać końca wojny. Właściciele „Szańca” przenieśli się do Krakowa. „Szaniec” spłonął w roku 1990. Rościszewscy spoczywają na cmentarzu parafialnym w Będkowicach.

**PAWEŁ SĘKOWSKI**

# MARZEC '68

## I JEGO SKUTKI

W Polsce tzw. wydarzenia marcowe 1968 roku bywają częstokroć bądź to deprecjonowane jako epizod walki wewnętrznej na szczytach władzy, bądź też wyolbrzymiane jako kluczowe, nie tylko przełomowe, ale i najważniejsze wydarzenie z punktu widzenia moralnego (rzecz jasna w tym wypadku negatywnego) osądu całego okresu Polski Ludowej. Ustosunkowując się do tego drugiego poglądu należy zauważyć, iż pomniejsza się w ten sposób, zapewne najczęściej całkowicie nieświadomie, wagę negatywnych zjawisk występujących w Polsce w totalitarnym okresie w dziejach Polski Ludowej – w latach stalinizmu (1948–1954). Bez wątplenia z punktu widzenia ewolucji systemu nieporównanie bardziej doniosłym momentem w dziejach Polski Ludowej był Październik'56, którego dziedzictwem było ostateczne odcięcie się od wcześniejszego okresu stalinowskiego (werbalne, ale również na wielu istotnych polach w praktyce) oraz przejście systemu politycznego w Polsce z totalitarnego w autorytarny. Również z punktu widzenia wpływu na szerokie masy społeczeństwa polskiego, z pewnością bardziej doniosły był zarówno wspomniany Październik'56 (o czym dziś zresztą często wygodnie jest zapominać), jak też Sierpień'80 i tzw. Karnawał „Solidarność” trwający aż do wprowadzenia stanu wojennego w grudniu 1981 r.

Bez wątplenia jednak Marzec'68 należy do najważniejszych tzw. polskich miesięcy w okresie PRL. Był Marzec wydarzeniem związanym z walką młodzieży, przede wszystkim młodzieży akademickiej, o demokrację i liberalizację systemu (i to w ten nurt wpisywali się przede wszystkim tzw. komandosi), był wydarzeniem związanym z nagonką antyinteligentką (hasła typu: „studenci do nauki, literaci do pióra”) oraz z nagonką antysemicką, choć oczywiście organizatorzy tej nagonki nigdy wprost nie określali siebie mianem antyinteligentów czy antysemitów. Był wreszcie Marzec, nie da się temu zaprzeczyć, wydarzeniem związanym z walką wewnętrzną „partyzantów” zgrupowanych wokół Mieczysława Moczara z grupą Władysława Gomułki oraz z grupą Edwarda Gierka. Marzec'68 nieodłącznie łączy się również z „egalitarnym populizmem” – jak określił to Piotr Osęka; była to próba znalezienia wspólnej kładki prowadzącej od władzy do szerokich mas robotniczych, poprzez antysemityzm i resentyment antyinteligentki.

Marzec'68 był zatem jednym z kilku głównych kryzysowych epizodów społeczno-politycznych w PRL. Jednak szczególne znaczenie, w tym wypadku rzeczywiście wyjątkowe, miały wydarzenia marcowe i ich

następstwa dla polskiej społeczności żydowskiej, jako że to właśnie wtedy władze, czy też przeważająca ich część, zdecydowały się na wytoczenie propagandowej broni walki z „syjonizmem”. Kampania „antysyjonistyczna”, w istocie po prostu antysemicka, uderzała w całą społeczność żydowską w Polsce, a także w osoby pochodzenia żydowskiego, które niejednokrotnie tego pochodzenia w żaden sposób nie manifestowały, bądź nawet się z nim nie utożsamiały.

Mówiąc o Marcu'68 i jego wpływie na życie żydowskie w Polsce mamy tak naprawdę na myśli okres od wiosny 1967 r. do lata 1968 r., a wliczając także bezpośrednie reperkusje tych wydarzeń w formie tzw. emigracji pomarcowej nawet do 1971 roku.

### **Dlaczego akurat „kampania antysyjonistyczna”?**

Źródłem antysemickiej retoryki i nagonki z apogeum w marcu 1968 r. były wydarzenia z wiosny 1967 r. – wojna sześciodniowa, czyli zbrojny konflikt Izraela z Egiptem, Jordanią i Syrią. W istocie była to wojna prewencyjna zapoczątkowana przez Izrael wobec realnej groźby blokady przez Egipt wejścia floty izraelskiej do Zatoki Akaba, a tym samym na Morze Czerwone i dalej oceany Indyjski i Spokojny, w kontekście remilitaryzacji Synaju przez Egipt w maju 1967 r., a także w kontekście nieprzerwanego ostrzału izraelskich kibuców ze strony syryjskiej. Wojna zakończyła się jednostronnym i całkowitym, bardzo szybkim (stąd wojna sześciodniowa) zwycięstwem Izraela i zajęciem przezeń półwyspu Synaj, Wzgórz Golan, Zachodniego Brzegu Jordanu i arabskiej części Jerozolimy (terenów do dziś podporządkowanych Izraelowi, wbrew stanowisku większości państw członkowskich ONZ – to dlatego większość społeczności międzynarodowej za stolicę Izraela uznaje Tel Awiw, a nie Jerozolimę). W ówczesnych uwarunkowaniach – Egipt od 1956 r. był bliskim sojusznikiem ZSRR w regionie – wojna sześciodniowa i jej następstwa musiały wpłynąć na rozpoczęcie kampanii antyizraelskiej w całym bloku wschodnim. Wojna rozpoczęła się 5 czerwca 1967 r., a 9 czerwca Polska i inne kraje bloku wschodniego (oprócz Rumunii) zerwały stosunki dyplomatyczne z Izraelem. Kampania antyizraelska prowadzona była jednak nie przeciw odległemu Izraelowi, lecz w imię walki z nowoczesnym nacjonalizmem żydowskim, czyli syjonizmem, jako kampania „antysyjonistyczna”. W praktyce była to po prostu kampania antysemicka, prowadzona przez dominującą część władz PRL przeciw jej obywatelom pochodzenia żydowskiego. Co ciekawe, większość

społeczeństwa polskiego zwłaszcza początkowo kibicowała w tej rozgrywce – wbrew polskim władzom – Izraelowi, zapewne zgodnie z powiedzeniem „Nasi Żydzi pobili ich Arabów”, czyli interpretując całe wydarzenie jako klęskę ZSRR na arenie międzynarodowej. Nastroje te jednak zmieniły się z czasem i pewna część społeczeństwa mogła sobie pofolgować w swoim do tej pory uśpionym antysemityzmie.

19 czerwca 1967 r. Władysław Gomułka wygłosił swoje słynne przemówienie na VI Kongresie Związków Zawodowych, wspominając o Żydach polskich, którzy z okazji zwycięstwa Izraela mieli nawet urządzać libacje. Mówił także: „Nie czyniliśmy przeszkód obywatelom polskim narodowości żydowskiej w przeniesieniu się do Izraela, jeżeli tego pragnęli. Stoimy na stanowisku, że każdy obywatel Polski powinien mieć tylko jedną ojczyznę – Polskę Ludową”. Wprawdzie Gomułka powiedział, że „olbrzymia większość obywateli polskich narodowości żydowskiej” służy wiernie Polsce, z drugiej strony zaraz potem dodał: „Ale nie chcemy, aby w naszym kraju powstała V Kolumna”, popierająca imperializm. Dalej: „Niech ci, którzy odczuwają, że słowa te są skierowane pod ich adresem – niezależnie od ich narodowości – wyciągną z nich właściwe dla siebie wnioski”. Te słowa otworzyły nieskrępowaną akcję antysemicką w prasie i innych środkach masowego przekazu. Sądzę, że nie trzeba także wyjaśniać, dlaczego skojarzenie Żydów polskich z V Kolumną było samo w sobie szokujące w okresie, gdy większość mieszkańców Polski pamiętała jeszcze lata drugiej wojny światowej i okupacji niemieckiej. Zwotywno zebrania pracownicze oraz organizacje partyjnych w zakładach pracy, podczas których potępiano agresję Izraela i syjonizm. Wielu dziennikarzy, kierowników życia gospodarczego i urzędników w kraju, a także zwykłych obywateli odebrało ten splot wydarzeń jako przyzwolenie dla manifestowania zawsze przeciw nieodosobnionych w Polsce poglądów antysemickich, które po 1944/1945 r. nie mogły być dotąd tak szeroko i bezpośrednio manifestowane.

W Polsce latem 1967 r. pojawił się swoisty amalgamat tych, którzy „antysyjonistami” stawali się z czystego oportunistu, w nadziei na np. profity osobiste związane z wymianą kadrową w urzędzie, w którym pracowali czy też na uczelni, w wojsku, wywiadzie czy wreszcie w partii, albo z chęci zaszkodzenia komuś, odegrania się na kimś, z tymi, którzy od tej pory mogli manifestować swój jak najbardziej szczerzy i „prostolinijny” antysemityzm. Dla tych ostatnich nowy kontekst zyskiwał wręcz miano poluzowania cenzury. Tym bardziej, że „partyzanci” i ich poplecznicy łączyli kampanię antysyjonistyczną z waloryzacją narodowych wątków w polskiej tradycji, w wykładzie na temat polskiej historii, z podkreśleniem polskiej pomocy dla Żydów w okresie okupacji hitlerowskiej oraz coraz szerszym manifestowaniem uznania dla powstańców warszawskich (odcinając się oczywiście od jego decydentów z kręgów rządu londyńskiego), połączonej z umniejszaniem znaczenia powstania w getcie warszawskim.

### **Żydzi w Polsce w przededniu Marca'68**

Zastanawiając się nad tym, w kogo uderzała kampania antysyjonistyczna, należy zacząć od pytania, kto jest Żydem. W okresie Marca to istotne zagadnienie

natury socjologicznej, a w jednostkowym ujęciu psychologicznej, zostało właściwie rozwiązane arbitralną decyzją organizatorów nagonki. Jak pisał Dariusz Stola: „pytanie, za kogo, w sensie etnicznym, ktoś był uważany, jest nie mniej ważne niż pytanie, za kogo się uważał”. Tak jak niektórzy odnajdowali swoją drogę do poczucia łączności z pochodzeniem żydowskim z powodu wspólnoty doświadczeń w latach okupacji i Zagłady, tak wielu odnalazło to poczucie lub do niego powróciło w reakcji na kampanię antysemicką 1967 i 1968 roku.

Spółeczność żydowska w Polsce w przededniu Marca'68 liczyła niespełna 30 tysięcy, uszczuplona już po tragedii Zagłady, w wyniku której życie straciło około 90 procent populacji Żydów polskich, masową emigracją w pierwszych latach powojennych (około 150 tysięcy osób między 1945 a 1948 rokiem) i emigracją po Październiku'56 (około 50 tysięcy osób do 1959 roku).

W obliczu kolejnego konfliktu na Bliskim Wschodzie i wielkiego zwycięstwa Izraela w wojnie sześciodniowej, polscy Żydzi w zdecydowanej większości rzeczywiście popierali Izrael, a nie blok państw arabskich. Prezentowali oni niezależną od narzuconej odgórnie, zgodnej z geopolitycznymi interesami ZSRR, ocenę sytuacji na Bliskim Wschodzie. Wielu Żydów polskich skłaniały do solidarności z Izraelem motywy emocjonalne, ale niejednokrotnie dodatkowo więzi rodzinne z mieszkańcami Izraela, którzy wcześniej tam wyemigrowali. Wreszcie, nierzadko wyrażano nie tyle solidarność czy poparcie dla Izraela, co sprzeciw wobec ordynarnej antyizraelskiej i antysemickiej kampanii medialnej i nagonki w środkach masowego przekazu i w zakładach pracy.

### **Początek „kampanii antysyjonistycznej” – 1967 rok**

Począwszy od miesięcy letnich 1967 roku mnożyły się przypadki zwolnień z pracy dziennikarzy za ich krytyczne wobec nagonki antysyjonistycznej i proizraelskie głosy, nawet te wyrażane w rozmowach prywatnych. Pierwszą ofiarą takich działań był Natan Tenenbaum, dziennikarz „Folks Sztyme”. Mnożyły się donosy zatraskanych obywateli, które składano nawet za „uśmiechanie się z zadowoleniem” w dniu zakończenia wojny sześciodniowej. Anonimowe listy, ordynarne telefony, kartki w drzwiach stały się doświadczeniem niemałej liczby polskich obywateli pochodzenia żydowskiego. Podczas przesłuchań polskich Żydów prowadzonych przez funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa normą stało się stosowanie języka insynuacji oraz wywodzenie pochodzenia żydowskiego osoby przesłuchiwanej według logiki ustawodawstwa norymberskiego. Zdarzały się nawet odwołania do niesławnych *Protokołów mędrców Syjonu* czy nazistowskich albumów antropologicznych. Zarzucano śpiewanie pieśni w jidysz osobom niezającym tego języka. W niektórych donosach polscy pracownicy fizyczni informowali o treści rozmów dyrekcji zakładu w języku żydowskim, choć sami donosiciele oczywiście jidysz nie znali. Nie wzbudzało to jednak zastrzeżeń funkcjonariuszy MSW, skwapliwie wyczytujących się w tego typu rewelacje.

Rozpoczęły się pierwsze zwolnienia z pracy. Wśród pierwszych zwolnionych z powodu swojego żydowskiego pochodzenia był Leon Kasman, redaktor naczelny „Trybuny Ludu”. W słynnej telewizyjnej szopce norwocznnej na rozpoczynający się 1968 rok przedsta-

wiona została kukła generała Mosze Dajana, ministra obrony Izraela, z charakterystyczną czarną przepaską na lewym oku. W tle rozbrzmiewała zaś piosenka, w której porównywano Dajana do feldmarszałków armii niemieckiej z okresu drugiej wojny światowej Heinza Guderiana, Wilhelma Keitla i Erwina Rommla.

Co stało u źródła tej fali nienawiści i podłości? Wydaje się, iż zasadniczą przyczyną była presja funkcjonariuszy partyjnych niższego i średniego szczebla na awans w strukturach władzy. W przypadku środowiska akademickiego, które zasadniczo wykazało się solidarnością z dyskryminowanymi naukowcami pochodzenia żydowskiego, również można mówić o „rewolcie sfrustrowanych adiunktów” – by użyć określenia prof. Michała Kaleckiego. Z tymi pragmatycznymi motywacjami współgrało dosyć powszechne przekonanie w szerokich kręgach społeczeństwa polskiego, iż „Polską rządzą Żydzi”.

Żydzi polscy z okresu rozkręcającej się nagonki antysemitki zapamiętali, iż rzadko publicznie się z nimi solidaryzowano. Z drugiej strony, należy jednak pamiętać, iż możliwości ekspresji sprzeciwu społecznego w tej sprawie w przestrzeni publicznej były mocno ograniczone.

### „Właściwy” Marzec’68

Właściwe wydarzenia marcowe rozpoczęły się wraz ze studenckim protestem 8 marca 1968 r. na znak sprzeciwu wobec relegowania z Uniwersytetu Warszawskiego dwóch studentów żydowskiego pochodzenia, Adama Michnika i Henryka Szlajfera. Kara spotkała ich za poinformowanie francuskiego korespondenta Bernarda Margueritte o manifestacji przeciwko zdjęciu ze sceny Teatru Narodowego *Dziadów* Adama Mickiewicza w reżyserii Kazimierza Dejmka. Na zebraniu aktywu KW PZPR w Warszawie 11 marca postanowiono wszcząć kampanię przeciwko organizatorom protestów, które tymczasem rozlały się na cały kraj i miały charakter studencki, inteligencki i narodowy. W tej oszczerczej kampanii z lubością korzystano z budzących skojarzenie z pochodzeniem żydowskim nazwisk części organizatorów protestu: Blumsztajn, Blajer, Szlajfer, Dajczgewand.

Rozpoczęła się nowa fala zebrań pracowniczych i podstawowych organizacji partyjnych w zakładach pracy. O żydowskie korzenie oskarżano [sic!] nawet osoby niejednokrotnie już nieświadome tego pochodzenia. Oskarżano także liczne znaczniejsze osoby w środowiskach lokalnych, wszędzie tam, gdzie możliwe było zajęcie intratnego stanowiska. Szczególnie agresywna była kampania antysemitki w Łodzi, gdzie zamieszkiwała około 4-tysięczna społeczność żydowska. Pośród miejscowego aktywu PZPR ktoś „do użytku wewnętrznego” rozkolportował *Protokoły mędrców Syjonu*. Do Klubu Dziennikarza w Łodzi zakazano wstępu dziennikarzom pochodzenia żydowskiego, a od lekarzy Kliniki Chorób Ocznych WAM zażądano przedstawienia metryk chrztu.

W tym czasie w ośrodkach akademickich trwała już akcja protestacyjna studentów. W postulatach liderów protestów studenckich nie było jednak bezpośredniej krytyki antysemityzmu władz. Można domniemywać, iż domyślano się, że hasła w obronie bezpodstawnie atakowanych żydowskich współobywateli nie spotkają się z szerokim poparciem społecznym.

19 marca na wiecu PZPR w Sali Kongresowej w Pałacu Kultury i Nauki Władysław Gomułka w swoim przemówieniu podkreślił pochodzenie żydowskie Michnika i Szlajfera, których wymienił z nazwiska oraz podkreślił konieczność walki z syjonizmem zaznaczając, że antysemityzm nie jest tożsamy z antysemityzmem.

Rozszerzyła się kampania zwalniania z pracy osób pochodzenia żydowskiego, która w tym okresie objęła kadre akademicką. Z Uniwersytetu Warszawskiego usunięto Zygmunta Baumana, Marię Hirszowicz, Bronisława Baczeko. Zlikwidowano sześć kierunków studiów na UW oraz Wydział Filozoficzno-Socjologiczny, który przemianowano na Wydział Nauk Społecznych. Z tej samej uczelni relegowano dalszych kilkudziesięciu studentów (34, a 11 zawieszono), wprowadzono przerwę w zajęciach do 22 maja oraz akcję wcielania buntowników do wojska.

Z PZPR usunięto około 8 tysięcy członków pochodzenia żydowskiego; zwolnienia dotknęły także kadry SB, MO, a także urzędy centralne i terenowe, administrację państwową, wojsko, media, oświatę i służbę zdrowia.

### Emigracja pomarcowa

Najważniejszym i najgłębszym następstwem wydarzeń z lat 1967–1968 dla społeczności żydowskiej w Polsce była emigracja ponad połowy pozostałych w Polsce Żydów. Jeszcze przed końcem 1967 r., w ciągu pierwszego półrocza kampanii antysemitki, wyemigrowało z kraju około 500 polskich Żydów. Złośliwości i antysemitki komentarze wzbudzały u przedstawicieli starszego pokolenia Żydów skojarzenia z okresem okupacji hitlerowskiej i u licznych z nich ożywiały najgorsze wspomnienia. U wielu Żydów utrwaliło się przekonanie, że najpełniejsza asymilacja, a nawet ukrywanie żydowskiego pochodzenia w Polsce nigdy nie zapewnią pełnej ochrony przed antysemityzmem. Te czynniki wpływały na coraz liczniejsze decyzje o emigracji. Wyjeżdżających z reguły zegnali tylko bardzo nieliczni znajomi nie będący pochodzenia żydowskiego, co wzmagało poczucie osamotnienia Żydów jako części społeczeństwa polskiego. Ten ostatni aspekt nie jest zresztą taki oczywisty, jakby mógł się wydawać zainteresowanym: Polacy bez żydowskiego pochodzenia obawiali się sprowadzenia na siebie zainteresowania SB, podczas gdy można powiedzieć, że polscy Żydzi w ówczesnym kontekście nie mieli już nic do stracenia. Ludzie zachęcali jeden drugiego do wyjazdu z Polski. Działała swoista grupowa presja psychiczna. Na tle ówczesnych dylematów rozpadały się małżeństwa, kończyły się przyjaźnie.

Wyjazdy polskich Żydów w 1968 roku odbywały się na podstawie dokumentów podróży poświadczających, iż ich posiadacz nie jest obywatelem polskim. Otrzymał dokumentu podróży wymagało uprzedniego podania do Rady Państwa zawierającego oświadczenie o zrzeczeniu się obywatelstwa polskiego. Formalnie celem wyjazdu emigrantów marcowych mógł być tylko Izrael – podania składano w ambasadzie holenderskiej, reprezentującej po zerwaniu stosunków dyplomatycznych polsko-izraelskich interesy Izraela w Polsce.

W latach 1968–1971 wyjechało z Polski od niespełna 13 000 (wg ustaleń Dariusza Stoli) do ponad 13 300 osób (wg ustaleń Alberta Stankowskiego) pochodzenia

żydowskiego. Pośród wyjeżdżających widoczna była duża nadreprezentacja osób z wyższym wykształceniem (1 823) i studentów (944) – wśród emigrantów było procentowo 8-krotnie więcej osób z wykształceniem wyższym niż w przekroju ówczesnego społeczeństwa polskiego. Polscy Żydzi opuszczali kraj pociągami odjeżdżającymi w kierunku Wiednia z Dworca Gdańskiego w Warszawie. Wyjechali m.in. Aleksander Ford, Henryk Grynberg, Jan Kott, Włodzimierz Brus, Bronisław Baczek, Krzysztof Pomian, Paweł Korzec, prawie 500 pracowników akademickich, 200 dziennikarzy (w tym 15 naczelnych i wicenaczelnych), ponad 60 pracowników radia i telewizji, 100 muzyków, aktorów i plastyków, 23 aktorów i reżyserów Teatru Żydowskiego i 26 filmowców, ale także 520 byłych pracowników centralnej administracji państwowej, w tym 176 byłych pracowników MSW i MBP i 28 MSZ. Spośród 998 emigrujących rencistów, 204 otrzymywało w przeszłości renty specjalne za szczególne zasługi dla Polski Ludowej. Apogeum wyjazdów pomarcowych nastąpiło w 1969 r. – w tym roku wyjechały „do Izraela” 7 674 osoby.

W praktyce do Izraela, przynajmniej w latach 1968–1969, wyjechało zaledwie 28 proc. emigrantów pomarcowych. Pozostali wyjechali do Danii lub do Szwecji, które wiosną 1969 r. zaoferowały azyl, do Stanów Zjednoczonych, wreszcie do innych krajów. Spośród 820 polskich Żydów z województwa szczecińskiego, którzy wyjechali między 1967 a 1971 r., znane są dane na temat kraju docelowego imigracji 616 osób: 44 proc. osiedliło się w jednym z państw skandynawskich (30 proc. w Szwecji, 14 proc. w Danii), 37 proc. wyjechało do Izraela, 12 proc. do Stanów Zjednoczonych, zaś 7 proc. do innych państw. Akurat w Szczecinie pozostało po wydarzeniach marcowych około 1 500 Żydów, czyli więcej niż z kraju wyjechało.

Należy jednoznacznie stwierdzić, iż mimo całej grozy antysemickiej nagonki w Polsce i faktu, iż do wyjazdów niejednokrotnie „skłaniano”, nawet przymuszano, nigdy jednakże nikogo bezpośrednio z Polski nie wydano administracyjnie na mocy jakiegokolwiek decyzji władz polskich.

Ponadto, warto zauważyć, że liczba około 13 000 emigrantów pomarcowych to wartość minimalna. Należy do tej liczby dodać bliżej nieokreśloną ilość polskich Żydów, którzy opuścili kraj bez wspomnianego dokumentu podróży, np. na kontrakt zagraniczny, po czym zdecydowali się nie wrócić już do Polski. Oczywiście te osoby nie figurują w żadnych statystykach jako polscy Żydzi.

Wnioski z badania motywów wyjazdów przeprowadzonego w drugiej połowie lat osiemdziesiątych przez Juliana Hlickiego pośród emigracji pomarcowej osiadłej w Szwecji były zbieżne z wnioskami ze 130 relacji nadesłanych do redakcji paryskiej „Kultury” w 1969 r., czyli „na gorąco”. Pośród przyczyn emigracji polskich Żydów po Marcu '68 znajdowały się:

- ataki osobiście przeciw sobie lub komuś w rodzinie,
- zwolnienie z pracy lub wydalenie ze studiów w rodzinie,
- obawa o przyszłość zawodową,
- komunikat o ostatnim terminie składania podań na wyjazd,
- obawa przed fizycznym niebezpieczeństwem,
- przekonanie, że „wszyscy inni jadą”.

Warto wspomnieć, iż z drugiej strony władze nie udzieliły zgody na wyjazd pewnej liczbie osób bądź to ze względu na wcześniej pełnione przez nie funkcje, bądź z powodu pełnienia przez nie służby wojskowej z dostępem do tajemnic, a ponadto nie wypuszczono z kraju pewnej liczby małżeństw mieszanych. Według informacji Sekretariatu KC PZPR z lutego 1970 r. osób, które nie uzyskały zgody na wyjazd „do Izraela” było 443 (w tym 251 członków rodzin).

### **Skutki Marca '68 i emigracji pomarcowej dla życia organizacyjnego Żydów**

Do 1968 roku głównymi instytucjami życia żydowskiego w Polsce były:

- Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów (TSKŻ) w Polsce, liczące w 1966 r. około 7 800 członków, skupionych w 26 oddziałach i 15 kołach terenowych; jednak tylko 1,5 tysiąca członków TSKŻ było poniżej 40 roku życia (w przekroju społeczności żydowskiej 25 proc. Żydów było poniżej 18 roku życia);

- istniejący od 1962 r. Klub Młodzieżowy „Babel” przy oddziale warszawskim TSKŻ, liczący 262 członków w 1968 roku;

- Teatr Żydowski w Warszawie;
- tytuły prasowe „Folks Sztyme” i „Jidysze Szriftn” oraz wydawnictwo „Jidis Buch”;

- 5 szkół żydowskich z nauką jidysz;
- instytucje opiekuńcze i 16 spółdzielni pracy – korzystające z pomocy zagranicznych organizacji żydowskich: Jointu i ORT;

- systematycznie topniejący Związek Religijny Wyznania Mojżeszowego (od 1966 r. nie dysponujący już rabinem), kilku rzeźników w skali kraju i kilka działających synagog.

Emigracja pomarcowa i ponaddwukrotny spadek liczby Żydów w Polsce w krótkim czasie były wstrząsem dla zorganizowanego życia żydowskiego. Kryzys przetrwały, choć w jego wyniku zostały bardzo osłabione, następujące instytucje żydowskie: Państwowy Teatr Żydowski (choć już bez dyrektorki Ildy Kamińskiej, która wyjechała najpierw do Izraela, a następnie do Ameryki), TSKŻ (choć już pod zmienionym kierownictwem: Leopolda Teppera zastąpił dotychczasowy sekretarz generalny Edward Rajber), pismo „Folks Sztyme” (choć Hersza Smolara zastąpił na stanowisku redaktora Samuel Tenenblatt), a także Żydowski Instytut Historyczny – wszystkie te instytucje były nadzorowane przez MSW.

TSKŻ zostało pozbawione możliwości otrzymywania pomocy zagranicznej i zmuszone do zrzeczenia się znacznej części majątku trwałego na rzecz państwa. Oddziały regionalne Towarzystwa były przenoszone do mniejszych lokalności. Innym czynnikiem, który mocno zachwiał działalnością organizacji, była emigracja wielu jej członków, a także licznych członków jej władz – do września 1969 r. wyjechało z kraju około 70 członków zarządów i pracowników instytucji żydowskich. Autorytet TSKŻ w społeczności żydowskiej po Marcu znacznie osłabł, także z powodu uległej wobec ówczesnych polskich władz postawy części członków władz organizacji oraz linii redakcyjnej „Folks Sztyme” (nie popierano co prawda kampanii „antysyjonistycznej” w kraju, ale z reguły potępiano „imperialistyczną” politykę Izraela na Bliskim Wschodzie). W szczecińskim TSKŻ

w samym tylko 1968 roku liczba członków TSKŻ spadła o 30 proc. w porównaniu do roku poprzedzającego, zaś liczba prenumeratorów „Folks Sztyme” i uczestników imprez żydowskich spadła o średnio 40 proc.

Liczba członków Związku Religijnego Wyznania Mojżeszowego spadła z około 5 000 w 1968 roku do niespełna 2 000 na początku lat siedemdziesiątych. Po 1968 roku nastąpiła również kilkunastoletnia przerwa w zjazdach kongregacji.

Zlikwidowane zostały ostatnie szkoły żydowskie. Ograniczono działalność żydowskich spółdzielni pracy (względnie utrzymano ich fasady, ale już bez żydowskich pracowników). Rozwiązane zostały żydowski chór i zespół teatralny oraz Uniwersytet Ludowy. Przeszła się ukazywać magazyn literacki „Jidysze Szriftn”, wydawany od 1949 roku. Praktycznie uniemożliwiono wydawanie literatury w jidysz, gdyż nałożony został nowy wymóg przedstawiania cenzurze do akceptacji publikacji w jidysz w tłumaczeniu na język polski.

Już w końcu 1967 roku zaprzestano działalności w Polsce przedstawicielstwo amerykańskiej organizacji żydowskiej Joint, od której pochodziła większość środków finansowych na funkcjonowanie rozmaitych przejawów życia żydowskiego w Polsce po drugiej wojnie światowej. Joint powrócił do Polski w końcu 1981 roku.

### Skutki Marca'68 na płaszczyźnie samoidentyfikacji emigrantów

Wspomniane już badania Juliana Ilickiego pośród emigrantów polskich w Szwecji przeprowadzone w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, wykazują, iż pośród emigrantów pomarcowych znacznie osłabła samoidentyfikacja z polskością na rzecz tożsamości żydowskiej. Przed kampanią „antysyjonistyczną” 59 proc. badanych uważało się za Polaków, a dokładnie 27 proc. za Polaków i 32 proc. za Polaków pochodzenia żydowskiego. Po wydarzeniach marcowych i emigracji ten odsetek spadł do 30 proc.: 8 proc. uważających się za Polaków i 22 proc. za Polaków pochodzenia żydowskiego. Depolonizacja dużej części emigrantów pomarcowych była narzuconym przez władze polskie końcem lat sześćdziesiątych skutkiem nagonki antysemitycznej.

### Skutki Marca'68 dla Żydów polskich, którzy zostali w kraju

Stefan Kisielewski pisał w 1968 roku: „Nie wszyscy Żydzi wyjeżdżają – są tacy, którzy pozostanie w Polsce traktują jak misję. Znam takiego, który zostaje, choć wyjeżdża żona i czterech synów. Ciężko mu będzie, ale ciekawy to symbol. Tylko kto z naszych obecnych prostaków zrozumie wymowę takiego heroicznego akcesu do polskości ze strony ludzi obrażanych dziś i poniżanych na każdym kroku”.

Mimo wszystko skutkiem wydarzeń marcowych było zejście znacznej części pozostałych w Polsce Żydów do „podziemia”. Wzrosła skala zjawiska ukrywania pochodzenia żydowskiego, w tym także przed najbliższymi. Coraz więcej Żydów funkcjonowało jako tzw. marrani (nazwa pochodzi od średniowiecznych żydowskich konwertytów na Półwyspie Iberyjskim, których podejrzewano o potajemną kontynuację praktykowania judaizmu). Według szacunków polskich władz w 1980 r. w Polsce było 10–12 tysięcy Żydów, z czego tylko 2–3 tysiące przyznawało się do pochodzenia żydowskiego, a poniżej

1,5 tysiąca utrzymywało jakiegokolwiek praktyki religijne. W tomie wspomnień pomarcowych emigrantów Życie przecięte pod redakcją Joanny Wiszniewicz – Tolek z Łodzi (imię zmienione) wspomina znanego mu osobiście, wciąż żyjącego w momencie przeprowadzania wywiadu, już po transformacji ustrojowej, mieszkańca Łodzi, „który pod wpływem marcowego strachu zmienił sobie nazwisko z żydowskiego na polskie”. Inna emigrantka, Halina Brown opowiadała Wiszniewicz o swojej matce, która pozostała w Warszawie – zachęcała ona córkę do wyjazdu (byle nie do Izraela), ale po uświadomieniu sobie, że pozostała sama i że córka opuściła ją na zawsze, popadła w depresję. W licznych wspomnieniach emigrantów pomarcowych pojawia się motyw rodziców zachęcających dzieci do wyjazdu lub do pozostania za granicą, podczas gdy sami ci rodzice pozostawali w Polsce.

Według szacunków Jointu, po wydarzeniach marcowych i fali emigracji pozostało maksymalnie 8 tysięcy Żydów, z których przeważająca większość urodziła się już w Polsce Ludowej. W Krakowie pozostało nie więcej niż kilkuset Żydów, a liderzy życia żydowskiego utrzymywali potajemny, ryzykowny kontakt z Jointem poprzez Macieja Jakubowicza, prezesa krakowskiej kongregacji żydowskiej. Był on więziony przez kilka miesięcy między 1967 a 1968 r., po powrocie z Genewy, za to, że nawiązał tam kontakt z europejską centralą Jointu.

Z Krakowa wyjechało kilkuset Żydów, którzy stanowili poważny odsetek żydowskiej społeczności miasta (według Edyty Gawron), jednak nie była to emigracja liczna w porównaniu do innych dużych przedmarcowych ośrodków żydowskich w Polsce. Wynikało to z faktu „aksamitnego” przebiegu wydarzeń marcowych w Krakowie na tle innych ośrodków w Polsce.

\*

W rozmowie z Joanną Wiszniewicz, pani Iza Winter-Cieślak powiedziała: „Czy żałuję, że po marcu nie wyjechałam? Ja w ogóle nie mam w zwyczaju żałowania czegokolwiek, co zrobiłam. Za bardzo pochtania mnie dzień codzienny, praca”.

Odrodzenie życia żydowskiego w Polsce nastąpiło po transformacji ustrojowej, ale to zagadnienie to już odrębna historia.

## PAWEŁ SĘKOWSKI

### Wybór literatury:

Berendt Grzegorz (red.), *Spółeczność żydowska w PRL przed kampanią antysemityczną lat 1967–1968 i po niej*, Warszawa 2009; Eisler Jerzy, *Polski rok 1968*, Warszawa 2006; Krasucki Eryk, *Żydowski Marzec'68 w Szczecinie*, Szczecin 2008; Osęka Piotr, *Marzec'68*, Kraków 2008; Sommer Schneider Anna, *Sze'erit hapleta. Ocaleni z Zagłady. Działalność American Jewish Joint Distribution Committee w Polsce w latach 1945–1989*, Kraków 2014; Stola Dariusz, *Emigracja pomarcowa*, Seria: „Prace Migracyjne”, nr 34, ISS UW, marzec 2000; Stola Dariusz, *Kampania antysyjonistyczna w Polsce 1967–1968*, Warszawa 2000; Tych Feliks, Adamczyk-Garbowska Monika (red.), *Następstwa zagłady Żydów: Polska 1944–2010*, Lublin 2011; Wiszniewicz Joanna, *Życie przecięte*. Opowieści pokolenia Marca, Wołowiec 2008.

KRZYSZTOF MROZIEWICZ

# SORBONA I GOMORA

Data 8 marca 1968 r. jest dla Polski tak samo ważna jak 13 maja 1968 r. dla Francji. Nikt tych dat ani tu ani tam już dzisiaj nie pamięta i nie świętuje. Nigdy wcześniej ani później aż do roku 2004 Polska nie była tak blisko Europy jak wtedy.

Socjalizmowi z ludzką twarzą położyły kres armie Układu Warszawskiego. W Polsce bunt studentów rozpędziła pałkami awangarda klasy robotniczej, czyli przebrane w drelichy i berety Ochotnicze Rezerwy Milicji Obywatelskiej. Jej bojownicy tłukli studentów i studentki pałami owiniętymi w „Trybunę Ludu”.

Studenci polscy wiedzieli, że ich koledzy w Finlandii mogą kupić za trzy stypendia używanego volkswagena. W Polsce za oszczędności ze stu lat nie można było zdobyć nawet zdezelowanej syrenki. Dlaczego u nas nie mogło być tak samo?

Milicja rozpędziła bunt, lecz został on wyzyskany przez partyjną frakcję natolińczyków (kiedyś stalinowców, a w Marcu'68 moczarówców) do rozprawy z puławianami (kiedyś reformatorami w duchu Października'56).

W Marcu'68 rewolta studencka objęła całą Europę Zachodnią bez Wielkiej Brytanii. Nigdzie indziej wążek antysemitki nie pojawił się w takim stopniu jak w Polsce, choć arcybiskup Paryża Jean-Marie Lustiger, Żyd z rodziny śląskiej alarmował, że we Francji też daje on

o sobie znać, zwłaszcza na bezczeszczonych kirkutach<sup>1</sup>.

Podobnie jak w Polsce napięcia na uczelniach wykorzystane zostały w Europie do bitew partyjnych z tym, że w Polsce konserwatyści (stalinowscy) brali górę nad pseudoreformatorem gomułkowskim, a w Europie odwrotnie – liberałowie zabierali się do odbierania władzy konserwatom. De Gaulle został przegnany, a partie socjalistyczne i socjaldemokratyczne wszędzie (z wyjątkiem Włoch) usuwały chadeków, korzystając z lewicowej fali kontestacji (dziś chamstwo narodowo-katolickie nazywa ich bez różnicy lewakami). Oni chcieli więcej socjalizmu, a my mniej, zwłaszcza z sowieckim rodowodem.

Tuż przed wybuchem protestów na Sorbonie „Le Monde” opublikował komentarz *Francja jest nuda*. Chodziło o to, że kraj został przeregulowany, a społeczeństwo nie stawało się otwarte. Termin „otwarty” w połączeniu z mgławicowym desygnatem uważano za Wartość. Już od roku 1966 gotowało się na wszystkich teatralnych scenach offowych. Jedyne w Polsce teatru studencki przypominał w tym czasie profesjonalny, kojarzony z pluszowym.

<sup>1</sup> Romek Frister mówił mi przed śmiercią, że antysemityzm francuski niczym się nie różni od polskiego, tyle tylko, że we Francji nie eksponuje się go medialnie, podczas gdy u nas zdarzają się do dziś żydożercze demonstracje i publikacje.

Ekonomicznie Francja kwitła. Wzrost GDP sięgał 5 proc. (tylże inflacja), frank stał się twardą walutą, a bywało z nim różnie, gdyż Francja bankrutowała po wojnie kilka razy. Poziom życia rósł. Zagroził kryzys niemiecki. Czynniki demograficzne zaczęły odgrywać rolę. Wyż powojenny czynił warstwę 20-30-latków potężną siłą. Duża część studiowała, a po dyplomie nie mogła znaleźć pracy. W Polsce – odwrotnie – praca była przymusem. Jeśli dziś zaczyna się znowu bunt studentki, pierwszym hasłem-postulatem bezrobotnych prawników i humanistów będzie żądanie: „Pracy!”

Rewolta studencka na zachodzie Europy zaczęła się od pretekstu. Europę zwiedzał szach Iranu. Był i w Polsce, gdzie cenzura, aby nie dopuścić do urażenia Pahlawiego, zakazała mediom używania terminu szach (co objęło także kąciki szachowe). W Polsce żona imperatora, Farah Diba, była atrakcją jako modelka. Nikt u nas nie wiedział o represjach tajnej policji politycznej Savak w Iranie. Szach miał niebotyczną górę pieniędzy. W Polsce głodnej technologii (autobusy Mercedesa „Irranational” produkowano w Teheranie) i zafascynowanej od zawsze Orientem z tysiąca i jednej nocy wystarczyło to, aby go fetować.

W Niemczech jeden z buntowników, Benno Ohnesorg, został zamordowany w czerwcu '67 w proteście przeciwko wizycie szacha w Berlinie Zachodnim, jeśli dzisiaj czytelnik wie, co to za miasto. Trwała wojna w Wietnamie. Sytuacji w Strasburgu postulowali rewolucję wszędzie, każdego dnia. Był to ruch społeczno-kulturowy. Głosił hasło w Polsce zupełnie niezrozumiałe: „Pal sklepy, pal”. W połowie lat 60. pod Paryżem zaczęły się protesty przeciwko niezgodzie władz na kwatowanie studentów i studentek razem, w jednym akademiku. Z krajów nordyckich nadchodziła rewolucja obyczajowa. W USA rozpowszechniał się zwyczaj mieszkania w komunach. Sorbona i Gomora. W demokracjach władze nie mogły dać młodemu więcej nad przymknięcie oka na wolną miłość, która kwitła już na Zachodzie.

Było to jednak wszystko, czym studia w Polsce upodobały się do studiów w Szwecji. Nieformalnie studencki, a właściwie inteligentki niedefiniowalny, kontrkulturowy teatr awangardowy grał w USA, gdzie innego teatru nie było i nie ma. Bardzo był czynny w Niemczech i Francji. Także we Włoszech, Argentynie i Meksyku (przykładem „El Campesino” tropiony po całym świecie przez Konstantego Puzyńkę).

Gdy od marca zaczęły się we Francji wrzenia prowadzące do wybuchu w maju, w Polsce poszło w drugą stronę: od wybuchu marcowego do pacyfikacji przez policję. Wyrzucanie z uczelni za marzec trwało aż do najazdu Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Ale też i kierunki polityczne buntów na Wschodzie i Zachodzie układały się sprzecznie. Oni chcieli systemu naszego i chińskiej rewolucji kulturalnej, o której nie wiedzieli nic. U nas chciano wolnej prasy, a nie komentarzy „Prawa i Życia” oraz „Walki Młodych”, że niby-bunt studentki to robota „żydowskich bachorów”. Studenci Sorbony nazywali prawicową organizację *fachos* – faszystami. Polscy studenci skandowali na powitanie ORMO Ge!-sta!-pol! Jedni i drudzy wiedzieli dobrze, gdzie jest prawica. PRL była państwem nomenklatury komunistycznej, ale uważała się za państwo lewicowe. Dlatego termin „lewica” nie przecho-

dził polskim buntownikom przez gardło. Na Zachodzie przeciwnie. Kiedy przed sądem zapytano Cohn Bendita o nazwisko, krzyknął Kuroń-Modzelewski. Chodziło mu o podkreślenie globalizmu wolności.

De Gaulle, mąż stanu o talentach proroka nie przewidział amerykańskich i francuskich buntów studenckich. Słyszał o Polsce, w której był z oficjalną wizytą kilka miesięcy wcześniej i też niczego nie przeczuwał. Dla niego bunt w Polsce to były demonstracje „u nas, w Ameryce i wszędzie w świecie”. Otóż wszędzie – nie. Tylko u nas i w Czechosłowacji. Hańba, że Polacy tłumili Czechów. Mój wuj z Kasprowego Wierchu, profesor Michał Orlicz, brat Władysława, mówił do żony: – Wisia, to jest grubo poniżej poziomu Zaolzia.

Syn de Gaulle'a wspomina: „Wszędzie w świecie było coraz więcej intelektualistów i filozofów, którzy uważali, że mogą zmienić świat”<sup>2</sup>. Kpił nie wiedząc, że trafnie opisuje w ten sposób przywódców naszego Marca. Herbert Marcuse poszedł dalej i buntowników nazwał klasą studencką, która w kształtowaniu przemian społecznych zastąpiła klasę robotniczą (dziś tych, którzy zmieniają świat, nazywa się klasą polityczną, a kiedy indziej hołotą).

Rektor i dziekani Sorbony wezwali policję na pomoc. Nasi rektorzy tego nie zrobili. Robotnicy z wolskich zakładów pracy (nie z FSO!) pomieszani z milicjantami, uzbrojeni w pały, przywiezieni zostali autokarami na dziedziniec Uniwersytetu Warszawskiego. We Francji stosowano gaz. U nas – jak mówiła ulica – kauczukowe, elastyczne przedłużenie konstytucji. W kraju prawdziwej demokracji, na Uniwersytecie Berkeley, było jeszcze gorzej – użyto broni palnej.

Dziwne, że premier Pompidou oskarżał buntowników słowami, które w Polsce były standardem, ale we Francji?: „Wiem, że finansowani są oni z zagranicy”<sup>3</sup>. Czyli z Moskwy? Pekinu? Tel Awiwu? CIA? Słowa Pompidou potwierdzają słuszność komentarza „Le Monde” o społeczeństwie na owe czasy nie otwartym.

W Polsce propaganda moczarsowska, której patronował agent NKWD uchodzący za patriotę, a nawet narodowca, ruszyła do ataku pod sztandarami walki z syjonizmem. We Francji być może tylko w podtekście o finansowaniu z zagranicy można było domyśleć się sugestii, że Francja będzie dostrzegać problemy Palestyńczyków niezależnie od nacisków diaspory żydowskiej. Moczarowcy nie wiedzieli, co pisał z Palestyny Ksawery Pruszyński w latach 30., że gdyby potencjalna siła i moc sprawcza syjonizmu zostały w porę docenione w Europie, nie byłoby rewolucji październikowej, czyli przewrotu bolszewickiego, a zatem komunizmu na świecie. Ustąpienia de Gaulle'a pragnęła Wielka Brytania, bo jej przeszkadzał w wejściu do EWG, przewidując, być może, Brexit. Ale panu Pompidou chodziło o służby NRD szkolone do wywoływania rewolucji w Trzecim Świecie i we Francji. Wywiad francuski to wiedział. Pompidou z jakichś przyczyn, może operacyjnych, wołał o tym nie mówić.

Generał de Gaulle zabrał głos w sprawie Teatru Otwartego: „We Francji wszyscy ci, co informują, co piszą, parają się teatrem i kinem, wszyscy ci znawcy intelektualizują, krytykują i kontestują. Co gorsza,

2 Philippe de Gaulle, *De Gaulle mój Ojciec. Rozmowy z Michielem Tauriakim*, Poznań 2004, t.2, s. 354.

3 Ibid. s. 345.



ci sami, odkrywając niesprawiedliwość i nierówność w świecie, wychodzą ze swojej roli, jaką jest grać w tragedii lub w komedii, uważając się, przynajmniej we Francji, za obarczonych misją polityczną i humanitarną. A dla przypodobania się źle poinformowanej widowni używają demagogii<sup>4</sup>.

Ciekawe co mówi o kontestacji młodszy od prezydenta Francji nasz rówieśnik Bill Clinton: „W 1968 roku wygłaszałem w klubach dyskusyjnych przemówienia wspierające walkę o prawa obywatelskie<sup>5</sup>. USA miały wtedy 540 tysięcy żołnierzy w Wietnamie. Prawa obywatelskie, czyli kwestia pojednania dwu plemion Białego i Czarnego wywołała w roku 1967 bunt młodych w stu sześćdziesięciu miastach USA. Mówimy że studentom amerykańskim, francuskim i polskim chodziło o to samo. Tak. Pogonić de Gaulle'ów, Johnsonów i Gomułków. A dziś Kaczyńskich. Pod hasłami: zmieniamy świat, zmienialiśmy administrację świata. Pana Boga, czyli najwyższej racji stanu nikt nie ośmielił się tknąć. Bunt amerykańskie nie były wymierzone w demokrację, francuskie w pozycję mocarstwową, która przyjmuje, że co angielskojęzyczne jest gównem warte. I polskie, że w pojedynkę rezultatów II wojny światowej nie zmienimy. Te trzy racje trzech stanów były nie do pogodzenia.

Ruch antywojenny i obywatelski o prawa Afroamerykanów (Murzynów) w USA nie inspirował nikogo w Europie, może trochę w Niemczech, gdzie były i są wielkie bazy amerykańskie. *Dziennik TV* w Polsce, zaczynający się od wiadomości z Wietnamu, budził znużenie. Francuzi – by powiedzieć to z przekąsem – byli inspiracją dla Amerykanów: wycofali się z Indochin i północnej Afryki. De Gaulle miał w Algierii 135 żołnierzy i oficerów na jednego partyzanta i przegrał. A po buncie studentów czuł się jak gdyby miał 135 polityków na jednego studenta. I dał za wygraną. Odszedł, właściwie uciekł. Niedługo potem umarł, a „Le Monde” znowu zaślągnął tytułem: *Francja została wdową*.

Kogo obalili studenci?:

– Kontestatora, który w randze porucznika, wezwany przez bohatera narodowego spod Verdun marszałka Petaina, odmówił napisania pod jego nazwiskiem podręcznika nowoczesnej taktyki wojennej. Napisał ją pod własnym. Niemcy natychmiast zwrócili na jego książkę uwagę, przetłumaczyli ją i wykorzystali w latach 30. Jednostki pancerne szybkiego reagowania budowały i ćwiczyły w Związku Radzieckim. Uderzyli na Polskę, stosując podręcznik de Gaulle'a.

– Jeńca wojennego z 1916 roku, który w niemieckiej celi siedział razem z kapitanem Michaiłem Tuchaczewskim. Dialog przytoczony przez przyjaciela de Gaulle'a, naczelnego „Le Monde” Jeana Lacouture: Kim będziesz? – pytali siebie nawzajem. Generałem w wieku 25 lat – powiedział Tuchaczewski. Prezydentem Francji – powiedział de Gaulle.

– Kawalera *Virtuti Militari*, który siadywał u Bliklego z księżną Czetwertyńską w Warszawie w roku 1920.

Pisze Clinton: „Rok 1968 był jednym z najburzliwszych i najbardziej poruszających w historii Stanów Zjednoczonych<sup>6</sup>. W roku tym rozpoczęto rozmowy pokojowe w Paryżu na temat Wietnamu. Clinton wybierał

się wtedy do Oksfordu na studia. Pierwszą pracę u profesora Zbigniewa Pełczyńskiego napisał o roli terroru w państwie totalitarnym. Dla niego rok 1968 to koszmar ze względu na zabójstwa Luthera Kinga i Roberta Kennedy'ego. To także odkrycie wierszy Dylana Thomasa, które mówią o buncie młodej duszy. To wszystko. O buntach studenckich we Francji i Niemczech, a także o Wiośnie Praskiej ani słowa, choć wszędzie tam był.

Anglii kontrkulturowej w pamiętnikach nie ma, bo Anglicy zaczęli inaczej i osobno, dużo wcześniej. Marsze Wielkanocne organizowano od roku 1958. Polegały na pielgrzymce kontestatorów z Londynu do ośrodka badań jądrowych w Aldermaston. „Pacyfa” zaprojektowana wtedy przez Geralda Holtoma<sup>7</sup> przetrwała do dziś. Pamiętniki pisane z pozycji eks-prezydenta USA dowodzą, że kontestacja i kontrkultura z punktu widzenia polityki supermocarstwa były epizodem bez znaczenia. Piętnastoletnia Angielka (Diski) czekała na plaży na koniec świata z powodu kryzysu kubańskiego. Ale to było w roku 1962. Ja tego kryzysu nie pamiętam. Radio o nim nie mówiło, gazety nie pisały, telewizji prawie nie było. Angielska kontrkultura (Teddy Boys, Mods, Leather Boys czyli Rockersi) chodziła innymi, swoimi drogami. Dla nich ważna była wtedy poezja Ginsberga i kino włoskie i francuskie. Także Polański. Dla Clintona, studenta Oksfordu, był to świat niezrozumiały.

W Ameryce jeszcze w roku 1967 strajkowało ponad 400 uniwersytetów. Co tam jakaś Sorbona? W pamiętnikach Hillary Clinton, która pierwsze studia ukończyła w roku 1969 też ani słowa. Trudno w takim razie oczekiwać, że znajdziemy o buntach cokolwiek w pamiętnikach Anatolija Dobrynina, ambasadora Związku Radzieckiego (a właściwie Andrieja Gromyki) w Waszyngtonie, gdzie spędził na urzędzie lata 1962-1986. Z punktu widzenia interesów ZSRR zamieszki w krajach Zachodu były korzystne, zwłaszcza że organizowano je pod wyraźnymi hasłami lewicy. Ale osłabianie de Gaulle'a, który był *pain In the neck* (ból w karku) dla Amerykanów i Anglików, należało oceniać jako działanie niekorzystne. Natomiast awantury w Polsce, która zawsze była dla Moskwy *pain in the ass* (ból w dupie), należało zdusić rękami frakcji prokremlowskiej (natolińczyków-moczarowców) i tyle.

Dla dr. Kissingera współczesność zaczyna się w roku 1973, kiedy objął posadę doradcy prezydenta Nixona. Natomiast rok 1968 dla samego Nixona to jedynie rok kampanii wyborczej.

Ronald Reagan był wtedy gubernatorem Kalifornii, która szczyliła się poziomem swoich uniwersytetów. Zapytano go, co zamierza zrobić z buntami w dziesięciu kampusach, gdzie płoną auta. Powiedział, że studenci nie mają nic do roboty na uczelni, jeśli nie przestrzegają jej regulaminów<sup>8</sup>. Dla Reagana najważniejszymi problemami były najwyższe podatki w USA i najwyższa przestępczość. Studenci przyszli do niego na rozmowę. Byli w T-shirtach i na bosaka. Usiedli na podłodze. Jeden powiedział, że pokolenie gubernatora, czyli ojców nie jest w stanie pojąć młodych, dzieci. – Żyjecie w naszym świecie rakiet i komputerów, których nie było za waszych czasów. – To prawda – odrzekł Reagan. – Nie mieliśmy komputerów. Myśmy je wymyśli.

4 Ibid. s. 357.

5 Bill Clinton, *Moje życie*, Warszawa 2004 s. 35.

6 Ibid s. 116.

7 Jenny Diski, *Lata sześćdziesiąte. Twarze kontrkultury* Łódź 2013, s. 29.

8 Ronald Reagan, *An American Life*, London-Sydney 1990, s. 152.

Myśmy w Polsce na studiach też nie mieli komputerów. Różnica doświadczeń między Berkeley i UJ czy UW sięgała pół wieku. U nas wtedy nie używano nawet tej nazwy. Mieliśmy maszyny cyfrowo-obliczeniowe budowane na lampach, kolosy wielkości pokoju mieszkalnego.

Dalszy ciąg wspomnień Reagana dowodzi prawdziwości diagnozy, jaką postawił student. Gubernator rzeczywiście nic nie rozumiał ponad to, że w ciągu 11 miesięcy 1968 r. skonfiskowano w Berkeley kilkaset sztuk broni palnej i koktajli Mołotowa. O zabitych przez Gwardię Narodową w pamiętnikach eks-prezydenta ani słowa.

W roku 1968 zaczynał swoją kampanię na drodze do fotelu kanclerza były burmistrz Berlina Zachodniego, antyfaszysta Willy Brandt, Norweg z natury i alkoholik z nałogów i przywyczażeń, wykończony potem przez Stasi i szpiega Gillaumea. Socjaldemokrata, który wiedział, w odróżnieniu od nas, że socjaldemokracja to nie socjalizm plus demokracja, ale kapitalizm plus lęk przed rewolucją. Podobnie jak Reagan nie wiedział, o co chodzi studentom manifestującym pod sztandarami Azji Południowo-Wschodniej i Ameryki Łacińskiej. Wietnam i eksploatacja Trzeciego Świata nie były problemami Brandta. Studenci nie widzieli w nim nowego lidera. Rudi Dutschke pragnął rewolucyjnych Niemiec. Większość studentów chciała tego co i my w Polsce: głębokich reform polityki, gospodarki i społeczeństwa. Różnice widać było tylko w odniesieniu do przyrody i ekologii. Niemcy mieli już potężną formację Zielonych. My nie chroniliśmy zieleni, bo nie było przed czym. Nie mieliśmy przemysłu na skalę niemiecką. Dymy nad miastami oznaczały w Polsce postęp. Cenzura wycinała wszelkie krytyczne uwagi o zanieczyszczeniu środowiska przez Nową Hutę czy cuchnącą na całe Jeleniogórskie Celwiskożę nad spienionym chemicznie Bobrem.

Narkotyków wtedy jeszcze w Polsce nie było. Beatles już je zachwalali piosenką *Lucy In the Sky with Diamonds* (LSD), a masowe wyprawy po tanie konopie i gandzię w Kathmandu sprawiły, że afgańskie towarzystwo lotnicze Ariana zakupiło latający cmentarz DC 10, żeby wozić nim poszukiwaczy rzeczywistości z Londynu przez Pragę, Kabul, Delhi do stolicy Nepalu. Oberwańcy w dzinsach i siksy w minispódniczkach, wysiadając dla rozprostowania nóg w Afganistanie sprawili, że światła część Pustunów postanowiła zacząć żyć tak jak przybysze i obaliła króla Zahira Szacha, od czego zaczęła się do dziś trwająca wojna w tym nieszczęsnym kraju. A przecież jechali tam z hasłem „Make love not war”. Czytali w samolocie i w hostelach Wedy, Bhagawadgitę, Hessego, Huxleya, Castanedę, co odważniejsi Schopenhauera. Natomiast Ravi Shankar, wirtuoz sitaru, pojechał w drugą stronę, do Chicago i tam osiadł na stałe. Fascynacja Orientem była dodatkiem do kontrkultury. Odżywa co generację. W Polsce modna już była w latach trzydziestych za sprawą Wandy Dynowskiej, która próbowała dokonać cudu w postaci ekumeny chrześcijańsko-buddyjskiej.

„Make love” rozciągnięto na zdegenerowaną mutację kontrkultury, czyli terroryzm Czerwonych Brygad w Niemczech, we Włoszech i Japonii. Terrorystka Gudrun Ensslin, wnuczka Hegla, była aktorką filmów pornograficznych.

Jak się czyta wspomnienia wszystkich starych dziadków – dziś? Tak jak *Rozmowę w „Katedrze”* Vargasa Llosy, który mając barykadę przeżył w Paryżu, ale kontestację przeniósł do Limy, do dzielnicy Siete Cuchillos, Siedmiu Noży. Wtedy była to książka do nabożeństwa naszego pokolenia. Pokolenia, czyli rówieśników, których doświadczyło ważne wydarzenie dziejowe. Dziś jest to zleżała ramota, która weszła do literatury ze względu na pomysł polegający na ułożeniu stron jak po przetarasowaniu dwu talii kart, z których każda jest własną zamkniętą narracją.

Tak też jest i z naszymi narracjami w czasach Kaczyńskiego. Jedna to opowieść o postkontestacyjnych drogach burmistrzów (Daniel Cohn-Bendit), ministrów spraw zagranicznych (Joschka Fischer), laureatów Nagrody Nobla w dziedzinie literatury (Bob Dylan), klasyków kina, którzy uciekli z Pragi, a potem stworzyli *Hair*, *Amadeus*, *Hustler* (Milos Forman), publicystów, którzy siedzieli w więzieniach po to, żeby dziś byle pętał wisiał im u gardła (Adam Michnik), profesorów historii średniowiecznej Lombardii (Karol Modzelewski), teściów prezydentów łamiących konstytucję (Julian Kornhauser) i dyrektorów teatrów, którzy osiągnęli i zajęli pozycję Leona Schillera (Krzysztof Jasiński).

O nich to pisze Jenny Disky: „...folgowaliśmy sobie (...), ale chcieliśmy też ostrzec świat, że gdy dorostniemy na tyle, by przejąć władzę, wszystko będzie radykalnie inne. R a d y k a l n e i e”<sup>9</sup>.

Druga droga to szlak dzisiejszych kombatantów kontrkultury, którzy wszystko muszą zaczynać od nowa, a czasu już nie ma. Nie widzimy ciągłości czyli tego, co w połowie lat 70. opisała była „Literatura na świecie”, która zajęła się obumierającą kontestacją w prozie i poezji francuskiej. Ale nie ma co sięgać do czasów zamierzcztych. Okazuje się, że kontestacja i kontrkultura przeniosły się do obszarów nazywanych niegdyś Trzecim Światem. Tego świata już nie ma, bo nie ma świata drugiego, czyli socjalistycznego (KDL i Kuba to nie socjalizm, prędzej Szwecja i kraje nordyckie).

Tymczasem kontestację dnia dzisiejszego opisał Paul Mason<sup>10</sup> w dziele o nowych światowych rewolucjach, czyli o tym, co się dzieje teraz w Egipcie i na całym Bliskim Wschodzie, Grecji, Hiszpanii, a nawet w Rosji. Dla Masona kontestacja zaczęła się albo teraz, albo w czasach Wiosny Ludów 1848 r. Końca lat 60. i początku 70. w jego książce nie ma. W Polsce podobnie. Jeśli ktoś już mówi o twórczości wynikającej z myślenia kontrkulturowego, to zaczyna od teraz. Teatrów STU, Kalambura, 77 i Ósmego Dnia po prostu nie było. Kogo dziś bowiem obchodzi Gomułka czy Gierek, Brandt czy Schmidt, Andreotti czy Fortinelli, Reagan czy Clinton?

### KRZYSZTOF MROZIEWICZ

<sup>9</sup> Op.cit. s. 31.

<sup>10</sup> Paul Mason, *Skąd ten bunt?*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej Warszawa 2013.

ADAM KOMOROWSKI

# TA NASZA MŁODOŚĆ...

Gdyby nie było nas tak wielu, świat zapewne wyglądałby inaczej. Powojenny boom demograficzny w połączeniu z postępem medycyny, spadkiem śmiertelności niemowląt sprawił, że nagle zaczęło brakować dla nas, *baby boomers*, przestrzeni. Z trudem mieściliśmy się w klasach szkolnych, licealnych i salach uniwersyteckich. Tak było w USA, Wielkiej Brytanii, Francji, Japonii, Meksyku, Jugosławii, Włoszech, Czechosłowacji i w Polsce. Kraje bogate i biedniejsze, pogrążone w realnym socjalizmie i kapitalizmie okazały się słabo przygotowane na wymrowienie się mas dorastających młodych ludzi, powojennego wyżu demograficznego.

W tym zagęszczeniu nieustannie ocieraliśmy się o siebie, byliśmy dla siebie widoczni. Dorastający w czasach pokoju, wolni od wojennych traum naszych rodziców traktowaliśmy świat jako w zasadzie przyjazny, mimo zimnej wojny jakoś uładzony, domagający się raczej korekt aniżeli rewolucji. Taką podstawową korektą miało być uwzględnienie naszej obecności, wysłuchanie i uznanie, że być może młodość nie jest najwyższą wartością, ale jej rolę nie jest jedynie dopisanie się i asymilacja do zastanego świata. Jako studenci byliśmy tego świata beneficjentami, mieliśmy stypendia i poczucie bezpieczeństwa. Nikt nie opisał tego długu lepiej niż urodzony w 1948 r. Tony Judt w *Pensjonacie pamięci*. Otrzymywaliśmy też niezgorsze wykształcenie w Warszawie, Krakowie, Zagrzebiu, Paryżu, Padwie, Berkeley czy Meksyku. Właściwie poza tym, że studiowaliśmy upchnięci, nie było wiele powodów do utyskiwania. W Padwie, Rzymie, Paryżu i mieście Meksyk zagęszczenie w salach wykładowych było większe aniżeli w Krakowie czy Warszawie.

Świat początków lat 60. zeszłego wieku to okres małej stabilizacji po obu stronach muru Berlińskiego. Wbrew pozorom rewolucja kubańska nie wzbudziła entuzjazmu wśród wchodzącego w życie pokolenia swoim ideowym antyimperialistycznym, antykapitalistycznym potencjałem. W pierwszych latach nie był on jednoznaczny. Ta rewolucja fascynowała przede wszystkim młodością, młodym wiekiem swoich protagonistów. Che Guevara stał się ikoną młodości, która wkroczyła na are-

nę dziejów. To się musiało nam podobać. To się wszystkim zaczęło podobać, czego najlepszym dowodem było wybranie J.F. Kennedy'ego na prezydenta USA. Che i JFK otwierają drogę, zdejmują z młodości stygmat braku doświadczenia, podporządkowania się nakazowi powstrzymywania się młodych od przejmowania odpowiedzialności za historię, która zdawała się zalegać w rękach ludzi o zmęczonych twarzach De Gaulle'a, Gomułki, Tity, Nowotnego, Chruszczowa czy Diaz Ordaza. Dzięki Che i JFK mogło się wydawać, że świat otworzył się na młodość. Takim otwarciem się na młodość mogła wydawać się także rewolucja kulturalna w Chinach.

Młodość, a właściwie prawo do młodości przestąpiło ideologię. To jest powodem, dla którego obnoszący się z maską gerontokracji ZSSR nie będzie przywoływany, staje się dla młodych nieatrakcyjny. Kuba tak, Chiny tak, ZSSR nie. Ten źródłowy substrat młodości objawiającej swoją sprawczość zawiesił ideologię, prowadził do mętliku w głowach, chaosu i uznania Mao za jej promotora. Machający *Czerwoną książeczką*, skandujący myślą Mao traktowani są jako młodzi wyzwoleni, a nie zniewoleni. Wkraczamy w epokę świata-obrazu, telewizji, w której młodość zyskuje uprzywilejowane miejsce, obrazy młodości zaczynają przestaniac starsze, świat zdaje się być o wiele młodszy niż jest w rzeczywistości. W tym medialnym obrazie wszystko co nie jest młodością zaczyna być coraz bardziej marginalizowane.

Chuck Berry w autobiografii zwrócił uwagę na pozornie drobną sprawę. Powiązał rozwój swojej kariery muzycznej z rozpowszechnieniem radia tranzystorowego. Jeszcze w latach 50., w amerykańskim domu był jeden odbiornik radiowy. Programu słuchała cała wielopokoleniowa rodzina i do takiej rodziny był on skierowany. Pod koniec tych lat upowszechniają się tanie odbiorniki tranzystorowe, młodzi ludzie mogą i chcą słuchać innej muzyki niż ich rodzice. W kulturze masowej następuje pierwsze pęknięcie, jej przekaz – w początkowym okresie dotyczy to muzyki – zostaje ukierunkowany pokoleniowo. Młodość ma swoich bardów jak Joan Baez, Peter Seeger, Bob Dylan czy Chuck Berry. Starsi nadal słuchają Franka Siniatry i Nat King

Cole'a. To kulturowe rozwarstwienie pokoleń zaczyna przenikać do kultury elitarnej. Bitnicy, zwłaszcza Allen Ginsberg, kierują swoje poetyckie przesłanie do młodego pokolenia i ono się w nie wsluchuje. Rolling Stones i The Beatles są tego rozwarstwienia dopełnieniem i zapowiedzią przyszłości, kiedy młodość stanie się logo.

Christopher Hitchens w swoich wspomnieniach *Hitch 22* opisuje, jak w latach 60. zajmował się propagowaniem w Oksfordzie *Listu otwartego do partii* Kuronia i Modzelewskiego. To, że był on wówczas dla niego świadectwem żywotności trockistowskich idei, jest kwestią drugorzędną. Istotne jest, że był dowodem, iż po obu stronach żelaznej kurtyny młodzi ludzie myślą podobnie. Kiedy w 1966 pojawił się w Krakowie (wyrzucony z Pragi) Allen Ginsberg, ci którzy się z nim zetknęli, traktowali go podobnie. *Skowyt* był o nas. Roman Pytel, u którego Allen nocował, przywiózł co prawda ze stypendium w Jerozolimie *Khadish*, ale ten poemat o matce poety, to była dla nas obca sprawa. *Skowyt* i *Amerykę* mogliśmy odnieść do nas, choć wierni „starej kulturze alkoholowej” nie „błądziliśmy po nocach za narkotykami”.

Piszę o tym, aby podkreślić, że przepływy, pomimo izolacji PRL, istniały i działały w obie strony. Nie ma na to lepszego dowodu aniżeli *Nóż w wodzie* Romana Polańskiego. Do Czechosłowacji jeździliśmy nie przestrzegając granicy zakreślonej przez przepustki dla ruchu turystycznego, podobnie jak nasi koledzy z Czechosłowacji. To były czasy, kiedy Laco Volko mógł w Bratysławie być prenumeratorem paryskiej „Kultury”.

Miejsca inkubacji świadomości pokoleniowej były różne. W Krakowie były nimi kluby studenckie, Teatr STU założony przez Krzysztofa Jasińskiego w roku 1966, organizująca się redakcja „Studenta”, jazz klub i mieszkanie Romana Pytła, a właściwie pokój przy ulicy św. Marka 6. W Krakowie nikomu nie przychodziło do głowy, że takim miejscem może być, jak w Warszawie, ZMS.

Nie ulega wątpliwości, że w latach bezpośrednio przed rokiem 1968 potrzeba nieustannego przebywania razem w grupie jednorodnej pokoleniowo staje się kompulsywna, obejmuje swoim zasięgiem wszystkie ośrodki uniwersyteckie w Polsce. Kluby studenckie z trudem mogą pomieścić chętnych nie tylko na spotkaniach ze znanymi ludźmi, ale także na wieczorach poetyckich bliżej nieznanym w świecie kultury poetów naszego pokolenia.

Czytając wspomnienia (wzorcowe są dla mnie Hitchensa i Emila Sadera), rozmawiając rówieśnikami w Meksyku, Nowym Jorku, Zagrzebiu, Rzymie czy Bratysławie zauważyłem, że ta atmosfera nieustannego docierania się, potrzeba nieustannego przebywania w grupach pokoleniowo jednorodnych zawsze powraca. Tak jakby nasza młodość była wyraźnie podzielona na dwie części; samotne siedzenie nad książkami i starymi czasopismami w uniwersyteckich bibliotekach, i dyskusowanie i balangowanie w grupie pokoleniowej. Przestrzeń domu, kościoła czy synagogi, a nawet rodziny znika. Jest tylko nieustanna oscylacja między bibliotekami i pokoleniową wspólnotą.

Przyczyny, dla których my, *baby boomers*, byliśmy pokoleniem tak mocno zsekularyzowanym, w znikomym stopniu doświadczającym i poddanym kontroli kościołów, nie są do końca wyjaśnione. W PRL, Czechosłowacji czy Meksyku na pewno nie było to jedynie wynikiem

skuteczności forsowanej przez władze laicyzacji i ateizacji. Zachód nie doświadczył nic takiego, a indyferentyzm wobec instytucjonalnych religii szerzył się tam bardziej aniżeli np. w PRL. Proces ten był raczej konsekwencją postawy naszych rodziców, u których doświadczenie wojenne zachwiało zaufanie do Kościołów. Wzrastaliśmy, niezależnie od wyznania, w atmosferze postępującej interioryzacji i prywatyzacji religii. Tego co Thomas Luckmann nazwie „niewidzialną religią”.

Ci, którzy mieli szczęście dorastać w wielopokoleniowych rodzinach, mogli obserwować różnice. To dziadkowie i babcie zabierali nas do kościołów czy synagog, stali na straży kalendarza liturgicznego. Pomimo rozluźnienia się więzi międzypokoleniowych formatywna rola naszych rodziców była znacząca. Paradoxs II wojny polega na tym, że była niewyobrażalnym koszmarem, ale dla naszych rodziców, tych którzy przeżyli, jej koniec był obietnicą nowego początku. Wysoka rata urodzin to jedno, ale ważniejsza jest powszechna wola prokreacji.

Po wojnie następuje odwrócenie trendu spadku urodzin, który zaznaczył się od 1929 roku wielkiej depresji. Już w 1944 następuje, ku zaskoczeniu demografów, odwrócenie trendu. Jest tak, jakby koniec wojny miał definitywnie zakończyć nie tylko jej koszmar, ale także udrękę niepewności czasów wielkiego kryzysu. Nie dość, że zanika widmo bezrobocia, to rynek pracy zagarnia kobiety. Byliśmy pierwszym pokoleniem mającym pracujące matki, w tak wielkim stopniu kształtującym swoje osobowości w grupach rówieśników – od przedszkola do uniwersytetu. Te hordy powojennej dzieciarni w latach 60. wkraczają w dorosłość. To będzie już inna publiczność, o odmiennej wrażliwości. Publiczność oglądająca się przede wszystkim na siebie.

Wyłaniają się alternatywne przestrzenie obiegu kulturowego. W Krakowie takim pionierskim miejscem na pewno była Piwnica pod Baranami, choć Ewa Demarczyk występowała początkowo w kabarecie studentów medycyny „Cyruulik”. Kultura oficjalna staje się coraz mniej atrakcyjna, jest kulturą dojrzałej, starszej mniejszości. Nas jest więcej. Paul Valery nazywał to „warunkiem statystycznym”. Poetów naszego pokolenia raczej słuchamy niż czytamy. Oralność pozwala omijać cenzurę. Wobec wygłaszanych monologów Wiesława Dymnego jest ona bezbronna, podobnie jak wobec recytujących swoje wiersze w Jaszczurach Wita Jaworskiego, Juliana Kornhausera, Jerzego Kronholda czy Adama Zagajewskiego. To czas w PRL, gdy każde uniwersyteckie miasto ma swoich poetów, budowane poza drukiem i mediami hierarchie. Rodzi się pewien pokoleniowy solipsyzm. Wiersz czytany ma oddziaływać natychmiast, tu ezopowy aluzyjny język nie sprawdza się. Trzeba mówić wprost. Najlepiej o sobie i własnym uwikłaniu w świat:

*Ja piniacz nowej epoki –  
przebudzenia ludzi  
z gniewu.  
Marny opisujący  
dobroci,  
kalectwa.  
Ja  
nadzieja prokuratora  
na dostatnie życie.*

(Leszek Aleksander Moczulski, *W obronie*)

*Nie kocham mojej ojczyzny. Jej  
abstrakcyjny blask  
nic mi nie mówi.  
Natomiast (choć brzmi to głupio)  
oddalbym życie za dziesięć jej zakątków, za  
niektórych ludzi,*

...

(Jose Emilio Pacheco, *Wielka zdrada*,  
przeł. Krystyna Rodowska)

Ten pokoleniowy solipsyzm, który Francois Ricard w *La generation lyrique* nazwał „demograficznym narcyzmem”, narastał i został nagle przerwany. Konwulsje 1968 roku, nasz Marzec, paryski Maj, blisko 300 zabitych na placu Trzech Kultur w Meksyku, starcia z policją są oznaką wejścia realnego.

11 marca 1968 r. przechodziłem ulicą Pijarską w Krakowie; stały tam wozy opancerzone, budy z milicją, pierwszy raz zobaczyłem armatki wodne. Był ranek, potwornie zimno, szedłem do Biblioteki Jagiellońskiej i nagle uświadomiłem sobie, że utrzymanie „radosnych pozorów trwania pochodu” (Jarosław Markiewicz) to nie jest kwintesencja władzy ludowej. Że władza od lat na coś się przygotowywała. Czy na to, żeby pokazać swoją siłę pokoleniu, które jako pierwsze pokolenie Polski Ludowej miało być jej siłą i dumą? W porannej marcowej mgłę ten widmowy konwój wyłaniał się jak demoniczny przekaz z wypartej przeszłości. To już nie były „policje – tajne, widne i dwu-płciowe”, z którymi byliśmy oswojeni i z których żartowaliśmy, ale potężne instrumentarium przemocy. W marcu 1968 przebudziłyśmy się w starym świecie.

Prawdopodobnie dla nas w PRL, pokolenia, dla którego *Poznański Czerwiec* był dalekim wspomnieniem, refleksem narracji dorosłych, to spotkanie z instrumentarium przemocy było większym szokiem, aniżeli dla naszych rówieśników z drugiej strony żelaznej kurtyny. Tam to instrumentarium nie było skrywane. Dla nas gaz łzawiący i sikawki na wozach opancerzonych, okulary ochronne milicji to była technologiczna nowość.

Że mieli to na Zachodzie, było oczywiste, ale u nas? Przecież z geopolitycznym fatalizmem byliśmy pogodzeni. Dotyczy to także tych, którzy na spotkaniach studenckich domagali się „prawdy o Katyniu”. Przynajmniej w moim otoczeniu nie spotykałem rówieśników, którzy uważali się za zagrażających ładu. Ten ład był do poprawki, ale wiedzieliśmy, że nie do zmiany. Być może na Zachodzie było nieco inaczej. W 1970 r. rozmawiałem sporo ze studentami w Padwie, ich radykalizm był dla mnie zaskoczeniem, podobnie jak dla marcowej emigracji przebywającej wówczas w Rzymie. Ale nie jestem przekonany, że był taki sam jeszcze w 1968. *Butiamo al mare le basi americane* – popularna masowo śpiewana pieśń Rudiego Assuntino bynajmniej nie zapowiadała rewolucyjnej zmiany ustroju, jedynie zepchnięcie do morza amerykańskich baz we Włoszech. Radykalizacja była skutkiem wyczerpywania się masowości ruchu.

We Włoszech ciągle gdzieś strajkowano, wywieszka *Chiuso per il sciopero* spotykało się często. W Rzymie przesiadywałem w Bibliotece Akademii Hiszpańskiej w Villa Albani, ponieważ była to jedna z nielicznych czynnych dużych bibliotek. *Sit in* naprzeciw Ambasady USA w Rzymie ograniczał się do skandowania *Ho!*

*Ho! Ho-shi-min!*, śpiewania *Bandera Rosa*, *Międzynarodówki* i pieśni Assuntino. „Marcowcy” czekali na wizy do Danii, Szwecji czy USA i patrzyliśmy na swoich rówieśników z sympatią, ale zaskoczeni ich bez troską, nieco urażeni brakiem powagi, tego naddatku patosu, który jest skazą i losem polskich buntów.

Jerzy Eisler w *Polskim roku 1968*, korzystając z diagnozy Zygmunta Baumana słusznie podkreśla odmienną protestów studenckich w Polsce, Czechosłowacji i na Zachodzie. Warto przytoczyć dłuższy cytat: „Po pierwsze, studenci we Francji, RFN, Wielkiej Brytanii i – szczególnie – w Stanach Zjednoczonych mogli być pewni, że ich protest będzie szeroko odnotowany przez tamtejsze środki masowego przekazu, a nawet obdarzony życzliwością. Polscy studenci żyjąc w kraju, gdzie jedynym niemal właścicielem i dysponentem środków masowego przekazu było państwo, nie tylko nie mogli na to liczyć, ale, co więcej, sami musieli się przeciwstawiać dezinformacji, kłamstwu i oszczercom na łamach prasy, w radiu i telewizji. (...) Wypaczano sens protestu młodych ludzi, którzy powołując się na Konstytucję – domagali się przestrzegania wolności słowa i wolności zgromadzeń. Ich żądania zostały jednak skarykaturowane, ośmieszone i nazwane działaniami tajemniczych wicherzycieli, inspiratorów i bankrótów politycznych. Przywódcy studenci na Zachodzie z dnia na dzień stawali się bohaterami tłumów, nierazko swoją popularnością dystansując gwiazdy estrady i sportu. W Polsce trafiali do więzień w atmosferze nagonki i zaszczucia”.

Ale ten sam Eisler pisze: „Pamiętać przy tym trzeba..., że niezależnie od wszystkich innych czynników – w dużym stopniu mieliśmy wówczas do czynienia z buntem o charakterze generacyjnym”. Właśnie przed przyjęciem tego prostego faktu władza ludowa, a tow. Wiesław szczególnie, uparcie nie chciała przyjąć do wiadomości. Nie godziła się z myślą, że pokolenie ukształtowane w PRL, „pierwsze pokolenie Polski Ludowej” przeciw czemuś się buntuje. Nie zdawała sobie sprawy, że bunt ten nie był porażką „socjalistycznej edukacji”, ale jej największym sukcesem. Ta edukacja nie uformowała oportunistów, my nie musieliśmy studiować biznesu, administracji i zarządzania, przechodzić tresury drylu korporacyjnego, by myśleć o przyszłości. Dano nam czas na studiowanie Platona, Arystotelesa, św. Tomasza, Hegla i Marksa, arcydzieł literatury światowej. Po takim treningu byliśmy przygotowani do samodzielnej lektury wszystkiego.

Ta odmienną reakcją na bunt studencki zamazuje to co było wspólne – manifestację podmiotowości młodych ludzi i domaganie się jej uznania. Zgadzam się z Eislerem, że – w porównaniu z Zachodem – postulaty studentów w Polsce były bardziej ogólnospołeczne (ostatecznie detonatorem Marca był zakaz wystawiania *Dziadów*) niż środowiskowe (reforma uniwersytecka), jak było szczególnie we Francji. Ale zbytnie upieranie się przy różnicy prowadziło do ryzykownych wniosków. A przecież amerykańscy studenci nie protestowali przeciwko wojnie w Wietnamie jedynie z tego powodu, by uniknąć powołania. Dynamika buntu na Zachodzie prowadziła do minimalizowania postulatów środowiskowych i podkreślania ogólnospołecznych.

Zadziwiająco szybkie zabsorbowanie zarówno protagonistów buntu jak i jego mistyki młodości na Zachodzie

dzie, w porównaniu z przedłużającym się jego represjonowaniem w Polsce, nie da się wytłumaczyć jedynie niedemokratycznym reżymem. Nie bez znaczenia było, że władza w Polsce nigdy nie wyzwoliła się z powstańczych paradygmatów. Skłonna była każdy masowy sprzeciw i bunt traktować jako preludeum do powstania, tak jakby celem każdego masowego protestu była zawsze irredenta, obalenie władzy. Dla władzy w Polsce, nie tylko w PRL, ale także w II RP, myśl o spontanicznym buncie czy proteście była niedopuszczalna. Zawsze musiała za nimi być jakaś konspiracja, spisek, a ich ostatecznym celem obalenie władzy, powstanie. Kiedy czyta się oficjalnie cytowane przez Eislera materiały operacyjne SB, ten monopol paradygmatu ośmiornicy spisku i konspiracji przypomina zbiorową paranoję. Na Zachodzie tego typu podejście zdarzało się, ale nie było znaczące, nie kształtowało oficjalnej polityki. Tylko po części było to skutkiem faktu, że tam była demokracja, a u nas „realny socjalizm”. Nie bez znaczenia był fakt, że sprawujący władzę w Polsce, w sytuacji zetknięcia się manifestacjami protestu czy buntu, do dziś nie mogą uwolnić się od paradygmatu powstańczego spisku i konspiracji.

Marzec 1968 był klęską PRL, nie buntu, ponieważ władza i partia sięgając w historycznym odruchu samoobrony po teorie spiskowe i antysemityzm, ideowo zdelegalizowała samą siebie. Okazało się, że programowo internacjonalistyczna partia może zmobilizować własny aparat i kadry jedynie odwołując się do nacjonalizmu. To protestujący studenci śpiewali na Rynku w Krakowie *Międzynarodówkę*.

Osobliwością naszego Marca było właśnie owo zderzenie się nie tyle z przemocą państwa (to było i na Zachodzie), co z natychmiastową kontrnarracją nacjonalistyczną. Studenci domagali się przywrócenia relegowanych, a władza twierdziła, że domagają się przywrócenia do władzy Romana Zambrowskiego i oddania jej w ręce „syjonistów”.

Pierwszą reakcją było powszechne wykrzykiwanie „prasa kłamie”, pisanie przez kalkę ulotek, w których od kłamstw i kalumnii „przekaziorów” chciano się odciąć. Nieustannie przypominano minimalizm żądań: odwołanie zakazu wystawiania *Dziadów*, przywrócenie praw studenckich relegowanym studentom, autonomii uczelni. Postulatem najbardziej radykalnym bywało jedynie postulowanie ograniczenia cenzury. W Krakowie skazanymi zostali w zasadzie tylko ci, którzy je pisali: ze znanych mi Marek Gasiun, Leopold Neuger i Krzysztof Krcha.

Paradoksem jest, że ta nachalna przemoc propagandowa do dziś nie pozwala wielu przyjąć tego, co jasno i prosto wyłożył Józef Dajczgewand w ostatnich słowach przed sądem: „Szukaliśmy prawdy społecznej. Byliśmy wyrzucani, represjonowani bez dyskusji, bez motywacji. Po 8 marca powstał ruch młodzieży studenckiej, który prasa kompromituje i zohydza. Jest to spontaniczny bunt młodzieży przeciwko złu. Wyroki niczego nie załatwiają, ani splugawienie intencji, ani dorabianie metryk politycznych” (cyt. za Eislerem).

Dorabianie metryk politycznych spontanicznym buntom nie jest niczym nowym w historii. Poszukiwanie inspiratorów do roli kozłów ofiarnych to elementarz politycznej socjotechniki. Zdarza się też stylizacja politycznych manifestacji na spontaniczny bunt, co ostatnio często widzimy. Ale stylizacja politycznych manifestacji

na spontaniczny bunt nie ma charakteru globalnego i ponadustrojowego.

Podobnie zmasowana próba obrzydzenia ruchu studenckiego nastąpiła w Meksyku. Nie było tam „syjonistów”, ale było KGB i CIA, które wykorzystały studentów, by zdyskredytować państwo i naród meksykański wobec świata w momencie, gdy miały one pokazać swoją wielkość jako gospodarz olimpiady. Wśród wielu postulatów studenckich pojawiały się głosy krytyczne wobec faraonów inwestycji olimpijskich, kosztem nakładów na szkolnictwo. Ale były one marginesem. Znaczące jest, że komitet olimpijski nawet się nie zająknął na temat pacyfikacji ruchu studenckiego w przededniu olimpiady, blisko 300 zabitych i ponad tysiąc przetrzymywanych w więzieniu Lecumberi studentów (a także rektora UNAM i Jose Revueltasa, jednego z największych pisarzy kraju). Zabici i przepelnione więzienia nie przeszkodziły w przyjeździe żadnej ekipy.

W 1978 byłem na demonstracji w 10 rocznicę masakry studentów na Placu Trzech Kultur. Była to największa demonstracja, w jakiej zdarzyło mi się uczestniczyć. Byli wszyscy, którzy w Meksyku się liczyli. Sprawiedliwi, jak Elena Poniatowska, jedna z nielicznych, która od początku walczyła o prawdę. Zapewne wielu z tych intelektualistów, którzy w 1968 wypisywali kalumnie broniąc „narodowej godności” przed rzekomymi wichrzycielami usiłującymi na zlecenie obcych sił zakłócić olimpijskie święto. W odróżnieniu od ich polskich kolegów posturali się, by niemal we wszystkich bibliotekach oczyścić stare gazety ze swoich niesławnych tekstów – sami je wycinali lub zlecali to innym. Lektura blisko 1000 stron *Czarnej Księgi* z zapisami procesów setek skazanych studentów przekonała mnie, że pomimo wszystko w 1968 r. PRL nie był najgorszym miejscem do bycia studentem (sam byłem już wtedy stażystą na UJ).

W 1971 przyjechał na zaproszenie UJ do Krakowa profesor Eli de Gortari. Poproszono mnie, bym pojechał z nim do Oświęcimia. Gdy opuszczaliśmy obóz, profesor powiedział: „Znam to. Siedziałem po roku 68 dwa lata w Lecumberi. Coraz to rozkazywali nam kłaść się placikiem na dziedzińcu i puszczać nad głowami serie z karabinów maszynowych. Potem było już lepiej, dano mi osobną celę, pozwolono na maszynę do pisania i książki. Pod koniec miałem w celi nawet dywan”. Nie miałem serca tłumaczyć znanemu logikowi, że Auschwitz to jednak nie było „to”. Przebywając w Meksyku poznałem tyłu kompletnie strauumatyzowanych kolegów, jakich nigdy nie widziałem wśród mających za sobą pomarcową odsiadkę przyjaciół i znajomych w Polsce i na świecie.

13 marca wrócił, skracając pobyt w Paryżu na wieść o wydarzeniach w Polsce (był tam na zaproszenie Michała Borwicza – Boruchowicza), z walizką pełną *Etudes Juive* Roman Pytel. Z dworca przed 6 rano przyszedł prosto do mnie i już od drzwi zadał mi, ledwie przebudzonemu, pytanie: „Adam, co tu się właściwie dzieje?” Przez większość życia próbowałem sobie na nie odpowiedzieć. Ale dziś przestało mnie niepokoić. Pojawiło się inne. Jeśli demograficznie tak wiele znaczyliśmy, że wejście naszego pokolenia na scenę historii było tak gwałtowne, tak nabrzmiate konsekwencjami, nie tylko politycznymi, ale i cywilizacyjnymi, to czym będzie jego/nasze zniknięcie?

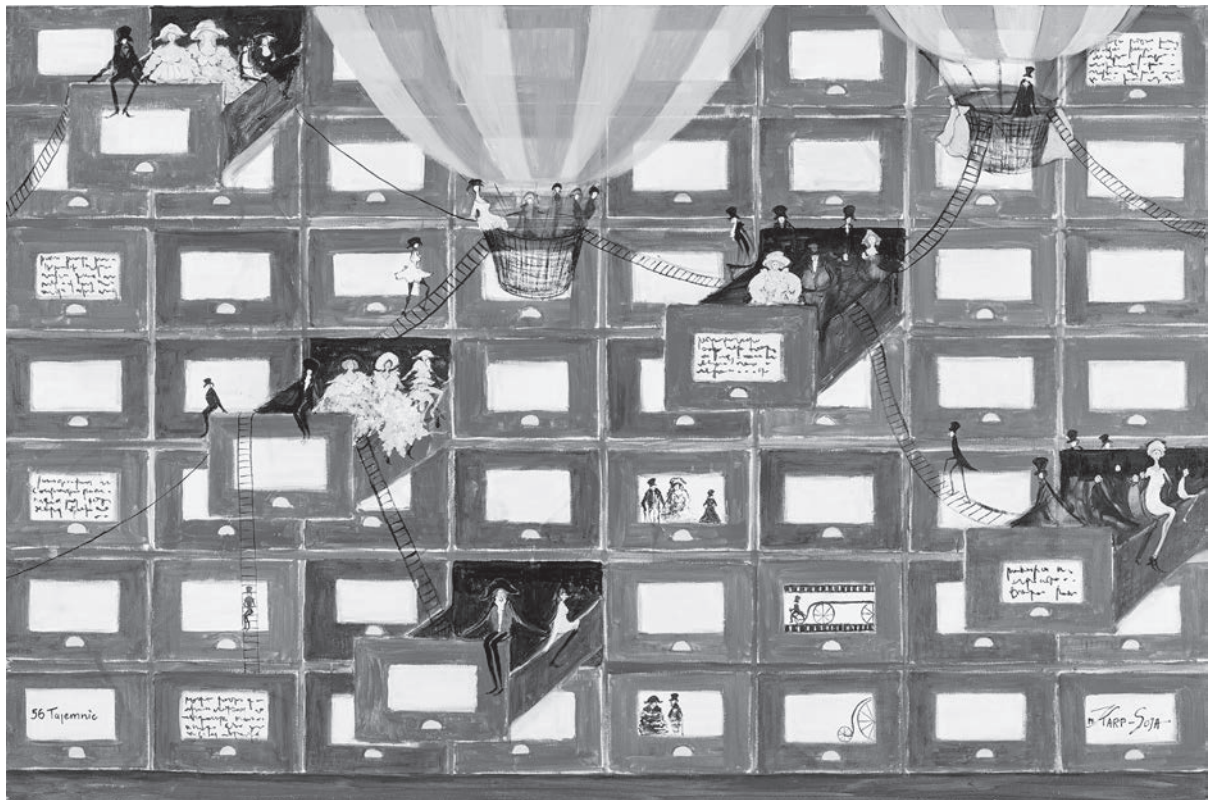
ADAM KOMOROWSKI

PS.: W któryś z ostatnich dni marca siedzieliśmy u Romka Pytła. Nastrój był marny, oznak wiosny nie było widać. Od czasu przyjazdu Romka przewinęły się przez jego mieszkanie dziesiątki osób, wypiliśmy dziesiątki butelek alkoholu. Zaglądali zagraniczni dziennikarze, m.in. Richard Davy i Karel Jezdinsky, który spędził z nami kilka dni, i wielu innych, których nazwisk nie pamiętam. Wpadali Jan Pieszcachowicz, Jerzy Kronhold, Julian Kornhauser, Adam Zagajewski, ale jako słabo tolerujący alkohol nigdy nie zagrzali dłuższej miejsca. Pojawili się z Wrocławia Rafał Wojaczek i Olek Rozenfeld. Stała grupa, obok gospodarza, stanowili: Andrzej Reiter, Wit Jaworski i Zbyszek Warpechowski (przemieszkiwał u Romka). Zjawiały się dziewczyny; ponieważ prowadziliśmy dość chaotyczne życie erotyczne nie wymieniam ich imion. Po ponad dwóch tygodniach nieustających dyskusji, alkoholu i seksu byliśmy zmęczeni. Nastrój był marny, ale nie wpadaliśmy w depresję. Roman został zwolniony z funkcji kierownika Oddziału Historii Żydów w Muzeum Historycznym Miasta Krakowa, ale zaproponowano mu pracę w dziale eksportu Befamy (znał 8 języków), a poza tym nagle pojawiło się nadzwyczajne zapotrzebowanie na udzielanie prywatnych lekcji hebrajskiego.

Andrzej Reiter, o którym z artykułu w „Gazecie Krakowskiej” pt. *Kim są nauczyciele naszej młodzieży*, dowiedzieliśmy się, że naprawdę nazywa się von Rautten-Reiter (to akurat wiedzieliśmy) i tylko dzięki reformie rolnej nie odziedziczył wielkiego majątku pod Kartuzami (o tym nie wiedział ani on, ani my) jest Pru-

sakiem, rewizjonistą i syjonistą (przyjęliśmy to z rezygnacją do wiadomości) został zwolniony (jako jedyny na UJ) z pracy, a także z funkcji szefa Klubu Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli Euhemer. Zbyszek, który wówczas jako scenograf współpracował z ekipą Mosfilmu, kręcącą w Krakowie film o Borysie Sawinkowie, załatwił mu pracę kierownika planu. Z propozycją pomocy Andrzejowi wystąpili sami Rosjanie po tym, jak przeczytali wiadomość o jego wyrzuceniu z UJ w nabytym w kiosku w hotelu Cracovia „Le Monde”.

Krysia Horowitz szykowała się do wyjazdu z rodzicami i siostrą. Dopijaliśmy podarowaną przez nią pożegnalną whisky (kanadyjską, kupioną za 2,50 \$ w Pewexie). Zbyszek stawiał ostatnie pociągnięcia pędzla na swojej łożni (wisi dziś w Muzeum w Łodzi), Romek czytał na głos gorzki, ale pełen empatii list od Edwarda Poznańskiego, prorektora Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie. I nagle dzwonek, poszedłem otworzyć drzwi, stał w nich nieznany mi starszy człowiek z czarną skórzaną teczką: „Ja do pana Romana Pytła”. Wprowadziłem go do pokoju. Otworzył teczkę i wyciągnął z niej plik maszynopisu. Z kieszeni wyjął złożoną kartkę i wręczył Romkowi, prosząc o potwierdzenie podpisem odbioru maszynopisu. Były to złożony przez Romka i zatwierdzony do druku w Wydawnictwie Literackim tom przekładów Samuela Józefa Agnona, który z portretu nad jedną z maszyn Romka, przyglądał się nam od dawna. Miał też Romek drugą, z hebrajskimi czcionkami, ale tej używał rzadko i zazwyczaj znajdowała się pod jednym z trzech łóżek. (A.K.)



Małgorzata Karp-Soja, *56 Tajemnic*, olej na płótnie, 2017 r. (fot. Ł. Lisiecki)

FILIP RATKOWSKI

## GRUPA 848. SPOJRZENIE OSOBISTE

W dyskusjach o wydarzeniach marca 1968 i ich pokłosiu rzadko zauważa się ścisły ich związek z ujawnieniem się Nowej fali w młodej (wówczas) polskiej literaturze, a już nigdy z odruchem protestu i próbą brania „rzekomo lewicowej” władzy z lewej strony. To co w Warszawie dojrzało (lewicowym!) ruchem „komandosów” czy protestami w sprawie *Dziadów* Dejmka, w Krakowie miało postać fermentu w środowiskach „młodej literatury”. Gdy członków grupy Teraz, Juliana Kornhausera i Jerzego Kronholda (który pojawił się kiedyś publicznie z czarną kłapką na oku co kojarzono z poparciem dla generała Dajana), kojarzono z syjonizmem, inna (skądinąd zaprzyjaźniona) grupa młodych funkcjonujących „około literatury” zajmowała z pozoru skrajnie odmienne stanowisko.

**Lewą marsz**

Grupa 848 istniała w latach 1969–1971. Jej członkami byli Janusz Kaczorowski (1941–1987) grafik, filozof, poeta, Leonard Neuger, po emigracji w 1983 r. przez lata mieszkał i pracował jako profesor języka i literatury polskiej w Szwecji, m.in. w Stockholms Universitet. W latach 1998–2001 był redaktorem naczelnym w ramach projektu Vitterhets Akademien i Polskiej Akademii Nauk. Od 2000 roku został członkiem rady redakcyjnej czasopisma „Er(r)go”. Jego dorobek obejmuje ok. 100 artykułów, esejów, recenzji, wydał także tomik wierszy. Za dokonania translatorskie otrzymał nagrodę Akademii Szwedzkiej w 1989 oraz (szwedzką) nagrodę Fundacji Pisarzy w 1992 roku. Roman Wysocki jako jedyny pozostał wierny literaturze. Na stałe także mieszka w Szwecji. Debiutował tomem opowiadań pt. *Surrealizm urzeczywistniony*. W 1986 otrzymał nagrodę im. A. Bursy oraz nagrodę im. Natalii Gall za najlepszy zbiór opowiadań roku. Wydał także kilka powieści: *Moskwa za trzy dni*, *Obudzony o zmierzchu i Codziennie i przez cały czas*, *34 km od Pałacu Kultury* oraz *Puste miasto nad dachami*. Stanisław Nowakowski (obecnie w Warszawie) dziennikarz m.in. „Głosu Nowej Huty” po roku 1990, przez kilkanaście lat szefował tygodnikowi OPZZ. Andrzej Banaś (1937–2018), na fali „odnowy” publikował w „Gazecie Krakowskiej” Szumowskiego felietony z cyklu *Formuła 80*, za co z czasem trafił przed oblicze Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej. Inżynier, po roku 1989 był uznanym specjalistą od „zamówień publicznych”, m.in. współtwórcą miesięcznika „Doradca”, gdzie prowadził stały felieton. Niedługo przed śmiercią wydał jeden skromny tomik wierszy. Filip Ratkowski autor mikropowieści *Enklawa* (1980 nagroda w konkursie Wyd. Iskry na debiut) autor słuchowisk, dziennikarz. Członkami grupy byli epizodycznie Tomasz Turowski (tak, właśnie ten Turowski z lotniska w Smoleńsku!) i Andrzej Ryczaj. W jej spo-

tkaniach uczestniczyli też niekiedy na zasadach towarzyskich Marek Baterowicz (uważający się wówczas za monarchistę!) i Krzysztof W. Krzeszowski (1939–1977) czynny w środowisku hippisowskim. Zginął w górach na łatwej drodze, w dość niejasnych okolicznościach.

Janusz Kaczorowski z entuzjazmem przyjął powstanie „Solidarności”, co wydawało mu się spełnieniem modelu marksowskiego. Po ogłoszeniu stanu wojennego wyjechał z Krakowa i znalazł pracę w skansenie, w Żubrzyca. Założył tam teatrzyk lalek dla dzieci ze wsi i realizowany przez dzieci wedle ich pomysłów. Po powrocie do Krakowa, poważnie chory, zaczął wycofywać się z życia, likwidując też część swej twórczości – odbierając i niszcząc ofiarowane przyjaciółom prace. W 1987 r. popełnił samobójstwo. W czerwcu 1988 r., w Galerii Teatru STU w Krakowie odbyła się pośmiertna wystawa wielu jego prac, jednak nikt dziś nie wie, co się z nimi stało, co jest swoistym skandalem.

**Pod urokiem Janusza**

Według zgodnej opinii członków grupy 848 to właśnie Janusz Kaczorowski był głównym jej inicjatorem. Studiował w tym czasie grafikę na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Początkowo chciał założyć grupę plastyków Art-Kom, czyli artyści – komuniści, ale podczas rozmowy z Romanem Wysockim zrodziła się idea stworzenia grupy poetyckiej. Szybko dołączył do nich Leonard Neuger, studiujący wówczas polonistykę na UJ u Henryka Markiewicza.

Grupowe publikacje ukazywały się w „Studencie” i „Radarze”, charakter manifestu nosił wykonany przez Kaczorowskiego *samizdat* zawierający obok kilku wierszy członków grupy „deklarację ideową” stwierdzającą w pierwszym z dziewięciu punktów, że grupa „chce realizować twórczo postulaty Partii w dziedzinie literatury i sztuki. Traktujemy sztukę jako kategorię ideologiczną, jako wyraz określonej postawy i filozofii” i dalej, że „sztuka partyjna jaką chcemy tworzyć musi stanowić wyraz awangardyzmu Partii...”, wreszcie „Takim celem służą wszystkie środki artystyczne, które je wyrażają, a zwłaszcza eksperyment i poszukiwanie. Awangardowym celem – mogą służyć jedynie środki awangardowe”, co było jednym z pobożnych życzeń i próbą odczarowania wrednych tendencji „marcowych”

Warto pamiętać atmosferę tamtego czasu w Krakowie z podkreśleniem roli Koła Młodych przy Oddziale Związku Literatów i turniejów poetyckich *O Jaszczurówy Laur*, dających szansę debiutu prasowego. Na tym polu ukształtowały się w pewnej chwili trzy grupy literackie: Teraz pod patronatem ZSP (m. in. Jerzy Kronhold, Wit Jaworski, Jerzy Piątkowski, Julian Kornhauser, Adam Zagajewski), 848 i Tylicz (m.in. Adam Ziemiński, Józef Baran, Andrzej Warzecha, Wiesław



Kolarz i Andrzej Torbus) nawiązujący (czy świadomie?) do przedwojennego programu autentystów.

### Fracja ZMS

Do pierwotnego składu grupy 848, po jej prezentacji na forum Koła Młodych dołączył Filip Ratkowski z grupą kolegów od dawna działających w strukturach ZMS (Nowakowski, Banaś). Neuger i Kaczorowski zaliczyli krótkie odsiadki po „wydarzeniach marcowych” – pierwszy chyba z racji nazwiska, drugi jako delegat ASP do studenckiego Komitetu 13, który miał ambicję reprezentowania żądań opozycji, ale został z wyprzedzeniem zlikwidowany przez SB. Ratkowski i Banaś nawiązywali do rodzinnych lewicowych tradycji – Banaś do wartości PPS, po ojcu który został zamordowany przez hitlerowców jako żołnierz GL, PPS i AK, i Ratkowski kultywujący tradycję przedwojennego „Naszego Wyrazu” – pisma lewicującej młodej inteligencji oraz grupy Ignacego Fika – (wybitnego krytyka i poety w czasie okupacji, twórcy lewicowej organizacji, która w pewnej chwili weszła w skład PPR) zamordowanego przez hitlerowców, a także ojca, który zginął jako żołnierz GL (grupa Topolnickiego).

Równoległe do ambicji literackich, środowisko ul. Kujawskiej 11, gdzie odbywały się spotkania, uprawiało śpiewaną publicystykę. Pierwsza była *Piosenka o polskim fiacie* w kontrze do oficjalnej propagandy. Śpiewana na „znaną śląską melodię ludową” zaczynała się jasnym nawiązaniem do hymnu SA: „*Die Fahne hoch – to jadą polskie fiaty*”, w tekście pojawiały się liczne wątpliwości, np. czy „kierowca ma na portkach taty i czy na raty kupić sobie raj”, a kończyła frazą „na rogu już czerwone światło pstryka, ty jedziesz sobie niby w Pierwszy Maj, fiacikiem swym po karku robotnika – *Die Fahne hoch, die allen Strassen frei*”. (za jakość „niemczyzny” nie odpowiadam, bo pisane ze słuchu i z pamięci, bez znajomości języka).

Wstrząsem były dla młodej lewicy wydarzenia marcowe, toteż specjalne miejsce w tym cyklu zajęły zespołowe prace nad spolszczeniem śpiewanej przez Wysockiego piosenki *Antysemita*, gdzie „pałkarz nad pałkarze” tłumaczy kto to są „semita” – wymienieni zwrotkę wyżej „Marks, Chaplin i Trocki”:

„te Żydy cholerne, przysięgam nich stracę,  
krew z dziełek niewinnych ściągają na macę  
i żeby nie szukać przykładów gdzieś dali,  
to przecie Chrystusa też ukrzyżowali.  
Ukradli, wiem dobrze, mówili mi wczora,  
pszenicę i żyto i jabłka po zbiorach  
i Sumy Bajońskie i dwie pary spodni  
i Ulryk Jungingen też pewnie był od nich”.

Oczywiście nijak się to ma do oryginalnego tekstu, bo konieczne było sięgnięcie do polskich stereotypów – różnych od rosyjskich, ale idea została zachowana. A swoją ciekawą drogą ta piosenka (i inne pieśni autorstwa rosyjskich dysydentów), trafiła do Polski. Taśma nagrana na zdecydowanie „podziemnym” koncercie Wysockiego w Bułgarii zdobyta została i przesmyglowana do Polski przez kierującego obozem wypoczynkowym ZMS w Primorsku Marka Daneckiego z Huty im. Lenina.

Ciekawe czy ta uboczna działalność grupy, w praktyce ograniczająca się do zaufanych, lewicujących

środków młodzieżowych z Huty im Lenina została zauważona przez SB i czy w archiwach IPN hobbyści doszukają się jakichś tropów?

W PRL wstrząsów nam nie brakowało i takimi były wydarzenia 1970 r. na Wybrzeżu. Śpiewaliśmy na melodię *Piechoty* Okudźawy:

„Czy czujesz, że ktoś w gębę dziś ci dał,  
z portretu patrzy w dal spokojny wzrok,  
czy kopiesz węgiel czy topisz stal  
czy przy papierach spędzasz cały rok?  
(...)”

Kto robotniczej klasy stróżem jest  
dba o jej sprawy – o jej sprawy dba,  
ten strzela w tłum byś łatwo w niebo szedł,  
tam robotniczy raj, tam polski raj!”

Nic więc dziwnego, że przełom „gierkowski” powitaliśmy z entuzjazmem – dla odmiany na legionową melodię. Tu fragmenty:

„Wiatr zawiął od Gdańska  
nie mały nie cichy,  
a w Warszawie pospadały  
wszystkie większe szczyh  
wszystkie większe szczyh!”

Prowadź Gierku miły  
przewodź sprawie Ludu,  
jak kaszanka potanieje  
dożyjemy cudu  
doczekamy cudu!”

### W nurcie intelektualnego fermentu

Jak widać, młodzieżowe środowiska lewicowe nurtowały te same problemy, jakie legły u podstaw powołania w Krakowie „Kuźnicy”. Pamiętam też zdecydowanie *niebłagonadziejne* treści, jakie wypływały na jednym ze spotkań Koła Młodych z liderem „Kuźnicy” Tadeuszem Hołujem.

Nam, zmiany na szczytach PZPR pod wpływem ruchu masowego, wydawały się dowodem na socjalistyczny charakter ustroju, w którym „klasa robotnicza rządzi, stosując sobie przyrodzone środki”, czyli strajki i inne wystąpienia, a I sekretarz Komitetu Centralnego PZPR pielgrzymuje od zakładu do zakładu rozmawiając poważnie z robotnikami („Pomożecie?” „Pomożemy!”). To oczywiście mogło działać tylko w warunkach upaństwowienia środków produkcji i miało prowadzić do demokratyzacji ustroju.

Nic dziwnego, że łatwo trafiały nam do przekonania tezy Janusza Kaczorowskiego, wyrażające się w jego pracach plastycznych obnażających nieautentyczność wielu deklaracji władz („Ach, ta młodzieńcza niecierpliwosc!”)

Do prawdziwej sytuacji środowisk robotniczych odnosi się drukowane na szarych ścierkach „sztandary” – *Porozumienie kopaczy* z postacią kopiącego robotnika i hasłem „Tak całutki żywot”, czy *Związek kobiet pracujących* z żelazkiem i hasłem „Z roboty w robotę”. Próbą odczarowania nowomowy były na pewno robocze rękawice, po których wewnętrznej stronie Kaczorowski nadrukował słowo „władza”, czy *Narzędziownik świadomego robotnika*, zawierający czerwony pion, czerwone klucze francuskie z napisem „partia” i „związki zawodowe” (do „przykręcania i odkręcania śruby”) oraz książkę

*Lenin a kontrola robotnicza.* Prawdziwym zjawiskiem stały się dla nas klocki pod atakującym zewsząd tytułem *Lenin wiecznie żywy* (akurat wypadła setna rocznica urodzin „Wodza Rewolucji”). Były to zwykłe, dziecinne klocki wylepione obrazkami przedstawiającymi Lenina w oficjalnym ujęciu – a to na „Zjeździe”, a to rozmawiającego z chłopami etc. Był tam też obrazek z pisma „Look”, przedstawiający 49 osób które się liczą. Tam obok Fantomasa, Stalina, Supermena i Roosevelta czy Fidela Castro, był też Lenin, wreszcie na klockach znalazły się odbitki kilkudziesięciu linorytów przedstawiające m.in. Lenina jako kosmonautę, chińskiego bonzę, jako kowboja, hutnika, jako postać siedzącą na stoniu, znak drogowy – *naprawa drogi do socjalizmu*, boksera z ręką sygnalizującą *black power*, jako Marksa, Mao Zedonga czy Guevarę, a nawet czołgistę z *czeskim strachem w oczach*. To nagromadzenie sprzeczności nie było prześmiewczą satyrą! Miało symbolizować różnorodność treści, do których Lenin może być przydatny, ale gdy ktoś próbował ustawić z klocków któryś z tych „klasycznych” obrazów, wychodziło mu – mauzoleum.

Nie wiem, czy to efekt liberalizmu ówczesnych władz krakowskiego PZPR, czy przeoczenie cenzury, dość że *Klocki* znalazły się na oficjalnej wystawie Międzynarodowego Biennale Grafiki w specjalnej gablocie, ale bez dodatkowych wyjaśnień były dla odbiorców mało czytelne.

#### Do kogo ta mowa?

Treści na których nam zależało, próbowaliśmy przemycić przez kontakty w Związku Młodzieży Socjalistycznej, w którym Banaś i Nowakowski działali niejako „w spadku” po Październiku 1956. Niektóre udawało się zamieścić w jednodniówkach wydawanych (pod osłoną Sławka Tabkowskiego – wówczas wiceprezesa d.s. propagandy) przez ZW ZMS w Krakowie. Nie zawsze się to udawało – wiersz Wysogłada *Lato w makaronie czyli kilka słów o kontrolach* „wyingerowała” nam cenzura, bo już podpadł pierwszym zdaniem: *Choć żyję w niecce wypełnionej czerwienią, ktoś ciągle mi wkłada ręce do kieszeni* i dalej jeszcze mocniej.

Złudzenia co do możliwości tworzenia „partyjnej sztuki” skończyły się jednak wraz z VI Zjazdem PZPR usztywniającym linię partii, czego dokumentem jest mój sarkastyczny list do redakcji „Poezji” (odpowiedź na jakąś publikację, gdzie wspomniana była grupa 848) informujący, że grupa rozwiązała się, ponieważ nasze postulaty wypełniły uchwały niedawnego Zjazdu PZPR i II Plenum KC PZPR. Owe Uchwały Plenum były jawnie zwrócone przeciwko wszelakim „fermentom” i tak nas „zachwyciły”, że postanowiliśmy zaprzestać działalności! A swoją drogą, teksty, które na przełomie lat 60/70 wydawały się łatwo czytelne, dziś swą czytelnością tracą, bo w dobie mody na (delikatnie mówiąc) „bezpśrednie” wypowiedzi osób publicznych czytelnicy utracili umiejętność rozpoznawania sarkazmu i czytania między wierszami.

Po latach w swojej pracy magisterskiej na temat grupy (choć nieporozumień i tam jest sporo) Magdalena Bożek pisze, chyba słusznie: „W grupie „848” krytykowano rzeczywistość raczej z pozycji lewackich. Najbliżej było im do trockistów, z ich ideą permanentnej rewolucji, z ideą rewolucji światowej. „Urzędowemu”

komunizmowi mieli za złe porzucenie marksizmu, a nie trwanie przy Marksie.”

O grupie i jej programie pisał Leonard Neuger w 1981 roku:

„Program grupy bowiem i język, w jakim został napisany, jest bardzo mylący (...) Istotną była odpowiedź na pytanie, co to znaczy sztuka partyjna i program sztuki, który powinien wynikać z programu Partii czy też z klasyki marksizmu. Większość z nas w różnym stopniu odczuła na sobie efekty tzw. wydarzeń marcowych, wszyscy zgadzaliśmy się co do tego, że trzeba atakować zakrzepły system polityczny, społeczny, kulturowy”.

„.../ linia zniecierpliwienia zamieniła się w karabin bez cyngla  
inteligencja przestraszyła się wytwarzanych własnym kosztem  
kufli z piwem a mieszczaństwo w spokoju ducha  
ale zagrożeniu ciała próbowało kupić Napoleona  
z cukru”

(Roman Wysogład, *Cierpliwość*)

Często prezentowana przez autorów z grupy 848 postawa ironicznej demistyfikacji bywa dziś niezrozumiała. Oto w pewnym momencie przygotowania do kolejnego Zjazdu PZPR zbiegły się z wyborami prezydenta USA, gdzie zapanowała moda na obnoszenie kandydatów na krawatach. Kaczorowski sięgnął więc do publikowanych w prasie nazwisk autentycznych kandydatów na ów Zjazd i wykonał kilka krawatów z kandydatami – co podkreślało przepaść, jaka dzieliła autentyczne wybory od pozornych, a dziś bywa (słowo daję!) komentowane jako afirmacja tych postaci.

1. Ręce opadają, gdy czyta się np. uwagi Andrzeja K. Waśkiewicza, iż „w praktyce poetyckiej program ten (grupy 848) realizowany był przez nasycenie wiersza treściami publicystycznymi i werbalne odwoływanie się do współczesnych zjawisk”. Nieprawdziwe są też powielane komentarze, że „większość członków miała pochodzenie robotnicze” czy, że teksty o wydarzeniach 1970 roku powstawały w związku z „podróżami grupy w 1970 roku na trasie Szczecin – Gdańsk” (!).

To prawda, że członkowie grupy uważali się za „komunistów”, do PZPR należeli Kaczorowski (w pewnym momencie II sekretarz POP przy oddziale Związku Plastyków – rzucił legitymację po wypadkach w Radomiu), Banaś, Nowakowski i Ratkowski, ale nasza lewicowość to była formacja intelektualna, a ów „werbalizm” to metoda „łapania władzy za słowa”.

W 1969 roku pracowałem jako instruktor w Ochotniczych Hufcach Pracy i nagle z Warszawy przyszło zalecenie, żeby do śpiewanego na apelach hymnu ZMS dodać zwrotkę zaczynającą się od słów: „Faszystom, syjonistom wyzwanie rzucim w twarz”... Mało mnie szlag nie trafił i „zawrzałem”, że nie wolno hymnu poważnej organizacji przerabiać na kuplety polityczne! I co? Zadziałało! Nikt nie próbował wprowadzić tej zmiany.

I jeszcze jedno – moim zdaniem rok 1848, data wydania *Manifestu Komunistycznego*, to data ważna, nie mająca nic wspólnego z propagowaniem jakiegokolwiek „totalitarnej ideologii”. Pojęcie „lewica” musi być tożsame z pojęciem „wolność”, inaczej „lewicowości” nie ma wcale.

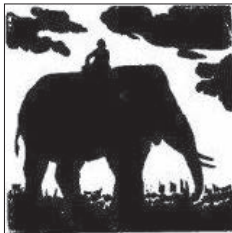
FILIP RATKOWSKI

## Janusz Kaczorowski

\* \* \*

stu bogów w jednej osobie  
etyka większa etyka mała  
podniesiona dłoń opuszczony wzrok  
zaprzeczenie przez potwierdzenie  
analiza zysku z listy strategia obrona masakry  
w imię

nieuniknionego pokoju  
nierówna równość  
klęska urodzaju zubożająca praca  
dźwignięty poziom upuszczone jelita  
przeludniona samotność łomot o ciszę  
czarne światło



\* \* \*

gdyby uchylił się  
gdyby poszedł nie czekał  
nie milczał nie odezwał schował  
posłuchał mnie siebie ukrył się  
ujawnił w porę nie poparł przyklasnął  
Jadł więcej nie otłuszczał  
nie zatrzymywał się nie ponaglał  
gdyby wiedział nie znał faktów  
nie dotykał nie zaglądał nie zmarł  
gdyby już nie żył



\* \* \*

zegarek po Nim  
zapakowany w plastikowy woreczek  
leży już dwa lata

pasek wydziela nadal woń  
taniej lawendy  
naskórka

### Czym bez nas

nie zostawiamy niczego poza  
takiej przestrzeni nie ma  
sami jesteśmy  
zbici  
w nas  
nękamy siebie o prawo  
sami jesteśmy miłość  
z nas rozchodzą się wiadome drogi  
sami swój ulepszamy budulec  
spośród nas rysownicy  
zagorzałe dociągną linie

nieobłuskane ciemności jądra  
z rąk im wyjmij  
wyszarpniętą z twojej dłoń  
w czas nie pochwyliły ludzkie  
spieszę  
by nie rozsypali się jak liście  
w odłożonych już wczoraj książkach

bez nas  
i ziemia nie byłaby  
leniwej cięży skorupą  
niosącą nasz ledwo odcisnięty związek  
prawnuczkę tona  
które bezgranicznie dojrzeła  
bez naskórka czy ma pozostać gadów kopalnią  
ścierających kredę  
zysków

### Najcichszy człowiek

Nie na klęczkach już wyją dać broń  
których niebo przesiewa United surówkę Stanów  
archaiczna igła w szokującej strategii mlecz  
bambusu żądło metalurgia krosien i kieratów  
kły dziewcząt dawać dawać  
wyszczypującym odłamki z futer pożarów  
bank krwi i plazmy nie do rozbicia  
przez żaden kapitał  
wołają miliarda pruć materac Europy toczyć pułę  
długów będziemy drzeć weksle my  
hordy siebie skandujące  
poza tą moralnością lęgnie się tylko  
hipokryzja  
prędzej czy później pęknie papierowy bęben  
zbiorowy polityk robotnik Partia humanista  
wiemy imperializm pogasił światła  
zbrodnia nas wygwizduje na placie ciemności  
do upadłego do białości do kipieli łbów  
z posad bryłę światy wiszą u naszej wargi  
tylko to się staje jesteśmy argumentem krwi

## Andrzej Banaś

### Margines

Wzbiera we mnie  
Poczucie przynależności  
Wspaniała rzecz  
Ta nieliczna grupa społeczna

Nie wadzi mi niski status  
Co zaś tyczy się reszty  
Normy i zasady współżycia  
Sam sobie napiszę  
w tej wolnej części karteczki  
Nazwy nie pamiętam

### Butelka

Wysłana na śmietnik  
Przez nieznanego nadawcę  
Kołysze się przy brzegu  
Oceanu Smutku naszego codziennego

Napis Wino nie jest adresem  
Tym sposobem  
Uwięziony na wyspie biedy  
Rozpaczliwie wzywa pomocy

## Leonard Neuger

### Ballada o domu

Człowiek w ciężkich butach  
szukał swego domu  
zaglądał do mieszkań sytych i pachnących  
pękały podłogi  
pod jego butami

Człowiek w ciężkich butach  
zapadał się w ziemię  
kopce wyskoczyły  
hen na antypodach  
koło kalifornii

jabłka pospadały gdzieś w kierunku nieba  
schodził podeszwą  
każdą ziemię  
zimą zdeptał  
zimę

\* \* \*

Zaparłem się prawdy  
stwierdzonej z trybuny  
wysoko nad ziemią  
nade mną – zaparłem

Zaparłem się poczciwości  
wysadzanej perłami

zaszczyconej codziennie  
medalami – zaparłem

Zaparłem się ciebie.

Nie będę się bronił. Zapieram się codziennie  
codziennie odpieram

Zaparłem się po trzykroć  
wyświęćcie mnie  
przyświęćcie – zaparłem

### King

pochylony nad Biblią  
kaznodzieja czarny  
zagiętą ręką pokazywał  
wszechświat  
opatulony już ręką  
człowieka

myślał że klęcząc  
można powstać z martwych  
że oczekując  
można zyskać siłę  
myślał że słowo powróci pieśnią  
oni mu wierzyli

## Filip Ratkowski

\* \* \*

*„Se le fazon che porti non son false”*

Dante – Inferno XVIII – 49

W bagnach się topią, że nie zgadniesz kiedy.  
Po pęczniejących rozpoznasz koszulach  
i gębach pełnych gazet.  
Zbyt roztropni.

Więc wystaw twarz na deszcz.  
Czy zmieni kolor, czy przybędzie zmarszczek?  
Czy strach i ogień i uśmiech i ulga..?  
se le fazon che porti non son false...

### Nocny dyżur

I

Dalekopis wystukuje -

fioletowe muchy w rozgrzanym mię  
sie i nagła noc nie pozwala ofia  
ry skóra powiewająca na drutach  
zaginieni piasek wdarł się przez  
zamknięte powieki lokalna wymian  
a ognia ktoś zabłądził w oleandr  
owych alejkach heroina w sajgoni

Najważniejsze -  
Plebiscyt dziesięciu asów

## II

Kto wykaże doskonalszy brak własnego zadania  
błogosławiony będzie w Partenope  
a noc śródziemnomorska  
otoczy jego letnie wyprawy.

## III

Sycylia zaplątana w trawy ogrodu  
jest tylko cieplarnią.

Znam to święto -  
teatr jednego aktora  
i plebiscyt dziesięciu asów.  
Godziny społecznych trawników.

## III bis.

Sycylia jest cieplarnią.  
Palmy nasze powszednie  
obwieszane kożuszkami Kolchidy  
i tance kanibali  
którzy przyjechali po paciorki  
non iron.

Wszystko dewizy – dewizy – dewizy  
„Dolce et decorum est...”

## IV

Palę za sobą telefony.  
Mózg – gufrowane zwierciadło gazety  
wciąż jeszcze akcent w tytule  
PLEBISCYT 10 ASOW  
potem ogarnie nas wiklinowy fotel  
fotoreportera, tańczące dziewczęta  
i gadające samochody.

## V

Dalekopis wystukuje -

zaginieni piasek wdarł się przez  
plebiscyt dziesięciu asów wtorek

## Stanisław Nowakowski

### Względność czasu

W barze przy hotelach robotniczych

czas mierzy się beczkami piwa.  
Dwunasta – jedna beczka,  
piętnasta – pięć beczek,  
dwudziesta – dwadzieścia dwie beczki.  
W dni, w których robotnicy budowlani biorą  
wypłatę,

czas płynie znacznie szybciej.

## Roman Wysogład

\* \* \*

Niechący przy obiedzie urodziłem grzyba.  
Borowika. Ważył niecałe trzynaście dekagramów.

Dla niektórych ludzi stałem się podejrzany.  
Chodziłem od urzędu do urzędu.  
Chciałem jego posiadanie zalegalizować,  
zapłacić podatek.

Odsyłano mnie z kwitkiem albo na inne piętro.  
Wieczorem zmęczony zjadłem go na kolację.

Po tygodniu przyszedł jakiś facet.  
Kazał mi się ubrać  
- gdzie jest pański przyjaciel?  
Przyjaciel? Który?  
Borowik.  
Borowik? To przecież grzyb.

Musiąłem oddać szelki, pasek, sznurówki.  
Karmią mnie dobrze. Chcą żebym urodził go  
jak najszybciej.

Wtedy mnie wypuszczą.

### Przestroga czasu kradzionego

Przemieniony w sztabkę złota stojącą obok zdjęcia  
ciotki  
jestem bez szans.  
Nie pomoże robotnicze pochodzenie  
ani znajomi w ministerstwie.

Przybędę o jeden transport za późno.

### Literatura okresu socrealizmu

Zużytą onucą zamoczoną w oliwie  
zatkąła sobie usta.

Zapach oliwy przyprawił ją o zawrót głowy  
a onuca skojarzyła się jej z rzeczywistością.

Krażyła tak w koło jedną ręką  
trzymając się za głowę drugą za nogę.

Niektóre z faktów i zdarzeń  
rozgrywających się wewnątrz tego koła  
na pewno były prawdziwe  
ale w sumie całe przedstawienie  
sprowadziło się  
do założenia nylonowego skafandra.

A należało go po prostu rozciąć paznokciami. ■

# **WALNE ZEBRANIE STOWARZYSZENIA „KUŹNICA”**

(20.01.2018 r.)

## **ZAWSZE CECHOWAŁA NAS SWOBODA MYŚLENIA I EKSPRESJI**

**Sprawozdanie ustępującego prezesa  
ANDRZEJA KURZA**

Jestem wam winien sprawozdanie Rady i prezesa „Kuźnicy” za ostatnią 3-letnią kadencję. Ale jest to zarazem ostatnia kadencja, na którą zostałem wybrany na prezesa w tajnym głosowaniu (jednogłośnie, co bardzo sobie cenię) i dzisiaj, już 86-latek, do nowych wyborów nie stanę.

Chcę więc także powiedzieć o mojej w „Kuźnicy” działalności, trwającej od jej początków. Należę bowiem do tych kilku, którym Józef Klasa, odpowiadając na inicjatywę Tadeusza Hołuja i partyjnej organizacji krakowskich pisarzy, powierzył zadanie stworzenia programowych i organizacyjnych podstaw lewicowego Stowarzyszenia Twórców i Działaczy Kultury. Miała to być swojego rodzaju grupa opiniotwórcza zażywająca niezwykłej w owych czasach swobody myślenia i ekspresji.

Formalnym punktem wyjściowym działalności „Kuźnicy” stała się decyzja krakowskiej instancji partyjnej podjęta na wiosnę 1974 r. o powołaniu Stowarzyszenia Twórców i Działaczy Kultury pod zaproponowaną przez Tadeusza Hołuja nazwą Kuźnica i rozpoczęcie przez to stowarzyszenie oficjalnej działalności w kwietniu 1975 r.

Treścią naszych różnorodnych poczynań spajających wewnątrz środowisko twórców kultury, nauki, oświaty i mediów (najpierw krakowskie, a wkrótce i innych ośrodków Małopolski, Zagłębia i wreszcie i Warszawy) była – obok chęci pobudzania twórczości – wola krytycznego oglądu zjawisk życia społecznego i świadomości społecznej, polityki i sposobów sprawowania władzy, a zarazem czynnego w tym wszystkim udziału i kształtowania postaw obywatelskich. A dominantą naszego zaangażowania były wartości socjalizmu i praw człowieka, humanizmu i demokracji, rozumienia i służenia polskiej racji stanu i dobremu współżyciu między narodami.

Te ogólne zasady były uznawane i wyrażane przez tworzących trzon „Kuźnicy” reprezentantów trzech pokoleń polskiej inteligencji:

– tych, którzy pamiętali trudną drogę rozwojową Polski międzywojennego dwudziestolecia i brali udział

w walce o wyzwolenie Polski spod ludobójczej okupacji;

– tych, którzy budowali Polskę ze straszliwych zniszczeń, równocześnie dążąc do sprawiedliwości społecznej i ku cywilizacyjnemu, materialnemu i kulturalnemu awansowi ludu ku Polsce Ludowej;

– i wreszcie – coraz liczniejszego pokolenia tych, którzy wraz ze swymi poprzednikami tę Polskę usiłovali przekształcić w kraj nowoczesny i uwolnić od niesprawiedliwości wynikających z konfliktów podzielonego świata i ze zwyrodnień ustrojowych wewnątrz bloku zdominowanego przez sowietyzm. A więc pokolenia, które od Października’56 szło do porozumień Sierpnia’1980 i Okrągłego Stołu, wprowadzało Polskę do Unii Europejskiej i do NATO.

Od swych początków do dzisiaj „Kuźnica”, przy całym liberalizmie dominującym w niej opinii i postaw, przedkładała poczucie obywatelskiej odpowiedzialności nad hasła obywatelskiego nieposłuszeństwa. A to oznaczało również sprzeciw wobec niedostatków szacunku dla prawa, właściwych narodowi cierpiącemu dziesiątki lat braku suwerenności i demokracji.

W swoich, zbliżających się do półwiecza, dziejach „Kuźnica” przeżywała okresy, kiedy lewicowa władza tolerowała jej dociekliwość i krytyczne opinie, jej wolność i współodpowiedzialność, kiedy stawaliśmy się niemal grupą wpływu, ale także liczne okresy ze strony tej władzy niechęci, aż do rozwiązania Stowarzyszenia w stanie wojennym łącznie.

Satysfakcjonujące nas formy wpływu przybierały różny charakter:

– oddziaływania poprzez naszych członków sprawujących odpowiedzialne funkcje publiczne (np. w okresie dwóch kadencji prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego i powoływanych wówczas rządów, m.in. współkierowanych przez Jerzego Hausnera, ale także wcześniej, w okresie Polski Ludowej, kiedy w politycznym kierownictwie kraju po przemianach Sierpnia 1980 r.

zasiadał Hieronim Kubiak i Kazimierz Barcikowski oraz Mieczysław Rakowski i Marian Stępień, a obowiązki ministerialne pełnili Aleksander Krawczuk, Józef Tejchma i Bolesław Faron;

- poprzez nasze spotkania i dyskusje z ludźmi władzy i udział naszych członków i sympatyków w życiu publicznym, np. w parlamencie, samorządach i w mediach;
- publikowane przez nas oficjalnych Stanowisk „Kuźnicy” w sprawach dla Polski naszym zdaniem najważniejszych;
- poprzez treści naszego pisma „Zdania”;
- poprzez manifestowaną przez całą „Kuźnicę” wolę zachowania godności, spójności i odporności.

Wspominam o tym (w słowach z konieczności krótkich) także po to, aby wyznać, że poczuwam się do współodpowiedzialności za cały okres istnienia i działania „Kuźnicy”, i za jej oficjalne stanowisko – jako jej współzałożyciel, a także wydawca pierwszych zeszytów „Zdania” inicjowanych przez Józefa Lipca i jako wydawca Biblioteki „Kuźnicy” i wreszcie jako przez 10 lat prezes „Kuźnicy”, a 11 lat jej wiceprezes odpowiedzialny za sprawy programowe i organizacyjne. Chcę zarazem wyznać radość współpracy z prezesami, z których każdy był wielką indywidualnością – postacią charmatyczną jak Tadeusz Hołuj i Andrzej Urbańczyk, i intelektualną jak Hieronim Kubiak i Jerzy Hausner, podkreślić zaszczyt obcowania z indywidualnościami takiej wielkości jak prawie setka laureatów „Kowadła” i z najważniejszymi postaciami życia publicznego Polski Ludowej i III Rzeczypospolitej, z zupełnie niezwykłym aktywnym „Kuźnicą” skupionym w jej instancjach. Wśród tych postaci znaleźli się myśliciele wielkości Zygmunta Baumana, Andrzeja Walic-



Fot. Andrzej Giłuc

kiego, Karola Modzelewskiego, ks. Stanisława Musiała, Władysława Markiewicza, Tadeusza Kowalika, Marka Waldenberga, Andrzeja Werblana, Andrzeja Romanowskiego, Jerzego J. Wiatra, twórcy kultury rangi Wiesława Myślińskiego, Juliana Kawalca, Aleksandra Krawczuka, Tadeusza Kwiatkowskiego, Jerzego Broszkiewicza, Henryka Markiewicza, Mariana Stępnia, Michała Śliwy, Andrzeja Sowy, Jonasza Sterna, Jerzego Skarżyńskiego, Kazimierza Mikulskiego, Mariana Koniecznego, Antoniego Hajdeckiego, Bronisława Chromego, Stanisława Wiśniewskiego Jerzego Treli, autorytety publiczne miary Mieczysława Rakowskiego, Aleksandra Małachowskiego, Mariana Turskiego, Jerzego Domańskiego, Tadeusza Popieli.

Dziękuję im wszystkim za to, co wzbogaciło moje życie pełne prac zawodowych i aktywności publicznej trwającej w Krakowie już lat prawie 70, a w Warszawie trochę krócej. Nikt mi tego nie odbierze.

\* \* \*

Przejdźmy teraz do spraw mijającej kadencji lat 2015 – 2017.

Nie był to czas sprzyjający lewicy. Ale „Kuźnica” mimo wszystkich trudności egzystencjalnych nie zwolniła ani rytmu, ani zakresu swych działań i oddziaływań. Inną sprawą jest ich społeczna skuteczność. Z niej nie możemy być zadowoleni.

Nie zmniejszyliśmy jednak liczby członków i sympatyków, coraz więcej w naszym gronie młodych twarzy. Nasze stowarzyszeniowe spotkania i imprezy odbywaliśmy głównie w Krakowie (przeciętnie 15 rocznie). Ale także w Warszawie, gdzie wspomagali mnie dzielnie Krystyn Dąbrowa i Rafał Skąpski, a zbieraliśmy się przeciętnie co kwartał przy stuosobowej frekwencji w pięknych staromiejskich salach Klubu Księgarza kierowanego przez niezmordowanego entuzjastę i naszego przyjaciela Jana Rodzenia). I w filiach: nowosądeckiej, animowanej przez Antoniego Rączkę i tarnowskiej prowadzonej przez Stanisława Gębałę i Jerzego Śmietanę. Po śmierci Bogusława Kabajy ostabło jednak życie w filii sosnowieckiej.

Spotkania współorganizowaliśmy także z krakowskim Oddziałem Towarzystwa Kultury Świeckiej, któremu przewodził Jan Nowak, a obecnie Józef Kabaj, uczestniczyliśmy nieraz w inicjatywach położonego po sąsiedzku Centrum Kultury Żydowskiej kierowanego przez Joachima Ruska, szliśmy też razem z Centrum im. Ignacego Daszyńskiego animowanego przez Adama Jaśkowsa.

Centralne w naszej działalności miejsce zajmowały coroczne ogólnopolskie sympozja poświęcone ważnym naszym zdaniem tematom dotyczącym przeszłości, teraźniejszości i przyszłości Polski, lewicy i Krakowa. W ich organizowaniu wspomagał nas polski Oddział Fundacji im. Róży Luksemburg (kierowany przez dr Joannę Gwiazdecką, a obecnie dr. Holgarą Politta i życzliwego nam Krzysztofa Kwatra), a gościło w swych murach Muzeum Hi-

storyczne m. Krakowa. Jesteśmy im wszystkim (a także włodarzowi otwartych na naszych przyjezdnych pokoiów Klezmer Hois, Wojciechowi Ornatowi) winni wielką wdzięczność.

Zainicjowaliśmy także konferencję naukową przeprowadzoną wspólnie z największym tygodnikiem opinii „Polityka”. Odbyliśmy mianowicie w Warszawie debatę poświęconą polskiemu Październikowi '56 – w sześćdziesiątą rocznicę tego wielkiego zwrotu w dziejach Polski Ludowej. Podczas tej konferencji, otwartej przez prezesa „Kuźnicy” i redaktora naczelnego „Polityki” a moderowanej przez prof. Wiesława Władykę wystąpili uczeni tej miary co Andrzej Friszke, Karol Modzelewski, Krzysztof Pomian, Janusz Reykowski, Andrzej Walicki, Andrzej Werblan, Jerzy J. Wiatr.

W roku 2015 zakończyliśmy rozpoczęty w roku 2012 cykl corocznych „profesorskich rozmów przy sejmowym stole” organizowanych z inicjatywy „Kuźnicy” przez Klub Parlamentarny SLD w Sejmie RP. Poświęcone były pro-

blematyce: *Jaka Polska, jaka Europa?*. W dyskusjach uczestniczyło blisko trzydziestu wybitnych uczonych z zakresu nauk humanistycznych i społecznych (nikt nie odmówił nam zaproszenia, a większość stanowili bezpartyjni). Cykl zakończyła publikacja książkowa zawierająca dorobek dyskusji.

Kuźniczanie uczestniczyli też w cyklu wykładów organizowanych w Krakowskiej Akademii im. A. Frycza-Modrzewskiego (z inicjatywy jej rektora, prof. Jerzego Malca, i prof. Hieronima Kubiaka) o twórcach III Rzeczypospolitej. Po raz pierwszy zorganizowaliśmy też spotkanie w Zielonej Górze na tamtejszym uniwersytecie.

O problematyce i rezultatach naszych spotkań i działań informujemy coraz pełniej na stronach internetowych, ale przede wszystkim w „Zdaniu”, a także w tomach Biblioteki „Kuźnicy”, ukazujących się, choć z wielkim trudem od czasu do czasu. Ostatni jej tom, opublikowany przez Wydawnictwo „Universitas” w roku 2017, zawiera „rozmowę rzekę” o całym życiu seniora „Kuźnicy”, wielkiego humanisty prof. Władysława Markiewicza, z dwoma o dwa pokolenia młodszymi przyjaciółmi-intelektualistami: Pawłem Kozłowskim i Jerzym Stabickim. Książka nosi symboliczny tytuł *Sto lat przeciw głupocie*.

Niezwykłą satysfakcję sprawiła nam publikacja w Wydawnictwie UJ wielkiego i nader ważnego dla historycznej prawdy dzieła naukowego, opracowanego przez prof. Irenę Paczyńską pt. *Grypsy z KL Auschwitz Józefa Cyrankiewicza i Stanisława Kłodzińskiego* i wyróżnienie tej pracy naszej członkini prestiżową nagrodą „Polityki”.

Fundamentalną dla naszego myślenia i oddziaływania rolę odgrywa pismo „Zdanie” wydawane systematycznie w numerach obszernych, podwójnych, co pół roku. Gromadzi na swych łamach artykuły czołowych twórców polskiej myśli humanistycznej, społecznej, ekonomicznej i kulturalnej inspirowanych ideami demokracji i lewicy. Wciąż powiększające się grono autorskie pisma, wysoki jego poziom i atrakcyjność (rozprowadzane jest w nakładzie tysiąca egzemplarzy bez zwrotów) zawdzięczamy zespołowi redakcyjnemu kierowanemu przez Edwarda Chudzińskiego. Wspomaga pismo dotacja prezydenta Krakowa, a doskonały druk zawdzięcza ono właścicielce Toruńskich Zakładów Graficznych „Zapolex”, Jolancie Polkowskiej, której jesteśmy nieustannie wdzięczni. Każdy numer „Zdania” promujemy na kuźniczańskich spotkaniach w Warszawie i Krakowie ciesząc się bardzo dużą frekwencją naszych sympatyków.

Na mój wniosek prezydent Krakowa podjął decyzję o wmurowaniu tablicy pamiątkowej w domu na Kazimierzu, w którym żył i tworzył jeden ze współzałożycieli „Kuźnicy” – Henryk Vogler, wybitny krakowski pisarz, wydawca, człowiek teatru, w młodości więzień hitlerowski skazany na Zagładę.

Cieszy nas, że nasze wyróżnienia honorowe – „Kowadła” nadawane tym, których uważamy za swych przewodników i nauczycieli cieszą się nadal estymą w środowiskach postępowej inteligencji. Bywają wręczane w Krakowie i Warszawie w podniosłej przyjacielskiej atmosferze. W mijającej kadencji przyznaliśmy je Hieronimowi Kubiakowi, Jerzemu Hausnerowi, Bronisławowi Łagowskiemu, Marianowi Stępniewi, Edwardowi Chudzińskiemu, Janowi Widackiemu i Włodzimierzowi Cimoszewiczowi.

Nasi przedstawiciele – w szczególności prezes – brali udział we wszystkich spotkaniach organizowanych przez stowarzyszenia, fundacje i partie polityczne związane

z lewicą i demokracją, na które byliśmy zapraszani w Krakowie i Warszawie. Szczególne miejsce zajmowały w tym międzynarodowe konferencje inicjowane i organizowane przez Fundację Amicus Europae, założoną i animowaną przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, a także sympozja Forum Postępu animowane przez Sławomira Wiatra. Było tych spotkań bardzo wiele, a wspomagali prezesa w reprezentowaniu „Kuźnicy” jego zastępcy Filip Ratkowski, Rafał Skąpski i Paweł Sękowski.

Można więc powiedzieć, że uczestniczymy w większości inicjatyw i manifestacji zmierzających do ożywienia lewicowej myśli i działań. Wszędzie wypowiadamy się, mając na celu głębszą integrację Polski w Unii Europejskiej, obronę racji stanu, zasad Konstytucji i państwa prawa, przestrzegania praw obywatelskich i takiejże odpowiedzialności, stajemy przeciw agresji, nacjonalizmowi i ksenofobii, zaściankowości i parafianstwu, chcemy przewycięzać powszechne lęki i małość.

Nie brakowało nas też w corocznych 1-Majowych manifestacjach organizowanych przez związki zawodowe i stowarzyszenia lewicy, ani w wiecach w obronie Konstytucji, praw człowieka, równości płci i poszanowania mniejszości. Prezes zwykł także reprezentować „Kuźnicę” w uroczystościach organizowanych przez prezydenta Krakowa na cmentarzu Rakowickim w rocznicę wyzwolenia Krakowa przez Armię Radziecką. Uczestniczył też w obchodach 125. rocznicy powstania Polskiej Partii Socjalistycznej.

W okresie mijającej kadencji uczestniczyliśmy też czynnie w kampaniach wyborczych – samorządowych i parlamentarnych. Angażowaliśmy się konsekwentnie i z sukcesem na rzecz wyborcu prof. Jacka Majchrowskiego na prezydenta Krakowa. W wyborach do Sejmu popieraliśmy naszych kuźniczańskich kandydatów startujących ze wspólnej listy lewicy. W wyborach prezydenta Polski proponowaliśmy lewicy przedstawienie kandydatury wybitnej kobiety (np. Moniki Płatek, Barbary Nowackiej czy Krystyny Łybackiej), ale po nieprzyjęciu naszych wniosków zdecydowaliśmy się, z poczucia odpowiedzialności, poprzeć kandydaturę zupełnie nam nieznaną przedstawicielki SLD. Przyczyniliśmy się przez to do wyborczej kompromitacji lewicy. Musimy z tego wyciągnąć wnioski na przyszłość.

Dzisiaj, przy całym właściwym kuźniczanom, zróżnicowaniu poglądów – od liberalno-lewicowych do lewicowości radykalnej, uważamy, że sprawą najważniejszą jest zapobieżenie stoczeniu się Polski ku prawicowym rządóm autorytarnym czy nawet na wódyktatorskim i zepchnięciu naszego państwa na margines Unii Europejskiej, ku zagrożeniu polskiej racji stanu.

Dlatego wzywamy konsekwentnie do współdziałania wszystkich nurtów i organizacji uważających się za lewicowe oraz do porozumienia wszystkich sił demokracji w dążeniu do uratowania zasad Konstytucji i prawa, silniejszej integracji w Unii Europejskiej i dobrego współdziałania z sąsiadami Polski, do przewyciężenia wszystkich postaci ksenofobii oraz upośledzenia kobiet i mniejszości.

\* \* \*

Dużo miejsca w wysiłkach Rady „Kuźnicy” i jej prezesa, a także Fundacji „Kuźnicy” i jej niestrudzonego prezesa Kazimierza Karpa zajmowały starania o zapewnienie Stowarzyszeniu materialnych warunków funkcjonowania. Przy przestrzeganiu przez kuźniczan i naszych



przyjaciół zasady bezhonorarijnego zaangażowania w prace programowe nie możemy przecież obyć się bez minimum finansowania kosztów siedziby dzielonych z zaprzyjaźnionym Stowarzyszeniem Antykwariuszy i Manszardów Polski i kosztów organizacji naszych działań. Środki płynące ze składek członkowskich i te pozytywnie przez naszą Fundację uzupełnialiśmy darowiznami naszych członków i przyjaciół, płynącymi głównie z ich honorariów autorskich i poczucia odpowiedzialności za uparte istnienie „Kuźnicy”. Samofinansowaliśmy naszą działalność bieżącą z najwyższym trudem, nie popadając jednak w długi. Na najbliższą przyszłość mamy obiecaną pomoc ze strony Fundacji Amicus Europae. Nie zapomnimy o naszej wdzięczności.

\* \* \*

Rada „Kuźnicy” działała systematycznie i dyskutowała gorąco. Odbiliśmy w ciągu kadencji dziewiętnaście jej posiedzeń w atmosferze przyjaźni i zasadniczej jedności. Muszę wyznać, że rytmiczność i niezawodność działań „Kuźnicy” zawdzięczamy w dużej mierze przyja-

cielskiej grupie tych, którzy tworzą Prezydium Rady, że wymienię wiceprezesów Filipa Ratkowskiego i Antoniego Rączkę, a w ostatnim okresie Rafała Skąpskiego i Pawła Sękowskiego – oni wspomagani byli skutecznie i z zapałem przez kilka ważnych postaci kuźniczańskiej starsziny – Józefa Klasę, Jana Brońka, Jana Nowaka, Edwarda Chudzińskiego, Mariana Stępnia, Jana Güntnera, Zdzisława Lesia, Halinę Krywak, Danielę Tratkiewicz, Jerzego Huczковского. I nade wszystko przez sekretarza Rady i szefa, a zarazem jedyne go pracownika jej biura – Ewę Wasil bez której mądrości, przenikliwości i oddania wieloletni prezes nie mógłby nie tylko wypełniać obowiązków, ale w ogóle funkcjonować w miarę sprawnie.

Przysłemu prezesowi życzę takiego grona współpracowników – przyjaciół. A przede wszystkim nowego pokolenia tych, którzy tworzą przyszłość, w szeregach członkowskich. Wyrażam nadzieję, że będziemy wszyscy trwać i działać dla pożytku naszej szlachetnej sprawy.

ANDRZEJ KURZ

**PAWEŁ SĘKOWSKI, nowowybrany prezes**

## **„KUŹNICA” POZOSTANIE MIEJSCEM DYSKUSJI INTELEKTUALNYCH LEWICY**

Dziękuję Państwu, za zaufanie, jakim mnie obdarzyliście i za wybór na nowego prezesa Stowarzyszenia „Kuźnica”. Zdaję sobie sprawę, że była to z Waszej strony decyzja odważna, jako że w ten sposób następuje dość rewolucyjna zmiana pokoleniowa na czele naszego stowarzyszenia. Jednocześnie chciałbym zapewnić, że moja wizja działalności „Kuźnicy” to „twórcza kontynuacja”, a nie rewolucja. Przecież przyciągnęła mnie taka „Kuźnica”, jaką była ona do tej pory. „Kuźnica” to konkretna, godna szacunku tradycja, ale to przede wszystkim Wy, kuźniczanki i kuźniczanie. Tej idei naszego stowarzyszenia chcę pozostać wierny. (...)

\*

Chciałbym w tym miejscu i w tych okolicznościach podziękować trzem osobom, którym w „Kuźnicy” szczególnie wiele zawdzięczam.

Dziękuję prof. Irenie Paczyńskiej, mojej pierwszej mistrzyni w naukowym rzemiośle w Uniwersytecie Jagiellońskim, dzięki której pojawiłem się w „Kuźnicy” po raz pierwszy w 2010 r. na promocji książki *Jakub*

*Berman. Biografia komunisty* autorstwa Anny Sobór-Świdorskiej – książki napisanej na podstawie rozprawy doktorskiej, której promotorką była profesor Paczyńska.

Dziękuję prof. Hieronimowi Kubiakowi, który był prezesem „Kuźnicy” w czasie, gdy do niej zawitałem, a którego klasa intelektualna i etyczna przyciągnęły mnie do „Kuźnicy” na dobre. Za zaszczyt poczytuję sobie fakt, że to właśnie profesor Kubiak rekomendował pozytywnie mój wniosek o przyjęcie w poczet członków „Kuźnicy”.

Dziękuję wreszcie prezesowi Andrzejowi Kurzowi, z którym miałem zaszczyt współpracować szczególnie blisko przez ostatnie dwa lata, od momentu, gdy wszedłem w skład prezydium Rady „Kuźnicy”. Chcę jednoznacznie stwierdzić, iż podzielam wizję lewicowości Andrzeja Kurza – otwarcie zarówno na środowiska tzw. nowej lewicy, jak na środowiska demokratyczne, centrolewicowe. Ceniłem przymioty intelektualne i ludzkie, wiedzę, ale także – muszę to wspomnieć – genialne poczucie humoru Andrzeja Kurza. W nowej sytuacji nie przestanę tych przymiotów cenić.

Prezes Andrzej Kurz pozostanie, musi pozostać ważną postacią „Kuźnicy” jako jej wieloletni prezes,

który poświęcił stowarzyszeniu niemałą część swojego życia i ogromne pokłady zaangażowania. Ze względu na te niekwestionowane zasługi dla Stowarzyszenia „Kuznica”, a także moją wielką osobistą wdzięczność, Andrzej Kurz pozostanie dla mnie – ale wyrażam przekonanie, że również dla całej „Kuznicy” – Prezesem Seniosem naszego stowarzyszenia, z którego rad i wskazówek, jeśli tylko wyrazi na to zgodę, będę z pewnością korzystać. Dlatego też chciałbym zaproponować Prezesowi Seniorowi dalszy udział w posiedzeniach Rady „Kuznicy” w nowej, rozpoczynającej się kadencji. Andrzeju, raz jeszcze bardzo dziękuję!

\*

Czym dzisiaj jest „Kuznica”? Na pewno nie jest już partnerem w dialogu z ośrodkiem władzy, jakkolwiek by ta władza była. Nie jest też już ośrodkiem szkoleń partyjnych jakiegokolwiek partii politycznej. „Kuznica” jest po to, aby – jak to ujął niegdyś prof. Marian Stępień – „rozmawiać o sprawach istotnych z pozycji lewicy, dyskutować swobodnie o ważnych zjawiskach”. W dalszym ciągu będziemy również prezentować opinie członków i Rady Stowarzyszenia w trakcie kuźnicowych spotkań i konferencji oraz na łamach „Zdania”, tak znakomicie redagowanego przez Edwarda Chudzińskiego. Chcemy spotykać się i dyskutować w miejscu, które jako swoje postrzegaliby ludzie nauki, kultury, twórcy i działacze na tych polach, a także działacze oświatowi. Jesteśmy także otwarci na działaczy społeczno-politycznych o szerszych horyzontach i aspiracjach intelektualnych. Nie chcemy być towarzystwem cechującym się jakimś ekskluzywizmem, ale stoję mocno na stanowisku, że musimy pozostać, „Kuznica” musi pozostać miejscem dyskusji intelektualnych na pewnym poziomie.

Jesteśmy stowarzyszeniem grupującym inteligencję lewicową. Nie utożsamiamy się jednak z żadną konkretną partią polityczną. A może raczej należałoby powiedzieć: każdy z nas, kuźniczan, może utożsamiać się z inną partią lewicową, bądź nie utożsamiać się z żadną. W moim głębokim przekonaniu, nikt w „Kuznicy” nie powinien tych identyfikacji negocować czy krytykować. W „Kuznicy” nikt nikomu nie będzie wypominać przynależności do – z jego punktu widzenia – nieprawomyślniej partii lewicowej. Zgadzam się w pełni ze słowami Prezesa Seniora Andrzeja Kurza: lewicą jest ten, kto sam się za lewicę uważa. Przycoczę również słowa Prezesa Honorowego naszego stowarzyszenia, Hieronima Kubiaka: lewicowość to cecha osobowości, a nie struktura formalna. W pełni tę opinię podzielam.

W dzisiejszej dyskusji pojawił się postulat jednoznacznego poparcia „Kuznicy” dla wysiłków ku zjed-

noczeniu lewicy. Popieram ten postulat. W nowo wybranej Radzie Stowarzyszenia obok długoletnich członków działaczy „Kuznicy”, w tym jej twórców oraz działaczy Sojuszu Lewicy Demokratycznej, na czele z Ryszardem Śmiałkiem, członkiem Rady Krajowej i przewodniczącym Małopolskiej Rady Wojewódzkiej SLD, znaleźli się także członkowie Partii „Razem” z Moniką Szymańską, członkinią Rady Krajowej „Razem” oraz Kazimiera Szczuka jako reprezentantka środowisk kobiecych i Stowarzyszenia Inicjatywa Polska. Chciałbym zaapelować, abyśmy docenili decyzję tych środowisk o włączeniu się w prace „Kuznicy” i popierając dążenie do współpracy różnych partii i ruchów lewicy, jednocześnie nie zniechęcili na wstępie niektórych z nich naciskami na bardzo konkretną ścisłą współpracę formalną, w postaci np. wspólnej listy wyborczej. Będziemy zapraszać do „Kuznicy” liderów polskiej lewicy, rozmawiać z nimi i namawiać do szukania punktów stykowych z innymi środowiskami lewicy. Musimy jednak robić to mądrze i z rozwagą.

\*

W nowej kadencji Rady i mojej kadencji jako prezesa Stowarzyszenia „Kuznica” proponuję skupienie się na kilku kluczowych kwestiach jako przedmiotach dyskusji i namysłu.

Tak jak do tej pory i na co zawsze szczególnie silny nacisk kładł prezes Andrzej Kurz, „Kuznica” musi zastanawiać się nad polską racją stanu, w tym nad miejscem Polski w Europie, naszym zakorzenieniem w Unii Europejskiej, oraz uwzględniać zagadnienie polskiej racji stanu w swoich działaniach i w treści uchwał podejmowanych przez Radę.

Będziemy również w dalszym ciągu podejmować kwestie dziedzictwa i pamięci o Polsce Ludowej, bez upiększeń, ale i bez przekłamań. Nie ulega wątpliwości, że dzisiaj szczególnie zagrożenie stanowi urzędowe zakłamywanie i upraszczanie historii Polski Ludowej i biografii wielu ludzi, którzy zaangażowali się w działalność społeczną, kulturalną i polityczną w tym okresie, w jedynej Polsce, jaka w ówczesnych uwarunkowaniach geopolitycznych istnieć mogła.

Chciałbym, aby „Kuznica” w stopniu nieco większym niż miało to miejsce do tej pory podjęła zagadnienie współczesnych tendencji w myśli lewicowej nie tylko w Polsce, ale również za granicą, szczególnie w Europie Zachodniej. Liczę na to, że będę mógł na tym polu wykorzystać moje kontakty naukowe, przede wszystkim we Francji, ale także w Niemczech czy Izraelu.

Chcemy podejmować zagadnienia lewicowego punktu widzenia w kulturze. Nie wymienię w tym kontekście oświaty i nauki, jako że uważam, iż te nie mogą być lewicowe ani prawicowe, ale mają być po prostu obiektywne. Oczywiście, można z kolei podejmować



Fot. Andrzej Głuc

temat punktu widzenia ludzi lewicy na organizację oświaty i nauki w Polsce.

Nie będziemy zamykać się na dyskusje o klasycznych postulatach socjalnych lewicy, np. o prawach pracowniczych czy o funkcjonowaniu związków zawodowych.

Nie będziemy unikać problematyki stosunków państwo-Kościół i optymalnej regulacji prawnej w tym zakresie, która spełniałaby postulat świeckiego charakteru państwa.

Wszystko to oczywiście nie jednoosobowo, lecz kolegiально, z uwzględnieniem głosu członków „Kuznicy”, z pomocą Rady i ze szczególnym oparciem w ścisłej współpracy z Prezydium Rady i Prezesem Seniorem Andrzejem Kurzem, a także naszym Prezesem Honorowym Prof. Hieronimem Kubiakiem.

\*

Chciałbym w kilku słowach powiedzieć jeszcze o konkretnych, najbliższych planach „Kuznicy”.

Będziemy podejmować starania w kierunku przyciągnięcia do naszego stowarzyszenia nowych członków, przede wszystkim przedstawicieli młodszego i średniego pokolenia, aktywnych zawodowo w środowiskach naukowych czy artystycznych. Jest to, obok zagadnienia zabezpieczenia spraw lokalowych „Kuzni-

cy”, najważniejsze zadanie organizacyjne władz stowarzyszenia w zbliżającej się kadencji.

Udało nam się uzyskać na najbliższe dwa lata dotację z Fundacji Amicus Europae dla Fundacji „Kuznica”, co z pewnością pomoże stowarzyszeniu w bieżącym funkcjonowaniu. Jesteśmy winni fundacji i panu prezydentowi Aleksandrowi Kwaśniewskiemu wielką wdzięczność.

Dziękujemy także za pomoc w funkcjonowaniu naszego biura Sojuszowi Lewicy Demokratycznej.

W bieżącym półroczu zorganizujemy dwie duże konferencje, obydwie przy wsparciu Fundacji Róży Luksemburg. W dniach 15–16 marca b.r., wspólnie z Centrum Kultury Żydowskiej w Krakowie zorganizujemy sesję zatytułowaną *Marzec'68 pięćdziesiąt lat później*. Gospodarzem konferencji będzie Centrum Kultury Żydowskiej. Z kolei 12 maja b.r. odbędzie się coroczna majowa sesja „Kuznicy” w Muzeum Historycznym Miasta Krakowa. W tym roku tematem konferencji będzie *Czym była Polska Ludowa (1944-1989) i co z niej zostało?*.

O innych planach, moich i Waszych, porozmawiamy na pierwszym posiedzeniu nowej Rady. Deklaruję otwartość na Wasze propozycje. (...)

PAWEŁ SĘKOWSKI

## UCHWAŁA WALNEGO ZEBRANIA

**I. Oceniając pozytywnie działalność Stowarzyszenia w mijającej kadencji**, jesteśmy świadomi, że była ona ograniczona warunkami społeczno-politycznymi i wynikającymi z nich trudnościami materialnymi, które niejednokrotnie hamowały inicjatywę władz „Kuznicy”.

Warunki te związane są przede wszystkim z brakiem – po raz pierwszy w historii III RP – reprezentacji lewicy w parlamencie, a także słabością opozycji liberalnej oraz dominacją w Sejmie i Senacie nurtu antydemokratycznego, antyeuropejskiego i sklerikalizowanej partii Prawo i Sprawiedliwość. Partia ta, nadużywając uzyskaną w wyborach większość parlamentarną, nie bacząc na społeczne, masowe protesty oraz na opinie instytucji międzynarodowych, w tym organów Unii Europejskiej, dopuszcza się łamania Konstytucji, podporządkowała sobie Trybunał Konstytucyjny i sądownictwo, przygotowuje zamach na niezawisłość środków masowej informacji, na władze samorządowe, na niezależność organizacji społecznych oraz obsadza według kryterium partyjnego niewralgiczne politycznie i gospodarczo stanowiska. Wprowadza reformę szkolnictwa, która prowadzi do wychowania młodego pokolenia w duchu nacjonalistycznym i klerykalnym.

W sposób fałszywy i zakłamany, oparty na IPN-owskiej polityce historycznej przedstawia historię narodu i państwa polskiego, przede wszystkim zaś historię

Polski Ludowej. Zakłamana i uproszczona państwowa „polityka historyczna” również poza murami szkoły propaguje fałszywy i jednostronny obraz Polski Ludowej, oczernia rzesze Polaków aktywnych w dziele odbudowy kraju po drugiej wojnie światowej oraz wielu działaczy społecznych, politycznych i kulturalnych, którzy dobrze zasłużyli się Polsce między 1944 a 1989 rokiem. Jednocześnie urzędowo promowany jest kult tzw. żołnierzy wykłetych, co stanowi przejaw całkowitego odejścia obecnych władz od krytycznej refleksji i zdrowego rozsądku.

Wyrażamy szacunek i uznanie dla tych Polaków, którzy walczyli o naszą wolność, idąc do ojczyzny od Wschodu.

„Kuznica” konsekwentnie upominała się o właściwą ocenę dorobku Polski Ludowej, będącego owocem wielkiego wysiłku polskiego społeczeństwa zaangażowanego w powojenną odbudowę kraju i jego rozwój społeczno-gospodarczy.

Do wyborczego sukcesu prawicy przyczyniła się przede wszystkim polityka i działalność głównej, rządzącej przez dwie kadencje prawicowo-liberalnej partii – Platformy Obywatelskiej. Jednak miał w tym swój udział Sojusz Lewicy Demokratycznej. Stowarzyszenie „Kuznica”, od początku swego istnienia związane z lewicą, a szczególnie z jej główną emanacją polityczną – Sojuszem Lewicy Demokratycznej, niejednokrotnie wyrażało

krytyczne opinie o wielu aspektach działalności i funkcjonowania tej partii. Być może byliśmy jednak nie dość krytyczni wobec niedoceniań przez SLD problemów społecznych, w tym narastających w III RP nierówności ekonomicznych, obrony praw pracowniczych, praw kobiet.

Nasze stanowisko wobec aktualnej sytuacji wyraziliśmy w uchwale Rady Stowarzyszenia ze stycznia 2017 r. w której pisaliśmy: »„Kuznica”, stowarzyszenie ludzi kultury, wiedzy i edukacji, od ponad 45 lat zaangażowane w działalność na rzecz polskiej racji stanu i praw człowieka, europejskich wartości postępu, cywilizacji i kultury zwraca się – zaniepokojone – do ludzi dobrej woli, ich organizacji i związków, do polskiego społec-



Fot. Andrzej Głuc

zeństwa. Państwo nasze od dłuższego czasu mierza w złym kierunku. Odchodzimy od zasad współzycia w przyzwoitości, kulturze i światłości, od porządku konstytucyjnego i poszanowania prawa, od zbawiennych dla Polski związków z Unią Europejską, od przyjaznej współpracy z wszystkimi sąsiadami. A były to i są nadal sprawy najważniejsze, decydujące o naszym bezpieczeństwie i dobrostanie, o naszej przyszłości i samym wręcz istnieniu jako państwa pomyślnie się rozwijającego, przyczyniającego się do pokojowego współzycia w Europie i świecie«.

W obliczu coraz groźniejszych sytuacji, jakie dla Polski i Polaków stwarza zagrażająca swobodom obywatelskim i naszej pozycji w Unii Europejskiej polityka i praktyka działania PiS-u uważamy, że wszystkie lewicowe nurty powinny podjąć działania na rzecz uzyskania w wyborach samorządowych oraz wyborach parlamentarnych wyników dających lewicy ważne miejsce w ogniwach samorządowych, a przede wszystkim przełamujących monopol prawicy w Sejmie i Senacie.

## **II. Uwzględniając oceny zawarte w sprawozdaniach i dyskusji Walne Zebranie:**

1. Akceptuje przedstawione sprawozdania i informacje, i wyraża uznanie dla ich autorów. Zawarte w nich treści zaświadczenia o dużej aktywności i dalszym umacnianiu autorytetu Stowarzyszenia.

2. Wyraża uznanie Andrzejowi Kurzowi za jego zaangażowanie i owocną pracę na rzecz realizacji celów i zadań Stowarzyszenia. Prezes umiejętnie, włączając

do różnych projektów członków Rady i sympatyków, przyczynił się w decydującym stopniu do budowania autorytetu „Kuznicy”, która cieszy się uznaniem i szacunkiem wielu ludzi i środowisk – nie tylko tych związanych z lewicą. Konsekwentne realizowanie trwałych inicjatyw takich jak: organizowanie spotkań dla członków i sympatyków, uroczystości wręczenia Nagrody „Kowadła Kuźnicy”, coroczne majowe sesje poświęcone ważnym tematom społeczno-politycznym i historycznym, spotkania z okazji promocji kolejnych numerów „Zdania”, powiększanie dorobku Biblioteki „Kuznicy”, czy współpraca z ośrodkami życia społecznego i kultury w Warszawie stanowią wielki dorobek i budzą szacunek.

3. Wyraża uznanie dla wysokiego poziomu redagowania pisma „Zdanie”, cieszącego się szacunkiem wielu środowisk intelektualnych i wyraża podziękowanie Edwardowi Chudzińskiemu za twórcze budowanie pisma i za mądre kierowanie zespołem redakcyjnym. Niewątpliwym sukcesem pisma dobrze służy „Kuznicy”.

4. Dziękuje Fundacji „Kuznica” za skuteczną pomoc naszemu Stowarzyszeniu poprzez przekazywanie środków finansowych na działalność merytoryczną. Z szacunkiem odnosimy się do działalności Kazimierza Karpa prezesa Fundacji.

Dziękujemy za wspieranie naszego Stowarzyszenia kierownictwu SLD, a także wszystkim, którzy przekazali 1 proc. od podatku dochodowego i systematycznie opłacają składki członkowskie.

Nasze podziękowania składamy Fundacji Róży Luksemburg, Urzędowi Miasta Krakowa, szczególnie jego Wydziałowi Kultury oraz Muzeum Historycznemu Miasta Krakowa za wielką pomoc w organizacji publicznych konferencji Stowarzyszenia „Kuznica”, a zwłaszcza corocznych sesji majowych.

Jesteśmy wdzięczni Klubowi Księgarza w Warszawie za pomoc w organizowaniu naszych uroczystości wręczenia nagrody Kowadła i promocji „Zdania”.

5. Wyraża zadowolenie z racji podejmowanej przez prezydium Stowarzyszenia współpracy z różnymi środowiskami i pozyskiwania sojuszników dla realizacji naszych celów programowych oraz poprzez koncepcję dalszego rozwijania kontaktów i współpracy „Kuznicy” z różnymi środowiskami lewicowymi.

6. Popiera koncepcję dalszego współdziałania Stowarzyszenia z Sojuszem Lewicy Demokratycznej i innymi środowiskami lewicowymi oraz oczekuje od członków „Kuznicy” zaangażowania w realizację wpisujących się w profil działalności Stowarzyszenia poczynań podejmowanych przez partie i ruchy lewicy.

7. Wyraża zaniepokojenie niskimi wpływami środków z tytułu opłacania składek członkowskich i apeluje do wszystkich członków Stowarzyszenia o rychłe spełnienie tego statutowego obowiązku.

8. Zobowiązuje Radę Stowarzyszenia do wnikliwego przeanalizowania wszystkich wniosków płynących z dzisiejszej dyskusji i uwzględnienia ich w planach działania.

**Kraków, 20 stycznia 2018 r.**

# NOWE WŁADZE „KUŹNICY”

**Walne Zebranie Członków „Kuznicy” w dniu 20 stycznia 2018 r.** dokonało wyboru prezesa Stowarzyszenia oraz członków Rady „Kuznicy”, członków Komisji Rewizyjnej i członków Sądu Koleżeńskiego:

**Prezes: Paweł Sękowski**

**Rada:**

Jerzy Aleksandrowicz  
Jan Broniek  
Edward Chudziński  
Wojciech Chwaja  
Radosław Dzik  
Anna Filek  
Marcin Galent  
Barbara Grobler  
Jerzy Huczowski  
Kazimierz Karp  
Józef Klasa  
Halina Krywak  
Jan Leśniewski  
Adam Markuszewski  
Bogdan Michnowicz  
Mieczysław Mietła  
Mieczysław Noworyta  
Wacław Passowicz  
Filip Ratkowski  
Antoni Rączka  
Rafał Skąpski  
Kazimiera Szczuka  
Monika Szymańska  
Ryszard Śmiałek  
Daniela Tratkiewicz  
Dorota Ufir  
Ewa Wasil

**Komisja Rewizyjna:**

Ryszard Bąk  
Marian Dziwisz  
Jan Karkowski  
Zdzisław Leś  
Stanisław Zygmuntowicz

**Sąd Koleżeński:**

Zofia Bunsch-Makarewicz  
Mateusz Burzawa  
Jan Güntner  
Andrzej Kozanecki  
Jan Nowak

Na inauguracyjnym posiedzeniu Rady Stowarzyszenia „Kuznica” (25 01 2018), które prowadził prezes **Paweł Sękowski**, wybrane zostało prezydium Rady w składzie:

Halina Krywak – zastępca prezesa, skarbnik  
Filip Ratkowski – zastępca prezesa  
Antoni Rączka – zastępca prezesa  
Rafał Skąpski – zastępca prezesa  
Ewa Wasil – sekretarz

**Ukonstytuowały się również władze Komisji Rewizyjnej:**

Stanisław Zygmuntowicz – przewodniczący  
Marian Dziwisz – sekretarz

**oraz Sądu Koleżeńskiego:**

Jan Güntner – przewodniczący  
Zofia Bunsch-Makarewicz – wiceprzewodnicząca.



Fot. Andrzej Gluc

ANDRZEJ KURZ

# O MARKU – PRZYJACIELU I MENTORZE

Kiedy w 60. rocznicę polskiego Października'56 zorganizowaliśmy w gościnnej sali Muzeum Historycznego m.Krakowa wielkie, naukowo-wspomnieniowe, sympozjum „Kuźnicy”, wszyscy jego uczestnicy starzy i młodzi zadawali sobie jedno pytanie: czy przyjdzie do nas główny animator i bohater tych przełomowych wydarzeń w powojennym Krakowie, 90-letni profesor UJ, Marek Waldenberg. Wiedzieliśmy już, że druga ważna postać Październikowego zwrotu w Krakowie, przywódca robotniczy i partyjny lider Huty im. Lenina a późniejszy długoletni jej poseł na Sejm Zbigniew Jakus już nie ma siły, aby na dłużej wyjść z domu.

Dla kuźnicznan, tak jak dla wielu krakowian myślących o ważnych sprawach naszych czasów, pozostawał Marek Waldenberg wciąż autorytetem budzącym największy szacunek i przyjazne uczucia. Intelktualista, uczony o sławie europejskiej, zaangażowany w dalekiej przeszłości w politykę i szybko dobrowolnie z niej rezygnujący, kiedy wartości ideowe, które wyznawał, przestały po Październiku być ważne, a została goła władza.

I Marek Waldenberg na spotkanie z nami dotarł. Nie miał już siły zabrać głosu, choć miał w oczach na to ochotę, ale przyjaźnie witał się ze wszystkimi i powściągliwie, jak zawsze, uśmiechał. Byliśmy szczęśliwi, a on wiedział, że to już ostatni raz. Przez następne miesiące coraz bardziej gościł, aby po 92. urodzinach uznać w szpitalu, że należy mu się spokojne odejście bez męczenia bliskich i lekarzy. I tak dotrwał do ranka 25 lutego 2018 r.

A życie miał bogate. Przede wszystkim w zaraniu młodości naznaczonej przez okrucieństwo wojny spędzonej w rozdieranym etnicznymi konfliktami i śmiertelnymi zmaganiem różnych grup zbrojnych okupowanym mieście, w którym się urodził – Równem na Wołyniu. Te lata upłynęły kilkunastoletniemu chłopcu na zabieganiu wraz z owdowiałą matką – o codzienne przeżycie, na ciągłych, szaleńczo odważnych eskapadach po Kresach, aby przy ogromnej dozie szczęścia uniknąć wywiezienia przez Sowieców, zamordowania

przez Niemców czy zarżnięcia przez ukraińskie bandy. A w chwilach spokojniejszych łapczywie czytał i zdobywał wiedzę.

Po wojnie, po krótkich wędrówkach i dorywczych pracach zawodowych, osiadł wraz z matką na zawsze w Krakowie. Matka do swego końca a Markowego wieku bardzo dojrzałego pozostawała postacią najważniejszą, choć kilka kobiet, atrakcyjnych i interesujących wiązało się z nim na lata. A Marek w powojennym Krakowie rzucił się w wir uzupełniania wykształcenia i aktywności społecznej, w sposób najzupełniej naturalny wiążąc się z Polską Partią Socjalistyczną i ruchem akademickim. W tak samo naturalny sposób rozwijał swe zainteresowania nauką o historii idei i ustrojach społecznych. Wrodzona mu refleksyjność, nieuleganie doraźności propagandy i ciągnięcie ku kulturze, a także życiowe doświadczenie zwróciły na niego uwagę wybitnych profesorów, przede wszystkim braci Stefana i Konstantego Grzybowski.

Młodemu magistrowi powierzono najpierw wykłady, a wkrótce kierowanie nowo powstałą katedrą marksizmu–leninizmu na Uniwersytecie Jagiellońskim. (O wszystkim tym i okresach późniejszych swego życia opowiedział w obszernym i nadzwyczaj ciekawym wywiadzie z cyklu *Trzech na jednego* opublikowanym w jesiennym numerze „Zdania” z 2005 roku, wkrótce po przyznaniu mu honorowego wyróżnienia „Kuźnicy” – Kowadła. I do tej lektury odsyłam zainteresowanych prawdziwą historią.)

A sam Marka poznałem jesienią 1950 jako student pierwszego roku polonistyki na Jagiellońskim Uniwersytecie. Wykład z marksizmu, a ściślej z marksistowskiej estetyki prowadził doktor Stefan Morawski, ćwiczenia zaś magister Marek Waldenberg. Obaj byli członkowie PPS wyróżniali się oryginalnością argumentacji, kulturą bycia i zupełnym unikaniami panującego wówczas prymitywizmu polityczno-ideowego. Stefan Morawski już wtedy miał kłopoty, oskarżany o odchodzenie od leninowskiej ortodoksji.



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

Cóż więc dziwnego, że tak wielu studentów Waldenberga, głównie zresztą polonistów, zostało wówczas początkującymi asystentami w katedrze marksizmu budującej swą kadrę. Zaś kilkunastu spośród nich, inspirowanych przez Marka, wyrosło na wybitnych profesorów – polonistyki jak Marian Stępień i Stanisław Jaworski, historii jak Mariusz Kulczykowski czy Irena Mróz-Kaniewska, filozofii jak Zbigniew Kuderowicz czy Michał Hempoliński, socjologii (sportu!) jak Zbigniew Krawczyk. No i sławny „guru” polskiego dziennikarstwa Stefan Bratkowski.

Zostałem pierwszym (w kolejności czasowej) wśród asystentów Morawskiego i Waldenberga. Już bowiem pod koniec drugiego roku moich studiów Marek zaproponował mi pracę w katedrze, zapewne ujęty moją fascynacją książką Juliana Hochfelda *My socjaliści*, stalinowskimi *Zagadnieniami leninizmu* i jeszcze z liceum wyniesionymi lekturami Adama Schaffa, a pewnie także przejęciem się wspnianymi polonistycznymi wykładami prof. Kazimierza Wyki przybliżającymi nam m.in. myśl historyzoficzną Georgija Plechanowa, (to ostatnie szczególnie ujęło Stefana Morawskiego, który chciał mnie przerobić na filozofa).

I tak od końca 1951 wpadłem w rytm gorączkowych lektur niezbędnych do przygotowania ćwiczeń z kilkunastoma grupami o rok ode mnie młodszych studentów polonistyki, historii sztuki i historii kultury materialnej. Mimo absolutnego zaabsorbowania zajęciami asystenckimi i aktywnością partyjną (Marek wprowadził mnie, świeżo przekonanego socjalistę z endeckiego środowiska domowego do egzekutywy uczelnianego komitetu partii na UJ) udało mi się ukończyć polonistykę dyplomem u prof. Stanisława Pigionia, a nawet

propozycją asystentury u najwybitniejszego polskiego językoznawcy, prof. Kazimierza Nitscha. Ale do tej ostatniej roli dużo lepiej nadawała się moja koleżanka z grupy studenckiej, Zosia Kawynówna, z którą w 1953 roku postanowiliśmy razem iść przez życie i trwało to następnych 50 lat i trzy dni, aż do jej śmierci. Co Marka wzruszało.

W tymże samym roku 1953 Marek Waldenberg zaproponował mi przejście na studia magisterskie z historii ze specjalizacją w międzynarodowym ruchu robotniczym na Uniwersytecie Warszawskim i oddał mnie tam w ręce prof. Andrzeja Werblana. Ten przyjął mnie zarazem na asystenta, wypromował na swojego pierwszego magistra i skierował na studia doktorskie w Instytucie Nauk Społecznych przy KC PZPR, kierowanym przez sławnego prof. Adama Schaffa. Na INS zostałem bliskim choć młodszym kolegą nie tylko samego Werblana, ale całej plejady najwybitniejszych wkrótce rewizjonistów – Bronisława Baczki, Włodzimierza Brusa, Jerzego Szackiego, Adama Sikory, Leszka Kołakowskiego, Kazimierza Łaskiego, Stanisława Kuźnińskiego, Czesława Madajczyka, Jerzego Holzera i innych, równie potem sławnych. Wszedłem wtedy także na drogę czynnej polityki jako wybrany przez kolegów na fali Października’56 I sekretarz partyjnego komitetu tegoż Instytutu.

W ten sposób Marek Waldenberg wpłynął decydująco na moją życiową drogę. Choć sam od studiów doktoranckich na INS dwukrotnie się wykręcał, nie lubił bowiem tamtejszej atmosfery partyjnego klasztoru, wciąż zdominowanej przez straszliwą historię polskich komunistów. Marek nie znosił niczego, co ograniczało wolność jego myśli i czystość socjalistycznych wartości, które wybrał. Od tamtego też czasu widywaliśmy się rzadziej, ale kiedy tylko się spotykaliśmy, wydawało nam się, że rozstaliśmy się wczoraj i wciąż myślimy tak samo.

Częściej nieco spotykaliśmy się i rozmawiali godzinami właśnie w okresie wydarzeń Października’56 i przygotowań do niego. Marek działał wtedy w Krakowie na rzecz odsunięcia od władzy ludzi stalinowskiego nurtu w partii i instytucjach państwowych, a w Warszawie członkowie partyjnego komitetu INS wysyłali podpisane przeze mnie listy do biura politycznego KC i jego I sekretarza Edwarda Ochaba z żądaniem ustąpienia i powołania do kierowania partią Władysława Gomułki. A członkami tego zbuntowanego komitetu i współsygnatariuszami listu byli Tadeusz Kowalik i Sylwester Zawadzki, starzy przyjaciele Marka.

Na fali październikowych przemian Marek Waldenberg i młodzi asystenci jego katedry ze Stefanem Bratkowskim na czele, zmieniali cały polityczny Kraków – ku polskiej drodze do socjalizmu, ku suwerenności i wolności. A robili to w sposób w całej Polsce najgłębszy i odpowiedzialny. Choć oczywiście szli za daleko i nawet bliscy im krakowscy byli PPS-owcy ze starym Bolesławem Drobnerem próbowali ich temperować, zwłaszcza po klęsce węgierskich wysiłków powstańców.

I już wiosną 1957 r. Marek Waldenberg zrezygnował z zasiadania w politycznych władzach Krakowa, a kropłą, która przelała czarę, był jego konflikt z Drobnerem – on właśnie wyrzucił z egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego Bernarda Tejkowskiego – październi-

kowego przywódcę Politechniki, młodzieńca skądinąd skłonny do awanturnictwa i psychicznie niezrównoważonego, który najpierw spiskował z ludźmi Grupy puławskiej, a po przeniesieniu się do Warszawy stał się zwolennikiem Moczara, oszalałym antysemitą i „słowianofilem” (nawet swe imię zmienił na supernarodowego Bolesława).

A Marek Waldenberg od tej pory skupił się na pracy badawczej i przygotowywaniu wielkich a oryginalnych monografii oraz na kształceniu młodych adeptów nauki i studentów. Jego prace zbudowały mu autorytet, a także przyjaźń i wierność wychowanków w katedrach i instytutach zajmujących się ideami i doktrynami społecznymi oraz ich historią. Także –wraz ze swoim przyjacielem jeszcze z PPS, wybitnym profesorem Markiem Sobolewskim – niestrudzenie organizował i animował zespoły. Ostatnia jego placówka uniwersytecka, w której cieszył się tytułem *profesor emeritus*, przybrała nazwę Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politycznych UJ.

Ale przede wszystkim prowadził badania naukowe i wykłady uniwersyteckie w całej Europie, ciesząc się uznaniem w Niemczech, Włoszech, Francji, Hiszpanii, Austrii, Belgii, Szwajcarii czy Grecji, a także w USA. Jego prace o myśli i koncepcjach społecznych Włodzimierza Lenina, Karola Kautsky'go, Edwarda Bersteina, Antonio Gramsciego czy Herberta Marcusego i innych prekursorów nowej lewicy tłumaczone były na wiele języków i należą do podstawowego kanonu studiów europejskich.

Książka, która przyniosła mu renomę międzynarodową (a była jego pracą habilitacyjną), liczyła ponad 1300 stron druku i nosiła tytuł *Wzlot i upadek Karola Kautsky'ego. Studium z historii myśli społecznej i politycznej*. Pracował nad nią siedem lat, ślęcząc m.in. w przepastnych archiwach II Międzynarodówki, a przydźwigał maszynopis do Wydawnictwa Literackiego, którym właśnie zacząłem kierować na początku lat 70. ubiegłego wieku. I jeszcze zażyczył sobie, żeby redaktorem książki został pracownik WL Stefan Góra, „cudowne dziecko polskiego edytorstwa”, a w przeszłości zaprzyjaźniony z Markiem student UJ, wyrosły z chłopskiej biedy i po okrutnych przejściach wojny domowej na Sądęcczyźnie, a wyposażony w stypendium przez komunistyczny Związek Walki Młodych. Stefan Góra, choć już wtedy dawno odszedł od młodzieńczych fascynacji ideowych (kilkanaście lat później stał się nawiedzonym „guru” wydawniczej „Solidarności”), podjął się tego zadania z entuzjazmem i wywiązał wzorowo.

Dzieło było więc nie tylko wybitne, ale zostało znakomicie opracowane edytorsko. Tylko że Góra zaczął swą pracę od słów: – Panie dyrektorze, czegoś takiego w Polsce nie da się wydać. Podobną opinię powtarzali później liczni wydawcy zachodni (także zresztą naukowcy radzieccy) nie wierząc, że coś takiego mogło się ukazać w państwowej oficynie w Polsce Ludowej. A wydałem tę książkę, której przygotowanie kosztowało krocie, bez słowa cenzuralnej ingerencji. Dzięki bowiem autorytetowi Waldenberga, a także mojej pozycji politycznej (i w Krakowie, i w warszawskich instancjach) krakowska cenzura używała argumentu: działasz na własną odpowiedzialność.

Od tej pory Marek traktował pobłażliwiej fakt, że zajmuję się wydawaniem książek i polityką kulturalną

oraz praktykowaniem zawodu zwykłego nauczyciela akademickiego, zamiast pogрузić się w wielką profesorską naukę. Choć do samego końca, wraz z naszym wspólnym przyjacielem, prof. Władysławem Markiewiczem, który podobnie jak Marek odszedł po Październiku'56 od partyjnych urzędów, dokładali starań, żebym został przyzwoitym uczonym. Ale moje próby, aby mechanizmy polskiej władzy, zwłaszcza zjawisko państwa-partii uczynić przedmiotem naukowej analizy i piśmiennictwa, spotykały się ze zdecydowanym ze strony tej władzy zakazem i wciąż z przygotowywanych publikacji rezygnowałem, aż przestało mi się to wszystkim podobać.

Więc kiedy Marek rzucił się w wir międzynarodowego życia naukowego, siłą rzeczy spotykaliśmy się jeszcze rzadziej, ale jak zawsze w zgodności poglądów i spojrzenia na życie. Tym bardziej że Marek to życie kochał miłością ocalańca, szukającego wielkich wartości przede wszystkim w kulturze, jej wydarzeniach i zjawiskach, ale nie gardzącego też uciechami restauracyjnego stołu czy domowej kuchni.

Mało kto z wypowiadających się publicznie chce pamiętać, że to on właśnie otoczył skuteczną opieką szaleństwa świeżo powstałej Piwnicy pod Baranami i innych grup kulturalnych popaździernikowego Krakowa, a następnie oddał je pod opiekę Lucjana Motyki, który przez wiele lat światle rządził Krakowem i województwem. To Marek Waldenberg i byli PPS-owcy zapoczątkowali ten osobliwy krakowski zwyczaj, że Piwnica pod Baranami i inne niepokorne zespoły, znienawidzone przez nie tylko partyjną „konserwę”, cieszyły się sympatią i pomocą mądrych ludzi we władzach.

I do końca życia pozostawał Marek przekonany socjalistą, socjaldemokratą, jak sam to określał, nie porzucił także partii, choć antydemokratyczne i nacjonalistyczne praktyki władzy budziły jego jawne obrzydzenie i sprzeciw.

A w ostatnich dekadach swej drogi naukowej zajmował się zagadnieniami tzw. kwestii narodowej i narodowych konfliktów. Opublikował duże rozprawy dotyczące jej tragicznego kształtowania się na Bałkanach. Nie ukrywał przy tym swojej życzliwości dla bałkańskich ludów, a przede wszystkim Serbów. Ujawniał też z właściwą mu precyzją i odwagą grę interesów wielkich mocarstw, szczególnie Niemiec i Stanów Zjednoczonych, brutalnie ingerujących w rozstrzygnięcie plemiennego i religijnego konfliktu współczesnych Bałkanów i powstających tam państw. Spierałem się z Markowymi opiniami czasem, choć ulegałem jego wiedzy i kompetencji.

Wrócił więc Marek do trudnych spraw i tragicznych doświadczeń swojej młodości. A zamknęło się jego życie pięknym symbolem: pochowany został, tak jak chciał, w grobie swej matki na przykościelnym, niemal wiejskim cmentarzu na krakowskim Pasterniku. Przemawiali tam ładnie i krótko, bo na okrutnym mrozie, wybitni Marka uczniowie i przyjaciele: profesorowie Jacek Majchrowski, Michał Śliwa i Barbara Stoczewska. A grała góralska kapela z Jaworek, w których Marek z Urszulą przez lata lubili odpoczywać.



MARIAN STĘPIEŃ

## DĄBROWSKA O PRUSIE

Maria Dąbrowska przyjęła – aczkolwiek bez entuzjazmu – propozycję wyjazdu do Niemieckiej Republiki Demokratycznej na uroczystości związane ze 150 rocznicą śmierci Fryderyka Schillera. Pod datą 21 IV 1955 Maria zanotowała: „Zaproponowano mi wyjazd do NRD na »spotkanie pisarzy« z obu części Niemiec i na uroczystości schillerowskie (Wartburg i Weimar), bardzo mi to nie na rękę ze względu na kiepski stan zdrowia, na zamierzone prace [...]. Mam jechać tylko z Jastrunem. W końcu zgodziłam się pod warunkiem, że – żadnych zobowiązań, żadnych publicznych wystąpień etc. Ale mam już katzenjamer po tej decyzji”<sup>1</sup>.

Nazajutrz zapisała w dzienniku: „W związku ze zgodą na wyjazd do NRD zaczęłam czytać *Doktora Faustusa* Manna. Oto rodzaj, jaki by mnie jeszcze dzisiaj nęcił. Powiedzenie prawdy o dzisiejszym świecie [...] Czytam Manna z najwyższym zainteresowaniem”<sup>2</sup>.

Wyjechała do NRD 29 kwietnia 1955. 5 maja w Wartburgu nastąpiło – po raz drugi – „Dichtertreffen”, spotkanie pisarzy NRD i RFN, którym przyświecała idea demokratycznego zjednoczenia Niemiec. Na uroczystości schillerowskie przybył również do Weimaru, przebywający na emigracji Tomasz Mann, co było największym wydarzeniem tych dni, które pisarka spędziła w NRD.

Przeżyć i przemyśleń podczas trzytygodniowej podróży Dąbrowska nie notowała w dzienniku; zamieściła je w napisanych po kilku miesiącach *Szkicach z podróży*:

„Wartburg to średniowieczny zamek zbudowany w XI wieku na ostrym szczycie spadzistej góry przez Ludwika Skoczka, margrafa turyngskiego [...].

Część zamkowego gmachu zamieniona jest w nowoczesny hotel. Bo oprócz godzin poświęconych dyskusjom i kwadransowych przerw obracanych na komentarze do toczzonej dyskusji są jeszcze w Wartburgu noce, w które jedni spacerują na zimnie przy księżycu, inni śpią, a jeszcze inni rozmyślają”<sup>3</sup>.

Pisarka należała do tych innych... A jej rozmyślenia zatrzymywały się na własnym narodzie, na „geniuszach sierocych” pragnących prawdy i dobra, mających we własnym narodzie nieliczne „serca swojego rodzeństwa”, niszczonego przez własnych bliźnich. Z pamięcią *Doktora Faustusa*, którego autor nie oszczędzał

własnego narodu, mówiąc mu o nim gorzką, bezlitosną prawdę. Z refleksją o miernych lotach literatury polskiej lat pięćdziesiątych. Wśród skojarzeń wywołanych *Faustem* Goethego, jego spotkaniem z Lottą w Weimarze, opisanym przez Tomasza Manna i wspomnianym przez Dąbrowską podczas zatrzymania się w tym mieście, a także świadomością, że oto wpatruje się w księżycową noc przez okno hotelowego pokoju umieszczonego nad całą, w której diabeł nachodził Marcina Lutra przepędzany przez niego kałamarzem z atramentem, zostawiającym na ścianie do dzisiaj widoczna plamę. I stało się to, czego doświadczył Adrian Leverkühn, bohater *Doktora Faustusa*.

Dąbrowska zauważyła, że we framudze okna siedzi diabeł. „Poznałam, że to diabeł po dwu rożkach nad czołem, które wzięłam zrazu za sterczące do góry loczki włosów. Ręce miał skrzyżowane jak Mona Liza Leonarda, nogi spuścił na pokój, obcasem (czy kopytkiem) stuknął leciutko w ścianę”<sup>4</sup>. Zwrócił się do niej: „Przywołały mnie twoje własne myśli”<sup>5</sup>.

Poniższe słowa mówi diabeł, ale one są gorzkimi myślami Marii Dąbrowskiej:

„Na każdy rodzaj ludzki trzeba mieć sposób. Przybieram różne postacie. Gdy nie poradzę jako mądry, tragiczny, Faustowski Mefisto, dam radę jako szatan pychy albo czart lubieżnik ciała lub myśli, wreszcie – i tu mam największe pole działania – jako błądny demon głupoty. Umiem doprowadzać głupotę do granic zbrodni [...]. Błądny diabeł głupoty – to wasz diabeł narodowy”<sup>6</sup>.

Dla autorki *Przygód człowieka myślącego* mądrym pisarzem i człowiekiem był Bolesław Prus. Zwracała się ku niemu wielokrotnie; w zapiskach dziennikowych, w korespondencji z Jerzym Stempowskim<sup>7</sup>, w artykułach zebranych w dwutomowych *Pismach rozproszonych*<sup>8</sup>, a najpełniej w *Szkicach myśli o Bolesławie Prusie* stanowiących wstęp do dziesięciotomowego wydania *Pism* autora *Lalki*.

*Emancypantki* przeczytała z zainteresowaniem, ale poświęciła im znacznie mniej uwagi niż – później

1 M. Dąbrowska, *Dzienniki powojenne*. Warszawa 1996, t. 3. S. 17.

2 Tamże, s. 18.

3 M. Dąbrowska, *Szkice z podróży*. Warszawa 1956, s. 64 i 82,

4 *Szkice z podróży...* Jw., s. 84.

5 Tamże, s. 88.

6 Tamże, s. 88-89.

7 M. Dąbrowska, J. Stempowski, *Listy. Tom I-III. Opracował, wstępem i przypisami opatrzył Andrzej Stanisław Kowalczyk*. Warszawa 2010.

8 Maria Dąbrowska, *Pisma rozproszone. Pierwsze wydanie książkowe pod redakcją Ewy Korzeniewskiej*. Tom I-II, Kraków 1964.

– *Faraonowi* i *Lalce*. 10 lipca 1936 roku zanotowała w *Dzienniku*: „Dziś przez całą noc oka nie zmużyłam. [...] Przeczytałam w ciągu tej nocy dwa tomy *Emancypantek* Prusa, po 30 latach chyba. Poza ostatnim tomem, w którym mętne filozoficzne dłużyzny, cóż to za świetna powieść”<sup>9</sup>. Z aprobatą, a także z pewnym rozbawieniem odniosła się do świata przedstawionego w powieści, gdzie emancypantki z lksinowa potraktowane zostały z dystansem, cierpliwością i humorem. Podobnie – do obserwowanych przez nią przejawów ówczesnego feminizmu. Miała okazję mu się przyrzec podczas akcji przedwyborczej w 1928 roku. Jej uwagi ukazują zarówno jak odebrała powieść Prusa, jak i ujawniają punkt widzenia, z jakiego pisarka obserwowała inicjatywy polskiego ruchu kobiecego. 30 stycznia tego roku zanotowała, umieszczając w cudzysłowie słowo „postępowych”: „Po obiedzie idę na zebranie przedwyborcze »postępowych« kobiet. Bardzo mało się to wszystko różni od czasów emancypantek Prusa. Nie wiem dlaczego, do pracy społecznej biorą się zawsze ludzie bardzo mało mający wycucia istoty życia. Może dlatego, że każdy człowiek naprawdę życiowo uzdolniony i we wszystkim trafiający w sedno lubi zrobić coś konkretnie twórczego i własnego. Ci zaś stwarzają sobie pozory życia i działalności, rojąc się i krzątając najczęściej w próżni.”<sup>10</sup>

Późno zapoznała się z *Faraonem*. 13 maja 1941 zapisała w *Dzienniku*: „Przeczytałam (po raz pierwszy) *Faraona* Prusa”<sup>11</sup>. Na jednym ze spotkań organizowanych podczas okupacji w domu Zofii i Juliusza Poniatowskich uczestniczyła w dyskusji o tej powieści. Zanotowała wyniesione z niej wrażenia: „Jak diametralnie różne mogą być odczucia i spojrzenia na to samo dzieło literackie. Gdy p. Zygm[unt Szweykowski] widzi w *Faraonie* apoteozę państwa, ja w nim widzę bezlitosną analizę kulis wszelkiej władzy”<sup>12</sup>.

Ta problematyka była bliska Dąbrowskiej. W artykułach publicystycznych niejednokrotnie podejmowała kwestie związane z polską państwowością. Z niepokojem obserwowała zachowanie się Polaków bardziej skłonnych do powstańczych zrywów niż do przygotowywania się do tworzenia własnego państwa. W komentarzu do *Faraona* pisała: „Jak silnie temat państwa pochłonął Prusa świadczy to, że ów piewca głównie życia codziennego i szarego człowieka dał w *Faraonie* nie tylko wysokiej wartości powieść własną, ale jedyną chyba w literaturze światowej wielką powieść o mechanizmie polityki i władzy”<sup>13</sup>.

*Faraon* był dla niej ponadto obrazem „pracy i zbiorowości”. I tu widziała pionierstwo Prusa wobec popularnej i modnej problematyki z końca lat dwudziestych, kiedy to i ona podejmowała ją w swej publicystyce; wracała też do niej zaraz po drugiej wojnie światowej, gdy pisała *O kilku pionierach polskiej spółdzielczości*<sup>14</sup>.

Do nowej społecznej i politycznej rzeczywistości polskiej po 1945 roku Dąbrowska odnosiła się krytycz-

nie. Dostrzegała w niej wszakże również jaśniejsze strony. Znajdowała je przede wszystkim w dziedzinie kultury. Nie omieszkła z uznaniem odnotować, że „Rolnik Polski” w swym tygodniowym dodatku drukuje w odcinkach *Faraona*. Pozytywnie oceniała ówczesną politykę wydawniczą. Informowała Jerzego Stempowskiego, że „nigdy jeszcze nie było takiej szansy dla klasyków, których się też wydaje wszystkich nieomal bez wyjątków. Nie mówiąc o Mickiewiczu i Słowackim, wychodzą: Jeż, Kraszewski, Prus, Orzeszkowa”<sup>15</sup>. W odpowiedzi na jego pytanie, co powinno być przetłumaczone na język francuski, na pierwsze miejsce wysuwała *Faraona*<sup>16</sup>.

Do *Lalki* powracała Dąbrowska wielokrotnie. Bohaterowie tej powieści i świat w niej przedstawiony utrwalił się w jej wyobraźni, co się ujawniało przy różnych okazjach. Kiedy pierwszy raz zobaczyła krakowski Teatr im. Juliusza Słowackiego, wrażenie swoje ujęła w słowach: „Bije z niego atmosfera Renoira, Degasa, atmosfera *Lalki* Prusa”<sup>17</sup>. Osobę z towarzystwa, w którym się znalazła, scharakteryzowała odwołując się do Prusa: „Zdawała się należeć do ludzi, o których, jak powiada Prus w *Lalce*, wie się, na co wyglądają, ale nie wie, skąd czerpią dochody”<sup>18</sup>.

Pamiętnik Rzeckiego zatrzymywał jej uwagę ze względu na wartości estetyczne tkwiące w pamiętnikarskim podejściu do życia. Taki sposób narracji, zastosowany przez Prusa mógł ją interesować także ze względu na prowadzenie własnego dziennika. Ponadto w tym samym czasie, w którym komentowała kreację pocziwego subiekta, powracała do pisania *Przygód człowieka myślącego*, gdzie, podobnie jak Prus, korzystała z kompozycyjnych i estetycznych walorów pamiętnika prowadzonego przez bohatera utworu.

Przed wszystkim jednak w *Lalce* widziała jeden z najwybitniejszych utworów literackich o miłości. Według niej takimi są te utwory, które nie zawierają nawet opisu pocałunku. Właśnie jak w *Lalce* albo *Tristanie i Izoldzie*. „Seksualia – pisała – posiadają minimum pierwiastka artystycznego”<sup>19</sup>. W opinii Dąbrowskiej *Lalka* była powieścią o zachłannej miłości mężczyzny do kobiety. Toteż bardzo ją wzburzył artykuł Zofii Nałkowskiej, w którym autorka *Granicy* krytycznie spojrzała na powieść Prusa, a szczególnie na sposób przedstawienia miłosnych uczuć Wokulskiego do Izabeli Łęckiej. Nastąpiło interesujące spotkanie dwóch autorek, rywalizujących ze sobą, o czym świadczą fragmenty *Dzienników* Dąbrowskiej. A każda z nich przy tym wiele kart swych utworów poświęciła psychologii miłości i czuła się znawczynią uczuć miłosnych mężczyzny i kobiety.

Zofia Nałkowska opublikowała artykuł *Miłość w »Lalce«*<sup>20</sup>. Jego echa znajdujemy w *Dziennikach* Dąbrowskiej: „Wyszedł numer »Wiadomości Literackich« poświęcony Prusowi. Jest tam artykuł Zofii Nałkowskiej przeciw *Lalce* Prusa, który budzi we mnie sprzeciw od pierwszego do ostatniego słowa”<sup>21</sup>.

9 Maria Dąbrowska, *Dzienniki 1914-1945*. Wybór wstęp i przypisy Tadeusz Drewnowski. Warszawa 2000, t. 3, s. 59.

10 *Dzienniki*... jw., t. 2 Warszawa 1999, s. 94.

11 *Dzienniki*... jw., t. 3, s. 361.

12 Tamże, s. 481.

13 Maria Dąbrowska, *Myśli o sprawach i ludziach*, Warszawa 1956, 132.

14 Zob. Maria Dąbrowska, *Pisma rozproszone. Pierwsze wydanie książkowe pod redakcją i z przypisami Ewy Korzeniewskiej*. Kraków 1964, tom I.

15 Maria Dąbrowska, Jerzy Stempowski, *Listy*, jw. t. I, s. 258.

16 Tamże, s. 259.

17 Maria Dąbrowska, *Dzienniki powojenne 1945-1965*. Wybór, wstęp i przypisy Tadeusz Drewnowski. Warszawa 1996, t. I, s. 455.

18 Tamże, s. 332.

19 Tamże, t. II, s. 357.

20 „Wiadomości Literackie” 1932, nr 1.

21 *Dzienniki 1914-1945*... Jw. T. 2, s. 207.

Nałkowska podeszła do *Lalki* z dużym krytycyzmem. Stwierdziła, że ta „monografia daremnej udręki człowieka budzi w nas obok wzruszenia wiele niedowierzania i zastrzeżeń”<sup>22</sup>, a „potężne i surowe obrazy uczucia Wokulskiego nie wciągają nas bez reszty w solidarność z autorem ani nawet bohaterem”<sup>23</sup>.

Głęboko musiały poruszyć Dąbrowską i wywołać odruch protestu słowa Nałkowskiej, że „Wokulski nie jest niewątpliwie człowiekiem sympatycznym.[...] W jego uczuciu do Izabeli nie ma zupełnie czułości, nie ma miejsca na porozumienie, na żadną tkliwość. Jest tylko surowe żądanie od niej, aby była doskonała, rozpaczliwe żądanie, aby potęgę jego uczucia za wszelką cenę usprawiedliwiła”<sup>24</sup>. Rozmowy Wokulskiego z Izabelą określiła jako „zupelną niemoc, tępotę i pustkę”<sup>25</sup>. W Wokulskim widziała powściągliwego, platonicznego narzeczonego. A co najważniejsze, zdaniem Nałkowskiej „ta nieszczęsna miłość” nie jest w *Lalce* tematem ważnym dla niej samej, nie jest „problematem twórczego wysiłku”. Perypetie miłosne w powieści mają służyć innemu celowi: ukazaniu społecznych przeciwieństw. Czyli pełnią funkcję podporządkowaną przyjętej przez autora tezie o konfliktach społecznych wchodzących również głęboko w sferę ludzkich uczuć. A jeśli tak, to krytyczna ocena obrazu miłości w *Lalce* staje się jeszcze bardziej uzasadniona. Czołowi bohaterowie *Lalki* zdaniem Nałkowskiej „uosabiają swe ideologie, reprezentują swe klasy, wcielają ich winy i zasługi, kompromitują swe racje istnienia, albo za wszelką cenę ich bronią. Celowy rozkład światła i cienia, zbyt jaskrawe, niezyciowe i zarazem nieartystyczne ich granice są błędami formalnymi dzieła, stanowią skazę na jego technice”<sup>26</sup>. Nałkowska więc zredukowała znaczenie *Lalki* do rangi pozytywistycznej powieści tendencyjnej.

Taka opinia musiała Dąbrowską sprowokować, skoro widziała w tej powieści przykładową wręcz realizację podstawowej zasady sztuki pisarskiej: Nawiązanie kontaktu z czytelnikiem dzięki umiejętności przedstawiania uczuciowej strony ludzkich przeżyć, bo z nich („oczywiście nie tylko miłosnych. Skala tu przeogromna”) biorą się sądy moralne, „pierwsze próby wartościowania, pierwsze płodne zadumy nad tym, jak żyć”<sup>27</sup>. I właśnie Prus, zdaniem Dąbrowskiej, skutki takie osiąga przez tworzenie postaci „bezwarunkowo żywych, prawdziwie psychologicznych i w słowach, i w myślach, i w czynkach”<sup>28</sup>.

Uwagi te, wartościujące dzieło literackie odnosiły się do utworów Bolesława Prusa, w szczególności do *Lalki*, w której pisarka znajdowała spełnienie swych oczekiwań. Ale nie można nie zauważyć, że w nich, aczkolwiek były zawarte w komentarzu do utworów autora *Lalki*, wpisana jest też refleksja pisarki o jej własnej twórczości, o *Nocach i dniach* zwłaszcza. Słusznie więc Gracia Kerényi, cytując te słowa ze wstępu do *Pism* Bolesława Prusa uznała je za „credo pisarskie” samej Dąbrowskiej<sup>29</sup>.

22 Zofia Nałkowska, *Widzenie bliskie i dalekie*. Warszawa 1957 s. 143.

23 Tamże, s. 144.

24 Tamże, s. 145.

25 Tamże.

26 Tamże, s. 146.

27 *Myśli o sprawach i ludziach...* jw. S. 115.

28 Tamże.

29 Zob. Gracia Kerényi, »Noce i dni« w oczach węgierskiego czytelnika. W: *Pięćdziesiąt lat twórczości Marii Dąbrowskiej. Referaty*

Stanowiły one również opozycję do postulatów i żądań stawianych przed literaturą przez oficjalną krytykę literacką, referaty na zjazdach pisarzy. Najgłębszą a lakoniczną z nimi polemiką jest zdanie pisarki sformułowane z okazji komentowania dzieł Prusa: „Los człowieka jest jedynym prawowitym przedmiotem literatury i wszelkiej w ogóle sztuki”<sup>30</sup>.

To o sylwetce psychologicznej Wokulskiego. I z pamięcią o tym, co o bohaterze *Lalki* pisał wówczas Jan Kott w głośnym studium *O »Lalce« Bolesława Prusa*. Dąbrowska doceniała te jego partie, które dotyczyły struktury społeczeństwa w Królestwie Polskim i odbicia elementów życia społeczno-gospodarczego w powieści. Ale wprost nie rozumiała, jak można o głównym bohaterze *Lalki* napisać: „Jedna z największych naszych kreacji powieściowych jest artystycznie poroniona”<sup>31</sup>. A taka właśnie była opinia Kotta o postaci Wokulskiego. Dopatrywał się braku konsekwencji w jej budowie. W postaci Wokulskiego stwierdzał „głębokie pęknięcie ideowe idące wzdłuż całej powieści”. A o przedstawieniu jego miłości do Izabeli Łękiej, w której Dąbrowska widziała prawdę ludzkich uczuć, Kott napisał, że „obraz miłości Wokulskiego wydaje się jeszcze fałszywszy, bardziej mdły i sztuczny. Ta wielka miłość zrobiona jest z papieru”<sup>32</sup>.

Kott powtarzał w istocie te same poglądy na *Lalkę*, które przed nim sformułowała Zofia Nałkowska. Dąbrowska powtórnie więc spotkała się z opinią o tej powieści i o jej głównym bohaterze, z którą nie mogła się pogodzić. Powoływała się na wielki sukces krytyczny *Lalki*, który zaistniał właśnie dzięki prawdzie psychologicznej utworu: „Na tle naszej literatury, bardzo ubogiej w przekonująco pokazane sprawy miłości, *Lalka* Prusa jest fenomenalnie żywą i prawdziwą monografią tych spraw. Nie tylko. Jest pierwszym w prozie polskiej »romansem« na wielką miarę, napisanym z siłą, pasją, ze zdumiewającym znanstwem psychologii uczuć, a przede wszystkim po stendhalowsku męsko, dyskretnie, oszczędnie, bez krzty sentymentalizmu”<sup>33</sup>. Zdaniem Dąbrowskiej Prus ma pod tym względem przewagę nad wszystkimi polskimi pisarzami, którzy miłość wybierali za bohatera powieści. Nie tylko nad polskimi. Także nad Dickensem i Balzakiem. A owo „pęknięcie” powieści, którego dopatrywał się Kott, i które, jego zdaniem, „idzie wzdłuż całej powieści” Dąbrowska postrzegająca zupełnie inaczej: „Pęknięcie idzie nie przez powieść, jest w samej psychice jej bohatera; i jest, jak myślę, świadomym zamierzeniem artystycznym Prusa”<sup>34</sup>. Dąbrowska ceniła prozę Prusa, zwłaszcza *Lalkę*, właśnie za sposób przedstawienia psychicznych przeżyć postaci, za wrażliwość w ujmowaniu duchowych poruszeń człowieka i umiejętność ich opisanie. Od niego w tej dziedzinie pobierała naukę pracując nad własną powieścią. W *Dzienniku* pod datą 14 czerwca 1941 roku zapisała: „Notatki [do powieści]. Nikt nie wie, ile nadziei jest jeszcze w braku nadziei, ile wiary – w braku wiary, ile miłości – w braku miłości. Różne aspekty rezygnacji. – Oczekuje się kogoś, na

i materiały sesji naukowej pod redakcją Ewy Korzeniewskiej. Warszawa 1963, s. 287.

30 *Myśli o sprawach i ludziach...* jw., s. 116.

31 Tamże, s. 116.

32 Jan Kott, *O »Lalce« Bolesława Prusa*. Warszawa 1949, s. 37.

33 *Myśli o sprawach i ludziach...* jw., s. 118.

34 Jw., s. 119.

kimś bardzo zależy, a kto nie przychodzi. – Pewnego dnia wieczorem czuje się, że się już następnego dnia w tym oczekiwaniu nie wytrzyma. Tymczasem wstaje się owego następnego dnia z zupełną rezygnacją, ze zdziwieniem, że się tak w ogóle czekało, z chęcią i zapałem do innej pracy – jednym słowem jak gdyby uleczonym.

I oto okazuje się, że całym istotnym powodem owego radosnego niezależnienia się od pętających nas uczuć jest fakt, że zaczął się nowy dzień, więc nowa możliwość posięcia i snucia nadziei [...]. Pozorna rezygnacja jest tylko chytra próbą podejścia losu. – Bardzo dobrze – może jedyny tak dobrze opisał te formy pozornego wyleczenia się serca Prus w *Lalce*<sup>35</sup>.

Krócej ujęła to w innym miejscu: „Nawet kiedy nadzieje są niczym nie usprawiedliwione, a zwątpienie i rozpacz więcej niż uzasadnione, człowiek żyje nie swą słuszną rozpaczą, tylko swoją niedorzeczną nadzieją”<sup>36</sup>.

Świat *Nocy i dni* przeniknięty jest miłością łączącą ludzi. Dyskretną, nie wyrażaną wprost, a wszechobecną. Trzeci tom powieści nosi tytuł *Miłość*, ale nie tylko w nim, lecz w całym utworze obecne jest – w różnorodnych przejawach – to uczucie głęboko łączące Bogumiłą z Barbarą i całą ich rodzinę; także obecne jest w relacjach z innymi ludźmi i sprawami. W utworach Prusa znajdowała Dąbrowska obrazy miłości odpowiadające jej wyobrażeniom i oczekiwaniom pisarki. Dlatego tak stanowczo nie mogła się zgodzić z tym, co o *Lalce* pisała Zofia Nałkowska i Jan Kott.

W szkole Bolesława Prusa pobierała Dąbrowska lekcje stylu. Stylu „nieobecnego”, pozbawionego ozdobników, unikającego gadatliwości. Celnego w wyrażaniu tego, co autor chciał powiedzieć. Stylu, który nadaje dziełu tok epicki, ale wolny jest od rozlewności charakterystycznej dla prozy Sienkiewicza i Orzeszkowej. Jest dokładny, ścisły, zgodny z charakterem środowiska, sytuacji i osób w nich uczestniczących. I urozmaicony. Innym stylem jest przedstawiona Izabela, innym Wokulski, jeszcze innym Rzecki.

*Noce i dnie* dowodzą, jak pojętą i utalentowaną była uczennicą. Podobne postępowanie, to znaczący uczenia się od Prusa, zalecała młodym twórcom literatury. Na ich i własny użytek przytaczała zanotowane przez Prusa wskazówki co do ilości słów z każdej części mowy w dobrze zbudowanym zdaniu: „Dobry język – to język prosty, jasny i dokładny. W dobrym stylu powinno być dużo rzeczowników konkretnych... Liczba czasowników może być mniejsza niż połowa rzeczowników [...]. W każdym razie duszą wszelkiego mówienia i pisania są rzeczowniki, rzeczowniki i jeszcze raz rzeczowniki konkretne”<sup>37</sup>.

W komentarzu do wskazówek Prusa, które odbierała także dla własnego użytku, zaznaczała, że nie zawierają one reguł absolutnie dobrego stylu, gdyż ten jest zależny od epoki. W swoich czasach widziała raczej zdania o dużej ilości czasowników.

W 1949 roku zaczęło się nawoływanie pisarzy do podejmowania tematów współczesnych. Z komentarza Dąbrowskiej do tych postulatów, wypowiedzianych

podczas jej spotkań z czytelnikami powstała *Gawęda o literaturze*. Krytycznie się do nich odnosiła. Widziała w nich próby ograniczania swobody twórczości. Opowiadała się za niezależnością literatury, aczkolwiek nie zwalniała jej ze społecznych obowiązków. Pojętych wszakże zupełnie inaczej niż to widzieli autorzy owych postulatów – nie jako realizowanie życzeń aktualnie panujących. Dąbrowska wskazywała, że w owym naleganiu na podejmowanie tematyki współczesnej zawiera się oczekiwanie panegirycznego przedstawienia współczesnej rzeczywistości. A zadanie pisarza pojmowała zupełnie inaczej, jako niezależne od tematyki – dawniejszej czy współczesnej. „Jakiegokolwiek epoki dotknie się pisarz: przeszłej, terażniejszej czy przyszłej, wyfantazjowanej – o ile jest pisarzem prawdziwym z powołania, geniuszu i umiejętności, to wyłowi z niej pierwiastki najistotniejsze, zdolne w różnych czasach wzruszać najrozmaitszych ludzi, ukazywać im głębszy, radosny albo smutny, komiczny albo tragiczny sens ludzkich spraw, którego bez pośrednictwa dzieła sztuki wcale by nie dostrzegli”<sup>38</sup>.

W czasie, gdy Dąbrowska notuje *Szkice myśli o Bolesławie Prusie* trwa jeszcze, rozpoczęta na progu lat pięćdziesiątych akcja wysyłania pisarzy „w teren”. Do fabryk, kopalni, stoczni, do wiejskich spółdzielni produkcyjnych. Jej celem było nakłonienie pisarzy do bliższych kontaktów z realnym życiem, co w praktyce oznaczało zachęcenie ich do chwaleń osiągnięć odbudowy i przebudowy Polski po drugiej wojnie światowej. Wysyłaniu pisarzy „w teren” towarzyszyło przekonanie, że na tej drodze poznają oni pracę ludzką i czynią z niej wielki temat literacki. Tymczasem rezultatem tej akcji były tylko liczne „powieści produkcyjne” ze schematycznym „bohaterem pozytywnym”, z opisami raczej procesów technologicznych niż pracy człowieka, który powinien być w centrum uwagi pisarza. Mimo słabości artystycznej utwory te były wydawane w wysokich nakładach, wyróżniane nagrodami państwowymi.

Dąbrowska bardzo sceptycznie odnosiła się do owych „literackich wyjazdów w teren” i przebywania przez pewien czas w środowisku robotników, górników, chłopów na wsi. Przypominała, że Prus był „tym znawcą życia, tym najlepszym u nas wyrazicielem prawdziwego oblicza swojej epoki [...], co malusińko podróżował, co z domu bez koniecznej zawodowej, rodzinnej czy towarzyskiej potrzeby nie wychodził, co zwiędza niczego nie lubił, bo najmniejsze nierówności czy rozległości terenu przyprawiły go o nieznosne cierpienia nerwowe”<sup>39</sup>.

Dało to sposobność do rozwinięcia myśli, które są zarówno komentarzem do twórczości Prusa, jak i do własnej sytuacji Dąbrowskiej jako twórcy literatury, pod którego adresem kierowane były postulaty i żądania podyktowane aktualnym interesem politycznym: „Wielkim pisarzem zostaje się nie przez życie obfitujące w działalność publiczną, podróże czy innego rodzaju wydarzenia i nie przez tak popularne dzisiaj (i tak skądinąd potrzebne) »studia w terenie«. Wielkim pisarzem zostaje się dlatego, że ma się zdolność dobywania typowych, istotnych i artystycznie ciekawych tematów z jakiegokolwiek szczegółu rzeczywistości, który przejdzie przez oczy, uszy czy osobiste doświadczenia życia. Żadne

35 *Dzienniki 1914-1945...* jw., t. 3, s. 366-367.

36 Maria Dąbrowska, *Aforyzmy. Wyboru dokonał Aleksander Bogdański. Wstępem poprzedził Tadeusz Drewnowski*, Warszawa 1989, s. 32.

37 *Myśli o sprawach i ludziach...* jw., s. 127.

38 *Myśli o sprawach i ludziach...* jw., s. 142-143.

39 Tamże, s. 110.

studia w terenie celowo zamierzone i z góry zakładające, co chcemy albo powinniśmy zobaczyć, nie mogą gwarantować rzeczywistego przeżycia ani powstania trwałego utworu literatury<sup>40</sup>. Co innego, jeżeli wzrastanie i przebywanie pisarza w pewnym środowisku jest integralnie i naturalnie związane z jego biografią. Prus nie napisałby – przyznawała – tak doskonale *Placówki*, gdyby wieś nie była już przedtem częścią jego życia, kiedy dzieciństwo, wakacje spędzał u krewnych na wsi albo zajmował się guwernerką. „Trzon swoich realiów pisarz nosi w swym losie”<sup>41</sup>. A z drugiej strony – nie bez humoru zauważała Dąbrowska – „Prus w *Lalce* dał nam niezrównany wizerunek nigdy nie widzianego Paryża”<sup>42</sup>.

A co do tematu pracy pisarka uważała, że nikt nie jest bardziej zdolny zrozumieć jej patos, błogostawieństwo i przekleństwo niż artyści i pisarze. Ale do prawdziwego jej przedstawienia nie prowadzą administracyjne nalegania. „Czyż *Faraon* Prusa, prócz wszystkich innych rzeczy, które zawiera, nie jest obrazem najbardziej uciemiężonej pracy chłopca i robotnika egipskiego w starożytności? A *Placówka* czy nie daje nam obrazu pracy nie tylko chłopca, lecz i najnędrniejszego z ówczesnych wiejskich najmitów?”<sup>43</sup>

Dąbrowska mogłaby tu dodać, że już w latach międzywojennych, w *Nocach i dniach* kontynuowała Prusowskie zainteresowanie ludzką pracą i w kreacji Bogumiła Niechcica widziała w niej jedną z najwyższych wartości człowieka.

Z aprobatą przytaczała Dąbrowska słowa młodego Stefana Żeromskiego: „Prus to kwintesencja humoru polskiego. Jego śmiech – to śmiech serdeczny”<sup>44</sup>. Podzielała tę opinię. Humor, któremu nadawała duże znaczenie, znajdowała w *Antku*, *Anielce*, w sylwetce Madzi z *Emancypantek*, Rzeckiego z *Lalki*, w postaciach studentów z tej powieści. Humor, jej zdaniem, jest jedynym bohaterem optymistycznym Prusa, łagodzi obraz życia i świata. Przejawia się w śmiechu serdecznym, w „humorze szczerzotłym”, w „uśmiechu przez łzy”. Był dla Prusa orężem pozwalającym rozładować beznadziejność, zrównoważyć nawet bardzo przygnębiające opisy w *Antku*. Był to humor wolny od jadowitości, postaciom dodatnim dodawał ciepłego człowieczeństwa, budził litość dla bohaterów grzesznych i błędnych<sup>45</sup>. „Gdybyśmy usunęli – pisała – z pism Prusa kumizm jego postaci i humor stworzonych przez niego sytuacji, ujrzelibyśmy pisarza okrutnego, bezlitośnie zdzierającego wszystkie maski, pokazującego – bez odzartej właśnie przez Dostojewskiego psychoanalizy, metodą pokrewną Dickensowi i Gogolowi, wszystkie podszewki zdarzeń i ludzi, całą groźbę tryumfu zła i głupoty nad dobrem i rozumem, cały odmęt egoizmu, krzywdy, wyzysku i nędzy, bez oszczędzania jakiegokolwiek człowieka czy środowiska, w którym się zło przejawia”<sup>46</sup>.

W optymistycznym poczuciu humoru Prusa widziała skuteczniejsze narzędzie walki o lepszy świat niż „osłabiające jego artyzm rozważania filozoficzno-moralizujące”<sup>47</sup>.

To Dąbrowska o humorze w utworach Prusa. A oto jak witał pojawienie się *Nocy i dni* Karol Wiktor Zawodziński: „Jedną z najświetniejszych cech dzieła Dąbrowskiej jest jego humor [...] Jest jakby uśmiechem wykwitającym na twarzy na widok czegoś specjalnie drogiego, lubego i radującego serce [...] śmiech ten nie ma charakteru złośliwości, ośmieszenia czyichś wad, karykaturowania czy satyry; ostre widzenie świata [...] przepojone jest życzliwością dla niego całego”<sup>48</sup>. To prawie dokładne powtórzenie tej pochwały humoru, jaką Dąbrowska odnosiła do prozy Prusa. W atmosferze humoru przenikającego *Noce i dnie* widział Ludwik Fryde pokrewieństwo łączące Dąbrowską z Prusem. W humorze, jego humanitaryzmie, w dobrotliwym, owianym humorem stosunku autorki do kreowanych przez nią sytuacji i postaci powieściowych<sup>49</sup>.

Humorem owiana jest scena, w której Józef Toliboski zanurza się głęboko w wodzie po nenufary dla Barbary, dobrotliwy humor otacza Bogumiła nieporadnego w wyrażaniu swych uczuć do niej; i ją samą z jej „wiecznym zmartwieniem”. Także postać panny Celiny, nauczycielki Agnieszki Niechcicówny.

Henryk Markiewicz zwrócił uwagę na narrację z dużym udziałem perspektywy personalnej, co jest elementem wspólnym łączącym *Noce i dnie* z *Lalką*. Narracja ta pozostaje w bliskim związku z „etyką pisarską”, o której pisał Zygmunt Szwejkowski w monografii o Bolesławie Prusie<sup>50</sup>. Występuje ona zarówno w *Lalce*, jak i w dziele Dąbrowskiej. A polega na lojalności narratora (autora) względem wykreowanych przez siebie postaci, na – jak to ujął Tadeusz Drewnowski – „ceremonialnym stosunku do własnych bohaterów literackich i w dobrotliwym humorze i w rzeczowości stylu”<sup>51</sup>.

Ta etyka wymaga, by do bohaterów swego dzieła, jakimikolwiek by oni byli, autor odnosił się współczująco, albo z zabarwionym współczuciem humorem; zawsze był nastawiony na wyjaśnienie i zrozumienie ich postępowania.

*Noce i dnie* od razu i zawsze łączono z Prusem. Do wielkości jego utworów porównywał powieść Dąbrowskiej Jerzy Zawieyski: „Dzieło to było dowodem narodzenia się wielkiej epiki, jakiej nie mieliśmy od czasów Prusa”<sup>52</sup>. Gdy tylko ukazała się powieść Dąbrowskiej, krytyka z satysfakcją witała powrót do realizmu. W słowach Zawodzińskiego, który w związku z ukazaniem się *Nocy i dni* obwieszczał „stanowczy i głęboki powrót do realizmu, wywyższenie prostoty i prawdy”, dochodzenie do „decydującego głosu realizmu przy aprobacie powszechnej”, pojawienie się go „w najbardziej ludzkiej i najpiękniejszej postaci” – można odczytać duże znużenie stylem autorów Młodej Polski i ich późniejszych naśladowców<sup>53</sup>.

Kazimierz Wyka podnosił, że Dąbrowska w *Nocach i dniach* nie okazała się kontynuatorką bezpośrednio przed nią uprawianej sztuki literackiej, prozy młodopol-

40 Tamże, s. 110.

41 Tamże, s. 112.

42 *Pisma rozproszone...* jw., t. II, s. 419.

43 *Myśli o sprawach i ludziach...* jw., s. 154.

44 Tamże, s. 121.

45 Zob. M. Dąbrowska, „*Lalka*”. *Humor, styl, człowiek myślący*. W: *Pisma rozproszone...* jw., t. II.

46 *Pisma rozproszone...* jw., s. 125.

47 *Myśli o sprawach i ludziach...* jw., s. 125.

48 Karol Wiktor Zawodziński, *Opowieści o powieści*. Opracował Czesław Zgorzelski. Kraków 1963, s. 282-283.

49 Zob. Ludwik Fryde, „*Noce i dnie*”, w: *Wybór pism krytycznych*. Opracował Andrzej Biernacki. Warszawa 1966.

50 Zob. Zygmunt Szwejkowski, *Twórczość Bolesława Prusa*. Wydanie drugie, Warszawa 1972.

51 Tadeusz Drewnowski, *Rzecz russowska. O pisarstwie Marii Dąbrowskiej*. Kraków 1981, s. 434-435.

52 *Pięćdziesiąt lat twórczości...* Jw., s. 11.

53 Karol Wiktor Zawodziński, *Opowieści o powieści*. Opracował Czesław Zgorzelski. Kraków 1963, s. 285.

skiej. Umiąta odejść od młodopolszczyzny, której relikty stylistyczne dały się jeszcze zauważyć w *Ludziach stamtąd*. Ponad głowami pokolenia Młodej Polski sięgnęła wprost do źródeł realistycznej prozy pozytywistów, stała się sukcesorką tego dziedzictwa i dzięki temu osiągnęła wielkość artystyczną *Nocy i dni*<sup>54</sup>.

Ze spostrzeżeniem Wyki, że Dąbrowska „ponad głowami pokolenia Młodej Polski” sięgnęła do realizmu koresponduje jej zamyślenie się nad sobą: „Ten długi okres, w którym zdawało mi się, że świat mi jest obojętny, że go nie widzę i nie słyszę, był, jak mi się teraz wydaje, okresem zmiany mojego stosunku do świata lirycznego i subiektywnego na epicki i obiektywny”<sup>55</sup>.

Zgodnie z nauką wyprowadzoną z dzieł Prusa Dąbrowska szlifowała swój język i styl. Unikała lirycznego patosu, zbędnych słów, uczuciowych wzlotów. Porzucała metafory i metaforyczne porównania obficie występujące w prozie młodopolskiej. Stała się rygorystyczną zwolenniczką ścisłego opisu: „Osobiście jestem przeciw metaforze, albo ściślej – przeciw szafowaniu metaforą”<sup>56</sup>. Odczuwała ją jako niebezpieczny chwyt stylistyczny, z którym „należy się obchodzić ostrożnie, a najlepiej obchodzić go z daleka”<sup>57</sup>. Zastanawiała się: „Dlaczego mimo tak upartego dążenia mowy ludzkiej ku metaforze, wyrzekam się uroków przenośni? Może brak mi zmysłu poetyckiego, a może dosłowność zdaje mi się jedną z szans, a jest już ich niewiele – odmłodzenia języka literackiego?”<sup>58</sup>

Kiedy Wyka wskazywał na pokrewieństwo zachodzące między Dąbrowską i pozytywistami, zaznaczał, że nie mamy tu do czynienia z prostą kontynuacją realizmu krytycznego Prusa i Orzeszkowej. Wprawdzie autorka *Nocy i dni* sięgnęła do ich tradycji „ponad głowami pokolenia Młodej Polski”, ale i od niego coś przejęła: idee artystyczne i podglebie filozoficzne.

Prus był jej bardzo bliski. Jako pisarz i jako obywatel. Rozrzucone uwagi o nim w *Dzienniku* jak i jej *Szkice myśli o Bolesławie Prusie* są świadectwem wielkiego uznania dla autora *Faraona* i *Lalki* oraz świadomości wobec niego zadłużenia. Komentarze literaturoznawców porównujących rangę jej twórczości z dziełami Prusa mogły jej pochlebiać. Ale do pewnych granic. Nie chciała uchodzić głównie za kontynuatorkę tradycji Prusowskiej prozy. Nie godziła się z niedostrzeganiem innych, jej własnych źródeł twórczości. Protestowała przeciw uproszczeniom towarzyszącym porównywaniu jej dzieł z utworami autora *Lalki*. Czyniła to niby ze skromności, pokory wobec Prusa. W istocie w poczuciu własnej oryginalności i żywych związków ze środowiskiem, w którym wzrastała i kształtowała własne poczucie języka:

„Nie, ja nie wywodzę się z Prusa ani z Orzeszkowej [...] Mój rodowód pisarski jest o wiele skromniejszy. Mój język, styl, kompozycja i cała w ogóle »wizja artystyczna« świata wywodzi się z ziemi kaliskiej, z mowy i zachowania się tamtejszych ludzi w ogóle – a w szczególności (w ciągu dalszego życia) – z mowy i zachowania

się mojej rodziny, znajomych, przyjaciół, kochanków etc. Nie, nie mogę pochwalić się wspaniałym rodowodem literackim, a jeśli coś biorę z literatury, to zawsze z poezji”<sup>59</sup>.

Państwowy Instytut Wydawniczy zaproponował Dąbrowskiej napisanie wstępu do dziesięciotomowego wydania *Pism Bolesława Prusa*. Pisarka propozycję przyjęła, podjęła pracę nad tym wstępem dając mu tytuł *Szkice myśli o Bolesławie Prusie*. Opublikowała je ponadto w „*Twórczości*”, a później włączyła też do zbioru zatytułowanego *Myśli o sprawach i ludziach*. Odłożyła na pewien czas twórczość własną i oddała się realizowaniu przyjętego zamówienia. Pod datą 23 maja 1954 roku zanotowała: „Oto równo miesiąc, jak nie napisałam. Pracowałam nad tą przedmową do *Pism Prusa* z niezwykłą intensywnością. Wstawałam o piątej. Czternastego, więc po 17 dniach pracy oddałam przedmowę i spodobała się wszystkim, co ją czytali”<sup>60</sup>.

W syntetycznym, zaledwie na trzydziestu stronach rozwiniętym szkicu podjęła Dąbrowska najważniejsze zagadnienia związane z twórczością Prusa, jego biografiami i osobowością. Dużo miejsca poświęciła Prusowi jako człowiekowi. Elementów jego biografii dopatrywała się w wielu jego utworach. Nie tylko w obrazach ubożego, niełatwego i smutnego dzieciństwa – w *Sierocy doli*, w *Grzechach dzieciństwa*, które są zabarwione wspomnieniami z lat chłopięcych pisarza, ale również w postaci Wokulskiego. I w opowiadaniach z życia studentckiego: *Sen*, *Z opowiadań lekarza*, *Pojednanie*, w obrazie studentów w *Lalce*. Duże znaczenie nadała jego wczesnej młodości, gdy zdecydował się pójść do powstania, „z którego wyszedł ranny na ciele [...] i na duszy. Tragiczne wspomnienie tego czasu będą mu się dawały we znaki przez całe życie”<sup>61</sup>. Gdy zatrzymuje uwagę na udziale Prusa w powstaniu, Dąbrowska chcąc nie chcąc, pisząc o Prusie nie może uwolnić się od myśli o współczesnych Polakach. A na to, jaką ma o nich opinię, rzucają światło słowa rozpoczynające charakterystykę autora *Lalki*: „Prus to pisarz myślący. A tym samym człowiek prawie tragiczny”<sup>62</sup>. Te słowa odsyłają wprost do rozpoczętej już w roku 1948 (a nawet w pierwszych fragmentach przed rokiem 1939) nieukończonych, wydanej po śmierci pisarki powieści *Przygody człowieka myślącego*<sup>63</sup>. Również do wyimaginowanej rozmowy z diabłem na zamku w Wartburgu rozpoczynającej ten artykuł. A słowa o tragicznej sytuacji człowieka myślącego w Polsce odsyłają do myśli Dąbrowskiej o losach „geniuszów sierocych” wśród rodaków. „Bo niedobrze to w Polsce być myślącym człowiekiem. My wolimy wszystko niż myśleć. Wolimy umrzeć dla jakiejś sprawy, niż ją przemyśleć. A dzieje Prusa to dzieje nie tylko wielkiego serca, lecz i poszukującej myśli”<sup>64</sup>.

Dąbrowska komentuje życie Prusa, ewolucję jego poglądów z myślą o aktualnych sprawach polskich,

54 *Pięćdziesiąt lat twórczości...* Jw., s. 185.

55 *Dzienniki 1914-1945...* Jw., t. 2, s. 94, pod datą 30 stycznia 1928 roku.

56 *Pisma rozproszone...* Jw., s. 436.

57 Tamże, s. 437.

58 M. Dąbrowska, *Od Kadena do metafory i z powrotem*. w: *Pisma rozproszone...* Jw., t. II, s. 437.

59 *Dzienniki powojenne...* Jw., t. III, s. 280.

60 Tamże, t. II, s. 430.

61 *Myśli o sprawach i ludziach...* Jw., s. 106.

62 Tamże, s. 128.

63 Maria Dąbrowska, *Przygody człowieka myślącego. Przedmowa Anna Kowalska*. Komentarz i przygotowanie tekstu z rękopisu Ewa Korzeniewska. Warszawa 1970.

64 *Myśli o sprawach i ludziach...* Jw., s. 128.

przede wszystkim o polskim patriotyzmie: „Zatrzymajmy się na chwilę nad męką patriotycznej myśli Prusa”<sup>65</sup>.

Po upadku powstania, odniósłszy rany „na ciele i na duszy” Prus, przeżywając ciężko jego klęskę, popadł w rozpacz i rezygnację, co z biegiem upływających lat ustępowało dociekaniom przyczyn powstania i doprowadzało do uznania go za błąd. Dąbrowska przytacza jego słowa o wielkości daremnych ofiar wraz z jego zapytaniem: „Lecz... jakież z tego pożytek? Nie ma! I nawet być nie może, gdyż patriotyzm polski składa się z wybuchów namiętnych gwałtownego uczucia, którego, niestety! Nie oświecił rozum i nie przerodził go w akty twardej woli”<sup>66</sup>.

Słowa o „aktach twardej woli” interpretuje Dąbrowska jako apel o wykuwanie myśli demokratycznej, która – przy okazji wszystkich powstań – zwracałaby uwagę Polaków w stronę przyszłości. To nie przypadek, że Dąbrowska zatrzymuje się nad tymi przemyśleniami Prusa. Mają one dla niej samej duże znaczenie. Sposób prezentowania przez nią myśli Prusa przybiera charakter publicystycznej wypowiedzi pisarki, która pamięta niedawne powstanie warszawskie, rozmiary daremnych ofiar, jakie pociągnęło za sobą i nie zawsze rozumną reakcję Polaków na ten zryw zakończony tragicznym upadkiem. I dodaje, że, niestety, za każdym razem, także w przypadku powstania, w którym Prus brał udział, jak i tego, którego uczestnikami i świadkami byli jej współcześni, naród polski postępował – na swoje nieszczęście – zupełnie inaczej, niż by to sobie życzył Bolesław Prus.

W autokomentarzu do dramatu *Stanisław i Bogumił* za właściwe zachowanie się uznawała postawę narodu czeskiego. Podobała się jej jego zdolność do uprawiania polityki zmierzającej nie do bohaterskiego lauru, lecz do pomyślności, powodzenia i uchronienia się od nadmiaru klęsk. Pochwalała jego przezorność, elastyczność w postępowaniu i decyzjach.<sup>67</sup>

Przytaczała słowa Prusa. przekonana o ich aktualności przyjmowała jego myśli za własne: „Naród nasz nie jest jak owi Purytanie, co mężnie szli w nieznaną, ażeby zbudować nową, wolną i potężną ojczyznę, ale jest jak dziecko, które z rozpaczą wyciąga ręce ku odsuwającej się przeszłości”<sup>68</sup>.

Aluzja do angielskich purytanów z XVI-XVII wieku zawierała pochwałę myśli demokratycznej, trafiała w istotę poglądów społecznych Dąbrowskiej. Cytując słowa pisarza solidaryzowała się z jego poglądami i przy pomocy słów Prusa dokonywała oceny zachowania się własnego narodu, właśnie w pierwszych latach po zakończeniu drugiej wojny światowej. W Prusie znajdowała sojusznika potwierdzającego słuszność jej poglądów: „Prus wiedział i widział, że dzieje ludzkości ani przez chwilę nie stoją w miejscu. Nie stoją także dla narodów cierpiących niewolę. Polska – jak mu się zdawało – w oczekiwaniu na cud wyzwolenia rozumiany jako powrót do utraconej dawności zdradzała tendencję do stanięcia w miejscu, a nawet cofania się”<sup>69</sup>. Przypominała przestrogi Prusa, że wobec takiej postawy Polaków, gdy pojawi się szansa odzyskania wolności, Polska okaże się do

niej nieprzygotowana – materialnie i duchowo, i wówczas „żadna broń nie pomoże i sprzymierzeńcy się nie znajdą, bo Polska nie będzie reprezentowała żadnej sprawy obchodzącej ludzkość”<sup>70</sup>.

W sposobie komentowania słów Prusa można odczytać przemycane przez sito cenzury ważne aluzje do powojennej polskiej rzeczywistości politycznej. I rady, jak należy w tych warunkach postępować. Między uznaniem, że nie ma powrotu do tego, co było, ale też nieudzielaniem aprobaty wszystkiemu, co jest. I zaleca dojrzałe myślenie, by być gotowym, gdy pojawi się szansa na zmianę. Posługując się słowami Prusa Dąbrowska przekazywała ważne wskazówki dla rodaków.

Wskazywała, że Prus rezygnując na ogół ze zbrojnej walki o niepodległość domagał się zaniechania politycznych mrzonek, nawoływał do skupienia się na dążeniu do doskonalenia życia publicznego, rozwoju gospodarczego w drodze sumiennego wykonywania obowiązków w nauce i oświacie, czynienia „drobnych kroków” w rozwoju gospodarczym. I doprowadzenia na takiej drodze do tego, że Polska stanie się czymś niezbędnym dla świata. Realizatorem owych „małych idei” prowadzących do pomyślniejszej przyszłości, realizatorem spełniającym zalecenia Prusa skierowane do Polaków jest Bogumił Niechcic z *Nocy i dni*. W jego postępowaniu znajdujemy to, co z aprobatą pisała Dąbrowska przywołując idee Prusa.

Potępił on zbrojne zrywy w walce o wolność, jeżeli są podejmowane bez szans na powodzenie, na zwycięstwo. Nigdy jednak nie wyzbył się sentymentu do polskich tradycji bojowych. Widział konieczność posiadania własnego państwa. Dlatego uważał za konieczne kultywowanie rozumu politycznego, a nie emocji prowadzących do powstania. Wprost o tym w warunkach kontroli carskiej cenzury pisać nie mógł, ale sporo państwowych myśli przekazał w *Faraonie*. Dąbrowska przytaczała jego optymistyczne przesłanie, które było aktualne dla polskich warunków po drugiej wojnie światowej: „Pomimo ciężkich warunków bytu, pomimo jeszcze cięższych błędów, jakie co chwila popełniamy, mimo niedorzeczności, jakimi przeładowana jest nasza historia bodaj czy nie od dwóch wieków, mimo to wszystko naród nasz nie tylko może wydzwignąć się z obecnego położenia, ale jeszcze w przyszłej cywilizacji odegrać piękną, wspaniałą rolę”<sup>71</sup>.

Ezopowego języka, jakim posłużył się w tym fragmencie Bolesław Prus, użyła – bez najmniejszych zmian – Dąbrowska, niepokodzona z polską niesuwerennością państwową po 1945 roku.

Dąbrowska zatrzymywała uwagę na myśli Prusa o państwie. Doceniała ich wagę i były one jej bardzo bliskie. W kręgu przemyśleń pisarki o polskim państwie powstawał dramat o Bolesławie Śmiałym *Stanisław i Bogumił*. Pierwsze do niego notatki robiła pisarka już w 1939 roku, skończyła go pisać w zrujnowanej Warszawie we wrześniu 1945. Nadrzędną ideą dramatu jest racja prawowitej władzy, racja polskiej państwowości kierującej się dobrem całego narodu. Dąbrowska przeciwstawiła się mitowi o grzesznym królu i sprawiedliwym biskupie.

65 Tamże, s. 128.

66 Tamże, s. 129.

67 Tamże, s. 129.

68 Tamże, s. 129.

69 Tamże, s. 129.

70 Tamże, s. 130.

71 Tamże, s. 136.

O sprawach człowieka, narodu i państwa miały traktować *Przygody człowieka myślącego*, a rejon nad Gopłem, gdzie było usytuowane miejsce zdarzeń miało się wiązać z początkami państwa polskiego, którego stanem po 1945 roku była pisarka zaniepokojona. Wchodziła w powojenną rzeczywistość polską z utrwaloną demokratycznym rodowodem. Złożyły się nań: młodzieńcze związki z ruchem spółdzielczym rozwijającym się pod wpływem społecznych i etycznych idei Edwarda Abramowskiego, opozycyjność względem stosunków w Polsce zaprowadzanych przez sanacyjne rządy, opozycyjność wywodząca się z tych tradycji lewicowej inteligencji polskiej, które (skrótowo rzecz ujmując) reprezentował i uosabiał Stanisław Stempowski, niegdyś współpracownik „Ogniwa”, szczególnie uwrażliwienie autorki *Ludzi stamtąd* i *Rozdroża* na położenie polskiego chłopca, postawa antyklerykalna, pozytywistyczne tradycje zarówno samej literatury, jak i wyobrażeń o miejscu, a także o roli pisarza w społeczeństwie.

Toteż właściwą uwagę we wstępie do *Pism* Prusa poświęciła cyklowi jego artykułów zatytułowanemu *Co to jest socjalizm? W rzeczowym, nie bezkrytycznym, ale umiarkowanie życzliwym potraktowaniu przez Prusa ideologii socjalistycznej* znajdowała Dąbrowska coś jej bliskiego, jeszcze od czasów jej kontaktów z Edwardem Abramowskim, którego idee zapamiętała trwale i była im wierna<sup>72</sup>. Idee socjalistyczne były bliskie Prusowi, ale rewolucyjnego socjalizmu, który by idee społeczne realizował w drodze przymusu, nie pochwałał. Taki punkt widzenia właściwy był Edwardowi Abramowskiemu, a także samej Dąbrowskiej. Ale bliska jej była wrażliwość Prusa na bóle społeczne, dostrzeganie sprzeczności interesów różnych klas społecznych, sprzeczności, z których, co Dąbrowska podkreślała, Prus nie widział praktycznego wyjścia. Dodawała, że w ostatnim roku życia, w nieukończony powieści *Przemiany* są ślady liczenia się z nieuniknioną koniecznością wejścia na drogę rewolucji społecznej.

Dąbrowska komentowała myśli Prusa nie tylko dla poinformowania o niej odbiorców jego *Pism*, które poprzedzało słowo pisarki. Nie byłaby sobą, gdyby nie przekazywała im równocześnie nauk obywatelskich. Dąbrowska widziała w pismach Prusa wartości nadal – w Polsce lat 50. XX wieku – aktualne i chciała do nich przekonać czytelników Prusowskich utworów. Żywe jeszcze było doświadczenie drugiej wojny światowej, widok zniszczenia stolicy. Nie było trafnej i ogół Polaków obejmującej oceny powstania warszawskiego, wprowadzano nowy ład społeczny, który przez część społeczeństwa był przyjmowany z aprobatą, przez inną część odrzucany. Były to wszystko sprawy żywe, o które nie można nie potrącić w komentarzu do twórczej biografii Prusa, jego obywatelskiej sylwetki i jego poglądów. Dąbrowska odczytywała biografię Prusa, fragmenty jego twórczości, artykuły publicystyczne przez pryzmat własnych aktualnych przemyśleń i skojarzeń. Odwołując się do podobnych skojarzeń u odbiorcy jej słów.

Zatrzymała się na małej scenie z opowiadania *Widziadła*. Trzej przyjaciele, uraczeni miodem, w ima-

ginacyjnym kinematografie na ścianach starej winiarni Fukiera oglądają historię Rynku Starego Miasta. „I oglądając ów Rynek dźwigający się w ciągu wieków z wielokrotnych ruin, ujrzą go w ostatniej wizji właśnie takim, jakim w tej chwili my, dzisiejsi oglądamy go z dumą i radością”<sup>73</sup>. I tak zatoczył się łuk łączący warszawski Rynek Starego Miasta z czasów Prusa, ponad wspomnieniem ruin i zgłiszcz Warszawy obróconej przez Niemców w ruinę z odbudowanym dzięki pozytywnemu, konstruktywnemu wysiłkowi, zgodnie z tą wizją „pracy i zbiorowości”, której apologię znajdowała pisarka w *Faraonie* – nowym warszawskim Rynkiem Starego Miasta.

Dąbrowska odnajduje te słowa Prusa, które brzmią proroczo. Przewidywał on niepokoje i grozę naszych czasów. Oto słowa Prusa, a jakby wprost od Dąbrowskiej pochodziły: „Żyjemy w epoce, kiedy nauka zaczyna tracić charakter prawd powszechnych, a stawać się zbiorem fałszów i narzędziem drapieżnej polityki”<sup>74</sup>.

Przypomniała też jego słowa o niemieckim filozofie, Robercie Hartmanie, autorze *Filozofii nieświadomości*, który „objąwszy rolę politycznego ajenta zalecał swoim ziomkom wypalenie Polaków [...] Tylko patrzeć, jak na pniu sławnej nauki niemieckiej wyrosnie »nowa chemia« do trucia niemiłych sobie ludów, »nowa medycyna« do zalewania ich epidemiami”<sup>75</sup>.

W komentarzu do twórczości literackiej Bolesława Prusa wyrażała Dąbrowska własne pisarskie credo, którego realizacją miały być jej utwory, przede wszystkim *Noce i dnie*. Widziała w Prusie mistrza prozy, z którego nauk korzystała pisząc własne dzieła. Ale protestowała przeciw uproszczeniom, które by dzieło Prusa traktowały jako główne (jeżeli nie jedyne) źródła inspiracji.

W uwagach o jego działalności publicystycznej i postawy obywatelskiej wydobywała nie tylko znaczenie Prusa na tle jego czasów, ale również przekazywała rodakom nauki prawidłowego myślenia. Prus jako pisarz, jako człowiek i obywatel był dla Dąbrowskiej miarą, z którą porównywała i zależnie od wyników porównania oceniała sprawy związane z twórczością literacką i myśleniem o Polsce.

Na grobie Bolesława Prusa są słowa: „Serce serc”. Dąbrowska je uzupełnia w sposób, który dużo mówi o niej samej i o tym, co uważa za bardzo Polakom potrzebne, a może być wspierane przestaniem dochodzącym z twórczości i życia pisarza: „Prus był nie tylko »sercem serc«, jak głosi napis na jego grobie, ale usiłował być i płodną myślą polskich mózgow”<sup>76</sup>.

## MARIAN STĘPIEŃ

73 *Myśli o sprawach i ludziach...* jw., s. 136.

74 Tamże, s. 136.

75 Tamże.

76 Tamże.

72 Zob. jej artykuł *O kilku pionierach polskiej spółdzielczości*. W: *Pisma rozproszone...* jw., t.1



# CZYTANIE MYŚLIWSKIEGO

Oczekiwanie na nową powieść Wiesława Myśliwskiego (ponoć będzie miała tytuł *Ucho igielne*) zostało zakłócone przez Piotra Biłosa. Wydawnictwo ZNAK, wydając jego *Powieściowe światy Wiesława Myśliwskiego*, w opracowaniu graficznym nawiązującym do swoich wydań powieści omawianego autora, zasugerowało, że mamy do czynienia z monografią wyznaczającą lekturę obowiązującą.

Sprawa jest cokolwiek dziwna. W zeszłym roku Pierre Piotr Bilos wydał u Garniera w Paryżu, po francusku, monografię *Les Jeux du „je” - construction et deconstruction du recit chez Wiesław Myśliwski*. Takie zmutowanie zarówno nazwiska jak i tytułu może świadczyć o tym, że autor uległ głębokiemu zauroczeniu twórczością swojego bohatera i podobnie jak Myśliwski pragnie maksymalnie indywidualizować i uwzględnić podmiotowość czytelnika (sporo o tym pisze).

Nie znam książki francuskiej, ale sądząc z odmienności tytułów, w tej, którą otrzymaliśmy po polsku, kwestia dekonstrukcji została zmarginalizowana na korzyść konstrukcji. Zapewne dobrze się stało. Miłośnicy Myśliwskiego otrzymali przewodnik po jego światach. Jakkolwiek pozostaje kwestia nie rozstrzygniętą, czy mamy do czynienia ze światami, czy ze światem. Pewne jest tylko jedno – każdy z tych światów jest kontynuacją, uzupełnieniem i dopełnieniem świata powieści poprzedzającej. Taki wniosek wypływa z przyjętej przez Biłosa koncepcji traktowania powieści Myśliwskiego jako całości.

Biłos jest wyjątkowo uważnym czytelnikiem i świadectw intertekstualnych przepływów między powieściami znajduje bezmiar. Boję się jednak, że narracja krytyczna, operująca nieustannymi oscylacjami pomiędzy powieściami, może dezorientować czytelnika, który nie ma ambicji bycia literaturoznawcą. Piszę tak, ponieważ skłonny jestem, jak większość czytelników, którzy do rangi literaturoznawców nie pretendują, traktować każdy utwór autonomicznie.

Czytanie Myśliwskiego jest zawsze zajęciem prywatnym (o tym akurat Biłos nieustannie przypomina) i to na tyle, że o wielu sprawach, które przychodzą nam do głowy podczas lektury, wolimy zamilczeć. Mówiąc czy pisząc o Myśliwskim nigdy nie mówimy wszystkiego do końca, byłoby to zbyt intymne, zmuszało do zdradzenia zbyt wielu osobistych sekretów i tajemnic.

Osobliwość lektury Myśliwskiego polega na tym, że odsyła do nas samych, do źródłowego jądra naszego „ja”. Mówienie wszystkiego zmusiłoby nas do zrzucenia maski, obnażenia się, stalibyśmy się całkowicie bezbronni. Takich pisarzy nie jest wielu. W XX wieku wskazałbym jedynie Franza Kafkę i Juana Rulfo.

Nie znaczy to, że Jarosław Iwaszkiewicz, Gabriel Garcia Marquez czy Witold Gombrowicz nie są wielkimi pisarzami, a ich dzieła marniejsze. Znaczą jedynie,

że ich docelowym odbiorcą jest zbiorowość, wspólnota. Dlatego łatwiej o nich pisać. Powieści Myśliwskiego otwierają widnokrąg każdemu czytelnikowi inny i pozostawiają nas tam samych.

Biłos ma wiele racji nieustannie powracając do kwestii nieepickiego charakteru powieści autora *Ostatniego rozdania*, polemizując z tymi, którzy w przywoływaniu epickości widzą jej zalety. Jest odwrotnie. Adresatem epiki jest zawsze społeczność, wspólnota. Adresatem prozy Myśliwskiego jest pojedynczy czytelnik. Mówienie wszystkiego byłoby naruszeniem tej szczególnej relacji ja – ty, ty – ja, która nie jest dialogiem, lecz współobecnością scalaną niedpowiedzianym, przemilczanym, skrywanym jak w relacji przyjaciół czy kochanków. Głędzenie o wyzwalającym znaczeniu dialogu, wyzewnętrzniania się w grupach terapeutycznych i talk-show odczytyło nas czytania niewypowiedzianego. Świat coraz mniej pozwala nam na pozostawanie z samym sobą. Co nie rezonuje na agorze, przestaje mieć znaczenie.

Dlatego pytaniem tak istotnym jest dlaczego opowieści Myśliwskiego tak wciągają. To pytanie nieustannie u Biłosa powraca. Powierzchnowa krytyka ma prostą odpowiedź: to nostalgia za czasem minionym, młodością, celebrowanie utraty. W części zawinił sam autor swoimi ważnymi tekstami o odchodzeniu cywilizacji chłopskiej. Biłos rozprawia się z tym uproszczeniem. U Myśliwskiego nie ma nostalgii, ponieważ dla narratora, „opowiadacza” najważniejsza jest zawsze terażniejszość. Przeszłość nieustannie odbija się w terażniejszości.

Osobliwość pisarstwa, równoległa do osobliwości jej lektury, polega na tym, że wypełniona konkretem pełnia świata jego opowiadaczy-bohaterów uwydatnia bezmiar niewidzialnego. Te światy są tak nasycone konkretem, przy czym ów konkret nie może być nycznym innym jak tylko uwikłaniem w jednostkowy indywidualny los, że jego zanurzenie w żywiole nieskończoności niewidzialnego staje się oczywiste. Doświadczenie zindywidualizowanej naoczności konkretnego wytrąca nas z dogmatycznej drzemki, przeżycie estetyczne zbliża do epifanii.

Odkładamy *Ostatnie rozdanie* i uświadamiamy sobie, że żywi i umarli, początek i koniec, szczęście i nieszczęście, wojna i pokój to transcendentalne kategorie, coś jak czas i przestrzeń u Kanta. Odrzucić ich nie możemy, choć niekiedy, jak owemu gołębiowi z genialnej metafory z *Krytyki czystego rozumu*, wydaje się nam, że w próżni latałoby się lepiej.

Biłos łamie sobie głowę, a my razem z nim, jak to się dzieje, że „opowiadaczom” w powieściach Myśliwskiego udaje się te kategorie, zwłaszcza „żywi – umarli”, zawiesić. Wskazuje kilka tropów. Są to: strategia uobecniania poprzez oscylację opowieści pomiędzy

oralnością i piśmiennością, narracją wypowiedzianą i monologiem wewnętrznym. Biłos określa to jako „splot oralności i pisma”. Inna kwestia to nieustanna współzależność opowiadanej historii i samego procesu jej wypowiedzenia. Opowieść świadoma momentu jej wypowiedzenia zawiesza więc linearność czasu.

Myśliwski, na szczęście, nie jest pisarzem, który wszystkich porusza. Biłos cytuje Jacka Dehnela, którego „męczy koszmarne to nagromadzenie komunałów, myśli z pozoru tylko głębokich”. Rzecz w tym, że w przypadku Myśliwskiego takie sceptyczne osądy pozwalają nam, czytelnikom-entuzjastom czuć się lepiej.

Oto mamy pisarza, który opowiadając o codzienności zawiesił czas. I jest nasz. I jest Biłosa. I pisze dla nas.

Książka zaopatrzona została w indeksy nazwisk i postaci. Nie bez znaczenie byłoby dodanie indeksu rzeczy, bowiem w prozie Myśliwskiego rzeczy są nie tylko amuletami pamięci, ale emblematami losu, naszego kosmicznego uwikłania.

**ADAM KOMOROWSKI**

Piotr Biłos, *Powieściowe światy Wiesława Myśliwskiego*, Wydawnictwo ZNAK, Kraków 2017, str. 526.

## WERYFIKACJA WSPOMNIENI

Recenzowana książka<sup>1</sup> zainteresowała mnie szczególnie, bowiem dotyczy okresu, kiedy sam studiowałem socjologię (1960-1967). Był to dla mnie drugi kierunek, obok historii. Znałem bądź znam większość osób w niej występujących, często znam także omawiane prace. Mimo bliskości rozważanych spraw dowiedziałem się z niej wiele nowego. Nie czytałem jednak książki z radością. Ze studiów i z późniejszych lat zachowałem niezły obraz socjologii polskiej (nauka odrodzona po stalinowskiej przerwie, najlepsza w porównaniu z innymi krajami obozu, dużo oryginalnych ludzi...). Nie tylko zresztą socjologia, ale w ogóle polska humanistyka okresu 1956–1968 rysuje mi się raczej w dobrych barwach – zwłaszcza w porównaniu do „bratnich” krajów. Tymczasem autor sprowadza czytelnika na ziemię. Widzi oczywiście wymienione oraz inne pozytywy, ale pokazuje swoją dyscyplinę jako przynajmniej wówczas odległą od nauki światowej, w najlepszym wypadku wtórną wobec niej. To smutna książka dla takiego świadka historii jak ja. Nadto jako historyka speszyl mnie sposób autorskiego referowania. To jest książka naukowa według najostrzejszych wyobraźalnych kryteriów naukowości. Temat jest ustalony i ściśle ograniczony przyjętymi datami, baza materiałowa podobnie, statystyka jest narzędziem cennym dla autora. To nie jest opowieść o ludziach i sprawach – jak często prace historyczne. Tę książkę czyta się dla wiedzy, a nie dla przyjemności. Ludzie, o których w niej mowa, występują wyłącznie jako naukowcy. Zyskuje na tym czystość analizy prowadzonej na podobieństwo nauk przyrodniczych (kontrolowalne zmienne, sterylne środowisko...).

Kłopot tylko w tym, że ludzie nie są jedynie bytami biologicznymi, a różne zmienne, mało uwzględnione w książce, też miały swoje znaczenie w analizowanych zjawiskach. W niechęci prof. Józefa Chałasińskiego do prof. Schaffa i w wykonanym rękami Bogdana Molińskiego jego ataku na Zygmunta Baumana ogromny udział miała ludzka nienawiść – zracjonalizowana,

rzecz jasna, argumentami politycznymi i naukowymi. Jan Szczepański zadał w swoim dzienniku retoryczne pytanie: „A co Józio chce osiągnąć? Chcą [chce? M.K.] mieć skórę Schaffa przed łóżkiem. Żeby zażywać rozkoszy deptania po niej. Dla osiągnięcia tego celu trzeba rozbić Instytut Filozofii i Socjologii PAN, oddzielić socjologię od filozofii, rozpędzić Instytut, rozpędzić Wydział Filozoficzny i Sekcję Socjologiczną tego Wydziału na UW”<sup>2</sup>.

Trudno uwzględnić jako zmienną kontrolowalną okoliczność, że nie wszyscy ludzie są bohaterami. Naukowcy nie-bohaterowie często starali się prowadzić badania uczciwie, ale na polach mniej interesujących władzę. W historiografii prowadziło to do ucieczki w szczegół i konkret, najlepiej w średniowieczu, ale w historii najnowszej też. W socjologii mogła to być ucieczka od badań ówczesnego społeczeństwa. Odnoszę wrażenie, że refleksja metodologiczna Stefana Nowaka (w tym wypadku zresztą człowieka niewątpliwie odważnego) była pójściem ku sprawom mniej władze interesującym i mniej dla nich zrozumiałym niż jego badania nad studentami.

Autor rozpatruje możliwości i drogi jazdy polskich uczonych na Zachód i na Wschód, a prawie nie bierze pod uwagę czynnika pożądania przez nas wówczas wyjazdów oraz motywów takiej postawy. Wspomina kwestię korzyści pieniężnych, jakie z nich czerpaliliśmy, ale zupełnie nie porusza kwestii przyjemności, jaką był dla nas wyjazd. Tymczasem tak się składało, że polscy uczeni na ogół woleli spędzić trochę czasu na Zachodzie niż na Wschodzie, zaś po pobycie w USA można było sobie kupić samochód. Autor ledwo widzi, że na bieg wypadków w nauce miały wpływ czynniki jak najbardziej ludzkie, takie jak chęć trzymania się każdorazowej „władzy” – czasem w przekonaniu o uzyskaniu możliwości zrobienia czegoś pożytecznego, a czasem dla dopchania się do „żłobu”, niekiedy też dla połączenia przyjemnego z pożytecznym. Te sprawy nie

<sup>1</sup> Jarostaw Kiliński, *Goście ze Wschodu. Socjologia polska lat sześćdziesiątych XX wieku a nauka światowa, NOMOS*, Kraków 2017, s. 287.

<sup>2</sup> Jan Szczepański, *Dzienniki z lat 1945-1968 (zapis pod datą 14 XI 1966)*, opr., wstęp i przypisy Daniel Kadłubiec, Galeria „Na Gojach”, Ustroń 2013, s. 314

rozgrywały się wyłącznie w ramach wybieranych opcji naukowych.

Autor rozpatruje różne czynniki, dla których wielu polskich socjologów weszło – co rzeczywiście ciekawe – do międzynarodowych gremiów, ale ledwo bierze pod uwagę większe lub mniejsze ambicje i motory pchające ich na szczyty. Co zapisał w swoim dzienniku Jan Szczepański po wybraniu go na najwyższe możliwe stanowisko naukowe w jego dyscyplinie? Otóż zapisał: „Dzisiaj po południu na zebraniu Council ISA o godz. 19.20 Jaś Szczepański z Brzeziny na Zawodziu został wybrany *the President* tejże International Sociological Association”<sup>3</sup>.

Autor oczywiście widzi ówczesne międzynarodowe położenie Polski, także chęć oddziaływania Zachodu na Polskę – co wygodnie było wykonywać rękami różnych fundacji. Ta sprawa została już zauważona w nauce, ale można ją oczywiście wciążyć badać<sup>4</sup>. Autor widzi także specyfikę samej Polski w badanej dekadzie. Historyk bardziej by jednak powiązał podstawowy nurt autorskiej analizy z ogólnohistorycznym zapleczem. Całe odrodzenie polskiej socjologii byłoby nie do pomyślenia bez zmian zaszytych w Polsce w 1956 r., które – mimo wszystko – w bardzo podstawowych sprawach nie zostały cofnięte. Działania prof. Chałasińskiego oraz wspomnianego Bogdana Molińskiego w latach sześćdziesiątych były częścią (trudno powiedzieć czy uświadomioną) nadchodzącej fali moczarskiej i realizującego się sojuszu czerwono-brunatnego.

Z kolei w polityce Zachodu wobec nauki polskiej zarysowywało się warte analitycznego pogłębienia nastawienie na rozmięczenie socjalizmu, na pokazanie ludziom, że można żyć lepiej, przyciągnięcie nawet ludzi wiernych PZPR, w specyficznym sensie tego słowa „skorumpowanie ich”. Zachód zresztą doskonale wiedział, że jeśli współpraca ma trwać, to zachodnie instytucje muszą przyjmować u siebie pewną liczbę ludzi związanych z władzą – bowiem ta inaczej na nic by się nie zgodziła. Ewentualne nie akceptowanie jej ludzi władza uznałaby za despekt, niedocenywanie, a poza tym sami ci ludzie chcieli jeździć. Znany mi jest nawet wypadek protestu, gdy władza uznała, że jej człowiek dostał mniejsze stypendium niż inny historyk akurat jednocześnie korzystający z pobytu.

W dobie „pokojowej koegzystencji” organizacje międzynarodowe, organizatorzy kongresów, uczelnie itd., chciały mieć jakąś reprezentację nauki ze Wschodu. Niektórzy polscy badacze nabierali się na to, że ich Zachód ceni, podczas gdy zwrócenie się do nich wynikało przede wszystkim z klucza geopolitycznego. Z tego punktu widzenia Polska po 1956 r. była dla Zachodu lepszym celem działania niż inne „Kraje Demokracji Ludowej” lub/i ZSRR. To nie musiało się tłumaczyć tylko wielką polityką. Po prostu ludziom znaczącym w decyzjach o wymianie naukowej na Zachodzie było łatwiej i przyjemniej rozmawiać z, dajmy na to, profesorami Schaffem i Żółkiewskim, niż z radzieckimi urzędnikami nauki. Dlaczego zaś nauką, przynajmniej w znaczącym stopniu, rządili tu dwaj wymienieni profesorowie, a nie tylko urzędnicy KC najniższych lotów, jest właśnie dużym pytaniem.

Na stosunek Zachodu do naszej nauki miały też wpływ zainteresowania tamtejszych środowisk naukowych. Autor analizuje postawę środowiska amerykańskiego – podstawowego dla socjologów. Byłoby warto ją porównać z postawą na przykład środowiska francuskiego, podstawowego dla historyków. Środowisko francuskie wtedy samo mocno szukało – i to szukało historiografii nowej, możliwie nawet marksistowskiej. Jego zainteresowanie Polską i tutejszą historiografią było więc naturalne – zwłaszcza że, jak wspominałem, z Polską można było bez przykrości rozmawiać, zaś historiografia w wielu obszarach badawczych była dobra (wbrew temu, co się dziś często mówi). Fernand Braudel powiedział w tym czasie, że istnieją dwie liczące się szkoły historyczne: francuska i polska. Trudno wykluczyć, że powiedział tak przez kurtuazję; może nawet mówić tak kolejnym historykom z różnych krajów. Jakiś element jego prawdziwego poglądu musiał jednak tkwić w tych słowach (mógł w końcu nic nie mówić!).

Nienajmniej ważne dla kontaktów międzynarodowych humanistyki polskiej były przypadki. Braudel zainteresował się polskimi historykami, a miał we Francji dużo do powiedzenia. Z czasem polskimi socjologami, a raczej ruchem „Solidarności” zainteresował się też wiele mogący Alain Touraine. Akurat w latach sześćdziesiątych, badanych przez autora, mało francuskich socjologów interesowało się Polską.

Bardzo ważna jest refleksja autora nad stosunkami polskich socjologów z kolegami z KDL („Krajów Demokracji Ludowej”). Poza wszystkim mało pamiętamy o tym wątku przeszłości. Tu też jednak można by sprawę studiować głębiej na tle całokształtu stosunków między państwami-członkami obozu socjalistycznego („ze Związkiem Radzieckim na czele”). Przecież te kraje były bratnie tylko na papierze. Często nie lubiły się nawzajem, a zwłaszcza nie lubiło się ich kierownictwa partyjne. ZSRR nie lubił kontaktów utrzymywanych w ramach obozu – poza nim. W swojej prasie i czasopiśmie fachowych nieraz pomniejszał dorobek „bratnich” krajów. Oczywiście, zgodnie ze sztaampą, pewna liczba „osobotygodni” wymiany między uczelniami oraz akademiami nauk z krajów obozu była zawsze przewidziana. Było to potrzebne do sprawozdań w rubryce „współpraca międzynarodowa” – i raczej tylko do tego. Najcenniejsze były w tej współpracy wymiany wizyt dostojników akademii nauk. Mogłem się temu przyjrzeć jako opiekun-przewodnik jednego takiego wiceprezesa podczas jego wizyty w Polsce<sup>5</sup>. Mógłbym też opowiedzieć trochę o kontaktach polsko-kubańskich w humanistyce<sup>6</sup>.

W kontaktach między krajami socjalistycznymi wszystko musiało być zaplanowane i zatwierdzone. Niektóre osoby obawiano się wypuścić do krajów socjalistycznych nie mniej niż na Zachód – bowiem w socjalistycznych mogły się nie spodobać, a to by rzutowało wprost na kierownictwo naukowe ich kraju.

3 Ibidem, s. 309 (zapis pod datą 9 IX 1966).

4 Dorota Dakowska, *Le pouvoir des fondations: des acteurs de la politique étrangère*, Presses Universitaires de Rennes, Rennes 2014.

5 Marcin Kula, *Rzeczywistość rozwiewa iluzje. Epizod z dziejów współpracy bratnich Akademii Nauk, w: Afryka, Orient, Polska. Prace ofiarowane Profesorowi Andrzejowi Dziubińskiemu w siedemdziesiątą rocznicę urodzin*, red. Stefan K. Kuczyński i in., DiG, Warszawa 2007, s. 271-275.

6 Marcin Kula, *Listom daleko, w: Polska, Europa, Afryka. Studia ofiarowane Profesorowi Bronisławowi Nowakowi w sześćdziesiątą piątą rocznicę urodzin*, red. Marian Dygo i in., Akademia Humanistyczna im. Aleksandra Gieysztora 2007, s. 407-424. Por. tenże, *Notatki z Kuby (styczeń-marzec 1971)*, w: *tenże, Komunizm i po komunizmie*, Wydawnictwo TRIO, Warszawa 2006, s. 107-131.

Pełnienie funkcji w organizacji międzynarodowej było dla człowieka z Polski trudne (paszport, pieniądze, brak sekretariatu, uzależnienie w wielu kwestiach od humoru władz). Widziałem taką sytuację przez pewien czas z bliska na przykładzie własnego Ojca jako prezesa Międzynarodowego Stowarzyszenia Historii Gospodarczej. Pamiętam też pogawędkę prof. Szczepańskiego na forum PTS przed kongresem socjologów w Warnie; profesor opowiadał wtedy o wszystkich swoich trudnościach. Na dodatek władze chciały, by człowiek pełniący funkcję w organizacji międzynarodowej działał z korzyścią dla Polski – by w danym celu występował jako człowiek Polski, co byłoby naturalne w wypadku dyplomaty, ale kłóciło się z istotą sprawowania funkcji w stowarzyszeniu. Skądinąd nie było jasne, co znaczyło w takim wypadku „w interesie Polski”. Te władze były przecież rozdwojone – z jednej strony chciały jak największego udziału polskich delegatów w różnych konferencjach, z drugiej zaś miały poważne opory przed zwiększaniem delegacji itd. W czasie międzynarodowego kongresu na terenie krajów socjalistycznych taki przewodniczący musiał, a przynajmniej powinien jeszcze liczyć się z nadzorem miejscowej policji politycznej – uruchomionej przeciw sobie przez bratnie polskie SB (jak było przynajmniej w owym bliżej przeze mnie obserwowanym wypadku).

Autor interesuje się wpływem zagranicznej socjologii na polską oraz ewentualnie polskiej na zagraniczną. Tę drugą kwestię rozstrzyga radykalnie – zauważając, że ten kierunek wpływu był praktycznie znikomy mimo zaskakująco dużego udziału Polaków w instytucjach międzynarodowych i przetłumaczenia na obce języki kilku książek. Z przeczytanego opracowania odnoszę wrażenie, że polscy socjologowie interesowali zachodnich kolegów zdecydowanie mniej niż polscy historycy. Może warto przeprowadzić takie porównanie między dyscyplinami. Bliskie autorskiemu studium o historiografii polskiej w kontaktach zagranicznych zrobił Patryk Pleskot, ale nie ma go niestety w bibliografii recenzowanej książki<sup>7</sup>. Może różnica wynikała ze specyfiki dyscyplin? Niby socjologia jest nauką bardziej międzynarodową od historii, ale historycy mają wdrukowane w głowy aż do absurdu, że powinni brać pod uwagę możliwie cały materiał źródłowy istniejący na dany temat, także wszystkie opracowania, różne casusy, wpływ jednego kraju na drugi. W wypadku historii bardziej niż w wypadku socjologii funkcjonują specjaliści od danych krajów i obszarów, więc zwłaszcza w dużym kraju zawsze znajdowali się zainteresowani historią Europy Wschodniej czy wręcz Polski – równie dobrze jak Azji czy Afryki. Prawda, że na tym tle trafiały się kraje lepiej usytuowane niż Polska – na przykład Brazylia, która choćby przez swoją wielkość i brak włączenia do obozu sowieckiego mogła zawsze liczyć na zainteresowanie.

Ciekawe są uwagi autora na temat peryferyjności Polski, formułowane przez autora w kontekście kontaktów i wpływów naukowych. Nie pomagało nam, że byliśmy częścią strefy radzieckiej – bo jeżeli już ktoś interesował się Wschodem, to raczej ZSRR niż krajami, które Zachód na ogół uważał za bez reszty satelickie.

Nawet nie będąc już w oczach Zachodu częścią strefy radzieckiej jesteśmy peryferiami, a mocarstwowe okrzyki i demonstracje na pewno tego nie zmieniają. Niedawno kolega z Uniwersytetu Warszawskiego, który na pewien czas znalazł się w Paryżu, opowiadał mi, że od czasu, gdy zyskał wizytówkę z wydrukiem „Profesor Sorbony” jego akcje na forach międzynarodowych poszły w górę. Tymczasem – mówił – od przeniesienia się do Paryża chyba nie zmądrzał, nieprawdaż?

Zastanawia mnie, czy jednak autor przyjął dobrą drogę badania wzajemnego wpływu intelektualnego. Jest to rzecz bardzo trudna do badania. Gdy się bada treść prac, często nie wiadomo – bo sam autor dowolnego dzieła nie musi tego wiedzieć – skąd wzięły się jakieś pomysły. Nieraz sposób konceptualizacji „wisi w powietrzu”. Nieraz można ją samemu wymyślić, a będzie podobna do opracowanej przez kogoś za granicą. Obca inspiracja może występować w różnym stopniu. Może jej nie być – nawet żadnej – bowiem to autor mógł chcieć coś wymyślić i mógł rzeczywiście wymyślić. Dziś wymyślenie samemu nie jest modne, raczej trzeba się jakąś wielkością naukową inspirować i na nią powołać. Osobiście bardzo cenię Stefana Nowaka za to, że – jak wskazuje autor – przede wszystkim obracał zagadnienie we w własnej głowie.

Nie tylko odsyłacze są dowodem inspiracji. Autor analizuje najbardziej charakterystyczne dla polskiej socjologii badanej dekady podręczniki. Bardzo naukowo przeprowadza statystyki recenzji, cytowań, odwołań. Do tego musi mieć ściśle zdefiniowaną bazę badanego materiału – co ma swoje złe strony. Nie bierze pod uwagę – co zaznacza – nawet powielanych tłumaczeń dzieł zachodnich robionych w Polsce dla użytku dydaktycznego. Nie stawia pytania, co czytali polscy humaniści podczas pobytów na Zachodzie (prawda, trudno to stwierdzić, a cóż dopiero policzyć!). W niewielkim stopniu bierze pod uwagę rozpętana przez Adama Schaffa dyskusję o „ankietomanii”, a przecież w niej przewijały się różne sprawy wskazujące inspiracje socjologów. Rozpatrując ewentualny wpływ w drugą stronę, poświęca sporo uwagi *Polish Sociological Bulletin*. Warto jednak pamiętać, że był on, podobnie jak *Acta Poloniae Historica*, czasopismem stworzonym w ramach biurokratycznej struktury. Nie oczekiwano specjalnie, by je czytano, środowisko nie stało wyraźnie za nim. Władza zadekretowała „po jednym czasopiśmie obcojęzycznym na dyscyplinę!” i pismo stworzono. Władza chciała mieć poczucie, że nasza nauka promieniuje na świat, że ma sukcesy – nawet jeśli sama tym sukcesom przeszkadzała. To wszystko było bardzo biurokratyzowane – nawet jeśli środowiska naukowe skutecznie, choć bez deklarowania tego, sabotowały różne rozwiązania. Autor odnotowuje, że Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki dawał relatywnie dużo pieniędzy na socjologię sportu. Otóż każdy ośrodek tu działający chciał mieć swoją placówkę naukową. Przecież to była struktura nominalnie zbudowana na naukowych podstawach.

Nic nie wskazuje, by rzeczywiście było potrzeba aż tylu instytutów resortowych, ile istniało w PRL. Na świecie ich zadania spełniają placówki badawcze i rozwojowe przedsiębiorstw. Tak, ale dzięki takim instytutom ministerstwa były bardziej naukowe, a personel uzyskiwał tytuły naukowe; tych w PRL wszyscy chcieli – łącznie

<sup>7</sup> Patryk Pleskot, *Intelektualni sąsiedzi. Kontakty historyków polskich ze środowiskiem „Annales”. 1945-1989*, IPN, Warszawa 2010.

z aparatem partyjnym. Koszty takich instytucji czy wydatki GKKFiT na socjologię, były zresztą małe w porównaniu do podstawowych wydatków takich instytucji. Dla nas zrodzone z biurokratycznego łoża czasopisma takie jak *Polish Sociological Bulletin* miały znaczenie o tyle, że uzyskiwało się odbitkę autorską, którą można było wysłać do znajomych za granicą, zaś biblioteki uzyskiwały czasopismo na wymianę.

Dla analizy wpływu intelektualnego zagranicą w polskich socjologów autor wybiera prace ogólniejsze, bardziej reprezentacyjne. Przyjrzenie się im jest ciekawe, gdyż widać, że w znacznie większym stopniu znajdowały się one pod wpływem socjologii amerykańskiej niż inspiracji pożądanymi przez władze PRL. Niemniej jednak w krajach komunistycznych różne rzeczy odbijały się właśnie w materiałach rodzących się w zakamarkach, w pozycjach niskonakładowych. Tych mało widać w recenzowanej książce. Jakże były inspiracje badań Stefana Nowaka nad studentami Warszawy? Jakże były inspiracje badań nad świadomością historyczną Polaków, prowadzonych przez Katedrę Historii Myśli Społecznej UW?

Przerobiona przez autora literatura jest oczywiście ogromna, a wybrana metoda badań pracochłonna. Trudno mieć pretensje, że nie zrobił jeszcze czegoś, a każde badanie trzeba jakoś ograniczyć. Odnoszę jednak wrażenie, że niektóre zagadnienia poruszane przez polską socjologię w badanym okresie i ważne dla niej, a także ciekawe dla zasadniczej tematyki autora, nie znalazły się w rozpatrywanym polu. Autor w znacznie mniejszym stopniu analizuje powstałe monografie niż uogólnienia i podręczniki. Jeżeli czegoś nie przeoczyłem, to nie zostały uwzględnione badania religioznawcze Kubiaka<sup>8</sup>. Nawet jeżeli ich wyniki ukazały się po 1970 r., to przecież musiały być podjęte w latach sześćdziesiątych. Nie ma w książce prowadzonej w Krakowie refleksji nad problematyką narodowościową, w tym polonijną. Nawet jeżeli ożywiła się ona w latach siedemdziesiątych, to chyba musiała się zacząć wcześniej. Nie ma refleksji afrykanistycznej, która była żywa w latach sześćdziesiątych i w paru wypadkach prowadzona przez socjologów – nawet jeśli niekoniecznie na Socjologii UW.

Bardzo zaciekały mnie w książce rozważania nad obecnością/nieobecnością marksizmu w socjologii polskiej. W odniesieniu do historiografii odnoszę wrażenie, że w rozpatrywanym okresie byli wśród nas nie tyle marksiści, ile ludzie bliscy KC PZPR. Ci byli uważani przez władze za marksistów, ale wspominając swoje studia historyczne odbyte w latach 1960-1965 nie potrafię powiedzieć, co było marksistowskiego w słowach pisanych i mówionych nawet przez przewodniczącego Rady Państwa PRL czy przez kierownika Wydziału Nauki KC lub jego zastępcę, których wszystkich miałem jako profesorów. Na dodatek ten zastępca rozwinął badania amerykańskie na UW (tylko on mógł to zrobić!). Prowadził je we współpracy z USA, skąd, jako żywo, nie importował marksizmu.

Myślałem, że w wypadku socjologii, podobnie jak w wypadku filozofii, marksizm będzie jednak bardziej

widoczny. W pamięci pozostało mi trochę marksizmu z tych z kolei studiów – ale szybko okazało się, że to był rewizjonizm. W recenzowanej książce marksizmu wśród socjologów nieprzypadkowo prawie nie widać – nawet w wypadku ludzi o tyle teoretycznie bliższych tej metodologii oraz ideologii, że będących członkami PZPR i do czasu popieranymi przez władze. Kilias pisze: „marksści (względnie: partyjni uczeni) byli zazwyczaj takimi samymi entuzjastami socjologii zachodniej, jak niemarksści, a źródłem różnic i sposobów korzystania z dorobku nauki zachodniej była bardziej przynależność do określonego pokolenia, niż postawa względem marksizmu (czy przynależność partyjna)”<sup>9</sup>.

Można w ogóle postawić pytanie, czy istniał marksizm w tym nominalnie inspirującym się marksizmem kraju, a jeśli istniał, to czym właściwie był? Z przeczytanej książki odnoszę wrażenie, że do miana zdrowego marksisty aspirował jedynie Jarosław Ładosz w swej nie opublikowanej broszurze. Zatrzymali ją uznając za marną jego koledzy, równie partyjni jak on sam, a władza też, widać, przesadnie nie naciskała na druk.

Podpunktem tu rozważanej kwestii jest instrumentalne operowanie terminem „marksizm” przez władze oraz ich przedłużenia. Gdy władza chciała poprzeć naukowca, łatwo stawał się on marksistą i odwrotnie. Opowiadano mi, jaką minę miał prof. Kotarbiński, gdy jakaś dziennikarka radziecka dała mu do autoryzacji wywiad, w wstępie którego profesor został określony jako od dawna czołowy polski uczyony, który stał się marksistą. Ona, bidulka, chciała dobrze! Jej zresztą w głowie nie mieściło się, że prezes PAN może nie być marksistą. Jarosław Kilias wspomina, jak socjologowie z ówczesnej Czechosłowacji chcieli z dobrego serca (i motywowani domniemaną logiką dziejów?) uznać prof. Szczepańskiego za marksistę. Sam, będąc w 1971 r. na Kubie, wiłem się w rozmowie, szukając odpowiedzi na postawione mi pytanie, czy francuskie środowisko *Annales* jest marksistowskie. Mój rozmówca, dyrektor lub zastępca dyrektora Instytutu Historii kubańskiej Akademii, był dobrym człowiekiem. Chciał, żebym potwierdził, iż Braudel i jego środowisko to marksści – bo on ich cenił i chciał propagować ich twórczość.

Recenzowana książka została napisana, jak wyżej wspominałem, w konwencji bardzo naukowej. Ta recenzja jest świadomie pisana w konwencji odmiennej. Jeśli jako taka nie pasuje do dyskusji o książce naukowej, to proszę autora, by zechciał ją uznać za wypowiedź świadka wydarzeń, kolejną po tych, które zgromadził przed przystąpieniem do pisania.

## MARCIN KULA

Jarosław Kilias, *Goście ze Wschodu. Socjologia polska lat sześćdziesiątych XX wieku a nauka światowa*, NOMOS, Kraków 2017, s. 287.

8 Hieronim Kubiak, *Religijność a środowisko społeczne. Studium zmian religijności pod wpływem ruchów migracyjnych ze wsi do miasta*, Ossolineum, Wrocław 1972; tenże, *Polski Narodowy Kościół Katolicki w Stanach Zjednoczonych Ameryki w latach 1897-1965. Jego społeczne uwarunkowania i społeczne funkcje*, Ossolineum, Wrocław 1975.

9 Jarosław Kilias, op. cit., s. 191 (podobnie s. 188-189).

STANISŁAW JĘDRZEJEWSKI

# RADIO CYFROWE JUŻ W POLSCE.

## ZMARNOWANA SZANSA!?

Radio, którego tak chętnie słuchamy, nie przyznając się często do tego, podlega, podobnie jak inne „stare” media, bardzo interesującym przeobrażeniom. Po pierwsze, nieuchronnie przechodzi w przeszłość radio nadawane na falach krótkich, średnich i długich. Po drugie, radio, stając się medium cyfrowym dostępnym w internecie lub w systemie Digital Audio Broadcasting może równoległe z dźwiękiem przekazywać tekst, obraz czy dostarczać dane z przewodnika programowego z pełną listą stacji i audycji, i ich opisem.

Cztery lata temu, 1 października 2013 r. Polskie Radio rozpoczęło regularną transmisję radia cyfrowego w standardzie DAB+. Oprócz znanych pięciu naziemnych, analogowych kanałów i dwóch programów Rozgłośni Regionalnych (Radio dla Ciebie i Radio Katowice) w pierwszym multipleksie, czyli w pakiecie radiowych i usług dodatkowych jednocześnie transmitowanych cyfrowo (multipleksowanych) do odbiorcy w jednym kanale częstotliwości, znalazły się dwa oryginalne programy cyfrowe – PR24 i Radio Rytm, a od marca 2015 r. – Radio Dzieciom. Na początku transmisja cyfrowa objęła aglomerację warszawską i śląską, od sierpnia 2014 r. Szczecin i Wrocław, zaś od października 2014 r. – Opole i Łódź. 1 stycznia 2015 r. Polskie Radio rozpoczęło cyfrowe nadawanie w aglomeracjach gdańskiej, kieleckiej, krakowskiej i poznańskiej. W ten sposób łączny zasięg emisji DAB+ w Polsce obejmuje już 56,1 tys. km<sup>2</sup> (17,9 proc.) terytorium oraz 15,7 mln (41,3%) populacji kraju (DAB+ 2014).

Polskie Radio zamierzało jeszcze wprowadzić program o profilu edukacyjnym (Radio Edukacyjne), program złożony z audycji archiwalnych (Radio dla Seniorów). Istnieje też przestrzeń do uruchomienia kanałów o innych profilach, np. obywatelskim (Radio Parlament), religijnym, sportowym, artystycznym (reportaże i słuchowiska radiowe na wzór BBC

Radio 7), społecznościowym (debaty, wypowiedzi antenowe słuchaczy), oraz stacji o różnych formatach muzycznych.

Niestety, doświadczenie już blisko czteroletniej emisji dwóch oryginalnych kanałów cyfrowych – PR24 i Radio Rytm dowodzi, że pomysły programowe w gruncie rzeczy odwzorowują formaty i strategię narracyjne istniejących programów analogowych, a więc takich, które powstały w całkowicie odmiennej epoce radia<sup>1</sup>. Ciągle brak jest pomysłów, zarówno formalnych jak i dotyczących treści, na dane dodatkowe, których przekaz umożliwia standard DAB+. W tej sytuacji w czerwcu 2016 r. Zarząd Polskiego Radia postanowił „zamrozić” rozwój radia cyfrowego. W ten sposób radio cyfrowe w Polsce w standardzie DAB+ stało w miejscu.

**Dlaczego tak się stało?** Sprawa jest dość skomplikowana i nie wiąże się wcale z tzw. dobrą zmianą. Kiedy powołana przez Krajową Radę Radiofonii i Telewizji i prezesa Urzędu Komunikacji Elektronicznej jeszcze w 2015 r. grupa międzyresortowa opracowała *Zieloną Księgę Cyfryzacji Radia w Polsce*, która stanowi zbiór zaleceń dla rządu okazało się, że Polskie Radio wprowadziło radio cyfrowe DAB+ bez jakiegokolwiek strategii rozwoju, która w tym samym stopniu zaspokoi interesy nadawców publicznych, komercyjnych i społecznych, ale przede wszystkim interesów odbiorców. Nie ma jasno określonych celów strategicznych i sposobów ich osiągnięcia. Nie ma określonej daty zakończenia emisji w technologii analogowej, co stawia wszystkich nadawców w sytuacji niepewności – jak długo będą musieli finansować równoległe przebiegającą emisję w technologii analogowej i cyfrowej. Nie został uregulowa-

<sup>1</sup> W 2017 r. PR 24 zostało przesunięte do sieci FM, zaś w systemie cyfrowym DAB+ znalazła się Czwórka (Program IV Polskiego Radia - program dla młodzieży, głównie o charakterze muzycznym)

ny dostęp do multipleksu przez nadawców lokalnych, uniwersyteckich, branżowych czy niszowych. Nie była podjęta żadna procedura podobna do wypracowanego w Wielkiej Brytanii testu wartości publicznej (Publi Value Test) przeprowadzanego przez brytyjski organ regulacyjny OFCOM w sytuacji, gdy nadawca publiczny chce wprowadzić nową usługę lub technologię. W każdym razie – i taka była konkluzja *Księgi* – uruchomienie procesu digitalizacji powinno być poprzedzone rzetelną ekspertyzą techniczną, gospodarczą, społeczną, prawną i organizacyjną.

Ale spróbujmy wyjaśnić, **co to takiego radio cyfrowe?** Idea oraz opracowane założenia techniczne radia cyfrowego DAB pojawiły się jeszcze w latach 80. ubiegłego wieku. Były częścią nowej europejskiej polityki i strategii przemysłowej związanej z zaawansowanymi technologiami. Ważną rolę w określaniu ram politycznych rozwoju DAB odgrywała zwłaszcza Francja. W styczniu 1986 roku rząd francuski zaproponował odrzucenie japońskiej propozycji globalnego standardu telewizji analogowej wysokiej rozdzielczości (HD, High Definition). Gdy inne kraje europejskie zostały przekonane o konieczności ustalenia paneuropejskiego analogowego standardu HDTV, a dla radia – DAB, wspólne projekty technologiczne rozpoczęto realizować w ramach nowej platformy EUREKA 147. I choć radio analogowe miało z pewnością problemy z niewystarczającym zakresem częstotliwości i niezdolnością dostarczenia dźwięku o jakości krążka CD, to w przypadku cyfrowego radio DAB było co najmniej tyle samo problemów technologiczno-politycznych, co ekonomicznych. Radio cyfrowe w standardzie DAB miało być środkiem zapobiegającym inwazji japońskiej elektroniki, ale wówczas było to „medium bez odbiorców”, zatem można je było zaprojektować według pewnych celów i wartości kulturalnych, politycznych i gospodarczych bez potrzeby kompromisu z poprzednimi rozwiązaniami.

I to tłumaczy, dlaczego DAB stał się jednocześnie rozwiązaniem technologicznie radykalnym i społecznie konserwatywnym. Gdy w 1988 r. zademonstrowano po raz pierwszy zalety DAB-u, analogowe telefony przenośne były jeszcze zupełną nowością. Siedem lat później, w 1995 roku, kiedy pierwsze transmisje radia cyfrowego pojawiły się w Norwegii, Wielkiej Brytanii, Danii i Szwecji, użytkowników internetu na całym świecie było mniej niż 40 milionów. Obecnie sytuacja jest diametralnie inna. Według ITU w 2016 r. na całym świecie było w użyciu około 6,8 mld użytkowników telefonów komórkowych, 2 mld urządzeń mobilnych pracujących w szerokim paśmie oraz 3,8 mld użytkowników internetu, podczas gdy cyfrowe usługi radiowe były dostępne jako pierwszoplanowe tylko dla około 500 milionów ludzi. I nawet jeśli porównamy liczbę użytkowników radia cyfrowego DAB i telewizji cyfrowej DVB w Europie, rozwój radia cyfrowego trudno uznać za sukces.

Wiele okoliczności zdecydowało o zwolnionym procesie wprowadzania radia cyfrowego. Po pierwsze, dokumenty europejskie dotyczące konwersji cyfrowej (przejścia do technologii cyfrowej) praktycznie odnoszą się do telewizji, ignorując radio. Nie ma więc również terminu wyłączenia technologii analogowej. Po drugie, nie istnieją w zasadzie uregulowania pa-

neuropejskie dotyczące radia, pozostawiając regulacje w tym obszarze poszczególnym państwom. W związku z tym każdy z krajów europejskich, dokonując konwersji cyfrowej, kieruje się własnymi specyficznymi motywami zgodnie z uwarunkowaniami politycznymi, ekonomicznymi, kontekstem kulturowym itd. Po trzecie wreszcie, inwestycje w radio cyfrowe, jak zresztą w każdą nową technologię, okazują się ekonomicznie i społecznie racjonalne tylko wówczas, gdy potencjalne rynki rokoją w dającej się przewidzieć przyszłości wzrost lub zwrot inwestycji. Niestety, radio cyfrowe ma ciągle stosunkowo słabe podstawy ekonomiczne, w zasadzie brak wsparcia politycznego i niewystarczające zainteresowanie potencjalnych słuchaczy-użytkowników.

W Europie konwersja cyfrowa w sektorze telewizji, zgodnie z planami, dokonana została się niemal bezkolizyjnie do 2015 r. W Polsce, od sierpnia 2013 r. praktycznie wszystkie gospodarstwa domowe mają dostęp do telewizji cyfrowej przez tę czy inną platformę (płatna telewizja kablowa, satelitarne płatne platformy cyfrowe i naziemna bezpłatna telewizja cyfrowa w standardzie DVB-T).

W sektorze radiowym sytuacja z wielu powodów jest bardziej złożona. Najnowszym rozwiązaniem jest istniejący od 2007 r. standard DAB+. Podobnie jak w DAB, jeden blok zajmuje tutaj pasmo 1,5 MHz, ale można w nim zmieścić 20–25 programów, tzn. dwa razy więcej aniżeli w systemie DAB. Jest to system oferujący lepsze wykorzystanie zakresu częstotliwości radiowych, niższe koszty przypadające na jedną stację i większy wybór stacji. Niemniej zaprojektowany z podobną do DAB funkcjonalnością tzn. z możliwością transmisji komunikatów o ruchu drogowym, przesyłania danych dodatkowych, takich jak informacje o nadawanych utworach muzycznych i wykonawcach, a także dostarczania wiadomości tekstowych, grafiki, zdjęć itd.

Jednakże wprowadzenie radia cyfrowego, jakkolwiek potrzebne ze względu na perspektywy rozwoju radia, a także stopniowe znikanie mało efektywnego pasma AM (fale średnie i długie), osiągnięcie plateau przez pasmo FM (fale ultrakrótkie), możliwość transmisji danych, jaką ze sobą niesie, nie nastąpi szybko. I chociaż radio cyfrowe w standardzie DAB jest dostępne w 19 krajach Europy i kilku innych regionach świata, zwłaszcza w krajach Dalekiego Wschodu, w skali rynku globalnego proces wprowadzania radia cyfrowego jest bardzo wolny.

W tej sytuacji EBU (Europejska Unia Radiowo-Telewizyjna) zdecydowała się wydać w 2014 r. zalecenie w sprawie jak najszybszego wprowadzenia radia cyfrowego w standardzie DAB+, a tam, gdzie to niemożliwe, jako alternatywy, standardu DRM (Digital Radio Mondiale), w którym istnieje możliwość „ucyfrowienia” fal średnich i długich. Następnie opublikowano instrumentarium dotyczące strategii wdrażania radia cyfrowego, odnosząc się do doświadczeń radiofonii publicznych z Norwegii (NRK), gdzie od 1 stycznia 2017 radio cyfrowe zastąpiło analogowe, Szwajcarii (SRG) i Wlk. Brytanii (BBC).

Proces wprowadzania radia cyfrowego na poszczególnych rynkach radiowych odbywa się z różną szybkością i napotyka na rozmaite problemy. Na

przykład rząd Wielkiej Brytanii nie podjął do tej pory decyzji o dacie opuszczenia technologii analogowej. W Szwecji kilka lat temu opracowano „mapę drogową” dochodzenia do wyłączenia technologii analogowej, ale ostatecznie wycofano się z planów wprowadzenia nowej technologii radiowej. W Holandii, gdzie na przejście do nowej technologii zdecydowany jest nadawca publiczny, nadawcy komercyjni są gotowi przejść do nowej technologii dopiero po 2019 r. Lepiej wygląda rynek niemiecki, gdzie w 2011 r. dokonano powtórnego uruchomienia radia cyfrowego, tym razem w standardzie DAB+, a pokrycie terytorialne sygnałem cyfrowym wynosi obecnie 81,9 proc, zaś ludnościowe – 90,1 proc. Jednakże, jak się szacuje, tylko ok. 7,5 proc. gospodarstw domowych posiada odbiorniki cyfrowe. W krajach Europy Południowej, w Hiszpanii i Portugalii cyfryzacja transmisji radiowej została wstrzymana. W wielu innych krajach, np. w Austrii, Finlandii, krajach bałtyckich i postkomunistycznych państwach południa Europy radio cyfrowe znajduje się w fazie planów strategicznych.

Z kolei w trzech krajach przodujących pod tym względem, w Wielkiej Brytanii, Danii i Norwegii poziom słuchalności nie przekracza 25 proc. audytorium. Zaznaczyć przy tym należy, że w Norwegii i Wielkiej Brytanii odpowiednio 63 proc. i 61 proc. samochodów wyposażonych jest w odbiorniki cyfrowe DAB/DAB+ (dla porównania, w Szwajcarii –37 proc.).

Przykładem kraju, który jako pierwszy rozwinął radio cyfrowe (w formacie DAB Eureka 147), jest Wielka Brytania. Radio cyfrowe wystartowało 30 października 2002 r. z ofertą pięciu kanałów cyfrowych: BBC 1Xtra, BBC Five Live Sports Extra, BBC 6, BBC 7 i BBC Asian Network oraz dwóch istniejących: BBC Radio Five Live i BBC World Service. Wszystkie te stacje znalazły się na multipleksie B. Później, w 2003 r. już w multipleksie A zaczęły nadawać dotychczas obecne tylko w technologii analogowej pozostałe programy BBC 1,2,3,4. Szczególnie interesujący wydaje się program BBC 7 zawierający archiwalne nagrania słowne – słuchowiska, dokumenty, swoisty brytyjski gatunek radiowy *comedy*, reportaże, audycje dla dzieci. Miał on stać się wehikułem radia cyfrowego w ogóle, przeznaczonym dla słuchaczy nieco starszych. Rzeczywiście, na początku po uruchomieniu wywołał ogromne zainteresowanie, co wpłynęło to korzystnie na zakupy odbiorników do odbioru radia cyfrowego. Szybko też wzrastało audytorium tego kanału. Przez jakiś czas BBC 7 pozostawał modelowym programem i z punktu widzenia oferowanych treści, i ze względu na strukturę organizacyjną – zatrudniał niewielu pracowników. Obecnie całą platformę naziemnego radia cyfrowego tworzy 27 stacji, w tym programy BB, kanały grupy Bauer, grupy GMG i Absolute Radio.

Nowa, cyfrowa dystrybucja programu radiowego DAB+ nie jest na razie opłacalna dla producentów i konsumentów, a także nie jest powszechnie dostępna. Np. w Polsce brak jest w sklepach tanich i dobrych odbiorników do odbioru radia cyfrowego, nie trafiły one jeszcze na deski rozdzielcze samochodów. Radio cyfrowe wymaga też nabycia nowych kompetencji medialnych ze strony odbiorcy. Słuchacze również nie zawsze widzą konieczność nadawania programów o krystalicznej jakości płyty CD, a zadawałają się przy-

zwoitą jakością FM (UKF). Bardziej liczy się dla nich atrakcyjność oferty programowej, jej jakość, zaspokajanie wielu istotnych potrzeb medialnych, w tym przede wszystkim możliwość komunikowania się słuchaczy z redakcjami i między sobą.

Trzeba jednak zaznaczyć, że podobnie jak radio cyfrowe nie wyprze długo jeszcze radia analogowego, również internet nie zastąpi radia tradycyjnego. Już wiadać, że radio cyfrowe w standardzie DAB+ i internet są, i przez wiele jeszcze lat będą dla tradycyjnego radia analogowego technologiami uzupełniającymi aniżeli zastępczymi, jeżeli nie „połączymy” ich nowszą technologią radiową, np. radio hybrydowe, łącząc nadawanie analogowe FM z nadawaniem cyfrowym DAB+ i siecią internetu. Byłoby to lepsze rozwiązanie, aniżeli osobny, izolowany od innych mediów DAB+.

Wiele przemawia za tym, że ciągu 5–10 lat ze względu na „ruchome” możliwości odbioru radio utrzyma wszystkie swoje zalety. Na skutek rozszerzenia się liczby usług radiowych i wynikającej stąd fragmentacji audytorium tylko niewielu nadawców radiowych zdoła osiągnąć 8–10 proc. udziału w rynku. Już zresztą obecnie fragmentacja ta jest faktem na skutek sukcesów, jakie odnoszą dobrze sformatowane programy, a także ze względu na stosunkowo niskie koszty wejścia na rynek radiowy. Liczba dostępnych usług radiowych będzie rosła, powodując zróżnicowanie audytorium, lecz generalnie całe radiowe audytorium można będzie podzielić na dwie grupy:

- 1) słuchaczy, którzy szybko uzyskają dostęp do wielokanałowych (cyfrowych) usług radiowych;
- 2) słuchaczy, którzy długo jeszcze pozostaną przy radiu analogowym ze względu na przyzwyczajenia, bariery finansowe, bariery kompetencyjne związane z obsługą nowych odbiorników itd.

Radio charakteryzuje się kilkoma właściwościami wyróżniającymi je spośród innych mediów. Należą do nich różnorodność programowa, szybka i aktualna informacja, atrakcyjnie sformatowana oferta muzyczna, łatwy dostęp i użyteczność społeczna, związaną ze społecznościami lokalnymi, siła tradycyjnego dziennikarstwa, mocne, atrakcyjne osobowości prezenterów. Wiele wskazuje na to, że takie radio pozostanie w nowym już świecie technologii cyfrowej i multimedialnych. Wyzwaniem dla radia będzie to, w jaki sposób wspomniane przewagi i unikatowe atrybuty wykorzysta w tym nowym środowisku. Z pewnością nie stanie się to szybko i automatycznie. Dziś jeszcze odbiór radia przez telefon komórkowy jest zjawiskiem marginesowym, a rosnąca konsumpcja radia w internecie i w kanałach cyfrowych nie zastąpiła (z pewnością, tymczasem) tradycyjnych form odbioru.

Nie ma jednak wątpliwości co do tego, że radio jako medium przetrwa. Nieuchronnie jednak zmieni się, przejmując wiele charakterystycznych cech innych mediów, w tym mediów wizualnych.



WIKTOR KUBICA

# OBRAZEK

Mówią, że ludzie z Bielska są żywotni jak siedem kotów naraz. Edek Ptok pochodzi wprawdzie z jakiejś pipidówki koło Bielska, ale za to jest żywotny jak kotów czternaście. Z wielu różnych jego talentów koniecznie wymienić trzeba dwa: talent do znikania wtedy, gdy jest potrzebny, i do pojawiania się w momentach absolutnie nieodpowiednich. Jego życiowa pasja natomiast to wbijanie kulek w otwory. Osiągnął w tym taki poziom, że niewielu chce z nim grać bez handicapu. Teraz stoi przy stole bilardowym, w promieniu dziesięciu metrów kosi muchy old spicem, a marynarkę pewnie mu dodali darmo, gdy saksofon kupował.

– Jest interes – oznajmia, smarując koniec kija niebieską kredą; przed chwilą wbił nieprawdopodobnie trudną bilę i twarz rozjaśnia mu uśmiech opóźnionego w rozwoju dziecka. Wzruszam ramionami:

– Ile można stracić?

– Polecimy z takim koksem, że głowa mała! – Ptok pochyla się nad stołem i deklaruje facetowi z takim samym kijem w rękę: – Piątka do środkowej.

Piątka rzeczywiście jakimś cudem wpada, a Ptok się prostuje i sięga po kredę:

– Teraz przyszła nasza pora! Teraz porządzymy!

– Wolno wiedzieć, o czym mówisz Ptoku?

– Jak to o czym? Interes jest! – mruży oko, przechodzi na drugą stronę stołu, rzuca pod adresem wspartego na kiju partnera: – Dwójka do rogu.

Wybiera róg, choć prościej byłoby do środka. Mimo woli ciekawi mnie, czemu wybrał wariant trudniejszy? Za chwilę rzecz się wyjaśnia, bo gdy wpada dwójka, ma czarną do przeciwległej luzy na wprost.

– Wiesz co Ecik? – facet z kijem wygląda na zdegustowanego. – Taki szpil jeżdż do rzyci!

– Musisz jeszcze dużo ćwiczyć – inkasując wygraną radzi Ptok. Ciągnie mnie do stolika, pokazując w przelocie dwa palce barmanowi. Potem nachyla się i ścisza głos:

– Myślisz, że nie wiem, że się dogadujesz z Kolażikiem?

– Nie dogaduję się z naganiaczami w ogóle, a z Kolażikiem w szczególności. Dla ciebie robię właśnie wyjątek.

– Nie jestem żadnym naganiaczem! – stwierdza wyniośle; wydtubuje z kieszonki wizytówkę i pańskim gestem rzuca na blat.

– Agencja Monika – czytam – Edward M. Ptok, dyrektor kreatywny. No, no. Jest jeszcze jakiś niekreatywny?

– Ładnie brzmi, co?

– Agencja Monika... Nigdy nie słyszałem.

– Boże, co za towar! – składa ręce, trwa dłuższą chwilę w rozmodlonym geście, a mnie coś zaczyna świtać:

– Zakochałeś się Ptoku?

– Boże, co za towar!

– W takim razie szarpnij się na kwiaty, zmień marynarkę i weź się oświadczyć.

– Co ty chcesz od mojej marynarki?!... – czerwienieje. – To jest interes, kolego! Mam dla ciebie propozycję. Chodzi o ten obrazek z flaszka i rozbitym statkiem. Pokazywałeś mi kiedyś, pamiętasz? Ze cztery lata temu. Chcesz zarobić pięćdziesiąt tysięcy?

– Co kombinujesz, Ptoku?

– Proste. Sprzedajesz obrazek, który się pojawi na wszystkich elementach kampanii. Pociągnie ją jak koń pod górę.

– Jaką kampanię pociągnie?

– Co ty? Z byka spadłeś?! Wyborczą, oczywiście! Dla mnie połowa działki.

– Nie ma mowy. Pięćdziesiąt tysięcy mogłoby mnie zainteresować, dwadzieścia pięć mam w cuglach choćby od Kolażika.

– Taa... Od Kolażika.... Łykniesz zaliczkę, a potem przez rok będzie cię zwodził.

– A ty zamierzasz płacić z góry? – kręci głową, milczy, więc dodaje: – Coś mi tu śmierdzi. Nie wiem, co kombinujesz, nie znam agencji Monika i wcale nie chcę znać. Wiesz dłaczego? Bo rezygnuję, Ptoku. Inaczej mówiąc, rozmowy nie było.

– Oszalałeś?! Myślisz, że chcę cię wykiwać?! –  
oburzenie Ptoka jest co najmniej święte, a oczy wyrażają taki żal, że można się popłakać.

– Agencja to jej panieńskie nazwisko?

– Jakiej jej?

– Moniki. Żona Niedzieloka, tak?

Czerwienieje, zastanawia się, porusza bezdźwięcznie wargami, wreszcie macha ręką:

– Wiedziałem, że się zorientujesz.

– W takim razie musisz też wiedzieć, że na żaden interes z Niedzielokiem nie pójde.

– Czekaj, nie gorączkuj się! Rzeczywiście, pani Monika to była żona Niedzieloka. Była, rozumiesz? A Niedzielok siedzi.

– Szemrana postać.

– Szemrana – szklanki, które barman właśnie przed nami stawia, różnią się kolorem. Jedno z dzwactw Ptoka polega na tym, że zawsze kaleczy dobry trunek coca colą. – Musiał się kutasina rozwieść, bo inaczej wszystko by stracił. A tak przepisał majątek na żonę i końce w wodę.

– Ponieważ o tym bardzo dobrze wiem, wysłałam cię teraz na drzewo, Ptoku.

– Oszalałeś?! Pięćdziesiąt tysięcy, pomyśl! Zresztą co ona może za męża?! Dała nawet ogłoszenie do gazety, że za jego długi nie odpowiada!

– Sam bym tak na jej miejscu zrobił.

– No widzisz? Nie bój nic, ze mną nie zginiesz!

Dobrze wiem, że Niedzielok w jakiś tam sposób macza w tym wszystkim palce. Wiem dużo więcej, niż się Ptokowi wydaje. Wstrzymuję się jednak z ujawnieniem tej wiedzy i macham ręką:

– Kręcisz, Ptoku.

– Nie kręcę – wzdycha, potrząsa głową. – Ona... No, dobrze, słuchaj: sprawa jest nieco skomplikowana. Mimo rozwodu i mimo, że cały majątek jest na nią, nie może się biedaczka dorwać do pieniędzy, ani nawet kiwnąć palcem bez zgody Niedzieloka. Przy okazji zakładania tej agencji wyszło sztyło z worka.

– No i?

– No i, no i!... Pani Monika z nim konsultuje... No, zastrzegł sobie... Zresztą mniejsza. Idą wybory, więc wymyśliłem plan kampanii, a on się zgodził.

– Tak bez niczego wymyśliłeś?

– Coś z tego pewnie będzie miał... – udaje, że nie słyszy pytania. – Nie wiem, jak się tam między sobą umówili, nie moja sprawa.

– To znaczy, że twoja szefowa odwiedza go w pierdlu?

– No odwiedza. Co z tego?

– Słyszałeś o gorących celach? Nie jesteś zazdrośny, że klawisze mają uciechę?

Na chwilę go zatyka. Czerwienieje, ciągnie potężnie ze szklanki, potrząsa głową:

– O interes chodzi. To jest prawdziwa przyczyna tych odwiedzin, a nie jakaś wierność godna tej... No... Petrarki?... Dobrze mówię?

– Bardzo dobrze.

– No. Ona za każdą taką wizytę coś kasuje.

– Ile?

– Co cię obchodzi ile?

– Jak jechaliśmy z Zyziem do faterlandu, wzięliśmy dla draki ruską tirówkę. Chciałem porównać ceny.

– Ruską tirówkę?! Pogięło was?! Od takiej można nawet koniki polne złapać!

– Była za droga. Chciała stówę za dwie laski, a Zyzio stwierdził, że sami sobie zrobimy za pół.

Ptok dłuższą chwilę zaskakuje, nim zaczyna rechotać:

– Matoly! Wróci taka do siebie i rozpowie, że wszyscy Polacy to pedały! Matoly!... No dobrze, przejdźmy do rzeczy. Słuchaj: plan jest tip-top! Wszystko przewidziałem, a najważniejsze, że pasuje do oczekiwań każdej partii. Problem polega teraz na tym, żeby zdobyć odpowiedni obrazek. Ty go masz. Wydrukuj porządnie, w tej technice... Żi coś tam... Wydrukuj porządnie, zachwyć panią Monikę i sprzedamy za cenę, której byś nigdy nie dostał. Ja ci opuszczę – niech stracę. Niech będzie dwadzieścia pięć procent dla mnie.

– Jaki to jest plan?

– Co jaki plan?

– Ten, który Niedzielok zaakceptował.

– Mam kontrahenta – stwierdza po minimalnym wahaniu, które nie uchodzi mojej uwadze.

– Jesteś leszczem, Ptoku. Niedzielok w to nie uwierzy nawet w pierdlu. Na pewno jest draniem, ale na pewno też nie jest głupi.

– Nie twoje zmartwienie, kolego. Mój plan musi wypalić!

– Jaki to plan?

– Coś w rodzaju licytacji. Nieoficjalnej, oczywiście. Wystarczy politykowi lks szepnąć, że zainteresowany jest polityk lgrek, a politykowi lgrek na abarot; panjał?

– A polityk lks zadzwoni do polityka lgrek, wynajmą bandziora Be i skopią nam coś na de. Nie mówiąc o tym, że nie masz żadnego dojścia. Nie piszę się, Ptoku.

– No co ty?! Pięćdziesiąt tysięcy, pomyśl! Dostałeś kiedyś tyle za jeden bohomaz?!

– Dlatego coś mi tu śmierdzi. Znajdź sobie kogo innego.

Ptok marszczy czoło w wysiłku myślenia, markotnieje:

– Za późno... Nie mam czasu, rozumiesz?!

– Kręcisz, Ptoku – stwierdzam.

– Niech cię szlag!... Dziesięć procent! Łykasz czterdzieści pięć tysięcy na czysto! Teraz dobrze?!

– Nie, niedobrze – dopijam whisky, wstaję. – Wszystkie powody wymieniałem wcześniej. Dzięki za drinka.

– Czekaj! Nie rób mi tego, do cholery! Maszynka już się zaczęła kręcić – jak ja teraz będę wyglądał?! Czekaj, mówię! Usiądź! Jak ten pomysł nie wypali, jestem skończony!

– No właśnie; co będzie, jak nie wypali?

– Musi! – kręci głową, powtarza z mocą: – Musi!

– Co się tak do mnie przypiął? Nie możesz zamówić u kogo innego?

– Kiedy twój obrazek pasuje idealnie! Poza tym nie ma już czasu, rozumiesz?!

Bodaj pierwszy raz, odkąd pamiętam, widzę Ptoka tak rozdygotanego. Ostrożny zwykle jak nikt w ujawnianiu rzeczywistego stanu rzeczy, przekracza właśnie wszelkie granice oględności. Zastanawiam się, do czego jeszcze dojdzie, gdy ponownie wprawia mnie w zdumienie:

– Słuchaj, nie mam pieniędzy, ale mam nowego pasata. Wyrzuj przez okno, widzisz? Dam ci go i podpiszę kwit, że w razie... Niech cię szlag!... Napiszemy, że jak do tego i tego dnia nie dostaniesz czterdziestu pięciu kafli, przechodzi na twoją własność. Teraz w porządku?

Milczę chwilę, bo mnie zaskoczył; tego się absolutnie nie spodziewałem. Milczę chwilę, a potem się dziwię:

– Naprawdę chcesz mi tyle dać? Co ty knujesz, Ptoku?

– Co mnie kurwa podkuśiło, żeby się z takim żydem zadawać?!

– Po prostu za dobrze cię znam.

– Gównno tam znasz!

– Podpiszesz umowę?

– Jaką umowę, kochany? Jaką umowę? Mnie w tym przecież nie ma! Jest agencja i jest pani Monika! Z nią podpiszesz!

– Chcesz mnie wsadzić na taką minę? Ciebie w tym nie ma, jest pani Monika, ale jej też nie ma, tylko były mąż w pierdlu? W dodatku taki, którego lepiej omijać szerokim łukiem? Wesoly z ciebie facet, Ptoku.

– Co cię obchodzi?! Sprzedajesz obrazek za pięćdziesiąt kafli, co gwarantuję swoim samochodem. To będzie twoje zabezpieczenie i to oczywiście możemy spisać. Gdzie dzwonicz?

– Po Zyzia.

– Po co nam Zyzio? Spiszemy sami, a barman poświadczy.

– Nie chcę byle jakiego świstka i świadka, który potem wszystko odwoła.

Zyzio jest uprzedzony i czeka na telefon. Ze swojej kancelarii ma dwa kroki, nie mija więc kwadrans, gdy się zjawia. Drugi kwadrans zajmuje mu sporządzenie umowy w dwóch egzemplarzach. Robi to ręcznie, przez kalkę.

– Pogięło was? – uśmiecha się pobłaźliwie. – Ile lat się znacie? Wydymał kiedy który którego?

– To samo mówię, ale ten baran się uparł – wzdycha Ptok.

– Strzyżonego pan Bóg strzyże – zauważam. – Gdy chodzi o taką forszę, nawet samemu sobie nie ufam.

– Może i racja – zgadza się Zyzio. – Podpiszcie tutaj... Dobrze, teraz ty... Jeszcze drugi egzemplarz... W porządku... No to część oficjalna z głowy. Powiedzcie teraz szczerze: co to za kombinacja jest?

– Sam chciałbym wiedzieć – kiwam głową, wpatruję się w Ptoka. Jak na kogoś, kto do niepewnej puli dorzucił właśnie samochód, ma zbyt wesołą minę. – Mam nadzieję, Ro-me-o, że się z własnym kutasem na głowę nie pomieniałeś?



Małgorzata Karp-Soja, *Nadzieja*, olej na płótnie, 2016 r. (fot. Ł. Lisiecki)

Udaje, że nie słyszy. Rozgląda się, grzechocze kostkami lodu, wodzi spojrzeniem za jakąś wysoką blondynką – słowem zachowuje się najzupełniej normalnie. Tyle że wygląda na bardzo zadowolonego i to zadowolenie bardzo mnie smuci.

– Tylko żebyś nie przyniósł na jakimś świstku z biurkowej drukarki! – przestrzega. – Ma być *ži...* Jak to się nazywa?

– *Žiwago* – rzucam. – Taki doktor, wiesz.

– Nie pieprz, mówię poważnie. Łykasz tyle, że możesz się wysilić. I żeby duże było. Siedemdziesiąt na sto najlepiej. Opraw jakoś i w ogóle.

– Co jest na tym obrazku? – chce wiedzieć Zyzio.

– Gołe kobitki ze złota?

– Nie znasz się papugo – kręci głową Ptok.

– Klucze – mówię.

– Co?

– Zabieram auto.

– Auto? A czym ja będę jeździł?

– Moim – wyciągam swoje klucze i razem z papierami kładę Ptokowi przed nosem. – Jeszcze ma rok do pełnoletności, więc uważaj, żebyś broń Boże nie zarysował.

\* \* \*

– Kawy, herbaty? – pani Monika bacznie mi się przygląda.

Czuję się głupio. Męczy mnie nieznośny ucisk w dołku, bo ubrała się tak, że wszystkie swoje atuty wywaliła kawę na ławę. Z tego powodu stać mnie tylko na nieruchome spojrzenie i takim się właśnie rewanżuję.

– A więc to pan jest ten Felix? – dziwi się uprzejmie, uśmiecha.

Nie odpowiadam, wzruszam tylko ramionami. Nie podoba jej się to. Nie podoba jej się też moje nieruchome spojrzenie. Ucieka swoim, ściera uśmiech, a tembr głosu zaopatruje w kilka sopli lodu:

– Ma pan coś do pokazania, prawda?

Chcę to szybko mieć za sobą, więc otwieram tekę i wyjmuję obrazek. Jest wydrukowany na grubej tekturze techniką zwaną *giclee*, oprawiony w ciekawą czarną ramkę bez *passe-partout*. Wiem, że robi wrażenie. Samego mnie zatkało, gdy zobaczyłem. Opieram obrazek o ścianę, a siebie o parapet. Mając światło za plecami, łatwiej ukryć wyraz twarzy. Nie jest to teraz najpotrzebniejsze, ale działa rutynowy nawyk.

Długą chwilę nic się nie dzieje. W końcu pani Monika wstaje i podchodzi do obrazka. Ogląda z bliska, nic nie mówi. Ja też milczę.

– Co to... – waha się; odkłada na miejsce, wraca, opada na swój fotel za biurkiem. – Co to za technika? To nie jest zdjęcie, prawda?

– Technika mieszana – odpowiadam i gratuluję sobie w duchu. Minęły dobre dwie minuty, nim odzyskała głos.

– A dokładniej?

– Pani wybaczy, to już tajemnica warsztatu.

– No tak... Ten obrazek... Chyba o coś takiego właśnie nam chodziło. To znaczy chyba pasuje do naszej koncepcji. Da się wydrukować na billboardzie?

– Bez problemu.

– Teraz co do ceny... Ile to ma kosztować?

– Pięćdziesiąt tysięcy – mówię gładko.

– Pięćdziesiąt tysięcy... – kiwa głową, ani trochę się nie dziwi. – Pan tego nie mówi poważnie. Nie możemy tyle dać.

– Rozumiem.

– Mogę zaproponować piętnaście tysięcy.

– Rozumiem – powtarzam; zapadam w zamyślenie odrętwienie, a potem nieco ostentacyjnie sięgam po tekę: – No to się nie dogadaliśmy.

– Piętnaście tysięcy to dobra cena.

– Nie najgorsza, przynajmniej. Niestety, nie wyczerpuje moich oczekiwań.

– Nikt panu tyle nie da.

– Zobaczmy – wzruszam ramionami; widzę, że ja to niepokoi, więc dorzucam: – Pani też może się zwrócić do kogo innego. W końcu wcale nie można wykluczyć, że zwykły dupek z kolczykiem w uchu wpadnie na coś, co się pani jeszcze bardziej spodoba.

– Jaki dupek?

– Taki, który napisał sobie „grafik” na wizytówce, bo opanował parę podstawowych programów komputerowych. Ja nawet wizytówek nie mam, proszę pani. Nie mówiąc, rzecz jasna, o kolczyku.

– No tak – od dłuższego czasu częściej mnie spojrzaniem, które śmiało mógłbym nazwać uprzczywym. – Pan Ptok ostrzegał, że jest pan drogi.

– Pan Ptok powinien być raczej uprzedzić, że nie jestem przekupką i nie lubię się targować. Nie doszliśmy do porozumienia – mówi się trudno. Tak się przecież zdarza. Pani wybaczy, ale...

– Niech pan zaczeka! – przerywa, a minę ma przy tym taką, jakbym jej właśnie zepsuł ulubiony wibrator. – Negocjujmy. Ta cena jest o wiele za wysoka.

– Z takim twierdzeniem nie mogę się zgodzić. Cena jest być może wygórowana, na pewno jednak nie za wysoka.

Mówię trochę nieuważnie, bo każdym najmniejszym gestem zmusza mnie do inwentaryzacji swoich wklęsłości i wypukłości. Wprawdzie Zyzio ostrzegał, że może to być mocne przeżycie, nie sądziłem jednak, że aż tak. Usiłuję odwrócić uwagę zbuntowanego organizmu. Sięgam po papierosy, co ma wyglądać na nonszalancki gest, siadam po drugiej stronie jej biurka i zakładam nogę na nogę:

– Nie będzie pani przeszkadzało, że zapalę?

– Jakoś przeżyję – uśmiecha się, ale oczy ma czujne. – Proszę strzepywać tu, do tego spodka. Cóż, żąda pan bardzo dużo pieniędzy – podejmuje po chwili.

– Wiem, proszę pani, jaki jest przeciętny budżet przeciętnej kampanii wyborczej. W tych okolicznościach pięćdziesiąt tysięcy za obrazek, który niczym lokomotywa pociągnie kampanię za sobą, nie jest ceną wygórowaną.

– A co będzie, jak to wszystko nie wypali? Stracę dużo pieniędzy, prawda?

Jej uśmiech nie ma wiele wspólnego ze spontanicznością, ale i tak czuję mrowienie karku i ucisk dołka. Martwi mnie to. Muszę zachować zimną krew, bo palnę jakieś głupstwo i cały misternie tkany plan legnie w gruzach. Fizycznie niemal czuję ból, gdy naginam swoją wolę, by odskoczyć na rozsądny dystans. Gdy tak się w końcu dzieje, żal mi samego siebie:

– Sądząc z tego, co wiem od kolegi Ptoka, wasz plan ma realne szanse powodzenia. Obiecać, a jed-

nocześnie nie obiecać; zgnoić konkurencję, a jednocześnie uniknąć posądzenia o nachalną kampanię negatywną. To jest naprawdę dobre, jeżeli dodać wytrych, którym można otworzyć każde polityczne drzwi i zabezpieczyć sobie w ten sposób szerokie pole manewru. Bo jeszcze nie wiadomo, którą opcję państwo wybierze, prawda?

– Naprawdę tak pan uważa? – pyta po chwili, a rysy jej twarzy wyrażają niebezpieczną dla mnie przychylność. – No, że ten pomysł wypali?

– Gdybym uważał inaczej, zamiast ceny usłyszałyby pani odmowę.

– Właśnie... Ta cena... Moim zdaniem... To jest... To znaczy byłabym zobowiązana, gdyby zostawił pan ten obrazek do jutra. Ktoś jeszcze powinien go obejrzeć.

– To całkiem rozumiem – oddycham z ulgą, wstaje. – W takim razie do jutra.

\* \* \*

Nowym pasatem jeździ się znacznie wygodniej niż dwudziestoletnim polonezem. Żadna trójka nie wyskakuje, hamulec jak brzytwa, a kierownica chodzi, jakby ją kto masłem nasmarował. Człowiek od razu inaczej się czuje – jest ważniejszy, mądrzejszy i w ogóle lepszy. Wszystko byłoby OK, gdyby nie chandra. Zupenie bez sensu, bo czym tu się przejmować? Jest dobrze zabezpieczony zastaw, więc tak czy inaczej wyjdę na swoje. Mocno jednak wątpię, żeby na swoje wyszedł Ptok. Wątpię, bo najwyraźniej postanowił własnym fiutem wykopać sobie grób. Mimo niewątpliwego sprytu, wrodzonej przezorności, a także znajomości wielu analogicznych, a przerażających w swej wymowie przypadków.

Obiekt jego romantycznych uniesień pewnie zna pasata, dlatego trzymam się kilka samochodów z tyłu. Właściwie tylko sprawdzam to, co i tak wiem. Nie muszę więc sprawdzać i robię to tylko na wszelki wypadek. No i jazda pasatem sprawia mi przyjemność.

Puszczam ją do góry, na rondo, skąd pojedzie do więzienia, a sam wykręcam w zjazd do centrum. Pasat ma zestaw głośnomówiący, jednak nie pasuje do mojego telefonu. Pełno policji na ulicach, nie chcę kusić licha. Dopiero gdy parkuję naprzeciw delegatury Zaiksu, dzwonię do Zyzia i zapisuję wiadomość na skrzynce. Późnym wieczorem oddzwania, ale nie chce rozmawiać przez telefon. Chwilę przed jego przyjściem dzwoni pani Monika. Prosi o jeszcze jeden dzień zwłoki, a ja nie robię problemów.

\* \* \*

– Nie interesuje mnie, czy cię usiłowała oczarować – ni to stwierdza, ni pyta Zyzio. – Interesuje mnie raczej, jak to zniósł.

Znamy się tak długo, że skronie, które Zyzio kiedyś, dla dodania sobie powagi, farbował na siwo, rzeczywiście mu posiwiwały. Znamy się tak długo, że można mówić o zażyłości, może nawet przyjaźni, choć ma ona dosyć szczególnie kształt. Spośród znanych mi ludzi Zyzio dysponuje bodaj najwybitniejszym intelektem. Czyni też z niego użytek w sposób precyzyjnie przemyślany i nawet najbardziej absurdalnie wyglądające posunięcia mają u niego zakotwienie w żelaznej logice. Nie zawsze za nią nadążam, a Zy-

zio nie zniża się nigdy do wyjaśnień. Tym razem mnie zaskakuje:

– Niedzielok specjalnie wylądował w pierdlu, a ten cały rozwód, na który miał się za pół miliona zgodzić, to było tylko alibi dla zmydlenia oczu. Zbyt wielu poważnym ludziom nadepnął na odciski, a ci rozerwaliby go na strzępy, gdyby się zorientowali, że jednak ma jakiś majątek.

Przez moment myślę, że żartuje – ale nie! Widzę w jego wodnistych oczkach charakterystyczny błysk, znamionujący wytrawnego gracza. Gdy ten błysk przeoczyć, można się nabrać na barwy ochronne w postaci wymiętego garnituru z byle jakim krawatem, które Zyzio nie tyle nosi, co obnosi. Ci, którzy się na te barwy nabrali, przeklinają później swoją głupotę.

Nie mam pojęcia, czego się jeszcze spodziewać, ale na pytania jest za wcześnie. Wobec tego milczę.

– Chcę się zemścić – wzdycha. – Ta suka mnie wyrolowała na pół miliona. Wstyd mi przed samym sobą, że takiego wała dałem z siebie zrobić.

– Pani... Pani Monika?! – nie dowierzam własnym uszom, bo Zyzio dekonspiruje właśnie najgłębiej strzeżoną tajemnicę.

– Jaka tam z niej pani...

\* \* \*

Tym razem pani Monika jest zapięta aż pod szyję. Nie ma to wielkiego znaczenia, bo i tak czuję znajomy ucisk w dołku. Czuliłbym go prawdopodobnie nawet wtedy, gdyby ubrała włosiennicę. Gorzej, że towarzyszy jej ktoś, kogo się nie spodziewałem. Domyślam się, że to z powodu tego towarzystwa przełożyła spotkanie.

– My się znamy – przerywa pani Monice ceremonię prezentacji i mierzy mnie raczej nieprzychylnym spojrzeniem. Nawet gdybym nigdy wcześniej nie widział Niedzieloka, po charakterystycznej karnacji, jakiej nie można nabyć w nadmorskim kurorcie, bez trudu skojarzyłbym resztę. Nie wyciąga ręki, ale ja i tak przezornie pakuję swoją w kieszeń.

Mój obrazek nie stoi oparty o ścianę, nigdzie nie mogę też dojrzeć teki. Jestem pewny, że obecność Niedzieloka właśnie z tym się wiąże. Ani trochę nie burzy mi to planów, choć trochę zaskakuje. Zyzio wprowadził przewidział, że Niedzielok może na chwilę wyskoczyć z puszki, ale nie sądził, żeby to było akurat teraz konieczne. Poza tym Ptok o niczym takim nie uprzedził. Kombinował na boku, czy nie wiedział? Chyba to drugie. Raczej wątpliwe, żeby z nim grali fair. Myślę o tym z pewnym żalem, bo mimo wszystko lubię Ptoka.

– Chce pan pięćdziesiąt tysięcy za takie gównno? – ni się dziwi, ni stwierdza Niedzielok. – Świat się, kurwa, kończy! Przepraszam kochanie – zwraca się do pani Moniki. – Nieuchronnie w tym pierdlu chamieję.

– Mogę zapalić? – pytam.

– A pal pan! Ja też palę. Nauczyłem się od nowa w pierdlu. Ile pan chce naprawdę?

– Naprawdę chcę pięćdziesiąt tysięcy, o czym już zresztą była mowa. Mogę tylko dodać, że netto, o czym dotychczas mowy nie było.

– Bez jaj!

– Wie pan, jakoś nie mam ochoty na jałowe spory.

– Ja też nie. Mam tylko dwudziestoczworgodzinną przepustkę – domyśla się pan skąd?!... No! Moja żona

zapropozowała piętnaście tysięcy. Bierz pan, albo fora ze dwora!

– Wybieram to drugie – oznajmiam; przywołuję najmilszy z możliwych uśmiechów, gaszę papierosa w spodku i wstaję.

– Te, cwaniak! – warczy Niedzielok. – Nie ze mną te numery, słyszysz?! Chcieliście mnie skroić do spółki z tym pieprzonym Ptakiem, co?! No to teraz posłuchaj, co zrobię: ja was skroję! Nie dostaniesz nic! Pomysł sobie o tym i idź w pizdu!

Nauczył się wprawdzie w kryminale palić, ale ani trochę od tego nie zmadrzał. Nie wie baran, że czegoś takiego właśnie się spodziewałem. Po nim, po Ptoku, po Kolażiku i po wszystkich tych cwaniakach, którzy chętnie wolą nie płacić tam, gdzie normalnie zapłacić należy, a takim głupstwem jak prawo autorskie nie zwykli się przejmować. Spodziewałem się i dlatego to, co Niedzielok wykombinował, nie ma najmniejszego sensu.

– Jest pan chamem, panie Niedzielok – mówię spokojnie, patrząc mu prosto w oczy. Czekam chwilę, a gdy nie reaguje, zwracam się do pani Moniki:

– Może mi pani oddać mój obrazek?

Nie patrzy na mnie, potrząsa głową. Otwierają się drzwi w głębi i staje w nich facet w uniformie ochroniarza. Tego też się spodziewałem.

– Powiedzieć ci coś? – lewa powieka Niedzieloka zaczyna przypominać trzepoczące się w siatce motyla. – To nie jest twój obrazek! Teraz to jest duży plik na moim dysku!

Mam wielką ochotę roześmiać mu się w twarz. Mam wielką na to ochotę, ale taktyka nakazuje zrobić

zmartwioną minę. Zmartwioną, oburzoną – tylko broń Boże się nie odzywać, żeby czegoś nie wyczał. Odgrywam wobec tego rolę starego wiarusa z *Warszawianki*, zmierzając do drzwi.

\* \* \*

Wszystko jest już jasne, prócz zamiarów Ptoka, a tu każdy wariant pasuje. Właściwie nic mnie to nie powinno obchodzić, a kontaktu z Ptakiem Zyzio stanowczo zabronił, gdyż nie da się wykluczyć, że idzie on ręką w rękę z Niedzielkiem. Jednak Niedzielok najwyraźniej uważa, że to ze mną Ptak jest w jakiejś zmwowie. Wspomniał o tym, jak mi się wydaje, niechętnie. Nie przeoczyłem moment trwającego cienia, przelatującego przez twarz pani Moniki. Tak czy inaczej wiem, że Zyzio ma rację. Wiem, ale mam słabość do Ptoka.

W barze z bilardem tylko jeden stolik zajęty, przy którym jakieś skacowane towarzystwo opowiada sobie stare dowcipy. Ptoka nie ma. Barman wyraża wprawdzie przekonanie, że powinien zaraz nadejść, ale mam wątpliwości. Znikać to Ptak potrafi jak nikt.

– A to znacie? – wyrывa się ktoś przy stoliku. – Przychodzi facet do lekarza i mówi: „Panie doktorze, worek mi urwało”. Lekarz na to: „Mosznowy?” A gość: „Ni mom”.

Muszę powtórzyć zamówienie, bo barman wybuchając śmiechem i nie słyszy. Potem jeszcze dwa razy się krztusi, rozlewając za każdym razem kawę na spodek. Siadam tak, żeby widzieć równocześnie wejście i pasata za oknem, przez które razi teraz słońce. Wkładam ciemne okulary i oddycham z ulgą.



Małgorzata Karp-Soja, *Prośba*, olej na płótnie, 2017 r. (fot. Ł. Lisiecki)

To nie Ptok zagotował szare komórki i to nie on wymyślił plan kampanii. Mimo całego doświadczenia, a także niewątpliwego sprytu, nie byłby do tego zdolny. To ja cztery lata temu opracowałem plan, zakładający oparcie kampanii o element wizualny w postaci obrazka przedstawiającego wrak statku na rafie i wypływającej z wnętrza butelki. Miało to ilustrować sytuację Polski po rządach poprzedniej ekipy, a kilkanaście wymiennych hasel zapewniało, że tylko ta jedna, nowa, jest w stanie zapobiec katastrofie. Wziął to ode mnie za niewielką zaliczką Kolażik i, mimo wyraźnego zastrzeżenia, zaniósł Niedzielokowi. Było już jednak za późno. Grunt się właśnie Niedzielokowi palił pod stopami, a nad głową jak topór wisiał mu sądowy wyrok. Wkrótce zresztą przegrał apelację i wyładował w kryminale. Koncepcję sprzed czterech lat widać dobrze jednak zapamiętał. Zapamiętał, albo ktoś mu przypomniał; nie dałbym głowy, czy czasem Zyzio nie maczał w tym palców. W każdym razie Niedzielok chwycił temat, w jakiś sposób porozumiał się z Kolażikiem i zapewne dopiero wtedy wyszło, że rzeczywiście jest autorem. Musiało wyjść. Choć Kolażik zawsze przedstawiał cudze projekty jako własne, dysponował w tym wypadku jedynie nie nadającą się do niczego odbitką ze zwykłej biurkowej drukarki. Ponieważ zaniósł to Niedzielokowi w tajemnicy przede mną, nie mógł się teraz do mnie w żaden sposób zwrócić. Dlatego posłużyli się Ptokiem, którego pani Monika bez trudu owinęła wokół palca, a Ptok miał mnie podprowadzić, kusząc honorarium dwa razy wyższym niż proponowano gdzie indziej. Reszta byłaby już tylko prostym szwindlem i nawet nie bardzo mógłbym protestować, bo sprawa obrazka zawierała pewien problem – wykorzystałem w nim fragment zdjęcia, które nie należało do mnie. Dlatego zrobiłem inny obrazek i właśnie ten zaniósłem pani Monice. Nie było butelki wypływającej z wraku, tylko uszkodzony statek dryfujący we mgle, a na pierwszym planie butelka po tanim winie z kartką w środku, sugerująca wołanie o pomoc. Ten obrazek wprawdzie równie dobrze, a może nawet jeszcze lepiej pasował do koncepcji, jednak zaniepokoił Niedzieloka, który spodziewał się czegoś innego. Stąd jednodniowa zwłoka, przepustka, spotkanie ze mną i zupełnie niesłychana, bezczelna kradzież, wbrew pozorom wcale nie będąca jakimś nieprzemysłanym czy też desperackim krokiem. Niedzielok dobrze wiedział, co robi. Liczył, że nie zaryzykuje wlokącego się latami procesu, którego wynik w dodatku wcale nie musiał być pewny. Sam przecież zaniósł obrazek do agencji, a świadkowie – pani Monika, ochroniarz i zapewne też Ptok – mogli potwierdzić każdą wersję wydarzeń. Stąd uprawnione wydawało się Niedzielokowi przekonanie, że gdy to przekalkuluję i zrozumieć, wrócę. Wrócę, błagając bodaj o parę groszy, a on wtedy zrobi ze mną to, co często robił z takimi jak ja.

Pewnie tak by się stało, gdybym nie znał Niedzieloka i nie wiedział, na co go stać. Pewnie tak by się stało, gdyby nie przezorność Zyzia, dzięki której przed czterema laty złożyłem duplikat kilkustronicowego projektu kampanii w delegaturze Zaiksu. Dwa dni temu uzupełniłem dodatkowo ów depozyt idealnym do reprodukcji, najwyższej jakości wydrukiem. Takim samym jak ten, który Niedzielok miał w ręku.

Zamyślenie przerywa mi napakowany ositek, o czaszce wypolerowanej niczym bilardowa kula:

– To pański pasat przed knajpą?  
 – Mój. A co, przeszkadza panu?  
 – Oddaj pan klucz, kartę czipową i rejestrację.  
 – Z jakiej racji?  
 – Z takiej, że niezapłacony jest.  
 – Jak to niezapłacony?  
 – A co mnie to głównie obchodzi? Ja tylko zamiatam. No już! Dajesz pan po dobroci, czy trzeba trochę pomóc?

– Dostanę pokwitowanie?  
 – Na mordzie?  
 – Nie, na piśmie. Jak to jest legalne, to w porządku. To znaczy oddam za pokwitowaniem i koniec. Natomiast jak zwykły z pana bandzior, to przypatrz się pan temu blondynowi dwa stoliki dalej. To mój znajomy, oficer policji. Stale coś nosi pod pachą i mógłby tym czymś jakąś krzywdę panu zrobić.

Ositek zamiera na moment, a potem odwraca się i sięga po komórkę. Rozmawia krótko, kończy i zwraca się do mnie:

– Zaraz pan dostaniesz pokwitowanie.  
 – W porządku.  
 – Bez obrazy?  
 – Jasne, bez obrazy.

Czekamy dziesięć minut na jego młodszego bliźniaka. Dostaję papier, który dokładnie, punkt po punkcie studiuje. Kwituję parafką na kopii, sięgam do kieszeni.

– Przegrałeś Ptoka – mruczę pod nosem.  
 – Słucham? – dziwi się ositek.  
 – Nic, nic, to nie do pana.

Właściwie nawet się nie zdenerwowałem – przewidywałem i taką ewentualność. Sięgam po telefon, ale widzę Zyzia w drzwiach i rezygnuję.

– Wiedziałem! – rzuca się do mnie. – Po jaką cholere tu przylazłeś?! Żałujesz tej mendy Ptoka?! Chcesz wszystko zepsuć?!

– Już się niczego zepsuć nie da, spokojnie.  
 Zastanawia się, promienieje nagle, widzę, że ma ochotę podskoczyć pod sufit. Chcę się przezornie odsunąć, bo jego dłonie to łopaty do koksu. Niestety, jest szybszy i udo natychmiast mi cierpie.

– Nie gadaj!... Zrobią to?! Naprawdę na to pójdą?!  
 – Pójdą.

– Mamy ją! – wzdycha, przypina się do mojej kawy. Krtusi się, rzuca mi niespokojne spojrzenie, pyta: – Podmienilesz obrazek w Zaiksie?

– Przecież ci już mówiłem.  
 – Mamy ją! – powtarza, a ja, niejako w rewanżu, klepię go w kolano:

– Widzisz? Zawsze jest jakieś wyjście. A ty się chciałeś wieszać, baranie!

– Skąd... Skąd wiesz? – pyta skonsternowany, a ja się uśmiecham.

– Wyluzuj – radzę. – Teraz Ptok się z nią żeni z miłości.

Częstuje mnie ponurym nagle spojrzeniem, które stopniowo łagodnieje. W końcu macha ręką.

# O ROKU ÓW SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

50 lat minęło. Czas więc to i owo odtajnić. I rozpocząć spowiedź dziecięcia wieku. Raczej collage wspomnień. Nie będzie tu przemądrzałej analizy polskiego antysemityzmu „na przestrzenie dziejów” czy też bohaterskiej tolerancji na tejże przestrzeni, przeprosin za obalenie platana na Bulwarze St. Michel czy też przyznania się do zbiorowej winy za napaść na Czechosłowację... O roku ów! (wołacz), paskudny łamaczu charakterów! Sponiewierany psychicznie, skatowany pałą CRS i podduszony gazem łzawiącym (wzór sumaryczny,  $C_{12}H_9AsCIN$ ) byłem 3-krotną ofiarą. Jedną z bardzo nielicznych. Brałem w ryj co kilka miesięcy – w Marcu, w Maju i w Sierpniu, często nie wiedząc za co.

## Marzec

Ryps, Bidera i Porwisiak, reprezentatywna trójka obsługująca sondáže wójtowickie, na pytanie o Marzec'68 wruszyła tylko ramionami. Gdy w 1969 wracałem do Polski po 5-letnich studiach paryskich, byłem niemal w podobnym stanie szczęśliwej nieważkości. W grochu z kapustą mieszały się mi się w głowie: satysfakcja z rezultatów wojny sześciu dni (na zajęciach ze współczesności śledziliśmy ruchy wojsk), maszerowałem obok Michela Simon w czasie manifestacji proizraelskiej po Avenue Kleber, dyskutowałem z lewakami nie bardzo wiedząc, o czym mówię, wsłuchiwałem się w opinię de Gaulle a o narodzie żydowskim: *ce peuple dominateur et str de lui i dalej à l'exception d'une admirable minorité, en peuple méprisant ayant satisfaction à humilier*. [(Ludwik Lewin siedzi aktualnie nad prawidłowym tłumaczeniem; nie może się, Boże broń, potknąć, bo za chwilę dopadnie go IPN) rodzinny „oświecony” antysemityzm (moja Babka, zobaczysz Natana Tenenbauma powiedziała: „cóż to za mity chłopiec, ale nie dość, że nie ma ręki, to jeszcze Żyd”), konsula generalnego PRL („Moczar to jedyny ratunek, po to, by zdobyć trochę niezależności, pozbywając się służących Moskwie od '45 żydowskich agentów – dokręcając śrubę i stawiając inteligencję na baczność”). Nie miałem pojęcia, co dzieje się w Polsce. Inni wiedzieli. Ktoś nabazgrał obok mojego nazwiska z wynikiem egzaminu: „polska faszystowska świnia”. Uporządkować tego wszystkiego nie umiałem, konsul generalny też chyba cierpiał na rozdwojenie jaźni ra-

sowego oficera wywiadu, gdy się kiedyś zdruzgotany skarżył, że „Milewski żąda każdej plotki o MFR i jego Żydach, zaś informację o rozwoju Bundesmarine ma głęboko w dupie”.

Cały ten antyinteligentki i antyradziecki Moczar przypominał Ceausescu i musiał budzić obawy towarzyszy radzieckich. I dopiero po latach niezastąpiony Andrzej Werblan natrafił we wspomnieniach Piotra Kostikowa, ówczesnego kierownika polskiego sektora w KC KPZR na wyjaśnienie, z którego wynikało, że „radzianie” rzeczywiście bali się Moczara, który mógłby się okazać kimś na podobieństwo Ceausescu. Nacjonalizm plus zamordyzm. Nie wiedziałem do jakiego kraju wracam. Nic mi nie mówiło, że do ohydnie zgwałconego... I rzeczywiście, po przyjeździe niewiele brakowało, bym wcześniejsze opinie przyjął za *Nowy Testament*, zwłaszcza że młodego człowieka w PAP raczyli nauczaniem o okresie właśnie minionym; m.in. Frelek (przyjmował mnie do pracy), Kąkol (odpowiadałem za pisanie „na zagranicę” o stosunkach państwo-Kościół), Dobrosielski (chodziłem na wszystkie konferencje PISM-u). Podsuwano mi teksty Kura, który, jak wiadomo, wiedział lepiej, deklamowałem dziewczynom poezję Gaworskiego, tylko po interpretację wierszyka:

*W marcową noc pod wieszczą pomnikiem*

*Spotkał się Dajan z Adamem Michnikiem*

nie miałem do kogo pójść.

W międzyczasie drzwiami i oknami pchały się porażające, świeże i mniej świeże wiadomości o tym, co stało się i działo na mieście. Nie mogłem znaleźć Felka Cieszyńskiego i Natana, którego ojciec, stary komunist, magazynier (!) w tarchomińskiej Polfie został wywalony z pracy, cała niemal Redakcja Dziecięco-Młodzieżowa w PR, gdzie przez lata pisywała moja matka, zniknęła niemal *overnight* i jej nowy skład zaczął nadać już nie mity greckie, ale *Koronę Królów*.

Setki ludzi pakowało walizki i szukało na planie Warszawy – Dworca Gdańskiego. Natan został wybitnym poetą emigracyjnym, zaś Jego żona Kama wsparła swym talentem elektronikę Ericssona. Niejaki Kuśmierk (a kto to, koteczku?) wpadł żegnać się na Gdańską i pohańbił ją okrzykiem: „z którego peronu odchodzi pociąg do Treblinka?”. Chodziłem po tej znanej/nieznannej Warszawie przewracając jak osesek



okrągłymi oczętami, szukając jakiś bardziej stałych dla siebie współrzędnych i niewiele brakowało, bym zapadł jak ów rzeczony oficer wywiadu, konsul generalny na rozdwojenie jaźni, gdy spotkałem wujka, starego szlagona, prawnika po UJ, który przy wódeczce opowiadać zaczął z błyszczącymi oczami, jak to przed wojną lagą zaganiał „banana nosy” do ich ławkowego getta. I udało mi się z tej przypadłości na zawsze wykaraskać, rozpędzając wahadło w drugą stronę. I tak np., po latach, w Sejmie kontraktowym tropiłem wszelkie przejawy antysemityzmu, niezbyt uprzejmie maglując kandydata na premiera, gen. Kiszczaka na posiedzeniu Komisji ds. mniejszości narodowych: „co zamierza zrobić z hańbą '68 roku?” Gdy odpowiedział z ręką na sercu – jak w czasie słuchania hymnu – „w każdej chwili mogą wrócić, odzyskać obywatelstwa i mieszkania”, w Warszawie zapanowała doskonale wyczuwalna panika. Zaraz potem, w rocznicę Ruchu 8 Lipca wyznaczyłem po megalomańsku w zapakowanym Auditorium Maximum poprzeczkę dla członków nowej oczyszczonej partii lewicy: okazanie wstydu za Marzec i przeprosiny za stan wojenny. Zaś gdy jedynie słuszne siły narodowe rozproszdziły po Sejmie 500 egzemplarzy wywiadu-fałszywki z Geremkiem (przeprowadzonego rzekomo dla „Polityki”) denigrującego naszych wielkich królów, nasz tolerancyjny naród, polską historię jako przedmurze chrześcijaństwa, uwielbienie Czarnej Madonny, tłustą dietę, ale także wskazującego na ogólne otępienie i na braki w przednim uzębieniu chłopstwa pracującego – było nam tak wstyd, że za zgodą marszałka Kozakiewicza zastawiliśmy we trójkę (wszyscy żyją !) kilka pułapek sygnowanych „Obrońca Dobrego Imienia”, „Szczerbiec”, „Z nad wody czystej i trawy zielonej”. Niestety tylko jeden lis pojawił się w ogródku, ale w nią (beczkę wkopaną) nie wpadł. Nie pomogła dziennikarka, którą Bijak podesłał na Wiejską w celu przeprowadzenia śledztwa.

A teraz mówiąc całkiem poważnie – Marzec '68 to pojęcie rozciągliwe, rozciąga się bowiem na całe ludzkie życie, a także na życie potomków i albo próbuje się chociaż trochę być przyzwoitym i iść tropem Bartoszewskiego, albo nie. I trzeba szalenie uważać, by nie zrobić krzywdy fałszywym oskarżeniem polskiemu patriotcie, stając się jednocześnie łupem ostatniej IPN-owskiej noweli. Trzeba po prostu – proszę się nie śmiać, ani nie płakać – odpowiedzialnie szukać „złotego środka” między szmalcownikiem a Sprawiedliwym z Lasu. Należałoby zaproponować podobną ustawę Francuzom. Kto przypomniałby wtedy hańbę sprawy Dreyfussa (Panie Prezydencie Duda, nie żadne jednostki, ale niemal cała Francja była by winna !!!) , niech pamięta, że – jak chciał Hłasko – „trójka go nie minie”.

Po 50 latach świat jakby trochę zapomniał. Ileż wielkich autorytetów – Sendlerowa, Bartoszewski, Karski – trzeba było jednak użyć i zużyć. Po to, by PiS-owska polityka historyczna znowu uczyniła nas wszystkich antysemitami.

## Maj

Tę przyzwoitość wiązał z lewackim oglądem świata w maju '68 guru JP Sartre ze swojego stolika w Cafe Deux Magots. „Kto nie był lewakiem w wieku 18 lat, ten z pewnością będzie skurwysynem w wieku lat 40”. Ota-

czaliśmy Go wianuszkiem i biliśmy brawo. Nie mogę tu, w tej spowiedzi zataić, że pojechałem owym zdaniem w czasie przyjmowania mnie do partii przy POP PAP. Wywołując niezdrowe zainteresowanie.

Ach, cóż to był za maj! Żadnych tam pachnących zielonych bzów, akacji i Saskiej Kępy, na „Boul - Michelu” i St. Germain machaliśmy czerwonymi sztandarami, łykając gazy łzawiące, w „noc barykad” na ul. Gay-Lussac na ponad pół wieku przed dyspozycją Szyszki obaliliśmy dorodnego platana, niszczyliśmy gardła, wrzeszcząc „CRS – SS !” . Od razu był gwałt, zaś tam, skąd choroba ta przyszła, miała z początku łagodny przebieg. To „dziecię wieku” w nowym wydaniu, studiujące zazwyczaj na Berkeley i Stanford należało do „Dzieci kwiatów”, czyniło miłość, a nie wojnę, wszystko z przebojem Scotta McKenziego na ustach. Amerykańskim wsadem w ten niezwykły ruch była... wojna w Wietnamie.

Ci, którzy nie chcieli tworzyć rodziny wg tradycyjnej formuły, zakładali hippisowskie komuny, a ci, którym paliło się pod stopami, uciekali przed *draftem* do Kanady i dalej. Szli „drogą” Kerouaca „pędzącego od jednej spadającej gwiazdy do drugiej”, z napisem hasła Rosemontów na koszulce, deklamując Ginsberga.

Antywojenny wirus szybko pojawił się w Paryżu. Moja koleżanka Judy przemawiała na antyamerykańskich wiecach, a była w pełni wiarygodna, jako że Tatuś był jednym z współtwórców rakiety Polaris. Razem z niejakim Berndtem pilnowaliśmy, by nikt ze skrajnie prawicowego Occident nie rzucił w nią jajkiem. Manifestacje przeciwko wojnie w Wietnamie szybko przerodziły się w protest wobec mieszczańskiej organizacji życia, skostniałej organizacji szkolnictwa wyższego, niesprawiedliwej dystrybucji dochodu narodowego.

Mówię poważnie. Było coś nieodparcie uroczego w widoku hippisa perorującego o arogancji sławnych i bogatych. Piegowaty rudzielec czyli Cohn-Bendit, który miał się za chwilę stać ikoną ruchu, jeździł w te i nazad w towarzystwie kilku studentów niemieckich, w dyskusjach nie mających sobie równych. BB, która nie chciała dopuścić zwykłego śmiertelnika do „wód Morza Śródziemnego” poprzez swą prywatną plażę, zawdzięczamy jedno z wielkich haseł Maja '68 : „Sous le pave la plage”. Pojawiło się przy budowie barykady w poprzek Bulwaru St. Michel, brukowce ułożone były w żółtym piaseczku.

Żarty jednak powoli się kończyły. CRS biła mocno i równo. Ale też wybuch był potężny i niekontrolowany. Strajkom okupacyjnym na uczelniach towarzyszyło zajmowanie największych fabryk. Zasięg pierwszego w historii sojuszu studencko-robotniczego przeraził francuskiego mieszczaucha. Od współpracy odcięty się FPK i CGT, by jednak później aktywnie uczestniczyć w słynnych rozmowach przy Rue de Grenelle i w podpisaniu porozumienia zasadniczo modyfikującego organizację życia gospodarczego...

My przed gazami łzawiącymi dawaliśmy nura w korytarze nieczynnego metra. W podziemiach stacji Mabilion nieźle oberwałem i podduszonego zabrali mnie koledzy do... zamku Montreal w Perigord, gdzie przez miesiąc lizałem rany. Nic z grozy, którą budzą archiwalne filmy z oddziałami troglodytów w takich samych kapeluszkach i podobnych płaszczach, okładających

białymi pałami warszawski lud na schodach kościoła Św. Krzyża parę miesięcy wcześniej w Warszawie. Gospodarz, młody Bernard, o nazwisku rodem z pierwszej krucjaty, w pełni się dostroił. Ojciec, Monsieur le Marquis, wiedział, czym mnie zauroczyć. Budził o 5.30, maszerowaliśmy z truflarzem i jego świnią w dębowy las, wiązaliśmy drabiny, by z blanki zamku zdjąć zabłąkany rój, zalewaliśmy kryształowe flakony z suchą lawendą, sposobiąc w gościnnych łazienkach ostrą jak ogień wodę *apres rasage*. Nagrodą było pierwsze śniadanie o 7.00 w XVI-wiecznej kuchni – z wiejskim paszтетem w kamionce, małymi korniszonkami w wielkim słoju, świeżym chrupiącym chlebem, wszystko podlewane chłopskim szorstkim winem. Czarna kawa mamrotała na blasze.

Ale Perigord – to i tak było za blisko Paryża, gdzie już za chwilę obowiązywać miała interpretacja Generała, że wszystkiemu są winne „grupy zorganizowane de longue main”. Trzeba się było zacząć przygotować do ewakuacji na Wschód, czyli do siebie. Ale żadne „hop siup”, jak mawiał prezydent Komorowski W Paryżu zaczynała się przełożona z czerwca dyplomowa sesja ...

DST pamiętała naturalnie o wszystkich cudzoziemcach i 4 lata później, gdy załatwiałem coś służbowo w Paryżu, zwinęła mnie na 3 doby. Moja teczka („68”) składała się z licznych donosów, często pióra mych ówczesnych polskich kolegów. Przesłuchania typu konwejer, z kijem, rzadziej z marchewką, na wszystko patrzyła ze ściany dobrodusznym twarzą ministra spraw wewnętrznych Poniatońskiego.

Z dzisiejszej perspektywy rzuca się w oczy przede wszystkim fakt, że poważna część uczestników traktowała całą rzecz jako niezły happening. Okupacja Sorbony, winko z J. L. Barrault w okupowanym Teatrze Odeon, chrzciny w „mojej” Science Po głównego hallu na 'HALL MAO' (z Andre Siegfrieda), jakże życiowe graffiti na świeżo malowanych ścianach WC – „Vive la Baise, a bas La Branle !” („Niech żyje pierdolenie, precz z biciem konia!”). W zabawie nie uczestniczyli natomiast przywódcy lewicowych organizacji młodzieżowych Sauvageot, Geismar, Krivine, dla których Maj był wielką okazją, by zmienić coś w organizacji życia uniwersyteckiego. Wydawali pisma, tworzyli minipartie polityczne, publikowali memoriały o nowej organizacji edukacji narodowej.

Z kolei intelektualistów czytających tzw. trudne książki i oddających się ezoterycznym dyskusjom było nie tak wielu. Pachniało tam maoizmem, trockizmem i permanentną rewolucją. Dla wielu Biblią była rzecz o „nowej klasie” Džilasa, wrywano sobie broszurę R. Aron *O społeczeństwie przemysłowym*, zaś książka Burnhama o konwergencji wywoływała wszędzie taką samą wściekłość. Tę ostatnią miałem po polsku, wydaną przez „Kulturę” i dopiero powrocie do PRL okazało się, że i tu uznawano ją za superniebezpieczną. Była bardzo wysoko na liście książek zwalczanych przez różne ośrodki ds. dywersji ideolo. Na Sorbonie mignął mi również *List do Towarzyszy* JK i KM, była też tekturowa walizka pełna *Czerwonej Książeczki*.

A 40 lat później popłakaliśmy się w Neapolu z jakimś Mimo, z którym realizowałem wielki projekt europejski i który – jak się okazało – w maju '68 wraz ze swoim profesorem filozofii wsiadł do lokomotywy i niczym Strelnikow pędzący przez step dojechał na Gard

de l Est w Paryżu, by metrem przenieść się na stację Odeon. Wysiadł w środku setek czerwonych sztandarów, wielotysięcznego tłumu śpiewającego na przemian *Marsyliankę* z *Międzynarodówką*, runął na kolana i załkał: „zwyciężyliśmy...!”

I wreszcie na szczególną uwagę zasługiwał ten sojusz między studentem a robotnikiem. O taki układ zawsze trudno. Zapadła mi w pamięć szczegółowa relacja ze spotkania Geismara z robotnikami Renault. Starczyło za Kuronia, Geremka i Mazowieckiego w Stoczni Gdańskiej 12 lat później.

## Sierpień

W międzyczasie wszyscy śledziliśmy z zapartym tchem eksperyment czeskosłowacki. Nabyłem małe radio i każdego dnia od 4 rano słuchałem wiadomości. „Mówiłem sobie, że jak napadną – to o świcie”, ale oczywiście wierzyłem, że się wszystko dobrze skończy zarówno dla nich, jak i dla nas. Wierzyłem tak po 4 latach studiowania nauk politycznych !

Gdy 21 sierpnia pojawiłem się w bibliotece Science Po, by popatrzeć jeszcze raz na szczegóły rozpadu Austro-Węgier, sflekowało mnie psychicznie (*ce traitre et salop !*) i fizycznie (jedno pęknięte żebro) komando – dwóch Czechów i dwóch od Kryvina. Obelgi i ciosy odbierałem ze zrozumieniem, myśląc z rozpaczą: „jakżeśmy mogli ?!” Pamiętałem tylko o wierszyku z IV klasy:

Armia nasza jest zwycięska,

Alfons jest to kurwa męska

Zamknąłem się u jednego architekta, piłem i grałem w karty aż do odjazdu pociągu na wschód relacji Paryż – Moskwa. W imieniu francuskiego establishmentu pożegnał mnie premier Debre słowami: wkroczenie do Czechosłowacji to był jedynie „Incident de parcours”, podając rączkę Idrze, Vasulikovi, Bilakovi, Husakovi i innym bohaterom. A swoją drogą dziwi mnie, że w ramach obrony dobrego imienia Narodu i Państwa Polskiego nie ma w kompromitującej nas ustawie paragrafu o rozpowszechnianiu oszczerstw o polskim udziale w napaści na „Praską wiosnę”. Dziś mieszkam 1840 m od narodowego terytorium dawnej Czechosłowacji, wyschły już na dobre ślady gąsienic czołgowych, jednak gdy siadam raz do roku z braćmi czeskimi w Martinkoviach na tzw. „koszcie” (próbujemy parędziesiąt numerowanych destylatów, przyznając punkty – u mnie wygrywa gruszkówka od Novaka, Belka w 2017 premiował najwyższą czereśniówkę, zaś Najar Sergio od kilku lat obstaje przy „Obstlerze”), czuję się nieswojo, czuję się z kompleksem. I brak mi tej swobody Szczygła. Raz przybyła mała grupka czerwonych na twarzy polskich byczków, wyglądali jakby mieli na rozkładzie Jedwabne i gotowi byli postawić do kąta „tych tchórzliwych Czechów”.

1968 – to był okropny rok. Niewielu udało się przejść go suchą nogą. Wszystkie te wydarzenia pogruchołały mi ramię i przez lata nie mogłem dobrać odpowiedniego gorsetu. Dopiero Czerwiec '76 oraz lektura *Zasad Chowu Owiec*, a także rodząca się przyjaźń z „Kuźnicą? i z ludźmi „Zdania” skierowały mnie na właściwą drogę.

KRZYSZTOF KOMORNICKI

# URODZINY NIEJAKIEGO ADOLFA

*(odbyły się w maju 2017 roku pod Wodzisławiem Śląskim,*

*ale fakt ten został ujawniony przez stację TVN dopiero w styczniu tego roku)*

1. Jeżeli ktoś krzyczy „Wymordować wszystkich... (Żydów, platformersów, pisowców, księży, ateistów, kapitalistów, proszę sobie wybrać)”, to jest to człowiek, o którym z wieloma zastrzeżeniami można powiedzieć, że ma pewne, z przeproszeniem, poglądy. Jeśli natomiast ktoś krzyczy: „Napijmy się za Adolfa Hitlera i za naszą Polskę, ukochaną ojczyznę”, to jest to zwyczajny głęboki podstandard umysłowy. Ciekawe, kiedy osoby odpowiedzialne za oświatę w Polsce zauważą, że kolejne reformy powodują kolejne spadki poziomu nauczania wszystkich przedmiotów. Czasem – jak w tym przypadku – dramatyczne.

2. Afera z ustawą o IPN przykryła już aferę urodzinową. Ale jeszcze miesiąc temu hałas w tej sprawie był znaczny. Wszyscy byli przeciwko młodym fanom Adolfa, nawet Prawo i Sprawiedliwość. Moim zdaniem, miało to przede wszystkim taki skutek, że do polskich faszystów przyciągnięci zostali młodzi ludzie, którzy są po prostu przeciwko, choć niezbyt dokładnie jeszcze wiedzą, przeciwko czemu. A w Polsce bycie przeciwko po 1945 roku jest naturalne – z wyjątkiem krótkich okresów po 1956 i po 1989 roku, kiedy była nadzieja.

3. Święto Niepodległości 2017 roku było znacznie bardziej propagandą postaw faszystowskich niż te urodziny. To drugie święto odbyło się w lesie, w gronie kilkunastu osób zaufanych, a 11 listopada – to był pochód kilkudziesięciu tysięcy ludzi z ksenofobicznymi, nienawistnymi hasłami. Co ciekawe, również stosunek do religii był taki sam jak w Niemczech faszystowskich. Tam – „Gott mit uns” na pasach żołnierskich, tu – „My chcemy Boga” – na transparencie. Czyli skromna danina *pro forma* i nic poza tym. Co jeszcze dziwniejsze, Kościołowi zdaje się to zupełnie nie przeszkadzać.

4. Propagowanie postaw faszystowskich w Święto Niepodległości było dla polityków PiS czymś bardzo sympatycznym, młodzieżowym, patriotycznym, wręcz rozczulającym. Natomiast przy okazji urodzin wszyscy zgodnie krzykali „Faszizm nie przejdzie”. Dowodzi to, że wciąż jeszcze karność w tym obozie jest znaczna. Ale coś innego jest ważniejsze. Porównanie reakcji polityków na obie te uroczystości jest czytelną demonstracją, że w PiSPolsce nie prawo jest ważne, ale aktualne potrzeby polityczne. Takie sygnały do społeczeństwa nie pozostają bez echa, przeciwnie, są chwytnie natychmiast i stosowane przy wszystkich okazjach, nie tylko przy ocenie ruchów neofaszystowskich.

5. Choć w tej sprawie nie obciążałbym PiS-u nadmiernie – każda władza po 1945 roku w ten sposób postępowała. Stojąc przed dylematem czy działać zgodnie z istniejącym prawem, czy dostosowywać prawo do istniejących potrzeb władzy – wybierano zawsze tę drugą możliwość. Prawo stało się współczesną wersją pana feudalnego: nie jest zbiorem reguł działania tylko wyrazem aktualnych potrzeb ekipy rządzącej.

6. To co opisałem w powyższym punkcie, jest moim zdaniem jedną z najważniejszych przyczyn naszego niedorozwoju cywilizacyjnego. Stabilność prawa zapewnia wszystkich działających, że takie oto są reguły gry i w ich ramach można działać. Te reguły są często nazywane sprawiedliwością, co nie zawsze jest nazwą trafną. Ale sprawiedliwości polegającej na przestrzeganiu tych reguł (choćby czasem niesprawiedliwych) można w społeczeństwach rozwiniętych oczekiwać zawsze. Gdy rządzący zainteresowani są dopasowaniem istniejących przepisów prawa do swoich wyobrażeń o sprawiedliwości i na przykład postulują odebranie emerytury Lechowi Wałęsie, to wszyscy inni działający w przemyśle, wytwórczości, administracji, gdziekolwiek – koncentrują swoją uwagę na tym, by nie przegrać, kiedy prawo się zmieni, może nawet na sprawiedliwsze. A to stymuluje gromadzenie kwitów, zapewnianie sobie „pleców” i ostrożność, a nie odważne zmierzanie do celu.

7. Imieniny Hitlera obchodzili członkowie organizacji Duma i Nowoczesność. Czego mogą chcieć ludzie, którzy tak się nazwali? Duma i nowoczesność to dwa hasła z zupełnie różnych bajek. Dlaczego i z czyjej winy ci młodzi ludzie odczuwają brak dumy? Jeśli chcą nowoczesności, to może nie są to bezmózgi, które każdą sprawę chcą załatwić rozkazem lub strzelaniem? Czy połączenie dumy z nowoczesnością naprawdę jest wewnętrznie sprzeczne – bo dla nich chyba nie! Dlaczego we współczesnej Polsce znaleźli się ludzie, którym się to połączenie nie udało? Czy ludzi, którzy chcieliby takiego połączenia, jest więcej, czy tylko tych kilkunastu? Dlaczego oni w tak beznadziejny sposób realizują swoje cele i czy mają możliwość robić to inaczej?

8. Ale tych pytań nikt nie postawił. Dominującym wątkiem w mediach było to, kto jest winien: PO czy PiS. A teraz są już nowe afery. Wesolećmy do przodu.

JÓZEF ROZWADOWSKI

TOMASZ GOBAN-KLAS

# STALIN – PREKURSOR „#MeToo”

Kampania internetowa „#Metoo” (z hasztagiem jako „#MeToo”) wybuchła w październiku 2017 r. dla wykazania szeroko rozpowszechnionej praktyki molestowania seksualnego w miejscach pracy. Była reakcją na ujawnienie seksualnych zaczepek aktorek przez znanego producenta hollywoodzkiego Harveya Weinsteina.

Można też znaleźć historyczne precedensy. Słynny jugosłowiański partyzant, współpracownik Tity, Milowan Džilas, w swej książce *Rozmowy ze Stalinem*<sup>1</sup> wspomina, iż po dotarciu Czerwonej Armii do Jugosławii jesienią 1944 roku, wedle skarg wniesionych przez obywateli było 121 wypadków zgwałcenia, z czego 111 zgwałcenia połączonego z morderstwem oraz 1.204 napadów i rabunków. Przytoczone liczby wcale nie są bez znaczenia, jeśli zważyć, że Czerwona Armia wkroczyła tylko do północno-zachodniego zakątka Jugosławii<sup>2</sup>. Sprawę – relacjonował Džilas – komplikował fakt, że dowódcy Czerwonej Armii byli głusi na skargi, a jeden z nich wykrzykiwał: „W imieniu rządu sowieckiego protestuję przeciw takim insynuacjom!”

Kropkę nad i postawił oczywiście... Stalin. Zaprosił całą delegację jugosłowiańską, w tym małżeństwo Džilasów, na Kreml i ugościł ją zarówno zwyczajową ucztą, jak i sceną, jaką można by znaleźć tylko w sztukach Szekspira. Džilasa zaatakował osobiście. Mówił podnieconym tonem o cierpieniach Czerwonej Armii i okropnościach, jakie musiała przechodzić, pokonując w walce tysiące kilometrów zniszczonego kraju. Płakał, wykrzykując: »„I taką to armię znieważył nie kto inny, jak Džilas! Džilas, po którym czegoś takiego najmniej mógłbym się spodziewać, człowiek, którego tak dobrze przyjąłem! I to armię, która nie szczędziła dla was krwi! Czyżby Džilas, który sam jest pisarzem, nie wiedział, czym jest ludzkie cierpienie i ludzkie serce? Czy nie może zrozumieć żołnierza, który przeszedł tysiące kilometrów przez krew i ogień, zabawi się z kobietą albo zabierze jakiś drobiazg?” Stalin wznosił częste toasty: jednemu pochlebił, z drugim pożartował, trzeciemu przyciął, ucałował mą żonę, jako że była Serbką i znowu lał łzy nad trudami Czerwonej Armii i jugosłowiańską niewdzięcznością. Wpadł w tragiczny patos. Nastroj ten doszedł do zenitu, gdy całując mą żonę wykrzykiwał, że tym czułym gestem naraża się na oskarżenie o zgwałcenie«.

Stalin zatem rznął przysłowiowego głupa, w stylu słynnego powiedzenia Andrzeja Leppera, który broniąc Bogdana Golika, europościa z Łodzi oskarżonego w 2005 przez prostytutkę o gwałt, zapytał z uśmiechem: „Jak można zgwałcić prostytutkę?” Po latach poseł Marek Jakubiak z klubu Kukiz'15, w kontekście molestowania kobiet wypalił, że „to on ma być zadowolony, a nie kobieta”.

Czekać zatem należy, aby jego koledzy klubowi sporządzili ustawę o karaniu za oskarżanie polskich mężczyzn o jakoweś molestowanie kobiet, bo przecież odnoszą się oni do nich z najwyższą delikatnością i szacunkiem właściwym matce-Polce. Dlatego ostatecznie Ordo Juris w broszurze *Dlaczego nie należy ratyfikować konwencji Rady Europy o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej* wyjaśnia, iż w krajach, gdzie ta ideologiczna perspektywa została zrealizowana i które środowiska forsujące ratyfikację stawiają jako wzór do naśladowania, problem przemocy względem kobiet jest wielokrotnie poważniejszy niż w Polsce. A ponadto konwencja jest sprzeczna z Konstytucją RP (dokument w zbiorach UKSW [http://politologia.uksw.edu.pl/wp-content/uploads/broszura\\_konwencja.pdf](http://politologia.uksw.edu.pl/wp-content/uploads/broszura_konwencja.pdf)).

Cóż tu dodać? Może argument z przysłowia „Kto baby nie bije, to w niej wątrobą gnije”. U nas „#MeToo” nie chwyci. Nie jest potrzebne, a i sprzeczne z naszą kulturą wschodnią. ■



1 *Susreti sa Stalinom*, Londyn 1962, polski przekład Adam Ciołkosz, „Kultura”, Paryż 1962.

2 Tamże, opis na str. 69-73.

więc wątpliwe  
jestem

## MIĘDZY DUMĄ A WSTYDEM

Marzec'68. Rzecz dzieje się w Polsce, czyli nigdzie. Tako rzeczce urzędujący premier RP, choć podobnie sądził długo przed nim i – co oczywiste – przed „wydarzeniami marcowymi” niejaki Alfred Jarry. Francuski małolat się nie mylił, bo Polski, kiedy pisał *Króla Ubu*, nie było na mapie, z której uczył się historii Europy. Tego, niestety, nie da się powiedzieć o Mateuszu Morawieckim, skądinąd historyku z wykształcenia, który po zrobieniu błyskotliwej kariery bankstera postanowił wrócić do wyuczonego zawodu i pisać historię Polski na nowo. Podjął się tego ambitnego zadania, idąc za wskazaniem samego marszałka Piłsudskiego, dowodzącego, że jak sami nie napiszemy historii, to ją za nas napiszą inni. Wprawdzie w marcu 1968 roku ówczesna siła przewodnia wzywała pisarzy do pióra, ale po latach pan premier, choć innej profesji, nie pozostał głuchy na ten apel i na razie, w formie przemówień, wykładów i pogadank, prezentuje publicznie swoją wersję historii. Niestety, nie wszystkim przypadła ona do gustu, o czym świadczy demonstracyjne opuszczenie niezapowiedzianego wcześniej „wykładu”, wygłoszonego przez mgr Mateusza Morawieckiego dla profesury Politechniki Wrocławskiej, przez sędziwego prof. Ryszarda Krasnodębskiego, który „na wychodnem” oświadczył: „nie będzie mnie uczył historii po nowemu”.

A poszło m.in. o interpretację Marca'68. Tak się złożyło, że 50 lat temu prof. Krasnodębski jako jedyny wówczas nauczyciel akademicki w Polsce na znak solidarności ze strajkującymi studentami podjął głódówkę, za co został zwolniony z pracy na politechnice. Zatem kogo jak kogo, ale akurat tego uczestnika i świadka „wydarzeń marcowych” na temat ich przebiegu i oceny nie powinien pouczać prelegent, który w tymże roku się urodził. Tymczasem pan premier uważa, że ponieważ Polski, z którą on się identyfikuje, w marcu 1968 roku nie było, więc nie ma powodu, żeby za ówczesną kampanię antysemitką miał przeproszać. Powody do wstydu mają, jego zdaniem, wyłącznie komuchy, sprawujące wtedy władzę z nadania Moskwy. I na ich konto zatem należy zapisać wszystko, co się źle zachowało w pamięci o Marcu'68. Natomiast dumą napawają go studenci, którzy zbuntowali się przeciwko komunie i w latach następnych, działając w Solidarności i opozycji antyustrojowej, doprowadzili do jej upadku.

\* \* \*

Swoista uroda tak zaprezentowanej interpretacji wydarzeń marcowych i późniejszych polega na tym, że jest ona jak najbardziej słuszna z punktu widzenia obecnej władzy i jej czołowego reprezentanta, a zarazem prostacka jak wiedza przekazywana ówczesnym studentom na studium wojskowym. Gdy bowiem trochę poskrobać głębiej, nic już takie proste i oczywiste nie jest, jak się panu premierowi-historykowi wydaje. Bez-

sprzecznie PRL nie była krajem suwerennym i najważniejsze decyzje musiały być aprobowane w Moskwie, ale akurat scenariusz Marca'68 nie tam opracowano, a w każdym razie nie ma na to dowodów. I dlatego trudno zrzucić na „ruskich” odpowiedzialność za exodus obywateli polskich żydowskiego pochodzenia. W partii, która – poza bratnimi stronnictwami sojusznymi – nie miała konkurencji na scenie politycznej, ujawniły się różnicowane poglądy i postawy w systemach demokratycznych kojarzone z lewicą, centrum i prawicą. Dotyczyło to także kwestii narodowościowych, a zwłaszcza nadreprezentacji osób żydowskiego pochodzenia w aparacie władzy. Walki frakcyjne w PZPR na tym tle przybrały w latach 60. na sile, a ich spektakularnym zwieńczeniem był właśnie Marzec'68. W rezultacie rozpętana wtedy kampania antysemitki toczyła się pod dyktando partii i jej konto niewątpliwie obciąża. Nie należy jednakowoż zapominać, że antysemityzm, jakkolwiek nie ominął także lewicy, nie jest jej wynalazkiem. O tym można się było przekonać w marcu 1968 roku, czytając wstępniaki „Trybuny Ludu” i „Słowa Powszechnego”, wspólnie rozlepiane na słupach ogłoszeniowych.

Jeśli zaś chodzi o protest studentów w 1968 roku, to – jak się wydaje – pan premier i nie tylko on ma nieco mylne na jego temat wyobrażenie. Najprościej oczywiście zakwalifikować go jako wyraz sprzeciwu wobec ówczesnej władzy, zanegowanie ustroju, międzynarodowych sojuszy itp. Jednym słowem – precz z komuną! Ale wtedy zabrakło ministra Brudzińskiego, który skandowałby hasło: „raz sierpem, raz młotem w czerwoną hołotę”. Wtedy trzeba było rzeczywistej odwagi, żeby – powołując się na Konstytucję PRL, gwarantującą (sic!) podstawowe prawa i swobody demokratyczne – domagać się respektowania prawa do zgromadzeń, do wyrażania poglądów, do samoorganizowania się. Wyścaryczy poczytać ulotki z tamtego czasu. Są bardzo pouczające dla historyka Morawieckiego. Otóż protestujący studenci te właśnie paragrafy konstytucji przywoływali, żądając na wiecach i w strajkowych rezolucjach zwolnienia aresztowanych koleżanek i kolegów, przywrócenia relegowanym z uczelni praw studenckich, a Teatrowi Narodowemu prawa do grania *Dziadów* bez ingerencji cenzury.

Po 50 latach dziesiątki tysięcy manifestantów też się powołują na obecną Konstytucję łamaną bez pardonowo choćby przy okazji reformy sądownictwa w Polsce. Ale zarówno wtedy, jak i teraz władza na te argumenty była i jest nadal głucha, mimo że wydawałoby się wszystko je różni. A jednak analogie narzucają się same i trzeba mieć końskie klapy na oczach, żeby tego nie zauważyć.

*Przekazując 1% od podatku na „Zdanie” i „Kuźnicę”*

*KRS 0000300613*

*wspomagasz polską lewicę*

Przypominamy, że **„Zdanie” jest dostępne w sieci empik** w 80. polskich miastach. **Szukajcie nas w megastorach oraz salonach I i II kategorii.** Informujcie o tym wszystkich, którzy są zainteresowani kupnem oraz lekturą naszego pisma. Egzemplarze archiwalne można otrzymać w sekretariacie Stowarzyszenia „Kuźnica” (Kraków, ul. Miodowa 41) oraz w Klubie Księgarza (Warszawa, Rynek Starego Miasta 22/24).

**„Zdanie” jest też w internecie:** w Małopolskiej Bibliotece Cyfrowej (za lata 1994-2017) oraz w internetowym Katalogu Czasopism (okładki i spisy treści wszystkich numerów za ten sam okres). Bieżące informacje można znaleźć na stronie internetowej „Kuźnicy” oraz na facebooku.

REDAKCJA

---

# ZDANIE

---

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

---

Redaguje zespół:

Edward Chudziński (redaktor naczelny), Tomasz Goban-Klas, Krzysztof Komornicki, Adam Komorowski,  
Paweł Kozłowski, Krzysztof Mroziewicz, Lech M. Nijakowski, Filip Ratkowski,  
Andrzej Ruchałowski (sekretarz redakcji), Paweł Sękowski.

Makieta wg projektu Mściwoja Olewicza

**Adres Redakcji: 31-052 Kraków, ul. Miodowa 41**

**www.kuznica.org.pl; e-mail: kuznica41@interia.pl**

Wydawca (na zlecenie Stowarzyszenia „Kuźnica”):

Neurokwiat, 30-057 Kraków, ul. Chocimska 7/4

Skład komputerowy i łamanie: Joanna Byczyńska

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” sp. z o.o.

Nakład: 1000 egz.

# IMAGO

CENTRUM SZTUKI LUDOWEJ  
SP. Z O.O. W KRAKOWIE

Zapraszam do Krakowa na 42. Międzynarodowe Targi Sztuki Ludowej  
9-26 sierpnia 2018 r., Rynek Główny, przy Wieży Ratuszowej

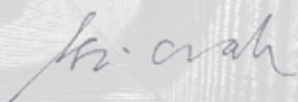
Zapraszam do Krakowa na Spółdzielczy Świętojański Jarmark Smaku i Folkloru  
22 czerwca - 1 lipca 2018 r., Mały Rynek

Zapraszam do Krakowa na Kiermasz Pogranicza Kultur  
12-21 października 2018 r., Mały Rynek

Zapraszam do Krakowa na Obchody 100-lecia Związku Wojewódzkiego Pszczelarzy  
21-30 września 2018 r., Plac Szczepański, których jesteśmy Współorganizatorem

Oczekujemy na zgłoszenia twórców ludowych, rzemieślników,  
czekamy także na oferty handlowe kupców (wyroby ludowe i artystyczne).  
Zapraszamy kapele, zespoły pieśni i tańca oraz gastronomię z ludowymi przysmakami.

**Józef Spisak**



**Prezes Zarządu**

Kontakt:

**Dyrektor ds. promocji i funduszy**

Piotr Zborowski tel. 501 309 939

e-mail: [zborowski@imagokrakow.pl](mailto:zborowski@imagokrakow.pl)

**IMAGO Centrum Sztuki Ludowej sp z o.o.**

[www.imagokrakow.pl](http://www.imagokrakow.pl)

ul. Słowiańska 3, 31-141 Kraków

tel./fax 12 422 19 29

e-mail: [tsl@imagokrakow.pl](mailto:tsl@imagokrakow.pl)

**Prezes Zarządu**

Józef Spisak tel. 601 854 613

e-mail: [spisak@imagokrakow.pl](mailto:spisak@imagokrakow.pl)

**Wiceprezes ds. artystyczno-handlowych**

Lucyna Batko tel. 601 739 124

e-mail: [batko@imagokrakow.pl](mailto:batko@imagokrakow.pl)

**Wiceprezes ds. organizacyjno-technicznych**

Kazimierz Nowak tel. 513 070 952

E-mail: [tsl@imagokrakow.pl](mailto:tsl@imagokrakow.pl)

**„Imago” Centrum Sztuki Ludowej Sp. z o.o. w Krakowie oferuje:**

- organizowanie Międzynarodowych Targów Sztuki Ludowej w Krakowie, kiermaszy, jarmarków, Cepeliad oraz jarmarków świątecznych na terenie kraju, a także w Ośrodkach Kultury Polskiej za granicą oraz miastach partnerskich i bliźniaczych Krakowa i województwa małopolskiego,
- obrót towarowy, hurt, detal, skup wyrobów rękodzieła ludowego i artystycznego, szkolenie w zakresie „ginących zawodów” i zdobywanie na ten cel środków finansowych,
- wspomaganie finansowe zespołów pieśni i tańca, promujących firmę „Imago”, promocja twórców i twórczości ludowej i artystycznej oraz organizowanie wystaw,
- wynajem sprzętu targowo – kiermaszowego wraz z obsługą.